

LEOPOLD TYRMAND

ŻYCIE TOWARZYSKIE
I UCZUCIOWE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1967

LEOPOLD TYRMAND

ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

POWIEŚĆ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

Postacie, zdarzenia, sytuacje i dialogi poniższej opowieści nie posiadają odpowiedników w życiu. Są fikcją, tworem imaginacji.



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010143313

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1967

1968 W 451



Część Pierwsza
ŻYCIE TOWARZYSKIE

Stąd pochodzi, iż każdy szczebel, na który wznosimy się w świecie, oddala nas jeszcze od prawdy, gdyż ludzie bardziej boją się zranić tych, których życzliwość jest korzystniejsza, a niechęć groźniejsza. Monarcha może być pośmiwiskiem całej Europy, a tylko on sam nie będzie o tym nic wiedział. Nie dziwię się: mówienie prawdy jest korzystniejsze dla tego, komu się ją mówi, ale nie korzystne dla tych, którzy ją mówią, bo ściągają na się nienawiść. Owo ci, którzy żyją w pobliżu możnych, bardziej miłują własne korzyści niż dobro książęcia, któremu służą; nie pilno im tedy świadczyć mu przysługę, szkodząc sobie samym.

Blaise Pascal, „Myśli”, Dział Drugi, 100 (Miłość własna).

Rozdział pierwszy

1.

Większość domów w dorzeczu ulicy Tamka to domy obszarpane. Tu i ówdzie łąta się sparszywienia murów, obok powstają domy nowe. Na Powiślu pożary szalały oszczędniej, toteż zaraz po wojnie zamieszkało tu bardzo dużo ludzi. Pokoje, kuchnie i łazienki zaludniły się do granic wstydu i odporności psychicznej, biologia masakrowała poczucie jednostkowej godności, a także futryny i armaturę sanitarną. Natomiast mury nie drgnęły, stały się tylko kaprawe, całe w liszajach i łysinach. „Nareszcie w ojczyźnie”, pomyślał Andrzej, wchodząc w bramę. Sklepienie bramy ziało pustką po wyłupanej piętnaście lat temu glazurze, stalowa obudowa windy wypruta była ze szkła. „Polska, co?”, pęczniał w sercu za każdym razem, gdy przekraczał granicę, kiedy stwierdzał, że mu coś smakuje, kiedy szofer taksówki referował mu swe poglądy na sytuację międzynarodową przy pomocy warszawskich intonacji.

Nacisnął dzwonek cztery razy, zgodnie z instrukcją na jednej z karteczek, pokrywających drzwi. Drzwi otworzyły się, uwalniając zapachy ciemnego korytarza: koty, smażona słonina, stare meble. W szparze pojawiła się siwa głowa w papierowych papilotach. — Dzień dobry — uśmiechnął się Andrzej — pani Stefania. — Oczywiście złągodniały. — A, pan Felak — powiedziała wycierając ręce w fartuch. — Proszę bardzo. Jak miło! Kiedy pan wrócił? — Wczoraj — rzekł Andrzej. — Nareszcie... — Wymawiał słowa przyjaźnie, ciepło: tym, dla których były przeznaczone, wydawały się wesołe i krzepiące.

— Niech pan siada — powiedziała kobieta po chwili, w pokoju czystym i ciasnym: dwa wysoko zasłane łóżka i jeszcze radio, na radiu lampka i książki, na książkach budzik, na budziku mały murzynek z celuloidu, na ścianie obraz z podmokłą łąką i poranną mgłą wśród egzaltowanych brzoź i brodzących czapli, obok kalendarz linii lotniczych Sabena, prezentujący w tym miesiącu pagodę w Bangkoku.

— Nie ma jak w domu — westchnął Andrzej. — Zależy komu — uśmiechnęła się kobieta. — Jak ktoś ma takie mieszkanie, jak pan. — Za to są inne kłopoty. Zna pani Polaka bez kłopotów? — Męczymy się — zgodziła się kobieta. — Wie pan jak jest? — Wiem — przytaknął Andrzej skwapliwie. — No więc? — skrzywiła się. — Pan przecież też tak kiedyś mieszkał. — Ach. — rozmarzył się Andrzej — cudowne czasy... Byłem młody i chciało mi się wszystkiego. Sąsiedzi pani też latami się nie ruszają? — Dokąd? — powiedziała napastliwie. — Kto im coś da? Krostkowa ma stragan na bazarze, Gajek jest akwizytorem w ubezpieczeniach, pan Torfman szyje koszule dla spółdzielni. Ja sprzątam. Tyle, że Irka ma szansę. W niej cała nadzieja. Jest już nawet blisko na liście. — Właśnie! — ucieszył się Andrzej. — Jak Irka? — Lepiej — powiedziała kobieta. — Bardzo jej pomógł ten ortopedyczny but. Jezus Maria!... Jeszcze panu nawet nie podziękowałam... — Pani Stefania — uczynił gest proszący — nie ma o czym mówić. — Jak to... — poruszyła się niecierpliwie. — Doktora pan załatwił i przysłał pan tę wkładkę. Na pewno za dolary, prawda? — Ale za państwowe — uspokoił ją. — Dziękuję panu — powiedziała kobieta cicho. — Irka teraz chodzi lepiej, mniej się męczy. W pracy same awanse, jest już kierowniczką działu. W ogóle, dobra córka, mam z niej pociechę. Po nocach nie lata, do kina, do teatru, wszędzie ze mną. — Pani Stefania — spytał — wpadnie pani do nas posprzątać? — E, tam — odparła niechętnie — już znowu znieśli trochę świąt kościelnych. Tyle co niedziela człowiekowi została. — Parę złotych się pani przyda — rzekł układnie — i... — zawahał się — mam jeszcze do pani mały interes...

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym weszła chuda, zwiędła kobieta. — O, przepraszam — powiedziała, ale nie wysłała, tylko tarła tłusty nos. — Co się stało, pani Krostkowa? — spytała Stefania pogodnie. — Niech pani zgadnie ile ode mnie chcą za te parę sztuk nylonowych majtek i kremy do twarzy? — Krostkowa postawiła problem jasno i bez wstępów. — Te, co mi wczoraj siostrzeniec przysłał z Francji, wie pani? — Z pięćset złotych? — zgadła Stefania fachowo. — Dziewięćset pięćdziesiąt z czymś — obwieściła Krostkowa. — Podnieśli coś o sześć-

dziesiąt procent. — Coś podobnego... — zafrasowała się Stefania. — Podnieśli coś? — zainteresował się Andrzej. — Na wszystko? — Nie wiem — rzekła Krostkowa zgrzyliwie. — Na majtki i kosmetyki, to wiem. — Nie dają ludziom żyć — westchnęła Stefania. — Co to komu szkodzi, że ja dostanę z zagranicy i sprzedam! — denerwowała się Krostkowa. — Ten co potrzebuje ma, ja zarobię, a rzeczy w Polsce przybywa, no nie? — No tak — zgodził się chętnie Andrzej. — Co to komu szkodzi? — Ech, skonać można! — pani Krostkowa wydała z siebie rodzaj zawodzenia i opuściła naraz pokój.

— Biedna kobieta — uzalił się Andrzej. — Nie taka biedna — poinformowała go Stefania. — Majtki i kremy nie od siostrzeńca, tylko od jednej emerytki z kamienicy obok, która ma kogoś w Paryżu. Jak podnoszą coś, to łupią w staruszkę, gdyż Krostkowa nie może tracić na handlu. Zna pan życie? — Znam — przyznał Andrzej. — Mój szwagier — powiedziała Stefania z przekąsem — dostał spadek, gdzieś pod Wilnem. Pojechał do Rosji, sprzedał ziemię i przywiózł za to nowego Moskwicza. I wie pan pan co? Taki podatek władowali, że musiał sprzedać Moskwicza i jeszcze z pensji żony dołożyć. A oboje pracujący, on nawet jakiś radny w Dzielnicowej Radzie. I co z tego ma? — Smutne — rzekł Andrzej. — Co będzie z praniem, Stefanio? — Dlaczego prosty człowiek nie może sobie przywieźć Moskwicza? — Stefania żeglowała po zagadkach życia, pchana wichrami nieukojonych goryczy. — Za własne pieniądze, po ojcach robotnikach i chłopach? Pranie? — przyszła do siebie. — Kto dziś bierze pranie? Mydło drogie, zdrowie drogie i w ogóle co za honor? Niech przemysł pierze... — Ode mnie pani weźmie... — rzekł Andrzej słodko — i niech pani słucho: ma do mnie coś przyjść z zagranicy. — Co? — spytała z nagłą gorliwością. — Podłoga z tworzyw sztucznych. Wygląda jak puszysty dywan w różnych kolorach. Może widziała pani kiedyś w kinie, albo na ilustracjach? — Nie — powiedziała Stefania, podniecona — ale musi być fajne. — Jest — przyznał Andrzej. — Firma w Szwajcarii czeka na adres, aby wysłać przesyłkę. To będzie pani adres, dobrze? — Chętnie — zgodziła się — Dla pana wszystko, panie redaktorze. Tylko po co ten numer? — Dostanie pani forszę i zapłaci pani coś — rzekł Andrzej. Stefania milczała, zastanawiając się, co kryje się w tym, ale wszystko wydawało się czyste i w porządku, jak na jej rozeznanie. — Może wystąpić o zniżkę? — spytała. — Jako pracująca. Pracuję teraz oficjalnie, sprzątam w Najwyższej Izbie Kontroli. — Nie — powiedział Andrzej — zapłaci pani ile będą chcieli. Żadnych kombinacji. To będzie duża przesyłka i ciężka, opłaci się pani ją odebrać... — „Rozumiem...”,

spłynęła na nią błogość poznania. „Wszystko kapuję. On nie chce, żeby do niego przychodziły takie luksusy. Człowiek na stanowisku nie może sobie na to pozwolić...” — Załatwimy jak należy — powiedziała usłużnie. — Och! — dodała ze współczuciem — nie dają ludziom żyć. Co im to szkodzi, że ktoś ma puszystą podłogę z plastiku? Że sobie sprowadzi ze Szwajcarii? Przecież w ten sposób kraj się wzbogaca, nie?...

2.

„Urok dobrych dzielnic”, myślał Andrzej, wysiadając z taksówki. „Jak koło mostu d’Alma, albo na Park Lane”. Zapłacił szoferowi dodając niezły napiwek. Szofer nawet nie podziękował.

Aleje Ujazdowskie lśniły mokrym asfaltem pośród świeżej zieleni rozległych, wiosennych parków. Wszedł w boczne wejście gmachu o cechach zeszlówiecznej architektury rządowej: po obu stronach tablice z godłem narodowym odrysowanym skrupulatnie, co do jednego pióra. Cichy, czysty korytarz, wyłożony malinowym chodnikiem, prowadził wśród białego lakieru dwuskrzydłowych drzwi o klamkach umieszczonych wysoko i wzbudzających respekt przed naciśnięciem; w powietrzu unosił się zapach władzy administracyjnej Europy Środkowej, jednakże w takich gmachach pomiędzy Wołgą a Renem. Nie jest to zresztą najgorszy zapach — zakurzonych akt, kobiecych perfum, dobrego tytoniu, starych dywanów i nowej farby nieustających odnów — mądre księgi naszej kultury przesycone są nim doszczętnie.

Zapukał do drzwi i wszedł: w głębi wąskiego pokoju o ogromnym oknie sekretarka uniosła głowę. — Moje nazwisko jest Felak — rzekł, podchodząc do biurka. — Telefonowałem rano. —

— Tak — powiedziała sekretarka — pan redaktor Felak. — Uśmiechnęła się ujmująco: miała ładne oczy w zmęczonej twarzy, makijaż nie był w stanie zatrzeć długiego dnia pracy. — Powiadomiłam ministra o pańskim telefonie. Bardzo przeładowany dzień... Proszę, niech pan spocznie — sekretarka wstała i obciągnęła w talii pullover z cienkiej wełny. Była bardzo zgrabna. — Zobaczę, co się da zrobić — uśmiechnęła się i nacisnęła ostrożnie klamkę obitych drzwi. Andrzej zapalił Pall Malla i usiadł przy pseudo-empirycznym stole, pokrytym starymi numerami *Przyjaźni, Kraju Rad i Polonii*. Sięgnął po popielniczkę, drzwi od korytarza otworzyły się i stanęła w nich elegancko ubrana pani.

Natychmiast na jej twarzy pojawił się wyraz entuzjastycznej radości, bardzo koleżeński, a jednocześnie pełen dystyngowanego trzepotania, powiek i rzęs — czyli taki wyraz twarzy przy pomocy jakiego wytworzone damy udają serdecznych sierżantów, witalających niewidzianego od lat kumpla; uczyniła półprzysiad, wychyliła głowę do przodu i krzyknęła: — Andrzej! — zachowując kontrolę nad donośnością okrzyku i jego dziarskością, ażeby nie zepsuć charakteru widowiska, a jednocześnie nikomu nie przeszkadzać. — Andrzej! — powtórzyła z umiarkowaną frenetką. — Ty w Warszawie? Już? — Rozejrzała się uważnie na strony, jakby nie wiedziała, że w pokoju nikogo poza nimi nie ma. — Nie możemy tu robić tyle hałasu... — ściszyła głos jak mały chłopiec w konspiracji przed rodzicami. — Jeszcze nas stąd wyrzucą... — Mówiąc to, zdawała się wierzyć, że ktoś kiedyś zechciałby ją skądś wyrzucić, chociaż jest morowa, słodka, bezradna, ustosunkowana, czarująca, wykwintna, dowcipna, oraz piękna. — Teodozja! — ucieszył się Andrzej i pocałował ją w oba policzki. — Nie wiedziałem, że już jesteście w kraju. Jak Antoni? — Antoni... — zaczęła Teodozja tajemniczo, jakby szykowała się do opowieści z życia Tomka Sawyera. — Ach, Antoni ma milion kłopotów — zmieniła nagle ton na wielkoświatowy. — Przede wszystkim... złote rybki. Wyobraź sobie, że te najrzadsze okazy japońskie... nazywają się „Bleek”, czy coś takiego, tego nikt na pewno nie wie... co to je Antoni zbierał latami i kosztowały majątek... wyobraź sobie, nie mogą się w Polsce zaaklimatyzować. Dwie już zdechły. Coś im się tutaj nie podoba. Jak myślisz, co?... — Uśmiechnęła się całym garniturem olśniewających zębów, pielęgnowanych w najdroższych amerykańskich instytucjach; te zęby, ciężkie blond włosy koloru starego złota i czarne, ciepło patrzące oczy były jedynymi atrybutami skutecznych walk w twarzy dość pospolitej, utrzymywanej w stanie bojowej gotowości przez osiągnięcia współczesnej chemii. Andrzej śmiał się dyskretnie: — Ach, Teodozjo, zawsze taka sama... — Pragnął zripostować jej aluzję, lecz nie potrafił: czuł się zawsze gorszy w obecności tej kobiety, męczył go przy niej niedowład bystrości i dowcipu, za co jej nie cierpiał. Zdawał sobie jednak w pełni sprawę, jakim grzechem jest nie znosić kogoś tak czynnego, użytecznego i ustosunkowanego, przeto uwielbiał ją.

— A ty? — szepnęła Teodozja. — Na co tu czekasz?

— Mam kłopoty z samochodem — rzekł Andrzej z przejęciem. — To znaczy z cłem. Wóz stoi jeszcze w urzędzie celnym.

— Jeśli byłeś ponad rok zagranicą nie potrzebujesz w ogóle płacić cła! — powiedziała Teodozja triumfalnie. — Zupełnie nic. Nie wiem, czy o tym wiesz? Tak, jak my.

— Nie dociągnąłem do roku. Gdzie mnie do was? — dodał z zjadliwą życzliwością. — Muszę płacić. A na co ty tu czekasz? — Nie zdołał się pohamować, aczkolwiek wiedział, że nie należy pytać.

— Kochanie — Teodozja była samą wylewnością — czy myślisz, że można coś załatwić w tym kraju? Wszyscy pomagają ci jak mogą i ciągle ci czegoś brak. Ach, żeby wreszcie poczuć się naprawdę zainstalowanym i móc zaprosić was na sandwicza i butelkę Campari!

— Cóż wam brakuje? — dobrotliwą ironią usiłował wyrównać jej niedomówienia.

— Kilkuset rzeczy — odparowała szybko. — Od pieniędzy do czasu. Poprzez miliony par pończoch dla moich córek i numer rejestracyjny dla psa. Nie pojmuję tylko, po co tu przyszedłeś?

Andrzej wskazał na wypolsterowane drzwi. — Sądzę, że on mi coś pomoże.

— Nic. Z przemiłym uśmiechem nie załatwi ci niczego, uszczęśliwiony, że nie musi ci niczego odmówić. Poinformuje cię tylko, że te sprawy załatwia handel zagraniczny lub Centralny Zarząd Ceł. Po czym policzy informację za wyświadczoną ci przysługę. Uważaj, to twardy kawał łotra!

Andrzej uśmiechnął się pobłaźliwie: — Nie zamierzam zadowolnić się grzeczną informacją. Poproszę o telefonik. Jeden i skuteczny. Do handlu zagranicznego, lub Zarządu Ceł.

— Po co? — oczy Teodozji były pełne oddania. — Pan redaktor Felak sam może udać się gdzie trzeba i załatwić co trzeba, bez straty punktu tam, gdzie nie trzeba. Zresztą...

— Co zresztą? — spytał czujnie.

— Coś mi przyszło do głowy...

— Teodozjo... — głos Andrzeja wypełnił się prośbą i podziwem.

— Jeszcze dziś do ciebie zadzwonię. Ach, przecież i tak spotkamy się wieczorem...

Andrzej skłonił się lekko. — Ty i ja? — spytał znacząco, na podkładzie ochronnej drwiny. Nigdy nie zamierzał dać jej do zrozumienia, że jest gotów; nigdy też nie powiedział jej tego otwarcie, bojąc się śmieszności.

— Obawiam się, że nasz czas jeszcze nie nadszedł... — Teodozja westchnęła zalotnie: była to zalotność uniwersalna, pasowała do każdego; przesunięcie w barwie głosu zmieniało ją dowolnie na szyderstwo, kordialność, albo solidną propozycję erotyczną. — Po prostu zobaczymy się u pani Stoll. Mówiła, że będziecie.

Sekretarka wyszła cicho z gabinetu. — Dzień dobry pani — uśmiechnęła się do Teodozji. — Kochanie — rozpromieniła się Teodozja — dlaczego taka mizerna? Zapracowane biedactwo... — Uśmiech sekretarki skrzywił się nieco: troskliwość Teodozji była dla niej zaszczytem, uwagi na temat wyglądu mobilizowały naturalną wrogość; w pokoju znajdował się mężczyzna, nie zależało jej na nim zupełnie, ale był.

— Pan minister — zaczęła sekretarka ostrożnie — przeprasza pana redaktora, ale obawia się...

„Co się bardziej opłaca?”, myślał Andrzej, „Obrazić się, czy okazać dobroduszną wyrozumiałość?” Minister nie był ani politykiem, ani artystą, ani człowiekiem z towarzystwa, lecz dygnitarzem, urzędnikiem, którego nie spotyka się prywatnie. — Rozumiem — przerwał sekretarce z przyjaznym grymasem. — Nie ma o czym mówić. Po prostu wpadłem nie umówiony.

— Pan minister przeprasza i proponuje... — sekretarka usiłowała powiedzieć dokładnie, co miała nakazane: była znakomitą sekretarką i wiedziała, że świat stosunków jest nieprzenikniony, wymyka się wszelkiemu poznaniu, ścierają się w nim chaotycznie siły najbardziej nieopanowanego przypadku. — Ależ nie ma o czym mówić — przerwał Andrzej i wyciągnął do niej rękę: podała mu swoją z ledwie zauważalną uniżonością. Andrzej trzymał jej dłoń o ułamek sekundy dłużej w swojej: nie uczyniło jednak to na niej wrażenia, a przynajmniej niczym nie dała poznać, że odebrała sygnał. — Zatelefonuję — rzekł Andrzej — i umówię się. Czy pani tu zawsze urzęduje? — Zmienia mnie koleżanka — powiedziała sekretarka — ale ją uprzedzę. Nie będzie pan miał żadnych trudności, panie redaktorze.

— Może pani pozwoli — rzekła sekretarka do Teodozji.

Uchyliła wypolsterowane drzwi. — Pa — skinęła Teodozja Andrzejowi. — Tymczasem — odparł Andrzej. — Do widzenia. — I wyszedł. Teodozja szybkim ruchem zrzuciła na krzesło płaszcz z delikatnej skóry śmietankowego koloru, poprawiła włosy i rozłożyła ramiona ruchem tanecznym, a także nieco rubasznym, lecz bez nadmiernej poufałości. — Kochany! — zawołała w głąb gabinetu. — Nie widzieliśmy się od wieków! Ponad dwa dni, czyż nie?... — Weszła lekkim krokiem do środka.

Sekretarka zamknęła za nią cicho drzwi i podeszła do krzesła na którym leżał płaszcz. Długo badała końcami palców wrażliwą miękkość skóry, gładząc jej chłodną powierzchnię po czym włożyła płaszcz i przejrzała się dokładnie w szybie otwartego okna, opartej o ciemną sztorę.

W mieszkaniu panował nieład: kurze nie ścierane od miesięcy, ściany i meble pokryte warszawskim wszędzie przenikającym pyłem, rozrzucone walizki, bielizna i przybory toaletowe.

Andrzej kręcił się niezdecydowanie, wreszcie wybrał odległą półkę w szafie ściennej i położył tam książkę. Usiłował odwieść płaszcz, lecz wszędzie było brudno, wobec tego rzucił go na krzesło. Fotel, na którym chciał usiąść, aby przejrzeć stos poczty, był tak zakurzony, że dotyk jego poręczy pokrywał ręce warstwą brudu. Stał więc przy oknie, dość bezradnie. Lubił to miejsce: maszyna do pisania stała na biurku, w głębi pokoju, zazwyczaj schodził parę kroków przez dywan ku oknu, o stopień niżej, w okienną wnękę, i opierał łokcie o parapet. Wracał zawsze do tego mieszkania z uczuciem człowieka wzruszającego się jedzeniem ulubionej potrawy. Z okna widać było przeciwległy brzeg Wisły, asfaltową jezdnię bulwaru, nad nią drzewa Ogrodu Zoologicznego, nad nimi ogromna konstrukcja neonowych liter: ZOO; z lewej rosły punktowce Pragi II. Myślał niechętnie: „Nowa podłoga ze Szwajcarii wymaga czegoś lepszego, niż to mieszkanie. Pawła nie można w nieskończoność trzymać w Gdańsku, dwa pokoje z kuchnią to trochę za mało dla trzech osób i pomocy domowej”.

Spuścił wieko rozłożystej sekretary i położył naręczę kopert, listów i druków; po tej czynności wizyta w łazience stała się nieunikniona. Żółte i czarne ściany łazienki, pokryte farbą emulsyjną, sprowadzoną w zeszłym roku z Holandii, wydały mu się oblaźle i wyleniałe, w wannie pełno było sadzy. Z odkręconego kurka potoczyło się parę kropel żeliwnej wody, po czym rury umilkły i trochę brunatnego szlamu zebrało się na dnie umywalni. „W tym kraju”, pomyślał, „kanalizacja ma życie własne, niezależne od woli człowieka...”

Przechodząc obok telefonu nakręcił numer, słychać było łączenie, lecz po drugiej stronie nikt się nie meldował. „Co się dzieje z tą idiotką?”, pomyślał z rozdrażnieniem. Nakręcił nowy numer. — Halo? — rozległ się głos leniwy i znudzony. — Czy to administracja? — spytał Andrzej. — Zgadza się. Co jest? — U nas nie ma wody — rzekł Andrzej układnie. — A kto mówi? — głos okazał pogardę dla nowiny. — Felak — rzekł Andrzej i poczuł się pewniej, jak zawsze gdy zrywał z anonimowością. — Aaa, redaktor Felak — głos przejawiał cechy uradowania. — Dobrze, że pan dzwoni. Właśnie skierowaliśmy pańską sprawę

do sądu. — Moją? — zdziwił się Andrzej. — A to dlaczego? — He, he, he, panie redaktorze, nie płaci pan jedenaście miesięcy komornego i pyta pan dlaczego... — Zostawiłem pismo w administracji, zapowiadające mój wyjazd służbowy. Czy jest kierownik Kopyciński? — Nie ma — odparł głos beztrąsko — i już nie będzie. Aresztowany. Jest nowy kierownik. — Czy to znaczy, że nowy kierownik nie załatwia starych spraw? — Nie znam się na tym — głos ochłodził wyraźnie. — Kierownik ma prawo nie wiedzieć co pan załatwiał ze starym kierownikiem. Zarząd Gospodarki Mieszkaniowej wiercił mu dziurę w brzuchu, podał do sądu i ma spokój. — Niech mu pan powie — rzekł Andrzej — że jak nie wycofa natychmiast skargi to gorzko tego pożałuje. I wy wszyscy. Co z wodą? — Nie moja rzecz — głos obraził się. — Ja jestem od inkasa. Od wody są hydraulicy. — Andrzej położył słuchawkę bez słowa.

Rozległ się odgłos klucza w zamku i weszła Elżbieta. — Nie ma wody — powiedział Andrzej.

— Woda jest — rzekła Elżbieta. — Rano, jak wyszedłeś, zaczęła się nagle lać ze wszystkich kurków. Dozorca zakręcił coś w kuchni.

Andrzej znalazł pod zlewem okrągłe, ostre kółko i zranił sobie od razu palec. Po czym rozległ się donośny szum i w całym mieszkaniu popłynęła wartko woda z kurków. Umył szybko ręce i rzucił się do zakręcania.

W pokoju Elżbieta stała nad otwartą szufladą komody imitującej styl Biedermayer. — Przyniosłam rano pocztę — powiedziała spokojnym głosem, zacierając leciutko kontury słów. — Acha... i to było jeszcze dziś w skrzynce.

Podła Andrzejowi dużą kopertę, z której wyjął biały kartonik, pokryty wykwintnym drukiem: pod tłoczonym herbem widniało zawiadomienie o przyjemności, jakiej dozna ambasador Francji jeśli będzie miał okazję ucieszyć się towarzystwem redaktora Andrzeja Felaka wraz z małżonką na przyjęciu o charakterze cocktailowym. — Nie dają człowiekowi spokoju — powiedział. — Już na cocktail.

— Co ty powiesz? — zdziwiła się uprzejmie Elżbieta; wiedziała, rzecz jasna, co zawierała niezapieczętowana, koperta. Cocktail stanowił okoliczność sprzyjającą, Elżbieta uważała, że trzeba szybko pokazać to, co się ma do pokazania po przyjeździe z Paryża: należało być pierwszą na rynku osiągnąć, to liczyło się w życiu, podziw i zazdrość innych dawały ciche ukojenie sercu.

Andrzej grzebał w naręczu poczty. — Byłem u Stefanii — powiedział.

— Zgodziła się?

— Zgodziła.

— Świetnie — Elżbieta podeszła do Andrzeja i pogładziła go po policzku. — Jędrusiu, uwierz swojej głupiej żonie. Tak jest lepiej. Zaledwie zapłacisz cło za samochód wezwą cię do urzędu skarbowego, gdzie długo i wyczerpująco będziesz tłumaczył skąd wzięłeś pieniądze na jego kupno.

— To samo czeka Stefanię.

— Już ty się o nią nie martw. Wie, że zapłacisz za nią podatek i dołożysz za fatygę.

— Będzie musiała złożyć wyjaśnienia, skąd ta podłoga.

— Lepiej, że ona skłamię, niż żebyś ty powiedział prawdę. Powie, że przysłał jej Charlie Chaplin. Jest z nim spokrewniona, lub był jej kochankiem w Hiszpanii, podczas wojny domowej.

— Moja droga — Andrzej wzruszył ramionami — teraz jest inaczej. Doganiamy kapitalizm. Kierownictwo widzi chętnie ogólny pęd do niwelacji różnic między nami a zachodem. Każdy na swój sposób: jeden kupuje motocykl marki Junak, inny podłogę z tworzyw sztucznych. W tym nie ma nic zdrożnego. Wszyscy ulepszają swe życie powszednie, wzbogacają siebie oraz łączną sumę dóbr użytkowych kraju...

— Kochanie, niech inni wzbogacają się na oczach ogółu. Ty wzbogacaj się tak, żeby tego nikt nie widział.

— Wystarczy spojrzeć na ciebie — uśmiechnął się krzywo.

— Dobrze ubrana żona jest świadectwem twojej pozycji — uśmiechnęła się nieustępliwie. — Zaś podłoga z długim włosom to fanaberia. Wcale nie jestem pewna, czy się spodoba różnym ludziom, mimo, że ty wiesz lepiej, czego dziś kierownictwo chce.

— Nie przypuszczam, żeby podłoga mogła mi zrujnować opinię.

— To się okaże. Różni ludzie zajmują się tylko rozmowami o tym, co kto ma i ile. Nie są groźni ci, którzy depczą u nas tę podłogę, lecz ci, którzy o niej mówią. Zaś te pogawędki zaczynają się już w urzędzie skarbowym.

Andrzej zapalił papierosa i milczał. — Rozstrząsania te trzeba uciąć z miejsca, od razu — powiedział. — Zarobiłem, kupiłem i już. Koniec. Mam prawo kupić co chcę za zarobione pieniądze.

— Co ty powiesz? — zdziwiła się Elżbieta. — Zarobiłeś aż tyle, że ci starczyło na pobyt tam, samochód i tę cholerną podłogę? No, to zaraz sprawdzimy, czy wszystko się zgadza... tak powiedzą inspektorzy podatkowi. Nie miej ich za głupszych, niż są. Chyba, że... — Elżbieta zawahała się i spojrzała ostro, bezlitośnie na Andrzeja.

— Chyba, że co? — twarz Andrzeja wyrażała obojętność za wszelką cenę.

— Chyba — powiedziała Elżbieta chłodno — że opowiesz o tej forsie, którą dostałeś od Szwajcarów za korektury agencyjne...

Twarz Andrzeja zmarszczyła się. — Tak, krzycz o tym na całe miasto, idiotko! — rzekł cicho, zwilżając raz po raz wargi. — Najlepiej leć do Narodowego Banku i poproś, żeby obliczyli ile zarobiłem! Żeby zażądali wyrównania, po którym już w życiu nie podniesiemy się...

— Czy ty trochę nie przesadzasz, Jędrusiu? — powiedziała Elżbieta. — Czy nie zawodzą się nerwy? Ostatecznie, jesteśmy sami w mieszkaniu, jeśli nie liczyć pajaków. Mąż i żona, jedna dusza w dwóch ciałach, czyż nie?

„Nie...”, pomyślał Andrzej. „Wcale nie...” — Kochanie — rzekł powoli — musimy pamiętać o przyszłości. Nie możemy być zawsze zależni od zafajdanych diet, wyrwanych Prasie z gardła, od tych paru nędznych dolarów na podróż i hotel.

— Oczywiście — zgodziła się Elżbieta. — I dlatego lepiej będzie, jak nabędziesz tę podłogę tu, na miejscu. Od niejkiej Stefanii, która otrzymała ją z Szwajcarii.

— Zakładając, że dana Stefania nigdy nie ujawni tego małego kołowrotku.

— Przecież to twój człowiek. Wierny i oddany. — To była prawda, a przynajmniej Andrzej chciał, żeby to była prawda, wobec tego nic już nie mógł powiedzieć. Elżbieta odwróciła się do niego i uśmiechnęła: usta jej rozchyłały się okrągło w uśmiechu, gięły delikatnie i miękko, ukazując niezbyt równe, nieco krótkie zęby, podbródek stawał się pełny, dziecinnie ciężki; ten pogodny uśmiech budził niegdyś w Andrzeju tklivość. — Dzwoniła pani Stoll — powiedziała. — Pójdziemy? — Stara snobko — powiedział czule. — Jakbyś mogła pominąć taką okazję...

— Co z książką? — spytała.

— Gotowa. Niebawem ukaże się w sklepach.

Wyciągnęła rękę po koleżeńsku, serdecznie: — Winszuję. Moje gratulacje... A jak w redakcji?

— Forsy mniej, niż spodziewaliśmy się. Na rękę dostałem tylko dziesięć tysięcy.

— Matko święta... — westchnęła Elżbieta. — Za książkę wzięliśmy już wszystko. Jak my sobie damy radę?

— Nie wiem — westchnął Andrzej. — Muszę pisać.

— Kiedy pojedziemy po dziecko?

— Muszę się wreszcie wziąć do roboty — powtórzył. — To najpewniejszy sposób zarobienia pieniędzy.

— Co z dzieckiem? — spytała kłótliwie.

Teraz należało ustąpić od razu, lub przyjąć walkę. — Nie

będę się odrywał od nagromadzonego z takim trudem materiału — powiedział. — Nie rzucę pracy, niezłatwionej sprawy auta, niezapłaconych długów dla bzdurnego konwenasu. Pojedziesz sama.

— Dobrze — zgodziła się zimno. — Chociaż uważam to za święństwo. Zresztą... czytaj — wyjęła z torebki list i podała Andrzejowi.

Andrzej nie wyciągnął ręki. — Opowiedz własnymi słowami — rzekł.

— Podobno Paweł zachowuje się arogancko w szkole i w domu. Pyszni się, że ma rodziców zagranicą. Kłuje w oczy swym ojcem, sławnym redaktorem i odnosi się do innych dzieci z pogardą. Ostatnio groził nauczycielce, że jak mu się spodoba, to poprosi tatusia, żeby ją wyrzucili z posady, bo tatuś może w Warszawie wszystko załatwić. Co ty na to?

— Nic — powiedział Andrzej obojętnie. „Nie we mnie się wrodził...”, pomyślał zawzięcie. — Niezupełnie wierzę w to, co pisze twoja matka. Zbyt dobrze ją znam.

— Nie wiadomo — powiedziała Elżbieta — co w tobie bardziej podziwiać? Głupotę, czy brak wychowania?

„Zaraz usłyszę o mym pochodzeniu...”, pomyślał Andrzej ze znużeniem, „mogę jej to zresztą ułatwić”. — Przecież zawieszysz im prezenty — rzekł swobodnie. — Na pewno będą z nich bardzo zadowoleni.

Przez chwilę panowała cisza. — Mam nadzieję — powiedziała Elżbieta — że pomyślałeś już o pieniądzach dla wuja Rajmunda?

Było to uderzenie nieoczekiwane i mocne. — Moje główne zmartwienie — mruknął Andrzej. — Nie chciałbym, żeby wuj Rajmund źle sobie o mnie pomyślał.

— I tak sobie o tobie źle myśli — uśmiechnęła się Elżbieta pogodnie. — Tym się nie przejmuj. Ważne jest, co uczyni, gdy odwleczesz mu w nieskończoność zwrot tej pożyczki. Jak zacznie rozrabiać, plotka rozniesie się i cała kombinacja na nic. Droga z londyńskiego klubu *Ognisko* do warszawskich władz finansowych jest krótsza, niż się na pozór wydaje.

Miała rację i Andrzej wiedział o tym. Elżbieta nie znała dokładnie przebiegu pertraktacji. „Dlaczego mam ci pomóc?”, pytał wuj Rajmund z szyderym uśmiechem pod płowym wąsem, „czy dlatego, że służysz komunistom? Że robisz wszystko, czego od ciebie żądają?” Dowiódł mu, że właśnie dlatego. „W ten sposób masz mnie w rękę”, powiedział brawurowo i ta brawura zobowiązywała ich obydwu, tylko, że Andrzejowi serce waliło jak źle podłączony młot pneumatyczny, zaś wuj Rajmund zdawał się być rozbawiony. „Zawsze możesz zdemaskować moje wal-

towe machlojki i pogrzebać mnie, sługusa komunistów, ty, uczciwy, polski patriota!” Okazało się że wuj Rajmund bawił się doskonale. „Przecież w Polsce nie wolno mieć samochodów, nie? Jest źle widziane przez wasze władze?” Andrzej odetchnął z ulgą: teraz miał go, ryba połknęła haczyk. „Tym bardziej powinienes cieszyć się że sobie kupuje... To mnie wykończy w oczach towarzyszy partyjnych i rządowych!” Wuj Rajmund westchnął i rzekł: „Dobrze. Jedyne, co mnie cieszy, to fakt, że w ten sposób wypompuję z kraju trochę dobrych dolarów...”

— I tak cud się stał, że go namówiłeś — powiedziała Elżbieta, w oczach jej migotało uznanie.

Andrzej zapalił papierosa, zbliżył się do Elżbiety i dmuchnął jej żartobliwie dymem w twarz, po czym zaraz pocałował w policzek. — Bronił się jak lew — powiedział.

— Co teraz zrobisz?

— Lavertisse i Grohmann przekażą mu dewizy. Muszę tylko bardzo szybko im tu zapłacić w złotych.

— Po co im polskie pieniądze?

— Na dziwki.

Elżbieta wzruszyła ramionami i powiedziała: — Nie do wiary... — Słuchaj — dodała — mam nadzieję, że pomyślałeś o paru tysiącach dla mnie?

— Na co? — Andrzej usiadł w fotelu, położył sobie stos listów na kolanach i wertował powoli.

— Na wyjazd do Krynicy. Jestem zmęczona tym nieustannym kręceniem się po Europie. No i muszę wreszcie zacząć leczenie, nie?

— Tak — rzekł niechętnie. — Musisz. To fakt. — Wstał, zapalił nowego papierosa i podszedł do okna: należało szybko konstruować przekonywujące niezadowolenie. — Czyli, że mam zostać sam z Pawłem, pracować i opiekować się dzieckiem. Stać w kolejce po masło i szynkę i równocześnie robić dalszą karierę. Czy tak?

— Przyjmujemy służącą — Elżbieta usiadła w opuszczonym przez Andrzeja fotelu i zagłębiła się w rozplątywaniu srebrnego łańcuszka.

— Zrobimy inaczej. Zabierzesz Pawła do Krynicy. Przyda mu się trochę górskiego powietrza po nadmorskiej wilgoci.

— Wykluczone. Muszę wypocząć. — Elżbieta przytwierdziła łańcuszek do okrągłego zegarka, starego i srebrnego, z odsłaniającym wieczkiem: takie zegarki nosiły na obfitych biustach damy II Cesarstwa. Prowadziła grę przejrzystą i bezwzględną: mały żandarm, donosiciel i zawałidroga, miał mu sparaliżować wszelką swobodę ruchów na czas jej nieograniczonej wolności;

jeśli się nie zgodzi, będzie po prostu złym ojcem. Wstała i założyła łańcuszek na szyję: zegarek wisiał nisko, niemal na biodrach. — Ładnie? — spytała rzeczowo.

— Znakomicie — rzekł Andrzej. — Kiedy jedziesz do Gdańska? Bardzo się za nim stęskniłem. — Miękką pojednawczość chroniła nieco przed jej talentem osaczania.

— Po cocktailu u Francuzów.

Twarz Andrzeja złagodniała, malował się na niej przymilny spokój. „Co z Teresą?”, pomyślał nie bez troski. „Gdzie ona się włóczy?” — W gruncie rzeczy jesteś nieoceniona — powiedział.

— Prawda? — powiedziała Elżbieta i uniosła ku niemu twarz. Było coś w Elżbiecie, w jej chęciach, odruchach, zamiarach, osobie, twarzy, co obezwładniało Andrzeja mimo wszelkich jego przewag. Ta twarz szczupła i krągła, o uwydatnionych szczytach policzków, nierówno osadzonym, miękkim nosie pod wysokim czołem i dość ubogimi włosami, wyglądała nieustająco inaczej: wystarczyło spojrzeć na nią z jednej, a potem z drugiej strony, by to stwierdzić. I ciągle jeszcze wystarczyło Andrzejowi zawiesić na niej wzrok o kilkanaście sekund dłużej, aby przesiąknąć pożądaniem, być może już niezbyt dotkliwym. „Co w niej widzą mężczyźni?”, zastanawiał się nieraz. „Dlaczego wiecznie wokół niej krążą, przymierzają się, lepią? Przecież nie jest ani cudem świeżości i kształtów z *Vogue*'u, ani płomieniem namiętności. Przecież jest pusta i nudna...” Wiedział aż za dobrze w jaki sposób osiąga się efekt hermetyzmu przy pomocy obojętności i umiejętnej stylizacji banału; lecz patrząc na jej nie wysoką, szczupłą sylwetkę o nikłych piersiach, wąskich biodrach i pośladkach, o drobnych udach i łydkach, rozumiał jak dalece wiedza ta jest pozorem. Miał wtedy przed sobą odstonięty schemacik potęgi rozdającej się z przemian materii w energię: jakże nieważny wydawał się fakt, że materii było nie wiele, rekompensowała braki działaniem. Pierwszy odkrył to Mikołaj, zaś Andrzej wierzył Mikołajowi instynktownie, aczkolwiek byłby zdumiony i oburzony gdyby ktoś powiedział, że wierzy mu — całe swe życie był przekonany, że nie przywiązuje najmniejszej wagi do jego sądów ani słów. „Elżbieta”, mówił niegdyś Mikołaj, „sprzedaje siebie nieustannie, bez chwili przerwy na sen, lub jedzenie. Jest jak genialnie skonstruowany aparat do wydzielania kobiecości, którego precyzyjny werk kręci się na zasadzie perpetuum mobile. To nic, że aparat wykonany jest z lichego materiału, obudowa na nim tandetna, przewody i złącza z namiastek, cienkie i wątle. Ale funkcjonuje. Bez ustanku drga, rusza się, ociera, wypina co może i jak może. Działa...” — Kochanie — powiedział Andrzej — to

szczerą prawdą. Cóż uczyniłbym bez ciebie? Od sześciu lat... — dodał z dwuznaczną powagą.

— Pamiętałeś? — Elżbieta zarumieniła się. „Umie się tak mieszać na zawołanie”, pomyślał Andrzej. — Jutro będzie od sześciu lat — powiedział — w związku z czym pozwolę sobie złożyć ci coś w darze...

Przyniósł książkę i wręczył Elżbiecie. — Chłopcze — powiedział ciepło — nie przyznałeś się, że już masz egzemplarz... — Andrzej usiadł na fotelu i pociągnął Elżbietę na kolana. — Serdeczne gratulacje z okazji rocznicy ślubu — rzekł, bardzo oficjalnie; wtulił twarz w okolice jej ucha, całował szyję i włosy. Elżbieta ważyła w ręku książkę: na jej okładce widniał tytuł: „Pikielhauba z plexiglasu”, rysunek twarzy pruskiego oficera w monoklu i hełmie z epoki Bismarcka na tle nowoczesnej architektury, oraz nazwisko „Andrzej Józef Felak”. Skrzywiła leciutko usta: mogło to oznaczać zarówno uradowanie, jak ironię. „Prezent”, myślała sobie, „dość tani. Wręcz gratisowy. Mógłby się szarpnąć na pierścionek z niedużym brylancikiem...” Andrzej myślał: „Jest rozczarowana. Po tej ilości kurtek zamiszowych i szpilek od Jourdain'a, jaką zainkasowała w czasie ostatniej podróży...” — Zapomniałeś mi zadedykować ten egzemplarz — powiedziała Elżbieta. — Nie zapomniałem — rzekł Andrzej: tuż za kartą tytułową, na pustej stronie, wydrukowane były słowa: „Elżbiecie — mojej żonie”. — Tę książkę tobie poświęcam... — uzupełnił żartobliwie. Objęła go oburącz za szyję, ufnie i gorąco i przytuliła policzek do jego policzka, dziękując żarliwie, jak mała dziewczynka za największą w życiu lalkę; po czym powoli pocałowała go w usta, długo, nieco natrętnie, lecz ze znawstwem nieuchronnego skutku. Myślała przy tym: „To nie obojętność, ani skąpstwo kazało mu dać taki prezent, lecz skłonność do podniosłych nastrojów. Dzięki temu właśnie zrobi wielką karierę, osiągnie w życiu mnóstwo, zajdzie wysoko... Będę u jego boku w czasie osiągnięć i ukłonów ze wszystkich stron. Cóż wtedy znaczą brylanty, futra, szafy pełne sukien, podróże i hotele w okolicy placu Vendôme?... Są naturalnym składnikiem codzienności, nie trzeba ich nawet pragnąć...” Ręka Andrzeja powędrowała wzdłuż ud Elżbiety, uniosła lekko spódnicę. — Rocznicą? — szepnęła Elżbieta łagodnie. — Czy bierzesz to aż tak serio? — „Właściwie”, pomyślał Andrzej, „będą trudności z miejscem. Wszędzie pełno kurzu, brudno... Chyba, że w sypialni. Ale... czy warto taszczyć się aż do sypialni?” Zamigotało mu naraz zupełnie coś innego w wyobraźni, inna chęć, inne doznanie. — Przepraszam — rzekł sztywno. — Czy masz mi to aż tak za złe? — Jakże na rękę był mu ten cień oporu: można się było obrazić, wycofać się.

— Skądże znowu... — Elżbieta była już w pełni sobą. — Masz do tego wszelkie prawa — powiedziała. Chwilę milczeli, przylegając do siebie bez żadnego powodu, ani uzasadnienia.

4.

Andrzej wiązał krawat przed lustrem w sypialni. „Wóz daje możliwości...”, myślał ze złością. „Trzeba go grzać, można skończyć po benzynie. A tak, bez wozu...” Elżbieta stanęła w drzwiach: była w samej kombinacji, czarnej, bardzo krótkiej; twarz miała bladą i świeżą, po myciu, a przed makijażem. Podeszła do Andrzeja i pogładziła dłońmi kłapy marynarki. — Świetnie wyglądasz — powiedziała. — Właściwie, zrobiłam z ciebie człowieka. — Ujął ją oburącz w talii i pocałował w oczy: znów naszło go zbytne pożądanie. „Zawsze mam na nią największą ochotę”, myślał z upodobaniem, „tuż przed spotkaniem z inną”. — Zaraz będę gotowa — odparła i należało jej wierzyć, była sprawna, gospodarna i nie spóźniała się nigdy. — Może zejść po taksówkę? — spytał niepewnie. — Oczywiście — zawołała z łazienki — idź. Zaraz będę na dole. — Wyznawała zasadę, że trzeba ułatwiać małe, przejrzyste podstępny, aby nie zmuszać przeciwnika do poszukiwań trudniejszych do przeniknięcia.

Rynek Starego Miasta był ożywiony, choć ciemnowy, pełen aut, turystów i poblasków złocien ze szczytów kamienic. „Na pocztę, czy do *Krokodyla?*”, skupił się przed istotną decyzją. Problem wyłaniał się zawsze w niezmiennym kształcie: redaktor Felak nie miał powodu posługiwać się ani kawiarnianym automatem, ani kabiną w urzędzie pocztowym na rogu, mieszkał tuż obok i na pewno ma telefon w domu. Kiosk telefoniczny w *Krokodylu* był ponadto oszklony, eksponował rozmawiającego jak pijaka na środku jezdni, zaś kabiny na pocztę stale zajęte. Pozostawał jeszcze automat w kawiarni przy Kamiennych Schodkach, lecz wisiał na ścianie, tuż obok stolików wiecznie oblepionych przez nieśmiały biuralistów, palących papierosy naprzeciw nieśmiały magazynierek, których randki przebiegały pod znakiem nieporadnego milczenia; i jeszcze telefon w szatni narożnego domu kultury, pełnego wystaw malarskich i modnych klubów w jaskrawo popstrzonych piwnicach, lecz w szatni siedziała niezmiennie ta sama stara kobieta i brała udział w każdej rozmowie przy pomocy ponurego, bawolego spojrzenia. Samochód przenośli w ciągu paru minut na pocztę przy Miodowej, lub do Klubu Literatów,

dziś trzeba było przyjąć trudniejsze rozwiązanie. W kilku śpiesznych krokach dopadł poczty i wbiegł na górę. Obie kabiny były wolne. W pierwszej wrzucił pięćdziesiąt groszy do automatu i zaczął nakręcać numer: w słuchawce nie ustawało buczenie sygnału, dalsze kręcenie tarczy stało się bezcelowe. Dwa mocne uderzenia dłonią na płask w automat nie poprawiły sytuacji. Druga kabina była już zajęta i czekały przed nią dwie zanoszące się od śmiechu dziewczyny w ceratowych wiatrówkach. — Zepsuty? — spytała jedna, kiedy wyszedł, podczas gdy druga, konając z wesołości, ustawiła się asekuracyjnie przed następną kabiną. Zbiegł na dół i ruszył w lewo. Przed *Krokodylem* nadział się na krępego faceta w welwetowych spodniach i czarnym swetrze, rozciągniętym bestialsko przy szyi i wiszącym do kolan. — Andrzej — powiedział facet. — Kopę lat. — Jak się masz? — uśmiechnął się Andrzej zdawkowo; nie mógł się nie zatrzymać, takie były prawa dzielnicy. — Co słychać? — spytał z rezygnacją. — U mnie? — facet zmarszczył ciemną, sfałdowaną twarz, usianą najróżniejszym brudem, od wągrów po anilinowo olejne plamki. — Co może być... Maluję beznadziejnie i do upojenia. Nie wiem po co? — Dla sławy — skrzywił się Andrzej. — Słyszałem o tobie nawet w Paryżu. — Bardzo nie lubił słyszeć o kimś w Paryżu. — Gówno sława — rzekł facet i splunął na przejeżdżającego Mercedesa. — Potrzebuję pieniędzy. Chcę sobie kupić kajak. Z żaglem. Ale ty, bracie, co za rozgłos! Wszystkie gazety nic, tylko redaktor Felak... Polski Kisch! — „Nie odczepi się...”, pomyślał Andrzej z rozpaczą. — Cieszę się, że cię znowu widzę — krzyknął. — Pa! — Dopadł wejścia do *Krokodyla* w sam czas, by umknąć pracy nań kobiecie o potężnych łądźwiach w *blue jeans*'ach: niosła naręczę butelek wody mineralnej w siatce i wyděła na jego widok wypłukiaste oczy z powitalnym entuzjazmem. Zamknął się w kabinie, nakręcił numer i w słuchawce rozległ się niemal od razu głos Teresy. — Hallo? — spytała leniwie i cicho.

— Jeśli nie możesz mówić, to odłóż słuchawkę — powiedział. — Niby pomyłka, rozumiesz?

— Mogę mówić — powiedziała wolno Teresa. — Kiedyś przyjechał?

— Przedwczoraj — rzekł oschle. — Dzwoniłem do ciebie dwadzieścia razy. Albo zajęte, albo nikt się nie odzywa.

— Telefon u nas trochę nie tego... Poza tym cokolwiek pracuję i nie ma mnie w domu.

— Twój mąż w Warszawie?

— A jakże — powiedziała beztróska.

— Więc jak się skontaktujemy? — spieszył się. — Teraz nie mam chwili czasu.

— Tak się stęskniłeś? — w szeptcie Teresy drgał śmiech. — Czyżbyś był zagranicą z żoną?

— Nie wygłupiaj się. Więc jak?

— Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze? — I dodała pieszczotliwie: — Cieszę się, że już jesteś.

— Nie — stłumił głos. — Nie do domu. Pojutrze, o jedenastej do redakcji, tak?

— Tak — zgodziła się. — Przywiozłeś nowy samochód?

— Pa — rzekł Andrzej. — Tylko punktualnie, słyszysz?

— Słyszę — szepnęła. — Pa.

Po drugiej stronie Rynku stała Elżbieta, uwikłana w rozmowę z wysokim mężczyzną: była odwrócona i nie mogła widzieć, że wyszedł z *Krokodyla*. — Paaan redaktor juuż z wojażów? — zachłysnął się wysoki przy powitaniu. — Jak pan widzi, profesorze — rzekł Andrzej usłużnie: był odprężony, spokojny, skłonny do uprzejmości. — Jeeszcze jestem dooocentem — rzekł wysoki. — Nieeestety, nie z mooojj wiiny.

— Upiorna dzielnica — rzekł Andrzej, już w taksówce. — Prawdziwe getto. Wiesz, ilu znajomych spotkałem, szukając taksówki? — Elżbieta pokiwała głową ze zrozumieniem. Nie pamiętała ile wysiłku ich kosztowało, aby tu zamieszkać.

5.

— No i jak tam było? — spytała pani Stoll.

Stała przed Andrzejem i Elżbietą w właściwej sobie postawie, zrośniętej z nią jak to, co różni wygląd odchyłonego od pionu drzewa od innych drzew: dolna połowa jej całości, mniej więcej do pasa, utrzymywała się prostopadle do podłogi, górna, wraz z pojemnym biustem i złożonymi pod nim rękoma, odgięta była do tyłu i jakby zdawkowo uśmiechnięta. Nosiła binokle, dawały jej aparycję sufrażystki, zgodnie z cenionymi ostatnio akcesoriami secesji i lat dwudziestych. Nie była zresztą wcale ciekawa, jak tam było, gdyż wiedziała wszystko i zawsze lepiej.

— Jak w łonie cywilizacji — rzekł Andrzej z niepewnym uśmiechem: uśmiechał się krzywo, gdy chciał błysnąć uwagą mądrą, ciętą i budzącą ogólne uznanie; zdawał sobie bowiem sprawę, że odezwania takie muszą być szybkie, krótkie i zabawne, a zatem ryzykowne, zaś niczego tak nie obawiał się, jak ryzyka.

— Ach... — westchnęła pani Stoll: westchnienie nie angażowało wysiłku i zawsze mogło o niej dobrze świadczyć. Zresztą,

nie zależało jej na opinii Andrzeja, miała go w gruncie rzeczy za pętaką. Na ogół wszystkich miała za pętaków: była na to dość bogata, a ponadto bezbłędnie ustawiona, co znaczy, że suma jej zasług, przymiotów i koneksji przewyższała w każdym układzie obowiązującej sytuacji sumę jej pragnień, win i błędów. Nie ujawniała zresztą nigdy pogardy, którą przeziąkała, o ludziach mówiła z uznaniem, również o Andrzeju. Wrogość ją męczyła, wchodząc na jej ścieżki ugiwała się pod ciężarem pasji niszczenia. Daleko lepiej czuła się w ramach swej życiowej mocy, banalnej, lecz wygodnej. Odumarło ją kilku kolejnych mężów — jeden adwokat, jeden wydawca i jeden matematyk — każdy zostawiając nieco. Razem zebrało się na majątek dość poręcznego typu: łatwo go można było przenieść i uchronić przez lata wojny, okupacji i socjalizmu. Zdarzają się fortuny, których nie jest w stanie uszczknąć zmienność koniunktur: adwokat bronił przed wojną komunistów, nie za darmo, ale ze szlachetnym poświęceniem; wydawca publikował postępowych pisarzy: zarabiał na nich grosze lecz cenił sobie przewidujące przyjaźnie z ludźmi zacnymi i światłymi; profesor matematyki, dochodząc swych dni po wojnie, był już prawidłowym dobrem społecznym. Pani Stoll od początku drugiej niepodległości zapadła w odmęt produkcji kultury i różnych instytucji, regulujących ten proces: w życiorysie jej istniały wszelkie realne po temu przesłanki. Piętnaście lat działalności namiętnej i nie przerywanej przetworzyło ją w bastion i dało pewną niezależność poglądów, nieustające obcowanie z ludźmi trudniącymi się zawodowo posiadaniem własnego sądu zbudziło w niej niezdrowe ambicje. Do nienaruszalności postanowiła dodać pewien laur: opinię człowieka przeciwstawiającego się. Pierwszym krokiem na nowej drodze było ufundowanie salonu. W Warszawie salon literacki jest przedsięwzięciem ekonomicznym: przede wszystkim wymaga inwestycji terenowych i kapitału. Na całopalenie zostało rzucone własne mieszkanie: żal było deptanych dywanów kaukaskich i bucharskich z epoki adwokata i wydawcy, lecz słowo się rzekło i czekało na owoce chwały. Chwała zaś rozkwitała raz w tygodniu.

Duży pokój wypchany był meblami i ludźmi, ciasno jak zawsze, gdy kilkanaście osób zbierze się w zbudowanym po wojnie, warszawskim mieszkaniu. W powietrzu unosił się zapach parówek w sosie pomidorowym i niezłej wody kolońskiej. Na ścianach wisią zbity tłum obrazów: od symbolistycznych, ostrych w konturach szarad, poprzez portrety różnych szkół i zielono-fioletowy gulasz polskiego post-impresjonizmu; była to scheda po adwokacie, przyjacielu prześladowanych i artystów. Po wydawcy, budowniczym kultury, wisiąły anonse teatralne z epoki Talmy, Bo-

gustawskiego i premiery „Zbójców”, a nawet wcześniejsze: zbierał je skrupulatnie całe życie i zamierzał przekazać jakiemuś muzeum, lecz nie zdążył. Parę lat temu zauważało się tu jeszcze krzepkie postacie hutników o nabrzmiałych mięśniach i dumnym spojrzeniu, wrzucających coś do pieca, z którego buchał żar, teraz znikły, a na ich miejscu pojawiły się taszystowskie i abstrakcyjne kompozycje, wyrażające dramatyzm zmagania kolorów między sobą: należało przypuszczać, że kompozycje i hutnicy były owocem natchnień tych samych artystów, albowiem współczesna kolekcja pani Stoll składała się z aktów wdzięczności za wyrządzone przysługi, zaś jej ulubieńcy i dłużnicy nie zmieniali się nigdy: zmieniali się tylko ich przekonania, poglądy i wiary.

— Ewa wygląda doskonale — powiedziała Elżbieta do pani Stoll. Było to celne pociągnięcie. — Prawda? — westchnęła pani Stoll. — A jak się uczy ostatnio... Całe dnie i noce. — Ewa podeszła z dwoma talerzykami. — Dziś parówki — powiedziała z miłym uśmiechem. — Zupełnie nie z mojej winy. — Uśmiechając się zacierała nieco uderzającą brzydotę: toporny nos, niekształtne usta, ziemisto przyszczatą cerę. — A może trochę calvadosu? — spytała. Calvados składał się z płynu jabłkowego, zmieszanego ze zwykłą wódką. — Ewa jest duszą naszych zebrań — rzekła Stollowa: kochała Ewę ponad wszystko, więcej od intryg i własnej potęgi. Zbyt mądra, aby pozwolić sobie na zaślepienie, nie mogła darować światu jej brzydoty. — Umieram z nudów — szepnęła Ewa Andrzejowi. — Karmienie żywych pomników parówkami nie jest zajęciem dla siedemnastoletniego człowieka. Dziś w *Palladium* grają *rockandroll*... — dodała porozumiewawczo: Andrzej wyglądał dość młodo i przytomnie, aby mu się zwierzyć z tęsknot. — To leć — uśmiechnął się Andrzej. — Sam bym to zrobił. — Solidaryzował się natychmiast, z przyzwyczajenia: w gruncie rzeczy nie znosił koncertów *rockandroll*'owych. — Nie mogę tego zrobić matce — westchnęła ciężko. — Ona tak lubi jak rozmawiam z Hryniewiczem. Żeby chociaż calvados był prawdziwy...

Pośrodku grupki pań i panów z kieliszkami w rękach stał bardzo gruby, bardzo niski i bardzo łysy facet w dwurzędówce fasonu szmaty do podłóg. Mówił: — Moi kochani! Przecież to koniec świata! Czego oni chcą? Toż to czysty absurd... — Intonował tak wkółko, ci obok słuchali grzecznie i z szacunkiem, każdy myśląc sobie, że stary Hryniewicz goni w piętke. — Dzień dobry — przywitał się z Andrzejem człowiek o dużym czole i mięciutkim podbródku. — Dawno pana tu nie było, redaktorze. — Co nowego? — spytał Andrzej. — Niszczą nas — poskarżył się człowiek. — Już niemal nic nie można pisać. Poza tym

kupiłem samochód. Ale Syrenę... — dodał gorzko. — Tandeta. Wie pan... — zniżył głos — mówi się, że Hryniewicz ma trudności z wydaniem nowej książki. Zdawało się, że jest nietykalny, a jednak?... W gruncie rzeczy to dobrze, że nie ma nietykalnych, transcendentna sprawiedliwość wymaga, żeby każdy dostał po krzyżu. Nemezis... nikt nie ujdzie dłoni karzącej, prawdziwy urok nowych czasów... Zresztą Hryniewicz, poetyka wczesnych lat dwudziestych... Nie czytałem, ale podejrzewam, że jest to po prostu zła książka i cenzura chroni w ten sposób mit Hryniewicza. — Domyślam się — podeszła Stollowa — że mówicie o Hryniewiczzu? — Jej wzrok za binoklami był twardy i przenikliwy. — Wszyscy o tym mówią. To akt ponurej przemocy. Pan — zwróciła się do człowieka o niemowlęcej dolnej szczęce — jako krytyk literacki, znany z subtelności, wie najlepiej, jakim pisarzem jest Hryniewicz. — Znakomitym — odparł krytyk stanowczo. — Głębokim i przejrzystym. I wie, czego chce. Ta książka jest płomienną obroną generalnych wartości. — Zdawało mi się... — zdziwił się Andrzej — Nie — przerwał mu krytyk. — Nie czytałem jej, ale o niej słyszałem. Zresztą całe życie i piarstwo Hryniewicza poświęcone było polemice o walor najwyższy. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej? — Tu go niszcza — powiedziała Stollowa — ale jak trzeba kogoś pokazać zagranicą, to kogo wysyła się? Właśnie został przewodniczącym delegacji na symposium Pen Clubu w Lyonie. — Duch rozsądku jeszcze nie zginął — rzekł Andrzej. — Czuję, że maczała pani w tym palce? — Ja? — Stollowa odgięła się jeszcze bardziej do tyłu i spuściła oczy. — Co ja mogę biedna, mała urzędniczka? — Miękki podbródek krytyka drgnął rozpaczliwie. — Dzięki pani wszystko... — szepnął Andrzej z powagą. Te słowa opuściły go dość automatycznie, cały czas zastanawiał się nad ewentualnością skomponowania książki z reportaży, które niebawem napisze. Miał już nawet tytuł: „Szczęście galanteryjne”. „Mogą się czepiać”, pomyślał z niepokojem, „że zbyt czołobitne wobec zachodu. Ale od czego Stollowa?” Hryniewicz dostrzegł Andrzeja i zawołał tubalnie: — Panie Andrzeju! Już w ojczyźnie?... — Wyciągnął obie ręce i ruszył ku Andrzejowi, potrącając stojących na drodze. Andrzejowi uszy zapłonęły szczęściem i rzucił się w stronę Hryniewicza. — Obiecujący młody człowiek — powiedziała Stollowa — inteligentny i doskonały dziennikarz, prawda? — Ruchliwy — przyznał krytyk i dodał ostrożnie: — Gdyby jeszcze umiał pisać... — Ba... — westchnęła Stollowa — wtedy chciałby być pisarzem. Albo krytykiem. Dobrze mówi się o jego ostatniej książce, która się niebawem ukaże — dorzuciła tonem pouczenia. — Oczywiście, oczywiście — ustąpił krytyk bez walki. Strzegł

swej niezależności jak źrenicy oka, ale rozumiał także, że jeśli Stollowa mówi, iż dobrze mówią o tej książce, to znaczy, że należy o niej dobrze mówić. „Istnieją cele inne, niż doskonałość sama w sobie”, umiał sobie powiedzieć, „zaś poznanie i uznanie ich nie ma nic wspólnego ani z płaskim dydaktyzmem, ani z bezrozumną wiernością. Po prostu pewni ludzie piszą dobre książki nawet, gdy nie są one dobre, tego wymaga szerszej pojęty interes kultury...” Redaktor Felak cieszył się wyraźną opieką pani Stoll, zaś krytyk nie uważał, że na barykadach należy umierać za opinie: wypowiedanie opinii powinno przynosić sławę, autorytet i korzyści materialne, a nie ciosy i unicestwienie. „Najwyższym kunsztem krytyka jest milczenie”, pomyślał z ulgą. „Czy mam zazdierać z tą jędzą tylko dlatego, że uważam Felaka za spryciarza i karierowicza?...”

— Już pana odwołali? — spytał Hryniewicz, gdy usiedli pod ścianą. Myliły mu się fakty i okoliczności i nie miało sensu z tym walczyć; odznaczał się wyborną pamięcią twarzy, nazwisk, skandali erotycznych i towarzyskich, oraz ewenementów kulinarnych, natomiast nigdy nie wiedział co kto robi. Lekceważył skrupulatnie wszystko, co robili inni, albowiem wierzył, że jedyną rzeczą, godną uwagi, szacunku i miłości jest to, co robi on. — Przecież był pan gdzieś? — zatroszczył się ze skrucą: wystrzegał się bowiem panicznie urażania innych, czyli mniejszych i gorszych. — Przebywałem dłużej tu i ówdzie — wyjaśnił Andrzej usłusznie. — *A propos* — ożywił się Hryniewicz — był pan ostatnio w Lyonie? — Dawno nie — rzekł Andrzej. — Szkoda — zasepił się Hryniewicz. — Widzi pan, jadę tam teraz i martwi mnie, czy aby dobrze wybrano miejsce na ten zjazd? Od trzydziestu pięciu lat nie byłem w Lyonie. Owszem, kiedyś Lyon słynął z przyrzadzania wieprzowiny, ale czy to przetrwało? Czy wojna i powojenny niepokój umysłów nie zrujnowały tej pięknej tradycji? Jak pan myśli? Bo taki zjazd, to bankiety. Są tacy, którzy sądzą, że ciężar gatunkowy leży w deklaracjach Pen Clubu, ja zawsze miałem odwagę uważać ich za faryzeuszów. Deklaracje wschodzą z jakiejś gleby, z czarnoziem, lub z piasku, zaś niepodległość instynktów, rodzących życie... — Jego rozlewny, wysoki głos zamulał słowa i myśli, formułowane w ten sposób, aby w każdej chwili można było obrócić w żart lub finezyjną ironię to, co nie było ani dowcipem, ani przewrotną cienkością zabawnych *bonmot*'ów, lecz konkretnym, zrutynizowanym wyborem. — Mistrzu — rzekł Andrzej uroczyście — podobno ma pan trudności? — A, tam — Hryniewicz machnął ręką. — Kochani... Głupota! Głupota urzędników. Wie pan jak jest, dziś się coś komuś nie podoba, jutro się spodoba. Naszą rzeczą jest trwać,

a zarządzeń zmieniać się. — Żeby pan wiedział, że społeczeństwo... — przypomniał sobie w porę, że Hryniewicz jest zatwardziałym szlachcicem — ... że naród nie opuszcza pana w dobie prześladowań, że o panu nie zapomina w potrzebie... — Wyjął z kieszeni małą fiolkę z napisem: „Bellergal — 25 dragées gegen neuro-vegetative Störungen — Sandoz A. G. Basel” i rzekł: — Proszę, to dla pana. — Pamiętał pan... — zanucił Hryniewicz z beznamiętnym liryzmem — jakże to ślicznie z pana strony... Pamiętał pan o starym, bezbronnym, potrzebującym człowieku... — Miał łzy w oczach, autentyczne, pięknie błyszczące, zagnał się bez reszty w literacką tkliwość, w piękno sytuacji, w skwitowanie rzewnością humanistycznego objawienia pośród groźnej pustki świata, skonstruowanej przeciw człowiekowi, ściślej: przeciw niemu, Hryniewiczowi. — Pamiętałem o wielkim pisarzu — rzekł Andrzej przytomnie. — Jak się panu odwdziaczyć? — spytał Hryniewicz płaczkliwie: dobijał do granicy autentyzmu wzruszeń. — Może pan przyjdzie do mnie na obiad czwartkowy? Tym razem będą wiceminister kultury, pewien norweski socjolog i nasz przedstawiciel w Unesco. — Z prawdziwą przyjemnością — odparł Andrzej skromnie i godnie. Od dawna marzył, aby być zaproszonym na obiad czwartkowy do Hryniewicza.

— Hallo — powiedziała Teodozja, podchodząc. Trzymała w ręku kieliszek nieporównanym chwytem wytrawnych rekordzistek światowych *cocktail-parties*: tak trzymany kieliszek służył jako pomoc do podkreślania fint w rozmowie, a także jako narzędzie taktycznych wypadów i odwrotów. — Mam ci coś do zakomunikowania — obwieściła Andrzejowi dystyngowanym szeptem. Przesunęli się nieco w stronę drzwi. — Rozmawiałam z tym gościem z handlu zagranicznego — poinformowała dyskretnie. — Powiedział, żebyś do niego wpadł. Utrzymuje, że cię zna z czasów, gdy działałeś dla macierzystego importu i eksportu. Poza tym namiętnie cię czytuje. Widzisz? — Jak on się nazywa? — spytał Andrzej. — Jak on się nazywa?... — zastanowiła się Teodozja w pozie małej dziewczynki, gnębionej intensywnym namysłem. — Antoni... — rzuciła za siebie, nie odwracając się.

Antoni Lorant stał tuż obok, plecami do nich. W obrót włożył tyle uprzejmości, swobody i powściągliwej elegancji, że uwaga stojących dalej i wcale tym faktem nie zainteresowanych ześrodkowała się na nim. Wielkość Antoniego Loranta polegała na tym właśnie, że zwracał uwagę i budził sympatię niczym, samą obecnością, zaznaczeniem swego istnienia. Wysoki, szczupły, jasnowłosy i zwiedły, spowity w cienkie wełny *Prince de Galles*, o oszczędnych ruchach: na konferencjach międzynarodowych mówił się, że delegat polski, pan Lorant, wprawdzie reprezentuje

komunistów, ale jest gentlemanem w każdym calu: można z nim przyjemnie spędzić czas, a nawet pograć w golfa. Ostatnie nie bardzo odpowiadało prawdzie: Lorant nigdy nie grał i nie umiał grać w golfa, proponującym zaś dawał do zrozumienia, że golf jako rozrywka milionerów jest źle widziany przez jego władze nadrzędne i dlatego lepiej będzie jeśli odmówi on sobie tej przyjemności, chociaż wyrzeczenie to sprawia mu nieznośną przykrość. Dyplomaci anglosascy potakiwali ze zrozumieniem: pochwalali taki kieszonkowy makiawelizm w służbie ojczyzny, pełni byli uznania dla kwalifikacji zawodowych pana Loranta i współczucia dla rozmiarów jego poświęcenia, rozumieli jego ofiarę i jego ból. W ten sposób fakt, że Lorant nie trzymał nigdy kija golfowego w ręku, nie przeszkodził narodzinom legendy, zawierającej dyrektywę: należało Loranta żałować, wspomagać i mówić o nim: „Ten biedny Lorant, sami rozumiecie...” Niektórzy skłonni byli upatrywać w zależności Lorant — golf zagadnienie ideowe i moralne: Lorant uwielbia golfa, mówili, lecz aby służyć ojczyźnie składa go na ołtarzu patriotyzmu, gdyby zaś, powodowany nagłą słabością, wybrał golfa, na kraj jego spadłyby potworne, zagadkowe klęski. Zresztą — potajemnie i jak Talleyrand walczy on o swe prawo do golfa i nieustępliwie zbliża się ku instytucjonalnym zdobyczom: nie chce indywidualnych przywilejów, o nie! Nie pragnie osobistej i jednostkowej koncesji ze strony prymitywnych golfożerców w stalinowskich kurtkach — żąda triumfu zasady „Każdy Polak gra w golfa!”, ale po cichu, z troską o efektywność wysiłków. Nieco inaczej rzecz przedstawiała się od strony Polski: tu Lorant utrzymywał, że zmuszony jest grać na zachodzie w golfa dla skuteczności swej misji w sprawie światowego pokoju. Nikt nie był w stanie sprawdzić, czy i jak gra on golfa, albowiem sport ten nie jest u nas uprawiany, zaś dyskusja prasowa na ten temat raczej nie wchodziła w rachubę. Natomiast wytworzyło się przekonanie, że jest on jedynym człowiekiem w tym kraju, który powinien uprawiać golfa w imię obrony narodu przed jakąś apokaliptyczną katastrofą, co siłą rzeczy rozgrzesza go w oczach wszystkich, od góry do dołu. Trudno było dojść, kto szerzy te poglądy, korzenie ich tkwiły zresztą w pewnych dość oględnych wypowiedziach samego Loranta. Z czasem wszystko rozplynęło się w mętnej symbolice: nikt już Loranta nie pytał, czy gra, czy umie, albo czy nie gra i dlaczego, golf i Lorant zrosli się w pojęcie psychologicznie niepodzielne, o którym się nie mówi, lecz którego obecność stanowi jeden z aksjomatów potoku rzeczywistości. — Antoni — powiedziała Teodozja — jak się nazywa ten dyrektor z handlu zagranicznego, co był dla nas tak miły? — Majewski — odparł Lorant. — O tego ci

chodzi? Jak się masz Andrzej. Cieszę się że cię widzę. — Za każdym razem, gdy Lorant mówił doń po imieniu, igiełki rozkoszy biegly Andrzejowi po kręgosłupie. — Słyszałem, że gnębią cię jakieś kłopoty? — Wyrażał się stylem umiędzynarodowionych dygnitarzy, którym życie płynie w samolotach transoceanicznych i kularach ONZ'etu: ten styl był bękartem dziewiętnastowiecznej powieści angielskiej o dobrotliwych lordach i wywiadów z gwiazdami filmowymi, ale powoli zdobywał cechy oryginalności. — Każą mi płacić cholernie wysokie cło — poskarżył się Andrzej. — Mój Boże — westchnął Lorant — kiedy to państwo stanie się samowystarczalne? Kiedy przestaniemy je utrzymywać?

Weszli Weronika i Larbiński: na Weronikę spojrzeli wszyscy, na zasadzie odruchu. Nie dlatego, że wyglądała ładnie, prosto od fryzjera, w kunsztownie zróżnicowanych odcieniach pasm blond włosów: w całej Polsce reagowano już tak na głowę Weroniki, jak tylko pojawiała się na ekranie telewizyjnym by zapowiedzieć audycję; dawało jej to sposobność do obłudnych narzekania na nadmiar popularności przy każdej okazji. Przez długie lata Weronika, osoba niebywale gadatliwa, zużywała bezmierne siły na przyciąganie uwagi ludzkiej, czyniła to nie oglądając się na wkład pracy i zdrowia, gdyż uwielbiała być ośrodkiem zainteresowania. Telewizja uczyniła z niej człowieka szczęśliwego. — Nowa para? — spytał Andrzej Teodozję. — Nic o tym oficjalnie nie wiadomo — powiedziała Teodozja.

— Wyobraźcie sobie — zaczęła Weronika — że Krystyna Derecka uczesała się na Polę Negri. Co wy na to? — To się nie przyjmie — zauważyła Elżbieta spokojnie. — Derecka musi być zawsze pierwsza — powiedziała Stollowa z pobłażliwością, która ją dużo kosztowała. — Wyobraźcie sobie — Weronika przyciągnęła ster rozmowy twardą dłonią — że Lumumbę aresztowali... A jednak! Właśnie wracam z telewizji. — W Afryce byliśmy zawsze krótko, prawda, kochanie? — powiedziała Teodozja do męża. — Dobrze byłoby tam pomieszkać. — Za gorąco — wypowiedział się Lorant oszczędnie i wieloznacznie. — Wyobraźcie sobie — funkcjonowała Weronika — że Mikołaj Plank kręci film. Opowiedz im, to zakrawa na skandal. — Fakt — przyznał Larbiński kwaśno: miał już zawsze taką minę za okularami, łyso kwaśną, jakby rozgryzł tabletkę salicylu; mówił cicho i chyłkiem, nie adresując wprost ani swych słów, ani swego głosu. — Plank stara się o powierzenie mu produkcji filmu. Sam napisał scenariusz, chce reżyserować i grać główną rolę. Niebawem zbiera się komisja w tej sprawie. Mamy to rozstrzygnąć. — Renesansowy człowiek — rzekł krytyk z przekąsem. — Jarmarczna postać — rzuciła Stollowa niechętnie. — Producent rozrywki dla szero-

kich mas i poszukiwacz taniego poklasku. — Zgadzam się z tobą, Melanio — rzekł tubalnie Hryniewicz. — Dziwi mnie, dlaczego człowiek tak utalentowany i miły i interesujący poświęca tyle wysiłku tworzeniu wartości wagonowych i do poduszki. — Elżbieta spojrzała na Andrzeja, jakby szukając czegoś w jego oczach. „Dlaczego oni go tak nienawidzą?“, zastanowił się Andrzej: stwierdzenie tego faktu bolało go, ale i cieszyło zarazem, rozpościerało w nim błogość bezpieczeństwa, potwierdzało słuszność jego życia. — Jaki jest ten scenariusz? — spytał. — Podobno oderwany od życia, bezideowy, amoralny — orzekła Weronika — a przy tym pełen taniej wulgarności. — A co pan o tym sądzi? — spytał Andrzej Larbińskiego. — Interesujący — odparł Larbiński cicho, kwaśno i w bok. — Ale wie pan... — Skrzywił się w sposób, z którego można było wnioskować, że jest cudownie, lub fatalnie, albo jak się komu podoba. Andrzej popatrzył na Weronikę; nikt nie zauważył tego spojrzenia, ale Weronika ugięła się pod nim: mieli ze sobą zadawnione porachunki i Weronika bała się Andrzeja. — Tak mówią w kołach miarodajnych — powiedziała niepewnie. — Że jest oderwany od życia. Ty, Andrzej, przyjaźnisz się z Mikołajem, więc wiesz, o co mają zawsze do niego pretensje. Wiesz zresztą, jak dobrze mu życzę... — „Wiem jak mu łamię życie“, pomyślał Andrzej, „takie małe, chamskie denuncjacje i plotki w prywatnych rozmowach. Tych, co mu dobrze życzą...“ Znał mechanikę lawin, grzebiących ambicje i przeznaczenia, których impulsem było zwielokrotnione echo towarzyskich konwersacji i życzliwych opinii, mielonych złowrogo przez uszmiłkowane wargi Weroniki; ale dziś Weronika była potęgą, więc nie należało jej mobilizować do akcji obronnej, wystarczy, że się go jeszcze boi, że czuje jego przewagę. — Przyjaźń to za wiele — uśmiechnął się ostrożnie. — Po prostu lubię go. — Koła miarodajne — powiedziała Stollowa zawzięcie — są dziś niekompetentne w wyrokowaniu, co jest oderwane od życia, a co nie. Nie im orzekać w jakiej mierze to, co robi Plank, jest kłamstwem lub szmirą. Sąd o tym, co nowatorskie i twórcze, należy do ludzi bez przesądów, niezależnych od kryteriów pozaartystycznych. I aczkolwiek *a priori* pewna jestem, że czynniki urzędowe nie mają racji, pewna jestem także, że Mikołaj Plank nie może stworzyć nic wartościowego. Jest on płaskim, płytkim profesjonalistą. — Pijak — powiedziała Teodozja z niesmakiem. — Właściwie tylko w tym kraju mówi się tak dużo i tak niepotrzebnie o nałogowym alkoholiku. W społeczeństwie naprawdę cywilizowanych tacy nie wkraczają do poważnych rozmów. Są, ale nie mówi się o nich. — Nie plwaj na ten kraj, Teodozjo — powiedział Hryniewicz. — Jest tu bardzo pięknie, ciche rżyska, ostre

i pachnące, wierzby nad krętą i błotnistą rzeczką... To daje spokój, warto dla tego żyć, a nawet godzić się z tym, lub owym... — Pan Plank jest w dechę! — wtrąciła Ewa. — Co za zwroty! — oburzyła się Stollowa, ale nie za bardzo: chętnie dawała do zrozumienia, że bawi ją kontakt z językiem żywym. — Wydawało mi się dotąd — powiedział młody człowiek, stojący pod ścianą — że każda inicjatywa, tępiona przez tak zwane kierownictwo partii i rządu, zasługuje na poparcie. — Był niski, czarny, tęczówki biegały mu szybko w różne strony: nie odzywał się dotąd dlatego chyba, że bez przerwy jadł parówki i popijał rozcieńczoną wódką. — Nihilizm, młodzieńcze, tak nie można — obruszył się Hryniewicz. — Wszystko w miarę. Nieumiarkowana krytyka rodzi prymitywne potworki. — Niemniej — uparł się facet — jak kto usiłuje *zawalczyć*, to należy go poprzeć. — Nie odpowiadam za głupstwa w polityce i potępiam je — oświadczyła Stollowa z godnością — ale dobrze wiem, kogo należy poprzeć w kulturze. To, że ktoś ma trudności nie kwalifikuje go jeszcze na mego protegowanego. Decydują pewne wartości, w obronie których występowałam całe życie. Plank nie ma żadnych społecznych zobowiązań i podczas gdy ja... to znaczy my występujemy w obronie jakichś zasad, on domaga się wyłącznie prawa głosu dla siebie. Mam o nim wyrobione zdanie i nikt mi nie zaknebluje ust! Nie znoszę nędznego oportunistów i schlebiana zarówno niewybrednym gustom, jak odgórnym zarządzeniom i dyletanckim dygnitarzom... — Brawo! — zawołała Teodozja. Stollowa odgięła się bardziej do tyłu, na policzkach miała ceglaste wypieki zaangażowania w słuszną sprawę. — To ja już sobie pójdę — powiedział niski facet. Pocałował Stollową niezręcznie w rękę. — Umówiłem się z kobietą — wyjaśnił rozpaczliwie, w ciszy konsternacji. — Zdolny poeta — orzekła Stollowa, gdy wyszedł. Lorant skrzywił wargi bez aprobaty. — Poeta-murarz — dodała Ewa wesoło. — Tak o sobie mówi. Bardzo zabawny. — Ta nowa poezja... — zaczęła rozłożysta blondynka, żona krytyka: dotąd nie objawiła żadnych cech życia wewnętrznego, poza kontyngentem potakiwań i uśmiechów; przepisywała na maszynie artykuły męża i pamiętała z nich całe zdania, toteż nagle postanowiła zaznaczyć się, teraz lub nigdy. — Wyobraźcie sobie — przerwała jej Weronika — że jest już nowy szef wydziału kultury Komitetu Centralnego Partii. Mianowany dziś rano. Głowę daję, że nie zgadniecie kto? — Kto? — spytała Teodozja bez uśmiechu: ta wiadomość dotyczyła wszystkich jednakowo dotkliwie. Weronika potoczyła spojrzeniem dokoła, z uznaniem: był to jej moment wieczoru, za chwilę ludzie ci będą świadkami wydarzenia — usłyszą najnowszą sensację bezpośrednio z jej ust. — Wyobraźcie

sobie — powiedziała, smakując koncentrację uwagi — że Lewinson. — Jakub Lewinson? — ucieszył się Hryniewicz. — Bardzo porządny człowiek. Znam go tysiąc lat. Tyle, że pryncypialny i uparty. — Szalenie ideowy — uśmiechnął się Lorant wąsko: mogło to znaczyć zarówno uznanie jak drwinę. — Tylko rzadko się myje. — Ten stary wrak — odęła się Stollowa. — Przecież jest ciężko chory na serce? — „Lewinson...”, Andrzej pomyślał nie bez troski i westchnął niezauważalnie dla nikogo. — Czy mogę cię prosić na chwilę — Lorant znalazł się naraz tuż za nim: powiedział to cicho i Andrzej odbił od grupy rozmawiającej. — Mój drogi — rzekł Lorant — w tych dniach przyjeżdża do Warszawy niejaki pan Greenleaf, Amerykanin, generalny dyrektor przedsiębiorstw „Trans World Traffics” i „Trans European Continental Mobiles”. Nie wiem, czy mówią ci coś te nazwy? — Bardzo wiele — rzekł Andrzej: skupił się natychmiast, jak nad widoczną z wysoka zdobyczą. — Pan Greenleaf — Lorant mówił niedbale, lecz grzecznie — będzie pertraktował w sprawie otwarcia filii w Warszawie. Sądzę, że powinieneś być pierwszym dziennikarzem, z którym zobaczy się w Polsce. Oczywiście — uśmiechnął się ujmująco — nie mówię o tych płótkach z pism codziennych, o reporterzynach od wywiadów w hotelowych hallach. Po prostu zjemy obiad w trójkę, jak tylko przyjedzie, dobrze? — Dziękuję ci — rzekł Andrzej i czekał, lecz Lorant nie już nie powiedział i wrócili na środek pokoju. „Czego on za to będzie chciał?” zastanowił się Andrzej. „Jaką postawi cenę? Za dyrektora Majewskiego, za pana Greenleaf’a? Jeszcze nie słyszałem, żeby Lorant załatwił coś komuś bezinteresownie, a nie w imię wymiany usług. Właśnie za to uważa się go za przyzwoitego człowieka, a nawet lubi...”

Elżbieta rozmawiała z Larbińskim, śmiejąc się ciepło i cicho. Ze sposobu, jakim bawiła się wiszącym na szyi łańcuszkiem od zegarka, doszły Andrzeja prastare sygnały. „Larbiński?”, pomyślał, „taka pluskwa?” Rozmawiający zbici byli wokoło w bezkształtną, zawieszistą pulpę. W ciasnym pomieszczeniu słowa odbijały się od obwieszonych obrazami ścian i więzły w kretonowych, wzorzystych zasłonach okien. Słyszać było: — Socjalizm!... Wolność słowa!... Prawdziwa sztuka!... Demokracja!... Kłamstwo!... Paryż!... Fałszywa poezja!... Włoskie obuwie!... Polski film!... Socjalizm!... — Co robimy z tak pięknie zaczętym wieczorem? — zagadnął go Larbiński. — Chodźmy do *Spatifu* — zaproponowała Elżbieta. — Jeszcze nie byliśmy tam po powrocie. — To grzech — rzekł Larbiński. — Albo niedopatrzienie. — Chodźmy — rzekł Andrzej.

Na ulicy Larbiński otworzył drzwi szerokiego w zadzie wozu marki Simca-Ariane. — Piękny — rzekł Andrzej niechętnie. — Jak pan go zdobył? — Wyobraźcie sobie, że kupił go niemal za bezcen — powiedziała Weronika — od jednego z tych dygnitarzy, co to stale kręcą się zagranicą. — Kupa blachy — powiedział Larbiński kwaśno — i po czterdziestu tysiącach kilometrów. — Pomniejszał namiętnie swe sukcesy i osiągnięcia; krył się w tym rodzaj zabobnego masochizmu, wymieszanego z instynktem samozachowawczym. Wierzył, że fałszywa skromność i tendencyjne wykrzywanie faktów są modlitwą o sukcesy następne.

Spatif był pełen i rozchybotany, jak wesoła i brzydka barka na falach podnieconego oceanu. Przy podejrzanym czystości stolikach goście, ubrani wieczorowo, lub w swetry, stare wiatrówki i bez krawatów, jedli źle przyrządzone potrawy, płucząc je strumieniami wódki. Ściany, zdobne w boazerię z szerokich, ciemnych listew, nosiły ślady odrapań i zacieków nad pięknymi świecznikami ze starego brązu. Facet w grubych okularach, mamroczący coś bez przerwy do siebie, grał „P'tite fleur”: powtarzał refren nieznośnie i ciągle znowu, trudno było się zorientować, czy ukochał tę melodię, czy nie umiał nic innego. Zeszłowieczna litografia z dagerotypu, prezentująca luminary warszawskiego teatru sprzed stu dziesięciu lat, wisiała krzywo nad fortepianem. Na bezładnie ustanowionej przestrzeni tańczyły pary, obrzucając się wzajemnie wymuszonymi czułościami i hałaśliwą serdecnością ludzi, przyzwyczajonych do pokazywania się w zamian za uznanie. W gestach ich i intonacjach unosił się też jakiś pogłos obronnego sceptycyzmu, daleki od komedianctwa, przeobrażający aktorstwo w walor nowy, powstały przez katalizę, a może tylko styk z rozszanymi tu gęsto łysymi głowami starych, mądrych Żydów, z załupieżonymi czaszkami męczących kabotynów o genialnych pomysłach i płaskimi fryzurkami młodych, namiętnych kombinatorów — wszystkich tych reżyserów i architektów, scenografów i autorów radiowych, tekściarzy kabaretowych i speców od filmowego montażu, socjologów, rzeźbiarzy, fachowców od telewizji, projektantów kostiumów teatralnych i artystów od rysunkowych dowcipów — pełnych jadu i marzeń i wiecznego niedosytu, który wyznacza ich drogę i ciężkie westchnienia. Głowy te, a wśród nich wysokie, utapirowane koki, skąpe czupryny i nawisłe kiście włosów — hebanowe, zjadliwie rude, niezdrowo fioletowe, lub z oksydowanej platyny — obracały się na zasadzie komórki światłoczułej: nowa twarz w wejściu więzła w grząskiej chwytliwości

natychmiast formułowanych opinii. Czar tego spięcia był niepowtarzalny: może tylko wbiegająca wśród huraganowej owacji na boisko ekipa piłkarska odczuwa takie upojenie, niepomna, że wynik meczu jest nie do przewidzenia.

Chwila statyczna w wejściu wyzwała obustronną rozkosz: oglądających i oglądanych. Ta konfiguracja stanowiła obfity łąp spojrzeń, detonator szeptów, piekących uwag, smakowitych komentarzy: wyprofilowana *up-to-date* jakość Elżbiety, reklamowa twarz Weroniki, ofensywna skromność Andrzeja, no i Larbiński — potentat filmowy, ogniskujący przymilne, lepiące apele aktorskich oczu. Spojrzenia wirowały wokół nich, naładowane podziwem, zawiścią, rozbawieniem i ciekawością.

Usiedli i Larbiński zamówił u kelnerki mnóstwo rzeczy, na które nikt nie miał ochoty. Weronika przesiadła się zaraz do innego stolika. — Wyobraź sobie... — jej głos niósł daleko: mówiła do nalanego szatyna w muszce pod hipopotamią szyją, gładząc go beztrzesko po opasłym udzie; facet był odległym wyobrażeniem o mężczyźnie, można sobie przy nim było pozwolić na ryzykowne ruchy rąk.

— Prowincjonalne sławy — rzekł Larbiński z pogardą. — Już prawie wszyscy jednakowo wyglądają.

— Nie ma Mikołaja — powiedziała Elżbieta. — Dziwne, nie?

— To zdolny gość — mruknął Larbiński. — Utalentowany. Marnuje się. Ten jego film może być rewelacją. — Pochylił się nad stolikiem i patrzył taksująco na Elżbietę, po czym rzekł nagle: — Wszystko do czego doszedłem, zawdzięczam ciężkiej pracy. Wszystko co mam, osiągnąłem za cenę niszczącego wysiłku, nieprzespanych nocy, użerania się z idiotami i nieokrzesanymi ćwierćinteligentami, którzy decydują spoza biurek.

— A pański talent? — spytała Elżbieta. — O którym głośno w świecie?

Rysy Larbińskiego złagodniały, znikła z nich kwaśna mizantropia, wygładziły się seraficznie, jak pod kojącą pieścizotą. — Mój talent — rzekł potulnie — jest źródłem klęsk. Właśnie za talent spotykają mnie krzywdy. Nic, prócz skaleczeń ze wszystkich stron.

„Czego ci brak, draniu?...”, pomyślał Andrzej. „Masz mnóstwo pieniędzy i kobiet, piękne mieszkanie, samochód, a nawet trochę sławy. O wiele więcej, niż ci się należy. Trafiliś zawód, w którym otrzymuje się sławę za nic, za frajer, za parę pomysłów, najczęściej kradzionych z cudzych filmów i książek...” — Nie jest pan wyjątkiem — powiedział z uprzejmą ironią.

— W naszym zawodzie jest najgorzej — poskarżył się mimo to Larbiński. — Okradają nas z naszych pomysłów i zarobków. Proszę sobie uświadomić jakie sumy w dewizach przynoszą moje

filmy. I co ja z tego mam? Niedawno odmówiono mi przydziału paru nędznych dolarów na przeprowadzenie kuracji zdrowotnej we Wiedniu. W ten sposób rodzi się krzywda i niesprawiedliwość w tym kraju.

— Co panu dolega? — zatroszczyła się Elżbieta.

— Nic na razie. Miała to być kuracja przeciwko starzeniu. Za zarobione przeze mnie pieniądze.

— Po co panu? — spytała Elżbieta zalotnie. — Taka kuracja?

— Wszyscy tam to robią — rzekł poważnie Larbiński. — Żeby dłużej cieszyć się życiem. — Popatrzał przeciągle na Elżbietę, głos mu zmatowiał, przycichł aż do szeptu. „Podobam mu się od dawna”, pomyślała Elżbieta rzeczowo, „i ciągle jeszcze. Aż skręca się, taką ma na mnie chęć”. — Kuracja geriatryczna — dodał Larbiński — jest po prostu oznaką przynależności do cywilizacyjnej czołówki, która ceni postęp i zdobycze wiedzy. Proszę mnie zrozumieć... — mówił teraz głośniej i przecierał nerwowo chustką usta — że wolę siedzieć z Brigitte Bardot w *Tour d'Argent*, niż tutaj... — Ze słów jego bił jakiś prymitywny smutek ludzi, którzy cokolwiek mają, chcą czegoś więcej i inaczej. — Marnujemy się — mówił. — Wszyscy. I pan i ja. Siedzimy w *Spatifie* zamiast w *Mirabelle* na Mayfair, albo gdzieś na Park Avenue. Nie, nie... — pochylił się żarliwie nad stolikiem — to nie sprowadza się tylko do wykwintu wewnątrz, homara zamiast śledzia w śmietanie i Pontiaca zamiast Syrenki... To jest klęska naszych możliwości, jałowość naszych wysiłków, marnowanie talentów! Jakaś piekielna bariera prowincjonalnej egzystencji, zawsze byliśmy ofiarami naszych parszywych odrębności. Jak patrzę na tych mydłków, których wypocone brednie filmuje się przy milionowych kosztach, których monstrualne zdjęcia na tle dopiero co kupionych zamków w Gaskonii wypełniają *Elle*, czy *Life*, to rzygać mi się chce! Przecież ja od nich więcej wiem, więcej umiem, więcej potrafię...

Andrzej bębnił palcami po blacie stolika. Pamiętał dobrze dzieła Larbińskiego o imperialistycznych szpiegach, lub anielskich inżynierach, trawiących życie na socjalistycznym uprzemysłowianiu: słyły zawsze w pustych kinach. „Może nie były dobre?”, pomyślał z uciechą. „Może nic nie potrafisz?” Wiedział dobrze, ile żmudnego znoju kosztowało Larbińskiego dokładne kamuflowanie służalczości, jaką nasycił wszystko: nie zużywał się w walce o swoje widzenie świata, lecz w potępieńczym trudzie ukrywania braku jakiegokolwiek wizji; udawało mu się to zresztą znakomicie, z czasem doszedł w technice kamuflażu do takiego mistrzostwa, że okrzyknięty został bojownikiem o niezależność sztuki.

— Ale jaka na chodzie, człowieku! I jak się umiała zachwyć męczyczną! Polka nigdy tak nie potrafi.

— Ty masz coś do zachwywania — przyznał Mikołaj.

— Wystarczy chęć — zapewnił żarliwie Kostkowski. — One nie lecą na forszę, cud gospodarczy mają na śniadanie. Chęć to wszystko.

„Chęć”, zamyślił się Mikołaj, „coś zaczyna się, gdy ktoś chce, żeby dwa kolory zestawiały się tak, a nie inaczej. Początkowo nikogo to nic nie obchodzi, lecz facet chce uparcie i z czasem cały świat o nim mówi, zaś jego naród stawia mu pomniki. Ktoś chce, żeby ludzie byli inni i od tego zaczyna się religia, ktoś chce żeby ludziom było lepiej i od tego zaczyna się historia, albo rewolucja, albo przynajmniej małżeństwo. Chcą, a potem coś im nie wychodzi i następują jatki...”

Kostkowski usuwał zapalką resztkę filetu śledziowego z zębów. — Jeszcze dwie wódki — powiedział do barmanki. — Gnoili cię? — zapytał.

— Tak sobie — rzekł Mikołaj.

„Na pewno gnoili go!”, myślał Kostkowski. „Włóczyli za włosy, tarzali w błocie i kopali po jajach! Tak dzieje się zawsze na komisjach i kolegiach, nie mogło być inaczej, zwłaszcza z nim, z Plankiem, tym bezczelnym gówniarzem...” Jakaś zła rekompensata płynęła mu wraz z wódką przez klatkę piersiową i paliła zamiast koić.

— A kto najgorzej.

— Larbiński.

— Co mówi?

— Różne brzydkie rzeczy. Wygłosił wzorowe przemówienie. Oskarżył mnie o niemoralność, antyludowość i błazeństwo.

Kostkowski westchnął ciężko. — Musi mordować konkurencję w zarodku — oświadczył. — Boi się ciebie. Przerastasz go o kilka pięter.

Mikołaj wypił: powoli wypełniały go myśli nieprecyzyjne, miękkie i dające się ugniatać, oblepiające kształty słów i rzeczy zamiast się z nimi zderzać. — Przedwczoraj — powiedział — piłem z nim wódkę w *Spatifie*. Rozpływał się nade mną i tym projektem. Felakowi oświadczył, że położy się trupem, ale go przeforsuje.

— Felak wrócił? — zainteresował się Kostkowski i zanotował coś na rogu wyjętej z kieszeni gazety. — Nick... — powiedział i wpatrzył się czujnie w Mikołaja — topią cię w gnojówce, na peryferiach Europy, i świat nigdy nie dowie się jaki ty jesteś naprawdę wspaniały. Tu jest prowincja. Ważne rzeczy robi się tylko na wschód, albo na zachód od nas.

— Prowincja — rzekł Mikołaj — to wymysł impotentów. Wszędzie można powiedzieć coś mądrego.

— E, tam — zwątpił Kostkowski. — Nikt cię tu nie rozumie, ani nie ceni. W Paryżu, czy Londynie już wiedzieliby, co w tobie siedzi. Larbiński winduje się na twoich kościach. Nie wierzysz? Czytaj... — Rozwinął *Warszawski Wieczór*: na pierwszej kolumnie, obok trzyszpaltówki o przekształcaniu Płocka w stolicę petrochemii, widniała mała fotka Larbińskiego, w ciemnych okularach i z fajką przy ustach; obok krótka informacja o wspólnej produkcji z Francuzami, którą w imieniu Polski organizuje znakomity i utalentowany filmowiec Lucjan Larbiński.

— Przecież on nie pali fajki — zauważył Mikołaj.

— Element fotogeniczny — wyjaśnił Kostkowski. — Ważne jest, że pojedzie w nagrodę za zgojenie ciebie. Za to dostanie paszport konsularny i ogromne fundusze, które pozwolą mu tam siedzieć bez ograniczeń i wydawać dewizy na hipochondrię.

Mikołaj uśmiechnął się: — Minęły czasy, kiedy ludzie robili kariery w ten sposób.

— Może minęły — Kostkowski uniósł wysoko brwi i wyciągnął w dół kąciki małych, wiśniowych ust. — Powiedział mi tylko, że jest człowiekiem zaufania tych, którzy decydują o filmie. Na zaufanie trzeba zasłużyć. Różnymi sposobami. Najlepsza, jeszcze ciągle, jest metoda na stróża. Łatwa i wypróbowana. Chcesz wiedzieć, co on zabiera ze sobą, ażeby pokazać Francuzom osiągnięcia i nowatorstwo w filmie polskim? Twoje krótkie metraże.

— Skąd o tym wiesz?

Kostkowski rozbabrywał widelcem sałatkę śledziową. — Ktoś musiał napisać tę notkę, nie? — rzekł pogodnie, z uśmiechem umazanego czekoladą malucha. — Tak, bracie — westchnął — przegrałeś z tą kanalią. Ale ty się nie ugniesz, co? Walcz, broń się...

— Pomóż mi — rzekł Mikołaj niedbale: jego jasne, zmrużone oczy opierały się lekko o twarz Kostkowskiego. Kostkowski nienawidził tego spojrzenia, lecz potrzebował go jak ciało najprostszych zabiegów higieny. — Dlaczego, na przykład, nie napisałeś co wiezie Larbiński dla Francuzów? Dlaczego opuściłeś ten sympatyczny szczegół?

— Larbiński powiedział: „Tylko niech pan o tym nie pisze, dobrze? Jak się w Polsce dowiedzą, Plank może mieć przykrości i ja też. Zazdrość i tak dalej, rozumie pan? A tak pokażę zagranicą jakiego mamy tu w Polsce wspaniałego faceta. Chcę mu pomóc, chociaż może nawet nie będę mógł ogłosić jego nazwiska”.

— Może nawet powie, że są jego? — zastanowił się Mikołaj.

— Ciekawe, jak daleko można posunąć taką grę? Nie chcę, żebyś mnie źle rozumiał Kostkowski, ale zwracam ci uwagę na fakt, że patrzysz na łajdactwo i nie przeciwdziałasz mu.

— O tobie nie napiszę nigdy — rzekł Kostkowski wesoło. — Ty jesteś trefny. Siulim! — uniósł kieliszek, wypił i rozkaszlał się, aż mu śliczne, zielonkawe oczy wyszły z orbit.

Mikołaj uderzył go parę razy mocno w plecy. — Lepiej? — spytał. — Właściwie powinienes się udusić, ty szmato, tak byłoby korzystniej dla ciebie i dla świata.

— Nick... — wyseplenił Kostkowski — czy to moja wina? Jak napiszę i tak nie wydrukują, a jak wydrukują, to ktoś zadzwoni przed ukazaniem się numeru, że po co o tobie? Nie, nie cenzura. Ktoś tam, nikt nigdy nie wie kto, jakiś znajomy ciotki sekretarza redakcji, który się orientuje co można, a co nie należy. I zdejmą. A ja dostałem etat, o, zapomniałem ci powiedzieć... W *Warszawskim Wieczorze*.

— Gratuluję — rzekł Mikołaj. — Właściwy człowiek na właściwym miejscu. — Nagle porwał go żal i gorycz. — Ty gnoju! — szepnął. — Czemu pakujesz łapy w kloakę? Dlaczego nie zabierzesz się do pisania o największym rurociągu naftowym w Europie, albo o wydobyciu siarki? — Ścisnął w dłoni gabardynowe klapy Kostkowskiego, lecz zaraz puścił, wstydząc się bezsensowności gniewu i buntu.

Kostkowski wygładził wyniośle marynarkę. — Ja piszę o ludziach — rzekł hardo — a nie o rurociągach. Już taki jestem... — Brzmiało to jak deklaracja niepodległości i tak właśnie wyglądało w oczach Kostkowskiego: dumny był z tego, albowiem starał się to robić już wtedy, gdy pisanie o rurociągach i kopalniach było jedynym obowiązkiem dziennikarza; w związku z czym uważał się za bojownika. Czuł śmieszność takich obwieszczeń, a jednocześnie męczyło go, że Mikołaj mówi o tym, o czym nikt nie odważa się wspomnieć w trwodze przed tyranią fasonu — mody na niewyrażanie najprostszycy potrzeb sumienia. — Nick — powiedział — trzeba żyć, prawda?

— Przecież nie z Larbińskiego? — rzekł Mikołaj drwiąco. „Ma mnie za zupełnego dęciaka...”, pomyślał Kostkowski. Nie mógł znieść, że ktoś nim gardzi, a jednocześnie ma go za frajera. Przytyki moralne, proszę bardzo, to nie odnosi się do niego, lecz do wszystkich bez wyjątku, ale politowanie... — Jak myślisz — rzekł zimno — ile jest warta ta zajawa dla takiego Larbińskiego?

— Nie powiesz, że odpala ci za to kafla... — uśmiechnął się Mikołaj.

Kostkowski poczerwieniał aż po gładkie czoło: zapędził się

zbyt daleko w pogoni za honorem, miłosierny uśmiech Mikołaja obnażał w nim durnia. — Ile jest wart ten krawat? — rzekł ze swobodą sztangisty walczącego o przedostatnie miejsce w turnieju: pokazał ładny krawat z fularu w żółto srebrne różki. — Z pięć dolarów nie? I drugi taki, to razem dycha. I krem do golenia Yardley'a, to ile? Patyk zbierze się lekko. Facet jeździ, nie tak jak ty, albo ja. Warto się poużerać, żeby tekst o nim szedł na pierwszej kolumnie, przy naradzie w sprawie inwestycji budowlanych i nowinach o reaktorze atomowym w Świerku...

Mikołaj odwrócił się i oparł wysuniętymi do tyłu łokciami o kontuar. Nie słuchał już Kostkowskiego, dlaczego miał rozważać swe parszywe klęski z tym śmieciem? Wokoło Polacy pili jarzębiak lub wódkę z wermutem i jedli obsmażane przy kości kotlety schabowe z frytami, zrazy zawijane z kaszą, sznycle cielęce z jajkiem unurzane w zawieszistej marchewce, lub kiełbasę z kapustą; wszystko o wiele za tłuste, gniotące wnętrzości jak nieodstępna troska, sycące ciężarem, a nie zaspokojeniem potrzeb; w zwałach układanego w żołądku pożywienia wódka drażyła małe, muliste jeziora, jak kratery wulkanów, bulgocące wzdęciami i napastliwą wesołością. Mikołaj patrzył na Polaków i łzawo, złe szczęście podchodziło mu do gardła: jakże umiał im przekazywać ich malutkie, melancholijne mądrości i karłowate prawdy za trzy grosze rosnące na skrawku zapomnianej ziemi między asfaltem a szynami tramwajowymi, jałowej i usianej wszelakim odpadkiem... I wiedział o tym, że umie, a także Polacy o tym wiedzieli. „Przez całe życie”, myślał z rezygnacją, „zbieram ogromną, niepotrzebną wiedzę o obuwiu, twarzach i butelkach od wody sodowej. Zbyt wielką i dogłębną, by ją przekazać komukolwiek, zapisać, lub ukazać”. — Przegrałeś, stary... — powtarzał Kostkowski z uporem, bez chęci poniżania, jakby szukając dla siebie udziału w cierpieniu, które nie jest wcale cierpieniem, lecz dolegliwością dnia powszedniego. Mikołaj nienawidził przegrywania, lecz przegrywając odkrywał swoją siłę. Uśmiechał się wtedy skąpo, odsłaniając foremne, trochę zniszczone paleniem zęby, odczuwał ciężar swych rąk, sposobnych do wszelkiej pracy, lecz zgnusiałych i wyklętych przez hierarchię potrzeb i doznań mózgowca. Przegrywając wiedział, że ma przed sobą odejście, które nie jest ucieczką, którego się nigdy nie bał ani nie wstydził, które na swój sposób ukochał i wymarzył, aczkolwiek odsuwane ciągle w pustą przestrzeń przyszłości stawało się coraz bardziej mitem i tęsknotą. Była to tęsknota za niekończącą się wędrówką przez wąwozy kamiennych miast, pośród świateł, neonów i pulsowania bezimiennych mas ludzkich. Nie być kolekcjonerem określonych kodeksem społecznym egzystencji, uciekać przed gromadzeniem

mieszkań, stanowisk, ładu zamierzeń, systematyki rozwoju i wznoszenia się w górę, samochodów i podróży na czyjś koszt! Wszystko, czego chciał, to pojawiać się na progu kawiarni, restauracji, kin, dancinów, bufetów, dworców, urzędów pocztowych — z rękami w kieszeniach taniego płaszcza — i być sobą, odczuwać w pełni miejską rozpacz i bezcelowość przemijania, beznadziejną walkę o odcisnięcie swego istnienia w cementowej plazmie świata. Smuciło go wtedy trochę, że Lukrecjusz, Byron i Rimbaud już nie znaczą dla jedzących tu parówki i pijących piwo, lub stojących w ogonku na film z Marylin Monroe, że cały wysiłek i doskonałość tych tam kiedyś nie warta jest zapachu benzyny, unoszącego się nad jezdnią, ani drobiny energii lamp jarzeniowych, siejących światło i wyzwalających jednakowe twarze z mroku. Radowało go przez chwilę, że bez grama żalu przychodzi mu rezygnacja z naśladowania Lukrecjusza, Byrona i ich zdobyczy, o których myślał kiedyś z piekącą zawiścią; że tak łatwo przychodzi mu zadowolić się ładnymi nogami kobiet, że wystarczy mu teraz zachwyty na widok ulepszonej polewaczki ulicznej, akt kupna pudełka papierosów lub moment odbierania filiżanki kawy z ekspresu. Gardził wtedy koniecznościami, miotającymi nim nad ranem po źle przespanej nocy, na które składały się: wiara w siebie i dręczące pożądanie błyszczących dokonań. Roztopiał się wtedy w szczęściu stwierdzenia, że pozostanie małym nikiem, jak ci wszyscy, i tak jest słusznie i wygodnie. „Tu jest moja ojczyzna...”, mówił sobie patrząc na ulice, mosty, połączone okaleczonych przez wojnę slumsów i hektary nowych pomieszczeń dla współczesnych, pszczelich przeznaczeń, „...zaś w ojczyźnie umiera się bezimiennie”. A mimo to pragnął iść, iść przed siebie, bez oznaczonego celu, wyłaniać się z coraz to nowych dworców i schodów metra, wprost na nowe gmachy, narożniki ulic i pełne neonów place, wędrować dokądś po coś, czego nigdy nie należy określać, bowiem konkretnie jest nieuchwytny, a spokój nie do odnalezienia. Zaś po to, aby iść, trzeba mieć paszport zagraniczny, rzecz nie do wyłowienia z morza urzędów, oraz porzucić Krystynę wraz z miłością i jej więzami z gumy, które dają się targać, ale nie zerwać.

Na ulicy dopadł go Kostkowski. — Nie wygłupiaj się — powiedział rozszalony. — Przecież rwałeś się do płacenia — powiedział Mikołaj — nie chciałem ci przeszkadzać. — Nie o to chodzi... — rzekł Kostkowski: nie potrafił sformułować urazy bez poniżających skamlań o wzajemność uczuć. Mikołaj szedł z rękami w kieszeniach, skulony, jakby mu było zimno. — Dokąd idziemy? — spytał Kostkowski. — Ja idę do Dziennikarzy — rzekł Mikołaj.

Lokal klubowy Stowarzyszenia Dziennikarzy cechowała po-

zorna ekskluzywność i pozorna elegancja: przy wejściu stał portier w czarnym garniturze i wpuszczał do środka każdego bez wyjątku. Hall był bogato upstrzony komunikatami na pluskiewkach; na sali restauracyjnej meble miały siedzenia przetarte aż do niesheblowanego drzewa, wysokie okna pozbawiono zasłon. Niemniej obecni zachowywali się jak w świeżo otwartych salonach Hotelu Claridge, panie unosiły filiżanki z kawą w dwóch palcach odginając do tyłu trzy pozostałe, panowie poprawiali co chwila perłowe krawaty i kolorowe kamizelki z Galluxu. Mikołaj usiadł przy stoliku i zamówił dużą wódkę, po czym Kostkowski przywłókł się z toalety: alkohol naruszył już go wyraźnie, w wymyty, gładki wygląd wkradła się asymetria. Mikołaj nie zwracał na niego uwagi, przechodził właśnie okres męczącej jasności myśli, którą spiłować mógł tylko żółciowy smak wódki.

— Leżysz, bracie — jęknął Kostkowski. — Dlaczego nic dla mnie nie zamówiłeś? Chodź, pójdziemy na tę rewię mody, poklepiemy je trochę po tyłkach. Prasie wszystko wolno. Dlaczego mnie tak traktujesz? Dlaczego nie dają mi tu herbaty?...

„Dlaczego?“, Mikołaj usiłował zrozumieć co uczynił Larbiński. „My, artyści — mówiła przedwczoraj kwaśno zacięta facjata Larbińskiego za zapotniałymi okularami — musimy się trzymać razem. Łączy nas święty sojusz przeciw tym zza biurów w K.C. i ministerstwach...“ Elżbieta uśmiechała się wytwornie i głupio, Andrzej potakiwał poważnie, choć nie słuchał, nic go to nie obchodziło, ale on, Mikołaj, czuł jak ogarnia go sympatia dla Larbińskiego, mimo, że zawsze uważał go za nudnego partacza i nadskakującego sługusa komunistów. „Pański scenariusz to rewelacja!“ — mówił Larbiński, zaś Mikołaj tonął w pochlebstwach, wymieszanych z wódką: nareszcie znalazł prawdziwego przyjaciela i doradcę, który go pojął i docenił. „On mnie rozumiał“, myślał uspokojony, „on wie, ile ten film dla mnie znaczy. Poprzez ten film dotrę do ludzi, którzy będą potrząsać mą ręką i wołać: 'Kochamy cię za to, co wiesz o nas!' ”...

— Najgorsze — powiedział Kostkowski — że jak coś zrobisz, to nie można o tym nie mówić. Oto, co doprowadza takich Larbińskich do ślepej pasji. Zadusiliby cię własnym szalikiem. A ty nie odróżniasz ich od prawdziwych przyjaciół, tych co chcą dobrze... Uciekasz od nich... — poskarżył się.

Kostkowski miał rację, głaszczącą próżność, lecz niebezpieczną. Tak było właśnie z jego filmem, o niesumiennym listonoszu. Ludzie pokładali się przez dziesięć minut ze śmiechu, gdyż był to nadprogram. Pierwsza odezwała się Dyrekcja Poczty: odpowiedzialni za łączność urzędnicy wskazali na fakt, że łatwo jest krytykować z zewnątrz, natomiast ci, którzy siedzą w środku,

wiedzą z jakimi trudnościami boryka się poczta przy braku sprzętu, instalacji i wykwalifikowanych pracowników. Rzeczywiście, listonosz Mikołaja dopuszczał się różnych przewierstw, wywołujących drastyczne powikłania, a także zaniedbywał obowiązki, lecz czynił to w imię miłości. To wywołało opryskliwą reakcję Związku Zawodowego Pocztovców, który wykazał, że Mikołaj pominął milczeniem znany fakt przeciwstawiania się przez pocztowców z bronią w ręku Hitlerowi. Ogólne warunki życia — dowodzili — wymagają pewnych wyrzeczeń i ciężkiej pracy, od której pocztowiec polski nie uchylał się nigdy, a co dopiero teraz, gdy wszystko jest własnością ludu, czego w tym filmie, pretendującym do miana filmu o poczcie, zupełnie nie ma. W międzyczasie przed kinem pojawiły się tłumy, a bilety można było dostać tylko u koników, czego na pewno nie spowodował główny film, nudna, austriacka opereta o walce cyganki z hrabią o dziewiczą cześć; tym bardziej, że zaraz po dodatku Mikołaja ludzie opuszczali masowo kino, ocierając łzy śmiechu. Natomiast pewien dygnitarz z Ministerstwa Kultury, wyłuszczył z przekąsem podczas telewizyjnego wywiadu, że gusta publiczności są nieodgadnione, że nie może dostrzec, co urzeka widzów w owym drobiazgu, a także, że jego ministerstwo uważa ten filmik za niesmaczny, zaś — co gorsze — wypaczający rzeczywistość albowiem, jak to łatwo zauważyć, został on nakręcony na zachodzie kraju, co daje nieprawdziwy obraz stosunków na Ziemiach Odzyskanych i może stanowić argument w niemieckiej hecy rewizjonistycznej i antypolskiej. Po czym dodał, że produkcja tego filmu jest efektem nieuwagi która się nie powtórzy. To wystarczyło, aby krytyka podlizująca się ministerstwu uderzyła w surmy alarmowych szyderstw. „Stoimy oko w oko z przejawem nowego terroru” — pisał jeden z miarodajnych krytyków, niejaki Nowara — „terroru pseudoludowej sztuki odpustowych gipsatur. Nie wolno nam tego bagatelizować!” Zupełną niespodzianką było zachowanie salonu pani Stoll: zazwyczaj wystarczył cień niechęci władz wobec kogoś, aby przemienić jego bywalców w drwiących Voltaire'ów, obłudnie gratulujących pokonanemu klęski. Sukces Mikołaja przyjęty tam został jednak z furią, wyzwiska i gromy miotano na wszystkich: na naród, na kierownictwo polityczne i na samego Mikołaja, zaś Hryniewicz napisał nawet mały esej (perełkę, jak mówiła pani Stoll), w którym stwierdził, że kultura polska nigdy nie będzie dumna z pana Planka i nie może się on zaliczać do jej współtwórców, tak jak... — tu wymienił dwa nazwiska reżyserów filmowych, jednego, który właśnie zakupił prawo sfilmowania jednej z jego nowel, i drugiego, który telefonował doń pijany po nocach, cytując fragmenty jego utworów i nazywając go warszaw-

skim Goethem. Wszyscy atakujący mieli wyrobione zdanie na temat filmu o niesumiennym listonoszu, nawet, gdy go nie oglądali, od ucha do ucha szeptano sobie jaki jest wulgarny, okropny, płytki, a nawet, że uwłacza socjalizmowi, co wymawiano sarkastycznie i z zadowoleniem, a także jako dobry dowcip. Ktoś przypomniał jak Mikołaj demonstrował przeciw szarzyźnie życia w początkach lat pięćdziesiątych przy pomocy kolorowych skarpetek w paski, ktoś inny podkreślił jego alkoholizm, a jeszcze ktoś dodał krótko: „Błazen...” i tak już zostało. Opinie niezależnego i opozycyjnego salonu pani Stoll przedostały się z dziwną łatwością do wiadomości zwalczanych władz kulturalnych i znalazły tam przychylny oddźwięk: Mikołajowi Plankowi nie powierzono już nigdy kręcenia żadnego filmu.

— Ciekawe, jak długo będziesz mnie jeszcze ignorował? — poskarżył się Kostkowski z urazą.

— Idzie Hojda — rzekł Mikołaj. — Będziesz miał towarzystwo.

— Można? — spytał Hojda, podchodząc. — Nie przeszkadzam wam? — Stał chwilę nad stolikiem, bardzo wysoki, szeroki w ramionach i wąski w biodrach, ubrany w same włoskie nabytki z ostatniej podróży.

— Nie, pomagasz — powiedział Mikołaj. — Głupie pytania, głupie odpowiedzi — dodał wyjaśniająco.

— Ty, Marek — spytał Hojda Kostkowskiego — kto to jest ta cizia? — Wskazał na stolik, przy którym siedziała samotna dziewczyna nad dużą kawą. Kostkowski zlokalizował spojrzenie z pewnym wysiłkiem. — Ta tam? — spytał, aby zyskać na czasie: nie mógł przyznać, że kogoś tu nie zna, lub nic o nim nie wie. — Ach, ta! — rozjaśniło mu się. — Taka mała kurwa, która trochę nie ma gdzie spać. Z tych, co to przyjeżdżają z Siedlec i z Rzeszowa w pogoni za karierą w filmie, lub na polu rozrywkowym. W szatni ma walizkę, a w niej zmianę majtek i pusty brulion na pamiętnik.

— Niezła — westchnął Hojda.

— Przygadaj ją — poradził Kostkowski. — Będziesz miał uciechy co nie miara. Ta jest nawet milucha. I wcale nie flejtuch, myje się. Bożena, czy Danka, już nie pamiętam.

— Ja tego nie robię — westchnął Hojda niechętnie; miał młodzieńczą, jasną twarz o zadartym nosie pod przykarbowaną falą płowych włosów, uśmiechał się życzliwie, z wymuszoną rezerwą.

— Idź po nią — rzekł Mikołaj do Kostkowskiego.

— Chcesz? — zdziwił się Kostkowski. — Naprawdę?

Wstał, poprawił się w marynarce i poszedł. Przez chwilę stał

nad stolikiem dziewczyny, po czym przysiadł się. Dziewczyna rozmawiała z nim obojętnie.

— Przytarga ją? — spytał Hojda.

— Na pewno — rzekł Mikołaj.

Dziewczyna wstała, wzięła z sąsiedniego krzesła torbę lotniczą, przewiesiła przez ramię i poszła za Kostkowskim.

— Panna Ilona — przedstawił Kostkowski. — Pan Mikołaj Plank. Pan Włodzimierz Hojda. — Wymawiał nazwiska z namaszczaniem, podkolorowanym wódką i snobistyczną przyjemnością.

— Mariola Prrrssska — przedstawiła się oględnie dziewczyna.

Kelner, którego dotąd przyzywano nadaremnie, znalazł się natychmiast. — Czym mogę służyć? — pochylił dostojną, szpakowatą głowę nad stolikiem i przełożył brudną serwetę na drugą stronę, po której była tak samo brudna. — Pół litra eksportowej, pomidory, pudełko sardynek, ser roquefort, woda mineralna — zadysponował Hojda.

— Phi! — gwizdnął Kostkowski. — Inwestycje?... Opamiętaj się, pomidory jeszcze inspektowe, po osiemdziesiąt zet kilo.

— Mam zamiar zjeść kolację — rzekł zimno Hojda. — Pani studiuje? — zwrócił się przymilnie do dziewczyny.

— Życie... — wtrącił Kostkowski.

— Miałam taki zamiar — odparła dziewczyna — ale nic z tego nie wyszło. Nie przyjęli mnie do szkoły dramatycznej.

— Musi pani strząsnąć z siebie gorycz porażki — rzekł Hojda z ujmującym uśmiechem. — Najlepiej przy pomocy najprostszyc radości.

Dziewczyna spojrzała na Hojdę jak na rzecz, na której się nieźle rozumie, taksująco, ze znawstwem. — Czemu nie — powiedziała. — Bardzo lubię tańczyć. Pan zdaje się pracuje w telewizji, nie? — spytała.

— Nie — odparł Hojda z krzywym uśmiechem. — Ale znam tam coś z sześciu dyrektorów. — Wydawało mu się, że Kostkowski dostatecznie wyraźnie wypowiedział jego nazwisko, aby nie było nieporozumień.

— Małpeczko — powiedział Kostkowski — to jest pan Hojda. Nigdy nie słyszałaś? Taki pisarz. Nie uczyłaś się o nim w szkole?

— Ależ oczywiście — rzekła przytomnie dziewczyna. — Pan Hojda. Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie chodziłam do szkoły? — obraziła się na Kostkowskiego.

— Nie ma o czym mówić — załagodził Hojda. Uprzejma skłonność do ustępstw leżała u podłoża jego kariery: dzięki niej

pasowany został w swoim czasie na czołowego intelektualistę, wszyscy przyznali mu głębię myśli i ujrzeni w nim reprezentanta twórczej rezygnacji. Po wojnie zerwał z Armią Krajową i zapatrzył się w nowe, rewolucyjne ideały całą mocą swej uczciwej, harcerskiej wyobraźni. Za Stalina, gdy wszelka wieść o istnieniu Akowców była w literaturze zakazana (wolno było ukazywać ich wyłącznie jako pomiot szatana z demonologii Hieronima Boscha) Hojda wpadł na pomysł dość prosty: napisał powieść o bardzo nikczemnym Akowcu, którego bolał wrzód na dwunastnicy. Rzecz jasna, nie wyjaśnił zbyt dokładnie, czy Akowiec popełnia swe bezceństwa na skutek ideologicznej wredności, czy podświadomych skrzywień psycho-somatycznych, wywoływanych permanentnym bólem brzucha. Mogło być tak, lub inaczej, pewne było to tylko, że Akowiec jest skończonym draniem. Ten nieskomplikowany chwyt zapewnił Hojdzie na długie lata sławę humanisty i artysty, którego pisarstwo szuka dogłębnej wiedzy o człowieku i nie cofa się przed żadnym tematem.

Kelner wrzucił na stół mnóstwo rzeczy i rozlał wódkę. — Za pani pracę w telewizji — powiedział Mikołaj i wypił. — Mam nadzieję — dodał — że pan Hojda uczyni wkrótce z pani gwiazdę szklanego ekranu.

— W telewizji już też próbowałam... — zwątpiła dziewczyna. Skrzywiła szczupłą, trójkątną twarz o krótkim, zgrabnym nosie i jasnych oczach pod sztucznie czarnymi brwiami i masą siwych włosów, farbowanych u taniego fryzjera. Nosiła ciemnoczerwone pończochy, zimową spódnicę i czarną bluzkę, dawno niepraną, szeroko wyciętą wokół szyi. Otworzyła torbę, wpoprzek której biegł napis „Stewardess-Airways”: kłębiły się w niej podarte rękawiczki, lignina, różne saszetki z brudną watą i kredkami do ust — i wyjęła z niej paczkę papierosów marki Winston. Poczęstowała wszystkich ruchem dystyngowanym, po czym wstała, powiedziała: — Przepraszam... — i poszła do toalety.

— Aleś zadziałał... — rzekł Kostkowski do Hojdy. — Przecież możesz się z nią zdrzemnąć bez sardynek i pomidorów w kwietniu.

— Nie martw się — uśmiechnął się szeroko Hojda. — Jesteś dziś moim gościem.

Dziewczyna wróciła z toalety w nylonach zamiast czerwonych pończoch. Twarz miała poprawioną, powieki mocno wytuszowane, ręce czyste. Usiadła i wzięła się poważnie do jedzenia.

— Słyszałem, że cię dziś topili — rzekł Hojda do Mikołaja.

— Fakt — przyznał Mikołaj.

— Coś tam napisał, że ich tak rozwścieczyło?

— Czy ja wiem? — zastanowił się Mikołaj. — Chyba prawdę.

— Cóż jest prawda? — rzekł Hojda.

— Już gdzieś to słyszałem — powiedział Kostkowski.

— Napisałem jak jest śmiesznie, kiedy dwoje ludzi chce się ze sobą przespać i nie mogą — wyjaśnił Mikołaj.

— Co im zawadza? — spytał Kostkowski. — Konwenans? Moralność? Strach?

— Świat — odparł Mikołaj. — Malutkie potrzeby innych ludzi. A także windy, ogłoszenia matrymonialne i kosmetyka.

Dziewczyna przestała jeść i wpatrzyła się w niego. — Ja pana rozumiem — powiedziała.

— Czy to moja wina, że tak jest? — zastrzegł się Mikołaj.

— Nawet wszyscy przyznali mi rację, że tak jest. — Poczul chęć mówienia do dziewczyny, sprawiało mu przyjemność, że mówi i że ona go słucha.

— Zawsze marzyłam o tym, żeby pana poznać — rzekła dziewczyna. — Jak powiem różnym facetom i facetkom, że z panem siedziałam u Dziennikarzy, to zatłuką mnie z zazdrości. — Nie widziała już przy stoliku nikogo poza Mikołajem.

Mikołaj wstał, powiedział: — Przepraszam... — i poszedł do toalety. Wychodząc z niej ominął wejście na salę. W hallu, przy wyjściu, stał Kostkowski już w płaszczu. — He, he — zaśmiał się z zadowoleniem — znam cię jak swoją prawą nogę. Wiedziałem, że tak zrobisz. — Przecież nie zostawisz mu tej dziewczyny — rzekł Mikołaj. — A cóż ona mnie obchodzi? — wzruszył ramionami Kostkowski. — Co ja mogę mieć wspólnego z tym towarem? Niepewny element nie przekracza progu mych apartamentów, zarezerwowanych dla pań z towarzystwa i gwiazd ekranu. Nie zostawiaj mnie samego. Nick... — poprosił bezradnie. — Idę do Krystyny — powiedział Mikołaj. — Dosyć na dzisiaj. — Pójdę z tobą — łasił się Kostkowski. — Kupimy w nocnych Delikatesach butelkę wina. Krystyna ucieszy się. — Ma dużo roboty — rzekł Mikołaj. — Nie jestem pewien, czy się ucieszy. — Wiem, wiem — rzekł Kostkowski — robi scenografię do „Otella”. Podobno rewelacyjną. Zrobię z nią wywiad do *Kobiety i Życia*. Właśnie zamówili u mnie coś takiego... — Wyciągnął świstek papieru z kieszeni i zaczął coś szybko notować. Mikołaj nastawił kołnierz wiatrówki i wyszedł. Na ulicy dogonił go Kostkowski. Szli milcząc, na rogu Nowego Światu Mikołaj przystanął. — Kochany — powiedział — odpalantuj się ode mnie, dobrze? — Dobrze — rzekł Kostkowski potulnie. — Idę na tę rewię mody. — Mikołaj odwrócił się bez słowa i poszedł w stronę Placu Trzech Krzyży.

Na Placu Trzech Krzyży przewrócił się pijak. Mikołaj szedł za nim od paru minut i nawet dość mu się ten pijak podobał. Deszcz przestał siąpić, ulice były wilgotne, niby wymyte. Pijak leżał przez chwilę spokojnie, z twarzą pomiędzy rozłożonymi ramionami, odnalazłszy cichą przystań na bruku. Po czym zabrał się do wstawania, lecz nie mógł przewyciężyć poślizgu gumowych podeszew, zrezygnował więc na razie z tego przedsięwzięcia i usiłował coś zaśpiewać, chcąc pieśnią wyrównać klęskę fizycznej niemocy. Przechodnie mijali go obojętnie, lub bojaźliwie, na nikim nie czyniło wrażenia, że człowiek szoruje nosem po trotuarze, a jeśli nawet ktoś z przechodzących odczuwał to jako zakłócenie norm współżycia, albo zachwianie stosunku człowieka z naturą, to długoletni staż społecznych pojęć bezsensu paraliżował chęć interwencji. Trzy małe dziewczynki kibicowały wiernie drodze krzyżowej pijaka: ich zaangażowanie cechowała zdrowa emocja, śmiały się serdecznie, lub wykrzykiwały zgodnym chórem: Oooo! — gdy pijak inaugurował nową akcję bezładnych, rozpaczliwych ruchów kończyn. Mikołaj pochylił się nad pijakiem: wiedział doskonale co będzie dalej, lecz nie mógł tego nie uczynić. Czuł się odpowiedzialny za tego tu, drugiego człowieka, gnoja cuchnącego wymiotami, którego najchętniej skopałby po brzuchu za udręki swoje, jego i wszystkich ludzi, skazanych na siebie wzajemnie. Uniósł go za ramiona i powiedział: — No, kolego, raz i do góry... — Pijak spojrział rozpląniętymi w dziwacznych światach oczami: na zmierzwionych, młodych włosach wciśniętą miał czapkę szofera autobusów miejskich z pękniętym, lakierowanym daszkiem. Objął kark Mikołaja grubym, niemrawym ramieniem, unurzany w błocie, i dźwignął się: na twarz wpłynęła mu miłość nagle i wszechmocna. — Ty... — zabełkotał — ty jesteś klawy! Kochany... ty... koleś... człowiek... obywatel... ty jesteś cudny! — Dobra, dobra — powiedział Mikołaj — montuj się, bracie, nie spędzisz przecież reszty życia na tym cholernym trotuarze. Żeby chociaż jakiś trawniczek, co? — Pijak stał już na nogach. — Maniek... Jurek... takie bladzie... — skarżył się mozolnie. — Ale człowiek zawsze znajdzie człowieka, nie?... — Śmierdział dość potężnie wyrzyganą gdzieś na szlaku zagrychą. — Powiedz, nie jest tak?... — pochylił się niebezpiecznie ku Mikołajowi i objął go oburącz za szyję. — No, koleś... — uwolnił się łagodnie Mikołaj — już jesteś dobry. Teraz poprujesz spokojnie do kochającej żony i jasnowłosych dzieci. Mam nadzieję, że nie trzeba ci kompasu? — Nie — odparł zgodnie pijak. — Skąd wiesz, że

mam żonę?... — Mikołaj przystawił go dla pewności do ściany domu i rzekł: — Cześć. Trzymaj się. — Nie... — pijak potrząsnął głową długo i z uporem. — Teraz pójdziemy na wódkę. Ty i ja... — Kochany, muszę iść — uśmiechnął się Mikołaj. — Nigdzie nie musisz — zaparł się pijak. — Musisz ze mną się napić. Może ci nie wypada, bo ja taki?... — Zaciągał tam i z powrotem eklerę wytyłanej, skórzanej kurtki, dbając gorączkowo o elegancję. — Tu jest jeden barek... — rzekł tonem poufnym. — Nie możesz mi odmówić... — Odpada — rzekł Mikołaj i odwrócił się, lecz nie postąpił kroku: twardy uchwyt przytrzymał go brutalnie w miejscu. — Obrazasz mnie śmiertelnie... — język pijaka potykał się na sylabach: jego ciemne, rozmiękłe spojrzenie zbiegło się naraz kłująco w jednym punkcie nad czarnym, polskim wąsikiem. — Może myślisz, że nie mogłem sam wstać?... Że jestem taka ściera, zbierana z rynsztoka... No powiedz? Nie możesz tak mnie poniżyć! Dyrektor, kurwa go mać, pić mu ze mną nie wypada! — Krzyczał już na całą ulicę, trzymając kurczowo Mikołaja za klapy. Przechodnie obchodzili coraz szerszym kołem ich wstrętne, pijackie rozliczenia, które przemieniają się zaraz w bójkę. — Dobrze — powiedział Mikołaj z rezygnacją — mogę wypić kielicha...

Pijak oparł na nim rozrośnięte, bierne ciało i tak wtoczyli się do baru *Godto*, trzecia kategoria. Usiedli przy stoliku oblepionym mokrą, papierową serwetą, pośród zasłony dymnej z tytoniu. Wokoło było niewielu Polaków: opierali się głowami o siebie i szeptali coś nad kuflami piwa, rozpraszając zamroczenie krótkimi okrzykami: — Osk!... — oznaczającymi na przemian zachwyt i grozę. — Ty się nie nawalaj — rzekł pijak — ja mam dziadźki. — Wyjął z kieszeni plik nowiutkich pięćdziesięciotówek z wypłaty. Podszedł bardzo niski i bardzo gruby młody facet w kelnerskiej kurtce z odwiniętymi rękawami: przedramiona miały grubość uda, nad tonącą w fałdach i podbródkach, różową, obojętną twarzą wznosił się wybrylantynowany pukiel. — Pół litra i piwo — zażądał pijak. — Może jesteś głodny, kochany? — pochylił się czule ku Mikołajowi. — Jak ty się nazywasz? — Mikołaj. — Jak ten święty? — Zupełnie tak samo. — Genialne! A ja Edward. — Jak ten król — rzekł Mikołaj. — Jaki król? — spytał pijak. — Angielski — odparł Mikołaj i zaśpiewał: — „Nad brzegiem morza stał Edward ósmy, liście akacji obrywał, przybądź, ach przybądź, ty moja Simpson, tak swoją Simpson przyzywał...” — Genialne! — ucieszył się pijak. — Co to jest Simpson? — Za dużo by o tym mówić — westchnął Mikołaj. — Robię przy autobusach — poinformował go pijak — na Inflanckiej. Specjalność wtryskiwacze. I żonę mam w

dechę. Blondynka, duża rzecz! Pracuje w Cedecie. Jak coś przychodzi z importu, ponimajesz, to lepiej kogoś znać, od razu się znajdzie. A ja jestem członek rady zakładowej. Może potrzebna ci robota? Ty gdzie tyrasz? — Kręcę się — zwierzył się niejasno Mikołaj. — Ty jesteś nauczyciel — orzekł pijak. — Jak cię widzę... Chromołą, ale jesteś nauczyciel, żebym tak skonał... Zgadłem? — Zgadłeś — rzekł Mikołaj. Niski gruby przyniósł wódkę. — Płatne z góry — powiedział. Pijak zapłacił i dał pięćdziesiąt złotych napiwku. — Napij się z nami — dodał. Kelner przyniósł sobie angelkę, nalał i wypił. — On jest nauczyciel — powiedział pijak — i genialnie śpiewa. — Kelner poszedł, Mikołaj wyjął z kieszeni małą, pięknie oprawną książeczkę. — Co to jest? — zapytał pijak i objął go tklawie za szyję. — Do nabożeństwa? Czy metryka ślubu? — Paul Valéry — odparł Mikołaj. — No to co? — rzekł pijak. — Mogę ci coś przeczytać? — spytał Mikołaj. — Mowa... — rzekł pijak z objawami senności w głosie.

„My, cywilizacje — zaczął Mikołaj — jesteśmy śmiertelne. Zapadły się cesarstwa... zeszyły w niezbadaną głęb wieków, wraz z ich bogami i ich prawami, z ich akademiami i słownikami, z ich klasykami, romantykami i symbolistami, z ich krytykami i krytykami ich krytyków. Niniwa i Babilon to były piękne, obce imiona, całkowita ich ruina znaczyła dla nas tak mało, jak ich istnienie. Dziś widzimy, że przepaść historii jest dość głęboka by pochłoniąć cały świat. Cywilizacja jest tak samo krucha, jak życie. Okoliczności, które kazatyby dziełom Keats'a i Baudelaire'a dzielić los dzieł Menandra nie są już nie do pojęcia: czytamy o nich w gazetach...”

Pijak spał, z głową w mokrym papierze. Mikołaj zsunął mu czapkę na oczy, żeby go nie raziło światło i wstał. Pijak ocknął się. — Ty skurwysynu — powiedział — oddaj forszę! — Wyszarpnęła książeczkę z rąk Mikołaja i rzucił na zdeptaną piwną mazią podłogę. Mikołaj schylił się i zaraz poczuł kopnięcie w nerki, silne lecz mało precyzyjne. Zwinął się, uniknął następnego ciosu, po czym uderzył ze skłonu, szybko dwa razy: raz w korpus i poprawił w szczękę; ledwie zdążył podnieść książkę, gdy poczuł, że unosi się w powietrzu, przebywa wywalone nogą drzwi i ląduje, zataczając się na ulicy. W drzwiach otrzepywał bez słowa ręce niski, gruby kelner. Obok, na żelaznej żaluzji sąsiedniego sklepu, zwiślał pijak i płakał donośnie.

Mikołaj poprawił wiatrówkę i powlókł się przez pusty plac. Odczuwał znów głód alkoholu, żal mu było niewypitej w barze wódki. „Gdzie są prześladowcy?”, myślał leniwie, przecinając Aleje Jerozolimskie. „Na kolegium filmowym? W redakcji Kost-

kowskiego? W barze *Gołto*? W tym białym gmachu? W salonie pani Stoll?" i tak doszedł do *Bristolu*.

Dobijał się do okratowanych drzwi, portier w końcu otworzył, lecz nie chciał go wpuścić. — Czegój tak walicie? — ofuknął go. — Bez kapoty nie wolno. — Miał na myśli marynarkę i napierał pękatą kupą swych chłopskich kości i mięśni na Mikołaja, wypychając go za próg. — No, gospodarzu, nastąp się — rozległ się równy, nieco sepleniący głos za Mikołajem i długa, chuda ręka odsunęła wielkopańskim gestem portiera-wieśniaka. — Nie widzisz, kto idzie, ciubaryku! — krzyknął szatniarz z góry wyłożonych czerwonym dywanem schodów. W rozczłononych prosięcą zaciekłością oczkach portiera odbiła się idiotyczna bezradność. — Jeden gada to, drugi tamto... — machnął ręką i splunął za drzwi, na przewrotne subtelności życia w wielkim mieście. — Moje uszanowanie dla pana hrabiego — rzekł półgłosem szatniarz, gdy weszli na schody. — Ale ten pan jest w stroju nieco... hmm... nieodpowiednim... — wskazał grzecznie na Mikołaja. — Ten pan jest wnukiem marszałka Piłsudskiego — rzekł wysoki mężczyzna o długawym nosie w zmiętej, przystojnej twarzy. — W związku z tym ma kaprysy. — To co innego — zgodził się szatniarz, inkasując dwadzieścia złotych. — Pan też jest wnukiem marszałka — uzupełnił wysoki pan. — Wszyscy jesteśmy wnukami. Ten ponury satrapa wymagał od społeczeństwa, aby go nazywało dziadkiem. — Byli tacy co wymagali panie hrabio — wypowiedział się enigmatycznie szatniarz.

— Biegasz tu za hrabiem? — spytał Mikołaj z uznaniem. — Mój drogi — rzekł wysoki pan — mam niekwestionowane pochodzenie szlacheckie, a że lud, zbuntowany przez komunistów i zdezorientowany drobnymi napiwkami, posługuje się dziś nieprawidłowo tytułami, to już nie moja wina. Jeśli zechcesz wypić ze mną, przyjdź do baru. Baw się dobrze.

Mikołaj zajrzał na salę, gdzie Polacy o mało skodyfikowanych dochodach, lub wsparci polityką bodźców ekonomicznych, odziani w koszule *non iron* ze spółdzielni imienia Fryderyka Engelsa i w wiedeńską konfekcję ze sklepów komisowych, tańczyli wdzięcznie w takt melodii „How high the moon”, wykonywanej na złotych saksofonach czeskiej produkcji. Po czym poszedł do obszernego cocktail-baru, spowitego w wzorzyste szmaty, o ścianach pokrytych strzępiastym deseniem. Trzy szeregi dobrze ubranych ludzi różnego wieku i płci stało tu w postawach swobodnych i piło wiśniaki, śliwowice, starki, koniaki i likiery; nieliczni siedzieli na wysokich krzeselkach, jedli zimne fryty i pili sok grapefruitowy; wszyscy współżyli na zasadzie ciasnoty i wzajemnego przylegania do siebie; cudzoziemcy — kupcy, dzienni-

już pójdę — powiedział, usiłując zapalić w sobie współczucie dla swojej doli.

Za nim siedziała Krystyna, bez słowa; już przed laty wyciekły z niej wyrzuty i rozczarowania. Znała swe przeznaczenie aż do końca, rozbite na atomy dociekań, podczas pustych rozmyślań nocnych. „Za chwilę”, pomyślała, „nastąpi jałmużna...” — Ach, jakie to śliczne! — rzekł Mikołaj, pochylając się nad rajzbretem: wytrawnym okiem rozeznawał urok i perfekcję pośród gmatwaniny kresek i linii na kalce; w głosie jego dźwięczała szczery podziw. — Podobają ci się? — orzechowe oczy Krystyny pojaśniały chłodną wdzięcznością. — Fantastyczne — potwierdził Mikołaj serdecznie; cieszył się swą szczerością i złudzeniem, że sprawia jej radość. — No, idę... — dodał, przełamując skrzepowanie.

Zszedł na dół, pokręcił się jeszcze parę minut po pustym Nowym Świecie, po czym wrócił na górę. Zadysponował sobie kąpiel i postanowił rozpocząć nowe życie.

4.

„Po co on mi to wszystko mówi?”, myślała Elżbieta zimno. Uśmiechała się do Larbińskiego dziecięco i bezwolnie: ponieważ pragnął odnaleźć w niej zainteresowanie tym co mówił w oczach Elżbiety tliła się ekscytacja. Larbiński mówił o kobietach i gładził nieznacznie rękę Elżbiety. Kobiety, jego zdaniem, są niewiele warte i każdą można mieć. Jest to tylko kwestia ceny. Nie, nie należy tego rozumieć wulgarnie, nie chodzi o pieniądze, lecz o inwestycję. Inwestuje się zależnie od potrzeby: gwałtowność, miłość, brutalność, cichą adorację, namiętność, lub pierwszy szczebel kariery. Z ostatnim jest najłatwiej, zwłaszcza jemu. Zależnie od warunków kształtuje się rozmiar danej inwestycji, czyli cena. Czasem zresztą wystarczy magia newralgicznego punktu w jakim życie umieściło reflektanta, na przykład domy mody, lub film. Te dziedziny z natury rzeczy kanalizuje obłędny przepływ świadczeń płciowych i on, Larbiński, może właściwie mieć w łóżku niemal każdą dziewczynę w tym kraju. Poprawiał przy tym nerwowo okulary w czarnej oprawie wskazującym palcem nad nosem i krzywił kwaśno usta. „Dziwne zatem”, zastanowiła się Elżbieta, „że rzuciła go żona z jakimś czarującym wrakiem... Dlaczego? Co on ma mi do zaproponowania? Dlaczego mnie tu przyprowadził?” Kawiarnia leżała w centrum miasta, zaludniali ją przypudrowani po goleniu mężczyźni w ponad średnim wieku, w nie-

modnych garniturach z drogich materiałów i obuwia szytym na miarę przez ich własne warsztaty szewskie; żony tych rzemieślników-światowców unosiły do ust filiżanki kawy palcami grubymi, lśniącymi od brylantów i lakieru do paznokci. Gdzieniedzie dyszał zmęczony Warszawą działacz ekonomiczny z prowincji, lub klócili się nerwowi, szpakowaci faceci, odziani z wykwintem żigolaków z lat dwudziestych: kombinowali na własny rachunek imprezy estradowe w imieniu państwowego przedsiębiorstwa, któremu wydaje się, że monopolizuje przemysł rozrywkowy. „Niektórzy uważają”, myślał Larbiński, patrząc na Elżbietę, „że przepysia się z każdym. Świadczyłby o tym sposób, w jaki traktuje tego nadętego kombinatora, swego męża. Czego ona chce? Patrzy na mnie tak, jakby za chwilę miała zdjąć pasek od pończoch na środku kawiarni...” Elżbieta słuchała uważnie, jej miękkie, wesołe oczy nad wypukłymi szczytami policzków wyrażały zupełne zrozumienie wszelkich analiz, stwierdzeń, tez. „Niech powie coś!”, męczył się Larbiński. „Niech powie cokolwiek, co wiąże się z tym o czym do niej mówię! Musimy się jakoś dogadać...” — Ach — powiedziała Elżbieta — tak źle wyszło z filmem Mikołaja. — Robiłem co mogłem — mruknął Larbiński — ale mnie przegłosowano. Dlaczego Plank nie fabrykuje tych swoich wesołych kawałków, tylko bierze się za rzeczy poważne? Elżbieta — zmienił ton głosu — pani jest inna... To między nami nie może się tak rozwiać... Ja wiem, pani mąż... — Co między nami? — zastanowiła się Elżbieta. — I co ma z tym mój mąż wspólnego? — Tak bardzo potrzebuję przyjaciółki — szepnęła Larbiński — to jest, chciałem powiedzieć, przyjaciela, przed którym mógłbym wyjąć i położyć to, co we mnie najlepsze, najcenniejsze... — Czy sądzi pan, że ja mogłabym być takim przyjacielem? — ucieszyła się Elżbieta. — Na pewno — powiedział z żarliwym przekonaniem. — Bo niektórzy mnie źle widzą — zamyśliła się Elżbieta. — Wie pan, warszawskie plotki, ludzie sądzą z pozorów. Tymczasem ja nie zdradzam mego męża. Po cóż miałabym to czynić? — „Mówi prawdę!”, pomyślał Larbiński. „Wierzę jej”. Poczul nikłe niezadowolenie i mnóstwo ulgi, która go zaskoczyła. Elżbieta uśmiechnęła się ulegle i powiedziała: — Porozmawiamy po pańskim powrocie z Paryża. Wypijemy coś dobrego, co pan przywiezie. Najlepiej butelkę sherry. — Gdzie? — spytał szybko Larbiński. — U pana, oczywiście — zapewniła go Elżbieta. — O, już po dwunastej. Proszę mnie zawieźć do handlu zagranicznego. Mam tam ważną sprawę.

Wysiadła na Wiejskiej. Larbiński wychylił się z auta i długo trzymał jej dłoń w dłoni. Po czym patrzył jeszcze chwilę na wysoki portal ministerstwa, w którym znikła, drobna i smukła. Na

twarzą jego umiejscowił się dziwny skurcz, o którym on tylko wiedział, że stanowi uśmiech, pełen zadowolenia i życzliwości dla całego świata.

Dyrektor Majewski urzędował w ciasnym gabinecie, obwieszonym wykresami krzywej eksportowej. Pocałował Elżbietę z namaszczeniem w rękę. — Może kawy? — zaproponował; posadził ją przy okrągłym stole konferencyjnym, naprzeciw zamczystego biurka, i usiadł tuż obok, odpieczętowując gorliwie pudełko papierosów Wawel. — Czym mogę pani służyć? — uśmiechnął się zażywnie.

— Zwracam się o pomoc do pana dyrektora — powiedziała Elżbieta cicho, z wysiłkiem znamionującym wewnętrzną walkę zażenowania z koniecznością; wzrok jej błędził po twarzy dyrektora w poszukiwaniu nie wiadomo czego.

Zupełnie nieokreślone uczucie zawładnęło dyrektorem tak mocno, że poprawił krawat w kołnierzyku tuzinkowej koszuli z Pedetu; przeklął siebie, że dziś właśnie nie włożył nowego krawata otrzymanego przedwczoraj w darze od przedstawiciela ministerstwa w Hawanie. — Czym mogę pani służyć? — potwórzył z roztargnieniem.

— Mam opłacić coś za przedmiot nabyty zagranicą. Przedmiot codziennego użytku, niezbędny dla pracy zarobkowej mego męża.

— Opłata celna? — dyrektor poprawił ostrość spojrzenia.

— Za co, jeśli można wiedzieć?

— Samochód.

— Używany?

— Nowy — szepnęła Elżbieta: na twarzy jej odbiło się zmaganie pomiędzy imperatywem materialnych kłopotów, a wstydem nieśmiałej petentki.

Blondynowatą twarz dyrektora ozdobił fachowy uśmiech. „Co za wspaniała kobieta!”, pomyślał z uznaniem. „A jak bierze się do rzeczy...” — Proszę bardzo — powiedział uprzejmie. — Nie widzę przeszkód. To tylko kwestia wypełnienia odpowiednich formularzy i wpłaty na odpowiednie konto. W czym mógłbym pomóc? Może, jeśli pani pozwoli — sięgnął po telefon — każę sekretarce przynieść blankiety?

— Pragnęłabym, panie dyrektorze, anulowania opłaty — powiedziała Elżbieta i spojrzała mu prosto w oczy, poważnie i przeciągle.

Dopiero teraz zrobiło mu się naprawdę gorąco i radośnie. „No, to wal, stary...”, pomyślał z entuzjazmem. „Może być cudnie!...” Zapalił wolno Wawela i powiedział: — Szanowna pani, o anulowaniu decyduje wyłącznie minister. Zniżek udzielamy tylko inwalidom, lekarzom, weterynarzom, pracownikom agrotech-

nicznym w terenie, oraz ciężko pracującym członkom związków zawodowych, i to najwyżej do pięćdziesięciu procent sumy. Tak to wygląda od strony przepisów.

— A od innej strony? — uśmiechnęła się Elżbieta z nagłą poufałością.

Dyrektor chrząknął i uśmiechnął się również. — Nie ma innej strony w tych sprawach — powiedział.

— Mój mąż ciężko pracuje — spoważniała Elżbieta.

— O ile wiem — rzekł dyrektor uprzejmie — mąż pani należy do najlepiej uposażonych ludzi w Polsce.

Przez chwilę Elżbieta wpatrywała się w dyrektora tak, jakby się chciała rozpłakać. I milczała. Milczenie przeciągało się, dyrektor tarł dłonią podbródek. Spojrzenie Elżbiety miękło coraz bardziej wypełniała je smutna rezygnacja. Dyrektor wahał się długo i beznadziejnie, zaczerwienił się i rzekł wreszcie: — Trudno mi to tak teraz rozstrzygnąć... Zagadnienie złożone, zawile... Chciałbym pani pomóc, pójść jakoś na rękę... Czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy się umówili na jeden z najbliższych wieczorów... Gdy pani będzie miała chwilę wolnego czasu... W jakiejś kawiarni, naturalnie...

„Mam cię...”, pomyślała Elżbieta zimno. Spuściła skromnie oczy, po czym powiedziała cicho, lecz wyraźnie: — Wolny czas, panie dyrektorze, spędzam na spacerach z dzieckiem. Albo wykorzystuję na czytanie nowych przekładów z literatury radzieckiej. Pojawiło się ostatnio tyle pasjonujących pozycji...

Zimny pot zmiękczył kołnierzyk dyrektora. Ryzykował i przegrał. Jasne, wiedział, że popełni błąd, uczyni krok w kierunku przepaści, lecz jakże mógł powstrzymać sięgającą rękę? Pochodził z solidnej rodziny, skończył nie bez wysiłku studia ekonomiczne, wstąpił do partii i długo, wytrwale służył w administracji, dzieląc z państwem i społeczeństwem wszystkie zakręty losu, niewygodne posłuszeństwo i uciążliwe wątpliwości. Osiągnął wiele, to prawda, lecz pragnął więcej, biurko dyrektorskie w centrali nie mogło stanowić kresu. A przecież wyżej, ponad tym gabinetem i jego ważnością, w strefie znanej z plotek, gazet i aluzji w kabaretach literackich, bytowali jacyś inni ludzie, pokazywani czasem palcem na ulicy, na widowniach teatrów, na trybunach stadionów — i ich kobiety, takie jak właśnie ta tu. Co decydowało o ich wyniesieniu, skąd przybywali i dokąd szli, tego nie wiedział; wiedział, że są i że marzeniem jego jest znaleźć się wśród nich. Może sięgnął za wcześnie? Może był jeszcze zbyt słaby? Oczywiście, miała go teraz w rękę, w żelaznym uchwycie: wystarczy, aby pani redaktorowa Felakowa zechciała powtórzyć tę rozmowę w ekskluzywnych kawiarniach, w ich klubach

związków twórczych jako doskonały dowcip; wystarczy, że jej wpływowy, sławny mąż wspomni ten żart na konwentykłach towarzyskich, gdzie — być może — znajdzie się i jego minister, a wtenczas żegnajcie transatlantyczne podróże inspekcyjne i attachaty handlowe w stolicach świata. Zapalił nerwowo nowego papierosa i powiedział: — O ile sobie przypominam mąż pani świadczył nam kiedyś usługi przy opracowywaniu kampanii reklamowych dla wystaw i targów międzynarodowych. Wydaje mi się, że gdyby udało się redaktora Felaka namówić do odnowienia tej współpracy, finansowo, być może, mało atrakcyjnej, lecz pożytecznej, wtedy, rozumie pani, przedłożyłbym ministrowi jego prośbę w całkiem odmiennych warunkach. I kto wie, czy minister, lub generalne kolegium ministerstwa, nie zechciałoby...

— Pomówię z mężem — rzekła Elżbieta życzliwie. „Trzeba mu dać szansę”, pomyślała. „Niech to załatwi. I tak zdyskontuje werbunek Andrzeja z zyskiem dla siebie. Jeszcze dostanie za to jakąś premię...” — Ach, pewna jestem, że przy pana możliwościach...

— Pięćdziesiąt procent — westchnął — uzyskamy na pewno.

— Nie myślmy o połowicznych sukcesach — zastrzegła się Elżbieta, ciepło, przyjaźnie. — Nam, dyrektorze, powinno zależeć na pełnym anulowaniu opłaty. Ostatecznie musi być jakaś sprawiedliwość. Wprawdzie mąż mój nie wytapia stali, ale mam nadzieję, że praca jego jest więcej warta dla społeczeństwa. Ponadto, jak czytałam w gazecie, każdy nowy pojazd mechaniczny sprowadzony do kraju wzbogaca Polskę. Czyż nie jest tak?

— Jest tak — rzekł dyrektor Majewski niepewnie.

5.

Przestrzeń między Sejmem a Alejami Ujazdowskimi wzbierała trawiastą zielenią. Elżbieta kroczyła na tle wieżowca o długich, szmaragdowych balkonach. Ciemno śliwkowa spódnica pomiędzy czarną zamszową kurtką i czarnymi pończochami.

— Paryż północy — rzekł Mikołaj — czyli Warszawa, miasto nieoczekiwanych wdzieków, centrum elegancji pomiędzy Władystokiem a Łabą.

— Och! — cofnęła się nieznacznie. — Nie zauważyłam cię.

— Zauważyłem cię z daleka. Bijesz przechodniów po twarzach własnym zadowoleniem na odległość stu metrów.

— Jak każdy po dokonaniu czegoś pożytecznego. Zwalczam nieludzkie przepisy.

— Dla chwały i zasobności twego męża?

— Dla mego męża.

Uśmiechnęli się oboje i Elżbieta poczuła się rozdrażniona. — Wyglądasz olśniewająco — dodała z przekąsem, lecz nie bez upodobania, albowiem była to prawda i nikt, równie jak ona, nie potrafiłby tego docenić.

— Zaczynam nowe życie — oświadczył Mikołaj; miał na sobie spodnie z ciemnej flaneli, marynarkę w podłużne paski na wzór grubo plecionych postronków, oraz krawat z ostrowłosej wełny. — Boże! Co za cudo! — zawołała Elżbieta pochylając się nad butami Mikołaja, czarnymi i bardzo wąskimi o płasko modelowanych szpicach. — Skąd je masz? Prosto z Bolonii?

— Od matki Juli Polewko. Zawsze o mnie pamięta i odkłada mi bardziej atrakcyjny towar.

— Prowadzi jeszcze interes na ciuchach?

— Jej stragan nabrał cech narodowej instytucji. Pisano o nim w książkach, obowiązuje w nim rodzaj etykiety, jak w Polskiej Akademii Nauk.

Przez chwilę milczeli, nie ruszając się z miejsca. — Przecież byłeś już kiedyś królem warszawskich bikiniarzy — powiedziała Elżbieta z namysłem. — Dlaczego nazywasz to nowym życiem?

— Nieporozumienie — rzekł Mikołaj pobłaźliwie. — Nie miałem na myśli odzieży.

— A co?

— Elżbieto... — rzekł Mikołaj prosząco. — Taki śliczny dzień...

— Umówiłam się z Andrzejem u Literatów na obiedzie. Chodź z nami.

— Na razie idę na pierwszy wiosenny spacer. Bardzo to lubię.

— Sam?

— Owszem, solo. Ale... może poszłabyś ze mną?

Elżbieta popatrzyła na wieżowiec, potem na rotundę Sejmu, potem na Mikołaja. — Nick — powiedziała, zmagając się z suchością warg — znamy się dziesięć lat, prawda? Jeszcze nigdy nie proponowałeś mi spaceru.

— Zaczynam nowe życie — rzekł lekko, lecz zaraz zatrzymał się nad powierzchnią słów, tyle razy już wypowiedzianych.

Weszli do parku od strony ulicy Pięknej. Mikołaj mówił: — Postanowiłem zerwać z kodeksem naszej codzienności. Odtąd białe będę nazywał publicznie białym, a czarne czarnym.

— Przecież zawsze tak postępowałeś. Nie wydawało mi się to zbyt mądre.

— Dotąd uprawiałem jedynie wolny komentarz do idei i wydarzeń. Od dziś rozciągam go na stoliki kawiarniane. Rozgrani-

czenia moralne wydawały mi się dotychczas przesądem. Nie dostrzegałem nic niestosownego w picciu wódki ze złodziejami cudzych pomysłów, z karierowiczami windującymi się na cudzych karkach w górę i liżącymi brudne ręce komunistycznych ministrów, z sutenerami żyjącymi z lansowania zgwałconych uprzednio przy pomocy alkoholu dziewcząt, z mężami, uprawiającymi tanią rozpustę w mieszkaniach swych żon, przebywających właśnie w przeciwgruźlicznych sanatoriach. Nic mi nie przeszkadzało w klepaniu ich po plecach w *Spatifie*, o ile tylko byli zabawni, mili, inteligentni. Koniec z tym! Postanowiłem podporządkować się obiektywnej skali wartości, aż do krańcowych konsekwencji nie podawania ręki kłamcom, łobuzom i sprzedajnym obłudnikom.

— Przeprowadź się do Puszczy Białowieskiej. W Warszawie zginesz z głodu.

— A niektórzy zarobią jeszcze ode mnie po pysku — zakończył Mikołaj uroczyście.

— Mój Boże — westchnęła Elżbieta. — Sam Patterson nie wytrzymałby tej ilości pojedynków, jaką musiałbyś stoczyć dziennie. Twoje przemówienie było zresztą bardzo efektowne, Mikołaju.

— Prawda? — rzekł Mikołaj i dodał: — Wierz mi, że tak postąpię w pewnych wypadkach. Błagam cię, Elżbieto, uwierz mi, tak jest mi potrzebna czyjaś wiara...

— W wypadku Larbińskiego?

— Chociażby — Mikołaj zatrzymał się pośrodku alejki, pełnej wózków dziecinnych: kwietniowe powietrze mieszało się tu skutecznie z wonią mokrej, niemowlęcej bielizny.

— Zawsze ciekawiło mnie — zastanowiła się Elżbieta — czy kryje się jakiś sens w karaniu zbrodniarza za to, że jest zbrodniarzem? Albo w chłostaniu świni za to, że urodziła się świnią i czerpie pożywienie z brudnego koryta? Przecież Larbiński nie jest winien temu, że jest Larbińskim. Taki już jest i nie należy o tym mówić, skoro się o tym wie. A także nie należy się niczego od niego spodziewać. Postępuje tak, bo musi i nie ma na to rady.

Mikołaj uśmiechnął się ze smutkiem. — Dlaczego musi? — spytał; ogarnęła go przemożna chęć ucieczki i pozostawienia za sobą Elżbiety wraz z wiosennym zapachem pieluch. — Dlaczego w jego losie zawarte jest przyzwolenie na świństwo? I dlaczego ja mam się z tym pogodzić? Dlaczego cały świat przystaje na to, że jemu wolno to, czego innym ludziom nie wolno?

— Wydaje mi się — zamysliła się Elżbieta — że on zachwycał się szczerze twoim projektem. Ale cała komisja była przeciw, więc cóż mógł zrobić? Zajmuje wysokie i odpowiedzialne stano-

wisk nie miał wyboru. Musiał cię niszczyć, może było mu ciężko i głupio, że ty słuchasz, ale czy mógł inaczej? Pogłębił cię na zewnątrz, lecz w duchu myśli na pewno co innego i może w ten sposób chce ci skutecznie pomóc, znajdzie boczną furtkę, przez którą zrealizujesz twoje plany przy jego pomocy, za cenę chwilo-
wej klęski.

— Zbytek przewrotności — uśmiechnął się Mikołaj. — W ten sposób można wszystko usprawiedliwić. — Roześmiał się zgryźliwie: — Cóż uczyniła psychologia, spopularyzowana w gro-
szowych edycjach... Pozbawiła świat winy. Unicestwiła grzech. Wraz z zawilocią dróg człowieka w nowych systemach współ-
życia rozgrzeszyła go z wszelkiego zła...

— Bo też wszystko ma swoje wytłumaczenie. Trzeba tylko
chcieć i umieć zrozumieć. W życiu musi się różne rzeczy.

— W końcu każesz mi darzyć go sympatią za jego matactwa?

— Możesz mu nie podawać ręki — powiedziała Elżbieta
solennie — jeśli ci to sprawi ulgę. Ale powinieneś to robić tak,
żeby tego nie zauważył. Mam wrażenie, że byłoby mu przykro.

Przeszli cały park i wyszli na Plac na Rozdrożu. — Zasmako-
wałam w spacerach — rzekła Elżbieta. — Może wstąpimy do
Łazienek?

W Łazienkach było inaczej: mityng niemowlaków pośród pę-
katych krzewów ginął w rozległych płaszczyznach muraw, oto-
czonych wiekowymi drzewami; tylko na horyzontach stawu po-
ruszały się karawany rozkołysanych malutkich tłumoków w jeszcze
zimowym ekwipunku.

— Jest jeszcze jedno wyjście — powiedziała Elżbieta. —
Lewinson. Został właśnie mianowany. Trzeba z nim pogadać.

— Daj spokój — powiedział Mikołaj łagodnie. — Nie mów-
my już o tym.

— A o czym? Jeśli nie o bezkompromisowości, to o czym?

Nie wiedział zbyt dobrze, czy kpi, czy mówi szczerze. Inicja-
tywa wymknęła mu się z rąk. Chciał rzucić ją na kolana ciosami
nieodpartej argumentacji, pogrzebać w lawinie ironicznych point,
których nie pojmie, lecz przed którymi ukorzy się instynktownie.
Wtedy dopiero jego zarzuty rozpoczną plotkarską cyrkulację w
atmosferze kawiarnianych siest i prywatnych pogawędek telefo-
nicznych. Tymczasem coś wypadło żałośnie, coś mu nie wyszło,
nie umiał nadać gromiącej siły swym nieodpartym racjom, Elżbie-
ta nie potępiła Larbińskiego, wydawało się wręcz, że z politowa-
niem dezawuuje ciasną i płytką perspektywę zarzutów Mikołaja,
sprowadza ją do małostkowej świętoszkowości, do może i słusz-
nych lecz niemądrych i nudnych pretensji. „W gruncie rzeczy ma
mnie za naiwniaka”, pomyślał Mikołaj, „tylko nie potrafi tego

grzecznie sformułować. Doświadczenie zastępuje jej inteligencję i uczy ją, że skuteczność przebijania się przez życie nie ma nic wspólnego z cynizmem, mimo, że niektórzy tak to nazywają...”

— Mikołaju — powiedziała Elżbieta — już wiem, gdzie tkwi błąd. Domagasz się, aby ludzie byli prawi, pragniesz sprawiedliwości i prawdy, a jednocześnie chcesz za to uznania i rozgłosu. Boję się, że jest to niemożliwe. Nigdzie na ziemi.

Mikołaj zatrzymał się, ujął Elżbietę za ramiona i obrócił ku sobie. — Gdzieś to wyczytała? — spytał.

— W tobie — odparła prosto.

— Od kiedy czytasz we mnie? — spojrzał na nią bardzo uważnie.

— Od dawna — powiedziała Elżbieta i zarumieniła pod jego spojrzeniem. — Od tak dawna, jak się znamy. — Pomyślała sobie, że to wcale nieprawda, oraz zdążyła się jeszcze zastanowić nad nieoczekiwanym rumieńcem, który ogarnął jej twarz. Co kazało jej tak powiedzieć? Jego słowa o konieczności potępienia łajdaków były piękne i roztkliwiające, i przywiodły jej na myśl wszystkie za wczesne wyjścia Andrzeja z domu, po samochód, po benzynę, lub po taksówkę. Coś jej się wiązało niejasno w głowie, czego nie chciała bynajmniej wyjaśniać do końca, zaś Mikołaj czuł swą bezradność i jej przewagę, której ona wcale nie czuła. Gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji, w której jego słusność i jego krzywda skwitowane zostały połowicznie. — Elżbieto — zaatakował w zaślepieniu — dlaczego właściwie zdradzasz Andrzeja?

— Widocznie muszę — odparła Elżbieta. — Właściwie staram się tego nie robić, ale wiesz...

Przyjęcie wprost w pierś ciosu, którego można było uniknąć, obezwładniało tę nową, niezbyt pochlebną akcją Mikołaja; angażowało go jakoś po stronie Elżbiety, jak każda gotowość do zwierzeń.

— Oczywiście — mruknął — rozumiem. Miałem was zawsze za nie najgorsze małżeństwo, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, lub owego.

Elżbieta roześmiała się głośno. — Na pewno uważasz połowę mężczyzn w Warszawie za moich kochanków? — zadrwiła wesoło.

Teraz dopiero poczuł leciutki akcent defensywy w jej głosie. Rzekł: — Czy mam wyliczyć?

— Takim cię lubię — Elżbieta stanęła tuż przy Mikołaju i pogłaskała z upodobaniem krawat z ostrowłosej wełny. — Uważasz mnie za małego, nieuleczalnego śpieszka. Musisz wiedzieć, że to nieprawda. Przytulić, pocałować, owszem, ale nie,

żeby od razu te rzeczy... — Mimo wszystko był to ciągle bój w odwrocie.

— Elżbieto — powiedział Mikołaj łaskawie — nic o tobie nie wiem i nie chcę wiedzieć. Najwyżej chcę ci pomóc.

Stali zupełnie sami pośrodku bezmiernej peluzy, już miękkiej w tym roku i soczystej: kasztany i pałacyki łazienkowskie zdawały się roztopiać w odległym, drgającym platynowym słońcu.

— Bzdura... — powiedziała Elżbieta. — Zawsze ci się bardzo podobałam. Prawda?

— Prawda — rzekł Mikołaj i pomyślał, że prawdą jest to zaledwie od magicznego ułamka sekundy, który rozprysnął się w powietrzu.

— Ileż jest w tobie obłudy i wyrachowania! — szepnęła Elżbieta. — Jak to dobrze!

Dotyk warg Elżbiety wstrząsnął nim jednak, chociaż nie było w tym niczego nowego, ani nieoczekiwanego, prócz faktu, że usta tak znane stały się naraz pożądanymi aż do ogłupienia. Ujął ją za kruche ramiona, przyłgnęła do niego natychmiast. Pojąć nie mógł jak dotąd, tyle lat, uchodził tej sile, o której wiedział, na temat której potrafił konstruować liche żarty. Teraz był pokonany, dostrzegał to, było mu wszystko jedno, nie myślał o niczym, prócz tego, że jej pragnie; wiedział przecież, równie dobrze jak niechętnie, że wola konstruuje fakty, pokraczne, lecz istniejące realnie już za chwilę, pęczniące w konsekwencje na pożytek lub udrękę; wiedział także, że jeśli mężczyzna, a już na pewno on Mikołaj, chce jakiejś kobiety, to ją dostanie bez względu na to, czy potem płacz nie wyżre oczu wszystkim dokoła. — Od tylu lat — powiedziała uroczyście Elżbieta — mam ochotę, żebyś mnie wreszcie pocałował... — Nie był pewny, czy słowa te nie są minoderyjnym trybutem należnym położeniu, czy stanowią sankcję innych poczynań, czy po prostu uzasadnienie moralne; nie był nawet zbyt pewny, czy on ją pocałował, chociaż może tak było, nikt nigdy nie dojdzie prawdy o najprostszym fakcie, i w gruncie rzeczy cóż to ma za znaczenie? — Jadę do Gdańska po dziecko — powiedziała Elżbieta. — Wrócę za parę dni.

— Tak długo... — rzekł niechętnie. — O wiele za długo na czekanie i myślenie.

Twarz Elżbiety skrzywiła się źle maskowaną niepewnością. — Masz rację — powiedziała cicho. — Może lepiej dać temu spokój? Mój Boże! Zimno mi się robi na myśl o komplikacjach...

— Nie powinnaś go zdradzać — rzekł sztywno Mikołaj. — Wiem, że męczysz się, że trzeba coś z tym uczynić, ale ja, rozumiesz...

„Skąd on wie, że się męczę?” — pomyślała z przychylną drwiną.
„Skąd mu to przyszło do głowy?”

— ... Nie chciałbym, abyś mnie źle zrozumiała — zaczął Mikołaj z wahaniem — ... ale pewne związki, nazwijmy je najogólniej przyjaźnią, lub przynajmniej koleżeństwem, oraz lojalność, a także czystość stosunków między ludźmi...

— Co ma z tym wspólnego? — zdziwiła się szczerze Elżbieta. — Cóż ma wspólnego z przyjaźnią, lojalnością i czystością ta sprawa?

Ogarnęła ją wielka radość i wielka troska, całe życie zakotyssało się naraz i jakby ugięło pod kłopotliwym, lecz dobrym i pożądanym ciężarem.

— Rozumiem — szepnął Mikołaj.

— Przecież nie wybaczyłabym sobie nigdy — dodała żarliwie — gdyby coś zepsuło się między tobą, a Andrzejem...

Wychodząc z Łazienek Mikołaj myślał: „Jak to się stało? Weszliśmy tu jako para starych przyjaciół...” Elżbieta myślała: „Wychodzimy stąd jako szczęśliwi spiskowcy...”

Rozdział trzeci

1.

Sniło mu się, że ktoś go goni. Zdawał sobie z tego sprawę jeszcze w półśnie.

Otworzył oczy i znalazł się z ulgą pośrodku porannego dzisiaj. Podłogę jasnego pokoju pokrywał puszysty kolor *beige*. Ta dywanopodłoga zdawała się wtłoczona w pokój, zaś jej związki ze sprzętami wymuszone: z turkmeńskim stolikiem z Samarkandy, inkrustowanym fabryczną imitacją kości słoniowej, z drobiazgami z kiosków dla turystów w Pekinie i w Aleksandrii, zresztą produkowanymi w Lipsku, które Andrzej skupował z nałogową naiwnością; albo z serwetkami, wykałaczkami i filiżankami z bajecznie kolorowego plastiku, które wydawały mu się synonimem mądrego komfortu. Kumulację uznał od dawna za sprawdzian, może nie ostateczny, lecz w ramach którego każdemu przebudzeniu towarzyszyło westchnienie ostrożnego zadowolenia.

Położył się na wznak i nasłuchiwał przez chwilę odgłosów z sypialni: panowała tam cisza spokojnego snu. Oto chwila samotnego bilansu dla Andrzeja Felaka. Mówił sobie, że nikt nie wie, ile przeżył pokrzyżowanych zamiarów, zanim odnotuje na swym koncie to co ludzie tak chętnie dostrzegają z zewnątrz, co wypominają bezlitośnie, z niby życzliwą ironią, pokrywającą zawiść. A przecież żyje się w potoku codzienności, w nieprzejrzystym nurcie utrapień. Po to, aby opanować mętny żywioł przeciwności trzeba zabiegów, z których każdy jest ciężarem i troską: nikt przecież nie uzna za przyjemność nadskakiwania, fałszywych uśmiechów, ryzykownych, odpychających deklaracji. Rozeznawał fikcję własnego znaczenia, równie bezpardonowo, jak go pragnął

i — być może — tu było źródło jego zręczności obronnej, z której był tak dumny. Niemniej, między świadomością mocy a bezradnością i rezygnacją leży obszerne terytorium normalności, samopoczucie środka, po którym przez całe lata poruszał się z umiarem, zgarniając pod siebie skrupulatnie wszystkie okruchy banalnego bezpieczeństwa i dosytu. Jeśli nawet myślał o czymś większym, zabobonnie nie sprowadzał tego do żadnych mianowników. Przeciwnieństwa jawiły mu się prosto, jak znaki przydrożne, mogły być poznane, usuwane, lub omijane jak zdradliwe kałuże. Często króć czuł się obrażony lub skrzywdzony, lecz nigdy nie oznaczało to buntu; nie wierzył w prawdziwe prześladowania, w oskarżeniach systemu władzy widział chorobliwie pleniącą się nadwrażliwość, coś w rodzaju źle funkcjonujących gruczołów, lub dokuczliwego czyraku; zresztą gruczoły i czyraki gnębią zazwyczaj innych i relacje o ich dokuczliwości są przesadzone. Toteż sensne przeświadczenie o tym, że jest goniony stanowiło innowację w jego życiu.

Był wczoraj u nowego kierownika administracji i nie uzyskał niczego, mimo wyniosłej oschłości tonu i pogroźek. Kierownik okazał się twardy i nieprzejednany: może bał się praktyk sceptycznej nonszalancji swego poprzednika; może nie znosił dziennikarzy; może żywił nienawiść oszalałych od nadliczbowych godzin i nędzy robaków biurowych do motylkowatych reprezentantów świata wpływów; może był uczciwym tępakiem, lub socjalistycznym Katonem, uwikłanym w sieć bezdennych nieporozumień; a może po prostu spryciarzem, który postanowił zabawić się w socjalistycznego Katona, zdobyć laury za pryncypialność i nieprzekupność, po czym ustąpić bez walki, z porcją dobrze zdyskontowanego rozgłosu w kieszeni, tłumacząc całą aferę dżunglą przepisów, przez którą jeszcze nikt nie przeszedł żywy. Dość, że odmówił wycofania skargi za nieopłacone komorne. Sprawa nabierała niesamowitej kinetyki lawin: nikt nie wierzy w samorództwo, a mimo to dzieje się nieustannie coś koło nas spoza porządku świata, najlepiej się nad tym nie zastanawiać, lecz nie wolno dać się stłamsić przez brak wiedzy o ewentualnościach i ulec bezproduktywnemu zdziwieniu. Andrzej, pozbawiony treningu niepowodzeń, nie mógł jednak zrozumieć dlaczego to Państwo, tak hojne, dobroduszne, otwierające przed nim ciągle nowe perspektywy rozkwitu, wznoszące go na coraz wyższe szczeble satysfakcji społecznych — otóż dlaczego to Państwo przebrane za administrację domów mieszkalnych jak w maskaradowe domino wytacza mu bezsensowny, proces o niedopatrzenie, powstałe jedynie na skutek jego wiernej służby temuż Państwu? Tu zaczynał się korowód sprzeczności, absurdalny aż do praprzyczyny, w któ-

rzym brak logiki nie oznaczał niczego: ani, że kryje się za tym czyjaś zła wola, ani że nie kryje się, ani, że tkwi w tym zorganizowana przeciw niemu akcja, ani, że nie tkwi. Oczywiście, on, redaktor Felak, da sobie radę, rozprawi się, unicestwi, z a ł a t w i! Ale po co to? Komu to potrzebne? Załatwić można wszystko, to fakt oczywisty i krzepiący, lecz czy warto trwonić nagromadzoną w tym celu wiedzę i siły na sprawy nieistotne? Załatwianie rysowało się w świadomości Andrzeja jak motyw z bajki o wszechpotędze, czapce-niewidce i stoliczku-nakryj-się: z teorii i praktyki, marzeń i wysiłków ulepiony został z czasem maleńki homunculus, którego błogosławioną obecność czuł przy sobie zawsze. To on, ten skrzat w cudacznym stroiku, wyciętym z niezliczonych legitymacji, czy zaświadczeń, dobywający z przepastnych kieszonek lukratywne zamówienia, nieoczekiwane ułatwienia, bezpłatne zaproszenia, paszporty zagraniczne, wizy po znajomości i premie pieniężne, kobold mieszkający w jego krawacie podczas najważniejszych rozmów, to on sformułował najskuteczniejsze, tajne zaklęcie huczącej tuż obok współczesności: załatwić da się wszystko!

Wstał i przeszedł cicho do łazienki. Umył się możliwie bez hałasu. Wyjął z szafy w ścianie przedpokoju szlafrok i włożył go z namaszczeniem: był to okazały szlafrok z ciemnozielonego jedwabiu, o pikowanych klapach, przywodzący na myśl sceny hotelowe w komediach filmowych z życia wyższych sfer. W kuchni wyjął z lodówki dzbanek z sokiem pomarańczowym, wypił pół szklanki, zaś resztę wziął ze sobą i usiadł za biurkiem.

Na biurku panował nieład wystudiowany: listy, kartki zapisanego papieru, wielka agenda, doszczętnie pokryta terminami. Wkręcił arkusz papieru w maszynę do pisania. Weszła Elżbieta, ziewając, w krótkiej pyjamaie à la Lolita; nikt nie mógł mieć złudzeń, patrząc, czemu służyła dziecięcość tego stroju, lecz w tej chwili wygląd Elżbiety eliminował podręczny erotyzm pyjamy: zapuchnięta, bezładna po nocy twarz i nieporządek rozrzuconych w ziewaniu członków stanowiły o rozdźwięku z mundurem. — Jemy śniadanie? — spytała tonem znudzonym, kłótliwym, nie wiadomo dlaczego od samego rana. — Z chęcią — rzekł Andrzej.

W kuchni Elżbieta nakryła sprawnie i szybko. — Chcesz jajka? — spytała, jakby z urazą. — Skończyły się już corn-fleki? — zainteresował się Andrzej. — Są jeszcze — ucięła Elżbieta krótko — ale resztę zabieram dla Pawła. Możesz jeść jaja na boczku i toasty. Bardzo wytworne śniadanie. — Elżbieto — rzekł Andrzej — siadaj. Chcę ci coś powiedzieć.

— Że odbierasz dziś samochód — rzekła z lekceważeniem.

— Chciałem cię powiadomić, że wybieram się w nową podróż.

— Szybko i odważnie użył pierwszej osoby liczby pojedynczej.

Poranne rozmamłanie wyciekało z Elżbiety powoli. — Co ty powiesz? — uśmiechnęła się nieszczerze. — Sam?

— Posłuchaj — powiedział, zdezorientowany brakiem odporu — reportaż zagraniczne to moja atrakcyjność dla czytelników. Wyjazdy są także źródłem najsolidniejszych korzyści finansowych. Zgodzisz się?

— Na razie bez zastrzeżeń.

— Pytanie zatem brzmi: jak? Dziennikarza, który dopiero co wrócił nie wysła tak szybko po raz wtóry. Konkurencja czuwa i nie próżnuje.

— Bezbłędnie — przyznała Elżbieta.

— Miałem wczoraj meldunek od Michaliny. Podśłuchiwała rozmowę na szczeblu wiceprezesa. Ktoś skarżył się, że zużyłem więcej dewiz w ciągu tych sześciu miesięcy, niż stały korespondent w ciągu roku.

— To przecież nieprawda.

— Jasne. Ale fałsz, którym operuje się z rozmysłem, to groźna broń. Michalina nie zdołała zidentyfikować ani rozmówcy wiceprezesa, ani jego redakcji. Rzecz działa się przez telefon.

— Michalina jest warta wszystkie pieniądze. Ucieszyła się z prezentu?

— Każda kobieta w Polsce ucieszyłaby się z takiego prezentu — westchnął, gryząc grzanekę. — Michalina kosztuje, ale jest niezawodna. Słuchaj... wszystko sprowadza się do tego, ażeby zorganizować wyjazd dla polskiej gazety za nie polskie pieniądze.

— Nie głupie — ożywiła się Elżbieta.

— Czyli, że ktoś musi zapłacić za to, na co wszyscy ważniacy w Prasie, w Wydziale Prasowym i w ministerstwie spraw zagranicznych zgodzą się ochoczo i udzielą mi wszelkich namaszczeń.

— Ba... — westchnęła Elżbieta — ale znajdź kogoś takiego między Łabą a Kalifornią... — Patrzała na Andrzeja z upodobaniem: jakże wiele umiała mu wybaczyć za błyskotliwe szachrajstwa oparte o zimne znawstwo przedmiotu.

— Wydaje mi się, że znalazłem — zamyślił się Andrzej. — Nikt jeszcze na to nie wpadł... A to takie proste. Trzeba tylko przekonać obu antagonistycznych kontrahentów, że każdy z nich czyni świetny interes.

— Kiedy pojechałbyś? — Elżbieta pomyślała o sobie.

— Nie tak od razu. To zależy od wielu czynników... I od Loranta. On trzyma palec na guziku startowym.

— Wobec tego jadę do Gdańska — powiedziała Elżbieta: serce zabiło jej lekko jakby dając znać o nieznaney dotychczas

i zapisał adres wuja Rajmunda w Londynie. — Jeszcze dziś wysłę dyspozycję dla mojej redakcji, żeby przekazali forszę. W jakiej walucie pan chce? Dolary, czy franki? — Dolary — rzekł Andrzej — i proszę zażądać telegraficznego potwierdzenia odbioru na pański adres w Warszawie. — Oczywiście, panie Felak — zgodził się Lavertisse. — A co pan powie o nominacji Lewinsona? Po tylu latach niełaski? Sensacja, nie? — Nie znam człowieka — skłamał Andrzej — ale bardzo go cenię. To piękna postać. — Musimy pogadać — nalegał Lavertisse. — Zapraszam pana na kolację. Oblejemy interes. Po polsku. Dobrze? — W przyszłym tygodniu — rzekł Andrzej.

Grohmann przechadzał się już przed hotelem, ubrany z wyobrażeniem Niemca o elegancji Brytyjczyków z czasów ich panowania w Bengal. — Piękna pogoda, prawda? — rzekł na widok Andrzeja. — Właśnie — odparł Andrzej. — Może pojedziemy w Aleje Ujazdowskie. — Wsiedli do Sunbeam'a, którego Grohmann prowadził szybko, lecz z angielską flegmą. — Co słyhać u Elżbiety? — informował się Grohmann ostrożnie. — Tak dawno jej nie widziałem. Ach, kobiety w Warszawie... — poskarżył się. — Tyle pokus wokoło. Nie można pracować. *A propos*, podobno ukazała się pańska książka o mojej biednej, reakcyjnej ojczyźnie. Niech mi pan coś opowie o tej książce. — Nie ma o czym mówić — rzekł Andrzej lekceważąco. — Książka nie ma nic wspólnego z tym, co myślę naprawdę o pańskiej ojczyźnie. Oczywiście, to, co mówię, przeznaczone jest wyłącznie dla pana, Grohmann, mam nadzieję, że nic nie popsuje naszych dobrych stosunków. — Zatrzymali się koło Ogrodu Botanicznego i Grohmann zanurzył liryczne spojrzenie w twarz Andrzeja. — W ogóle nie napiszę o tej książce — powiedział, poprawiając pieczołowicie kaszmirowy szalik w rozpiętym kołnierzyku koszuli. — Znajdziemy kogoś innego, kto przeskadza w naprawie stosunków polsko-niemieckich. Ktoś musi być, tego chcą moi szefowie. — Andrzej uśmiechnął się i Grohmann objął go ramieniem gestem, pełnym przyjaznych sentymentów. Andrzej otworzył teczkę i odliczył pieniądze. Grohmann wyjął telexową notę. — Oto poświadczenie przelewu przez mój bank na podany przez pana adres w Londynie — rzekł niedbale. — W porządku? — Jak najbardziej — potwierdził Andrzej. — Warszawa... — westchnął Grohmann — Ateny dzisiejszego wschodu... Filozofowie i łatwe kobiety. Ach, jak to kosztuje, mimo korzystnej różnicy kursów walutowych... — Schował pieniądze, nie licząc i uważnie przyglądał młodzieńcze, złoto blond loki. — Niech pan pozdrowi Elżbietę — dodał. — Stęskniłem się za jej koleżeńską bezpośredniością. Acha, wszyscy ciągle mówią o jakimś Lewin-

sonie. Kto to w ogóle jest? — Wspaniała postać — rzekł Andrzej solennie. — Wpadnie pan kiedyś do nas na kolację to panu o nim opowiem. Elżbieta ucieszy się, ona pana lubi. Opracujemy wspólnie komunikat o mojej książce dla pańskiej gazety. Dlaczego ma pan w ogóle nie pisać, kiedy można coś ułożyć, z czego zadowoleni będą pańscy szefowie, pan i ja.

W urzędzie celnym na Dworcu Gdańskim urzędnicy zachowywali się obojętnie i Andrzejowi brakowało z ich strony jakiegось odruchu serdeczności, prostego choćby znaku, że wiedzą, z kim mają do czynienia. Zapłacił, otrzymał wszelkie pokwitowania i poszedł z jednym z celników do szopy, w której stał wóz. — Ładna sztuka — rzekł celnik z przekąsem, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Wsiadł i zapuścił bez trudu, mimo wielodniowego przestoju. Silnik pracował lekko i cicho: Andrzej przez chwilę roztopił się w czymś, co bliskie jest szczęściu. Gładził delikatnie chłodną namiastkę skóry na siedzeniach, pieścił wzrokiem napisy kontrolne wskaźników „Aqua” i „Olio”, ręce miał rozlatane i wilgotne, oszołomienie pulsowało mu pod czołem, napawał się czymś, co nie ma jeszcze dokładnie opracowanego rozdziału w psychologii i fizjologii człowieka, a co nazwać można obcowaniem z nowym samochodem. Celnik otworzył szopę i Andrzej wyjechał, trochę nieprzytomny, na szeroką, pięknie asfaltowaną Trasę N-S, biegnącą śmiałym rzutem wśród świeżych budów. „Samochód”, myślał, „jest dla mnie tym, czy koń dla szlachcica...”

Pojechał do Kumkego i kazał umyć wóz. — Kolor nóż! — zawołał chłopak w gumowych butach, wymachując niebezpiecznie szlauchem z zachwytem: wysmarkał się z podniecenia na błotnik, ale zmył to zaraz silnym strumieniem wody. — Jak oksydowany! — Spod kurzu i błota pierwszej podróży wyłaniał się ciemno-oliwkowy lakier, pięknie opalizujący. — Bardzo odpowiedzialna rzecz — pochwalił jakiś szofer. — Fiat 1100 — dodał, oglądając z wszystkich stron. — Makaroniarze to specjaliści od takich kuców, niedużych, a w sobie. Koronkowa robota. Zegarek. — Andrzej pęczniał pychą, prymitywną i słodką. — Dzisiejsze mycie za darmo — obwieścił Kumke w szale kombinatorskiej hojności. — Prezent od firmy Kumke! Fiat 1100... — nastadzał się, obchodząc wóz dokoła. — Co zresztą za różnica — pokiwał głową, uświadomiwszy sobie, że w gruncie rzeczy wszystko jest marnością. — Aby miał cztery koła i latał.

Po drodze do Klubu Literatów Andrzej wstąpił do sklepu z akcesoriami i kupił mały wazonik na gumowej przysawce. Zatrzymał się jeszcze raz i u ulicznej kwiaciarki nabył bukietik pierwiosnków. Przytwierdził wazonik do deski rozdzielczej przy

radiu, włożył pierwsionki i zaparkował tuż przy kolumnie Zygmunta.

Elżbieta siedziała w kawiarni pośród łysawych esseistów i profesorów Akademii Sztuk Pięknych odzianych z błyskotliwością młodzieży czekającej w Saint Tropez na występ Elvisa Presleya. — Dobrze, żeś przyszedł — powiedziała; dopiła kawę i wstała. — Jadę o pierwszej czterdzieści osiem. Zawieszysz mnie na dworzec, jeśli już masz czym. — Mam — odparł Andrzej z odblaskiem triumfu na obliczu. — Obiad zjem później.

— Jędrusiu — powiedziała na widok wozu — winszuję ci... Ten Fiat przy kolumnie Zygmunta to symbol twojej nieugiętej mocy. — Kwiatki są dla ciebie — rzekł Andrzej, gdy wsiedli. — Wraz z całym samochodem. — Dziękuję — powiedziała i pocałowała go w policzek. — Czy mogę je zabrać ze sobą w podróż? — Oczywiście... aby pamiętać — rzekł Andrzej tkliwie i oboje poczuli się lekko wzruszeni, poranne napięcia ulotniły się bez śladu. — To dla ciebie na podróż — otworzył aktówkę i wręczył jej pieniądze. — Trochę mało... — zauważyła Elżbieta dla zasady. Andrzej zdziwił się: wydawało mu się, że jest raczej nastrojowym rozrzutnikiem.

W domu Elżbieta spakowała się szybko. — Może pojedę taksówką? — zaproponowała. — Jesteś bez obiadu. — Wykluczone — powiedział Andrzej. — Posiadasz nowy samochód. — Zawiózł ją na Dworzec Wschodni. Po drodze wyprzedzali nabite ludźmi tramwaje i autobusy; rozpląszone o okna twarze śledziły pożądliwie niewielki, zgrabny samochód. Z uwieszonych przy wejściach pęczków mężczyzn padały pod ich adresem uwagi wśród wątpliwej życzliwości uśmiechów. Andrzej mówił: — Chyba miałem rację. Taki wózek wzbudza sympatię, mimo słusznych i zrozumiałych uraz. Ople i Peugeoty budzą w ludziach usprawiedliwioną niechęć, zaś mniejszy Fiat nie rzuca się w oczy. Nie budzi uczuć zawiści, nie drażni społeczeństwa. Tylko o to mi chodziło. Mogliśmy bez trudu nabyć Hillmanna, czy Simcę, taką, jak ma Larbiński. Ale po co? Tak mamy wygodę i wdzięk, a także przyjazne spojrzenia warszawiaków. Wiesz, jak nie znoszę wynoszenia się ponad innych? — Wiem — odparła Elżbieta spokojnie.

— Ucałuj Pawła mocno ode mnie i powiedz mu, że czekam z utęsknieniem — wołał na peronie, gdy pociąg ruszał.

Wrócił do samochodu i stwierdził, że Elżbieta zapomniała pierwsionków. Nie zdarzyło się dotąd, aby Elżbieta zapomniała czegokolwiek od niego. Była w tych sprawach skrupulatna aż do przesady.

Ale na obiad nie było czasu. Ogarnęła go gorączkowa chęć działania, wprost proporcjonalna do dziwnego uczucia zagrożenia, pełnącego w nim od rana pod wszelką radością.

Wprost z Dworca Wschodniego pojechał do biur Prasy. Potężny koncert pełen był zalatanych i roztrzęsionych urzędników, biegających z naręczami papierów z pokoju do pokoju. Wywołał Michalinę przez telefon portiera, wytoczyła się z windy jak krótki, gruby pień, posuwający się na gąsienicach niewidocznych nóżek. — Pani Michalino — powiedział — ja w sprawie najważniejszej. — Byłam, byłam u radcy prawnego — zaświergotała cieżko. — Powiedział, że to wszystko bzdura, że nie ma o czym mówić. Nic panu nie mogą zrobić, nie warto się tym zajmować, a w razie czego, to on taki list napisze do tej administracji, że ich... pan rozumie! I że w ogóle nie ma mowy, żeby podali pana do sądu, bo... — Nie o to chodzi — wtrącił z znaczącym uśmiechem. — Chodzi... już pani wie o co. — Michalina potarła z zakłopotaniem to co sformowało jej się przez pięćdziesiąt lat łakomstwa pod podbródkiem. — Z tym bieda, panie redaktorze — zakwiliła. — U mnie mieszka teraz siostra z siostrzenicą. Dziewczynka ma osiem lat i niedobór jakichś ciałek we krwi. Siostra specjalnie ją przywiozła ze Słupska na leczenie. To potrwa ze trzy tygodnie. — Tak długo — zmartwił się Andrzej. — Minimum — jęknęła Michalina. — Ciężko byłoby coś zorganizować, rozumie pan? — Rozumiem — Andrzej stłumił rozczarowanie: pertraktacje takie musiały zawsze mieć posmak swawolny. — Trzeba sobie jakoś poradzić — uśmiechnął się dzielnie. — Tak mi przykro... — poskarżyła się Michalina. — Czekoladę przyślę — podniósł ją na duchu Andrzej — przyda się dla dziecka. Acha, w przyszłym tygodniu wystąpimy prawdopodobnie o paszport. Tylko dla mnie. — Według rozkazu — powiedziała Michalina figlarnie.

— Co byś powiedział — rzekł Andrzej w dwadzieścia minut później do Maleckiego — gdybym miał okazję znów wyskoczyć zagranicę?

— Wyglądasz nadzwyczajnie — rzekł Malecki zza biurka, pokrytego korektami, szpaltami i makietą następnego numeru. — Opalony, nowiutkie ciuchy. Po co ci znowu zagranica? Jeszcze nie spuściłeś przywiezionego materiału, a już skaczesz po nowy?

— Okazja — rzekł Andrzej. — To byłby duży numer, tym razem — dodał zagadkowo.

Uniesiona do góry, mięsista twarz wymalowana była staran-

nie życzliwą koleżeńskością. — Wiesz, Andrzej, jak chętnie poprę wszystko, co zamierzasz — rzekł Malecki ciepło. — Co to za numer? — Jego małe oczka koloru taniej, niebieskiej farbki usiłowały skryć wrogą, zachłanną ciekawość za rozradowaniem.

— Za wcześniej o tym mówić — Andrzej przysiadł na biurku. — Jest Watloch?

— Nie. Wszystko na mojej głowie, jak zawsze... — Malecki rozparł się w fotelu i uśmiechnął porozumiewawczo: uśmiech skracał mu czoło i nasuwał wybrylantynowane różowo blond uwłosienie na krótki, zadarty nos o zięjących ku górze dziurach, odsłaniając jednocześnie rzadkie, mocne zęby; przynależność tego człowieka do nierogacizny nie ulegała wtedy wątpliwości, ale do nierogacizny pokazowo odżywionej, premiiowanej na wystawach hodowlanych, o czym świadczyły sygnety na grubych palcach i wyszukana bielizna. — Oczywiście, chcesz, żebyśmy poparli ten wyjazd, prawda? — spytał zachęcająco, zapalając Players'a.

— To byłby wyjazd dla *Horyzontu* — rzekł Andrzej.

— Mogą być trudności — zastanowił się Malecki. — Nie z mojej strony — zastrzegł się od razu — ale wiesz, jest pula. Inni też chcą jeździć. A poza tym nie jesteśmy wszechmocni, wznosi się nad nami parę pięter decyzji.

Przetargi były żywiołem, w którym Andrzej pływał bez trudu. — Jasiu — powiedział — znasz mnie, nie? Nie zostawię was samych w tej rozgrywce.

— Znam cię — Malecki odpowiedział naoliwionym uśmiechem. — I znam twoje możliwości. — W słowach tych zabrzmiała propozycja. „Czego ty znowu chcesz, łobuzie?”, pomyślał Andrzej czujnie. — Mój Boże — westchnął — co za parszywe życie! Dlaczego człowiekowi nie wolno wsiąść w pociąg i jechać, kiedy ma coś do załatwienia?

— Przecież wiesz, że nic nam nie wolno — zgodził się przy miłnie Malecki. — Nic, nic. Ale czy to znaczy, że mamy usiąść i czekać na śmierć? Pogadaj jutro z Watlochcem, a potem pokombinujemy i znajdziemy coś, co wolno.

Andrzej wstał z biurka. — Wychodzi moja nowa książka — rzekł. — „Pikielhauba z plexiglassu”. Mam nadzieję...

— Andrzej! — przerwał mu Malecki, stukając się palcem w wytapetowaną popeliną pierś gestem urażonej wspaniałomyślności. — Dlaczego nie powiesz otwarcie, jak kolega koledze? Jeszcze zdążę wsunąć krótką zajawę na trzecią kolumnę. Albo do *Karnetu Dnia*. Chcesz?

— Rozumiesz... — bąknął Andrzej. — Niby niesporo człowiekowi... Nawet w własnym organie... Ale chcę, oczywiście —

dołą z wyważoną nieśmiałością. — Jutro dostaniesz pierwszy odcinek nowego materiału.

— Tylko dużo — powiedział Malecki, wstając. — Czytelnicy domagają się ciebie. — Wydzielał z siebie niezliczone ilości komunałów i rozpylał wokół swej wieprzowatości jak zapach dezynfekcyjny.

Pokoje rozległej redakcji tygodnika *Horyzont* wymiecione były z piszącego personelu porą obiadową i wiosennym słońcem. W sekretariacie redakcji szydełkowała leniwie sekretarka Maleckiego, w centrali telefonistka rozpędzała senność Agathą Christie. W archiwum i w pracowni graficznej panował stłumiony rozgardiasz. Pokoje były bez ludzi, lecz nie puste: spoczywała w nich terażniejszość, w zakurzonych ławicach *New York Times*'ów, *Ogoniok*'ów, *Spiegel*'ów i *l'Express*'ów, między wieczne otwartymi maszynami do pisania, wśród rozrzuconych aparatów telefonicznych, w nasypach hektografowanych kartek, zagrzebana w zwały biuletynów, ulotek, prospektów, cyrkularzy Związku Producentów Melasy, Północnych Zjednoczeń Wytwórni Obrabiarerek, zaproszeń na koncerty Rhythm Delta Boys, premiery filmów polskiej nowej fali, bale zakładów kosmetycznych „Uroda” i wystawy prymitywów Ziemi Kurpiowskiej; no i zdjęcia, gwiazdozbiory zdjęć, pogiętych, retuszowanych, spadających na podłogi i do umywalni: Caryl Chessman w komorze gazowej, nowy pomnik grunwaldzki, Chruszczow w ONZ-cie, katastrofa w Agadirze i lokalne powodzie, Eichmann i narada w Bukareszcie, szczątki samolotu U-2 w Moskwie i druga strona księżycy, broda Fidela Castro i suknie charlestonowe. Redakcja ma swój zapach silniejszy niż plantacje róż, czy rzeźnie miejskie; w istocie jest to tylko zapach starego, niepotrzebnego papieru. Redakcja urzeka i przynębia: jej bezsensowna próba zawarcia reszty świata w paru pokojach, jej bezczelny zamach na wszechwiedzę i arogancka pewność właściwej odpowiedzi na każde pytanie — to daje łut szczęścia. Wchodząc do redakcji Andrzej przeżywał zawsze chwilę gwałtownej radości, czuł się tu zarazem przynależny i wyniesiony. Doznanie to wieńczyło wytrwałość: miał może dwanaście lat, gdy ujrzał na amerykańskim filmie w kinie *Apollo* rozpartego za maszyną do pisania Clarka Gable'a: w samej kamizelce, kołnierzyk rozpięty, krawat rozluźniony, kapelusz zsunięty na tył głowy, telefon wbity w ucho i uśmiech niezłomnej przewagi nad resztą świata — hollywoodzki uśmiech filmowy, obowiązkowy skrypt marzeń dla środkowoeuropejskich wyrostków z lat trzydziestych! Wtedy postanowił zostać dziennikarzem, jakieś dziecinne, mgliste przecucie nienazwanych uroków zamajaczyło mu pod czaszką. I został nim. Pobieżna znajomość własnego istnienia, do której

dochodzi się około trzydziestki, ukazała mu dobitnie podszewkę snów, ale nigdy nie żałował ani swego uporu, ani wyboru. Codziennie zaś, na progu redakcji, odczuwał wdzięczność dla sił organizujących jego los.

Zamknął drzwi swego pokoju, przysiadł na biurku i nakręcił numer. — Dzień dobry — powiedział chłodno, gdy odezwała się Teresa.

— Ach, Andrzeju... — wionęła Teresa — jakże się cieszę, że dzwonisz... — Głębokość tego szeptu uruchomiła cały system dreszczów w okolicy kręgosłupa.

— Miałaś telefonować w poniedziałek?

— Nie mogłam.

— Dlaczego?

— Och, nie pamiętam... — poskarżyła się. — Ale pamiętam, że nie mogłam. Masz już samochód?

— Mam.

— Dawno?

— Od dzisiaj.

— Za piętnaście siódma. Mam lekcję stenografii o siódmej. Zawieziesz mnie, dobrze?

Odłożył słuchawkę dłonią wilgotną, jak u piętnastolatka.

Zjadł obiad w Klubie Dziennikarzy, po czym poszedł pieszo do Nowego Świata. Mimo wysiłków nie zdołał nic przemycić dla Teresy: wszyscy celnicy świata wydawali się trzodą baranków wobec czujnego oka Elżbiety.

4.

Na rogu Nowego Świata i Chmielnej tłum gęstnieje, wzbiera irytacją i zachłannością wokół sklepów komisowych z maszynkami do golenia Remingtona i kuponami angielskiej wełny, pociesza się klasyczną doskonałością ciastek Bliklego, których zapach przywraca mu wiarę w ojczyznę, cieszy się z niepozornych wytworów meblarskich firmy *Ład*, z uznaniem notuje rozwój państwowego przemysłu chemicznego, oferującego nowe truciki na szczury i klej do tworzyw sztucznych. Jest tu kolorowo i ciekawie, w wiosenne popołudnie, nawet porównując z Bulwarem Kapucynów, czy skrzyżowaniem Oxford i Regent Street. Gdzie rodzi się barwność, wyodrębniająca jedną ulicę spośród innych ulic? Czy tworzą ją domy, sklepy, wystrój uliczny — mizerne, z trudem nobilitowane do wielkowiejskości? Czy przynoszą ją ze sobą smukli chłopcy w wąskich *jeans'ach* z pasiastego, wygniecionego caju za grosze,

albo starannie wymalowane tanią szminką i ufryzowane w wysoko utapirowane koki dziewczęta ze szkół zawodowych? Chałupnicze pochodzenie tej elegancji nie ulega wątpliwości, a przecież znamionuje ją taki wysiłek, że nie może pozostać niepostrzeżona: prawidłowe aspiracje to niemal tak wiele, jak bogactwo. Tu i ówdzie wzrok wyławiał twarz kobiecą, uderzającą uniwersalizmem poloru, wszechświatową zdobyczą kobiecości lat pięćdziesiątych, jednoczącą w wysiłkach weteranki erotycznej samodzielności z młodziutkami adeptkami, wkraczającymi dopiero na bezmierne boisko gier wieczorowych. Mogły to być żony zaoranych inżynierów, utrzymanki zamożniejszych lekarzy, kobiety żyjące na wiarę z grubawymi, krzepkimi dyrektorami departamentów, głównych zarządów i central zbytu, absolwentki geologii pracujące naukowo, plastyczki na posadach, wysoko kwalifikowane stenotypistki, albo ekspedientki w stosunkach z filmowcami podejrzanego sortu, lub elektrykami podającymi się za filmowców, uczennice gimnazjalne bez planów na przyszłość, podrzędne pracownice telewizji, czy przemysłu kosmetycznego. „Są eleganckie”, myślał Andrzej z niechęcią, „prawie jak nasze żony i żony naszych przyjaciół, z którymi improwizujemy przelotne stosunki. Jak to się dzieje, że co druga facetka na tej ulicy mieści się w kategoriach mody? Co to jest elegancja w socjalizmie?” Zawsze uważał się za obrońcę atrakcyjności, czuł się odpowiedzialny za misję cywilizacyjną, którą miał do spełnienia w społeczności wielkich zapór wodnych i kopalń i budujących je, niekształtnych postaci w watowanych fufajach. Sprzymierzył się z tą rasą niezgrabnych budowniczych, to prawda, lecz pragnął ich zmienić, upodobnić do kolorowych sloganów zadowolonego wyglądu z reklam Shell Oil Company, w ten sposób funkcjonowała jego świadomość ideowa. Przez długie lata teoria i praktyka socjalizmu dawały mu szansę perwersyjnej nierówności społecznej. Chwalił w druku wytworność hallu nowej siedziby związków zawodowych, lub elegancję wyposażenia nowego typu wagonu sypialnego, lecz prawo do mianowników osobistego wyróżniania się rezerwował zazdrośnie dla siebie i swoich. Ta ulica stanowiła jakiś owoc jego publicznych wystąpień, a przecież nie cieszyła go. Z roku na rok atakowała go dotkliwiej w miłośnię strzeżonych przywilejach kastowych, w jego urodzie życia. Tym bardziej, iż zdawał sobie sprawę z faktu, że dla tych młodych Jamesów Dean'ów i Marlonów Brando z technikum przemysłu spożywczego jest już tylko czysto i dostatnio ubranym panem, niczym nie przykuwającym uwagi.

Zatrzymał się przed niewielką witryną na Chmielnej, pod szyldem ustylizowanym na wiejską wystrzyganę. Na wystawie

leżał ładny sweter. Wszedł do sklepu; wewnątrz tworzyła wydrapaną w kolorowym, chropawym tynku kompozycja abstrakcyjna, krzeselka z żółtego i niebieskiego plastiku i stelaże z metalowych rurek zamiast lady: na nich samodziałowe tkaniny, naszyjniki z wypalanych drewniaków i ranne pantofle o prasłowiańskich wzorach.

W głębi stała kobieta, lekko pochylona nad elektryczną maszynką do kawy. — Dzień dobry — rzekł Andrzej. Pani wyprostowała kształtną, wysoką postać, ubraną ciemno i starannie. — Czym mogę służyć? — spytała i dodała niedbale: — Ach, pan redaktor Felak. Pan w kraju?

— Maryta — rzekł Andrzej zaskoczony. — Co za niespodzianka! — Ucieszył się, chociaż zaraz nie był zbyt pewny, czy się cieszy.

Pani powiedziała: — Co za zaszczyt, nie mówiąc już o przyjemności. Może się pan napije kawy? — Pochyliła się nad maszynką, wyglądała na zmieszaną, mimo wszystko.

— Maryto... Jak dawno cię... pani nie widziałem... — Do bywał ze swego głosu maksimum życzliwości.

— Nie bywa pan w tych okolicach Europy. — Nie potrafiła wyrzucić zjadliwości ani z twarzy, ani ze słów. Wyprostowała się i stała naprzeciw Andrzejowi chowając dłonie w rękawy sukni jak przed zimnem i patrząc mu w oczy z niechętną ironią.

— Teraz sobie przypominam, że kiedy widzieliśmy się ostatnio była pani kierownikiem jakiejś spółdzielni od tkanin. Prezesem, lub dyrektorem, czy tak?

— Byłam — przyznała. — Człowiek pracuje ciężko na ziemi przodków.

— Rezultaty są zdumiewające — zapewnił poważnie, tonem wzbudzającym zaufanie. — To znaczy: działalności takich kobiet jak pani, energicznych, samodzielnych, obdarzonych inteligencją i wybornym smakiem.

— Jestem samodzielną, bo muszę. Chętnie zrezygnuję z samodzielności. Żeby tylko ktoś chciał za mnie zarabiać i wychowywać za mnie dzieci.

— Ubrałyście Polskę — kontynuował Andrzej wymijająco. — Należy pani do wspaniałego pokolenia, które nie pozwoliło złamać się wojnie, okupacji, ani temu, co potem... — uśmiechnął się — ...to znaczy trudom powojennej odbudowy.

— Jest to pokolenie — uśmiechnęła się również — mocno nadgrzyzione zębem czasu. Wystarczy spojrzeć na mnie, nie? — Patrzyła mu prosto w oczy, wrogo i prosząco zarazem.

— Termin pokolenie jest umowny — rzekł pojednawczo. — Chciałem powiedzieć, że należy pani do rasy kobiet niezłomnych,

zarówno charakterem, jak wyglądem. Trwacie ponad pokoleniami, jak kamienie polskości. Jesteście ostatnimi Polkami, te, które przychodzą po was, nie różnią się od Dunek i Szwajcerek już niczym, ani moralnością, ani skalą możliwości. Na was kończy się tradycja polskich bohaterek ocalenia gospodarczego kraju w czasie, gdy mężczyźni z dobrych rodzin odpoczywali po przegranych wojnach i powstaniach w więzieniach, szpitalach i na emigracjach. Wasze prababki szyły sztandary i bandaże przed każdorazową klęską, a po niej zarządzały kluczami folwarków. Wy stałyście się szafarkami narodowego dochodu gumy do żucia i soku pomarańczowego, płynących w paczkach z uchodźstwa, a potem stworzyłyście instytucje, w których społeczeństwo mogło nabyć trochę kolorowego wdzięku do ubrania, lub do urządzania mieszkań. — Spacerował wolno po ciasnym wnętrzu i dotykał abażurów w kształcie chłopskich kapeluszy, misternych kapliczek przydrożnych z precyzyjnie krojonej słomy i patyków, świątków z surowej ceramiki, tkanin tchnących poezją nauczycielskich zielników, broszek z ziaren ususzonej fasoli i delikatnie struganej kory sosnowej: inspirował go ten dziwaczny świat adoptowanej przez współczesną plastykę ludowości, w którym sztampa ulegała ubożuchnej kokieterii rąk zmyślnych i zmęczonych, a przywiązanych do czegoś, co minęło i co tylko można wspominać w edycji doskonalszej, lecz sztucznej.

— Kiedy miałam osiemnaście lat — powiedziała Maryta zimno — to znaczy w czasie marszu na Zaolzie i Kowno, najgoręcej pod słońcem nienawidziłam mojej prababki, za to, że całymi dniami opowiadała mi o szyciu sztandarów i zarządzaniu folwarkami. Musiałam jeszcze nosić warkocze, ale pozbyłam się już cnoty. Nauczono mnie pływać, ale nie wolno mi było jeszcze chodzić do Adrii. Toteż marzyłam wyłącznie o nocnych lokalach i hotelach na Rivierze. Zabiłabym każdego, kto przepowiedziałby mi wtedy, że będę w życiu musiała robić to, co moja prababka.

— Los prawdziwej Polki... — zaczął Andrzej.

— Bzdura! — przerwała. — Niech się raz na zawsze skończy los prawdziwej Polki! Tylko tego pragnę, żeby los mojej córki nie różnił się niczym od losu Szwajcerek i Dunek. Niech będzie samodzielna, energiczna, zaradna, inteligentna tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Niech nigdy nie zazna honoru gotowania i prania dla dwojga dzieci po całym dniu morderczej pracy na kierowniczym stanowisku!

— Rozumiem — rzekł Andrzej. — Dlatego przestała pani być prezesem.

— Nic pan nie rozumie — odparła Maryta: wyjęła z kasy paczkę Pall Mall'i i poczęstowała Andrzeja. — Nie wie pan co

to jest zmora księgowych. Kiedyś, jak będzie pan miał czas, opowiem to panu. Może to pana zainteresuje.

— Niech pani opowie — rzekł; nic go nie obchodziła działalność księgowych w świecie folklorowych obrusów i wystruganej z polerowanego drzewa Męki Pańskiej, epatujących amerykańskie turystki.

Do sklepu weszła para młodych ludzi. — Czy są wełny *bouclé*? — spytała młoda facetka o nieczystej cerze: trzymała cały czas za rękę wysokiego, nieśmiałego mężczyznę. — Nie ma — odparła Maryta chłodno. — Przepraszam — powiedziała dziewczyna potulnie i wyszli oboje, niezręcznie, nie rozłączając rąk. — A to? — zdziwił się Andrzej — nie jest *bouclé*? — Jest — powiedziała Maryta spuszczać wzrok — ale wolę z tobą porozmawiać... — W głosie jej zjawilo się ciepłe wahanie i Andrzej poczuł chęć uciezki. — Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy bardzo się zestarzałam? — spytała prosto: wyszła spoza blatu na stelażach i stała nieruchomo, z dłońmi w rozciągniętych rękawach, patrząc w twarz Andrzeja. Czegoś w niej szukała i Andrzej zniósł to spojrzenie bez trudu. Wodził wzrokiem po jej twarzy, ostentacyjnie, jakby manifestując sentymentalny podziw; usiłował bezskutecznie uzyskać ów zgłodniały po rozłące wyraz sycących się czyjaś obecnością oczu, chociaż w twarzy tej odnajdywał z osobliwą satysfakcją wszystko co mu imponowało jedenaście lat temu, gdy spoglądała nań z jego biednej, suchej poduszki, niezbyt czysto obleczonej, zaś on wodził palcem po jej brwiach, ostrożnie i zazdrośnie, ciesząc się ich dumnym zarysem, cienkością skóry na skroniach, ruchliwością nozdrzy, tym wszystkim, o czym niedomyty wyrostek gimnazjalny z biednej, urzędniczej rodziny czytywał niegdyś u Żeromskiego w opisach czarnobrewej, aksamitnej, pysznej urody magnackich córek. Brała wtedy za gest miłosny co było gestem zadumanego dorobkiewicza. Nie mógł nie myśleć wtedy o ojcu, najbardziej szarym, małym człowieku, jakiego znał, w szelkach i koszuli bez kołnierzyka, który nacierał sobie dziaśła cebulą, mniemając, że w ten sposób podporządkowuje się nowoczesnej wiedzy o witaminach i przedłuża swą nędzną egzystencję. „Socjalizm zadośćuczynieniowy...”, myślał z rozkoszą. „Gdybym wiedział wcześniej, że to daje socjalizm, walczylibym o niego...” Dziś twarz ta, jedna z twarzy, które mu przyniósł socjalizm, zdevaluowała się w inwazji zmarszczek, wytarła i przyblakła, lecz coś z rozdzwonionego poczucia szczęścia ciągle jeszcze rozlegało się w duszy Andrzeja. Pragnął jej to coś przekazać, ale nie za dużo, nie wiążąco, i męczył się, nie potrafiąc nadać właściwego sygnału. „Ciągle jeszcze jestem prostakiem...”, umiał się przyznać. — Maryto — rzekł wreszcie — czy znajdziesz dla mnie jakiś

wolny wieczór? — Te słowa powinny były skwitować zawide rachunki, których się nie chce liczyć.

— Panie redaktorze! — Maryta zaniósła się dziewczęcym chichotem, zbyt głośnym, lecz miłym. — Czyżby... należało sądzić, że pan redaktor i ja?...

— Mały spacer za miasto — rzekł oszczędnie, lecz znacząco: nabrał już pewności siebie, sprawa posuwała się po terenie płaskim, bez przeszkód i wybojów.

— Jakże mi miło... Ale po co? Znamy się tak dobrze, dawno powiedzieliśmy sobie wszystko. Czy warto tracić czas na rozmowy z kobietą w moim wieku? Jechać za miasto aby wymieniać uwagi na temat spółdzielni i księgowych?

„W gruncie rzeczy marzy o tym”, pomyślał. „Marzy o opisanu jej spraw w gazecie. Dziwna, polska wiara w prasę jako w skrzynkę zażaleń, wyższą instancję rozległej sprawiedliwości...” — Wiesz — powiedział — samochód daje różne możliwości... — Zabrzmiało to nago i prosto, gwarantując natychmiastową przezwagę wypowiadającemu te słowa.

Maryta przysunęła się bardzo blisko: pięknym, miękkim ruchem pogładziła go po policzku, zatrzymując przez chwilę jego podbródek w zagłębieniu wygiętej dłoni. — Kochany — powiedziała — dziękuję ci... Zachowałeś się bez zarzutu.

„Nieporozumienie”, pomyślał Andrzej, „ja naprawdę, z największą chęcią... Ona się świetnie trzyma...” — Więc kiedy? — spytał.

— Już nigdy — powiedziała Maryta z sympatią. — Po co psuć coś, co w sumie było nie najgorsze. Zresztą, jestem samodzielną, lecz nie samotną.

Nagle zaczęło mu na tym niechętnie zależeć. — Wraz z wiekiem — uśmiechnął się nieco obraźliwie — mieszczańska przyzwyczajenie, co? Ty, jedna z ostatnich szlachcianek w tym kraju?

— Na starość stałam się wierna — westchnęła Maryta. — Każdemu to, na czym mu mniej zależy, jak ktoś mądrze napisał. Ze znanych mi w życiu ludzi ty jeden osiągnąłeś wszystko: sławę, delegacje służbowe do Monte Carlo, wpływy...

— Zapominasz tylko — rzekł z oględnie stłumioną skargą — ile było pracy, wyrzeczeń, upokorzeń po drodze. Ile to kosztowało.

— Kilka zręcznych kłamstw w druku — powiedziała pogodnie. — I to niezbyt ostentacyjnych, ani gorliwych, gdyż zawsze dbałeś o pozory.

— Zabawne — uśmiechnął się. — Mówisz, jak moi wrogowie.

— Ty nie masz wrogów. Na tym polegasz. Jesteś na to zbyt

tchórzliwy. To jest twój numer, żeby być ze wszystkimi dobrze.

Andrzej zmarszczył czoło. — Interesujące... — przybrał minę mądrą i skupioną, ignorującą dobrotliwie ostry kontur słów Maryty — co z nami uczyniło szesnaście lat władzy ludu...

— Ze mną nic strasznego. Zmusiło mnie tylko, żebym dała mojej córce uniwersyteckie wykształcenie za wszelką cenę.

— Widzisz... Za cenę wyrzeczeń i upokorzeń, harówki w godzinach nadliczbowych i całoniedzielných sprzątań mieszkania. U siebie konstatujesz cenę łatwo, u mnie jej nie dostrzegasz.

— Andrzej — powiedziała łagodnie — kto ci kazał? Ja musiałam, ale tyś chciał. Ja wypełniałam mój parszywy obowiązek matki, którego nienawidzę, a ty...

— Też spełniałem swój obowiązek — przerwał z nieustępliwą godnością. — Gdybym ja tego nie robił, robiłby ktoś inny. Gorzej, prostacko, drażniąc uczucia narodu, zaprzepaszczać dobrotek naszej kultury, pomiatający tym, co nasze, polskie, co trzeba przechować jak Arkę Przymierza przez najgorsze. Gdybym ja tego nie robił, robiliby to ciaśni doktrynerzy, lub płascy karierowicze, którym nie zależy na niczym, prócz własnego powodzenia, na niczym, na żadnej z tych pięknych przenośni, w kulcie których wzrosliśmy i którym zawdzięczamy formy naszych myśli. Mój obowiązek wobec...

— Już przestań... — Maryta zapaliła papierosa ruchem pełnym zmęczenia.

— Muszę lecieć — Andrzej obejrzał z przejrzystą przesadą zegarek.

— Chciałeś coś kupić?

— Owszem... — rzekł niepewnie. — Prezent dla siostry. Ale może już innym razem.

— Wpadnij. Pogadamy o księgowych. Porozumiemy się łatwo na ich temat.

— Oczywiście — rzekł. „Nie przejdę Chmielną przez następne dziesięć lat...”, postanowił.

Gdy wyszedł, usiłowała sobie przypomnieć, czy Andrzej ma siostrę. Pociężyło ją, że nic już nie pamięta.

5.

Teresa wsunęła się wprawnie do samochodu. — Cudny — powiedziała i długo oglądała wnętrze, przesuwając palcami po szczegółach. — Co to za kwiatki? — spytała opryskliwie. — Dla

ciebie — rzekł Andrzej, wzruszony jej widokiem. Dostrzegając teraz swą tęsknotę i wielomiesięczny, bolesny brak tej dziewczyny; to rozczulało przyjemnie, kształtując szacunek dla samego siebie i swych uczuć. — Wyrzuć ten *dings* — powiedziała Teresa, wskazując na wazonik. — Przecież nie zamienisz tego Fiata w mieszkanie woźnego? Skądżeś to wytrzasnął, z oranżerii wojewódzkiego domu kultury? — Wyjęła pierwsienki z wazonika, który wyglądał teraz groteskowo, jak krawat z Cedetu na premierze w Anglii. — Wyglądasz świetnie — rzekł Andrzej głosem spuchłym od sentymentu. — Ty też — odwzajemniła się Teresa. — Utyłeś. No, cóż... — dodała pieśczośliwie — młodość mija. — Nareszcie spojrzę na mnie — mruknął Andrzej bez urazy. — Po raz pierwszy od tyłu miesięcy. Najprzód samochód, potem wazonik, teraz ja. — Nie indycz się — powiedziała Teresa pogodnie — na wszystko jest czas, po kolei. Jedź już, tu nie należy za długo stać...

Andrzej wyjechał z ciemnego pasażu między blokami wprost na pełen ludzi i wiosennego kurzu Plac Konstytucji. — Dokąd jedziemy? — spytała Teresa. — Na lekcję stenografii, nie? — uśmiechnął się obiecująco. — Z takim samochodem jesteś kozak — powiedziała Teresa. — Cnotka, albo piechotka. — Zwinęła się niedbale na siedzeniu, odchylając leniwie głowę do tyłu, zsunęła ze stóp szpilki i podkurczyła nogi pod siebie. — Co to znaczy? — spytał rozbawiony. — Och, takie proste — westchnęła. — Wywozisz piętnaście kilometrów za stolicę i albo albo.

Przejechał szybko Hożą do Placu Trzech Krzyży. — Dokąd lecisz? — spytała ponownie. — Do mnie — odparł. — Tylko zjadę dołem. Nie chcę się kręcić po Nowym Świecie o tej porze. Za dużo znajomych. — Mnie tam bez różnicy — Teresa wzruszyła ramionami.

Właśnie skręcał w Książęcą, gdy z prawej strony nadleciała odrapana furgonetka, pakując mu się niemal na błotnik. Szofer furgonetki zatrzymał wóz i w myśl najzdrowszej taktyki każdego winnego wychylił się z impetem. — Jeździec bez głowy! — zaryczał waląc się w czoło. — Kup se taczke! Artysta, do chlewu by nie wjechał! — Andrzejowi zbieleły wargi ze strachu o opalizujący lakier, a także wobec odmętu niegodziwości, nie potrafił wydobyć z siebie słowa; nerwowy pot skleił mu koszulę, gdyż ludzie skupiali się już dokoła, a draka w tym momencie, z Teresą w wozie i z ewentualnym legitymowaniem wszystkich wmieszanych przez milicję pociągnąć mogła nieobliczalne skutki. Teresa natomiast wyjrzała przez okno i oświadczyła spokojnie szoferowi: — Ty baranie! Czekaj, zaraz postaram się o milicjanta i do końca życia nie zobaczysz z powrotem swego prawka!

Nie takich jak ty... — Szofer uznał, że jak dotąd rozegrał bezbłędnie partię, syt chwały puścił sprzęgło i szybko zmył się. — Co za bydlę... — westchnął Andrzej. — Musiał — powiedziała Teresa. — Takie jest życie. Jak się komuś coś zrobi, to najlepiej z góry na niego.

Zatrzymał wóz przed Fukierem; Teresa wyszła i poszła w stronę Barbakanu, zaś Andrzej zamknął starannie i udał się do domu. Funkcjonowali sprawnie, bez słowa, jakby ostatnia schadzka miała miejsce przedwczoraj. Otworzył mieszkanie bez pośpiechu, stanął w oknie i patrzył na Teresę, idącą wolno przez środek Rynku, w jego kierunku: mężczyźni zatrzymywali się i oglądali za nią; wyglądała jak z reportażu w *Vogue* o wiosennej modzie młodych dziewcząt na tle starej architektury. Ostentacyjną swobodą kryła rzucane na boki, ulotne spojrzenia. — Uff... — powiedziała, gdy zamknął za nią drzwi — wiesz, że nie należę do płochliwych, ale nie lubię wchodzenia do ciebie. Denerwujące. Za to lubię u ciebie być. — Andrzej chciał ją objąć i pocałować. — Spokojnie — odchyliła się do tyłu. — Zaraz, zaraz, nie tak na ura. Nie widzisz jaka jestem zrobiona? — Rzeczywiście, stanowiła dzieło swoistej sztuki: sztywne halki, na których wznosiła się krótka, rozszerzająca się do dołu spódnica, wysoko modelowany, wołający o dotyk biust, na głowie rudo blond nieład, którego przemysłna struktura wskazywała na długotrwałe, żmudne opracowanie.

— Napijesz się czegoś? — spytał Andrzej. — Najchętniej wina owocowego marki Gryf, szesnaście złotych butelka — westchnęła Teresa — ale o ile cię znam, to mi dasz whisky, stary snobie. — Usiadła na fotelu za biurkiem Andrzeja i grzebała w papierach. Należało teraz powiedzieć coś o podróży, powrocie i tak dalej: w przyprawie bezradności wzrok Andrzeja zatrzymał się na przywiezionych przez Elżbietę nie wiadomo po co *longplay*'ach. — Acha — powiedział szybko — coś ci przywozłem. — Wręczył jej jedną z płyt: na glazurowanej okładce widniało czterech wytwornych Murzynów o twarzach nubijskich książąt krwi po studiach w Oxfordzie, instrumenty i Murzyni owinięci byli tytułem „Modern Jazz Quartett — Fontessa”. — To taki jazz nie do tańczenia — rzekł Andrzej. — Mam nadzieję, że będzie ci się podobać. — Mnie? — Teresa odęła śliczne, pełne usta. — Mnie się podobają ci w skórzanych spodniach, z gitarami, co mają po czternaście lat i robią mostek nie przestając śpiewać. „Rock around the clock!” Takie *longplay*'e to dla Jacka. On za tym przepada. W każdym razie dziękuję w jego imieniu. — Andrzej wypił szybko swoją whisky: nie był pewny, czy powinien obrzucać męża Teresy prezentami z podróży, ale

— Wręczyła Jackowi *longplay*'a i znikła. Stali nadal naprzeciw siebie, gdyż nigdzie nie było wolnego miejsca, i Jacek powiedział cicho, uprzejmie: — Bardzo dziękuję. Mam to nagranie, ale w innej edycji.

— Czyżbym nie utrafił w pana gust? — uśmiechnął się Andrzej.

— Ależ tak... — zastrzegł się nieśmiało Jacek. — To jest... my, muzycy jazzowi, jesteśmy zmienni i chwiejni. Ta muzyka — wskazał na *longplay* — jest emocjonalna, miękka, subtelna. Ostatnio... — zawahał się — szukam muzyki chłodnej i wszechwiedzącej. Miles Davis, Art Blakey, czy ja wiem? — Zamyślił się, wypychał rękami kieszenie zamiszowej, szlachetnie znoszonej kurtki: z rozpiętej na piersiach koszuli w szerokie, białe niebieskie paski wyłania się muskularna szyja ze złotym medalikiem na krótkim łańcuszku, powyżej piękna, chuda twarz smutnego gladiatora; był niewysoki, bardzo wąski w biodrach i szeroki w ramionach, smukły i silny.

— Dlaczego nie gra pan dzisiaj? — spytał Andrzej.

— Obowiązki klubowe — odparł, jego wzrok wrócił na twarz Andrzeja. — *A propos* — ożywił się może wygłosi pan u nas odczyt? Wieczór autorski? Zebrał pan na pewno mnóstwo wrażeń w tych wspaniałych podróżach. A w ogóle... — spojrzenie jego uciekło w kolorowy, zadymiony mrok sali tańca — ... pan tyle wie o życiu... U nas i gdzie indziej...

— Z chęcią — bąknął Andrzej sztywno.

Wydawało mu się w tej chwili, że Jacek wie o wszystkim, lecz że nie ma to żadnego znaczenia. Nie czuł ani wstydu, ani winy, ani nawet strachu przed lepkim zdenerwowaniem decydujących rozmów. Nie potrafił skonstruować żadnej przewagi nad Jackiem, nawet w sobie, więc bał się jedynie szyderstwa.

6.

Nazajutrz pojawiła się na wystawach „Pikielhauba z plexi-glasu”. Andrzej wchodził do księgarń, stawał nieopodal sterty książek, wertował inne i łypał spod oka czy ktoś sięga po owoc jego intelektualnego łona. Nie był debiutantem, oglądał już swe książki w witrynach i w rękach obcych ludzi, a jednak ulegał nieodmiennie nastrojowi porodu: książka wyłania się na świat dopiero na wystawie księgarń.

Brak popytu nie wpływał na jego samopoczucie, przemycie

i uperfumowane Teresą, żywym śladem jej wczorajszej obecności. Czuł się młody, silny, zaciekawiony tym, co idzie mu naprzeciw. W hallu Grand Hotelu szedł na jego spotkanie Lorant.

— Jak się spisał Majewski? — spytał, biorąc go pod rękę, gdy oddali płaszcze w szatni.

— Dziękuję — uśmiechnął się Andrzej. — Dziewięćdziesiąt procent zniżki. Opłata niemal symboliczna.

— Ładnie — powiedział Lorant z oszczędnym podziwem. — Wiesz, Majewski dzwonił do mnie po wizycie Elżbiety. Załatwiam z nim coś i zależy mu na mojej opinii. Cholernie chce zostać radcą handlowym w Rzymie, lub Wiedniu. Tysiące interesów... — uśmiechnął się wąsko — poza sprzedażą obrabiarek i statków. Zwłaszcza z fabrykantami konfekcji dla naszego importu. Poza tym on ma ambicje. Pytałem go, czy był dla ciebie miły.

Andrzej zachował uprzejmy wyraz twarzy. Dojrzywał w nim sprzeciw: ostatecznie nie można wszystkiego zawdzięczać Lorantowi, byłoby to wręcz niezdrowe. — Zniżkę — rzekł niedbale, lecz stanowczo — uzyskałem jeszcze przed twoim telefonem. Majewski rozmawiał ze mną zaraz po wizycie Elżbiety. Wspominał że ministerstwo ucieszyłoby się gdybym napisał coś o mrówczej i niedocenianej pracy ich funkcjonariuszy, rujnujących sobie zdrowie na wielkich wystawach eksportowych pomiędzy Melbourne, Archangielskiem i Sao Paulo, gdzie zmusza się ich do picia whisky i koniaku przy każdej transakcji. Przyrzekłem mu, no i poleciało.

— Świetnie — Lorant zainkasował cios bez zmrużenia oka. — Cieszę się, że ci się udało. — Nie mógł powstrzymać tchnienia ironii: uważał *exposé* Andrzeja za zbyt bezpośrednie, a zatem niezbyt zręczne. — Majewski jest przytomny — dodał. — Na pewno wstał na jakiejś naradzie kolegielnej i oświadczył: „Dokonałem wielkiej rzeczy, zobowiązałem słynnego Felaka do napisania o nas prawdy, czyli do zrobienia nam trochę reklamy! I to za jak śmiesznie niską cenę...”

Andrzej przełknął ślinę porażki, Lorant był nie do pokonania. „Zawsze należy podziękować i pochylić głowę”, myślał z rozdrażnieniem. „Tylko w ten sposób osiąga się coś bez upokarzających nauczek...” Urok Loranta sprawiał, że zapominało się, iż działa on wyłącznie w imię wymiany usług, co zyskiwało mu w Warszawie opinię człowieka przyzwoitego; hasło „Ktoś ginie! Trzeba mu pomóc!” było Lorantowi obce i niezrozumiałe, co pozwalało mu być zawsze sympatycznym i lubianym przez wszystkich.

Weszli na Salę Turkusową, gdzie na ich widok podniosło się dwóch panów od bogato zastawionego stołu. Lorant przed-

stawił Andrzeja i powiedział: — Niestety, nie mogę z panami zostać. — Nie zechce się pan czegoś napić? — spytał pan de St. Quentin. — Owszem — rzekł Lorant. — O tej porze kieliszek białego wina. — Traktował obu panów nieco z góry, co wywierało widoczne wrażenie na Greenleaf'ie, który natychmiast zawołał kelnera i tłumaczył mu łamaną niemczyzną jakie ma dostarczyć wino. Andrzej czuł się zirytowany kontrowersją z Lorantem, drażnił go podejrzany przepych tej sali, kolidujący z lichotą obić na fotelach i nie pierwszej czystości kurtką kelnera. Podziwiał Loranta, że zdawał się nie poczuwać do żadnej odpowiedzialności za nieogoloną twarz szatniarza, czy brak żarówek w imponującym żyrandolu, wstydlive mankamenty nie naruszały w niczym jego impregnowanej wyniosłości: Lorant wyrządzał łaskę temu społeczeństwu, reprezentując je, co do tego stanu rzeczy nie mogło być żadnych nieporozumień. Ledwie dotknął wargami reńskiego wina ze specjalnie przyniesionej i ceremonialnie odpieczętowanej butelki, po czym wstał, pożegnał się chłodno, poklepał Andrzeja protekcjonalnie po plecach, dodał do Greenleaf'a: — Spełniłem pańską prośbę, zetknąłem panów ze sobą. Moja rola skończona. — I poszedł. Andrzejem zawładnął naraz absurdalny przymus usłużności wobec tych dwóch, jakby dla odkupienia odpychających win Loranta.

— Proszę, niech pan siada — rzekł Greenleaf do Andrzeja i wręczył mu kartę. — Czego się pan napije przed lunchem? — spytał oziębłe pan de St. Quentin: oglądał Andrzeja uprzejmie, lecz bez zainteresowania. — Może polskiej wódki? — rzekł Andrzej. — *Couleur locale* to nasza mocna strona.

Kelnerzy rozlali mocno zamrożoną wódkę. — No, to zdrowie — rzekł Andrzej, wznosił kieliszek i wypił. Greenleaf i St. Quentin wypili po ćwierć kieliszka. Wódka wyrzuciła Andrzejowi od razu czerwone plamy na policzki: poczuł się swojsko i ciepło. „Jestem dziś w formie”, pomyślał. „Trzeba ich solidnie podlać, rozmowa potoczy się inaczej”. — Fe, panowie — rzekł z wyrzutem. — Skoro już jesteśmy w Polsce korzystajmy z głównych uroków tego kraju. — Nie czekając na kelnera dopełnił wódkę w ich kieliszkach. — Od razu i do samego końca! — trącił się z Greenleaf'em. Greenleaf uśmiechnął się zdawkowo i wypił; milcząc jadł w dużych ilościach wędzonego łososia i kawior, dość łąpczywie, nie zwracając uwagi na pozostałych. St. Quentin obracał kieliszek w palcach, po czym wypił powoli, smakując płyn na języku jakby to było kakao. — Felak to polskie nazwisko? — spytał

— Jak najbardziej — odparł dumnie Andrzej. — Chociaż... mniej więcej...

— Często spotykane?

— O, nie — zastrzegł się Andrzej.

— Acha — rzekł St. Quentin obojętnie; milczał chwilę, po czym spytał: — Dlaczego powiedział pan mniej więcej?

— To długa historia — Andrzej rozpromienił się, że ma okazję. — W okresie wojen napoleońskich zostało w Polsce wielu oficerów, zwłaszcza po odwrocie spod Moskwy. Nie wykluczone, że nazwisko moje pochodzi od pewnego Bretończyka, kapitana Honoriusza de Feullac. W Bretanii spotyka się to nazwisko, a także jest wioska o tej nazwie.

— Dziwne — rzekł St. Quentin bez najmniejszych oznak zdziwienia. — Wydawało mi się, że polskie nazwiska na ak, jak Walczak, Matysiak, Jędrzejczak, są pochodzenia wiejskiego, zaś w miastach, zwłaszcza śląskich i wielkopolskich, są odbiciem przewarstwiania się napływowych mas chłopskich w żywioł drobnomieszkański i rzemieślniczy. Zwłaszcza w drugiej połowie siedemnastego wieku, na co wskazują stare, polskie źródła onomatologiczne i heraldyczne. Ale mogą nie mieć racji.

Andrzej zjadł kawałek łososia z wymuszoną dystynkcją. — No, to zdrowie pana — rzekł przychodząc do siebie. — Za pańską zdumiewającą orientację w polskiej onomatologii.

Montague de St. Quentin skłonił się lekko, poważnie. Ubrany był z bezbłędną, brytyjską niedbałością w za szerokie spodnie, za jaskrawe kolory, za duży goździk w butonierce i zbyt grube wąsy z operetek Gilberta i Sullivana'a: wszystko na nim było za luźne, za kraciaste i szalenie na miejscu.

— Trzy steki — rzekł Greenleaf do kelnera, improwizującego wokół stolika mnóstwo niepotrzebnych ruchów. — I czerwone Chianti. — Nie mamy włoskich win — rzekł kelner, zatając ręce. — To piwo — rzekł Greenleaf. — Może pan woli wino? — spytał St. Quentin Andrzeja. — Pozostaniemy przy wódce — zaproponował brawurowo Andrzej. — Z chęcią — rzekł St. Quentin. — Dla mnie piwo — rzekł Greenleaf, nie zwracając na nich uwagi.

— Nie odpowiada panu polski zwyczaj picia wódki wraz z jedzeniem? — spytał Andrzej, nieco wyzywająco.

— Odpowiada — odparł Greenleaf i wypił swą wódkę bez ceregieli.

— Dlaczego pozbawił nas pan towarzystwa swej małżonki? — spytał St. Quentin.

— Na tym szczeblu ścisłego poinformowania — Andrzej zapalił papierosa — powinien pan wiedzieć, że żony mej nie ma w Warszawie.

— Och, przepraszam — bąknął St. Quentin.

„Kiedy zaczną mówić?”, Andrzej czuł, że opuszcza go spokój: błędem byłoby inicjowanie właściwej rozmowy, zaś nie mógł dłużej trawić tych banałów.

Kelner przyniósł steki i Greenleaf oświadczył z nieoczekiwaną serdecznością: — Więc pijmy po polsku. — Kelner rozlał wódkę i wszyscy wypili bez ociągania. Greenleaf odkroił kęs mięsa, lecz nie podniósł do ust, tylko zostawił wbity na widelcu. — Panie Felak — powiedział — to dla nas prawdziwy zaszczyt gościć pana. Słyszeliśmy o panu mnóstwo i jesteśmy panu niewymownie wdzięczni za to, że zechciał pan z nami spożyć lunch.

Te słowa i parę kieliszków wódki wyłobity w Andrzeju określone satysfakcje, które uważał zawsze za podmurówkę dobrych stosunków z ludźmi. — Bardzo mi miło — rzekł skromnie — i mam nadzieję...

— O tym właśnie chcieliśmy z panem pomówić — przerwał mu Greenleaf. Przeistoczył się uderzająco: dotychczas siedział z obojętnością z pogranicza wzdargy i uprzejmości, kwadratowy, kościsty blondyn o schematycznej szczęce, rudawych brwiach, pooranej twarzy i zwisających luźno rękach, jakby wyjęty z filmowej sagi o wozach pionierów toczących się na zachód przez pustynie Colorado i Wyoming, zatopiony w mrocznych rozważaniach surowych, prostych i wielkich problemów moralnych Starego Testamentu; teraz — spod jego półprzymkniętych powiek i wzajemnego przylegania słów i gestów doszedł Andrzeja nieodparty apel siły lewantyńskiego kupiectwa. Montague de St. Quentin palił powoli papierosa, nie tykając steku, jakby go wszystko przestało naraz obchodzić. Greenleaf dodał: — Zamierzamy otworzyć w Warszawie filię naszych przedsiębiorstw.

— Tak też sobie myślałem — uśmiechnął się Andrzej figlarnie. — Wycieczki Polonii Amerykańskiej, te rzeczy, co?

Greenleaf uśmiechnął się również, z nieopisaną serdecznością. — Otóż to — powiedział, pochylając się przez stół i kładąc ruda-wo porośłą dłoń na dłoni Andrzeja. — Pan mnie rozumie. Bylibyśmy panu zobowiązani, gdyby zechciał pan okazać nam swą nieocenioną pomoc i napisać o nas tak, jak się to nam należy. Podkreślić pionierską misję i wytyczanie nowych dróg. I żeby jak najwięcej było o Kościuszcze, Pułaskim i Jasnej Górze.

Andrzej zapalił papierosa i długo milczał. Po czym rzekł poważnie: — Zdaje się, że tu zaszło jakieś nieporozumienie. O jakiej pomocy panowie mówią? Nie jestem pewien, czy panowie zdają sobie sprawę... — Zatrzymał się: uderzył w zbyt wysoką nutę i zrozumiał to w porę.

— Ależ zdajemy sobie w pełni sprawę — przeszedł mu z pomocą St. Quentin. — Wiemy doskonale, że jest pan znakomitym,

polskim dziennikarzem, publicystą o europejskiej sławie. Chcieliśmy właśnie rozmawiać z redaktorem Andrzejem Felakiem, filarem świetnego tygodnika *Horvzont*, asem światowego reportażu, i uzgodnić z nim wspólne punkty widzenia, a także płynącą z nich ewentualność obopólnych korzyści. — Spojrzał z nieuchwytnym lekceważeniem na Greenleaf'a i uśmiechnął się sucho do Andrzeja, jakby mu dając do zrozumienia, że może wierzyć w te słowa, lub nie, zależy to wyłącznie od jego, Andrzeja, dobrej woli.

— Wolność prasy — powiedział Andrzej — jest rzeczą świętą. Jestem wolnym dziennikarzem, jestem z tego dumny, piszę to tylko, co nakazuje mi sumienie i rzetelna obserwacja.

— Absolutnie słusznie — zgodził się St. Quentin.

— Oczywiście — przyznał Greenleaf z żarliwym zrozumieniem. — Ale żeby było dużo o Matce Boskiej Częstochowskiej.

Andrzej wzniósł brwi z ironią pokrywającą niepokój. — Drogi panie Greenleaf — powiedział z odcieniem cierpliwej wyższości — zdawało mi się, że da mi pan szansę pisania o Ameryce i o pańskich przedsięwzięciach. Artykułów poważnych, tysięcy razy cenniejszych od waszej kapitalistycznej reklamy, fabrykowanej z płytkich, monotonnych sloganów, nadużytych i nieskutecznych. Zależy panu wszak na tym, ażeby Polacy po obu stronach oceanu dowiedzieli się o błogosławieństwach pańskiej działalności, po czym aby jedni kupowali od pana przejazdy za dolary, zaś drudzy udzielali panu ulg w podatkach. W tym celu, zapewniam pana, seria głębokich reportaży w *Horyzoncie* da panu więcej korzyści, niż kolorowe klisze na wstępnych stronach *Times'a* i *Harper's Bazaar*. Tak sobie wyobrażam naszą wzajemną przydatność.

— Panie Felak — rzekł St. Quentin z nieporównaną uprzejmością — oczywiście, jesteście panu skłonni dać tę szansę. Musimy tylko wiedzieć, czy to się nam opłaci, mówiąc ściślej: czy uwzględni pan nasze słuszne postulaty?

— A jak o Ameryce to już nie można o Jasnej Górze? — zdziwił się wątpiać Greenleaf. — Pan, taki wybitny fachowiec?

— Mówi pan naiwnie — rzekł Andrzej obcesowo. — Czy sądzi pan, że komunistyczna i upaństwowiona redakcja *Horyzontu* zezwoli mi na poematy o Jasnej Górze w celu ściągnięcia do Starego Kraju kilkuset starych pańien waszymi autokarami? Wierzę, że działalność panów jest wkładem i korzyścią dla zbliżenia i współistnienia Wschodu z Zachodem i to tylko jest ważne. Pochwalę wasze zamierzenia, wasz rozmach i pożyteczność w umacnianiu przyjaźni między narodami. Gotów jestem walczyć o moje przekonania, ale walczyć skutecznie. Rzecz w tym, że wia-

ra w prawdę natrafia się na trudności w sprzedaży, zarówno u was, jak i u nas. Tak już jest, panie Greenleaf, że daleko rozsądniej jest przemycać prawdę między wierszami, niż głosić ją frontalnie. Toteż nie możecie liczyć na więcej, niż kilka oszczędnych słów w każdym reportażu. Ich skąpość gwarantować będzie ich ukazanie się w druku.

Greenleaf wyciągnął cygaro z kieszeni kamizelki i zapalił, po czym wszyscy milczeli. Andrzej wypił sam kieliszek wódki i powiedział: — Jak panowie widzą stawiam sprawę jasno. Nie przyrzekam wiele, lecz to, co przyrzekam, stanowi dla panów jedyną możliwość w naszym mechanizmie... nazwijmy to reklamy... — uśmiechnął się.

— Są jeszcze inni dziennikarze w tym kraju — sapnął Greenleaf niegrzecznie.

— Są — przyznał Andrzej. — Ale z dziennikarzami trzeba być ostrożnym w tym kraju. Nie zawsze są tylko dziennikarzami.

Greenleaf sięgnął do marynarki, skąd wyjął zgniecioną wizytówkę. — W Paryżu podano mi nazwisko niejakiego Wonowskiego — rzekł. — Podobno doskonały reporter międzynarodowy. Nie gorszy od pana.

Andrzej uśmiechnął się lekko, po czym spoważniał. — To jest Żyd i członek Partii — powiedział tonem troskliwej bezstronności. — Już te dwie właściwości wystarczą do doskonałych stosunków z Urzędem Bezpieczeństwa.

St. Quentin wpatrzył się w smugę niebieskiego dymu z cygara Greenleaf'a, który miał kulki z chleba. — Jaką mam pewność — rzekł Greenleaf prosto — że pan jest tylko dziennikarzem?

Wzrok Andrzeja zamglili się; Andrzej sięgnął do kubeczka z lodem, rozlał wszystkim wódkę, milczał, lecz było coś rzewnego i rozmarzonego, a zarazem obrażonego w jego ruchach, milczeniu i spojrzeniu, coś z melancholii niezasłużonej krzywdy, coś dla Amerykanina i Anglika niezrozumiałego, żenującego, mało sympatycznego. — Panowie — rzekł Andrzej powoli — nie chcę poczytać tego za osobistą obrazę, co powiedział przed chwilą pan Greenleaf. Zresztą nie należy go o to zbyt winić, niby skąd ma wiedzieć? Może jednak wystarczy panom, że w czasie wojny byłem majorem Armii Krajowej, zaś po wojnie aresztowany zostałem przez policję polityczną Stalina i więziony za nieprawomyślność i znajomości z cudzoziemcami. Ponadto ciągle nie podobam się, ja i moja przeszłość, pewnym żydowskim możnowładcom prasowym. A teraz wypijmy i nie mówmy o tym więcej.

Greenleaf i St. Quentin wypili posłusznie, jak na komendę, po czym Andrzej przeprosił i udał się do toalety. „Czy nie za

wysoko pojechałem?”), niepokoił się po drodze. „Aż do majora?...”

— Co pan o tym sądzi? — spytał Greenleaf.

— Wykluczone — odparł St. Quentin — żeby był majorem AK. Za młody. Trzeba sprawdzić, czy siedział, wydaje mi się to nieprawdopodobne.

— W życiu nic o nim nie słyszałem, poza tym, co mówił mi Lorant. Europejska sława, as światowego reportażu... załgał się pan na śmierć, hrabio! I to dla kogo, dla takiego pętaka? Jeszcze sobie coś wmoi i podrożeje.

— Nie zna pan Polaków — uśmiechnął się St. Quentin pod swymi wąsami z *fin-de-siècle*'owej burleski. — W tym narodzie pochlebstwa dają rabat, dostaje się za nie wszystko po niższej cenie. Może pan ich kupić wraz z całą ich historią za parę duserów w stylu przedmurza chrześcijaństwa, sumienia świata, natchnienia narodów, jedyni niezależni i najdzielniejsi z dzielnych. Ten Felak to kanciarz. Sprytny kanciarz, który doszedł do wniosku, że dziś najłatwiej oszukiwać na deklaracjach. Że lepsze zyski osiąga się dziś w *business*'ie wiar i ideologii, niż w machinacjach giełdowych i u bogatych wdów. Lecz w gruncie rzeczy to głupiec. Może go pan zaangażować.

— Nie, hrabio — rzekł zimno Greenleaf. — Nie chcę głupców. Chcę przytomniaka, który mnie zrozumie i zarobi sobie.

— Wydaje mi się, że należy on do tych głupców, którym się wszystko udaje i którzy, w związku z tym, wcale nie są głupcami. Po prostu przestają nimi być. Ale mogę się mylić.

Andrzej wrócił z toalety. Greenleaf popadł w wzgardliwie uprzejmą obojętność. — Co pan nam radzi obejrzeć w teatrze, korzystając z pobytu w Warszawie? — spytał St. Quentin to-nem światowym.

Andrzej zapalił i zaciągnął się mocno dymem. — Czyżbyście panowie zrezygnowali z uruchomienia filii w Polsce? — spytał z troską.

— O, nie — rzekł Greenleaf. — Co to, to nie.

— Myślałem — rzekł Andrzej. — Bo zdaje mi się, że mogliby panowie natrafić na trudności. Nasz brak porozumienia byłby dziecinną fraszką wobec zmartwień z polskimi władzami.

— Mamy za sobą pewne rozmowy — rzekł St. Quentin — które skłaniają nas raczej do optymizmu.

— No, tak — westchnął Andrzej. — Machina administracyjna jest ciężka. A także niezbyt bystra. Wiele rzeczy uchodzi jej uwadze. Lecz pewni wysocy urzędnicy polscy ożywiliby się bardzo, gdyby na przykład ujrzeli to wydawnictwo Trans European Continental Mobiles... — Wyjął z kieszeni marynarki ka-

lendarzyk, oprawny w brązową skórę, i położył na stole przy popielniczce pełnej niedopałków.

Greenleaf wziął kalendarzyk, przekartkował go, oglądał chwilę mapę Europy, wklejoną pod okładką. Po czym powiedział spokojnie: — Został wydany zanim Transworld Traffics, czyli moja firma, przejął Trans European Continental Mobiles. Obecna dyrekcja nie ma z tym nic wspólnego.

— Ja to rozumiem — rzekł Andrzej. — Rozumiem też, że wtedy chodziło głównie o zachodnioniemiecką klientelę. Ale nie wszyscy w Polsce mają tyle zrozumienia dla subtelnych różnic. Nasza biurokracja nie rozróżnia tak dokładnie nazw kapitalistycznych przedsiębiorstw.

— Za tydzień — powiedział Greenleaf chowając kalendarzyk do kieszeni — wyjeżdżamy. Do tego czasu otrzyma pan naszą odpowiedź.

— Za rok — rzekł St. Quentin — otrzyma pan od nas kalendarzyk w języku polskim, z mapą Polski w jej aktualnych, sprawiedliwych i nienaruszalnych granicach, z prastarymi grodami piastowskimi w oryginalnej pisowni. Korygujemy nasze błędy natychmiast — uśmiechnął się ujmująco — i jesteśmy wdzięczni, gdy ktoś zwróci nam na nie uwagę.

— Kelner — powiedział Greenleaf — kawę i butelkę koniaku.

— Nie wiem, czy opłaca się zamawiać koniak w warszawskiej restauracji... — rzekł Andrzej z zażyłą konfidencją.

Greenleaf poklepał go po plecach i powiedział z szerokim, przyjaznym uśmiechem: — Nam się tu wszystko opłaca.

7.

Opierał podbródek na rękach i martwił się. Przy sąsiednim biurku Lachura nucił jękliwie „Gdy mi ciebie zabraknie...”, nad numerem *Le Monde*, rozłożonym na maszynie do pisania. — O jedenastej — rzekł — jest konferencja prasowa w MSZ. Poszedłbyś, Andrzej? — Ja? — Andrzej wzruszył ramionami z urazą. — Będą rozdawać poważne wyjazdy — rzekł Lachura grzebiąc paznokciem w zębach. — Kuba, Laos, Ghana, wiesz, te rzeczy... — Młodszy niech się starają — rzekł Andrzej dobrotliwie. — Ja już jestem za stary. — Też jestem stary — westchnął Lachura — ale nie mam innego sposobu.

„Co mi, do cholery, kazało wczoraj rzygnąć tym majorem

i tym więzieniem?...”, gryzł się Andrzej. Gnębiła go taniaść chwytu: skąd się biorą takie potknięcia? Alkoholowa inflacja słów? Błędna taktyka? Gdzie rodzi się ich półzamierzona kalkulacja? Jeśli nawet założyć można było standartowy prymitywizm Greenleaf'a, nie oznaczający bynajmniej głupoty, lecz banalną rutynę postępowania, to przecież Anglik wydawał się kimś pierwszorzędnym. A przecież nie zdarzyło się pierwszy raz: ilekroć zastanawiał się, co miało nim, Andrzejem Felakiem, człowiekiem ostrożnym, dumnym ze swej ostrożności, opierającym na tej zalecie tak wiele? Gdzie żarła go sprzeczność jak rdza? Czuł się ściśle związany z tym, co nazywał rewolucją, przeobrażeniem pojęć, nowym modelem istnienia i jego polskimi reprezentacjami, nie żywił ukrytych zamiarów rozluźniania tych więzów. Przynależał i chciał przynależeć do tej tu strony barykady. Ponadto wiedział — i to bolało — że oświadczenie jego przyjęte zostało podejrzliwie, że nie dało nic poza grzecznie powściągniętym, ironicznym uśmiechem. Hrabia de St. Quentin nie wyglądał na człowieka pozbawionego zmysłu błyskawicznych syntez i jego sąd o Andrzeju sformułował się na pewno po tym w jednym tylko, krótkim wyrazie. „Błąd, błąd, błąd, fatalny błąd...”, zawodziło w Andrzeju, „... nie do naprawienia!” Tym gorszy, że oddający pierwsze atuty w ręce przeciwników. „Mają mnie teraz za śmiesznie niską cenę parszywego pośliznięcia...”, myślał gorączkowo. „Nawet uderzenie kalendarzykiem nie pomogło. Angażują frajera, który się głupio odstąpił... Jak wygodnie...” Przypominał sobie: jadł kiedyś na stojąco hamburgery z piwem w bufecie wielkiego domu towarowego w Berlinie. Obok jadł to samo wysoki i szeroki Amerykanin o twarzy obojętnej: na głowie nosił za mały, tyrolski kapelusz, pełen groszowych emblemacików, mających oznaczać, że facet zwiedza Niemcy skrupulatnie, prowincja po prowincji; starał się też w ten sposób identyfikować z otoczeniem, co Amerykanie uważają za obowiązek turysty. — Pan skąd? — zagadnął Amerykanin łamaną niemieczyzną. — Z Polski — odparł Andrzej przyjaźnie. — Aha — kiwnął głową Amerykanin — pan komunista. — Jestem Polakiem. — rzekł Andrzej i coś z poniżającej prośby zadrgało mu w głosie. — To dziś to samo — rzekł Amerykanin. Dopił piwo, kiwnął mu głową i poszedł.

Zadzwoił telefon. — Panie redaktorze — powiedziała sekretarka. — Naczelnny już jest. Czekaj na pana.

Watloch siedział za ogromnym biurkiem i poprawiał pedantycznie ułożone noże do papieru, przyciski do książek, wyrównywał drobiazgowo gazety, biuletyny. — Siadaj — powitał Andrzeja z nerwową serdecznością. — Nareszcie złapaliśmy chwilkę

czasu. — Świetnie — rzekł Andrzej. — Nareszcie mogę ci wręczyć ten drobiazg. — Wyjął z kieszeni grubą, plastikową torebkę, pokrytą gęstym zapisem po niemiecku.

Watloch zaczerwienił się: nie znosił prezentów od Andrzeja, powtarzanych za każdym razem. Czuł się w pułapce pomiędzy nadętą pryncypialnością, nieszczerą z natury rzeczą, a wystudowanym systemem przyjaznych gestów Andrzeja, rodzących presję zależności. Nie chciał urazić Andrzeja odmową i wiedział, że Andrzej o tym wie. — Są to nasiona zupełnie nowej odmiany pomidorów — mówił Andrzej rzeczowo. — Schodziłem sobie za nimi nogi do krzyża. A to — wyjął z drugiej kieszeni nową torebkę — jakieś kwiaty. Ty już będziesz wiedział jakie. — Uśmiechnął się beztrudno z twarzą pełną szczerości.

Watloch otworzył szufladę i jednym ruchem zmiotł do niej torebki z blatu biurka. — Piszesz? — spytał przyjaźnie.

— Przyniosłem pierwszy odcinek.

— Zaraz przeczytam i dam Malackiemu. Gratuluję nowej książki.

— Malecki przyrzekł coś o tym dać do numeru... — uśmiechnął się Andrzej skromnie.

— Reklama jest połową sukcesu w każdych warunkach społecznych — Watloch zaczerwienił się jakby nie chcąc być posądzonym o cynizm: miał zresztą skłonność do rumienienia; rumieniec na jego policzkach nie wyrażał ani wstydu, ani podniecenia, ani obawy przed niezręcznością. Uszy Watlocha płonęły jednakowo na meczach, pogrzebach i w czasie poobiedniej drzemki, ich purpura nie oznaczała nic, myliła rozmówcę. Tak samo, jak twarz Watlocha, pociągała, modrooka i ogorzała, o lekko obwisłych, siwych wąsikach, uniwersalna twarz ludowych nauczycieli, organizatorów chłopskich kas samopomocy, stowarzyszeń ochrony ptaków; najlepszym tłem takich twarzy są kilimy, piśnianki, rogoża, bazy w wazonach z wypalanej gliny i śpiewniki chóru Harfa; pełno jest takich twarzy w albumach rodzinnych polskiej socjaldemokracji szlacheckiego pochodzenia, najczęściej wraz z pierwszymi nartami w Zakopanem, lub z pierwszymi welocypedami w Warszawskim Towarzystwie Cyklistów. Lecz twarz ta zestawiona z welwetową marynarką i modnym krawatem w nienajlepszym guście nakazywała inne poszukiwania, niż wśród patriarchalnej neoludowości z epoki secesji, Ibsena i Wyspiańskiego: ta twarz należała do artysty, tak samo jak dziennikarstwo w interpretacji Watlocha było sztuką.

— Andrzej — powiedział Watloch — wszedłeś w okres koniunktury. To, co piszesz, przylega w tej chwili do potrzeb naszego odbiorcy jak diamentowa kolia do snów ekspedientki

MHD. — Należało mu wierzyć: nikt w Polsce nie wiedział lepiej od Watlocha czego szukają w tygodniowym czasopiśmie ekspedientki, a także profesorowie uniwersytetu, hydraulicy, młodzież obojga płci, bankowcy i producenci lemoniady.

Andrzej wodził palcem po kancie spodni. — Masz na myśli informację o tym co na zewnątrz? — spytał ostrożnie.

— Ludziom trzeba dawać to, o czym sami wiedzą, że im jest potrzebne... — Zawahał się chwilę i zamyślił: socjalizm zaoferował mu możliwość dawania ludziom w skali nieznanej przed tym w tym kraju, nie zawsze jednak zgadzano się z nim co do owych potrzeb, kto je ma wyznaczać i jakie zasługują na zaspokojenie. Nie przyznawano też ludziom prawa do wiedzy o tym, co im jest potrzebne. Watloch uważał, że ludziom trzeba konfrontacji z tym, co najlepsze w każdej dziedzinie życia i sztuki, a także ogłoszeń matrymonialnych: sam stanowił przedziwny koncentrat idealizmu z ironią. Zresztą zawsze okazywało się, że ma rację, chociaż realizowanie jej kosztowało go kilka nerwic. — Mam to na myśli — ciągnął z upodobaniem — że ludziom trzeba dawać ich własne tęsknoty, budując w nich przekonanie, że otrzymać je mogą wyłącznie za pośrednictwem druku i zdjęć co tydzień w magazynie *Horyzont*. Nie jest to zbyt szlachetne, lecz w ostatecznym rozrachunku wychodzi na użytek ludziom. *Life* i *Elle* robią zresztą to samo, konsekwentniej, niż my. Ty, Andrzej, stajesz się powoli mistrzem gatunku. Twoje pisanie zawiera pewną szerokość spojrzenia i arogancję, budzącą w czytelnikach onieśmienie, a po tym pewność, że muszą się z tym pogodzić, chcą, czy nie.

Gdy dotykano jakiejś złożoności spraw ludzkich, w której on ma swój udział, Andrzej czuł się niepewnie, zagrożony drwiną, lub wrogością. — Słuchaj, Jerzy — rzekł sucho — co myślisz o mojej następnej podróży?

Watloch zaczerwienił się. — Wybierasz się znowu? — spytał niechętnie. — Dopiero co wróciłeś?

— Mam okazję — rzekł Andrzej. — Oczywiście, potrzebuję twojej pomocy, ale forsy dasz mi tym razem bardzo mało.

— Ja? — Watloch wzruszył ramionami. — Ja nie daję forsy. Wiesz przecież, co znaczy moja opinia w sprawach dewizowych dla Prasy. Tyle co nic. Pomów z nimi bezpośrednio.

— Dobrze — zgodził się Andrzej. — Ale ty mi pomożesz w tych rozmowach.

— Nie takie proste — powiedział Watloch i zapalił papierosa z ustnikiem. — Tu w redakcji krążą plotki na temat twojego ostatniego wyjazdu.

— Że zużyłem więcej dewiz, niż stały korespondent w ciągu roku. To masz na myśli?

— Nie znam dokładnych wyliczeń życzliwych ci kolegów, ale o tym się mówi — przyznał Watloch i zacerwienił się. Pomyślał: „Wyhodowałem go na własnej piersi. Poprawiałem mu błędy stylistyczne. Wylewałem hektolitrami wodę z jego pierwszych wypocin. Zrobiłem z niego gwiazdę. Teraz on wie lepiej ode mnie co się o nim mówi w mojej redakcji i posądza mnie o donosicielstwo, oszczerstwo, intrygi. Jak to się stało? Czy on rzeczywiście sądzi, że muszę go zwalczać przy pomocy takich metod? Że go w ogóle zwalczam? Tylko dlatego, że posądzał mnie o namiętność, którą on sam zdawał się umiejętnie podsycać i stwarzać jej warunki w pewnym okresie...” — Andrzej — powiedział — rzeczywiście, doszło mnie, że w ten sposób się mówi. To bzdura, rzecz jasna, ale mówi się po cichu, narzeka, że nikogo się nie wysyła, że tylko ty i ty, i dlaczego? Przyznam się, że zależy mi na tym bardzo, aby nie zastanawiano się dlaczego, a i tobie też na tym powinno zależeć.

Andrzej uśmiechnął się blado, jak męczennik, z którego boku spływa niewinna krew. — Już dawno nie zwracam uwagi na to, co się o mnie mówi — rzekł. — Gdybym to czynił, musiałbym się myć bez ustanku z brudu, którego na mnie nie ma.

— Niemniej, jeśli pojedziesz znowu, powiedzą, że daliśmy ci znów dewizy. Powiedzą tak, bez względu na to, czy to będzie prawdą. Wiesz, jacy są ludzie. A ja nie chcę tego więcej słyszeć, tak samo, jak nie chcę słyszeć fałszywych idiotyzmów na twój temat! — Wstał i zaczął chodzić po pokoju, poprawiając nerwowo pasek od spodni. — Nie chcę, słyszysz, nie chcę, żeby ta redakcja stała się gniazdem plotek i rozrób, jak inne redakcje! Nie po to harowałem przez całe lata, żeby mi się teraz wszystko rozłaziło przez małe ambicyjki i podgryzania moich współpracowników! *Horyzont* to wielka rzecz i tylko on się liczy! Pismo jest ważne, a nie zaspokojenia waszych małych chciwości!

Ceglaste wypieki wystąpiły na policzki i kark Andrzeja: uważał słowa Watlocha za krzywdzącą niesprawiedliwość, lecz był też stropiony. Nie widział jeszcze Watlocha w takim stanie rozdygotania i obaw, których nie pojmował inaczej, jak ukute przeciw sobie argumenty. — Dobrze — powiedział cicho. — Wobec tego nie dacie mi ani grosza. Tylko paszport i delegację służbową.

Watloch ujął słuchawkę telefonu. — Niech tu przyjdzie Malecki — powiedział. Po chwili wszedł Malecki, wnosząc ze sobą blask i zapach drogiej popeliny, przesiąkniętej lawendową wodą. —

Posłuchaj — rzekł Watloch — Felak chce nam złożyć frapujące propozycje.

— Za wszystko zapłacą imperialiści — rzekł Andrzej.

Malecki zapadł w głęboki, klubowy fotel. — A czego chcą w zamian? — spytał.

— Reklamy — rzekł Andrzej — lub raczej tego, co oni uważają za reklamę. — Wzruszył ramionami. — Kto z Polaków i czytelników *Horyzontu* ma możliwości, lub kieruje się tym, co oni uważają za reklamę? Ci Amerykanie są w niewoli własnych nawyków, niezdolni do zauważenia najprostszyc różnic.

— Na jakiś zysk muszą liczyć — mruknął Watloch. — Widocznie jakoś im się opłaca. Ale co my z tego będziemy mieć?

— Zaoszczędzamy dewizy — rzekł Andrzej. — I tak wysyła się dziennikarzy. Koegzystencja, wolne informowanie opinii, obrót kulturalny. Tylko, że tym razem nie za nasze pieniądze, lecz za ich.

— Nasze korzyści — rzekł Malecki — nie mogą być natury pieniężnej. Nie wulgaryzujemy. Nam nie zależy na drobnych oszczędnościach.

— Słuchajcie — Andrzej zmrużył oczy, by ukryć rozdrażnienie — czy wy naprawdę nie dostrzegacie w tym cudownego numeru? Chyba nie muszę was zapewniać, że w tym samym zdaniu, w którym wypowiem skąpą pochwałę dla turbośmigłowca ich linii lotniczych znajdują się słowa niezłomnej pewności, że nasz obóz robi większe i lepsze samoloty i że do nas należy przyszłość. Zaś po przybyciu na miejsce nie ujdzie memu wzrokowi żadna z nędz kapitalizmu w jego centrali, nie zatrze mi ich ani wyszukany *dinner*, ani wizyta w najlepiej wyposażonym centrum badań nad zwalczaniem raka. Po prostu zaczekacie na ich dokładny opis, który przysłany wam zostanie na firmowym papierze zapraszającego mnie przedsiębiorstwa i za ich pieniądze. No, powiedzcie, robił już ktoś coś takiego w historii rewolucji?

Chwilę milczeli. — Co o tym sądzisz? — rzekł Watloch do Maleckiego. — Wypowiedz się, jesteś członkiem egzekutywy partyjnej w Prasie. Ta sprawa stanie na jej obradach.

Malecki kręcił się w fotelu i drapał w owiniętą popeliną pierś. — Andrzej — powiedział, krzywiąc się przytomnie — wiesz, jak bardzo chcę ci pójść na rękę. Zawsze. Uważam zresztą pomysł za wystrzałowy. Ale nie miej do mnie żalu, jeśli nie uda mi się go przeforsować. Tu krzyżuje się mnóstwo różnych tendencji...

— W interesie redakcji *Horyzontu*... — zaczął Watloch, lecz nie skończył i nikt dobrze nie wiedział, co leży w interesie redakcji *Horyzontu*.

Andrzej wstał. — W porządku — powiedział. — Zaczekam na waszą decyzję. Nie, nie pójdę do redakcji *Globu*, który od dawna mnie morduje, abym coś dla nich robił.

Malecki uśmiechnął się pobłaźliwie. — Nie zapędzaj się, stary — powiedział. — *Glob* jest taką samą własnością Prasy i natrafi w razie czego na te same trudności.

— Możliwe — rzekł Andrzej — ale zawsze... — Wiedział dobrze, że takie pseudo-naiwne groźby niosą w sobie pewien ładunek komplikacji, których każdy wolałby uniknąć.

Wyszli z gabinetu i Malecki rzekł do Andrzeja: — Wstąp do mnie na chwilę. — U siebie zamknął starannie drzwi, przysiadł na biurku, ujął Andrzeja przyjacielsko za klapę marynarki i powiedział cicho i słodko: — Zdaje się, że wpadło mi coś do głowy. Należysz do tych dziennikarzy, którzy potrafią znaleźć egzotykę tuż za najbliższym rogiem ulicy. Genialnie, z nieporównanym biglem. Napisz coś szybko o polskich plażach, uzdrowiskach, cholera wie! o niedoścignionej doskonałości socjalistycznych wczasów leczniczych, o wielkości państwowych biur podróży, czy zbiorowych wycieczek na Mazury... że szary człowiek może mieć wakacje tylko u nas, w socjalizmie. Wtedy mnie będzie łatwiej walczyć o twój wyjazd na Hawaje czy Florydę. Kapujesz?

Twarz Andrzeja skurczył tchórzliwy i pojednawczy uśmiech, jaki wykrzywia rysy ludzi jakoby nienaruszalnych w swej potędze i urodzie, zaś nagle wyrzuconych z łóżka na podłogę przez kilku silnych zbirów. — Tego się nie robi... — powiedział niepewnie. — To nie wypada...

— No, wiesz... — w oczach Maleckiego migotało okrucieństwo. — Cel uświęca środki. Wszystko jest dobre dla rolowania imperialistów, nie?

— Co powiedzą ludzie?

— Ach, o to ci chodzi? — Malecki wzruszył ramionami. — Nie będziesz się przecież liczył z paroma głupcami, chorymi na nieuświadomienie. Zresztą... grób, tajemnica, nikt nic nie wie, po twoim wyjeździe wszystko przyschnie, gdy wrócisz, nie będzie śladu po całej aferze. A w ogóle nie przesadzajmy. Jeśli sprawiedliwie wyważysz racje, to zawsze okaże się, że mamy jeden z najlepszych systemów wczasów pracowniczych na świecie.

— Pomyślę o tym — rzekł Andrzej niemal błagalnie: łaknął w tej chwili aby pokusa ułatwionego życia odpłynęła z jego serca. Czuł się jak jagnię, wokół którego krąży podstępny wilk w popelinowej koszuli, z świńskim ryjem zamiast wilczego pyska: idiotyczne jagnię z radosnym mekiem wybiega mu naprzeciw, ku własnej zgubie.

Andrzej wyszedł i Malecki nakręcił numer na aparacie bez-

zapraszam was obu na obiad. — Nie wiem, czy mogę przyjąć twoje zaproszenie — zaprotestował słabo Mikołaj — czy to wypada? — Wszyscy odebrali te słowa jako znakomity dowcip, zaś on sam dostrzegł, że do czekania na Elżbietę miesza się rozbawienie. Wyciekał z niego żal, którym wypełniony spędzał tu godziny, tygodnie, miesiące wśród rozchełstanych debiutantów w prozie i w krytyce literackiej, wyczekujących przy stolikach na swą główną wygraną: przypatrywał się im jak nieskomplikowanym żyjątkom, które nie wiedzą, że główna wygrana nic nie daje, że następuje po niej głucha cisza bez krztyny nadziei na coś więcej, niż idiotyczne krygowanie się prowincjonalnych starsuszek, zapóźnionych w lekturze, pragnących przekazać swe obrzydliwe, bezrozumne uznanie. I upokorzenie, hańba wyczekiwania na odblask swego istnienia w uświęconych modą ośrodkach oceny, którymi się gardzi fałszywie, oszukując samego siebie: rozgłos uważa się zawsze za należyty sobie, o tym nie wiedzą czekający na rozgłos, lecz zemsta rozgłosu jest straszna, po nim już nawet głośniejsze zawołanie po nazwisku na ulicy daje poniżające doznanie czegoś, czego nie ma, a czego pragnie się jak wyschły język napoju. „Elżbieto!”, pomyślał Mikołaj, „zabierz ode mnie tę obsesję... Choć na bardzo krótko, ale zabierz...”

Kostkowski i Mikołaj wsiedli do zaparkowanego przed kawiarnią Fiata, zaś Andrzej poszedł jeszcze zatelefonować. Przy wejściu do Kameralnej spotkał Larbińskiego. — Jeszcze nie w Paryżu? — zawołał Andrzej wesoło. Larbiński wyciągnął doń rękę bez słowa i Andrzej długo potrzasał dłonią Larbińskiego w łosiowej rękawicze. — Jeszcze nie — rzekł Larbiński bez wylewności. Właśnie przechodziła Julia Polewko, ponownie w stronę kawiarni. — Pani Julio! — zawołał Andrzej. Julia zatrzymała się i popatrzyła na Andrzeja złotawymi oczami, pełnymi niemożliwego do skarcenia tupetu. — Redaktor Felak! — zawołała z beczelną niewinnością. — Znów w Warszawie? Cóż za przyjemność spotkać pogromcę warszawskich przekupek. — Pani pozwoli, że przedstawię — rzekł Andrzej z pogodną nonszalancją — pan Larbiński, pani Polewko-Gronkowska. Pan Larbiński jedzie niebawem do Paryża, może przekazać nasze wspólne pozdrowienia mężowi. — Bardzo mi przyjemnie — powiedziała Julia ujmując miękko dłoń Larbińskiego. Miała dar nie dziwienia się niczemu i nie pytania o nic, nic ją zresztą nie obchodziło dlaczego Felak wziął się naraz do pozdrawiania jej męża. Larbiński taksował chłodno sylwetkę Juli. — Znamy się od lat z widzenia — rzekł. — Pani Julia interesuje się pisaniem dla filmu — rzekł Andrzej, co przesądziło o natychmiastowym wycofaniu się Larbińskiego: rekomendacja Andrzeja oznaczała wyrok; Lar-

bińskiemu wydawało się, że nie potrafi ukryć żywiołowej odrazy do słów Andrzeja i był nawet o to trochę na siebie zły. — Mam nadzieję — rzekł Andrzej, żegnając się z Julą, że przekaze pani mężowi ukłony ode mnie listownie. — Z przyjemnością — zapewniła go Julia. — Mój mąż wspominał pana kiedyś. Jest panu, zdaje się, winien jakąś drobną kwotę. — Widocznie miała tę kwestię nagrąną na płytę.

W *Kameralnej* nakręcił numer Teresy, lecz nikt się nie odzywał. W samochodzie Mikołaj powiedział: — To była piękna scena: dziwka, łajdak i ty. Muszę przyznać, że zniósłeś jej ciężar z dużym samozaparciem.

— Mój drogi — rzekł Andrzej — nie moją rzeczą jest karcieć. Złych ludzi należy unicestwiać, lub eliminować, o ile się jest w stanie, karanie jest bezcelowe. Człowieka niesposób zmienić, ani przepoić przekonaniem o niesłuszności jego postępowania, można go tylko usunąć w imię norm obiektywnie pożytecznych. Znając swą niemoc podaję rękę każdemu, a co sobie o nim myślę, to moja sprawa.

„Elżbieto”, pomyślał Mikołaj żarliwie, „ty taka nie jesteś, nie jesteś...” Był to okrzyk irracjonalny i Mikołaj zdawał sobie sprawę z faktu, że oczy obrastają mu bielmem.

Zjedli obiad w chińskiej restauracji. Kostkowski śpieszył się, lecz łakomstwo przykuwało go do stolika, nad którym Andrzej celebrował gesty nie liczącego się z wydatkami protektora wobec swych totumfackich. Mikołaj zażądał wódki i Kostkowski sfluکیwał niechętnie korzenny smak przypraw i tłustego ryżu, unurzanego w sosach i grzybach. W Andrzeju wódka wyzwoliła przyptyw zamyślonego optymizmu: tęsknił do spokojnej zadumy nad niedogodnościami świata, bez konieczności natychmiastowych interwencji, załatwiania, usuwania przeszkód piętrzących się zewsząd. Chciałby narzekać nie czując się zagrożonym, będąc pewnym pochlebstw i drobnych przyjemności na codzień. Chciał cieszyć się festiwalem błazeńskich póz u pani Stoll i zapachem Teresy, bez głuchych obaw, że coś się ma stać. — Muszę iść — rzekł Kostkowski, szukając palcem ziarnek ryżu wzdłuż dźwięseł. — Mam robotę. Jeszcze jestem za krótko w *Wieczorze*, żeby się spóźnić. — Zejdę do telefonu — rzekł Andrzej, zaś Mikołaj siedział nisko wtłoczony w fotel, pił wódkę i prawie nic nie mówił.

— Słuchaj, Marek — rzekł Andrzej w szatni — będę cię niebawem potrzebował. — Mnie? — zdziwił się obłudnie Kostkowski. — Czego możesz chcieć od takiego szaraka? — Chaty — rzekł Andrzej prosto. — Już za parę dni będę potrzebował lokalu. Pora dowolna, powiesz kiedy ci odpowiada. Poza tym

będą i inne interesy. — Kostkowski namyślał się chwilę. — Dobrze — powiedział. — Zawiadomisz mnie kiedy trzeba. — Policzymy się — rzekł Andrzej. — No, wiesz... — uśmiechnął się Kostkowski nieszczerze — taka drobnostka między kolegami...

Teresy ciągle nie było w domu i Andrzej wrócił do stolika. — No, stary — poklepał Mikołaja po plecach. — Nareszcie sami. Powiedz, jak jest?

W głosie Andrzeja tliło się nieco niekłamane ciepła i Mikołaj pomyślał, że właściwie go lubi, a przynajmniej stali się jakąś wzajemną częścią siebie po tylu latach obopólnej wiedzy o sobie; przez chwilę wahał się, czy w ogóle jest ktoś na świecie, komu ma ochotę powiedzieć jak jest naprawdę, lecz w końcu doszedł do wniosku że Andrzej na pewno należy do tych, którzy mają prawo zajrzeć za podarty parawanik jego samopoczucia. — Dno — powiedział cicho. — I nikt nie jest w stanie tego zmienić, ani mi pomóc.

— Nawet ja? — zasępił się Andrzej: poczuł, jak tyle razy, pragnienie, aby Mikołaj go o coś poprosił, o pomoc, o radę, o gest.

— Nawet ty — rzekł Mikołaj łagodnie. — Moja matka ma raka.

— Jezus Maria! — zawołał Andrzej. — Przecież trzeba coś zrobić! Znam wiceministra zdrowia. Zatelefonuję do niego! Jakaś klinika specjalistyczna! Miejsce poza kolejką...

— Ba... — westchnął Mikołaj — żeby to było takie proste? Mieć raka to znaczy mieć raka, stwierdzonego przez badania i onkologów. Nie znasz mojej matki. Ona twierdzi, że ma raka, ale nie była u lekarza i nie dała się zbadać. Może to być prawdą, a może i nie być. Wiem tylko, że bardzo jej zależy, żebym ja był pewny, że ona ma raka. To więdźma, której jedynym marnieniem jest wykazanie, że ja jestem ostatnim draniem. Dzwonię, proszę bardzo, jeśli chcesz się wpakować w kompromitującą mistyfikację.

Andrzej uśmiechnął się krzywo. — Jak możesz tak mówić o swojej matce? — otrząsnął się. — Lecz jeśli to histeria, to rzeczywiście lepiej nie zwracać uwagi.

— A jeśli nie histeria? Jeśli naprawdę rak, to co? Pułapka, bracie. Matka nie daje się zbadać ze strachu, że badanie nic nie wykaże. Chce koniecznie mieć raka, powtarza z uporem, że ma i to przeze mnie. Więc może ma, tylko my o tym nie wiemy na pewno, wobec tego nie leczymy. Pozwolisz, że wypiję kielišek wódki na intencję pułapek, najdoskonalszej formy związku człowieka z losem. Widzisz — ciągnął wolno Mikołaj — nie ma ucieczki przed rozbestwioną machiną do wytwarzania zależności

między człowiekiem a człowiekiem, człowiekiem a grupą ludzi, człowiekiem a budynkiem, pełnym formularzy, zaświadczeń, blankietów, przydziałów, nakazów i zakazów. Żyjemy w świecie, w którym nikt nie jest ani przez chwilę sam. Każdy jest o coś oskarżony w każdej sekundzie istnienia, o niezapłacony rachunek za gaz, o chęć jazdy pociągiem w nieznanym kierunku. Pozostaje pogodzenie się z rolą mikrocząstki zorganizowanej trzody, lub bunt, którego bezsens i jałowość dostrzegalne są jak brodawka na nosie.

— Przesadzasz — uśmiechnął się Andrzej. — To literatura, w dodatku efekciarska. Ostatecznie nie możesz gniewać się na społeczeństwo dlatego, że dba o kanalizację w twoim domu, reguluje proces podaży żywności, a nawet czuwa nad twymi zaburzeniami trawiennymi za pośrednictwem służby zdrowia. No i stwarza słuszne hierarchie, w których ty jesteś Mikołajem Planikiem, dzieckiem talentu i beniaminkiem publiczności.

„On nic nie rozumie”, myślał Mikołaj. Jeszcze raz, jak wiele razy, odechciało mu się roztrząsać cierpienia tych, którzy zawsze gotowi są podjąć walkę ze złem, i tych, którzy świadomi zła, rezygnują z walki. Nie był człowiekiem czynu, ta niezdolność ciążyła mu na barkach jak garb, sam nie potrafił podjąć walki, ale czuł jej potrzebę aż do bólu, aż do rabującej sen rozpacz. Dostrzegał bezcelowość i złudę zwycięstw, lecz nie mógł poprzestać na cynicznych mądrościach, na wzruszeniu ramionami, nie uspokajała go przenikliwość usprawiedliwiająca paraliż wysiłku. Ginał z tęsknoty za skutecznością przeciwstawiania się złu i wiedział, że nie osiągnie jej nigdy. — Czego ty właściwie w życiu chcesz? — spytał Andrzeja, trochę naiwnie.

— Nie wiem — wyrwało się Andrzejowi.

— Masz osiągalne u nas maksimum — powiedział szybko. — Cały kram z przyjemnościami, które nie szkodzą zdrowiu i prolongują żywot. Dodatkowo masz dziką satysfakcję pierwszeństwa, wyróżniania się. Dobrobyt to dużo, ale bezpieczne obnoszenie wyjątkowego dobrobytu to nieporównanie więcej.

— Nie wiem — zasmucił się Andrzej — ale to nie jest tak, tylko trochę inaczej.

— Masz sławę i wpływy. Możesz zaciekawiać i zaspakając zaciekawienie. Możesz spowodować przestawienie latarń w śródmieściu i zainicjować nową, doskonalszą produkcję wielosmakowych wafli serią pełnych pasji felietonów. Możesz także, w drodze kontaktów osobistych... och, Andrzeju... — pochylił się nad stolikiem — ja wiem, że to wszystko nieprawda i gruby nietakt... Że mówienie o sprawach drugiego człowieka jest prostackim idiotyzmem. Nikt nie ma do tego prawa, tak, jak nie powinno się

drapać paznokciem szkła, bo to nie daje niczego poza dręczącym zgrzytem...

— Masz rację — rzekł Andrzej poważnie. — Przecież wszyscy mamy jakieś obowiązki wobec rzetelności, wobec innych ludzi. Trzeba pomagać.

Mikołaj zsunął się w fotel i skulił. — Ja mam tylko dwa obowiązki — rzekł zimno. — Wobec prawdy o przemocy sił wyzwolonych przez ludzką głupotę. To raz. A drugi wobec samego siebie. Nie chciałbym doczekać chwili, w której musiałbym sobie powiedzieć, że sprzeniewierzyłem się temu, co uważam za słuszne i klawe.

„Muszę uczynić wszystko”, myślał Andrzej, „żeby nie myśleć, ani nie czuć jak on. Nigdy w życiu. Mogę lizać każdą rękę i błagać kogokolwiek na kolanach, ale nie mogę ulec temu, czemu on uległ. To rozbitek, wrak, strzęp ludzki, pędzony przez wiatr na śmietnisku...” — Nie możesz tak mówić — rzekł stanowczo. — Musi się znaleźć, wyjście. Trzeba przewalić tę ścianę, która wyrosła przed tobą na jakimś niezrozumiałym nawozie, na gnoju, którego nie było w planach produkcji.

— Mówisz ładnie — uśmiechnął się Mikołaj. — Może Lewinson? Stary Lewinson, ciągle znów o nim ostatnio słyszę.

„Lewinson!”, olśniło Andrzeja. „Będę musiał do niego pójść. Okropne, lecz nieuniknione. Tylko on jest w stanie usadzić Watlocha, Maleckiego, tych kozaków z Prasy. On mnie zrozumie, mimo, że...” — Oczywiście — rzekł skwapliwie — musisz się do niego dostać. On cię zrozumie. Wszystko da się załatwić.

— Pewnych rzeczy się nie załatwia — westchnął Mikołaj. — Albo mają prawo istnienia, albo ich sztuczne istnienie staje się groteską.

— Żyjemy w świecie, w którym wszystko można załatwić — uśmiechnął się Andrzej. — A w ogóle powinieneś ożenić się z Krystyną, mieć dzieci i dom.

— Małżeństwo w epoce nerwic... — zwątpił Mikołaj. — Kiedy wraca Elżbieta?

— Nie wiem. Nie mogę się już jej doczekać. I Pawła. Głowa do góry, Nick! Mimo, że gniotą, nie zgniotą nas, prawda? Nie jesteś jedynym, któremu strzygą skrzydła w tym kraju.

— Dziwne? — zastanowił się Mikołaj. — Wyrażasz takie same poglądy, jak ja, a wydają ci książki i nastadzają się tobą w prasie. Na czym to polega?

Bębnił palcami po poręczu fotela i czuł litość dla Andrzeja. Osobliwym zbiegiem okoliczności odeszła Andrzeja chęć zadawania Mikołajowi upokorzeń. Myśli jego pełne były Teresy, a także litości dla Mikołaja.

Rano przyszedł telegram od Elżbiety: przyjeżdża popołudniowym ekspressem. Andrzej pił sok grapefruitowy, lecz nie mógł sflukać kwaśnego smaku rozdrażnienia; podniebienie miał wysuszone wczorajszym alkoholem. Teresa była nieuchwytna aż do późnego wieczora, kiedy już nie wypadało telefonować. Trzymał się tedy Mikołaja aż do nocy, pił z nim wódkę w *Spatifie*, potem w *Bristolu*. Mikołaj popadł zresztą w opryskliwą milkliwość, pił dużo, raz tylko wygłosił katastroficzne przemówienie o końcu świata, którego nie może się doczekać, ale który niczego nie rozwiąże, po czym natrząsał się trochę z poetów sumeryjskich, chaldejskich i babilońskich, których niepotrzebne męczarnie i zmagania z wielkorządcami zostały zasypane przez pustynne piaski i dziś nikt nie wie nawet o ich rozpaczach. Andrzej nie rozumiał tych konwulsji przy śledziu w oliwie z cebulką i ćwiartce wódki, nie pojmował nigdy nic z tego, co uciekało w głąb ziemi, czy wieków, w przepaść bez miary. Nie rozumiał nawet, że Kopernik, Rabelais, Mozart i Pasteur to są prawie znajomi, sąsiedzi, o których wszystko wiemy z zapisanej o nich plotki, z tego, co zostawili, a co jest równie namacalne i żywe jak książeczka PKO, bilet do kina, lub opłata za centralne ogrzewanie; uważał ich zawsze za mumie, których lepiej nie ruszać, gdyż rozlecą się w niezrozumiały pył. Zaś to wszystko, co było poza nimi, w tyle, lub w dole, uważał za niepodlegające ocenom, ani nie warte chwili zamyślenia, toteż rozważania Mikołaja na temat Gilgamesza darzył kompletnym lekceważeniem. Przyjazd Elżbiety wykluczał możliwość łatwej schadzki z Teresą, to było wrogie, drażniące, ważne.

Zanim usiadł do maszyny zatelefonowała Michalina i powiedziała głosem przyciszonym: — Niech pan sobie wyobrazi, że pański nowy wyjazd ma być postawiony na egzekutywie... Coś takiego! Powiedzieli mi w wydziale zagranicznym, że nie musi pan śpieszyć się na razie z wypełnianiem formularzy, dopóki nie będzie decyzji... Świat się przewraca! Jeszcze nie widziałam podobnych szykan... — Andrzej wrócił do biurka, lecz nie mógł zebrać myśli, po głowie skakały mu wyłącznie pomysły interwencyjne. Palił papierosy, kręcił się po pokoju, podchodził do okna, ciesząc się zimnym, deszczowym dniem. Ładną pogodę uznałby za wyzwanie. Wydawało mu się, że wszystko nie jest naprawdę, że nie może być tak, żeby spotykały go tak niezasłużone uderzenia, podczas gdy deszcz pada bez przeszkód, tramwaje normalnie turkoczą po moście. Coś powinno się zatrzymać, zamyśleć

nad nieprawidłowością, w której centrum stał on. Wreszcie otworzył książkę telefoniczną i nakręcił numer. — Z towarzyszem Lewinsonem — powiedział. — Kto mówi? — spytała sekretarka. — Felak — powiedział i opuściła go wszelka śmiałość. — Redaktor Felak? — powtórzyła sekretarka uprzejmiej i w oknie słońce dało się dojrzeć zza chmur. — Tak — rzekł nieco ochryple. Sekretarka wyłączyła, długo nie było nic słychać, po czym znów głos sekretarki: — Towarzysza Lewinsona nie ma. — A kiedy będzie? — spytał głucho, głosem skazanego. — Nie wiem — odparła sekretarka arogancko, jak mu się wydawało. „Oczywiście jest...”, myślał, odkładając wolno słuchawkę, „... tylko nie chce ze mną mówić. Mogłem się tego spodziewać. To koniec...”

Rozległ się dzwonek i w drzwiach stanęła Stefania. Otrząsnęła krople deszczu z płaszcza, wytarła nogi, Andrzej poprosił ją do pokoju. — Cudo — powiedziała patrząc na podłogę. — Coś pięknego. Warto się o to nauzerać. Ja właśnie w tej sprawie. — Andrzejowi zrobiło się niewyraźnie koło serca. — Dostałam wezwanie do Wydziału Finansowego.

— Przecież cło zapłacone? — rzekł Andrzej. — Wszystko w porządku, nie?

— Właśnie dlatego. Trzy dni temu przyszło dwóch takich z urzędu skarbowego. Usiedli, wyjęli kwity i spytali skąd miałam forszę na zapłacenie tego cła. Powiedziałam im, że miałam i już. Co, nie wolno mieć? Co ich obchodzi skąd? Odpowiedzieli grzecznie, że nic, ale zaczęli pytać gdzie ta podłoga. Powiedziałam, że posłałam na prowincję, do kuzynki. Zapytali o adres kuzynki. Ja na to, że nie pamiętam, że nie wysyłałam, tylko kuzynka przyjechała tu i zabrała.

— Przecież miała pani powiedzieć od razu, że ją pani sprzedała mnie — rzekł Andrzej niecierpliwie. — Zapłacić należy podatek i po krzyku.

— Miałam — przyznała Stefania — ale się próbowałam. A nuż by uwierzyli? Zaoszczędziłoby się parę groszy. Po co pchać im pieniądze do gardła bez walki? Na to oni zaczęli coś pisać, liczyć i kazali mi się podpisać. Na tym papierze stało, że albo wskażę miejsce gdzie jest ta podłoga, albo zapłacę podatek obrotowy za handel towarami zagranicznego pochodzenia w kwocie złotych tysiąc trzysta. No i co teraz?

Andrzej przygryzł wargi. Czuł bezsilną złość wobec okoliczności mętnej, lecz na pewno niesłusznej. — Dam pani te tysiąc trzysta złotych — powiedział — zapłaci pani i koniec.

— A może by coś o tym napisać w gazetach? — głos Stefanii zagotował się ogniem walki. — Przecież to rozbój i bezpra-

wie, nie? Przecież nie zrobiliśmy nic złego, ani pan, ani ja! Przecież zapłaciłam cło ustawowo, nie zarobiłam na tym złamanego grosza, nie zahandlowałam, nikt nikogo nie oszukał, ani nie wykorzystał! Dlaczego się czepiają? Niech pan sobie wyobrazi, te dranie siedzą u mnie, a za ścianą słychać maszynę do szycia. Jeden pyta co to za maszyna? Mówię, że ktoś sobie szyje, co, nie wolno? Spojrzeli na siebie, pożegnali się i już słyszę, jak pukają do pana Torfmana. Ten Torfman szyje koszule do spółdzielni, powiadam panu... bida z nędzą aż piszczy, jedno dziecko chore na Heine Medina, drugie chuligani się po ulicach. Wszystkie razem śpi, je, gotuje i szyje w małym pokoiku. A ci chodzą u tego Torfmana i przewracają wszystko do góry nogami. Torfman przedstawia im rachunki za dostarczany do spółdzielni towar, a jeden nagle wyciąga piękny szlafrok ze sterty łąchów i powiada, że to nie koszula. Torfman mówi, że to żony, ale wystarczy spojrzeć na żonę, żeby wiedzieć jak jest. Targ w targ Torfman przyznaje się, że jedna klientka zamówiła. Ci: adres? Torfman daje, załamany, a nazajutrz przylatuje klientka z płaczem, że byli u niej, powiedzieli, że Torfman przyznał się, że wziął od niej dwa tysiące za robotę tego szlafroka, że ona też musi się przyznać, bo inaczej czeka ją pięć lat. Dwa tysiące! Słyszysz pan, jacy bezczelni! Ludzie kochani, powiada kobieta, przecież ja dwóch tysięcy na oczy od lat nie widziałam... za ten szlafrok miałam dać dwieście trzydzieści z dodatkami i to na święta miał być gotów, od męża prezent! A nazajutrz przychodzą ci dwaj, wymierzają Torfmanowi podatek tysiąc pięćset złotych od dochodu, bo klientka się przyznała, a on wprowadza władze w błąd i szyje nielegalnie. Rzecz jasna, nie ma czym zapłacić, więc pieczętują mu maszynę. No i teraz płaczą bez przerwy, cała rodzina, już trzy dni.

Ręka Andrzeja drżała, gdy zapalał papierosa, czuł dreszcze i odrażającą słabość. — Widzi pani, Stefanio — powiedział miękko, układnie — oni muszą. Toczą zaciekle walkę z nielegalną działalnością gospodarczą. Ja nie mówię, że to słuszne, to nawet wstrętne, ale inni mówią, że tak trzeba, że dzięki temu właśnie rosną ogromne huty, fabryki, bloki mieszkalne. Większe, niż przed wojną, imponujące, takie, jak na całym świecie.

— Dzięki domiarowi od Torfmana? — Stefania uśmiechnęła się z nieoczekiwaną łagodnością. — Dzięki temu, że mu zajęli maszynę?

Po raz pierwszy w życiu poczuł pogardę dla siebie za nieumiejętność buntu. Jasne oczy Mikołaja patrzyły nań wyrozumiale z każdego kąta. — Dam pani te tysiąc pięćset złotych dla

niego — powiedział. — Tylko proszę nigdy nikomu o tym nie mówić. A przede wszystkim temu Torfmanowi.

— Ale co mu powiem? Skąd wzięłam?

— Powie mu pani, że sprzedała pani tę podłogę i że ma pani wyrzuty sumienia, bo od pani się zaczęło. Żyjemy w Polsce — dodał pocieszająco — jeden drugiego podpira jak może... Tu nikt nie ginie. Jedni kładą człowieka w błoto, a inni go podnoszą i ocierają. Na tym polega Polska...

— Pan jest dobrym człowiekiem — powiedziała Stefania po chwili namysłu. — Kiedy przyszli nazajutrz pomyślałam sobie, że może czegoś zapomnieli i trzeba im to znaleźć. Powiedziałam panu Torfmanowi, że oni też ludzie, a ludzie potrzebują. Muszą z czegoś żyć. Pan Torfman powiedział, że on nie potrafi, że nigdy takich rzeczy nie robił, ale dał sobie przetłumaczyć i w końcu zadziałał, tylko widocznie nie tak, jak trzeba...

Andrzej zmienił się na twarzy. — Fatalny pomysł — rzekł. Czuł lepki pot, spływający spod pach i żółć w ustach.

— Strasznie na tego biednego Torfmana naskoczyli, że podadzą go na milicję. Torfman rozplakał się, a ja mu mówię...

— Nie przyszło pani do głowy, że to są urzędnicy! — Andrzej podniósł głos ze złością, wargi miał blade, rozlatane. — Że wykonują prawo! Takie, czy inne, ale prawo! Że są w tym kraju uczciwi ludzie, trzymający się przepisów, świadomi faktu, że zmartwienia jednego człowieka w niczym nie naruszają słuszności tego, co czynią?

— Przyszło — oczy Stefanii pełne były prastarej mądrości szczonej, wygryzającego się z uporem z pułapki. — I dlatego obrękałam pana Torfmana, że tak głupio zrobił. Że za mało dał. Że proponował obu facetom naraz. Frajer, jak tak można? No i co, nie miałam racji? Jeszcze tego samego dnia przyszedł jeden z nich. Sam. Bez świadków.

— I wziął? — Andrzeja mdliło ze zdenerwowania.

— Jasne. I przyrzekł wszystko zrobić szczonej, jak należy. Użalił się nad Torfmanem, powiedział, że Polacy muszą być dla siebie ludźmi, bo jak nie to wyginą. Wypił nawet kieliszek wiśniaku.

— Postąpiła pani głupio — rzekł Andrzej grubowato. — Głupio, słyszy pani? Trzeba było zapłacić ten podatek. Ja pomógłbym i byłoby po wszystkim.

— Przecież nie utrzymywałby pan Torfmana do końca życia. Myśli pan, żeby na tym skończyli? Po tygodniu przyszliby znowu. Zniszczyliby go domiarą na amen.

— Nie chcę z tą sprawą mieć nic wspólnego! Słyszysz pani, Stefanio?

— Ależ oczywiście — obruszyła się Stefania. — To sprawa

pana Torfmana. My jesteśmy w porządku. Swoją drogą mógłby pan o tym coś napisać, jak męczą biednych ludzi. Tylko gazeta może pomóc...

Spojrzał na nią jak na wariatkę. Przecież nie mógł jej powiedzieć, że najwyższy czas skończyć z Torfmanami, przysparzającymi kłopotów wszystkim, nawet sobie samym, nawet jemu, redaktorowi Felakowi, który koszule kupuje od dawna w Galerie Lafayette. I tak by go nie zrozumiała. „Nie pora na pomaganie Torfmanom”, pomyślał trzeźwo i to go trochę pocieszyło.

Wyszedł z domu zaraz po Stefanii. Pogoda poprawiła się, wiatr przetaił niebo, ulice pachniały wiosennym powietrzem. Odruchowo wstąpił do księgarni, na ladzie leżała wysoka kolumna egzemplarzy „Pikielhauby z plexiglasu”, nietknięta od wczorajszej i przedwczorajszej kontroli. Stał, przełykając i to jeszcze, grzebiąc dla niepoznaki w nic go nie obchodzących książkach. — Trzeba tu trochę zrobić miejsca — rzekł jeden ekspedient do drugiego, który bez słowa zaczął przenosić naręcza „Pikielhauby” z lady na boczną, dolną półkę, gdzie roztapiała się w morzu żałosnego, zadrukowanego, nigdy nie czytanego papieru.

Pojechał do redakcji i poszedł do swego pokoju. Świeży, pachnący farbą numer *Horyzontu* leżał na biurkach. Andrzej otworzył na stronie Karnetu Dnia i szybko przebiegł wzrokiem wszystkie pozycje. Zajawy o „Pikielhaubie” nie było. Na sekundę ogarnęła go panika, poczuł skurcz w gardle, przymknął oczy, otworzył i wydało mu się dziwne, że słońce świeci, że jacyś ludzie zapewne myją sobie teraz głowę w swych łazienkach, że działają telefony; zawładnęła nim upiorna pewność, że to wszystko wokoło może zgasnąć, zniknąć, przestać być. Ujął za słuchawkę i kazał się połączyć z Maleckim. — Cześć — powiedział bezstrosko. — Cóż to, zajawa o „Pikielhaubie” wyleciała z Karnetu? — Czołem, Andrzeju — rzekł Malecki serdecznie. — Nie rozumiem jak to się stało? Sam napisałem, dałem do składu i wsadziłem do numeru. Coś się musiało pokiełbasić w technicznym. — Mówiąc to wyglądał leżący przed nim na biurku, krótki maszynopis pod tytułem „Nowa książka Felaka”. Po czym zmiął go i rzucił do kosza. — Pójdzie w następnym — dodał pogodnie. — Wiesz, jak to w gazecie. Nigdy człowiek wszystkiego nie zapnie na ostatni guzik...

O piątej Andrzej pojechał na dworzec. Kręcił się po peronie, myślał o Pawle, przechodził ostry kryzys tęsknoty za organicznymi związkami czułości. Cieszył się na przyjazd Pawła i Elżbiety: Elżbieta spojrzy nań trochę bezradnie, z podbródkiem obciążonym naiwnością, po czym powie parę słów, w których znajdują się wyjaśnienia, dobre rady. Myślał sobie, że wprowadzie Elżbie-

ta jest niezawodna jako pomoc, lecz na całym świecie on, Andrzej, ma tylko Pawła: Paweł go potrzebuje, Paweł nie wymaga uzasadnień, ani wyjaśnień. Jest i to wszystko, w tym prostym fakcie tkwi siła, na której można się wesprzeć w chwili zwątpień, wahań i klęsk.

Nadjechał pociąg, kończąc podróż w majestacie spełnionego obowiązku. Elżbieta wysiadła sama.

— Dlaczego go nie przywiozłaś?

— Nie chciał — powiedziała całując go w policzek. — Powiedział: „Tu mi klawo. Niech ojciec przyjedzie. Nad morzem lepiej. Zaraz lato. Mam zakład z chłopakami w sprawie bursztynu...”

Andrzej uśmiechnął się niepewnie. Tęsknota spłotła się z rozczarowaniem, natężając wewnętrzną presję. Jednocześnie poczuł coś w rodzaju ulgi: samo odczuwanie tęsknoty kwitowało jakiś nakaz ojcostwa w sposób najmniej krępujący, wygodny. Było mu nieprzyjemnie i głupio, ale ogarnął kilka możliwości naraz, wynikających z nieprzybycia Pawła: niektóre przedstawiały się całkiem ponętnie, a jednocześnie czuł się jak po mocnym smagnięciu w nos gałęzią puszczoną przez idącego przodem — takie rzeczy grożą utratą oka.

— Pojadę do niego — powiedział z naciskiem.

— To jeszcze dziecko — rzekła spokojnie Elżbieta. — Nie można go o nic winić. Przyzwyczał się, to wszystko. Pogoda piękna — dodała zachęcająco — parę dni nad morzem zrobiłoby ci dobrze.

„Namówię Teresę”, pomyślał, „może wyrwie się. Wynajmę jej pokój w Sopocie, w Grand Hotelu”. — A ty? — spytał. — Kiedy wybierasz się do Krynicy?

Elżbieta wrzuciła kraciatą torbę podróżną do samochodu, po czym wsiadła podciągając wąską spódnicę. — Nie jadę do Krynicy — powiedziała. Nie uznała za stosowne wyjaśnić powodów tej zmiany i Andrzej poczuł się jak dziecko, któremu odbiera się upragnioną zabawkę: żal i gorycz załaty mu serce, tym bardziej, że najostrożniejsze pytanie, nie mówiąc już o najsłabszym proteście, okazać się mogło taktyczną katastrofą.

W domu Andrzej stanął przy oknie i palił papierosa za papierosem. Elżbieta rozwieszała systematycznie ubrania po szafach, po czym przygotowała sobie kąpiel. — Co się stało? — spytała, stając za Andrzejem i wiążąc pasek płaszcza kąpielowego. — No, mów.

Gdy skończył, rzucił się na fotel, rozluźnił kołnierzyk i krawat i tarł nerwowo twarz oburącz. — Wykańczają mnie — dodał jeszcze. — Tylko dlaczego?

— Uspokój się — powiedziała Elżbieta. — Nie widzę powodu do paniki. Po prostu gromadzą się przeszkody, jedna prawdopodobnie nie zazębiona o drugą. Tyle czasu byłeś zagranicą...

— Donos — powiedział Andrzej złamanym głosem. — Anonim. Nie możesz się bronić. To najgorsze, równa się wyrokowi. Jak z tym walczyć?

— Jędrusiu — powiedziała Elżbieta cierpko — tylko bez hysterii, dobrze? Co właściwie się stało? Że nie wydrukowali zajawy o „Pikielhaubie”? Malecki podgryza cię jak może od lat, niczego się od niego nie spodziewaj, że nie przynieśli ci paszportu na srebrnej tacy, że nie pochwalili cię za zmyślność w przetargach z tym Greenleaf'em? Uspokój się, chłopcze, wszystko jeszcze jest do zrobienia. Na razie masz nowy samochód, cudowne mieszkanie, świetnie ubraną żonę. Że ludzie nie kupują twoich książek? Twoi czytelnicy znają je z *Horyzontu*, nie możesz im dwa razy sprzedawać tego samego towaru, ciesz się, że wydawcy dają się na to nabrać. A w ogóle lepiej jest być wydawanym, niż czytany.

— Lewinson... — jęknął Andrzej.

— Może akurat bolał go ząb, albo ścinał sobie paznokcie w biurze? To dygnitarz, ma prawo do nieuchwytności. Zresztą, o ile pamiętam, miałeś z nim jakieś nieporozumienia. Cierpliwości... Musisz się postarać o jego względy, a nie domagać się czegokolwiek.

— Donos — powtórzył Andrzej z uporem.

— Plotka — powiedziała Elżbieta. — To nie to samo, lecz czasem ma podobny skutek. Plotkują fałszywie o twoich przydziałach dewiz i gdzieś to trafia. Na różnych komisjach zawistnicy zastanawiają się jak cię kopnąć.

— Ta historia ze Stefanią...

— Nic cię nie obchodzi co wyrabiają z jakimś chałupnikiem. Nie twoja rzecz. Zapłacisz podatek za Stefanię i na tym koniec. Żeby ona sobie czasem nie pomyślała, że znalazła w tobie nie wysychające źródło dochodu... Jędrusiu! — krzyknęła — dosyć papierosów! Wiesz, że nie wolno ci tyle palić! Jeszcze się rozchorujesz!

Ani na chwilę nie przestała myśleć o Mikołaju. Myślała o nim cały czas w pociągu i cały czas w Gdańsku. Nienawidziła małych wybiegów, a przecież musiała skonstruować tę nielojalność z Pawłem: trzeba było przekonać umiejętnie Pawła, który wyrwał się do Warszawy, a także uzyskać efekt swobodnej prawdomówności na dworcu. Nie cierpiała nieczystej gry, jej ukochaną bronią było niedomówienie i wielostronność pozorów, tu zaś sytuacja wymagała ordynarnych przeinaczeń. W imię czego? W imię

najbliższej przyszłości, która przenikała ją jak rojenia pensjonarki o życiu gwiazd filmowych? Wyobrażała sobie spotkanie z Mikołajem w tysiącu wcieleń, aż po najśmielsze włączenie. Teraz wyobrażenia zatarły się pod ciężarem solidarności z tym człowiekiem w fotelu: miał wypieki na twarzy, był obojętny i bliski, odstręczający i swój. Przez chwilę wahała się, zagubiona wśród pokrzyżowanych zamiarów, nie wiedząc już czy wobec tego co zastała zdoła przywrzeć do Mikołaja całym ciałem i pozwoli się objąć. Myśl o nim oddalała się jak piękne, bogate drzewo na brzegu: kiedy się odpływa drzewo maleje, staje się cząstką coraz rozleglejszego widoku.

Rozdział czwarty

1.

Ujął słuchawkę, położył i znów podniósł. Nie powinien był tego robić, lecz nakręcił numer. Telefon dzwonił długo, wreszcie odezwała się Elżbieta.

— Czy jest Andrzej? — spytał Mikołaj: panował nad głosem jak doświadczony aktor.

Elżbieta milczała.

— Elżbieto — powiedział pogodnie — kiedy przyjechałaś? Pytanie o Andrzeja było prymitywnym kamuflażem.

— Przedwczoraj — powiedziała. — Nie, Andrzej już wyszedł.

Mikołaj milczał jeszcze dłużej. Wiedzieli oboje, że milczenie to było ważne i od nich niezależne. Na tym, co teraz powie Mikołaj, ukształtuje się tak wiele.

— Dlaczego nie dzwoniłaś?

— Byłam bardzo zajęta — powiedziała niecierpliwie.

Miało to znaczyć: jakie masz prawo do wyrzutów i dąsów? Po Łazienkach zdawać się mogło, że nic nie może być ważniejsze od natychmiastowego znaku o powrocie. Okazało się, że tak nie jest i Mikołaj musiał zweryfikować swe zapatrywania na to, co było i będzie.

— Masz ochotę spotkać się ze mną? — spytał zwykłym tonem, kpiąco smutnym; z trudem, ale udało mu się i znów był sobą, człowiekiem, którego nie łatwo rozczarować.

— Nie wiem właśnie... — powiedziała cicho i niepewnie: coś na co składało się tyle ciepłych uczuleń wokół serca, powiek i brzucha, tyle wyobrażeń o czymś nowym, niebywałym, wypełniającym pustkę za dużej poduszki, znikало w jakimś rozpuszczalniku wydarzeń. — Mamy kłopoty — dodała.

— Twój mąż pożąda nowego samochodu? — spytał Mikołaj z troską. — Z puli przydziałów? Natrafia na trudności? A może pierścionka z brylantem? Brak bieżącej gotówki w wysokości miesięcznego budżetu niewielkiej spółdzielni produkcyjnej?

— Przestań... — schroniła się za minoderyjną głupkowatość.

— Wstrętny jesteś...

— Więc jak? — spytał twardo. — Zobaczmy się?

— Zadzwoń pojutrze.

— Nie wiem, czy to ma sens. Bądź zdrowa. — Odłożył słuchawkę.

Wszystko wróciło do obowiązującej błahości i banału. Był zły na siebie, że zatelefonował, że czekał na nią, i że ona o tym wie. Raz jeszcze relację między ludźmi wyznaczał egoizm i wygodnictwo: odruchem człowieka, gdy mu zależy na drugim człowieku, jest tylko pragnienie ugięcia go, poddania sobie; celem wzajemności jest zmuszanie partnera do bezwarunkowego przyjęcia własnych racji. „Utoniemy w kłamstwach”, pomyślał. „Rzeczy piękne nie mogą się obyć bez kłamstw, taka jest ich natura i ich uroki...” Postanowił, że już nie zadzwoni: jak tu rozcieńczyć coś, czego walor leży w stężeniu?

Po drugiej stronie połączenia — tego nerwu współczesności — Elżbieta chciała nakręcić numer Mikołaja. Uśmiechnęła się i pomyślała: „Jeszcze nie...” Coś obrastało kuszącymi warstwami, jak kula śnieżna, toczona przez dzieci. „A zresztą”, pomyślała niemądrze, „są sprawy ważniejsze”. Mętne skojarzenia nie zawodziły jej nigdy, świadomym rozeznaniem brodziła po płyciznach. Nakręciła numer. — Jerzy? — powiedziała. — Dzień dobry. Jak to ładnie, że mnie od razu poznałeś. Pracujesz? Znalazłbyś dla mnie chwilkę czasu? Doskonale. Za godzinę w *Telimenie*.

Ubrała się szybko, myśl o Mikołaju nie odstępowała jej. Malując usta doznała tak gwałtownej tęsknoty za jego ustami, że kredka wymknęła jej się z ręki, znacząc ślad na podbródku. Wyglądała śmiesznie. „Muszę przestać o nim myśleć...”, rozżłościła się. „Są sprawy istotniejsze od rzeczy tak zwykłej...”

Watloch siedział przy stoliku i czekał cierpliwie. — Ach, Jerzy — powiedziała Elżbieta — jakże się cieszę, że cię widzę.

Przez chwilę rozmawiali o niczym. Watloch nie rumienił się, co było dowodem dużej koncentracji psychicznej. — Nie rozumiem — powiedziała Elżbieta mimochodem — skąd biorą się trudności Andrzeja. Przecież to bombowy pomysł. Po raz pierwszy wysyłacie własnego korespondenta nie za własne pieniądze. I to publicystę ideowo zaangażowanego, wypróbowanego. Nie mogę pojąć, dlaczego walcie mu kłody pod nogi zamiast go

szczegółu. Andrzej poczuł się jak ktoś gorszy, uboższy, ogarnęło go niesprecyzowane rozdrażnienie, lecz był jej wdzięczny za to, że tak wygląda.

Na Wale Miedzeszyńskim samochody posuwały się wolno, w długim sznurze.

— Duże przyjęcie — rzekł Andrzej.

— Inauguracja sezonu wiosennego — dodała Elżbieta z satysfakcją: uderzała urodą, która wzięła się nie wiadomo skąd na jej twarzy; jej piersi, ramiona, włosy rozkwitały jak gdyby w styku z aurą towarzyskiego wydarzenia, stawały się naraz wabiące i krągłe.

Pogoda była śliczna, popołudniowe, wiosenne niebo płynęło w otwartych oknach Fiata, blade błękitne, pachnące; wisłane powietrze drgało nad ciemnoasfaltowanym bulwarem wśród domków plażowych i przystani wioślarskich, pokrytych świeżą, zieloną farbą przed bliskim sezonem. Niebo odbijało się w czarnych, lustrzanych karoseriach rządowych Mercedesów i dyplomatycznych Chryslerów, w wypolerowanych chromach i lakierach prywatnych wozów, w ciemnych okularach wymyślnych kształtów, noszonych jako znaczące akcesorium, a nie ochrona przed słońcem. Po drugiej stronie Wisły ciągnęła się rozłożysta Warszawa, przecięta krechami wieżowców i przepołowiona masywem Pałacu Kultury, stąd białawym i niewinnym; rodzime wapienie i piaskowce z okładzin domów, z bliska dość brudnawe, jaśniały z odległości jak światło, darząc miasto nastrojem syntetycznej łagodności i optymizmu, nadającym przewodnikom turystycznym i reklamowym bedekerom prawo do utartych sloganów w stylu: „Warszawa — białe miasto!”, lub: „Warszawa — miasto jasności!” Wokół rezydencji ambasadora jezdnie obstawione były szczelnie autami; milicjanci miotali się, rozsyłając nowoprzybyłych na coraz odleglejsze miejsca parkingu.

Andrzej zaparkował i rozpoczęła się paruminutowa defilada pustą stroną bulwaru, przed tłumkiem gapiów, gromadzącym się po stronie przeciwległej. Nie był to tłum ani zbyt gęsty, ani nazbyt zepatowany widowiskiem, nie przypominał bałwochwalczych kibiców nowojorskich premier, czy paryskich widowisk towarzyskich z okolic placu de la Concorde. Saska Kępa jest dzielnicą, której powiodło się lepiej niż reszcie Warszawy; po wojnie jej łatane dyktą wille uosabiały komfort i dobrobyt, których nie zniweczyły ani okupacja, ani wysiłek odbudowy. Andrzej i Elżbieta kroczyli przez swój trotuarowy dywan chwały, lecz tłum nie emanował ani podziwem, ani zazdrością; nawet trudno było dopatrzeć się złośliwości w uśmiechach kobiet, zaś odziani *week-end*'owo mężczyźni patrzyli na Andrzeja bez sympatii, z

ogłędną ciekawością: tłum warszawski zawiera w sobie zawsze ładunek wesołej i obłudnej wrogości wobec wszystkiego, co nie wyzwala entuzjazmu. „Ojczy...” myślał Andrzej o Teofilu Felaku, przed wojną urzędniczynie magistrackim, „... twój syn idzie teraz na przyjęcie do ambasadora Francji. Tej Francji, której nigdy w życiu nie widziałeś, a która zawsze była dla ciebie symbolem rozkosznego grzeszku i historycznej chwały”.

Pałac ambasadora pełen był gości, ładnych sprzętów, gobelinów starych i nowych, ale zawsze bardzo francuskich, służby w białych kurtkach, obnoszącej tace z napojami i tartinkami, papierosów Gitanes i Gauloises, rozrzuconych w każdym kącie, kryształowych waz i srebrnych półmisek, a nade wszystko gwaru rozmów, ożywionych, lecz w dobrym tonie. Naczelnym uczuciem społecznym Polaków jest zawstydzenie, przeradzające się w sprzyjających warunkach w niezbyt szczerą grzeczność, lub bezczelną kłótniwość; zawstydzenie jednak dominuje we wstępie do każdej sytuacji i sprawia, że nawet ludzie intelektualnie wyostreni, postawieni oko w oko z elitarnym kolektywem, bąkają pod nosem komunały, a także nie wiedzą, co czynić z rękami. Ambasador o miłej, rumianej twarzy zdrowego oficera marynarki długo potrząsał prawicą Andrzeja, budząc w nim słodką pewność, że jest on najmiłszym, niecierpliwie oczekiwanym gościem, po czym z dobrze wyważoną uwodzicielskością całował dłoń Elżbiety, co było o tyle naturalne, że nawet nie bardzo wiedząc z kim ma do czynienia potrafił ocenić jej klasę wytrawnym spojrzeniem spadkobiercy Choderlosa de Laclos. Za chwilę ścisnął jakiegoś smutnego profesora ginekologii i jego pełną brodawek żonę, lecz to wystarczyło, Andrzej, jak tu każdy, pławił się już w atmosferze rautu u Francuzów, w ich ambasadzie, tym rozsądniku doskonale stymulowanej kordialności, pikowanej więzami wspólnoty, na które zawsze się można powołać: Walezjusze i Marysięńka Sobieska, napoleońskie braterstwo broni, wspólne tradycje wolności, miłość i rewolucja, odwieczne sojusze i lewicowa postępowość, Chopin i górniczy w Nordzie — do wyboru do koloru, wszystko łączy nic nie dzieli, dla każdego coś miłego. Rektorzy wyższych uczelni, całe pęczki attachés prasowych i wojskowych, słynni krytycy literaccy, aktorzy wielkich scen, muzycy o światowych nazwiskach, redaktorzy czasopism, działacze katolicki i filozofowie-materialiści szumieli i bzykali wokół jak muchy, którym przyswojono tabliczkę mnożenia i mowę Cycerona przeciwko Katylinie, racząc się sokiem pomidorowym, winem andegaweńskim, whisky Ballantine i wermutem Martini Dry. Tłum przelewał się przez salony na schody, prowadzące do ogrodu, gdzie rozpięte między drzewami markizy osłaniały bufety,

zastawione butelkami szampana firmy Mumm, koniaku Martell'a i puszkami soku pomarańczowego. Było tu świeżo i wytwornie, wiosenna *garden-party* przy dobrych trunkach, z tłumkiem gapiów na Wale Miedzeszyńskim, komentującym bez specjalnego uznania kapelusze pań, pochodzenie panów, społeczną przydatność wszystkich: tak się bowiem składało, że ogród leżał nieco poniżej Miedzeszyńskiej szosy i zagapieni Polacy spoglądali na stłoczonych gości z góry. Goście zaś przypominali dziwaczny stwór, nieforemną, rozedrganą masę społecznego znaczenia, wydzielającą trudną do sklasyfikowania substancję — ni to ciecz, ni to gaz — ektoplazmę lepszości, cechującą się miarowym, głośnym bulgotem płytkich frazesów, oraz czułkami szklanek i kiełiszków z różnokolorowymi cocktailami.

Elżbieta utkwiała między żonami sekretarzy ambasady, oceniającymi nie bez ukrytej irytacji jej ryszunek.

— Dzień dobry — powiedział do Andrzeja wysoki, ciemno ubrany pan. — Co u pana słychać, panie Felak?

Andrzej poczuł się zaszczycony i przybrał minę skromną, lecz bardzo uprzejmą: *chargé d'affaires* Stanów Zjednoczonych w Warszawie zwrócił się do niego po nazwisku. Wysoki pan nosił twarz jak z zeszlowiecznych karykatur Yankesów, przedstawiających Wuja Sama jako chudego, purytańskiego skąpca z haczykowatym nosem, w gwiazdzistym cylindrze: dziś twarze takie oznaczają już tylko przynależność do najlepszych rodzin Bostonu, lub Filadelfii.

— Mam nadzieję — uśmiechnął się dyplomata — że przygotowuje pan serię wnikliwych artykułów z Niemiec, po ostatnim pobycie?

Andrzej zaczerwienił się z błogiej satysfakcji: Amerykanin znał jego działalność.

— Poniekąd... — odparł głupio, lecz trudno było powiedzieć cokolwiek mądrego, nie grożącego jednocześnie ryzykiem: powściągliwość w takim położeniu przysparza famy człowieka ostrożnego i wiedzącego wiele.

— Pańskie artykuły — rzekł dyplomata łaskawie — mogą mieć poważny wpływ na kształtowanie się stosunków polsko-niemieckich, a także na formowanie opinii publicznej szerokich rzesz.

— Właśnie — rzekł Andrzej delikatnie — to cienka sprawa...

Poparł te słowa uśmiechem zagadkowym: trudno było zresztą Amerykaninowi wyjaśnić, że przecenia nieco jego, Andrzeja, możliwości, a zresztą po co?

— Właściwie — rzekł dyplomata, ważąc każde słowo —

powinien pan postarać się o jakieś amerykańskie stypendium naukowe. Nie sędzę, aby natrafił pan na trudności.

To była propozycja, poważna i wiążąca. „Na co on liczy?”, pomyślał Andrzej w szczęśliwym popłochu. Amerykanin działał według reguł klasycznych: pożądanymi aktualnie środkami usiłował pozyskać ludzi, stanowiących mniej lub więcej wykrystalizowaną siłę socjalną, zapowiedź przyszłości tego kraju. Jak ukryć przed nim swą nicość, pozory swego znaczenia, którymi można żonglować, lecz których bezwartościowość jest oczywista?

— Marzyłbym — rzekł Andrzej z ujmującą nieśmiałością — aby wnieść swój skromny wkład w dzieło wzajemnego zrozumienia... O ile nie nasycimy hasła koegzystencji ideą obopólnego liberalizmu, tolerancji humanizmu, wszelkie wysiłki spełzną na niczym...

Amerykanin zdawał się być zachwycony, jego dyskretne wysiłki, nie angażujące niczyjego autorytetu, padały na wyborną glebę.

— Każdy z nas — kontynuował Andrzej w uniesieniu — jest za zmianami w duchu postępu, za wolnością i przyjaźnią...

„Jeśli mnie w końcu wyślą”, rozumował szybko i sprawnie, „jeśli pokonam przeszkody i to, że nic nie znaczę, że drzę o każdego dolara i każdy artykuł przed wydrukowaniem, o czym nie wie ten wysoki dureń, nie domyślający się udręk niepewności, wtedy napiszę coś, co w najlepszym razie wywoła w nim niesmak. Nie będzie to miało wiele wspólnego ani z przyjaźnią, ani z wolnością, ani z liberalizmem. Ale na pewno zdołam mu później wytłumaczyć, że inaczej nie mogłem, że zostałem zmuszony. I wtedy wystąpię o stypendium. Oszczędzając, można za takie stypendium nabyć nowy samochód. Aby tylko nie stracił przekonania, że warto ze mną grać...”

Wysoki pan odwrócił się na chwilę by powitać brytyjskiego brygadiera w czarno-czerwonym mundurze i białych rękawiczkach, zaś Andrzeja ogarnął ramieniem młody, przystojny Włoch, pachnący drogą wodą toaletową.

— Co słyhać u Mikołajka Planka? — spytał. — Poznałem go kiedyś u pana, panie Felak. To fantastyczny facet. Zna najbardziej dziewczęta Warszawy.

Włoch przeminął, wessany przez grząskość cocktailowego tłumy, zaś Andrzej zastanowił się nad dziwnym modelem zażyłości jaki zaistniał w Warszawie pomiędzy naiwnymi reprezentantami świata zachodniego dosytu, a przedstawicielami świata moralnych zawilosci i obłudnych zasadzek: w modelu tym ceni się jego, Andrzeja, który nie reprezentuje niczego prócz swych interesów,

zaś Mikołaj, strażnik trudnych cnót, ceniony jest wyłącznie jako dostawca łatwych uroków.

— Redaktorze — rozległo się za plecami Andrzeja: odwrócił się i wysłuchał przemowy niewielkiego faceta w perłowym krawacie, którego nie mógł jakoś odnaleźć w podręcznym skorowidzu znajomych.

— Oto dyrektor Kapuza — mówił facet — z Centralnego Zarządu Miejsc Klimatycznych. Dyrektor pragnie pana poznać, nosi w zanadru propozycje, propozycyjkę...

Rozpłynął się w napierającym tłumie, zaś Andrzej został pierś w pierś z dyrektorem Kapuzą, skazany natychmiast na żenującą bliskość. Kapuza miał nalaną twarz chłopskiego dygnitarza, byczy kark i podejrzany, płaski lok na czole; obleczone był w beznadziejnie skrojony garnitur z doskonałego materiału.

— Istotnie — powiedział — od dawna noszę się z zamiarem skontaktowania z panem. — Modulował słowa głosem miłym, akcentując dobitnie i trafnie jak uniwersytecki wykładowca.

— Czym mogę służyć? — zastanowił się przewidująco Andrzej.

— Szukam kogoś zdolnego do wielkiego zadania — rzekł poważnie Kapuza. — Chodzi o kampanię propagandową na rzecz naszych skarbów niewykorzystanych, czyli stacji klimatycznych i miejsc wakacyjnego wypoczynku.

— Naszych piaszczystych plaż i kurortów — domyślił się Andrzej — i ich jedyne w świecie czaru?

— Otóż to — rozpromienił się Kapuza — od razu formułka godna Felaka! Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

„Jeśli wyjadę za granicę”, myślał Andrzej, „oderwę się od żywego ciała Teresy na całe miesiące. Będę ginął z tęsknoty przez całe noce. Muszę się nią sycić bez przerwy i bez przeszkód póki tu jestem...”

— Czy sanatoria w Krynicy — spytał — są też w gestii pańskiego Zarządu?

— Potrzebne jest panu miejsce? — rzekł szybko Kapuza: węszył świeży trop, ta bystrość kolidowała niepokojąco z jego wyglądem politycznego figuranta za dawne zasługi.

— Być może... — zamyślił się Andrzej — że lekarze zaordynują mojej żonie kurację w Krynicy.

— Natychmiast i o każdej porze — oświadczył Kapuza — stoi do dyspozycji małżonki najpiękniejszy pokój w sanatorium dla górników. To nasze najlepsze sanatorium — dodał po kupiecku.

„Nie takie proste”, pomyślał Andrzej. „Nie bardzo wypada uchodzić za właściciela Polski Ludowej. Elżbieta w sanatorium

dla górników? Co za okazja dla żartów...” Jego wrogowie zdyskontowaliby z uciechą pobyt Elżbiety wśród sztygarów i rębaczy węgla.

— Czy to wypada? — zastanowił się łagodnie.

— Redaktorze — pochylił się nad nim Kapuza konfidencjonalnie — nie chcę być źle zrozumianym, lecz jeśli żona pana nie skorzysta z tego pokoju, to otrzyma go ktoś inny, równie wiele mający wspólnego z górnictwem, jak ja ze śpiewem w operze.

— Gdyby można było przynajmniej za to zapłacić — łamał się Andrzej. — Przecież nie chcemy nic za darmo. Należymy do ludzi dobrze opłacanych za naszą pracę, mogących sobie pozwolić na ponoszenie kosztów w obronie własnego zdrowia.

— Kupić tego nie można — Kapuza wzruszył ramionami. — Tak już jest. Zdobycz mas pracujących.

„Tyle naszego”, pomyślał Andrzej, „co wyszarpiemy masom pracującym...”

— Ale moja żona — rzekł słabo — zajęłaby komuś miejsce. Komuś potrzebującemu.

— Ten, kto naprawdę potrzebuje — oświadczył Kapuza uroczyście — zawsze otrzyma należne mu miejsce. Inna rzecz, że trwa to długo, czasem miesiące, czasami lata. Nie ma w tym naszej złej woli, ot, niedomogi, których korzenie tkwią w trudnościach wzrostu. Miejsc mało, chętnych dużo. Coraz więcej ludzi leczy się, socjalizm pozwala się leczyć.

„Dżungla, biała ściana, metafizyczna krzywda...”, myślał Andrzej bez pośpiechu, „puszcza urzędów i zaświadczeń, nie do przebycia dla zwykłego Polaka, który po kilku miesiącach szamotaniny rezygnuje z uzdrowienia przewodu pokarmowego, zagubiony w niewykonalnym... Właściwie nic nikomu nie zabieram, po prostu mogę coś mieć bez uszczerbku dla innych, skoro inni nie mogą tego mieć...”

— Skontaktuję się z panem w najbliższym czasie — rzekł Andrzej uprzejmie — i to nie tylko w sprawie Krynicy. Moją gazetę od dawna interesują plaże i w ogóle miejsca narodowej rekreacji.

— Do usług — skłonił się Kapuza gestem nie mającym nic wspólnego z jego małorolną aparycją.

Andrzej uczynił dwa kroki w prawo i natknął się na Elżbietę.

— Jak się bawisz? — spytał.

— Wyborne — odparła Elżbieta.

— Załatwiłem ci przed chwilą najbardziej luksusowe sanatorium w Krynicy — rzekł Andrzej cicho. — Za urzędową opłatą.

— Przecież powiedziałam ci, że nie pojedę do Krynicy —

rzekła patrząc mu prosto w oczy. — Wszystko jedno, prywatnie czy urzędowo.

— Jędrusiu — szepnął wysoki, tęgi mężczyzna o orientalnej urodzie — jak się bawisz?

— Rybicki — rzekł Andrzej z uśmiechem starego kumpla. W Rybickim uderzała walka duszy z masywnością ciała, widać było że facet usiłuje zatrzeć swą rozrośnięć i krzepę, zaś wydać się delikatnym, intelektualnym *charmeur*'em. Służyły temu celowi zmarszczki na czole, perłowa kamizelka wyszukanego kroju, pewne gesty i grymas ust.

— Bardzo dobre whisky — pochwalił Rybicki trzymaną w rękę szklanę z roztopionym lodem. — Ach, ci Francuzi! Skąd oni biorą pieniądze na tak wystawne przyjęcia. Przy ich trudnościach gospodarczych.

Andrzej wstrzymał się od komentarza: Rybicki był kolegą szkolnym, lecz nie należało do rzeczy udanych stać z Rybickim pośrodku spojrzeń warszawskiego *monde*'u. Nie znaczy to, że w chwili potrzeby Andrzej zawahałby się przekuć swe prastare związki z Rybickim w walutę wzajemnych usług; nie znaczy też, że odżegnałby się od Rybickiego gdyby sam ambasador podszedł do nich na krótką pogawędkę. Niewygodni koledzy, nazbierani w ciągu całego życia, są zagadnieniem trudnym: Andrzej wypracował metodę uśmiechów, która pozwalała mu albo przyznać się, albo uwolnić od każdej poczwary wypełzłej z nie wiadomo jakich zakamarków przeszłości. Zresztą Rybicki nie należał do postaci kompromitujących. Ryzyko tkwiło w braku rozeznania, co aktualnie Rybicki robił, miał bowiem zwyczaj zmieniać zawody i teren działań z niefrasobliwością bogacza wobec dziennych kosztów.

— A co u ciebie? — spytał Andrzej ostrożnie. — Ciągłe to samo?

Pamiętał, że ostatnio Rybicki działał wśród modelek, kręcił się koło państwowych domów mody, organizował pokazy i rewie, kompletował personel.

— No, zastanów się, Jędrusiu — Rybicki pochylił się kordialnie nad Andrzejem — co ja mogę robić po tylu latach socjalizmu? Ja mogę już tylko mówić komplementy. Wszystko jedno komu. Aby coraz wyżej i żeby wszyscy byli zadowoleni...

Teraz nie było już wyjścia i Andrzej nie mógł przyznać się, że nie wie komu Rybicki prawi obecnie komplementy, a nawet go trochę zaniepokoiło, że nie wie. Poklepał Rybickiego po mięsistym ramieniu pod angielską wełną i rzekł ogólnie:

— Z ciebie jestem dumny! W imieniu naszej starej, kochanej budy jestem z ciebie dumny, Rybicki!

To na razie nic nie kosztowało i mogło dać jakieś rezultaty: istotnie, Rybicki rozkrochmałił się i powiedział:

— Całe Ministerstwo Kultury na mojej biednej głowie... Jak kogoś przyjąć, podjąć, zabawić to kto to ma załatwić? Jasne że Rybicki. Wszyscy ważni z zagranicy przechodzą przez moje ręce...

Trudno mu było nawet odmówić jakichś oczywistych kwalifikacji: wyczuwało się od razu, że w świecie oficjalnych bankietów i śniadań, recepcji i wycieczek do miejsc urodzin Chopina potrafi rozwinąć duże uroki. Nikt jak on nie ujmie z taką miłością szyjki butelki, opłaconej przez fundusz reprezentacyjny ministerstwa, nikt nie wzbudzi takiego zaufania i błogości u podejmowanych jak Rybicki, studiujący uważnie kartę potraw i doradzający ze skupieniem dania wśród ciągle tych samych dowcipów na temat różnic językowych w zakresie pieczonego drobiu.

— Widzisz tego faceta? — Rybicki wskazał Greenleaf'a. — Mam do niego doskok. Amerykanin, potęga, chce ładować dużo złotych w Polskę i ko-egzystencję. Dla ciebie może być trampoliną, mógłbym cię urządzić...

— Jadłem z nim obiad dwa dni temu — uśmiechnął się Andrzej. Rybicki wznosił żałośnie czarne brwi i oczy do nieba.

— Zawsze byłeś kozak, Jędrus — poskarżył się z jęklwym podziwem. — Jestem z ciebie dumny w imieniu naszej kochanej, starej szkoły, która wyprowadziła nas na ludzi! Kto by wtedy pomyślał, że zrobisz taką karierę, no, no...

— Halo — doszło Andrzeja, nieco z góry: był to znów dyplomata amerykański.

— Mister Felak — powiedział — chciałem pana poznać z jednym z mych ziomków.

Andrzej odwrócił się i znalazł się twarz w twarz z Greenleaf'em, którego dyplomata trzymał pod rękę.

— My się już znamy — mruknął Greenleaf, zaś dyplomata uśmiechnął się radośnie, pokrywając jeszcze jedną porażkę swych inicjatyw. Za Greenleaf'em czernił się Montague de St. Quentin w nieskazitelnym żakiecie.

— Panowie pozwolą — rzekł Andrzej — moja żona.

Greenleaf spojrzął na Elżbietę i coś w rodzaju trzeciej natury zarysowało się w jego postawie: pionier i późniejszy lewantyńczyk ustąpili miejsca pieśniarzowi popularnych przebojów, który za chwilę pochylił się czule do mikrofonu aby zaszemrać głębokim barytonem coś o pyle gwiazdnym i księżycu nad nami.

— Kobiety w Warszawie — oświadczył St. Quentin po francusku — są ostatnim bastionem wykwintu, wysuniętym na wschód. Przyczółkiem zachodniej cywilizacji.

— My, tubylki — powiedziała Elżbieta z opryskliwą ironią — staramy się być schludne. To wszystko.

Andrzej zanotował z zadowoleniem wrażenie, jakie Elżbieta wywarła na Greenleaf'ie, natomiast zaskoczyła go jej agresywna postawa: jak dotąd Elżbieta przyjmowała cudzoziemskie hołdy z miłą biernością, przesiąkniętą snobizmem.

— Co myślicie, wy wszyscy, o jakichś hulankach po tym nabożeństwie? — Greenleaf ocknął się i zaintonował w stylu wojskowych marynarzy z muzycznych komedii. — Nie wybierzemy się dokądś na coś gorącego do zjedzenia i łyk czegoś mocniejszego? — zwrócił się bezpośrednio do Elżbiety.

— Moja żona mówi tylko po francusku — uświadomił go Andrzej.

— Nie szkodzi — rzekł Greenleaf — będziemy ją uczyć ze wszystkich sił.

Elżbieta powiedziała: — Przepraszam... — i przywitała się wylewnie z dwiema paniami w imponujących, wiosennych kapeluszach. Andrzej nie mógł pojąć jej zachowania: jak dotąd koncentrowała się zawsze na sprawach ważnych z uporem parlamentarzysty zwycięskich wojsk.

— No i jak? — powiedział machinalnie, by wypełnić pustkę.

— Zaakceptowane — rzekł Greenleaf z nieoczekiwaną rzeczowością. — Przyjmujemy pańskie propozycje.

„Co się dzieje!”, pomyślał Andrzej w oszołomieniu: nagła zmiana fortuny budziła nieufność.

— Bardzo się cieszę — rzekł powściągliwie i z godnością. Instykt łąpczywości narastał w nim wprost proporcjonalnie do powodzenia.

— Spodziewam się — powiedział z leciutką kpina St. Quentin — że będzie pan zadowolony z zakwaterowania i wyżywienia. Stawiamy do pana dyspozycji nasze hotele w Europie i Sheraton Hotels w Stanach.

— Mam nadzieję — uśmiechnął się Andrzej łaskawie — że nie zapomnieli panowie o rozrywkach. *Paris by night*, wieczory w *Lido* i w *Crazy Horse*. W Polsce reklama to barwność dziennikarskiego opisu, gdzie zaś jej szukać skuteczniej, niż w takich miejscach?

— Myślałem, że bardziej interesuje pana zwiedzanie biurów — rzekł Greenleaf. — I nasza technika pracy, oraz obsługi klientów, doprowadzona do perfekcji.

— Po co? — zdziwił się Andrzej.

— Chociażby dlatego — rzekł Greenleaf napastliwie — aby ocenić wyższość amerykańskich przedsiębiorstw nad komunistycznymi. No i nauczyć się czegoś.

— Nad europejskimi, chciał pan powiedzieć? — rzekł Andrzej.

— Mówię wyraźnie — mruknął Greenleaf. — My jesteśmy właśnie europejskim przedsiębiorstwem.

— Ale o amerykańskim kapitale — uśmiechnął się Andrzej przekornie.

— To nie ma już dziś żadnego znaczenia — Greenleaf popadał w rozdrażnienie i Andrzej uznał, że nie należy dalej droczyć się z ofiarodawcą. Klepnął Greenleaf'a lekko po ramieniu rzekł z chytrą potulnością:

— Proszę mi wierzyć, będzie pan zadowolony. Napiszę o waszych biurowcach, o waszej sprawności i o tysiącach waszych urzędników, z których każdy wie bezbłędnie co robić w danej chwili i co do niego należy...

— Tak będzie w porządku — rozchmurzył się Greenleaf.

— Nie byłem jeszcze w Hiszpanii — napomknął Andrzej mimochodem — chętnie bym się tam pokręcił.

— Proszę bardzo — rzekł Greenleaf — dwa dodatkowe tygodnie w Hiszpanii.

— I załatwi pan formalności? — upewnił się Andrzej. — Bo wie pan? Polski dziennikarz tam...

— Wszystko załatwię — rzekł Greenleaf.

Elżbieta wróciła do boku Andrzeja.

— Czy wolno mi zamówić stolik na wieczór? — spytał ją St. Quentin po francusku.

— W Warszawie nie jest to konieczne — uśmiechnęła się Elżbieta. — Jedzie się do lokalu i już.

— Co ona powiedziała? — zainteresował się Greenleaf, po czym rozjaśnił się i rzekł uciążliwą francuszczyzną: — Czekamy na panią, *madame*, dzisiaj...

— Dziękuję — powiedziała Elżbieta chłodno — ale jestem zmęczona i wątpię, czy spędzę wieczór poza domem.

„Co jej się stało?“, myślał Andrzej ze złością. Nie rozumiał jej ostentacyjnej niechęci, Elżbieta sprężynowała niezawodnie w tego rodzaju sytuacjach, doprowadzała zainteresowanego kontrahenta do przekonania, że wystarczy wyjście męża do toalety aby spełnić wszelkie zachcianki. Andrzej był dumny z jej mistrzostwa w ułatwianiu pertraktacji, tym bardziej że znał zwodniczość środków tej gry; oczywiście, oburzyłyby się, gdyby ktoś nazwał to podkładaniem własnej żony pod klienta, wiedział zbyt dobrze, do czego Elżbieta jest zdolna, a do czego nie, i w jego przekonaniu zabiegi takie nie kryły w sobie ryzyka. Pamiętał przy tym gorliwe poparcie Elżbiety dla nowych planów, nie mógł więc pojąć niekonsekwencji jej postępowania.

— Przestań się wygłupiać! — powiedział po polsku, niebaczny, że zarówno Greenleaf, jak i St. Quentin orientują się nienajgorzej w tym języku.

— Jędrusiu — powiedziała Elżbieta spokojnie — pojedź z panami dokąd chcesz. Mnie odwozą Wardowie.

„Czyli, że pojedzie do *Spatifu*”, pomyślał Andrzej. „Dlaczego nie chce z nami, lecz chce bez nas do *Spatifu*?” Elżbieta myślała, że nawet poszłaby z Andrzejem i jego cudzoziemcami, gdyby miała nadzieję, że zjawi się Mikołaj, z którym wyjdzie na przekór wszystkim, obraźliwie i wyzywająco; lecz tego rodzaju sceniczne rozwiązania nigdy nie cieszyły się jej sympatią i na pewno nie uczyniłaby nic podobnego, mimo że marzy o nich jak szesnastolatka o gestach niezależności i honoru. „Dosyć!”, utrzymywała się w zawziętej negacji. „Nie będę więcej służyć za przynętę! To obrzydliwe...”

Greenleaf utonął gdzieś wśród dyplomatów, Elżbieta znikła niedostrzegalnie, na zasadzie wymienianych co chwila uśmiechów i przywitań. Andrzej przesunął się nieco na ubocze, wraz z St. Quentin'em. Stał tu samotnie niewysoki brunet o miłej powierzchowności i jadł bez przerwy: zatrzymywał każdego kelnera i rządził się bez ustanku biskwitami z serem, kanapkami z salami, małutkimi kwadracikami tartinek z anchois, lub pasztecikami w francuskim cieście.

— Dzień dobry — rzekł do niego Andrzej, nie bez rozbawienia — widzę, że nie traci pan czasu.

— Uhm — mruknął brunet. — Niczego się od nich nie dowiem... — wskazał ruchem głowy amorficzną konstrukcję *cocktail-party*, nie przestając jeść — ... zaś tego, co im mam do powiedzenia, nie rozumieją. Natomiast lubię prawdziwy Camembert. Jest to jedyna rzecz autentyczna, jaką mogę tu otrzymać.

Miał smutne, wzgardliwe oczy człowieka odpowiedzialnego za nieswoje winy.

— Nie spotykam pana ostatnio nigdzie — ciągnął Andrzej. — Nawet u pani Stoll.

— Zbierają się tam ludzie — rzekł brunet, łapiąc za rękaw kolejnego kelnera — którym najlepiej się w Polsce powodzi, ażeby narzekać na swój zły los. Mnie powodzi się fatalnie, ale nie narzekam. Oddaję się rozpacz.

— Pan pozwoli, że się przedstawię — rzekł Montague de St. Quentin poprawną polszczyzną: skłonił się lekko i uściśnął dłoń nienasyconego bruneta. — Czy pańska rozpacz — spytał — jest koniecznością, czy kaprysem?

— Jest klęską — odparł brunet łykając kawior — żywiolową i spadającą zewsząd. Niech pan popatrzy, oto jeden z po-

wodów rozpaczy: upokorzenie ludzi wielkiego serca i rozumu... — Wskazał na grupkę podstarzałych, flejtuchowato odzianych panów, słuchających pilnie krzykliwych wywodów młodej pani o zaciętych, wąskich ustach i rozbawionych oczach głupawego podlotka. — Zasługi tej pani dla kultury polskiej są natury erotycznej — dodał. — Jest to wiele, nie dość jednak, aby ferować wyroki, pouczać, kierować, rządzić...

— Ta pani — rzekł Andrzej z uśmiechem — niezwykle zhumanizowała się ostatnio.

— Ale dlaczego na moim tyłku? — zastrzegł się brunet zgarbiając z półmiska sardynkę — a nie na przykład w dokach? Szanuję tych rewolucjonistów, którzy dochodzą do łagodności nosząc worki wraz z wyzyskiwanymi, a nie takich, których ostre kanty poglądów ścierają się przy ścinaniu głów przeciwników.

Ktoś dotknął lekko łokcia Andrzeja: była to pani Stoll.

— Mam do pana interes — powiedziała odchylając się do tyłu. — Co pana łączy z tym szmirarzem, tandeciarzem i ćwierć-inteligentem? — wskazała na bruneta.

— Absolutnie nic — Andrzej wzruszył usprawiedliwiająco ramionami — poza niespodziankami przyjąć ogrodowych.

— Proszę mnie odwiedzić do domu — rzekła pani Stoll — porozmawiamy po drodze.

Była to propozycja obcesowa i niezbyt wygodna, lecz zdrowy instynkt zakazywał odmowy.

— Tylko umówię się z Elżbietą i pewnymi panami — rzekł Andrzej — po czym służyć pani...

Wycofując się słyszał jeszcze urywki rozmowy bruneta z St. Quentin'em: uwikłali się w dywagacje nie rokujące porozumienia.

— Miażdży nas wszystkich system zorganizowanej nieodpowiedzialności, jak pisał Wright C. Mills... — mówił jeden z nich, trudno było rozeznaczyć który w poszumie rozkołysanych, towarzyskich trzasków.

3.

W samochodzie okazało się, że Stollowa nie dysponowała niczym nadzwyczajnym, ani pilnym: prawdopodobnie chodziło jej wyłącznie o odwiezienie do domu. Nie przestawała przez drogę powtarzać, że musi z nim porozmawiać w ważnej sprawie, lecz jeszcze nie teraz, jak nadejdzie właściwy czas. Z opowiadań jej wynikało, że pracuje mrówczo w dziedzinie intrygi personalnej i zawodowej, że opanowała bez reszty technologię wykańczania

ludzi i ich dokonań przy pomocy jednej, misternie wyczelowanej opinii, że jest wirtuozem w posługiwaniu się kolegiami, komisjami i skrzywieniem nosa w odpowiedniej chwili tak, aby nie miały jej człowiek być stracony na zawsze. Andrzej napomknął o swych kłopotach, także o słabym powodzeniu „Pikielhauby” i o tym, że obawia się, czy zdoła zdobyć umowę na następną książkę, której tytuł i temat ma już gotowe. — Jak będzie się nazywać? — spytała Stollowa. — „Szczęście galanteryjne” — odparł nieśmiało. — O zwycięstwie ideałów konsumpcyjnych

kłęsce społecznego altruizmu na zachodzie. — Niech mi pan da w przyszłym tygodniu konspekt książki — oświadczyła Stollowa rzeczowo. — Postaram się, aby zawarto z panem umowę.

Z powrotem jechał powoli, nie śpiesząc się. Światła paliły się już w liliowym, jasnym zmierzchu, strojąc ulice w szatę wielkomięjskiej urody. Na Pięknej omal nie najechał na smukłą kobietę; stała z uporem na środku jezdni, machając ręką w celu zatrzymania taksówki. Andrzej usiłował ją wyminąć, kobieta cofnęła się chwiejnie, akurat pod koła, więc przyhamował, skłonny do kłótni, a także w obawie przed niezbyt kontrolowanymi odruchami kobiety, która podbiegła do auta, sądząc widocznie, że zatrzymuje się w celach zarobkowych. Po czym było już za późno na wycofanie się, Maryta otworzyła drzwi i siadła obok Andrzeja.

— Spadłeś jak z nieba — powiedziała. — Bardzo się śpieszę, jestem katastrofalnie spóźniona. Odwieszysz mnie, złociutki, prawda?

— Randka? — uśmiechnął się Andrzej.

— Coś takiego — szepnęła. — Jedź, kochanie, jedź już!

Podawała nazwę odległej kawiarni na Puławskiej. Andrzej westchnął, ale nie było rady. Spoglądał na nią z ukosa, dziwiąc się atrakcyjności jej wyglądu: była zarumieniona i świeża, mimo rozrzuconych włosów i niedokładności w makijażu. Oddech miała przesycony alkoholem. Odwróciła się do Andrzeja i patrzyła nań z upodobaniem wielkimi, pięknymi oczami ze starych, romantycznych portretów. — Ach, kochanie — powiedziała miękko — nie masz pojęcia, jak cieszę się, że cię widzę...

— Maryto — rzekł Andrzej — stwierdzam, żeś dała potężnie w gaz, co?

— Przyjechała przyjaciółka z lat dziecińczych. Spędziłam z nią wakacje w ich dworze na Podolu jak miałam dwanaście lat. Co za czasy! Jazda konna i całonocne rozmowy o mężczyznach na bazie atlasu anatomicznego z Petersburga. Dziś jest dyrektorem domu kultury. Rzeczywiście, wypiliśmy pół litra cherry brandy.

Powolnym ruchem objęła ramiona Andrzeja; dłoń jej, wąska, chwytna, powędrowała w górę, długie, gorące palce zanurzyły się w jego włosach, wędrując od dołu, po karku. Było to przyjemne i Andrzej powiedział niepewnie: — Daj spokój, proszę... Przecież prowadzę...

Ręka Maryty opadła i zatrzymała się na jego udzie. — Że są jeszcze mężczyźni o muskularnych udach i łydach... — powiedziała i fala napastliwego gorąca ogarnęła Andrzeja.

Zatrzymał się przed kawiarnią. — Pa! — krzyknęła Maryta. — Dziękuję! Spóźniłam się nieprzytomnie... Co za prośbę ze mnie... — Zgubiła się w przypiływie bezładnego pośpiechu, wyskoczyła z wozu nawet nie podając mu ręki.

Andrzej odjechał kilkanaście metrów i zaparkował. Nie było to proste, co chciał zrobić, znał tę kawiarenkę, była mała i nieporęczna do takich akcji. Wyjął z wozu płaszcz deszczowy, włożył, nastawił kołnierz, wszedł do kawiarni i skręcił od razu w lewo, ku bufetowi: leżały na nim ciastka mało apetyczne, przerosłe podejrzanym, różnokolorowym kremem. Kazał sobie zapakować dwa i rozejrzał się ostrożnie: powietrze było tu ciężkie, zasnułe dymem i kurzem; przy stolikach siedzieli ludzie tuzinkowi i niezgrabni, pijąc kawę, paląc papierosy i flirtując pretensjonalnie. W odległym kącie Maryta przechylała się ku wątlemu, czarniawemu człowiekowi: jej zalkoholizowana, wielkopańska ostentacja żenowała go w sposób widoczny. Andrzej wyszedł szybko z kawiarni. Wrzucił ciastka do kosza na śmiecie i poczuł się lepiej. Nienawidził takich kawiarni: rezydujący w nich Polacy budzili w nim wstręt, przygnębiali go swą żądnością, widział w nich wyłącznie źle umyte zęby, brzydkie skarpetki i pokraczność niezrealizowanych marzeń. Odetchnął głęboko: to, po co wszedł i co ujrzał, podniecało jak dobra pointa w kryminalnej powieści.

Nazajutrz zatrzymał Fiata, tuż po siódmej, za sklepem Maryty na Chmielnej. Obliczył dobrze, Maryta wyszła z sąsiedniej bramy. Stała przez chwilę w postawie człowieka, z którego spływa zmęczenie. Uchylił drzwi i zawołał: — Maryto... — Podeszła nie zdziwiona. — Siadaj — rzekł — zabieram cię na spacer. Masz ochotę? — Mam — odparła, jakby na to przygotowana.

— Przypomniałeś sobie o mnie — powiedziała głosem ciemnym, nieczystym; mijali Belweder, zjeżdżając w dół, ku szosie Wilanowskiej.

— Zrobiłaś coś nie coś wczoraj w tym celu — rzekł z zadowoleniem: była zatem opanowana myślą, o którą chodziło mu

najbardziej. — Pamiętasz, rozmawialiśmy o księgowych — powiedział przyjaźnie. — Chciałaś, żebym ci pomógł.

Maryta roześmiała się nieszczerze. — Wiesz, chłopcze, mam kogoś odpowiedniejszego do pomagania mi w tych sprawach.

— To dlaczego go o to nie prosisz?

— Nie mogę prosić kogoś o coś, kto kocha mnie za to, że niczego od niego nie chcę, za to, że jest się z nim dla niego, a nie dla jego możliwości.

— Kto jest w dodatku bardzo podejrzliwy i tropi interesowość na każdym kroku. I kto boi się śmiertelnie, czy przypadkiem przysługa wyrządzona najbliższemu człowiekowi nie będzie gdzieś niewłaściwie interpretowana. Czyli boi się o swe stanowisko.

— Poszedłeś parę kroków za daleko — zadrwiła. — Nie każdy działa w myśl takich pobudek, jak ty. Niektórzy zatrzymują się w pół drogi. Chodzi im tylko o uczucia, a nie o ich następstwa.

— Wzruszające — rzekł Andrzej.

Minęli Wilanów. Szosa była pusta i cicha. Kilka kilometrów przed Klarysewem Andrzej skręcił w bok, w wąską drogę wykładaną klinkierem, w gęstym szpalerze wysokich krzewów tuji i jałowca. Zatrzymał wóz, zgasił światła, otworzył okna: ciepłe, wonne powietrze przyniosło ze sobą odgłosy wiosennego życia w krzakach — cykanie, chroboty, szmery i gwizd nieznanych ptaków. Andrzej zsunął płaszcz z ramion Maryty i zaczął rozpinąć bluzkę. Siedziała biernie, jakby osowiała. Niczym nie zamaskowanym ruchem odgarnął spódnicę wysoko z kolan. — Zlituj się — powiedziała Maryta spokojnie — nie tu. Strasznie mały wóz. — Póki co nie mamy większego — rzekł — Znasz się — dodał z uśmiechem — na samochodach...

Objęła go za szyję i przywarła do niego niezręcznie, na skutek ciasnoty. Szukała jego twarzy, lecz Andrzej unikał pocałunku: wiedział, że nań czeka, że chętnie przyjmie po nim wszelkie gesty, lecz wspomnienie odoru alkoholu z wczoraj przejmowało go obrzydzeniem. Dostrzegał teraz zwiędłość wokół nie najlepiej pomalowanych warg, niszczące ślady tysięcy papierosów na zębach. Wzmozona aktywność jego natrętnie szukających rąk świadczyć miała nieprzekonywująco o namiętym zapamiętaniu.

Rozluźniła uścisk i usiadła równo, nie poprawiając ani uniesionej spódnicy, ani rozpiętego stanika. — Wątroba mnie boli — powiedziała. — Po wczorajszej wódce.

— Chyba nie tak strasznie, żeby...

— Cholernie boli — skrzywiła się brzydko.

„Ładna historia...”, pomyślał Andrzej. „Jeszcze mi tu dosta-

Część Druga

SCENY Z ŻYCIA PRYWATNEGO I PUBLICZNEGO

— Nie przypisuję sobie żadnej
zasługi, prócz portretowania tego
co jest naprawdę.

Stendhal.

1.

(1946) Jakże trudno dziś powiedzieć, co zostało z tej wiosny, teraz, ze zwężającej się w dal perspektywy lat, w jej lekko już przybrudzonych fotografiach. Jakże trudno jest mierzyć czas po wojnach! Wszystko wydaje się tak bliskie, tak niedawne, nawet po długich latach.

Człowiek jest pełen zaufania do niewiadomego, tym chyba tłumaczy się ufność, jaką darzy rewolucje i lekarzy; żywią ją wszyscy niemal, z wyjątkiem lekarzy, świadomych swej impotencji w walce z utajonymi wyrokami faktów. Rewolucje proklamują szlachetne słownictwo, które przenika do mowy potocznej: nawet przeciwnicy wierzą w głębi serc, że zawarte w intencjach rewolucji dobro i rozum wyeliminują w końcu przemoc i absurd, wierzą w słowa, albowiem moc słów jest nieodgadniona zaś na zużycie ich nie starczy stuleci.

Zaufanie do przyszłości biło z każdego metra zmaltretowanych ulic, którymi szedł Andrzej. Jeszcze czuło się tandetną pokrywą żywotności, rozciągniętą gorączkowo nad bezmiarem śmierci, cierpienia i ruin, nigdy do końca niezbadanym. Naród polski, który mimo wszystko jest sumieniem świata, bowiem gdyby nie uparł się umierać za Gdańsk, pół Europy powędrowałoby w końcu do komór gazowych, i teraz daleki był od pewności, czy wszystko jest w porządku. Naród ten dygotał i kłębił się wokoło, wbijając w gruzy nagryzmołone na dykcje reklamy, informujące gdzie można zjeść gorącą zupę, świeże ciastka, lub uprać spodnie. Krojony do żywej kości przez wszystko co naj-

gorsze w dziejach budował teraz swój Klondyke na usypisku z niedawnych bólów, goryczy i piekielnych rozczarowań, brudny, spocony i odziany tak nieszczęście, że aż śmiesznie, wił się w drgawkach dynamizmu, w którym nadzieja zabija rozsądek.

Andrzej szedł przez miejsca znane i tylekroć podziwiane; niegdyś rozległe, obecnie wydawały się małe, zredukowane do strzępu pokrytej gruzami ziemi, pokurczone jak brzydki nieboszczyk. Tutaj dwa lata temu bomby zwały mu niebo na głowę, tu bał się zwierzęco, bezmyślnie i przeklinał białymi wargami wszystko, co nie było gołym zachowaniem istnienia. Tu teraz czuł gniotącą nicość swego powrotu. — Nigdy się na to nie zgodzę... — szeptał bezwiednie, siedząc na tekturowej walizce i kryjąc twarz w dłoniach. — Na to, co nas tu spotyka w nagrodę za ofiarę...

(1946) Kiedy wybuchło Powstanie Andrzej, wychowanek harcerskiego ruchu oporu, maturzysta na tajnych kompletach i namiętny wielbiciel skuteczności, rwał się do akcji bezpośredniej. W porywie przeszkodziła mu znajomość języków obcych. Odznaczał się talentem lingwistycznym i uprzednio opanował język niemiecki w słowie i piśmie: ta kwalifikacja znana była dowódtwu dzielnicy. Od początku więc siedział w sztabie odcinka, tłumaczył meldunki i dokumenty z jednego języka na drugi, zaś zaaferowany major o spoconym czole, z czerwono białą opaską na rękawie złachmanionego garnituru, gładził go po policzku i powtarzał: — Mój chłopcze, w wolnej Polsce powinieneś obrać karierę naukową. Masz zdolności, masz... — W geście majora mieszała się dobrotliwość z pewnymi skłonnościami, gdyż Andrzej miał policzki świeże i rumiane mimo niedożywienia, wyczerpania, strachu. W związku z nastrojem chwili marzył jednak o karierze militarnej, o skromnym, lecz eleganckim uniformie oficera ery wielkich wojen ideologicznych XX wieku, w jednej z których właśnie miał zaszczyt brać udział.

W dwa lata później dostał wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa. W odrapanym pokoju siedział młody facet w tenisówkach i w brudnej koszuli bez krawata. Nosił baczki, miał zaczerwienione obwódki oczu w małomiasteczkowej twarzy krzepkiego potomka handlarzy końmi z Wołynia, a może ambitnego parobka,

który chciał zostać księdzem lub nauczycielem. Pachniał zaciekle wodą kwiatową po niedawnym goleniu i nieustannie zapinał wygniecioną marynarkę, jakby pragnąc nadać jej godny wygląd. Był niewiele starszy od Andrzeja i zdaje się, że pomyślał sobie coś wzgardliwego na jego widok: mogło to dotyczyć cery Andrzeja, ciągle niezwykle rumianej i pozbawionej zarostu. Pokój był pusty, poza biurowym stołem, pokrytym zieloną bibułą, dwoma krzesłami, oraz podobiznami Stalina i Bieruta w rotograwiurze, przybitymi do gołej ściany, z krzywo skliszowaną na lichym papierze reprodukcją orła bez korony pomiędzy nimi. Pachnący funkcjonariusz długo i bez sympatii wpatrywał się w Andrzeja, któremu robiło się coraz niewygodniej, po czym zaproponował mu, aby się przyznał. Chodziło o kilka przewinień: pracę na rzecz obcych wywiadów, przynależność do reakcyjnych organizacji, współdziałanie z komórkami szpiegostwa i dywersji. Andrzejowi pot okleił członki i biegł ciurkiem po krzyżu: to o obcych wywiadach zaczynało być wrzodem w świadomości społecznej Polaków, którzy właśnie uczyli się żywiołowej klęski czegoś niemożliwego do sprawdzenia. Otrzymawszy wezwanie spodziewał się, że sprawa nie jest błaha, gdyż Urząd Bezpieczeństwa to nie placyk zabaw; ostatecznie przewędrował w ciągu ostatnich dwóch lat parę krajów, handlował tu i ówdzie czym się dało, nieco zabrał po drodze do Warszawy przez Ziemie Odzyskane, gdzie ciągle jeszcze leżało mnóstwo ciekawych przedmiotów niemal na ulicy. Na Zachodzie bardzo się Andrzejowi podobało, lecz postanowił wrócić do kraju. Mało wpłynęły na tę decyzję listy ojca, samotnego po śmierci matki, wzywające do powrotu: ojciec żywił lewicowe sympatie w Dwudziestoleciu i uważał, że wszystkim da się ułożyć. Zubożały Zachód nie nęcił; rodziła się na nim nowa kategoria Europejczyków rozgoryczonych, skazanych na błędne poszukiwanie swego miejsca na ziemi wówczas jeszcze, gdy inni pić już będą pożywne soki życia. Emigrację polityczną uważał za stratę czasu, na mitingach zdeorientowanych Polaków gardłował za pomostem między Wschodem a Zachodem, dając do zrozumienia, że nową polską racją stanu powinno być wykołowanie i jednych i drugich w imię paru lat spokoju. W wirtach Palatynatu przy czarnorynkowym winie, potem we francuskich kafejkach przy kradzionej z amerykańskiego zaopatrzenia whisky Andrzej powtarzał ściągniętymi goryczą wargami jak to Polacy dostali kopa w tyłek od wszystkich, jak zostali wydymani aż do skrwawionej wątroby i jak trzeba samemu sobie pomóc. Słuchaczy znajdował chętnych i lekko zamroczonych alkoholem. Na zebraniach dyskusyjnych w kantynach YMCA, Czerwonego Krzyża i *Displaced Persons* mówił nieco inaczej: słowa ojca z cza-

sów wielkiego kryzysu podlewał zapamiętanymi z Żeromskiego i Struga nastrojami łagodnej postępowości i humanitaryzmu. W zaduchu gigantycznych ciężarówek i wśród neo-wędrowki ludów Europy rodziła się nowa epoka: Tunguzi i Czeceńcy myli po raz pierwszy w życiu włosy szampunem, słuchali Maurice Chevaliera i kupowali obuwie na bazarach rozkwitłych dzięki działalności UNRRA, zaś majstrowie lotaryńskich hut żelaza marzyli o translokacji swych domków z warzywnymi ogródkami na Ural, gdzie mogliby żyć i doskonalić się w klimacie nieustających akademii. Andrzej rozumiał, że przetrwają kamienne poematy Florencji i Brugii, że pokryte kurzem chwilowego ubóstwa Ritze, Carltony i Park-Hotele odzyskają swój blask i że wtedy warto będzie tu wrócić.

Toteż ciężkie od groźnych ewentualności słowa pachnącego przytłoczyły Andrzeja brakiem precyzji: on, Andrzej Felak, myślący tak zdrowo o własnej przyszłości, miałby się wdawać w sprawy śmierdząco niebezpieczne? Odrapany pokój przerodził się naraz w miejsce bezsensownej kąpieli, gdzie wszystko zaczyna się od katastrofalnych pomyłek nie do wyjaśnienia, pęczniejących na drożdżach idiotycznych półprawd aż do niepewności, czy w ogóle stąd wyjdzie w porę, aby zdążyć na randkę z pewną Basią w kawiarni „Kruszynka”. Mówił coś dużo i szybko, zaś pachnący kiwał głową, po czym niezbyt gramatycznie odczytał mu notatkę o związkach jego, Andrzeja, z pewnym majorem, którego nazwisko nic Andrzejewi nie mówiło, ale pseudonim przywiódł mu w pamięć spoczone czoło i zdefasonowany garnitur w piwnicy zamienionej na stanowisko dowodzenia. Odetchnął z ulgą, gdyż swoje związki z ową piwnicą uważał za czyste i nie podlegające koniunkturze politycznym, lecz pachnący wytłumaczył mu zwięźle, jakim major był potworem, i jak nikczemnie szczyrzył zęby pojąc się krwią ludzi inaczej myślących o rozwoju społeczeństw, niż on sam, ten major. Po czym wyłożył Andrzejewi jak powinien odpokutować za młodzieńczą pomyłkę ideologicznego prawiczka; zaraz potem jednak oświadczył łagodnie, że widzi przed Andrzejem drogę poprawy, że znany jest mu rozsądek ujawniony przez Andrzeja na Zachodzie i że, ogólnie biorąc, daleko lepiej jest być w życiu nagradzanym, niż karany. Wreszcie spytał, czy nie widział gdzieś owego majora po powrocie do Polski, a gdy Andrzej gorąco zaprzeczył, nie kontynuował tego tematu. Kazał mu tylko coś podpisać i spytał, czym Andrzej zajmie się teraz, w wolnej Polsce. Andrzej poczuł przypływ niezrozumiałego zaufania do pachnącego i opowiedział mu wyczerpująco o swych planach na przyszłość. Mówił, że nie wie, czy studiować języki obce, czy zająć się dziennikarstwem, wtrą-

cając co chwila, że nigdy nie miał nic wspólnego z polityką, zaś w Powstaniu bił się w szeregach AK z czystego przypadku, znalazłszy się w pobliżu. Pachnący odpowiadał monosylabami, w przeciwieństwie do Andrzeja, który popadł w wylewność, kiedy zaś Andrzej zdecydował się na dziennikarstwo pogroził mu całą dłońią z dobrotliwym okrucieństwem i rzekł: — ... No, no... — Po czym wypisał mu przepustkę na opuszczenie gmachu. Andrzej wrócił do domu z uczuciem płóchej radości, choć z nieco rozlatanymi źrenicami: był dziwnie zadowolony, że zawarł znajomość z owym pachnącym funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa.

Mieszkał z ojcem na Ząbkowskiej, na oddzielonej dyktą od reszty kuchni przestrzeni. Zagadnieniem numer jeden było tu mycie: w łazience trzypokojowego lokalu mieszkała rodzina z dwojgiem dzieci, trzy rodziny w reszcie mieszkania i w kuchni. Kuchenny zlew spełniał w tych warunkach rolę cudownego źródła, otoczonego bezustannie tłumem wiernych. Ojciec działał w gospodarce komunalnej, jako wolontariusz, gdyż w owym czasie Polska należała do chętnych, zaś chętnymi byli ludzie, którzy albo żywili ufność do lewicy, albo pełni byli ufności w własne siły, mające ich doprowadzić dokądś wszystko jedno jaką drogą. Stary Felak wierzył, że będzie dobrze, bo pracując przed wojną w magistracie znał paru socjalistów, którzy stanowili skrzyżowanie łagodnych pediatrów z apostolską cierpliwością bożych starców i odznaczeni się świetlaną przyzwoitością. Ta wiara uprawniała go już do pewnych promocji w formującym się zarządzie miejskim. Na wszelkie monity Andrzeja, że siedząc tak blisko wydziału kwaterunkowego nie potrafi załatwić przyzwoitego kąta, ojciec odpowiadał mętnie, że są bardziej potrzebujący. Andrzej nienawidził Pragi: czuł zawsze nieprzewartą skłonność do dobrych dzielnic, wychował się w kamienicy, której klatki schodowe odrażały schludnym ubóstwem i tandetnie pomalowaną brzydotą. Nawet teraz, w mieście zmielonym na proszek, fascynowały go miejsca byłych dobrych dzielnic, gdzie instynkt wskazywał mu przyszłe, odrodzone oazy wpływów, wykwintu i użycia. Niezburzona Praga nadawała się obecnie lepiej do mieszkania i prologaty gatunku, niż Warszawa, spowita w osobliwy welon z kiru, tragizmu i gorączkowej aktywności na gruzach, wśród knajp i urzędów, jakby poklejonych z niesamowitego *papier-maché*, z autentycznym księżycem przeświecającym przez wypalone kikuty murów. Lecz życie wibrowało w tej scenarii rzetelnym wysiłkiem i rdzenną, pijacką, wzniosłą płacliwością.

(1946) W podziemiach wypalonego Hotelu Europejskiego zainstalowano wyborną restaurację, zaś ze słomy i oczyszczonych cegieł powstał dancing *Kongo*. Andrzej nosił dystygowane po wypraniu krawaty z magazynów UNRRA, prezentując kolorowość i wdzięk alianckiego miłosierdzia. Wysiadywał w hallu Hotelu Polonia, jedynego gmachu o powierzchniowych cechach komfortu, czytając gazety i świadcząc drobne przysługi zdeorientowanym cudzoziemcom w ich rodzimych językach. Cudzoziemców wabiły do Warszawy różne okazje, na przykład akcje dobroczynne, bądź zakładanie filii linii lotniczych, bądź dziennikarska ciekawość. Uczynność wobec nich była źródłem nowych, choć lekko używanych koszul i spodni, paczek „Care” z gumą do żucia i serem Cheddar, oraz kartonów z papierosami „Camel”, lub „Phillip Morris”. Byli też inni goście Hotelu Polonia, których Andrzej nie lekceważył: przywódcy związków zawodowych z Ameryki Łacińskiej i polscy działacze społeczni z Krakowa i Łodzi, gdzie funkcjonowały kłozety, kelnerzy mieli ogolone twarze i skąd importowano do stolicy wszystko co ważne.

Przysiadł się do stolika w *Kopciuszku*, kawiarni naówczas literackiej, przy którym nikt nie wiedział kto jest ten miły, uczynny młodzieniec o wyczyszczonych paznokciach, odzywający się skąpo, z szacunkiem, lecz inteligentnie. Oczywiście, mógł bez trudu zacząć się o recenzje filmowe, lub sprawozdania i wywiady w jakimkolwiek periodyku, były to wszak czasy pionierów i czasy werbunku, kiedy niezbyt szczegółowo pytano ochotników o umiejętności. Zagubił się jednak wśród rozbieżnych nastrojów i decyzji. Polska jako pomost między Wschodem a Zachodem inaczej wyglądała z perspektywy paryskich bistro, czy baraków w Anconie, inaczej zaś w redakcjach warszawskich, kawiarniach Krakowa i nocnych klubach Łodzi. Andrzej chętnie przestawał z ludźmi, którzy przemierzali szmat drogi pomiędzy Oką a Odrą w rosyjskich butach z cholewami jak harmonijki, lecz dwie dekady życia łączyły go z ludźmi i rodzinami, które — o ile nie wyginęły w Powstaniu — spoglądały dziś na Polskę z zapiekłą odrazą, zajmując się wyłącznie produkcją damskiego obuwia na drewnianym koturnie i oczekiwaniem. Całe połacie narodu płały się w oczekiwaniu, oczekiwanie, niezeterminowane jak plazma, pulsowało w najciemniejszych zakątkach dusz, przemieniało przeżywaną chwilę w absurd. Na co czekano? Stosunkowo najbardziej precyzyjnie oczekiwano trzeciej wojny światowej, w wyniku której Polska zdołałaby ująć przeobrażeniom zamierzo-

nym przez komunistów. Trudno było wymknąć się obowiązującym kanonom myślenia i nadziei, zwłaszcza w Łodzi, lub Krakowie, miastach niezniszczonych i duchowo zrogowaciałych, gdzie czas upływał na niby, tak obok, do następnej wiosny, lub jesieni, w której coś się miało zdarzyć. To bezpodstawne przekonanie dewaluowało czas, nikt nie przywiązywał znaczenia do jego upływu, zaś z upływem miało się okazać, że to, co było zabijaniem czasu, stanowiło bezpowrotne i nigdy nie wypełnione życie.

Kiedyś długo nie mógł zasnąć po spotkaniu dwóch starszych kolegów z przedwojennego gimnazjum. Przesiedzieli ponad dwie godziny w jednej z owych kawiarenek-fantomów na Marszałkowskiej, składających się z bufeciku z wypalonego drzewa, kilku kawałków domowego sernika i stołeczków na betonie zamiast podłogi; za ocalałą ścianą rozciągały się usypiska gruzów, bezbrzeżne i ożywione nocną działalnością ludzi-mrówek, odkopujących swe prawo do życia, lub kreujących nowe życie w warunkach danych przez historię. Ci dwaj stanowili dziwny zestaw: jeden nazywał się Prohorowski i był przed wojną szkolnym przywódcą Falangi, organizacji faszystowskiej i antysemitycznej. Już w wieku lat kilkunastu odznaczał się niepohamowanym żydożerstwem, zimnym okrucieństwem, rudawym wąsikiem, atletyczną budową, oraz upodobaniem do drogiej bielizny i angielskiej lawendy. W czasie okupacji przypomniał sobie nagle o swym ukraińskim pochodzeniu, został zaufanym, niemieckim *Treuhänder*'em i eksploatatorem skonfiskowanych, żydowskich majątków, wreszcie założył firmę budowlaną, sprzedającą polską siłę roboczą konstruktorom Wału Atlantyckiego, oraz otrzymał dokument, zezwalający na swobodne podróże *sleeping*'iem do Berlina, Norwegii i Grecji. Teraz siedział w samym środku opanowanej przez Polaków i społeczną lewicę Warszawy, porą popołudniową, rozparty i spryskany dobrą wodą kolońską, w jedwabnej koszuli z monogramem, dziobiąc sernik i popijając czarnorynkowy koniak, którego kieliszek kosztował równowartość tygodnia pracy dyrektora departamentu. Przypominał utuczonego, białego królika o delikatnym futerku, baraszkującego pośród morza wrzącej lawy: jakim cudem królik igra zdrowo, beztrudno i z pożytkiem dla blasku swej sierści na powierzchni zabójczego żywiołu, który powinien go w okamgnieniu zwęglić i unicestwić, tego niesposób było pojąć. Co zabawniejsze — Prohorowski świadczył niebywałą zżyłość facetowi, którego Andrzej pamiętał ze szkoły pod nazwiskiem Fisz. Fisz stanął w gimnazjum postacią popularną i cenioną na zasadzie kombinacji siły fizycznej i talentu sportowego z żydowskim, cwaniackim dowcipem. — On ma głowę... — mówiło się o Fisz, jakby było rzeczą zdumiewającą, że Fisz ma

głowę, która upodabnia go do reszty ludzi, nie zaś od nich różni. Okazało się, że Fisz nazywa się teraz Rybicki i Prohorowski zwracał się doń wyłącznie tym nazwiskiem, jakby Fisz nigdy nie istniał w swym poprzednim wcieleniu; ledwie jednak Fisz wyszedł, nie płacąc grosza za koniak, Prohorowski bluzgnął litaniją hitlerowskich sformułowań, dodał, że teraz Żydzi mogą wszystko, w końcu zaś, lekko rozmarzony alkoholem, westchnął: — Nigdy nie miałem szczęścia... Żeby chociaż raz być Żydem...

— Co on robi, ten... Rybicki? — zainteresował się Andrzej.

— Jest szefem straży przemysłowej, masz pojęcie... — zachwycał się Prohorowski. — Ale to dopiero początek — dodał i zapłacił bez oporów rachunek.

— Co on robi, ten Prohorowski? — spytał Andrzej w kilka dni później Rybickiego, spotkanego na uroczystości przywrócenia życia dancingowi *Paradis*.

— Ten Prohorowski to bardzo przyzwoity człowiek — odparł Rybicki, zniżając głos. — Podnosi z gruzów handel, zwłaszcza zagraniczny.

— Dziwne — zastanowił się Andrzej. — Ty zajmujesz się bezpieczeństwem kraju, a Prohorowski, potomek hetmanów i atamanów, handlem. Co się stało?

— Nie łam sobie nad tym głowy — rzekł smętnie Rybicki. — To jest dialektyka. Każdy musi żyć. Człowiek robi raz jedno, raz drugie, raz to, raz tamto.

— W czasie okupacji mówiono o nim nie najlepiej.

— Oj, daj spokój! — zachnął się Rybicki. — Ludzie powtarzają takie głupstwa. Ja ci powiem jak jest naprawdę: on nam oddał wielkie usługi.

— Komu nam? — spytał Andrzej ostrożnie.

— Nam, bojownikom z okupantem — rzekł Rybicki nie bez dumy.

— Tyś wojował z okupantem?

— Ja. A co, nie wolno?

— Tutaj? — poprawił się Andrzej. — Myślałem, żeś był cały czas w Rosji.

— Cały czas byłem tu, żebym taki zdrów był... — zaperzył się Rybicki. — Nie wiesz, że ruch oporu musiał mieć swoich specjalistów od walut? Masz, napij się Cherry Cordial — rozpogodził się: nie umiał długo żywić urazy. — Ja tu nic nie płacę. Inspekcja przemysłowa, kapujesz? A to moje inspektorki — objął ramionami dwie grubawe blondynki z kilogramem szminki na wargach; ich krzepkie, krwiste nogi sterczały przeźraliwie spod bardzo krótkich spódnic.

(1946) Wokoło rozciągała się potrzaskana Warszawa, wyłożona słońcem, w którym rozłupane mury kruszały czysto, sucho, tak, że chciało się na nich siadać podczas przechadzek z dziewczętami. Pertraktacje miłosne na zwalonych fragmentach miasta należały do stylu chwili, z pogiętych, żelaznych belek konstrukcyjnych zwisały marynarki.

Andrzej zaczął pracować. Zarabiał od razu dobrze i czuł, jak otwierają się przed nim możliwości rozwoju. Lubił i umiał pracować, a przecież jakaś niejasna siła krępowała mu ruchy.

Dreńczyło go poczucie dewaluacji osiągnięć. Boże, jakież byłoby to wszystko cenne — dziennikarstwo, pieniądze i wnoszenie się w górę, samodzielność i zaspakajanie życzeń — w przedwojennym systemie wartości! Teraz wszystko wydawało się gorsze. W ocalałych Paryżu i Kopenhadze nie było rozgałęźników do kontaktów, prądnic samochodowych, czy mleka pasteryzowanego, zaś w złachmanionej Warszawie wygrzebywało się z ruin befsztyki z polędwicy, szkocką wełnę, fałszywe paszporty zagraniczne i złote ruble w każdej ilości. Były także stanowiska i kariery, miłość w każdym gatunku, rozplakany liryzm patriotycznego pijaństwa, twarda, niezmordowana praca ludzi świadomych swych celów, rekonwalescencyjny heroizm, kilka niezależnych od siebie opinii publicznych, oraz napór i zaciętość ruszającej z każdego kąta odbudowy. Andrzej nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego wszystko to nie cieszyło, lecz obniżało wartość wysiłku. Polacy głosowali w referendum i Andrzej nie miał nic przeciwko jednoizbowemu parlamentowi, ani przeciw upaństwowieniu kluczowych gałęzi przemysłu, zaś z całego serca pragnął przyłączenia Ziemi Zachodnich do macierzy, niemniej wymieniał ze znajomymi porozumiewawcze uśmiechy i mrugał znacząco. Na imieninach i prywatkach w podmiejskich, przeludnionych, lecz zachowanych willach śpiewał wraz z innymi „Maki na Monte Cassino”, „Piosenkę o mojej Warszawie”, a także „Rozszumiwały się wierzyby płaczące”, starając się przezornie trzymać rękę na kolanie sąsiadki, co wydawało mu się ewentualnym alibi gdyby przyszło mu kiedykolwiek rozmawiać na temat tych wyczynów wokalnych z pachnącym ubiakiem. Na ironiczne uwagi odpowiadał ironicznymi uwagami, czuł jakiś głód słuszności, o którym wiedział, że nie zaspokoї go nigdy, najwyżej o nim zapomni. Na pytanie co robi, odpowiadał wymijająco, że jest tłumaczem z języków obcych w wielkiej agencji prasowej, minimalizował przy tym namiętnie swe zarobki i swą funkcję, sugerował natrętnie jakąś

neutralność tej pracy, dodając, że to wcale nie znaczy, że się pochwała, to co się tłumaczy. Po nocach tęsknił za gestem, ofiarą i nonkonformizmem, za młodzieńcami w wysokich butach i wojskowych bryczesach, albo ich następcami w brytyjskich *battle-dress*'ach bez dystynkcji i beretach Armii Renu. W dzień tłumaczył noty z dalekopisu, lub teksty o charakterze propagandowym. Początkowo czuł do siebie wstręt, potem już tylko wyrzuty sumienia, a niebawem zaczął się interesować poziomem tej publicystyki i odruchowo ją ulepszać. Wreszcie zapragnął sam tak pisać, wierząc, że będzie to czynił lepiej, niż zapóźnieni ortodoksi, lub prymitywni łącznicy z Gwardii Ludowej, których przekwalifikowywano na gwałt. Jego talent lingwistyczny kwitł: wieczorami uczył się po rosyjsku z dobrymi rezultatami, a nawet kupił sobie samouczek hiszpańskiego.

5.

(1947) Kobiety podłżyły sobie suknie aż za kolana, co oznaczało, że koniec z ograniczeniami i świat stać już na rozrzutność tekstyliów. Nowy, kolejny socjalista, bardzo szczupły na twarzy i zmizerowany przez Oświęcim, stanął na czele rządu i odbudowano Most Poniatowskiego, Sentymentalnie wzdęci bywalcy nocnych lokali nucili teraz już nie tylko „Serce w plecaku”, lecz także „Besame mucho” w uszy partnerek, uczesanych jak Rita Hayworth w filmie „Gilda”. Wojna przesuwiała się w historię, uciekała do tyłu jak las z okna pociągu.

W ogóle — zdarzyło się mnóstwo rzeczy, których niesposób sobie przypomnieć, zostały z nich strzępy nastrojów, odbite w naszej pamięci, niewyraźne słowami. Uczni potrafią dziś odczytać prawdę ze śladu kości na granitowej skale, odcisniętego dziesiątki tysięcy lat temu; my miotamy się wśród przepadłych doznań i śmieszających zdjęć prasowych, aby pochwycić smak czegoś, o czym wiemy na pewno, że było tak niedawno. W gruncie rzeczy przeszłość rozkłada się najwyraźniej na pory roku: pozostają kategorie natury i Andrzej — wspominając — wiedział, że zimą, jesienią i wiosną Warszawa była bryłą burego błota, tonącą w ciemnościach i zimnie źle opalanych wnętrzu, w słotnej udręce, w szlamowatej mazi ubóstwa — konsekwencji niedawnego nieszczęścia. Zaś latem kurz z rumowisk zżerał płuca, pokrywał sprząty, niszczył odzież. Tramwaje, trolleybusy, taksówki, kina, ulice, kawiarnie, urzędy, szpitale, wiecznie okutane postacie,

przypominające bezkształtne toboły na trotuarach, w ciężarówkach, w restauracjach, szyldy i urządzenia sanitarne — wszystko, wszystko! — było jakąś karykaturą istnienia, dla której lepsza przyszłość nabierała cech beznadziejnego żartu.

A jednocześnie w gazetach, kabaretach, audycjach radiowych roilo się od dowcipów na temat hrabin i ich lokajów, papierosy nosiły nazwę „Wolność”, co druga restauracja zwała się „Polonia”, co drugie kino — „Ojczyzna”. Gruzy wywożono, pokrywano parkanami z desek, transparentami, flagami, portretami przywódców. Po raz pierwszy w dziejach stronnictwo chłopskie wzięło na siebie obronę interesów kupiectwa. Proces w Norymberdze rozpałał bezsilne żądze: Polacy śnili po nocach o własnoręcznych egzekucjach. Kobiety depilowały jeszcze brwi, tworząc z nich zabawne łuki, zdobiące twarze wyrazem smutnej namiętności. Popularnością cieszył się typ kochanej, dobrej dziewczyny, która tak wiele przeżyła, zaś akta spraw rozwodowych piętrzyły się w zaniedbanych kancelariach sądów. Całości patronował prezydent Krajowej Rady Narodowej o obliczu sumiennego, spokojnego buchaltera.

Każdy dzień przynosił Andrzejowi jakiś awans. Już nie tłumaczył, lecz pisał i redagował. W kuluarach redakcji nazwisko jego nabrało dźwięku, powtarzali je gońcy: — Redaktor Felak, do redaktora Felaka, redaktorowi Felakowi... — Chwilami wryzy te niosły krótkotrwałe upojenie. Na biurku zaczął znajdować imienne zaproszenia na premiery, deklaracje związkowe do podpisu, zaś wołanie sekretarki: — Redaktor Felak do telefonu! — topiło mu serce w słodyczy. Jednocześnie łatwość tych osiągnięć niweczyła je. Była to konstrukcja na niesolidnych podstawach, coś tu pachniało oszustwem. Nie mógł uwierzyć, że ktoś, że wielu ludzi, że jakiś aparat społecznego użytku może sobie cenić jego wkład, który przerażał go znaną mu najlepiej mizernością.

Leżał bezsennie nad ranem, wpatrując się w postrzępione tapety i słuchając strudzonego oddechu ojca. Jakże pragnął wierzyć, że to, co czyni, może przynieść korzyść, zaszczyty i podziw ludzki. Wiedział już, że taśmę kariery, niezależnie od koniunktur, napędzają sekretarki szefów, organizatorzy stowarzyszeń dziennikarzy, fotoreporterzy i managerowie, działacze i dyrektorzy — cała gigantyczna armia ludzi, żyjących z lansowania innych ludzi, z eksploatacji człowieka, potrafiącego cokolwiek więcej, niż inni. Postawił nogę na tej taśmie i uważał to za znaczne osiągnięcie.

Dopiero sprawa Krzysztofa Kminka przeraziła go i wyrwała z nastroju niechętnego zadowolenia. Od chwili pojawienia się Kminka w redakcji Andrzej zapatrzył się weń jak w obraz. Kmink był dobrze ubranym sceptykiem, za którym przepadały ko-

biety. Według listy płac spełniał funkcje korespondenta dyplomatycznego agencji. Nikt zbyt dobrze nie wiedział, co ma robić dyplomatyczny korespondent, zaś Kminek oświadczył kiedyś Andrzejowi, że sam sobie tę czynność wymyślił, łącznie z tytułem, co było nieprawdą, gdyż w rzeczywistości tytuł wyczytał w angielskich gazetach. — Poszedłem do Grądzkiego — opowiadał — i spytałem, czy nie potrzebuje korespondenta dyplomatycznego. Jak każdy nowiutki redaktor naczelny Grądzki boi się określić, trącających podejrzanym wykwintem. Zwłaszcza teraz, kiedy ma nakazane restytuować mnóstwo rzeczy z przeszłości, o których nigdy nie słyszał. Korespondent dyplomatyczny, to brzmiało pociągająco. Zaangażował mnie z miejsca. — Andrzej zazdrościł Kminkowi niemal wszystkiego: szalika i sposobu noszenia szalika, uśmiechu i posługiwania się uśmiechem, niezależności sądów i uroku osobistego z niej wynikającego. Wychodził z nim wieczorem z redakcji i dawał upust kwasom i rozczarowaniom, produkowanym przez niepewność. — Po co tyś tu wrócił? — pytał Kminka, gdy ten opowiadał o pozostawionych w Paryżu i Genewie ekspedientkach i krawcowych, z których każda mogła mu zapewnić przyzwoite utrzymanie aż do czasu wielkiej wygranej na wyścigach.

— To jest mój kraj — odpowiadał Kminek z zadumą — zaś fakt, że rządzi nim ludzie, z którymi nie mam wspólnych zapatrywań na życie pozagrobowe i losy niektórych miast nie zwalnia mnie od obowiązku konfrontacji mych sił z ich siłami. Zresztą zbliżają się wybory.

— Więc sądzisz, że istnieje możliwość klęski komunistów? — pytał Andrzej z nadzieją. — Może Amerykanie... W końcu mogą coś zrobić z tymi wyborami, nie?

— Nie ma żadnej nadziei. Komuniści wygraą wybory z łatwością. Jest to zresztą od dawna ustalone.

I wpatrywał się długo w światelka ludzkich sadyb, które migotały niepewnie pośród rumowisk Placu Trzech Krzyży: naprzeciw ruin kościoła, sterczących tu jak nieufryzowane Colloseum, zaczynała się już budowa przestronnego kombinatu myśli ekonomicznej odrodzonej Polski.

Po czym Kminek wyrzucony został z pracy, wprost na poharatany bruk Warszawy. Powodem były oklaski: Kminek klaskał raz w miejscu i w momencie, w którym nikt nie klaskał, samotnie dał wyraz swemu uznaniu. Skutki tego klaskania odebrał Andrzej jako poważne ostrzeżenie. — Człowiek jest jak gówno na kole — oświadczył mu Kminek z pobłażliwym uśmiechem. — Raz jest w górze, raz jest w dole. — I znikł.

(1947) Aby dorównać Kminkowi przynajmniej w jednej dziedzinie Andrzej wyprowadził się od ojca. Stary Felak docenił motywy tego kroku, ale odmówił pomocy. Po wielomiesięcznych poszukiwaniach Andrzej wynajął pewną norę, oddzieloną przepięrzeniem z desek od innej nory. Wchodziło się przez nieistniejącą bramę i usypisko gruzów, po czym drewnianymi, kuchennymi schodami, roztrzęsionymi przez niedawne eksplozję, na trzecie piętro. Mieszkanie było wypakowane rodzinami aż po sufit, zaś za pomieszczenie Andrzeja trzeba było płacić czynsz, przekraczający dwukrotnie jego miesięczną pensję. Aby więc uzyskać nadwyżkę, konieczną do życia, życie zmusiło Andrzeja do pisania artykułów publicystycznych. Najlepiej płatnymi okazały się artykuły o niedawnych wyborach, uczciwym i sprawiedliwym zwycięstwie lewicy, oraz obcych machinacjach, mających na celu znieweczenie tego zwycięstwa. Z nadwyżki Andrzej zakupił na bazarze dywanik przed łóżko, stolik i krzesło. Ubrania wieszał na gwoździach wbitych w ścianę i otulał zasłoną z kretonu. Po nabyciu nocnej lampki z zielonym abażurem uznał, że jest w posiadaniu rozkosznego gniazdka, jak mało kto w Warszawie. Po czym upłynęło parę tygodni, w czasie których Andrzej wracał sam wieczorami, co najwyżej z świeżo wydaną książką pod pachą. Okazało się, że młodzieńczy wzrok i kolorowe swetry nie wystarczą jeszcze, ażeby prowadzić życie tak bujne, jak Kminek, korespondent dyplomatyczny. Wódka nie pociągała Andrzeja, ani nocne lokale, zaś dziewczęta znane z pływalni, kawiarni literackich i z pracy wołały kochać aż do grobu i zawierać nowe, dozgonne związki małżeńskie po niedawnym rozwodzie. Okazało się naraz, że użycia nie gwarantują ani pozycja, ani pieniądze. Jak to robił Kminek, że jedna pukała do drzwi podczas gdy druga była jeszcze w środku, pozostawało dlań ciągle tajemnicą.

W końcu jednak poznał pewną urzędniczkę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, która zgodziła się odwiedzić go, po wystawnej kolacji w *Dziedziłii*. W chwili, gdy rozpinał jej stanik, za ścianą rozległy się jęki: właśnie umierała osiemdziesięcioletnia staruszka, babka tramwajarza, który tam mieszkał wraz z żoną i czworgiem dzieci. Dzieci, oczywiście, płakały, żona tramwajarza dość ostro pokrzykiwała na staruszkę, która stękała rozdzierająco: — Och, konam! Jezusie, Mario... Konam... — Urzędniczka, imieniem Iwona, siedziała na łóżku, w rozpiętym staniku, paląc papierosa za papierosem i Andrzej zgubił się zupełnie. Nazajutrz spotkał staruszkę, gdy dźwigała wiadro wody na trzecie piętro.

z czego trudno zrezygnować. Najgorsze, że nie potrafię się na niczym skoncentrować, tyle lat, poświęconych psychologii Żydów poszło na marne. Ostatnio rozmyślałem dużo o krytyce filmowej. Co pan o tym sądzi?

— Doskonały pomysł — pochwalił Andrzej. Podobało mu się, że Nowara mówi o sprawach, o których sam odczuwał potrzebę mówienia, lecz bał się. — Nam, dziennikarzom, dana jest jakaś władza — zaryzykował — nie nastęrczająca niebezpieczeństw prawdziwej władzy.

— Jakże słusznie! — zachwycił się Nowara. — Ludzie zwracają się do nas per „panie redaktorze” z obawą przed tym, co możemy. — Mówił z ironią, zdejmującą na wszelki wypadek odpowiedzialność ze słów.

— Podczas gdy w gruncie rzeczy nie możemy nic.

— Właściwie ma pan rację — zgodził się od razu Nowara. — Jesteśmy w istocie igraszką sił, o których nie zawsze mamy konkretne pojęcie.

— Rzecz w tym, że tylko my o tym wiemy.

— Dzięki Bogu — westchnął Nowara z pokorą. — Dlatego właśnie otwiera się przed nami era podróży służbowych. Miejsmy nadzieję, że z czasem Riviera zastąpi Pomorze Zachodnie, a Brighton Ustkę i Mielno. Tak, tak... — dodał z rozmarzeniem — krytyka filmowa... Władza bez ryzyka władzy. Film jest dziedziną o rosnącej doniosłości, wpływ na jego rozwój otwiera perspektywę służby społecznej: ktoś musi wreszcie wnieść jakiś ład moralny na dzikie pola nieskoordynowanej działalności twórców. — Ciągłe mówił jakoś nie wiążąco, jakby zastrzegając sobie możliwość wycofania się z każdego zdania, lecz nagle wiara w świętość własnej misji błysła mu w oku i skrzywiła wargi. Andrzej, nie zdając sobie sprawy dlaczego, poczuł lekki dreszcz przerażenia.

9.

(1948) Była upalna, czerwcową niedzielą, służąca w Polsce od stuleci do produkcji specjalnego samopoczucia, opisanego dokładnie przez wytrawnych znawców polskiej duszy. W taką niedzielę cień pod drzewami jest polskim cieniem, chłod napoju przyniesionego z piwnicy jest polskim chłodem, zaś skwar zakurzonej ulicy przed kościołem jest polskim skwarem. W taką niedzielę udają się najlepiej procesje, oraz drobne manifestacje patriotyczne, jak na przykład kwesty publiczne.

Andrzej jechał do Podkowy Leśnej, na niedzielny obiad do znajomych. Był w nastroju porozumiewawczym, wszystko mu się na ogół podobało. Nie trapił go niedosyt, zaś trudności wydawały mu się do pokonania. Wyjazd ku podmiejskiej zieleni oznaczał wytchnienie, niedzielny obiad — wyjątkowość spośród codziennej rutyny stołówek, zaś córka gospodarzy podobała mu się.

Ci znajomi reprezentowali polską inteligencję techniczną, tradycyjnie wyzuta z kapitałów, wyznającą świątły konserwatyzm polityczny i idee ekonomicznego postępu. Obecnie zajmowali się organizowaniem przemysłu na nowych, planistycznych zasadach. Pracowali efektywnie na kierowniczych stanowiskach, nie rezygnując z antykomunistycznych szyderstw, ostrożnych, lecz zawziętych. Ich złośliwa pobłażliwość, podszyta obrzydzeniem jakim darzyli Andrzeja, pomni na swe czcigodniejsze pochodzenie i sobie tylko znaną czystość intencji, budziła w nim nieodmiennie żądę sporu. W ich pojęciu pozycja i działalność Andrzeja kryły w sobie coś niewłaściwego, godnego pogardy. Andrzej wiedział, że doprowadza ich do udręki, chwając się swym pragmatyzmem: jeśli on tego robić nie będzie, uczynią to gorsi od niego, zwykli wydrwigrosze, albo — co gorzej — prawdziwi wrogowie, których celem jest niszczenie substancji narodu. Rzeczą zdrowo myślącego Polaka jest włączyć się w proces komunistycznych przeobrażeń i sobie wiadomymi sposobami ocalać co się da, chociażby własną obecność człowieka uczciwego, sprawiedliwego w Sodomie. Jest to rola w pewnym sensie mesjaniczna, wiąże się z wallenrodczynymi cierpieniami: ile hartu ducha wymaga publiczne dotykane różnych zagadnień i opatrywanie ich własnym nazwiskiem zwykła wygoda nakazywałaby stronić od tego, umywać ręce. Nie sztuką jest dać dęba jak Mikołajczyk, sztuką jest zostać i działać, robić swoje po cichu, lecz z jasno wytyczonym celem, przenieść polskość jak Arką Przymierza, przez czasy chaosu, gwałtu, złej woli w służbie obcych interesów. A przecież — tu Andrzej rozluźniał uchwyt — niektóre wysiłki komunistów godne są rzeczywistego poparcia, jak uprzemysłowienie kraju, ekspansja terytorialna na zachód, oparcie militarne na wschodzie. Wszak gdyby spytać Romana Dmowskiego i innych proroków Narodowej Demokracji co o tym sądzą, odpowiedź na pewno nie byłaby czystą negacją. A że pewne przemieszczenia w fakturze społecznej budzą obawy — tu Andrzej uśmiechał się z beztróską mniej zainteresowanego — to trudno. Należy rezygnować z abstrakcyjnie pojmowanych praw i swobód i porozumieć się w imię dobra narodu i ogółu, tak, aby nikomu krzywda się nie stała. Potrzebny jest pokój polityczny i dogodne

warunki dla pracy organicznej nad umocnieniem wielkiej szansy, jaką dało Polakom zwycięstwo w wojnie. Spójrzmy na inne narody, jak potrafią miarkę do miarki, uczmy się od nich jak z każdej sytuacji uzyskać profit ogólnospołeczny. Uczmy się geopolityki, dyplomacji, pertraktacji, handlu, współzycia, gromadzenia, bogacenia, konstruktywizmu, układności, ukrywania własnych opinii i składania ofiar z porywów na ołtarzu konkretnych korzyści. Co czuję, to jedno, a co dobre dla mnie i dla moich rodaków, to drugie. Czyż nie jest tak?

W wagonie kolejki podmiejskiej dokuczało gorąco, Andrzej stanął na platformie, przy oknie. Nieopodal stał oficer, podpułkownik: jego twarz nie zdradzała wyraźniejszej przynależności, mógł przybyć do Polski zarówno spod Lenino, jak spod Narviku, jak również z Oflagu w Woldenbergu, mógł także w ogóle się z Polski nie ruszać. Natomiast jego mundur mówił wiele: był to uniform o pieczołowicie przemyślanych szczegółach. Oficerowie dzielili się podówczas na dwie frakcje, niezależnie od kierunku, z którego przybyli. Jedni pielęgnowali wierność polskim, przedwojennym rogatywkom, szamerowanym kołnierzom i ozdobom szmuklerskim, drudzy woleli koszule khaki, także krawaty i długie spodnie zamiast błyszczących cholew. Podpułkownik zdawał się łączyć obydwie tendencje, różniła go natomiast od szarej, oficerskiej masy, kręcącej się po Polsce, oszałamiająca dbałość i wypielęgnowanie. Wyglądał na takiego podpułkownika, który postanowił ucieleśnić najbardziej legendarne wyobrażenie o polskim korpusie oficerskim, o całej armii, o idei wojskowości w ogóle, narażonej tu i ówdzie na przejawy zaniedbania.

Na przystanku pojawił się młody mężczyzna, którego niesposób było przeoczyć, chociaż nikt nie umiałby dokładnie powiedzieć, dlaczego. Szedł ulicą krokiem, wyrażającym znużenie, zaś na twarzy gościł mu wyraz tak przemożnego cierpienia, że czerwona niedziela straciła blask dla patrzących. Ostatnim wysiłkiem woli osiągnął kiosk z napojami chłodzącymi, zwił przy okienku, po czym w pozie konającego na pustyni wędrowca, który natknął się na oazę a w niej źródło, opróżnił dwie butelki karminowej oranżady; przyszedłszy trochę do siebie objął spojrzeniem cudem ocalonego niedzielą twarz kioskarki i zażądał piwa. W kioskarcie wezbrała jakaś irracjonalna skłonność ku młodemu człowiekowi, gdyż przygotowała skrupulatnie pyszną bombę jasnego piwa z wianuszkami, którą ten pił w sposób tak pełen ekspresji, że stojący w oknach wagonów mężczyźni, kobiety i dzieci przesuwali spieczonym nagle językiem po wargach. Po czym młody człowiek zapłacił, pożegnał się czule z kioskarką i wszedł na platformę, na której stał Andrzej.

Właśnie ciągnęła przez wagon niewielka ekipa kwestarska, złożona z harcerza, harcerki i wielkiej puszeki na datki. Na platformie harcerka, jak pociągnięta magnesem, podbiegła ku zmęczonemu młodzieńcowi i usiłowała przedziurawić mu szpilką skórzaną kurtkę, w celu wpięcia kwadratowego strzępka papieru z zamazanym napisem. Młody człowiek odsunął ją łagodnie, lecz stanowczo. — Wykluczone — powiedział. — Nawet jeśli złożę datek, nie zgadzam się, aby moja ofiarność była piętnowana. Nie obnoszę z zasady mych dodatnich cech na pokaz.

— Ależ to na polskie wojsko! — zaświergotała harcerka.

— W takim razie odmawiam. Do łożenia na wojsko obowiązane jest państwo. Zapamiętaj to sobie, dzieciно: podatki, budżet obrony narodowej i tak dalej.

Dziewczynka zarumieniła się po koniuszki uszu pod schludnie upiętym warkoczem: nie pojmowała zbyt dobrze o co temu panu chodzi, lecz widać było, że się jej podobał. Interweniował harcerz, grzecznie lecz zuchowato. — To nie na wojsko, proszę pana — rzekł z humorem — ale na wojskowych. Żeby im było lepiej...

— To co innego — oświadczył młody człowiek. Poglądził harcerza i harcerkę po płowych głowinach, wyjął zmięty banknot stużłotowy z kieszeni spodni i zwrócił się do stojącego obok podpułkownika. — Panie pułkowniku — rzekł dźwięcznie, z niewysłowioną uprzejmością — nie znoszę zbędnego pośrednictwa, zaś żywię niepohamowaną wolę przyczynienia się, aby wojskowym było lepiej. Omińmy labirynty biurokracji i proszę przyjąć ode mnie ten skromny dar na rzecz...

Podpułkownik, który od początku przysłuchiwał się bez sympatii, spurpurowiał. Harcerze oniemieli, zaprzestali nawet wyzywającego potrząsania puszką. Andrzej odczuwał mdłe bicie serca, jak zawsze tuż przed czymś gwałtownym, czego bał się i pragnął uniknąć.

— Proszę... — nastawał młody człowiek z uśmiechem, w którym nie było nic obraźliwego. — Pan pułkownik kupi sobie za to warcaby, albo domino. A może akordeon? Wie pan, można za to także zbudować świetlicę, albo urządzić Gwiazdkę Żołnierza...

Jeśli podpułkownik uosabiał sens, ład i walor wojskowości, to młody człowiek był jego przeciwstawieniem. Miał w sobie coś z marudera, czy dezertera, coś z zaprzeczenia idei wszelkich od zarania dziejów sił zbrojnych. Oczywiście, w dobie dopiero co wywalzonego pokoju nic nie wskazywało na to, że młodzie-

niec ten popadł w kolizję z obowiązującymi przepisami o pobo-
rze, lecz jego wygląd mógł budzić w podpułkowniku wyłącznie
nieprzemyślane wstręt: nosił koszulę khaki, beżowy krawat i spod-
nie z tabaczkowego welwetu jak paryscy malarze. Podpułkownik
mierzył tę postać od stóp do głowy, czerwieniał na twarzy, po
czym bladł, opanował się i teraz dopiero powiało prawdziwą
grozą. Harcerze znikli. Andrzej przeszedł szybko do wagonu.
Nie były to czasy, w których mieszanie się do podobnych awan-
tur mogło przynieść cokolwiek poza przykrościami.

Pociąg ruszył i Andrzej nasłuchiwał odgłosów rozprawy z plat-
formy. Nie dochodziło stamtąd nic. Gdy opuszczał wagon w
Podkowie Leśnej, wysiadł również podpułkownik i młody czło-
wiek. Zdawali się być mocno zaprzyjaźnieni. Doszły go strzępy
rozmowy. — Nie znoszę wojska — zwierzał się poufale mło-
dzieńca. — Nie zaznałem od wojska w życiu niczego dobrego,
ani w czasie wojny, ani w czasie pokoju. — Kac to straszna rzecz
— przytakiwał podpułkownik ze znawstwem. — Może człowie-
ka kompletnie unieszczęśliwić. Nie ma jak zsiadłe mleko. Niech
się pan koniecznie napije. — Wojsko lubię tylko na ekranie —
wyjaśniał z uporem młody człowiek. — Wyłącznie w kinie.
Lubię jak się biją, a mnie to nic nie obchodzi. Byle się ładnie
bili, bo inaczej wychodzę i żądam zwrotu za bilet... — Pogroził
ostrzegawczo palcem podpułkownikowi, zaś ten wydawał się
zachwycony. Andrzej nie mógł oderwać uwagi od młodego czło-
wieka: przyglądał mu się z niechętną ciekawością, z wymuszonym
lekceważeniem. Czegoś mu zazdrościł.

10.

(1885) Brązowe zdjęcie na szarym kartonie przedstawia
Walentego Felaka, pradziadka Andrzeja, na tle pluszowych kotar
z frędzlami, postumentów i palm: widać na nim chuderlawego,
czarniawego człowieka z wystającą grdyką i z wąsami. Lekki
wyrzecz, nos kartoflowaty, dziury po ospie możliwie zaretu-
szowane, cała postać, mimo ozdobnych akcesoriów jak surdut
i zegarek na łańcuchu, niska, mizerna i pałakowata, lecz krzepka,
jak chwasty przydrożne, o które łatwiej rękę pokaleczyć, niż je
wyrwać, czy pognieść. Walenty Felak był dozorcą domowym przy
ulicy Wilczej, w czasie, gdy domy sterczały tam luźno, jak rzad-
kie zęby; odznaczał się umiejętnością zawieszenia girland z okazji
urodzin miłościwie panującego cara Aleksandra, a potem Miko-

łaja; wyznawał zasadę, że w wielkim mieście należy brać, ale ostrożnie, zaś dawać wtedy tylko, gdy się musi.

Chudy, ścięgnisty brunet o utrefionym pośrodku głowy przedziale, z przesadnie jasnym melonikiem w ręku i w pasiastej marynarce bywalca pól wyścigowych, to Józef Felak, dziadek Andrzeja, kelner od Langnera i Krzemińskiego, totumfacki aktorów i adwokatów, zausznik bankiera Skowronka, Madame Loulou i sędziów śledczych z pobliskiej ulicy Daniłowiczowskiej. Specjalizował się w żydowskich dowcipach, z których każdy posiadał dwie interpretacje: jedną dla bogatych Żydów, a drugą dla antysemitów. Ożenił się z córką handlarza kiełbas z Pelcowizny, imieniem Jadwiga, z którą miał dwóch synów: Alojzego i Ignacego. Byli nieco wyżsi i jaśniejsi od dotychczasowych, karłowatych Felaków, twarze ich odziedziczyły po matce cukierkową popsylność i tęgość podmiejskich masarzy. Ignacego, ojca Andrzeja, obejrzeć można na bladawym zdjęciu z czasów, kiedy wybuchła Polska, jak pięknie mawiali poeci, zaś Ignacy, z biało-czerwoną opaską POW na ramieniu pomagał rozbrajać Niemców. Po czym, odpowiadając na apel nowopowstałych władz polskich, walczących rozpaczliwie z brakiem personelu administracyjnego, został urzędnikiem w magistracie i ożenił się z pewną patriotką, pracującą z zapalem na odrodzonej, polskiej poczcie.

Walenty Felak, sądząc z fotografii, wyglądał jeszcze jak sło-wiański troglodyta, handlarz serdelkami odznaczał się drobno-mieszcząską obfitością ciała przedmiejskich faktorów i służebnych, którym drobny krój małych nosów, czy warg nie odbiera ani ordynarności, ani toporności rysów. Józef, Jadwiga, Alojzy i Ignacy nie różnili się od nich wiele, nie odbiegali daleko od pierwowzorów. Zaś Andrzej był smukły, dość wysoki, dobrze zbudowany, na fotografiach z okresu gimnazjalnej młodzieńczości przypominał chłopców z Eton, Rydzyny, lub z hollywoodzkich filmów o anglosaskich chłopcach. Ovomaltyna, szpinak, sport, owoce cytrusowe, kakao, witaminy, wolność obywatelska, tania czekolada dla wszystkich, obfitość mydła i past do zębów sprawiały, że wszystko w świecie stawało się roślejsze i ładniejsze, nawet Felakowie.

Walenty Felak odpoczywał wyłącznie w niedzielę, Józef — gdy miał wolny dzień i jechał do żony na letniaki podmiejskim pociągiem, dziadek-wędliniarz w życiu nie zaznał odpoczynku, prócz dni świąt kościelnych. Ignacy korzystał ustawowo z wolnych dwóch tygodni w roku, lecz nigdy nie ruszał się z Warszawy, ażeby stączyło dla Andrzeja na nowy tornister, książki i mundurek szkolny.

(1948) Rok był obfity w wydarzenia. Pomruki niepokojów docierały nad zasłane ceglanymi usypiskami brzegi Wisły: w Berlinie serdeczne uśmiechy i żołnierskie poklepywanie się po plecach dotychczasowych sojuszników przemieniały się powoli w skłopotane i zasępione miny, a ruchy stawały się coraz bardziej kanciaste i grożące uchybieniem grzeczności. Na domiar złego zażywny heros jugosłowiańskich partyzantów o urodzie operowego młynarza, znany z zamiłowania do mundurów i orderów, okazał się naraz łajdakiem, w świetle doniesień prasowych; trudno było wytłumaczyć zdumionym Polakom właściwą podszewkę jego czarnych intencji i matactw. Niemniej pogoda była śliczna, zaś Andrzej zgłodniały rozrywek za zarobione pieniądze: dojrzał do wakacji, prawdziwego honoru człowieka współczesnego. Tak więc, pewnego lipcowego ranka, wysiadł z pociągu na stacji kolejowej Ustronie Morskie.

Ponieważ pieniądze nie zapewniają jeszcze udanego spędzenia wakacji, przeto spytał w zarządzie uzdrowiska o dyrektora Jemaszewskiego. Pewny był, że po zeszłorocznej serii artykułów, w których rozstrawił nazwisko tego krępego bruneta z pionowym wąsikiem i w za dużym kapeluszu jako pioniera polskiej przedsiębiorczości i rozwoju gospodarczego tych ziem, pokój w najlepszym pensjonacie, a może nawet w samym Domu Zdrojowym, stanowić będzie skromną rekompensatę, o której wręcz wspominać nie warto. — Dyrektor Jemaszewski? — spojrzał nań dziwnie urzędnik. — Już tu nie pracuje. — Co pan powie... — rzekł niepewnie Andrzej — ... w zeszłym roku jeszcze pracował, nie? — Czuł jakąś niewłaściwość w trzymaniu się tego tematu, ale nic nie przychodziło mu do głowy, zaś nie wyobrażał sobie, ażeby jako zwykłemu petentowi udało mu się wydębic miejsce w pełni sezonu. — W zeszłym pracował — rzekł niedbale urzędnik — ale w tym uciekł do Szwecji. Z całą rodziną. Kutrem z Ustki. I z czterema milionami złotych. — Widać było, że urzędnik nie przepadał za Jemaszewskim, być może i jego pensja znalazła się w Sztokholmie. — Moje nazwisko jest Felak — Andrzej sięgnął do rezerw. — Z redakcji *Wieczoru Warszawy*... — Aaaa... — przerwał mu urzędnik w paroksyzmie uprzejmości — ... to pan redaktor napisał o nas tak pięknie... — Wie pan — zwierzył się Andrzej urzędnikowi — chętnie spędziłbym miesiąc w Ustroniu. Byłoby potem o czym pisać. „Polskie Miami na wróconym macierzy wybrzeżu!” Dobrze brzmi, co? — Wiemy o tym, już wiemy — mówił urzędnik z emfazą — że *Wieczór* rozesłał swe wielkie pió-

ra na lato do różnych kurortów, aby opisywali ich uroki. Wspinała inicjatywa! — Andrzej uśmiechnął się skromnie, na wszelki wypadek: nic mu nie było wiadomo o takim przedsięwzięciu, ale skoro błędna wieść o nim mogła przynieść doraźne korzyści, nie było powodu do walki o bezużyteczną prawdę. — Ale... panie redaktorze — urzędnik popadł w zakłopotanie i zaczął przerzucać papiery na biurku. — Tu zgłosił się już jakiś redaktor z *Wieczoru Warszawy*, który powiedział, że jemu właśnie przypało Ustronie. — Dziennikarz z *Wieczoru*? — skrzywił się Andrzej z niedowierzaniem. — Jak nazwisko? — Urzędnik znalazł jakiś długawy maszynopis. — Kostkowski — powiedział — redaktor Marek Kostkowski.

Andrzej przygryzł wargi: nikt taki nie pracował w *Wieczorze Warszawy*. Wiedział jednak, że istnieje dziennikarz o tym nazwisku, uważany powszechnie w stołecznych redakcjach za chłopca na posyłki do drobnych zleceń. Oczywiście — mógł od razu napiętnować to miałkie szalbierstwo, ale czy warto? — Wie pan — rzekł wymijająco — ja naprawdę przyjechałem tylko na wakacje. Jeśli wyłonią się jakieś pochlebne dla Ustronia refleksje, to co innego, każdy z nas jest w końcu zawodowcem, lecz proszę mi wierzyć, nie przybyłem tu służbowo... — Dla pana redaktora — odparł urzędnik z godnością — zawsze się coś znajdzie.

I dostał pokój w Domu Zdrojowym, gdzie gotował kucharz alkoholik, lecz genialny fachowiec. Nie potrzebna mu już była legitymacja prasowa, czarodziejska różdżka, w której świętą moc niegdyś wierzył, o której marzył przez całą chłopięcość. Nazwisko jego otwierało kredyt niedostępny zwykłemu śmiertelnikowi; zaliczał się już do tych, którzy mogą się przydać, nawet jeśli nie płacą od razu swych długów.

Kostkowskiego poznał po kilku dniach: był to miły, młody człowiek o różowej urodzie niemowlęcia. — Nie! — wykrzyknął na widok Andrzeja. — Sam słynny Felak! Oczywiście, pan tonie w lenistwie, ale ja muszę pracować. Dla prawdziwego dziennikarza nie ma wytchnienia, wszędzie i zawsze musi sięgać po swoje pióro. — To mówiąc tulił do piersi opaloną na czekoladowo blondynkę o biodrach rozpychających wzorzyste szorty. — Danuta! Popatrz, to Felak... — Platynowowłosa pochłaniała łączywie lody, lecz wyciągnęła tłustą od kremu Nivea rękę do Andrzeja. — Uwielbiam, jak pan śpiewa w radio, panie Felak — powiedziała radośnie. — Zupełnie pana sobie inaczej wyobrażałam. — Wiem, że pan tu przebywa — rzekł Andrzej serdecznie. — Pan też nie miał zamówionego z góry pokoju? — spytał podejrzliwie Kostkowski. — Wszystko w porządku — odparł Andrzej

porozumiewawczo, nieco protekcyjnalnie. Sądził, że teraz Kostkowski wdzięczny mu będzie do końca życia, zaś Kostkowski pomyślał, że nastały parszywe czasy, w których trzeba gimnastykować się, żeby zdobyć coś państwowego na poziomie, a potem znieść impertynenckie łaski od takich gówniarzy, jak ten Felak. — Skąd ja mogę wiedzieć co to jest Felak? — doszedł Andrzeja spiczasty głos blondynki, gdy oddalali się. — Co mi kogoś przedstawisz, to albo minister, albo ktoś z baletu... Nikt nie jest normalny Jurek, albo Władek...

Oczywiście, zazdrościł Kostkowskiemu tej blondynki, mimo, że na plaży świeciła olejkiem jak przypalony pieróg, nogi miała przeraźliwie krótkie, a wieczorem, na dancingu w Domu Zdrojowym, nos jej błyszczał jak garnek po rosole. Andrzej naśladował gorliwie, lecz bez większego powodzenia, krok doświadczonych swingowców, szalejących podówczas przy „Chattanooga Choo Choo”, lub kleił się do partnerek w tangu „Przybądź do mnie dam ci kwiat paproci...”, służącym do czułych pertraktacji i znaczących przytuleń. Niestety, manewry te nie zaprowadziły go daleko. Jadąc w lipcu nad morze przepełniony był nadzieją, że tu właśnie nasyci drążące go głody. Tyle się rozprawiało w Warszawie o erotycznym Eldorado na wczasach, nad morzem i w górach: urzędniczki na urlopie i żony kupców zmieniały — zdaniem różnych empiryków — Sopot i Zakopane w Sodomę i Gomorę. Andrzej chłonał te relacje z pewnym zakłopotaniem: podejrzewał, że ledwie znajdzie się w takiej oazie użycia dziewczęta i kobiety przeistoczą się natychmiast w sparaliżowane zakonnice. Tak już było, zauważył, że gdy wszyscy sławili łatwość jakichś warunków, on bynajmniej tego nie stwierdzał; różni faceci wmaiwiali mu, jak łatwiutko było w czasie wojny, podczas Powstania, w Niemczech, lub gdy się jedzie pociągiem i ma się całe dwie nogi w spodniach. Andrzej był w Niemczech gdy Niemki nie bały się już niczego, jeździł pociągami po środkowej Europie, miał dwie długie i zgrabne nogi, a ponadto świeżą cerę i mnóstwo zapału, natomiast sukcesy swe mógłby policzyć na palcach. Opowieści o łatwości były zawsze źródłem zgrzyoty i poniżenia: czy był w czymś gorszy od innych? Czy o czymś nie wiedział, czegoś nie potrafił? Czy sprawy te regulowane są powodzeniem i przypadkiem, czy jakimiś przymiotami? Nie przyznawał się oczywiście do swych porażek; przeciwnie, usilnie pracował nad stworzeniem wokół siebie atmosfery lekkiego zepsucia, a nawet znudzenia, zaś gdy kobieta, którą właśnie w takim stylu emablował, gasiła go krótkim: — Nie lubię cyników. Zwłaszcza tak młodych, jak pan... — to aczkolwiek odnotowywał kolejne fiasko, uważał jednak, że przegrywa z honorem i to go jakoś pocieszało.

Długo inwestował wesołość i rozbawienie, mniej lub więcej udane, na plaży i na spacerach, w kawiarence o nazwie *Pomorzanek* i w pensjonatowych pokojach, gdzie tak przyjemnie jest gnieść się wieczorami w dziesięć osób na jednym łóżku, popijając alkohol ze szklanek do zębów. Wreszcie, któregoś wieczora, udało mu się zaciągnąć do plażowego kosza wysoką dziewczynę z Łodzi, zwaną powszechnie Giga. Wobec zbliżającej się okazji stracił naraz swadę i opanowanie, jak zawsze wobec dylematu: uda się, czy się nie uda, gdy nerwowość i niepewność niosą ze sobą kłeskę. Faktem jest, że nie zachował się ani nalegająco, ani natrętnie, wieczór był jednak parny i piękny, nad martwym, lakierowanym morzem ciągnęło się pasmo mgły, kładąc nad beżowym piaskiem wybrzeża przejrzystą ciemność. Oboje wypili nieco wódki i trudno byłoby ustalić, kto wskazał na kosz. Zbiegli więc na plażę lekko i zgodnie, trzymając się za rękę, a potem długo siedzieli, z łokciami na kolanach, pochyleni, czując swe nagrzane opalenizną ciała. Mówili dużo, nie słuchając się wzajemnie, po czym Andrzej zaczął ją całować, chociaż może to Giga uczyniła coś takiego, po czym niemożliwe byłoby nie całować się. Początkowo delikatnie, niebawem wyzywająco, wreszcie Andrzej wcisnął Gigę w głąb kosza, czemu nie przeciwdziałała, raczej pociągnęła go za sobą, kosz przechylił się i leżeli odizolowani od świata dusznym wnętrzem, przesiąkniętym wonią przeciwsłonecznych kosmetyków. Pocałunki nabrały głębi, długości i łapczywości, Andrzejowi rosły zdobywcze skrzydła, ręce jego wytrwale odsłaniały piersi Gigi. Giga nie pozostawała w tyle, jej palce topiły się we włosach Andrzeja, drapały kark, wyrażały umiejętność wzruszeń. Ale gdy w Andrzeju pieśń triumfu pokiełbała się beznadziejnie z biologicznym mechanizmem, gdy ręce jego pobiegły w kierunku usunięcia przeszkód, Giga zablokowała ich dążenia: jej mocne dłonie obroniły zdecydowanie to, czego Andrzej nienawidził i przeciw czemu buntował się konwulsyjnie. Usta Gigi, co dziwne, wvrażały przy tym niczym nie zmniejszone oddanie i ruchliwość, jakby przecząc trzeźwości rąk. Andrzej reaktywował resztkami przytomności zmysł taktyki i parę razy jeszcze rozluźniał ciało Gigi i pogrążał je w rozkoszonym zapamiętaniu przy pomocy mylących rezygnacji, kiedy jednak uznawał, że już można i ponawiał próbę, ręce Gigi odgrywały rolę nieprzejednanego regulatora dozwolonych czynności. — Dlaczego? — szepnęła zachryple, lecz Giga w odpowiedzi zamknęła mu usta pocałunkiem. — Czy ty tu masz kogoś? — Andrzej oderwał się od jej warg. — Nie — szepnęła Giga — nikogo. Jeśli nie liczyć ciebie... — I znów wtopiła usta w jego usta i tak do niego przywarła, że stało się to, czego nie przewidział, lecz za późno

było na przewidywania, zaś wszelki żar i namiętna przedsiębiorczość skończyły się naraz.

Przez parę dni Giga opierała głowę na jego brzuchu, gdy opalali się na plaży i obejmowała go za szyję na spacerach. Toteż zaczęto o nich mówić w liczbie mnogiej, Andrzej i Giga, zaś Andrzej, tańcząc z wtulającą się weń Giga, powiedział pewnego wieczoru: — Chodź do mnie. Powiemy, że byliśmy na tarasie. A zresztą i tak nikt nie zauważy, że nas nie ma... — Bolał nad marnotrawieniem warunków: własny pokój z niekrępującym wejściem wołał go jak wyrzut sumienia. Giga odsunęła się nieco od Andrzeja, przyjrzała mu się, roześmiała się i powiedziała: — Słodki jesteś... — i pogładziła go po policzku, a zaraz potem pocałowała w ucho. I to było wszystko, zaś w kilka dni później uszczęśliwiła go pewna pani o atletycznym karku pod słomianym kokiem zasłużonej nauczycielki, korzystająca z trzydniowej nieobecności męża wezwanego nagle do Poznania. Pani nie dyponowała niczym, co mogłoby choć odlegle przypomnieć pełny zarys podbródka Gigi, błękit jej oczu, świeżość oddechu i smukłość bioder, niemniej Andrzej uznał, że pobyt w Ustroniu nie należał do chybionych i uśmiechał się ze zrozumieniem, gdy ktoś w Warszawie opowiadał o erotycznej specyfice sezonu wczasowego nad polskim morzem.

Wraz z Andrzejem startował do Gigi młody człowiek o twarzy nieco nalanej i przypominającej oblicza piastowskich wojów, gdyby jej dodać sumiaste wąsy. Liczył tyle lat co Andrzej i był majorem, ponadto miał motocykl: nie nosił munduru, lecz szorty z samodziałowego płótna, wyglądające jak brudne, ale wszyscy wiedzieli, że zajmuje jakieś odpowiedzialne stanowisko w wydawnictwach wojskowych, produkujących dzieła zatytułowane: „Operacja oskrzydłająca nad Pękusiem w 44-tym”, „Spadochroniarze wczoraj, dziś i jutro”, lub śpiewniki „Szumi, szumi Oka...” Nazywał się Mańczyk i wcale nie ukrywał swej przynależności do Armii Krajowej podczas okupacji. W długich rozmowach objaśniał sposób, w jaki grupa wyższych wojskowych tej organizacji doznała pod koniec wojny przełomu, pozbyła się bielma na oczach. Z niebywałym u polskiego oficera upodobaniem do dialektyki tłumaczył Andrzejowi: — Dobro narodu wymaga, aby jego wojskowa elita choć raz w dziejach poddała się racjom politycznym. Jestem po prostu fachowcem, do cholery! od sił zbrojnych i to wcale nie uprawnia mnie do wyrokowania o budżecie, gospodarce komunalnej i światopoglądzie. W państwie współczesnym robią to inni i czas najwyższy, ażeby żołnierz przestał pouczać społeczeństwo w co ma wierzyć, a co kochać. Poza tym Anglia postąpiła po świńsku, wobec tego nie ma nad czym

zastanawiać się. — Prostolinijność tych przekonań gwarantowała ich szczerłość, a także odbijała się na życiowym powodzeniu majora Mańczyka: szalał na motocyklu, nieustająco fotografował wszystkich w różnych pozach zdobyczną Leicą, pływał, odpoczywał, flirtował. Był przystojny, młody i czekało go długotrwałe *prosperity*, gdyż pogłębiał skutecznie swą wiedzę o wojskowych wydawnictwach, na które przeznaczano poważne fundusze. Tylko sprawa z Gigą toczyła się raczej opornie, ku brzydkiej satysfakcji Andrzeja, który sądził, że major Mańczyk nie otrzymał nawet tego, co przypadło mu w udziale w plażowym koszu. Jak tam było dobrze nie wiadomo, najwięcej na ten temat mógłby powiedzieć perkusista zespołu tanecznego z Domu Zdrojowego, który codziennie, punktualnie o godzinie jedenastej trzydzieści pięć układał z wysiłkiem drewnianą, brązową facjatę w uśmiech, upodabniający go — jego zdaniem — do Binga Crosby i aroganckim głosem wykonywał słynny podówczas lirok w rytmie tanga, zaczynający się od słów: „Czy pamiętasz tę letnią przygodę...” Perkusista bał się śmiertelnie żony, która wpadała do Ustronia co parę dni bez uprzedzenia, aż z samego Krakowa, i inkasowała wszelką znalezione gotówkę. Toteż skłonny był świadczyć Gidze pewne wzruszające uprzejmości, z których słychać w świecie wczasów i dansingów jak Polska długa i szeroka, ale tylko pod warunkiem zupełnej dyskrecji. A Giga, jak to Giga, uważała podówczas błyszczące, idiotyczne zęby perkusisty za ósmy cud świata.

12.

(1948) Do jedenastego roku życia najtańszy fryzjer na ulicy Solec strzygł Andrzeja w polkę. Andrzej nienawidził słowiańskiej grzywki, ale zmuszano go do jej noszenia albowiem tak strzyżono dzieci w ich niezamożnej, lecz przyzwoitej dzielnicy, gdzie higienę uprawiano pod kuchennym zlewem, z braku łazienek w mieszkaniach. Pięć złotych na drobne wydatki otrzymał po raz pierwszy w życiu od ojca na pół roku przed maturą. Przed wojną nie był nigdy w Zakopanem, polskie morze i Gdynię znał z trzydniowej wycieczki szkolnej, łyżwy miał przypinane, Turfy, a nie Salkofy, czy hokeje CCM, jak inni koledzy z klasy, zaś do kin chodził trzeciorzędnych, albo i gorszych, jak kino Urania, kino Domu Żołnierza, czy kino parafii św. Andrzeja, gdzie bilet kosztował piętnaście groszy. Kiedyś złożył wizytę koledze, który mieszkał w jednej z owych wspañałych kamienic

przy Placu Napoleona: wchodziło się w lśniącą glazurą bramę, przez frontowe, wyłożone czerwonym chodnikiem schody, na półpiętrach stały alegoryczne figury dzierzące kolorowe lampy, których odbłask kładł się na rzeźbione drzewo zamczystych drzwi, ogarniając poczuciem miękkiego bezpieczeństwa i przytulnej, secesyjnej melancholii. Mieszkanie kolegi liczyło dwanaście pokoi, stały w nim takie meble i unosił się taki zapach, że solenne postanowienie ażeby lekceważyć zbytek i okazać dumę, jakie powziął uprzednio, ulotniło się bez śladu; Andrzej włókł się po pokojach złamany, modląc się w duchu, aby jak najdłużej tu pozostać. Wizyta przeciągnęła się nietaktownie z jego winy i nigdy nie został już zaproszony.

Wspomnienia te stanowiły kanwę rozmyślań w pociągu, którym jechał do Wrocławia jako specjalny korespondent. Myślał, że nadeszły czasy, w których pęd ku górze uległ niezbadanym jeszcze powikłaniom; lecz nawet gdyby był Heńkiem, synem bogatego wuja Alojzego, nie wyzbyłby się owego pragnienia wzlotu ponad to, co było dotąd udziałem Felaków. Wznoszenie się związane jest dziś z kluczeniem, ale jak kluczyć? Którędy? W którą stronę? Kto wygra? Po jednej stronie są Polacy, słuszność, uczucia, dostojni profesorowie, sentymentalne związki, sprawiedliwość, patriotyczni fabrykanci drewniaków, nieugięci szermierze starodawnych cnót. Po drugiej — urok siły, celowość, rozum, chłodne relacje nowych Talleyrandów i Metternichów, buławy w tornistrach, wszechwładza, nieodparte uzasadnienia, romantyka wielkiej sztuki i uniwersalizm. Dłuższe czołganie się między okopami jest niemożliwe, jeszcze rok kokieterii w obie strony i trzeba będzie wybrać. Czyż nie lepiej wybrać wcześniej?

Jakże pragnął, ażeby coś trafiło go prosto w serce, porwał i kazało pójść na barykady! Dałby z siebie wtedy wszystko, rzucił całego siebie na ofiarę! Czyż nie jest zdolny do odnalezienia idei, która stałaby mu się gwiazdą przewodnią i pobłogosławiła jego talent, jego dotąd bezużyteczną żądzę świadczenia bliżnim dobra?

We Wrocławiu okazało się, że idea leży niemal na ulicy, tylko ją podnieść i poświęcić jej wszystkie siły. Na konferencji prasowej Andrzej dowiedział się, czemu ma służyć wrocławski kongres: trudno było nie zaakceptować wyostrzonych jak klingi racji moralnych i ogólnoludzkich. Dusza kongresu: otyły, niezwykle energiczny człowiek o twarzy cesarów za okularami oświadczył dodatkowo polskim dziennikarzom: — Moi drodzy, idźcie na Wystawę Ziem Odzyskanych. Zrozumiecie, co dla Polaków oznacza walka o pokój, bez względu na to, kim jesteśmy! Tylko w warunkach pokoju możemy te ziemie strawić i wessać

ich soki w rozkwitający, polski organizm. Zaś warunki stworzy nam właśnie ruch pokoju... — Wtedy przeskoczyła iskra i zapaliła w Andrzeju to, co miało odtąd płonąć przeciw atakom codziennych wątpliwości. Do dziś wierzył usilnie, choć skrycie, w wojnę jako panaceum na zawiłe zło, nie różniąc się od deklamatorów „Roty”, niedoszłych wojewodów schronionych okazjonalnie w inicjatywę prywatną i wytwornych sceptyków o tytułach naukowych; od dziś uwierzył w pokój, czyli zastąpił jedną potęgę wiary inną potęgą wiary. Przy okazji zdobył patent zaufania od tych, którzy wraz z nim wierzyli i o to samo mieli walczyć.

Zaraz potem spotkał Rybickiego. — Jędrus! — ucieszył się Rybicki. — Dobrze, że jesteś! Tu jest klawo. Duża zabawa.

— Co ty tu robisz? — spytał Andrzej.

— Organizuję, działam — oświadczył Rybicki. — Biuro prasowe. Informacja, propaganda, biuletyny.

— A co ze strażą przemysłową?

— Przecież nie mogę spędzić życia na pilnowaniu fabryk tłuszczów jadalnych przed sabotażem — zirytował się Rybicki. — Zresztą wszystkie instytucje w Polsce delegują swych pracowników do obsługi kongresu. — Jasne było, że go wyrzucili ze straży przemysłowej. — Tu jest w dechę — upewniał Rybicki. — Miliony sekretarek i wolontariuszek. Wyobraź sobie jaki mam niefart? Dali mi łóżko na wspólnej sali w Domu Harcerza. A zgłosiłem się na ochotnika do walki o pokój.

Ekscytacja zjazdowa przypomina *perpetuum mobile*: rodzi się i trwa bez przyczyny i sprawia zadowolenie wszystkim wokoło. Rozrywka goni tu rozrywkę, albowiem poważne deklaracje i debaty nabierają nie wiadomo jak i kiedy cech wybornego spędzania czasu, zwłaszcza gdy cały sztab organizatorów dba o solidne zaplecze kulinarne. Andrzej nurzał się w tym czarodziejskim jeziorze jak młody szczupak-neofita. Niebawem wiedział wszystko o wszystkich, a to czego nie wiedział stanowiło surowiec najsmakowitszych rozmów. Rozprzestrzeniał mało znaczące wydarzenia zwięźle i atrakcyjnie, nadając im postać prasowej plotki, natrętnej, fachowej i skutecznej. Oczywiście, jadał nie w stołówce dla dziennikarzy, lecz wraz z delegatami, którzy otrzymywali bony na otwarte rachunki w specjalnie zaopatrzonych restauracjach, toteż kongresowe sesje przy kotletach de volaille i butelkach win francuskich i włoskich przeciągały się do późnej nocy. Skąd Andrzej wziął owe bony, pozostanie w cieniu historii, może wyjaśni cokolwiek tę okoliczność fakt, że nie był jedynym ich użytkownikiem bez formalnych uprawnień. Z delegatami biesiadowała spora grupa Polaków, którzy nie reprezentowali nikogo, poza własnymi indywidualnościami; byli wśród nich pisarze, po-

szukający moralnego oparcia w świecie nowych propozycji literackich; byli katolicy, penetrujący gorączkowo nowe drogi ideowe, na których mogliby zachować wiarę ojców nie tracąc politycznych wpływów; byli malarze, architekci i satyryczni graficy, ludzie szczególnie weseli i dowcipni, gardzący programowo etycznym niepokojem, za to namiętnie pożądamy usprawiedliwień dla swych wysokich zarobków; wreszcie różni filmowcy i radiowcy, a także ludzie z pionu usługowego byłej polskiej arystokracji, stanowiący *cocktail* postszlacheckiej wytworności ze społecznym serwilizmem. Socjalistyczna centryfuga zaczęła już wypuszczać w tym czasie nowe prototypy klasowe, jakże przydatne w biurach przeznaczonych do obcowania z zagranicą. Kontakty z mocarzami ducha, sprowadzonymi do Wrocławia, podnosiły poziom umysłowy a także wierność i oddanie ideałom, zahartowanym w ogniu nieodpartego rozumowania Platonów, Erazmów z Rotterdamu, stoików, wczesnych chrześcijan, oświeconych racjonalistów, mieszczańskich humanistów i jurorów nagrody pokojowej Nobla? A któż stał naprzeciw? Śmieszni pogrobowcy romantyki oficerskich butów, konspiratorzy zagnani w matnię przez współczesność metod policji, ideolodzy przymierza wsi z soldateską, wreszcie tępi, kołtuńscy burżua o świńskich dziurach w nosie i rzadkich zębach nad kamizelką z brelokiem, znani wszystkim z satyrycznych czasopism. Pośrodku był jeszcze, co prawda, lud polski, niezbyt ufający nowej komunistycznej władzy, nie potrafiący zrozumieć wielu rzeczy, a nie chcący zrozumieć innych, lecz jednego pewny: nigdy więcej gruzów, ponieważ, łupin z kartofli na śniadanie, nor w ziemi do mieszkania i zbieranych z rumowisk szmat do otulania gołego ciała — czyli wojny.

Podgryzające żarty i dworowanie z wszystkiego stanowi zabawę spokojnych wasali. Pisarze i katolicy, rozfiglowani plastycy i kompromisowi arystokraci szybko przekonali się o urokach masyzacji, poruszającej gigantyczny młyn myśli przybyłej do Wrocławia ze wszystkich stron świata, toteż głównym ich zajęciem stało się opracowywanie anegdot. Oczywiście, wypełniali także salę obrad, malowniczo przysiadając na poręczach foteli, na parapetach okien, lub schodach, markując zainteresowanie w przemówieniach. W porze posiłków, pośród rozgwaru znakomitości rozdziła się funkcja owej grupy, formowała się hierarchia znaczeń, drabina ważności mająca służyć całe lata. Wyłaniała się zwarta, bojowa kasta tych, którzy jedzą, piją i mieszkają w obcych miastach na koszt państwa. Chwyтали bezbłędnie nową formę starej prawidłowości: jedni mówią o pokoju i zastanawiają się nad eliminacją wojen z życia narodów, inni zaś biją huczne oklaski i kładą podwaliny pod kariery, służbowe wyjazdy i delegacje,

urządzić? Posiadał sprawny układ krążenia i przemijanie odbierał jako utarty banał, dotyczący zawsze kogoś innego.

Właśnie przekształcano samorząd komunalny w system rad narodowych i ojciec Andrzeja uhonorowany został stanowiskiem w urzędzie kwaterunkowym. O ile stary Felak, rosnąc w znaczenie, usztywniał się coraz bardziej w anachronicznej prostocie, o tyle jego podwładni okazali się wyczuleni na niedole syna szefa. W ten sposób, za drobną monetę uśmiechów i nieznacznych poufałości, Andrzej zdobył nakaz kwaterunkowy na pokój w willi na Saskiej Kępie.

Saska Kępa zajmowała specyficzną pozycję w wyobrażeniach Warszawy, przed wojną wyrosło tu sporo ładnych willi, wywołujących w przechodniach zgryźliwe westchnienia na myśl o dostatku, będącym udziałem innych. Wojna i ruchy migracyjne ludności po wyzwoleniu utrwaliły na lat kilkanaście obraz tej dzielnicy: ogródkowe parcele, zapuszczenie, odrapane elewacje, zabite deskami okna, łatanie dyktą drzwi, romantyczna dewastacja bram i ogrodzeń. Mimo to utrzymywało się tu coś, co sprawiało, że mieszkanie na Saskiej Kępie długo jeszcze uchodziło za dowód wytworności.

Po to, aby wejść w posiadanie dachu nad głową, należało wykwaterować rodzinę z dwojgiem dzieci. Pozornie jest to czyn nieludzki, zważywszy jednak, że rodzina wprowadziła się w roku 1945 przez wyrwę w murze, dzięki wyważeniu okna wraz z futryną, zaś umocniła się w posiadaniu lokalu drogą ciężkiego pobicia pewnego inżyniera-chemika, właściciela willi, postępowanie Andrzeja nabrało cech obiektywnej sprawiedliwości. Rodzina cieszyła się antypatią pozostałych lokatorów: ojciec, nałogowy alkoholik, zdobywał chleb powszedni jako wykidajło w knajpach dorzeczna ulicy Żąbkowskiej, dzieci specjalizowały się w okradaniu wieśniaków na pobliskim Dworcu Wileńskim, zaś matka zajmowała się gospodarstwem w rzadkich chwilach trzeźwości. Wylewała pomyje bezpośrednio za drzwi, na podłogę tego, co niegdyś było hallem, bądź odrywała resztki boazerii na rozpałkę w piecyku zwanym popularnie kozą, na którym gotowała strawę i praną bieliznę, a którego rura sterczała malowniczo z okna o corbusiersowskich proporcjach. W tych warunkach akcja Andrzeja, wsparta interwencją milicji dla poskromienia zgorzkniałej rodziny powołującej się na prawa ludzi pracy, spotkała się z entuzjastyczną aprobatą reszty mieszkańców, zaś właściciel willi posunął się aż do gestu, przypominającego błogosławieństwo. Ten właściciel dopiero po wojnie wyrzebał dawno zapomniany dyplom inżyniera-chemika, do wojny dawał sobie bowiem doskonale radę jako udziałowiec wielkiej firmy przetworów naftowych: obecnie dzia-

łał w nowych przedsiębiorstwach petrochemicznych, gdzie — oczywiście — jako wybitny specjalista zajmował się pracą laboratoryjną, oraz wykazał wiele inicjatywy na polu zarządzania budynkami mieszkalnymi. Zaraz na początku powynajmował wszystkie pokoje w swej willi, przewidując proroczo, że nic nie ostanie się w końcu nacjonalizacji, nawet najmniejszy szłaśnik. W przeciwieństwie do innych właścicieli nieruchomości, którzy łudząc się czynili inwestycje, remontowali i naprawiali, inżynier doprowadził swą willę do stanu nastrojowej ruiny. Natomiast rozbudował łazienkę: czterech lokatorów mogło się myć naraz przy czterech umywalniach. Ustały wieczne wojny o zajętą łazienkę, zaś willa nabrała charakteru osobliwej spółdzielni, ku czemu inżynier sterował chytrze i niezmordowanie. Liczył na to, że jako przewodniczący mieszkalnego kolektywu doczeka się lepszych czasów i reprivatyzacji nieruchomości własności. Jak dotąd najgorszą zakatą była rodzina agresorów, którą rozgromił Andrzej. Toteż, gdy obok jednego z jedenastu dzwonek, uszeregowanych pionowo przy drzwiach willi, przypięta została wizytówka Andrzeja z napisem „Dzwonić trzy razy”, atmosfera spokoju i ufności zapanowała w tym domostwie. Zaś Andrzej doznawał dziwnych uczuć na widok swego nazwiska, które przywędrowało tu z magistrackich czynszówek przy Alei Trzeciego Maja, aby dołączyć do nazwisk o brzmieniu ziemiańskim, opatrzonych w dodatku różnymi „dr fil.”, lub „dyr. gen.”, wzbudzającymi szacunek.

Gazety pełne były pasjonujących wieści o budowie kombi-natu i miasta Nowa Huta, zaś Andrzej usiłował wyremontować zdobyty pokój i umeblować go. Nowy zgniatacz, piec hutniczy, czy blok mieszkalny na tysiąc rodzin wykwitał na łamach *Wieczoru Warszawy* z lekkością porywającego do walki o lepsze jutro poematu. Wycyklinowanie podłogi okazywało się kwadraturą koła; malarze pobrali zaliczki, pomalowali sufit w nieregularne kółka próbując tynkówki, po czym upili się i znikli. Stary Felak podarował Andrzejowi pościel. Poduszka pochodziła jeszcze z ich gniazda rodzinnego w domach magistrackich, była chuda i zbita, lecz pachniała przytulnym ubóstwem dzieciństwa.

Kiedy w pokoju stał już tapczan, kupiony okazynie, brzydkie biurko, oraz dwie lampy o abażurach z lakierowanego pergaminu, oklejonego etykietkami „Lucky Strike’ów”, „Chesterfield’ów”, whisky „White Horse” i wermutu „Martini”, Andrzej poczuł się nieszczęśliwy. Leżał długie godziny na tapczanie wpatrzony w doprowadzony do porządku sufit i ranił się szczerością porachunków. To jasne, że cała szamotanina z oporną codziennością miała jeden cel: kobietę. Kobietę przez duże K, kobietę element bytu, kobietę szpik istnienia, kobietę pierwiastkowe uzu-

pełnienie egzystencji, przemierzanej dotąd samotnymi krokami budzącymi jedynie puste echo. Zgodnie z obowiązującą tendencją Andrzej śmiał się publicznie z Freuda; teraz, zatopiony w sobie, wiedział jasno, że rządzi nim myśl o kobiecie, zupełnie niezależna od formy w jakiej kobieta, ta brudna potęga, zechce przeniknąć w jego życie. Było mu wszystko jedno, czy ożeni się, czy utonie w rozpuście, likwidacja niedosytu stawała się warunkiem. Śmieszne wydawały się plany na przyszłość, deklamacje o rozwoju, karierze, własnym domu — myślał z niesmakiem o tych idiotyzmach, spoza których wyłaniały się wyłącznie obrazy wyuzdania.

Spotkał na ulicy Iwonę; nie pracowała już w MSZ-cie, lecz w kawiarni jako kelnerka. Zarabiała doskonale, wyglądała o wiele ładniej i Andrzej wysiadywał w jej rewirze przez parę dni. Iwona gładziła go z upodobaniem po rumianym, niepotrzebnie co rano golonym policzku i mówiła: — Chłopczyku, jak ja cię lubię! Może chcesz pójść ze mną na kolację do *Canaletto*? Zapraszam cię. Stać mnie na kaprysy... — Nie chciała go jednak odwiedzić na Saskiej Kępie, wymawiając się przy pomocy uzasadnień, które komunikuje się przyjaciółkom lub bratu, lecz nigdy mężczyźnie ogarniętemu nastrojem zdobywania.

Warszawę pokrywało przedwiosenne błoto, takie, z jakim nie może się równać żadne błoto na świecie: oklejało całe miasto smutną i odrażającą mazią, wywołując ośpienie, skorupiejąc na obuwiu. Niewinne dziewczęta o twarzyczkach pokrytych brzoskwiniowym puchem wydają się na tle takiego błota zbrukane, kłamliwe i zużyte, zaś to, co jaskrawe, prostackie i ordynarnie przerysowane wyrwa się z szlamowatej szarości i urasta do doskonałej formy i blasku. W redakcji pojawiła się nowa maszynistka o oczach niebieskich i głupich, ustach pospolitych lecz rozchylonych i niezwykle masywnej kibici. Jej ujęte w system staników piersi wołały swą krzepką kulistością, ale co doświadczeńsi przygryzali wargi, przewidując jak przyjdzie ugiąć się pod ich wyzwolełym ciężarem. Andrzej nie miał wyboru. Przyszła bez żadnych oporów, wypili ćwiartkę orzechówki, po czym tańczyli przy muzyce z radiodbiornika marki „Pionier”. Maszynistka wykonywała z upodobaniem różne pas na solidnych nogach, wreszcie Andrzej, niewolnik niewiedzy o początkach, zgorączkowany i roztrzęsiony, zamarkował figlarne potknięcie, po którym znaleźli się na tapczanie i reszta potoczyła się schematycznie, wśród prześlinionych pocałunków, budzących w nim wstręt. Odtąd używał jej kluchowatej obfitości dwa razy tygodniowo, nienawidząc jej płaczących jęków rozkoszy, upokorzony prymitywnym zaspokojeniem.

Spotkał w barze mlecznym Kminka, zdawało mu się, że przy-

padek ten jest szyderstwem, objawiającym mu dotkliwiej jego przekłątą nieudolność, lecz po chwili spłynęło nań pocieszenie. Kminek wyglądał nieszczerólnie: miał na sobie dziwną marynarkę o klapach jak na usilnie retuszowanych fotografiach przodowników pracy w tygodniku *Żołnierz Polski, czy Kraj Rad*. — Widziałeś, jakie nieszczęście? — rzekł Kminek smętnie. — Mam dwie córki. — Winszuję — pogratulował mu Andrzej. — Czego? — zasępił się Kminek — Córki... Któż wie lepiej ode mnie, co je czeka? Ale to jeszcze nie koniec. Osiedliłem się na Ziemiach Odzyskanych. Wstąpiłem do Stronnictwa Demokratycznego. Jestem nawet ważny w powiecie. O Jezu, jak ja kłamię! Jeśli za tyle podłych kłamstw grozi coś po śmierci, to nie wolno mi umrzeć. Okłamuję wszystkich: moich wojewódzkich przywódców i bratnie partie, kolegów ławników i radnych, interesantów i własną żonę. Kłamię od śniadania do obiadu, a nieraz i po obiedzie, aż sam się sobie dziwię skąd mi się bierze tyle inspiracji. — Przesadzasz — uśmiechnął się Andrzej. — Na pewno nie kłamiesz, lecz budujesz. Jak wszyscy działacze społeczni na Ziemiach Odzyskanych. Sami nie dostrzegacie waszych osiągnięć, brak wam perspektywy. — O tobie słyszy się to i owo — Kminek zmienił temat z wdziękiem.

Andrzej poczuł się po tym spotkaniu nieco wzmocniony. Jeśli coś takiego mogło przydarzyć się Krzysztofowi Kminkowi, korespondentowi dyplomatycznemu, który jeszcze cztery lata temu łączył w sobie gorzką mądrość z aparcją piłkarza i siłą erotycznego inkasa o jakiej Andrzej nie śmiał nawet marzyć, znaczyło to, że potęga powszedniości jest zdolna zgasić każdy blask. Tylko zdolność przystosowywania się do tego co mówi silniejszy może uchronić przed wyrokiem skazującym na powszedniość. Odwiedził swego kuzyna Heńka, syna wuja Alojzego. Ten Heniek nie był wcale głupi. — Ojciec upiera się, chce iść na udry — mówił powoli, pracując miękkiemi, wesołymi szczękami w dużej, mięsistej twarzy. — Ustawowo wolno mieć w prywatnej fabryce tylko pięćdziesięciu robotników, a ojciec zatrudnia na boku trzydziestu, po pokątnych warsztatach, tyrających na nas. Co z tego, że nastuka jeszcze kilkaset tysięcy dziadzków, kiedy ci tam, wiesz, mają swoje oko i walą domiar za domiarem. Ojciec mówi, że będzie walczył, że nie da swego, że nie na to zbudował placówkę przemysłową dla dobra kraju, żeby mu to komunizm zmarnował. Ale z kim walczyć? — Heniek uśmiechał się przytomnie. — Ze Stalinem? O co? O jakąś parszywą fabryczkę gwoździ? Nie takie zakłady ginęły ostatnio na świecie, na przykład Krupp! Trzeba się przyczaić i wskoczyć w odpowiedniej chwili do spółdzielczego zrzeszenia branzowego, to wszystko. Ojciec mówi, że

po jego trupie, a ja mówię, że wpłynę. Kapujesz, dosłownie... Jak ja dziś jeszcze robię około minuty zero sześć crawl'em na sto, a w reprezentacji Polski waterpolo utrzymam się jeszcze co najmniej dwa lata, to myślisz, że nie załatwię wszystkiego tak, że firma Felak nie będzie potrzebowała płakać... W Ludowej Polsce lubią silnych ludzi... — Klepał swe tłustawe, drobno-mieszcząskie mięśnie pod pomiętą koszulą z przepoconej popeliny i pochylał się nad stołem, pełnym wędlin, serów i sałatek z majonezem. Ożenił się wcześniej z dziewczyną tęgą, lecz ładnie wytoczoną i powoli, wśród nieustannych kłótni, wydierał wujowi Alojzemu kierownicę domu na Brzeskiej z rąk. W końcu jednak żyli wszyscy razem w przeładowanym etażerkami, paterami i roślinami mieszkaniu, w którym centralnym punktem, słońcem układu, był wielki okrągły stół w jadalni: stała na nim zawsze kryształowa karafka kolorowej, słodkawej wódki, zaś nad stołem pyskowano na siebie codziennie tak samo, z umiłowaniem i znawstwem. Gdyby odebrać im ten odwieczny turniej chamstwa pośród oszklonych kredensów z fałszywego mahoniu czuliby się nieszczęśliwi i okaleczeni: stół, ciasnota, sytość, poplamiony obrus z frędzlami, własna tusza, krzykliwe ujadanie na siebie oznaczały dla nich przytulny dobrobyt, najwyższy szczebel rozwoju ich natury. Andrzej czuł dla nich pogardę, ale świadomość, że istnieją, krzepiła go jakoś. Oni obszczekiwali go, że poszedł na służbę Kremla, że został pachółkiem żydo-komuny, ale w jakiś sposób byli z niego dumni i z przyjemnością odczytywali swe nazwisko w nagłówkach gazetowych artykułów, których nie rozumieli i którymi się brzydčili. Wuj Alojzy Felak, przed pierwszą wojną handlarz skórami i bicz boży stołecznych szewców, później inflacyjny spekulant i dorobkiewiczowski właściciel fabryki gwoździ i drutu, o którym w domu Andrzeja mówiono, że wyzuł brata Ignacego z ojcowskiej schedy, nienawidził najgłośniej komunistycznych porządków, a zarazem najszczerzej chlubił się bratanikiem-publicystą. Zaś Andrzej pierwsze swe poczucie winy czerpał z faktu, że nigdzie tak nie lubił chodzić z wizytą w dzieciństwie, jak do wuja Alojzego na Brzeską: to upodobanie płynęło z niełojalności wobec własnego ojca, nad czym bolał w gruncie rzeczy w głębi swej dziecięcej duszy.

14.

(1950) Nigdy nie wiadomo, kiedy coś co się nie liczy zaczyna się liczyć, coś jest naraz czego dotąd nie było. Andrzej

piisał o wszystkim: o odbudowie Warszawy i eksporcie, o uprzemysłowieniu kraju, o oświacie, kulturze i losie cichych bohaterów socjalistycznej pracy. Wreszcie zaczęto o nim mówić: „Felak napisał, że...”, albo „Czytałeś, co Felak napisał o...”, bez imienia przed nazwiskiem. Znaczenie, ranga na rynku wartości, stało się faktem dokonanym. Telefony rozdzwoniły się w redakcji i Andrzej zastanawiał się, czy pójść tu i ówdzie, gdzie właśnie domagano się jego obecności. Rok temu biegł, gdzie tylko wywołano go po nazwisku.

Toteż zaproszenie na konferencję prasową do instytutu, który w nieprzychylnym klimacie usiłował pielęgnować urodę przedmiotów, nie wzbudziło w nim początkowo zainteresowania. Po tem siedział na owej konferencji i nie mógł zrozumieć dlaczego rząd i naród chcą, żeby w pięknych domach były piękne meble, a na nich piękne nakrycia, zaś państwowe fabryki produkują, a państwowe sklepy sprzedają przedmioty, co do których rząd i naród zgadzają się, że są katastrofalnie brzydkie. Zabrał nawet głos i oświadczył, że prasa, jako wyraziciel opinii mas, powinna zmienić tę niezdrową sytuację. — Tylko tacy ludzie jak redaktor Felak mogą nas uratować! — oświadczyła z emfazą pani dyrektor instytutu. Była to osoba o czarującym uśmiechu fanatyka, tak opętana słuszością i prostotą swych teorii, że nie dostrzegająca elementarnego prawa wszelkiej praktyki, na mocy którego tylko rzeczy oczywiste i słuszne są całkowicie niewykonalne w socjalizmie. Natychmiast zaprosiła Andrzeja do swego gabinetu, gdzie pokazywała mu różne talerzyki i dywaniki, po czym krzyknęła: — Zawołajcie Marytę! — zaś Andrzejowi wyjaśniła: — Zaraz przyjdzie tu piękna kobieta. Nasz referent propagandowy. — Andrzej uśmiechnął się pobłaźliwie: nie miał wygórowanych wymagań, ale znał gatunek kobiet z dobrych, przedwojennych domów, odzianych w przysyłane z Anglii flanele i sprzedających skwapliwie swe estetyczne doświadczenie na aktualnym rynku pracy. Całe tabuny takich pań uganiały się co rano za autobusami na Saskiej Kępie, albowiem ta dzielnica upstrzonych wizytówkami willi stanowiła naturalny rezerwat ich rodzaju. Tłoczyły się dzielnie w środkach komunikacji, mimo wrodzonej dystynkcji, lecz widoczny na ich twarzach nawał trosk i zajęć odbierał im atrakcyjność.

Do gabinetu weszła kobieta kształtna i wysoka. Postać jej i ruchy cechowała doskonałość, której Andrzej nie pojmował, co przejęło go niezręcznym roztargnieniem; zarumienił się jak smarkacz, rękę podał niezgrabnie, przedstawił się zająkliwie. Kobieta powiedziała nazwisko: tylko w książkach dla młodzieży o starej, polskiej arystokracji spotykał tak brzmiące nazwiska, toteż ugiął

się cały pod ciśnieniem respektu. — To jest pan redaktor Felak — nadskakiwała pani dyrektor. — Maryto, zajmij się nim, uwiedź go, zawładnij jego duszą i zmysłami, aby tylko rzucił się do boju o naszą świętą sprawę...

Spędził pół godziny z Marytą, w niedużym pokoju, pełnym biurek i innych pań, gdzie zapach pielęgowanej kobiecości mieszał się z biurową stęchlizną. Nazajutrz oświadczył sekretarzowi redakcji, że rozpoczyna wielki cykl artykułów o estetyce produkcji przemysłowej. — O czym? — zdziwił się sekretarz: miał zimne, zacięte usta i jasne, rybie spojrzenie, przybył zaledwie parę tygodni temu z jakiegoś wydziału wojewódzkiego w Olsztynie.

— Prasa, jako wyraziciel opinii mas — wyjaśnił mu Andrzej — musi upomnieć się o piękno na codzień.

— Omówcie to z naczelnym — rzekł sekretarz chłodno. — A poza tym przypominam wam, że prasa przekazuje opinie masom, a nie odwrotnie. Skoro nie produkuje się u nas rzeczy ładnych, to widocznie są po temu powody. Napiszcie na razie artykuł o tym, co jest ładne, ukażcie osiągnięcia na tym polu. To nie sztuka wytykać palcami mankamenty, sztuka zachęcić do chlubnego wysiłku. Naszym zadaniem jest otwierać perspektywy ku lepszym czasom, kiedy wszystko będzie piękne. — Po czym dodał: — A o kampanii porozmawiamy kolektywnie na kolegium.

Kampania utknęła na martwym punkcie, lecz Andrzej już nazajutrz tkwił przy biurku Maryty, notując pilnie nowe materiały. Przychodził przez pięć dni, a szóstego czekał ukryty w bramie, po drugiej stronie ulicy, gdy Maryta opuszczała instytut. Przebiegł w tłumie kilkadziesiąt metrów, przeskoczył przez jezdnię, zawrócił i po chwili szedł spokojnie naprzeciw Maryty. — Cóż za przemiła niespodzianka — rzekł głosem opanowanym, podczas gdy serce rozsadało mu koszulę. — Czy mogę zaprosić panią na kawę? Pragnąłbym odwdzińczyć się... — Za co? — zdziwiła się Maryta. — Za tyle informacji... — zająknął się Andrzej.

O tej godzinie zdobycie stolika w warszawskiej kawiarni przypominało poszukiwanie złota na dnie wyeksploatowanego potoku. Andrzej znalazł coś w kawiarni na Placu Trzech Krzyży: było tu duszno i niechlujnie, ludzie tłoczyli się nad głowami, czekając na zwolnione miejsce. Siedzieli więc nad blatem, pełnym szklanek po kawie, zalanym oranżadą, zamazanym niedojedzonymi resztkami ciastek. Andrzej ogarniała rozpacz: szczegółowo rozważona inscenizacja wypadła inaczej, niż sobie to wymarzył. Natomiast Maryta konwersowała ze swobodą, wyniośle nie zwracając uwagi na drobne parszywości życia: była przemiła, gdzieś

zapodziało się jej ugrzecznienie, pokrywające przejrzyście ironię, którym peszyła Andrzeja i gasiła próby nonszalancji. Jak każdy obrotny w języku mężczyzna Andrzej uważał krzykliwą zuchwałość za zalotność o nieodpartej skuteczności; kilkakrotnie próbował szachować Marytę falą napastliwego humoru, co kwitowała rodzajem pobłażliwości, odbierającym ochotę do zmagania. Teraz, gdy Andrzej gubił się wśród przeciwności, zdawała się pomagać i ratować. Wreszcie wstała, zaś Andrzej wyraził natychmiast gotowość odprowadzenia jej na daleki Mokotów. Nie miało to żadnego sensu, wobec tego odprowadził ją do przystanku autobusowego, gdzie towarzyszył jej w długim ogonku czekających, dopóki nie wsiadła do czwartego z rzędu, zatłoczonego wozu. Zapadała już błękitnawa, przedwiosenna ciemność i tuż przed pożegnaniem Andrzej spytał desperacko, czy może ją jeszcze zobaczyć. — Niech pan zadzwoni do mnie, do biura — powiedziała Maryta.

Zatelefonował nazajutrz i spytał, czy może ją spotkać. — Po co? — odpowiedziała. Na Andrzeja wystąpiły poty zawstydzenia: wyobrażał sobie jak niezliczone panie przy spiętrzonych biurkach słuchają tej rozmowy. W istocie, nie potrafił uzasadnić, po co mają się spotkać, wobec tego przeprosił sztywno i pożegnał się z urazą.

Nie pozostawało nic innego, jak drapieżne krążenie w poszukiwaniu przypadku. Przechodził po kilka razy dziennie ulicą, na której mieścił się instytut, jeździł autobusami na Mokotów, chodził na konferencje i wystawy. Wreszcie ujrzał Marytę, wędrującą w dzień wiosenny, w którym kurz i słońce zwiastowały ludziom odmianę w przyrodzie. Godzina była przedpołudniowa, Maryta szła płynnie i bez pośpiechu, mężczyźni oglądali się za jej kształtnymi nogami w zamszowym obuwiu, wyłaniającymi się ze spódnicy w szkocką kratę. Andrzej szedł za nią, nie ośmielając się podejść. Maryta sunęła Marszałkowską, przez rozkopaną ulicę pod niebieskim niebem, po czym weszła do zapuszczonego Ogrodu Saskiego, przemierzyła smakowicie zagracone alejki i usiadła na ławce, nad mizerną resztką zamulonego stawu: przed sobą miała ruiny ulicy Fredry i Wierzbowej, już niedramatyczne i malownicze.

Nagle wróciła Andrzejowi agresywność, którą utracił z chwilą wejścia Maryty do gabinetu pani dyrektor. — Rozumiem — rzekł, podchodząc z tyłu do ławki. — Po prostu wagary. Nic nie sprawia większej przyjemności od rolowania dyscypliny pracy i drobnych nadużyć wobec podpisanej rano listy obecności. Przepustka na miasto i... hop do Ogrodu Saskiego...

Maryta roześmiała się. — Właśnie myślałam o panu — powiedziała. — Ze dobrze byłoby pana tu spotkać.

— Kłamie pani, albo drwi ze mnie. Ale to wszystko jedno. I tak punkt dla mnie. Nigdy dotąd nie zadała pani sobie trudu kłamania, ani szyderstwa. — Usiadł przy niej bez zaproszenia.

— Felak — rzekła obraźliwie — czego Felak ode mnie chce?

— Nie wiem — powiedział szczerze. — Słowo honoru, że nie wiem...

— Czy Felak mnie kocha?

— Może. Chyba raczej nie. Faktem jest jednak, że śni mi się pani po nocach. Miłość, nie miłość...

— Felak po prostu chce ze mną do łóżka. Nie? No, niech Felak powie?

— Tak — rzekł wstydliwie.

Po czym, jakby nie wiedząc o mękach nieporadności, pochylił lekko głowę nad jej twarzą, by pocałować ją w policzek, lecz znalazł jej wargi, a w nich dziwną wibrację świadomości, jakiej nie doznał nigdy. Po chwili Maryta odsunęła jego głowę od swojej: pod wspaniałymi łukami brwi, które uwielbiał, miała lekko rozbawione oczy.

— Mój chłopcze — powiedziała dość ciepło — jestem od ciebie starsza z grubsza o sześć lat. Mam męża w Anglii. Cholernie bogaty, ma tam jakieś cegielnie, czy cukrownie. Mogłam z nim zostać, kocha mnie i jest człowiekiem z towarzystwa. Mam także dwie córki, które zostały tu z moją rodziną, kiedyśmy opuszczali Polskę w trzydziestym dziewiątym, na parę tygodni jakoby według politycznych obliczeń mego męża. Po wojnie oświadczył, że nie wróci, gdyż boi się komunistów. Ja wróciłam, polityka jest nie dla matek. Mój mąż uważa, że postąpiłam niegodnie, w związku z czym nadsyła pomoc skąpą. Wobec tego pracuję, chociaż nienawidzę pracy i nikt nie przekona mnie, że jest ona dumą człowieka. Oczywiście, są mężczyźni chętni do zaopiekowania się mną i moimi córkami, obawiam się jednak, że ci spośród nich, którzy mi się podobają, bardziej potrzebują mojej opieki, niż ja ich. A teraz przychodzisz ty, chłopcze. Cóż masz mi do zaferowania?

— Nie wiem... Nic...

— O, nie... — zamysliła się. — Masz. Coś całkiem interesującego. Ogromną, niewyczerpaną chęć. A ponadto brak wymagań... — Wstała. — Idziemy. Muszę być przed trzecią w biurze i oddać przepustkę.

Przed instytutem powiedziała: — Pa, bądź zdrów. I nie pokazuj mi się więcej na oczy, Felak.

Przez trzy dni Andrzej co chwila dotykał swych warg, wspo-

minając to, co stało się ich udziałem. Czwartego dnia udał się do naczelnego z prośbą, aby go dokądś wysłał. Naczelnny miał kłopoty z nowymi dyrektywami dla prasy codziennej i był chory na gripę. W czasie rozmowy poproszono Andrzeja do telefonu. — Felak — usłyszał w słuchawce. — Czekaj na mnie dziś o szóstej przed pomnikiem Mickiewicza.

O w pół do siódmej wchodzili do willi na Saskiej Kępie. Maryta stała na środku pokoju, z lewą nogą wysuniętą nieco do przodu, jak żołnierz w pozycji „spocznij”. Lustrowała otoczenie, wsparłszy podbródek na dłoni. Wszystko, z czego dotąd był tak dumny, wydało się naraz Andrzejowi rozpaczliwie pospolite w zetknięciu z kształtnością jej sylwetki, szcocką kratą jej szalika, spojrzeniem jej oczu spod łuku brwi.

Nazajutrz rano zapukała do drzwi Andrzeja tęga kobieta, którą zatrudnił od niedawna jako sprzątaczkę inżynier-chemik o instynktach hotelarza. Andrzej otworzył, narzuciwszy płaszcz kąpielowy, lecz nie wpuścił jej do środka. Wydawało mu się, że kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem, lecz tego ranka wszystko dokoła wydawało mu się uśmiechem i serdecznością. Zresztą kobieta uśmiechnęła się naprawdę, a nawet w duchu sobie dodała: „Winszuję! Nareszcie i ten sobie kogoś przygadał...” Nazywała się Stefania i lubiła Andrzeja, gdyż był dla niej grzeczny i dawał dobre napiwki.

15.

(1950) Tego roku Andrzej pojechał po raz pierwszy do Zakopanego i doświadczył jak smakuje górskie powietrze. Na miejscu uderzyła go łątwość, z jaką naród polski korzysta z uroków życia niepomny na troski wyłaniające się właśnie przed jego przywódcami na każdym zakręcie drogi gospodarczej i społecznego rozwoju. Po Krupówkach przewalał się tłum dobrze odżywionych wczasowiczów, w kawiarniach i lokalach tanecznych śmiechom i figlom nie było końca. Zakopane charakteryzowała niebywała ilość opalonych na czekoladowo, potężnie zbudowanych blondyn w ogromnych futrach, specjalny gatunek współczesnych Walkirii.

Dzięki znajomościom Andrzej otrzymał pokój w domu pracy twórczej artystów: rozsiane tu i ówdzie po Polsce zapewniały znakomite wyżywienie i znaczenie towarzyskie. Pełne były luminarzy literatury, sceny i filmu, ubranych w odzież zdobytą na służbowych wozajach zagranicę, komentujących dowcipnie niepowodzenia rządu i owianych zapachem lepszego życia.

Andrzej uczył się z zapalem sztuki narciarskiej, krzepł fizycznie, gorliwie brał udział w spacerach, popołudniowych kawach, nocnych eskapadach, zawsze chętny i wesoły, mówiący szybko i obficie, nie na tyle interesująco, aby budzić wrogość, dostatecznie jednak wytrwale, by stworzyć sobie namiastkę popularności; towarzyszące jej, niedbale proponowane *bruderszaft*'y przyjmował skwapliwie, bez selekcji. Zawsze można było liczyć na jego obecność, popartą kordialną chęcią udziału w rachunkach i grzecznością użytkową wobec pań, manifestującą się w ochoczym trzymaniu torebek, podawaniu płaszców, nagłych sprintach po papierosy i zapalki. Wypracował oryginalną metodę nadszkakiwania sławom: polegała na pieczołowitym wyważeniu dozy bezczelności wśród komplementów, które wyrzucić muszą wrażenie na komplementowanym, albowiem wynikają z drobiazgowej znajomości jego potrzeb. Andrzej odgadł prawidłowość tektoniki społecznej dobrego towarzystwa. Właśnie pękała skalna skorupa dawnych formacji, towarzyskie i snobistyczne namiętności przemieszczały się i twardniały w nowych konfiguracjach. Ani pieniądze, ani władza, ani stanowisko nie dawały już bezpłatnego biletu wstępu. Krupówki pełne były rozbawionych, błyszczących od nakremowanej opalenizny przedstawicieli inicjatywy prywatnej obojga płci, wręczających góralskim fiakrom stużłotowe napiwki. W *Europejskiej* i *Watrze* spotykało się zażywe, choć niepozorne postacie o twarzach prostych, lecz bystrych, odziane w spodnie narciarskie z domów towarowych: ludzie ci bawili się powściągliwie w towarzystwie źle umalowanych kobiet i nic nie wskazywało na to, że są w stanie aresztować w każdej chwili kilka powiatów bez specjalnych uzasadnień, że decydują o produkcji potężnych fabryk, lub zawierają miliardowe umowy handlowe z zagranicą. Niemniej ani opaleni, ani niepozorni nie należeli do dobrego towarzystwa, podczas gdy dość obdarty, źle umyty poeta chodził pijaniuteńki pod Skocznią, opróżniony blaskiem elitarności. Liczyły się przede wszystkim sława i uroda: sława artystyczna, sława sportowa, bądź tylko sława towarzyska. Tę ostatnią rodziły: geniusz biesiadowania, urok osobisty, talent posługiwania się alkoholem, żona o wysoko notowanej urodzie i przystępności, elegancja stroju, wreszcie stare nazwisko, właściwość polskiego socjalizmu, w ramach której działacz robotniczy i potomek arystokratycznego rodu czują się wzajemnie zaszczytzeni, że przy jednym stole jedzą rybę po żydowsku, zapijając wódką. Początek lat pięćdziesiątych wniósł do tego skorowidza młodość. Dziś, w obrazie świata, którego gnilnym schorzeniem jest obłędne tempo rozpadu dostarczanych codziennie na różne targowiska walorów, młodość — abstrakcyjna, zabsoluty-

zowana, stwarzana bądź prolongowana sztucznie przez ubiór, profilaktykę i kosmetykę — stała się w miarę skutecznym instrumentem walki przeciwko zmienności. W ostatecznym jednak rachunku młodość, czyli przepustka młodości do kręgu wywyższonych, potwierdza tylko przewrotnie zasadę zmienności: wysypuje na jarmarki znaczenia setki młodych i atrakcyjnych postaci, które ledwie pochwyć ulotny smak popularności, przesuwały się na ruchomej taśmie do tyłu by dać miejsce innym. W świetle reflektorów przebywa się krótko, pierwsza zmarszczka, pierwsza nieobecność, pierwsze zmęczenie wyrzucają od razu na boczne tory i drugorzędne boiska, gdzie toczyć trzeba upokarzającą walkę o konserwację młodości, prowadzącą nieuchronnie w śmieszność.

Andrzej lokował bezbłędnie pochlebstwa i chęci zbliżeń, chłonał posłusznie majestat gór i złotawy błękit tatrzańskiego nieba, bawiła go podhalańska odmienność, wznosił turystyczne okrzyki podziwu na widok lokalnego kolorytu na sprzedaż. Wieczorami przewracał się na łóżku, dręczony niepokojami. Ostatnie miesiące upłynęły pod znakiem dosytu, którego hojną dawczynią okazała się Maryta. Wydawało się, że Maryta przełamała jakąś barierę. Mówiła mu wiele, bez minoderyjnych pochwał, o jego zaletach, tak, że czasem idąc ulicą Andrzej czuł rodzaj radosnego drapania w przetyku, jak mały chłopiec po biegu za piłką. Nauczyła go, że upojenie prolongować można na tygodnie i smakować na języku jak lepkie słodycze z budek z wodą sodową. Zaniedbał się fatalnie w pracy i gdziekolwiek Maryta jeździła służbowo, do Łodzi, czy do Poznania, wsiadał za nią automatycznie do pociągu. Powstawały zawsze kłopoty z hotelami, Maryta otrzymywała pokój zgodnie z delegacją służbową, zaś Andrzej manewrował tak długo legitymacją *Wieczoru Warszawy*, dopóki czegoś nie wykłócił: hotele pękały w szwach od służbowych globtrotterów, a jednocześnie pływały się w służbowym purytyzmie i mowy być nie mogło, aby portierzy o twarzach landsknechtów, rękach karczowników i zasadach Kalwina zezwolili wejść do pokoju Maryty po godzinie dwudziestej drugiej. Maryta uśmiechała się zazwyczaj lekceważąco i mówiła: — Inny mężczyzna poradziłby sobie. Po prostu ludzie twojego pochodzenia nie potrafią dawać napiwków, budząc tym szacunek u obdarowywanych. To trzeba mieć we krwi. — Andrzej wstydził się tej nieumiejętności, lecz nie potrafił jej przełamać; błagał Marytę o pomoc, stawiając jej potężne kwoty do dyspozycji, lecz Maryta, która nie bała się niczego, nie liczyła ani z opinią ani z najbrutalniejszymi spojrzeniami portierów nad ranem, odmawiała uporczywie regulowania tej drobnostki. — Ja śpię z tobą, bo chcę — mówiła — ty zaś ze mną, bo ci na to pozwalam. Lecz o coś musisz walczyć...

— I Andrzej walczył zaciekle, albowiem perspektywa całonocnego przebywania w bezpośrednim zasięgu kobiety była dlań czymś tak niezwykłym i oszałamiającym, jak koncert Rubinsteina dla sfanatyzowanego melomana, który niczego nie słyszy, gdyż cały czas powtarza: „Jestem na koncercie Rubinsteina! Słucham Rubinsteina!” Czytał w książkach, że można tak pożądać jak on Marytę, ale nie bardzo w to wierzył: nawet moment wchodzenia Maryty do tramwaju budził w nim skojarzenia, przejmujące go panicznym wstydem, czy cały zatłoczony ludźmi przystanek nie dostrzega tego, co się z nim dzieje.

Toteż od początku pobytu w Zakopanem usiłował zdradzić Marytę. Po okresie dosytu abstynencja już po kilku dniach zamieniła się w utrapienie. Drażniła go ponadto potrzeba potwierdzenia nowonabytej chwały, zobiektywizowania i uogólnienia sukcesów. Już w Warszawie niepokoiła go ich wyjątkowość.

Od czasu eksperymentu, któremu poddał go Mikołaj, Andrzej raczej unikał wódki: wspomnienie o wrocławskich cierpieniach wryły mu się w pamięć. Maryta obudziła w nim ambicje: dla Maryty wódka, jej rytuał, właściwości i konsekwencje oznaczały jakąś uchwytną wartość, doskonalącą życie. Wódka, w jej rozumieniu, miała swą metafizykę i hagiografię, swoją liturgię i doniosłość, odnoszącą się do każdego zakątka egzystencji. Andrzej zdusił tedy naturalną awersję i przymuszał krtań, przełyk i żołądek do czynności koniecznych; z czasem pojął, że alkoholowy heroizm zasługuje na wysoką pozycję w hierarchii cnót modnych: łatwo było uzyskiwać przy jego pomocy cudze świadczenia i własne pozy — wydęte i banalne, lecz malownicze, gustowne, w stylu epoki. Początkowo Maryta żądała wódki podczas odwiedzin, później — żywiąc niechęć do kształtu monopolowych butelek — kupiła mu w antykwariacie biedermeierowską karafkę, która stała na podłodze, u wezłowania tapczana, w czasie sesji popołudniowych. W ten sposób Andrzej zdobył jedyny ładny przedmiot w swym mieszkaniu.

Edukacja Maryty wydała owoce w Zakopanem. Jedną z mądrości narodowych Polaków jest przeświadczenie, że wódka smakuje lepiej w górach i nad morzem, oraz, że górskie i morskie powietrze łagodzą jej skutki. Brak jest empirycznego potwierdzenia tych tez, lecz Polacy dowiedli wielokrotnie, że od wyników doświadczeń wolą proces ich przeprowadzania, toteż wódka lała się strumieniami, wsiąkając w różnych postaciach w czysty śnieg. Wódka też była przyczyną swawolnych manipulacji przy narciarskich spodniach pewnej pani, późną porą, na Drodze do Białego: świadkami tych igraszek była szklista noc, krajobraz jak dekoracja do opery, oraz ścięte, gładko osiosane smreki kar-

packie. Pani ta, w życiu pozawakacyjnym solidna małżonka kupca kapelusznymi z Lublina, już nazajutrz nie zdradzała ochoty do kontynuacji flirtu: inna rzecz, że Andrzej, urzawszy ją przy świetle dziennym, oblał się krwawym rumieńcem i przeskoczył na drugą stronę Krupówek jak goniony jelen. Aspiracje, jakie żywił, kazały mu uznać minioną noc za hańbiącą pomyłkę, rezultat zamroczenia niekontrolowanych zmysłów. W skrytości ducha dbał żarliwie o swą kiełkującą opinię *viveur'a*.

Natrętną uwagę koncentrował na grupie młodych ludzi, których znał z widzenia z Warszawy. Byli przeważnie w jego wieku i stanowili osobliwy klan: zdawało się, że każdy może zawrzeć z nimi znajomość i przyłączyć się, lecz były to pozory. W gruncie rzeczy trzymali się razem, nie stroniąc od nikogo, nikogo też do siebie nie wchłaniając. Ubierali się barwnie, lecz w odzież ostentacyjnie starą, jakby wygrzebaną przed laty w magazynach UNNRA, czy YMCA, bądź otrzymywaną w paczkach ze znoszonymi rzeczami od krewnych z emigracji, lub wyszperaną na bazarach i tandetach zwanych ciuchami. Panował wśród nich kult sportu: jeździli doskonale na nartach, sylwetki ich odcinały się od tłumu prostych narciarzy na stokach Kasprowego; lecz sport nie stanowił widocznie pułapu ich zainteresowań, skoro popołudnia i wieczory spędzali w zadymionych lokalach pijąc mnóstwo wódki. W autobusach do stacji kolejek linowych eksponowali nonszalancko swą odrębność, hałaśliwi i pewni siebie, lecz dowcipni: posługiwali się gwarą nasyconą ironią, w której terminologia sportowych gazet mieszała się z błyskotliwą inteligencją, nabierała przewrotnej śmieszności: komentarz do codzienności w tej gwarze wzbogacał język polski o nieprzeczuwane uroki. Zwracali na siebie uwagę wzrostem i swobodą ruchów, dziewczęta określały jeszcze dobitniej ich wspólnotę: były wysokie, długonogie, ubrane ekstrawagancko. Ich elegancja nosiła cechy improwizacji, uczesanie, paznokcie i pończochy budziły zastrzeżenia, zaś uroda, dla wielu problematyczna, określała nowy styl kobiecości. Wśród odpoczywających w Zakopanem urzędników i kupców, górników i dygnitarzy przewijało się wiele przystojnych kobiet, lecz tylko dziewczęta klanu ściągały na siebie spojrzenia, w których zdumienie, oburzenie i podziw wymykały się proporcjom grzeczności.

Czyżby więc współcześni *incroyables*, złota młodzież polskiej rewolucji? Wystarczyło przyrzeć się im, gdy szli niedbale przez Krupówki, lub posłuchać ich rozmów przy ciasno obsiadłych stolicach w *Europejskiej*, lub w *Watrze*, aby przekonać się o ich indyferentyzmie i cwaniackiej bierności. Jediną tradycją, jaką zachowali, był brak oporów przed zasiłkami od rodziców, którym

udało się przetransportować nieco dóbr materialnych przez kaktlizmy dziejów. Przeciwwstawiali się komunistom, owszem, lecz wyłącznie w słowie szeptanym nad kieliszkami z wódką, w zgryźliwych żartach, w manifestacjach pogardy wobec milicjantów. Mimo, że bili się lojalnie w Powstaniu, nie mieli już nic wspólnego z wymizerowanymi bojowcami, kryjącymi dziś swą przeszłość w sfałszowanych życiorysach; bojowcy schowali do szaf dalekich krewnych lśniące oficerki i bryczesy, przygarbili się na głodowych posadkach, lub zwinęli w kłębek na stypendiach uniwersyteckich, studiując zaciekle, z kamieniem goryczy w sercu, marząc o amerykańskich czołgach, nieogoleni i zacięci, katolicy i czerpiący ze swej nędzy siłę i nienawiść. To samo dzieliło ich od tych, którzy opuściwszy w czterdziestym piątym harcercskie szeregi przebrali się w wygniecione koszule marksistowskich związków młodzieży, nie potrafiąc żyć bez wysiłku ulepszania ojczyzny; drwili z ich aparycji i niemodnego społecznikostwa, zazdroszcząc im jednak perspektyw rozwoju za cenę bezkrytycznej wiary. Jeszcze wspominali Antka Rozpylacza w niemieckim hełmie przewiązanym biało-czerwoną opaską, którego owalne fotografie, jak z odwrotu tanich lusterek, widniały na ulicznych nagrobkach w Warszawie, lecz były to wspomnienia platoniczne, rozmazane w alkoholowej nostalgii; za walkę uważali już także lekceważące uśmiechy na widok Rosjanina, czy uwielbienie dla dekandeckiej poezji i hollywoodzkiej kinematografii, której płody zniknęły właśnie z polskich ekranów. Powoli zaczęli żałować, że nie wskoczyli we właściwym czasie do czerwonego tramwaju, ale gardzili tym żalem. Zagłuszali go rozkoszami brydza i tenisa, orgiami w zagraconych ocalonymi antykami, ciasnych pokojach. Ciągłe jeszcze łudzili się oryginalnością jako atutem w beznadziejnej walce o samego siebie. Ale zaraza była w Grenadzie: manifestowali więc resztki niezawisłości przyjmując posady bileterów w teatrze, dzierżawiąc kioski z piwem, lub rozwożąc towary na rowerowych riksach. Z czasem praca dla draki urosła do swoistego fasonu i ten, który skończywszy prawo wystarał się o stanowisko urzędnika udzielającego ślubów cywilnych, cieszył się wśród nich niepoślednią estymą. Inni kończyli po prostu architekturę i medycynę, na które zdołali się dostać zanim zatrzaśnięto uniwersytety przed ludźmi ich pochodzenia, i śpiewali na balach studenckich:

*... Niech żyje nam marszałek Stalin
On usta słodsze ma od malin...*

Andrzej nie potrafiłby wytłumaczyć, co go do nich pchało.

bu absolwentów przyśpieszonych kursów dla służby zagranicznej sprawi mu wiele przyjemności. Na jego miejscu pojawił się człowiek drobny, zaniedbany, cichy i mrugający bez przerwy zmęczonymi oczami. Istotnie, nie oszczędzał się wcale, przychodził do redakcji pierwszy i jeszcze późną nocą rył się w powodzi szcrotek drukarskich i wycinków z innych gazet. Ten nowy naczelny nie wtrącał się początkowo do niczego, nie inspirował, nie krzyczał, nie wymagał, ani nie wpadał na bombowe pomysły. Sprawiał wrażenie jakby go nie było. Po czym rozmaici członkowie redakcji spędzali długie godziny w jego gabinecie. Wychodząc popadali w zamyśloną drętwość, albo demonstrowali hałaśliwe zadowolenie i podejrzany zapał do pracy.

Zamknąwszy za sobą drzwi Andrzej ukłonił się z ugrzecznieniem. — Siadajcie — rzekł nowy naczelny i zamilkł na długo, jakby nie wiedząc co powiedzieć, zakłopotany i mrugający powiekami o wiele intensywniej, niż zazwyczaj. Po czym oświadczył bez żadnych wstępów: — Uważam was za człowieka zdolnego, z dużą przyszłością.

— Dziękuję — rzekł Andrzej. — Cieszę się, że pan tak sądzi.

— Dlaczego nie jesteście członkiem partii?

Na to pytanie Andrzej był przygotowany. Przechylił się ku rozmówcy i przywołał na twarz wyraz wysiłku, poprzedzającego zwierzenia, szczerze, lecz niezbyt krępujące słuchającego, który, być może, wcale nie życzy sobie zwierzeń. — Długo nad tym myślałem — powiedział. — Jest to trudna sprawa. Oczywiście, najłatwiej byłoby panu powiedzieć, że marzę o tym, że dążę wytrwale, ale nie wiem, czy jestem godzien. Że, powiedzmy czuje się niedojrzały do takiego kroku, albo pragnę, by akt wstąpienia do partii był aktem czystej wiary. Albo, na przykład, że potrzebuję czasu, aby dogłębnie przyjąć prawdę i zrozumieć jej niewzruszalność. Lecz ja nie powiem panu niczego z tych rzeczy.

— A co mi powiecie? — spytał obojętnie naczelny i Andrzej dostrzegł naraz poza firanką mrugania i niepozorności żelazną konsekwencję decyzji, z którymi nie ma żartów. Niepokoił go brak oznak, że doceniona została jego niebanalna szczerłość. — Dlaczego mam rezygnować z metod, prowadzących moim zdaniem do lepszych rezultatów — rzekł jasno, dźwięcznie, bez dwuznaczności. — Uważam, że moja praca będzie pożyteczniejsza dla partii, jeśli pozostanę poza partią.

— Dobrze — rzekł naczelny. — Napisze pan wobec tego artykuł, formułujący bez niedomówień pańskie stanowisko i pański stosunek do problemów węzłowych.

— Napiszę — rzekł Andrzej natychmiast, tak szybko, że naczelny wydał się przez chwilę zdezorientowany.

Po czym napisał artykuł opatrzony przez kogoś tytułem „Nasi nauczyciele”, oraz jego nazwiskiem w nagłówku, który okazał się zwykłą kapitulacją bez następstw i bez znaczenia.

Przez parę dni obnosił swą duszę jak połamane pudełko od zapatek. Prawdy, głoszone w gazetach i w radio wydały mu się naraz podejrzanie proste, sprowadzone do stwierdzenia, że jedni są źli, a drudzy dobrzy. Dobijanie się pośród nich własnych zaspokojeń i znaczenia traciło podniecający smak. Polacy prezentowali na ulicach drelichowe kurtki o niezliczonych kieszeniach, a ponadto mnóstwo teczek, mapników i chlebaków; wśród kobiet królowały torby myśliwskie na grubym pasku. Kryła się w tej modzie jakaś odwieczna, narodowa dyspozycja, wojskowa, czy harcerska, kult tymczasowości, biwakowania, noszenia mnóstwa rzeczy ciągle przy sobie. Wyłaniało się pytanie: co naród polski nosi ciągle przy sobie? Albo: dlaczego głównym uzbrojeniem milicjanta, lub żołnierza, jest torba? Otworzył polską torbę natknąć się można było na rzeczy zupełnie nieoczekiwane: na część od motocykla u pracownika fabryki motocykli, dyszek cięły u funkcjonariusza rzeźni, chleb z kiełbasą u damy w karakułowym futrze, zbroszurowany „Materializm a empiriokrytycyzm” u sierżanta artylerii przeciwlotniczej. Andrzeja frapowała zawartość toreb, obojętność redaktorów naczelnych dla tej fascynującej wiedzy zabierała mu coś, co cieszy. Z przygnębiającą klarownością widział tylko dwie drogi przed sobą: jedna prowadziła przez stęchłe od złóż starego papieru, zakurzone pokoiki w wielkich, szarych gmachach, gdzie redaguje się podręczniki agitatora, biuletyny propagandowe, małe biblioteczki teoretyczno-popularyzatorskie, antologie reportaży w milionowych nakładach, publicystykę znakomicie płątną i nie czytaną przez nikogo prócz linotypistów i korektorów; myśli i informacje poddane są w tych wydawnictwach rygorom martwego sanskrytu sformułowań, umownego, wymyślnego przez uczonych w marksistowskim Talmudzie. Druga wiodła świetlistym szlakiem pajaca, o którym tylko ciągnący za sznurek powinien wiedzieć, że pajac taki jest przydatny, a nawet nieodzowny. Obydwie drogi prowadziły na wszystkie szczeble kariery, obie też były nie do przyjęcia, eliminując rozterki wyboru. Należało wymyśleć coś trzeciego, coś, co zadowoliliby wszystkich, nie wyłączając Andrzeja. Należało wykryć, w jakim stopniu przyzwoitość, solidność, fachowość poplącają w nowo skonstruowanym świecie wartości, czy coś przynoszą, czy może przeciwnie — są jałowe nie dają żadnych dywidend, nawet spokoju. — Niemcy — powiedział mu kiedyś szczup-

ty pan o ostrych rysach i jasnym czole polskiego inteligenta — są największym złem świata. To, co uczynili w Polsce podczas okupacji, jest apokaliptyczną wersją najgorszej możliwości, jaka może spotkać ludzkość. Jedyne komuniści są konsekwentnie antyniemieccy, to, co mówią gwarantuje, że znają się na rzeczy. Nie podoba mi się wiele z tego, co zamierzają w Polsce uczynić, lecz trudno, oni jedni wiedzą, co zrobić z Niemcami. — W sześć lat później Andrzej odnalazł tego pana za biurkiem wiceministra, działał w ramach swojej specjalności z pożytkiem i rozmachem. Wszędzie dostrzec można było inżynierów, lekarzy i historyków, którzy mimo głębokiej awersji do komunizmu pogodzili się z losem, a nawet chwalą perspektywy przeobrażeń. Zachowali swe kategorie wartości i przyzwyczajenia, zwyczaj łamania się opłatkami i tradycyjne przekonanie, że wszystkie ich osobiste klęski są wynikiem brzydoty charakteru Polaków, którzy ściągają za nogi w dół każdego kto choć trochę wyskoczy w górę, coś umie, czegoś chce, czegoś dokonał. Jednocześnie ci sami rozjątrzeni polską zawiścią i małodusznością architektki i ekonomiści, fachowcy od kolejnictwa i ubezpieczeń społecznych, drażliwi są do ogłupienia na punkcie honoru Polaków, zupełnie jak w miodowych latach niepodległości, gdy budowano Gdynię i biało-czerwony sztandar powiewał dumnie nad otwarciem zawodów balonowych o puchar Gordon-Bennetta.

A więc solidność! Andrzej zaczął pisywać ze swadą utarte kalumnie i oceny faktów, uprzedzając oficjalne słowo w dziedzinach od kontraktacji nierogacizny, do krytyki widowiskowej. Za jego plecami rozdzwoniły się telefony. Po recenzji z jakiegoś marginesowego filmu naczelny wezwał go do siebie, zapukał palcem w rozłożoną gazetę i rzekł krótko: — Żle. Wszystko nie tak.

— A jak? — spytał Andrzej: serce mu biło, oto nadeszła okazja zademonstrowania zawodowej solidności, mistrzostwa specjalisty.

— Zobaczycie jutro. Redaktor Kanarek otrzymał polecenie napisania miażdżącej polemiki z waszą recenzją i ujawnienia właściwego sensu tego antyludzkiego filmu.

Redaktor Kanarek przybył do redakcji niedawno, na stanowisko teoretycznego sumienia.

— Po co Kanarek? — rzekł Andrzej. — Sam to zrobię.

— Co? — zdumiał się naczelny.

— Napiszę jeszcze raz. I podpiszę pseudonimem.

— Tylko nie myślcie, że tak powinna wyglądać samokrytyka — zastrzegł się naczelny.

— Wcale tak nie myślę. Jako odpowiedzialny pracownik pióra potrafię naprawić każdy błąd rzetelnie i fachowo.

Okazało się jednak, że tak nie jest. Czegoś zabrakło, igraszki przeciwstawień zabrzmiały pusto i nieskutecznie. Naczelnny siedział nad maszynopisem kontrrecenzji, pełen złośliwej satysfakcji. Po czym kreślił, wstawiał niezgrabnym ołówkiem nowe wyrazy na marginesach, zaś serce Andrzeja wypełniało się rozczarowaniem. A więc nie tylko biegłość nicowania i wahadłowe drzwi. Zjawiła się jakaś nowa umiejętność. Skąd się bierze, gdzie można jej zaczerpnąć i przyswoić? Odpowiedzią były społeczne rodowody. Albo pochodziło się z owych podziemnych uniwersytetów marksizmu i leninizmu, które tak wkorzeniły sposób formowania myśli, słów, zdań, albo skazanym się było na drugorzędność. Zabrakło naraz trzeciego wyjścia.

To była ruina planów, tym gorsza, że ścierająca cnotę z zamiarów. Za żadną cenę nie wolno było zrezygnować z przeświadczenia, że jest po dobrej stronie, że życie ma sens, pomyślny dla niego, Andrzeja Felaka. Wierzył, że w mechanizmie egzystencji jakieś małe kółko obraca się dla niego, zadaniem jest przeto odnaleźć ów trybik i złączyć z nim swe poruszenia. To, co działo się w redakcji, kazało mu na chwilę zwątpić w skuteczną pracę całego mechanizmu. Wskazywało, że nie istnieje ład pomyślnego rozwoju, że istnieje natomiast jakaś racja nadrzędna, niezrozumiała, objawiająca się w drewnianych, tępych dyrektywach zwierzchników, w nakazach rozbieżnych krańcowo z prawami rzeczywistości. Można od niej uciec, lecz tylko na manowce anonimowego bytu, można się także jej poddać, lecz wyłącznie na zasadzie oszustwa, kłamstwa, urywania swojego kęsa za cenę drobnych podłostek. Lecz współżyć z nią nie można, nie można do niej mrużyć porozumiewawczo oka, powołując się na swój talent, inteligencję, zawodową biegłość, nie można jednym słowem czynić tego, co dotychczas.

Nie dawał za wygraną, miotał się, walczył. Pracując nad cyklem reportaży z terenu budowy gigantycznego kombinatu wpadł na trop znacznych błędów i uchybień natury gospodarczej i moralnej. Napisał o tym. Naradzano się długo nad jego materiałem, w redakcji i poza redakcją, wreszcie, po niekończących się kreśleniach, zmianach, przeróbkach, zezwolono na jego druk. Andrzej nie poznał swego tekstu, ale nazwisko jego stało się naraz w centrum ogólnego zainteresowania, w innych redakcjach i kawiarniach sławiono jego odwagę i bezkompromisowość. W kilka dni potem rozległ się dzwonek telefonu w gabinecie naczelnego: odezwała się instancja, której przez przeoczenie nie wzięto pod uwagę w konsultacjach. Dygnitarz po drugiej stronie drutu groził najdalej idącymi konsekwencjami i określił artykuł Andrzeja mianem sabotażu, zaś naczelnny mrugał z obłądną szybkością, nie

potrafiąc uspokoić rozpędzonych powiek. Odłożywszy słuchawkę rzekł: — Nie wystarczy wykrycie błędu. Trzeba wskazać winnych.

— Nie ma winnych — powiedział Andrzej, truchlejąc: taki finał nie miał nic wspólnego z dziennikarstwem, wierszówką, ambicją, rozgłosem.

— Powiedziawszy a musi się powiedzieć. b. Zagadnienie przedstawione zostało połowicznie. Półśrodki oznaczają tchórzostwo.

Telefon zadzwonił ponownie i jakiś głos poprosił Andrzeja. Andrzej wziął słuchawkę i usłyszał: — Jestem jednym z pańskich informatorów o nadużyciach, o których raczył pan napisać te kłamstwa, brednie, przeinaczenia i świństwa, jakie przeczytaliśmy w wczorajszym *Wieczorze*. Wykrzywił pan i zełgał wszystko, mamy gdzieś taką sprawiedliwość! Jest pan durniem, albo łajdakiem. Albo jednym i drugim. Kiedyś porachujemy się z tobą, ty skurwysynu...

Andrzej odłożył słuchawkę blade, lecz uśmiechnięty. Zaś nowy sekretarz redakcji o rybim spojrzeniu powiedział na najbliższym kolegium: — Oczywiście, jest miejsce na łamach naszej gazety dla dziennikarstwa, jakie uprawia kolega Felak, lecz działalność jego odbywać się musi pod ścisłą kontrolą. — W ramach obowiązujących zwyczajów wypowiedź tę uznać należało za oględną i grzeczną, niemniej Andrzej pojął, że jego dalsza współpraca z *Wieczorem* stała pod znakiem zapytania.

18.

(1951) Zjawił się w Warszawie Kminek i zaprosił Andrzeja do *Kameralnej*. Ubrany był jeszcze bardziej prowincjonalnie, niż zeszyłem razem, ale miał pieniądze i skłaniał się ku rozrzutności. Andrzej odniósł wrażenie jakby strój Kminka był rodzajem ochronnego umundurowania: gamoniowata ekspresja szerokich spodni i grubej marynarki ze sklepów Samopomocy Chłopskiej służyła jakiejś idei. — Stronnictwo Demokratyczne to cudowna paczka największych cwaniaków pod słońcem — mówił Kminek, zjadłszy bryzol z pieczarkami. — Ten lokal — rozejrzał się z upodobaniem wokół — jest oazą na pustyni. Jest koncesją na rzecz niskich instynktów, jest tajemniczym wrzodem, o którym nie wiadomo jak go leczyć i dlaczego się go chirurgicznie nie wycina. — Rzeczywiście, wokół pili wódkę, lub tańczyli z

dziewczętami Polacy, których brak w rocznikach statystycznych, na zdjęciach prasowych i w ogóle w charakterystyce świata był zwyczajem doktryny. Zresztą byli to przeważnie Polacy dwustronni, jak wywracalne na obie strony jesionki, Polacy o dwóch wcieleniach: teraz abstrakcyjni i nierzeczywiści, jak elfy płaśające w takt „Na prawo most, na lewo most”, zaś nazajutrz rano konkretni referenci i naczelnicy wydziałów, buchalterzy i technolodzy, rozpyskowani, szarzy, zaniedbani, nieogoleni, bardzo źli na komunikację i własne żony.

Po ćwiartce Andrzej zwierzył się Kminnowi ze swych trosk i rozterek. Kminek powiedział: — Zaraz... — i poszeptał coś z kelnerem, wręczając mu kilka banknotów. — Odbierze pan w szatni, proszę szanownego pana — rzekł kelner. — Chodź — powiedział Kminek do Andrzeja.

Szatniarz wręczył Kminnowi dwa pakiety: jeden Kminek miał ze sobą, gdy tu przyszli. — Co to jest? — spytał Andrzej. — Zabawki dla moich córek — odparł Kminek.

— A to?

— Wódka, łośoś i sandacz w galarecie dla Hanki.

— Co za Hanka?

— Zobaczysz. Nie znasz Hanki Van Der Meusche? — zdziwił się Kminek. — Tyle lat żyjesz w Warszawie...

— Holenderka?

— Nie, dziecko Mokotowa. Z domu Ignaciuk. Wyszła za męża za belgijskiego dyplomatę, z pochodzenia hrabiego. Faceta odwołali, jej z nim nie puścili. Jej nie dali zostać Belgijką, ale on miał prawo ubiegać się o obywatelstwo Polski Ludowej. Choleśnie mu to potrzebne, zwłaszcza, że sam ma ze trzy kopalnie węgla koło Charleroi.

Pojechali jednym z tych wraków, służących podówczas w Warszawie za taksówki, których ruch tłumaczył się wyłącznie siłą ducha, a nie prawami mechaniki. Wysiedli na Skarpie, przed obłupaną kamienicą, przeciętą poziomymi pasmami długich okien: kiedyś były to domy dobrych dzielnic, ich nowoczesny komfort stanowił do dziś przedmiot sentymentalnych westchnień; przypominały teraz łodzie ratunkowe, tonące od nadmiaru rozbitków. Na trzecim piętrze Kminek nacisnął jeden z sześciu dzwonek, przy którym pasek papieru obwieszczał: „Comte Van Der Meusche, Ambasada Belgijska”. Drzwi otworzyły się i łagodny głos kobiecy uprzedził ich w ciemnościach: — Tylko nie rozrabiajcie, na litość boską! Dość już awantur na dzisiaj, a wieczór dopiero się zaczyna... — Po czym Andrzej znalazł się w dużym pokoju, którego ścianę wypełniało przysłonięte barwnym kretonem okno. Ogromny tapczan na środku, nakryty białą, spływają-

jąca na podłogę narzutą, nasuwał myśl o centralnym ołtarzu miłości; przy ścianie stała wygodna kanapa, zaś w kącie złożone, lecz zawsze gotowe do akcji łóżko polowe. Na stylowej, choć obłamanej komódce tłoczyły się francuskie i amerykańskie kosmetyki, przy dwuskrzydłowych oddrzwiach, częściowo jeszcze oszklonych, a w części załatanych grubą tekturą, stał wieszak z biurowej poczekalni, na ścianie, nad głównym tapczanem, wisiał portret Leopolda, króla Belgów, usiąść można było na pseudokokowym fotelu o wystrzępionym siedzeniu, oraz na dwóch kuchennych taboretach, gdyż trzeci zajmowała włączona do kontaktu, rozpalona płytką elektryczna.

— Krzysztof Kminek! — zawołała dziewczyna, leżąca na kanapie: długie, smukłe nogi w ciemnych nylonach trzymała wysoko na bocznym oparciu. — Popatrzcie, Krzysztof Kminek przebrany za aktywistę! To ci heca... — Bardzo się Andrzejowi spodobała, lecz od razu widać było, że tylko Kminek koncentruje jej uwagę.

Andrzej przedstawił się gospodyni: miała piękną, łagodną twarz sklepikarskich madonn i krzywe nogi pod lekko baryłkowatym korpusem. Mimo tych niedociągnięć była tu indywidualnością najsilniejszą, wyczuwało się to natychmiast. — To pan jest ten Felak od gazet — powiedziała. — Coś słyszałam. Pozwolicie, że przede wszystkim zmienię ten cholerny szlafrok. — Jednym ruchem zrzuciła szlafrok i weszła w spódnicę, trzymaną nisko przy podłodze, po czym kilku energicznymi ruchami odwołka osadziła ją na właściwym miejscu. — Dostałam kaczkę na Tamce, u prywatniaków. Oni są na wagę złota. Może pan coś potrzebuje, panie Felak, znam taką jedną dziurę, gdzie jest wszystko, nawet kuropaty w sezonie.

— Jesteś na procencie u kłusowników? — mruknął Kminek raczej niesprawiedliwie, gdyż oferta Hanka wynikała z prostej serdeczności.

— Możesz nie jeść — powiedziała Hanka. — Mieszkasz u mnie za darmo, forszę z delegacji za hotel i diety ładujesz na lewo do kieszeni i jeszcze kaprysisz. Co ci się nie podoba?

— Kminek aktywista — powiedziała ta z kanapy. — Skonać można... — Widocznie to była jej metoda kokieteryjnego flirtu.

Drzwi otworzyły się i weszła wysoka dziewczyna, zbudowana jak posąg z Casino de Paris, obwieszona rącznikami i z naręczem szcotek, mydeł i grzebieni w rękach. — Barbara! — ucieszył się Kminek. — Nie widziałem cię wieki. — Pracuję — powiedziała Barbara smętnie: w zniszczonej twarzy świeciły wielkie, błękitne oczy, zasnuwane mgłą bezbrzeżnej tęsknoty mocz-

nej długie lata w alkoholu. — Pracuję i zarabiam, a nawet dostałam wyróżnienie za nadliczbowe godziny.

— Tylko nie ma gdzie się wykąpać — wyjaśniła Hanka. — Mieszka w świeżo wybudowanym osiedlu, na Młynowie. Futryny powylatywały, kiedy pierwszy raz zamknęła za sobą drzwi. I wody nie ma. Pomylili się i założyli złe rury. Woda albo nie wchodzi na piętra, albo nie schodzi z pięter.

Barbara powiedziała: — Ja nie narzekam. Zawsze mogę tu przyjść na mycie.

— Zrobiłaś porządek w łazience? — spytała Hanka. — To idź zmyj naczynia. Ta stara kurwa znowu zamknęła kuchnię. Musisz zmyć w wannie.

— Pani mecenasowa? — spytała obojętnie ta z kanapy. Andrzej spojrział w jej stronę i upewnił się: ona i tylko ona. Był gotów do poświęceń, aby odcisnąć się chociaż w jej świadomości, wydawała mu się piękna i upragniona.

— Pomogę Basi — rzekł Kminek.

Wziął talerze, noże i widelce i wyszedł za Barbarą. Hanka wyciągnęła spod okna brytwankę z upieczoną kaczką i postawiła na płycie elektrycznej. Po kilku minutach rozszedł się zapach rumieniącego się w brytwance ptaka. — Coś długo zmywają — powiedziała ta z kanapy.

— Dawno się nie widzieli — odparła pogodnie Hanka.

Andrzej kartkował z zapalonym zeszłoroczny numer *Life'u*, znaleziony na podłodze koło komody; uśmiechał się i potakiwał, jakby brał udział w rozmowie. Było mu głupio: rzeczywiście, nieobecność Kminka i Barbary przeciągała się kłopotliwie.

— W łazience niewygodnie — szczydziła ta z kanapy. — Że też ty na to tak przez palce, jakby cię nic nie obchodziło. W twoim domu?

— Czy ja jego żona? On mój mąż?

— Ale lubisz go, nie?

— Lubię, no i co? — w głosie Hanki zabrzmiała łagodna przygana, po której ta z kanapy umilkła potulnie.

Za drzwiami, w ciemnych przepaściach korytarza, rozległ się zgrzytliwy, lecz wytwornie akcentujący głos: — Szumowiny! Pospółstwo! Wpuścić takich do przyzwoitego mieszkania, to będą pitrasić w pokojach! Nic tylko smród i dewastacja...

— Jak wyjdę — powiedziała flegmatycznie Hanka — jak złapię za ten wyleniały kok! No, niech pan popatrzy — zwróciła się do Andrzeja — ambasada załatwiła mi przydział na ten pokój, mogę grosza nie dawać, prócz do administracji, a co miesiąc odpalam tej starej zdzirze patyka, to na sprzątanie, to na to, to na tamto... — Otworzyła drzwi i rozdarła się: — A pani

mecenasowa w kuchni trupa męża trzyma, że ją zamyka, co? — Wara lafiryndom od kuchni! — zaterkotało z ciemności, jak seria karabinu maszynowego. — Kuchnia to świętość domowego ogniska, a nie dom publiczny! — Po czym eksplodowały za-trzaśnięte drzwi.

— Dosyć tego rabanu — rzekł Kminek, wchodząc: za nim Barbara niosła naczynia. W jej wielkich, błękitnych oczach melancholia ustąpiła złośliwemu rozbawieniu. — Jużście się nazmywali — powiedziała ta z kanapy z przekąsem. — Co się tak do niego palisz? — rzekła do niej Hanka bez urazy. — Czekaj, przyjdzie twoja kolej. — Zrób jakąś muzykę — powiedział Kminek do Andrzeja. Andrzej otworzył adapter i niepewnymi ze zdenerwowania rękami nałożył płytę. „Domino, Domino, warum hast du so traurige Augen...” — głośnik wypełnił się walcem banalnych smutków. — Dostałam od jednego Turka — powiedziała Hanka. — Z misji handlowej. Przyjechał po węgiel. Bardzo piękna melodia.

Zaczął się jedzenie kaczki i picie wódki, początkowo powściągliwe, lecz rozwijające się wśród ironicznej retoryki, w której celował Kminek. Złośliwości i elokwencja dotyczyły niezmiennie tych samych czynności i tych samych okolic ciała, Kminek wypowiadał je trawestując zapas metafor z dziecięcych bajek, z języka urzędowych komunikatów, literatury historycznej dla młodzieży. Andrzej wpatrywał się w niego z uwielbieniem, czuł się sztywno, i nieswojo, pokonany i rozbity. Zbliżenie płciowe oznaczało dlań zawsze coś niezwykłego, odświętnego, coś, czego dokonuje się z biciem serca. Opowieści i opisy, traktujące o przelotnych stosunkach w kuchni, w korytarzu, kiedy męża nie ma w domu, z okazji wizyty inkasenta za gaz, w łazience podczas hucznych imienin, budziły w nim zawsze wstręt, przerażenie i ból, jak krwawa niegodziwość, jak coś strasznie niesprawiedliwego. Nie okazywał nigdy tego, śmiał się rubasznie wraz z innymi, bufonował, lecz cierpiał; pozornie akceptował pobieżność i błahość tych odrażających faktów, a także zasadę, że nie ma w gruncie rzeczy o czym mówić, lecz nie godził się z tym nigdy. A przecież odmłodzona twarz Barbary budziła w nim zazdrosny podziw dla Kminka, jakiego doznają młodzi chłopcy dla swych bohaterów z ekranu, czy boisk piłkarskich. Jasne było, że jeśli Kminek nie spał jeszcze z tą z kanapy, dziś w nocy nastąpi to nieuchronnie, przy aprobacie, przychylności, a nawet pomocy obu pozostałych kobiet, które go poznały i doceniły. Andrzej męczył się, pragnął, aby ta konieczność upadła pod ciosem jakiegoś gestu, jakiejś decyzji, czegoś nieprzewidzianego, co uratowałoby w nim szczęśliwie naiwnego i wierzącego. — Panno

Ewo — rzekł, przechylając się ku tej z kanapy. — Tak bardzo chciałbym coś dla pani zrobić...

— Pan dla mnie? — spojrzała na niego nawet bez zdawkowego uśmiechu, jak na przedmiot, któremu kontur wystarczy do zaznaczenia obecności. W jej dużej, ładnej twarzy każdy szczegół rysował się wyraziście i kształtnie, jak u pięknego zwierzęcia.

— Niech pan jej da swój numer telefonu — powiedziała Barbara. — Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać taki facet jak pan.

— Ewie? — zdziwiła się lekceważąco Hanka i dodała w stronę Andrzeja: — Ona jest kosmetyczka. Duży fachowiec. Trafia więcej tygodniowo, niż pan przez dwa miesiące. Same żony tych z góry, którym skubie brwi i wyciska wągry, mogą więcej załatwić, niż wy wszyscy we wszystkich redakcjach. Nie mówię już o panach, którym kładzie maseczkę na sobotę wieczór.

Andrzej uśmiechnął się z ulgą: zagęszczoną przez tępotę Barbary sytuację wyklarowała Hanka. Wyjął długopis z kieszeni i wyrwał kartkę z notesu. — Jaki fajny długopis — powiedziała Ewa. — Podoba się pani? — rzekł Andrzej z nieopatrzną nadzieją. — Proszę, jest pani.

— Walczysz — uśmiechnął się Kminek ze zrozumieniem. — Zupełnie jak w redakcji. W gruncie rzeczy o siebie i o swoje nierealne kryteria, dość nikczemne, jak im się bliżej przyjrzeć, lecz usprawiedliwiające wszystkie twoje świństwa i niedoświadczenia. Walcz, stary... Mam dla ciebie słabość, a nawet trochę podziwu. Bo ty jesteś z tych, którzy wygrywają, kiedy przegrywają. O, Boże! Jak ja chciałbym kiedyś do takich należeć! Bo mnie jak leją, to aż do skakania podkutymi butami po moim brzuchu! Aż do siadania mi brudnym tyłkiem na gardle...

— O, wa... — powiedziała Hanka. — Jaki mi nieszcześliwy. Gdzie się obróci tam mu dziwka zwisa. Skończcie te wasze literatury i zajmijcie się paniami. Wódka stygnie. „Wio, koniku, a jak się postarasz...” — zaśpiewała lekko już podпиты głosem.

Rozległ się dzwonek, po czym do pokoju wszedł pan, na którym wszystko było bardzo czarne, bardzo jedwabne i bardzo błyszczące, łącznie z lśniącą od brylantyny resztką włosów, okalających oliwkową łysinę. Nosił srebrny szalik i czarne Borsalino, z kieszonki marynarki sterczała mu wysoko chusteczka. Ręce miał usiane sygnetami i bardzo białe zęby. Przypominał przedwojennych, honorowych konsulów republik południowo-amerykańskich, utrzymujących się z mistrzowskiej gry w bilard. — Krzysztof Kminek! — rzekł cicho, lecz z uczuciem. — Nie widziałem cię od lat. — Obrzucił baczny spojrzeniem rozchełstanego

Kminka w topornych spodniach. — Wyglądasz jakbyś zrobił karierę. A, pan Felak... Tutaj? Miło mi pana poznać.

Andrzej poczuł sympatię dla tego imponującego faceta. — Słuchaj, Hanka — ciągnął czarno-oliwkowy — jak ty właściwie stoisz z przesyłkami od swojego belgijskiego filantropa? Bo właśnie mam służbowy kontakt z takim jednym hruniem od kontrolowania przesyłek. Niejaki towarzysz Żołądz. Wpadłem, żeby ci powiedzieć, że wszystko jest do uregulowania. — Mówił bez akcentów porozumiewawczych konszachtów, prosto, naturalnie.

— Oczywiście, za drobną opłatą — westchnęła Hanka.

— Dla ciebie gotów jestem ponieść straty — uśmiechnął się ujmująco oliwkowo-czarny: usiadł, nalał sobie szklankę wódki i wypił, przetrzymując nieco płyn w ustach jakby płukał zęby.

— O tym potem — oświadczyła rzeczowo Hanka. — Na razie jedz, jak już jesteś.

Po godzinie Ewa wykonała, z narażeniem zdrowia, szpagat, po uprzedniej kłótni z Hanką, która wątpiła w jej zdolności gimnastyczne. Barbara skarżyła się na zmęczenie, narzekając, że rano musi wstać do pracy, położyła się na kanapie i zasnęła bez oporów. — I urządzaj tu balety — zniechęcił się Kminek. — Nigdy w tygodniu — pouczył go oliwkowo-czarny, do którego wszyscy zwracali się imieniem Edek. — W demoludach nie zmontujesz przyzwoitego baletu w tygodniu, trzeba się z tym pogodzić. Co innego w sobotę. W sobotę wychodzi bez pudła. W tygodniu wszyscy wyczerpująco pracują.

— Bo twoja partia tak chce — rzekła Hanka z urazą.

— Na moją partię nie narzekaj — odparł swobodnie pan Edek. — Ty dzięki niej dostaniesz zniżkę na paczki, z których żyjesz, a w końcu wyjedziesz do Belgii, gdzie zostaniesz hrabiną. A ja co? Myślisz, że coś z niej mam? Najwyżej dodatkowe szkolenie.

— Już zgódźmy się, że coś z niej masz — powiedział Kminek.

— Mam to, że wiem co to jest proletariat, wyzysk i wartość dodatkowa. Zadowolony jesteś? — Widać było, że ten nurt rozmowy nie bawi pana Edka.

— Zawsze się znałeś na wartości dodatkowej każdego frajera — kontynuował wesoło Kminek. — Całe szczęście zresztą, że są w tej partii tacy, jak ty — dodał pojednawczo. — Co ty właściwie teraz robisz?

— Przydaję się — uśmiechnął się pan Edek.

— Kręci się przy filmie — powiedziała Hanka bezlitośnie: wstępna oferta przysługi nie wymazała z niej widocznie jakichś

uraz, które wódka ujawniała teraz wbrew wszelkim regułom gry i ostrożności.

— Co słyhać u Mikołaja Planka? — spytała bełkotliwie Ewa.

— Skąd przyszedł ci do głowy Plank? — rozżościła się Hanka.

— Mówisz, że Edek robi przy filmie — broniła się Ewa.

— Jak Mikołaj. Mikołaj, Nick, Misza... — szepnęła z uczuciem.

— Planka dawno wyleli — rzekł pan Edek. — Stawiał się. On jest za mądry. A teraz takie czasy, że oprócz Stalina nie ma mądrych. Od razu ich kończą.

— Po prostu jest artysta — rzekł Kminek. — Musi zginąć. Najprzód pokazał, że jest kozacki grafik, a teraz jeszcze zakosił w filmie. Tego mu nie darują.

— Musi zginąć — przyznał pan Edek. — Ale z innego powodu. Nie chce zrozumieć, co każdy musi zrozumieć. Chce być wielki na własny rachunek. Ten numer więcej nie przechodzi, to się skończyło. Nawet największy kozak musi dziś pracować na zlecenie. Żadne zdolności nie pomagają.

— Nie jestem pewien... — zaczął Andrzej — czy panowie...

— Pan też się marnuje — przerwał mu pan Edek.

— No, to chlup — powiedziała Hanka.

Ewa i Kminek wypili. Pan Edek objął wargami cały kieliszek i wessał wódkę jak czekoladową piankę. Andrzej zamarkował picie: w uszach i skroniach czuł już obezwładniające cykanie alkoholu. Hanka nastawiła „Błękitne tango”. Z głębi mieszkania rozległy się głosy protestu. Hanka zwiększyła moc głośnika. — Niech się kłóca z Belgią — powiedziała nienawistnie: odstąpiła niezbyt ładne zęby w uśmiechu, który stał bezpowrotnie seraficzną łagodność z twarzy i uwypuklił jej mimiczne związki z pokoleniami warszawskich przekupek. — Tańcicie... — powiedziała. — Ja sobie coś zjem... — Ewa natychmiast oplotła Kminka ramionami. Zaczęli się kołysać w jednym miejscu, na środku pokoju.

— Dlaczego pan tak uważa? — spytał Andrzej. Ten pan Edek interesował go: wyjmował co chwila z zanadru nowe akcesoria pewności siebie, jak gracz zawsze zaopatrzonego w taktownie schowanego i w porę wyciąganego z rękawa asa. Mówił cicho, nie narzucał ani swej osoby, ani swych sądów. — Ja nie uważam — rzekł z pobłażliwym uśmiechem. — Ja to sobie powiedziałem tak sobie. Rozumiem, pan jest znanym dziennikarzem, publicystą, reporterem. Z pisania można mieć nazwisko, zgoda. Ale z czegoś trzeba żyć, no nie? Gdzie są te... no... jak to się nazywa?... wie pan... wpływy? Gdzie jest parę złotych?

— No? — rzekł Andrzej bawiąc się papierosem. — Gdzie jest? — Wrócił mu chłód i czujność.

— Pan się mnie pyta? — zdziwił się pan Edek.

— Pana się pytam.

— Czy ja wiem? Może tu, u Hanki. Tu przychodzą różni ludzie, tu można wiele załatwić. A w ogóle, wszystko można załatwić, tak już jest. Nie tylko parę złotych, lecz coś więcej.

— Co?

— Zależy co kto potrzebuje.

— A czego ja potrzebuję? Pana zdaniem?

Pan Edek uśmiechnął się życzliwie. — Na przykład przyszłość — powiedział.

— Co to znaczy?

— To znaczy ustawić się. Widzi pan... — pan Edek zapalił się nagle, jak każdy wielki teoretyk — wszystko zależy od tego czym się za co płaci. Za te usługi, które pan jest w stanie wyświadczyć swoim zleceniodawcom, w różnych miejscach różnie płacą. Tu w Warszawie tyle, że pan poza utrzymaniem z trudem ma dwa razy w miesiącu na dobry popij. I raz na pół roku parę nowych butów z ciuchów. A na przykład w Paryżu miałby pan za tę samą pracę i tę samą forszę, auto i mieszkanie. Inne miejsce, inna waluta. Pan powinien siedzieć zagranicą i pomagać zagranicznym masom pracującym w ich walce o wyzwolenie, albo informować nasze masy pracujące o nędzy i zmaganiach tamtych mas pracujących. Pieniądże lecą z tej samej kasy, ale inne. A pan pozostaje Polakiem, patriotą i po właściwej stronie. Po tej stronie, gdzie jest słuszność i postęp.

Andrzej uśmiechnął się z wyższością lepiej wiedzącego. — Wie pan — powiedział — to nie takie proste. Zostać korespondentem w Paryżu, oho...

— Rozumiem — przerwał mu pan Edek. — Po co od razu Paryż? Można inaczej. Zwalniają się kolonie, jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Jedni brali stamtąd surowce, inni mogą brać tematy. Przyszłość jest dziś w Chinach, w Wietnamie, na Korei. Szeroki świat otwiera się przed przedsiębiorczym Polakiem, tylko wybrać i specjalizować się! A Afryka? Tam się dopiero zaczyna. Pieniądże i sława leżeć będą pod każdym krzakiem, ale tym razem nie dla kapitalistów, eksploatatorów, plantatorów. Dla nas. A wystawy i targi? Taki facet jak pan powinien zrobić karierę na wystawach i targach. Któż potrafi lepiej od pana uwypuklać...

Kminek wybił nasadą dłoni korek z butelki z wódką. — Widzę, że zdobywasz nową świadomość — powiedział do Andrze-

ja. — Pochwalam. Edek to stary oszust, można się od niego wiele nauczyć.

— Nie zdobywam, ani się nie uczę — uśmiechnął się Andrzej pobłaźliwie. — Po prostu słucham z zainteresowaniem. Pan Edek jest bardzo utalentowany. Uważam, że się marnuje.

— Prawda? — westchnął pan Edek. — Bo nie jestem rutyniarz, jak ci, co bez „Kalendarza Agitatora” do trzech nie potrafią zliczyć. No, na mnie już czas. Zadzwoń do pana — rzekł do Andrzeja. Pożegnał się ze wszystkimi, otulił szyję srebrnym szalikiem, nałożył uważnie Borsalino i wyszedł.

— Nareszcie — powiedziała Hanka, wróciwszy do pokoju z korytarza: ocierała z niechęcią nabrzmiałe wargi. — Nie lubię bandziora.

— Nie dokładasz do niego — uśmiechnął się Kminek. — Raczej on do ciebie. Za to, że się z nim od czasu do czasu przepisz robi dla ciebie to, czego nie zrobiłby nawet dla rodzonej matki.

— Fakt — powiedziała Ewa. — On się w niej kocha.

Barbara wstała z kanapy, rozebrała się chaotycznie i położyła z powrotem. Twarz miała nieprzytomną, oczy sklezione snem. Hanka podniosła jej sukienkę z podłogi i powiesiła skrupulatnie na wieszaku.

— Pani pozwoli, że się pożegnám — rzekł Andrzej.

— Nie wygłupiaj się — powiedział Kminek. — Jest jeszcze wódka. Tyś był zaproszony. Nie wypada. — Co z pana za kumpel — dodała Hanka, nieco za wylewnie — wychodzić tak w środku?

Po godzinie śpiewów i krzyków wśród rozrzuconych resztek sandacza i kaczki, Hanka zaśpiewała hymn belgijski, raczej fałszywie, informując jednocześnie o drobnych wynaturzeniach swego męża, hrabiego, zaś Ewa siedziała na kolanach Andrzeja i mówiła do niego: — Ciociu Zosiu... — Jedyńie Kminek nie zdradzał podniecenia. — Ty, Andrzej — mówił — musisz odkryć, ile zysków kryje się w wyzwalaniu ciemieżonych ludów, zwłaszcza kolonialnych. Jesteś uratowany, jeśli zaczniesz się na to snobować... — Daj mu spokój — powiedziała Hanka — odczep się od nas z całą swoją zasraną mądrością. Każdy wie co mu potrzeba. Andrzej, nie słuchaj go, zatańczymy... — Ja już chyba pójdę — wybąkał Andrzej, — ... Haneczko... — Co ci przychodzi... Śpiemy! — zawołała nagle i wstała dość chwiejnie.

Podeszła do kontaktu i zgasiła światło. Andrzej słyszał jak Ewa rzuca Kminka na tapczan; Kminek śmiał się cicho, złośliwie, przytomnie. Hanka zapaliła światło i zabrała się do rozsta-

wiania polowego łóżka ruchami pełnymi wymuszonej godności i opanowania. Na tapczanie Ewa rozpiniała koszulę Kminkowi, komentującemu jej akcję przy pomocy dowcipów, z których nikt się nie śmiał. — Oni tam — powiedziała Hanka wskazując na tapczan — ja na polówce, a ty, Andrzej, do Barbary. — Zdawała się znakomicie bawić, Andrzej, choć lekko zamroczony, wyczuwał jakiś zacięty honor, z którym nakazywała i obdzielała w swym rezerwacie władzy. Ewa podobała mu się najbardziej, ale Barbara też była w stanie rozerwać monotonię jego przeżyć. Zdjął marynarkę i spodnie i wsunął się ostrożnie pod koc. Hanka włożyła szlafrok, rzuciła pościel Ewie i Kminkowi i położyła się na polówce. — No, chodź już — powiedziała Ewa o wiele za głośno. Rozebrała się szybko i zgasiła światło. W ciemnościach zapanował cichy, dźwięczny głos Kminka w nieustającym monologu, pełnym zabawnych bezceństw. Hanka i Andrzej wybuchali raz po raz grubym, wyzwolonym, jakby ochronnym śmiechem. Ewa nie mówiła nic, oddychała głośno i szybko, nie śmiała się. Andrzej widział w mroku jej nagie ramiona, gorączkowo czynne, kłębiące się nad leżącym na wznak, roześmianym Kminkiem, dostrzegał białą plamę jej twarzy, szukającej twarzy Kminka, aż do chwili, gdy zabronił sobie patrzenia. Powoli ucichły śmiechy i Hanka powiedziała: — Tylko za bardzo nie hałasujcie... — Zabrzmiało to brutalnie i opiekuńczo zarazem, jak rada pobłażliwej siostry. Andrzej przesunął ręką po udzie Barbary: spała, w jej bezwładzie nie było oporu, raczej bierne przyzwolenie. Cofnął rękę. Ogarnęło go przerażenie, że Barbara obudzi się i co wtedy?

19.

(1951) Dni i tygodnie prześladowało go wspomnienie ramion Ewy, jej twarzy w ciemnościach i bezwstydного oddechu. Dręczyła go bezczelność procesu przeinaczeń, zatracenczy pęd kobiet do odwrócenie pierwiastkowej zasady godności. Kobiety z Hanką na czele sfałszują fakty, stwierdzą nieuchronnie, że tej nocy nie Kminek wziął Ewę, lecz ona sobie jego wzięła. Myśl o tej interpretacji zdarzeń sprawiała mu ból. To nie Kminek Ewę, raz i cześć, to nie ona ma spuszczać oczy przy spotkaniu z Kminkiem po latach, to nie jej ewentualny małżonek ma czuć ranę w sercu, gdyby się przypadkiem o tym dowiedział, nie, ma być na odwrót — to właśnie Kminek powinien wstydić się, że

— Czy wiesz, co to znaczy spełniać życzenia durniów? Ile w tym upokorzenia? Rozciera się moją pracę na proszek. I mnie też, przy okazji... Żyjemy pośród piramidalnej, zbrodniczej bzdury, ale musimy przecież żyć, nie?

— Ty żyjesz — westchnął Mikołaj. — Ja jestem wyrzucony z własnego życia.

— Ja cię rozumiem — rzekł poważnie Andrzej.

— Ale... — Mikołaj urwał, zaś Andrzej wiedział, co Mikołaj chciał powiedzieć. Wiedział też, że nigdy nie będzie w stanie przebaczyć Mikołajowi tego, co w tej chwili o nim myślał. Czuł się skrzywdzony i uprawniony do nienawiści. — Ostatecznie — powiedział Andrzej po namyśle — może trzeba po prostu uwierzyć? Może zawiera się w tym jakiś głęboki, teraz jeszcze niedostrzegalny sens? Racje i słuszności są tak splątane... To, co jednym wydaje się oczywiste i nienaruszalne traci natychmiast proporcje, zmierzone drugą podziałką. Czy widziałeś katowanych w Kenii Murzynów? A tymczasem Warszawa powstaje z gruzów, rosną fabryki, o jakich nie marzyliśmy jeszcze dziesięć lat temu, w sanatoriach leczą się ludzie, którzy do niedawna nie wiedzieli co to prześcieradło.

— Posłuchaj — rzekł Mikołaj — jedyna rzecz, jaka nam pozostała to chęć działania, inicjatywa. Wojna zabrała nam wszystko, prócz woli czynu. Jeśli więc powstaje porządek wsparty na tym, czego nie wolno, jeśli rodzi się władza, przeznaczona do odmowy, wtedy konflikt jest nieunikniony. Ten konflikt rodzi krzywdę. Nie zezwolić, odmówić, odebrać, nie załatwić... oto korzenie nienawiści na codzień...

— Dlaczego mi to mówisz? — Andrzej uczynił gest obronny. — Czyżbym ja nie był rządzonym?

— No, idę spać — Mikołaj położył się i otulił kocem; uniósł się po chwili i dodał: — Zresztą na pewno jestem niesprawiedliwy i głupi. Wybacz mi, Andrzeju...

Był to zgrzyt nieprzewidziany, unieważnił dotychczasową konwencję rozmowy. Czyżby Mikołaj poczuł się dotknięty? Andrzej powlókł się do swego łóżka. — Czy mogę zgasić światło? — spytał potulnie. — Jasne — rzekł Mikołaj.

Leżeli w ciemnościach, nic nie mówiąc. Andrzej myślał, że najgorszą jest klęska w sprawiedliwej walce, a więc pójście na dno wraz ze swą słusznością i swą krzywdą, bez możliwości protestu. Myślał, że należy uczynić w życiu wszystko, aby tylko nie obnosić przed światem swych niespełnionych nadziei, niezrealizowanych praw, niezapłaconych należności; aby tylko nie umrzeć w rozgoryczeniu. Zauważył dawno, że człowiek obwieszczający swe krzywdy rzeczywiste uważany jest tylko za nudziarza, któ-

rego wszyscy unikają, zaś głoszący swe krzywdy nieistniejące, przy skrywanej świadomości, że naprawdę nie jest tak źle, wszędzie jest mile widziany i cieszy się powszechnym współczuciem. Po czym poczuł senność i zasnął w miłym przeświadczeniu, że wie o czymś lepiej od Mikołaja.

Mikołaj myślał leniwie, a także z pewną bufonadą, że zawsze należał do tej puli, która nic nie znaczy. Stracone pokolenie, wyobcowani, my bez więzów, ludzie wielkiego miasta i anonimowej masy, pozbawieni znamion kształtowanej przez dobre życie osobowości, my, wyprodukowani przez powszechny kryzys cywilizacji... Nigdy nie występował w imieniu jakiejś siły, ani żadna siła nie dopominała się o niego. Nigdy nie czuł, że to, co robi, ma realne poparcie ludzi, którzy go doceniają, uznają za swego, nie dadzą mu wyrządzić zła, gdy zbłądzi, zaś nagrodzą go, gdy na to zasłuży. W szkole był rewolucjonistą, ale inni rewolucjoniści uważali go za obcego, za wtyczkę wrogich sił, albowiem rozkładał każdy mobilizujący pewnik własnym sądem. Zawsze marzył o odegraniu roli bohaterskiej, wszystko jedno gdzie, kiedy i dla kogo, ale nie znosili go wojskowi i organizatorzy. Marzył o ofierze i zdolny był do poświęceń, których nikt od niego nie chciał. Podczas okupacji konspirował na własną rękę: wydawał biuletyn, przepisywany na maszynie i kolportowany przez paru kolegów; całym ich wyposażeniem był ukryty radioodbiornik i zasłonięta szafą mapa Europy, na której wytyczali położenie frontów. Potem znudziła mu się ta działalność i skorzystał z rozciągniętych po kontynencie niemieckich szlaków kolejowych. O mało nie zatłuczono go w Holandii: oczywiście, nie znał holenderskiego, zaś zwracając się do przechodniów po niemiecku budził wrogość, a po angielsku — obawę prowokacji. Wobec tego wrócił do Kalisza, gdzie spędził wczesne lata gimnazjalne: po rozwodzie rodzice Mikołaja czuli się tak nieszczęśliwi, że żadne z nich nie było w stanie zająć się dwunastoletnim chłopcem. Przygarnął go tedy stryj, lekarz, zamieszkały w Kaliszu, wdowiec, wychowujący samotnie jedyne go syna w wieku Mikołaja. Stryj odznaczał się mądrym, łagodnym wdziękiem i miłość do niego była najpiękniejszym przeżyciem chłopięcych lat Mikołaja. Z kolei stryj ubóstwiał swego syna, ten zaś — szczupły, nerwowy, o spoconych dłoniach i bystrych, rozbieganych oczach — wcześniej ześrodkował w talii kart wszystkie siły swego drapieżnego serca. Toteż, kiedy w wieku lat szesnastu przegrał, pod nieobecność ojca, srebrną zastawę stołową i bieliznę pościelową, Mikołaj wziął winę na siebie. Przyznał się drewnianym głosem, że to on wyniósł z domu i upłynnił te przedmioty, odwiedzając się tak nikczemnie za lata opieki: uważał, że nie może

dogłębniej poświadczyć swej miłości, niż ofiarowując stryjowi mniejsze rozczarowanie. Brat stryjeczny dał się bez większego trudu przekonać do intrygi, aczkolwiek nie domagał się niczego: po prostu nie przywiązywał żadnej wagi do tej mistyfikacji, a nawet uważał, że wyrządza Mikołajowi jakąś przysługę, skoro mu tak na tym zależy. W wieku lat szesnastu Mikołaj znalazł się sam jak palec na warszawskim bruku. Zrobił maturę, zdał egzamin na architekturę, żyjąc z korepetycji i z pokera, którego umiejętność pozostała mu jako jedyna korzyść z obcowania ze stryjecznym bratem. Rysował dla zarobku szyldy, etykiety, nalepki; hokej na lodzie też przynosił pokaźne dochody: grał dobrze, kluby, podówczas bogate, nie przywiązywały wagi do kijów i krążków, tak potrzebnych fanatykom ze szkolnych lodowisk, zaś kij z jego inicjałami, wydrapanymi szczyrykiem, lub namazanymi na plastrze izolacyjnym, miał swoją, dodatkową cenę. Był chłopcem, który nie rozumiał samego siebie. Ciekawiły go dziewczęta, a przecież od najmłodszych lat, na prywatkach i wieczorkach szkolnych, szukał tylko zbratań z chłopcami, wynosił sojusz z mężczyznami ponad zbliżenia z kobietą. Rozdygotany z zachwytu dla wszystkiego co kobiece, dla kobiecego zapachu, kobiecej, głupawej przewrotności i antylogiki, podkreślał na każdym kroku swe uwielbienie dla męskiej niezależności, męskich umiowań, jak siła, lojalność i zmysł gry. Gdy wszyscy tańczyli stał oparty o fortepian, albo siedział przy perkusji, w pozie oznaczającej ironiczną obojętność. Podbierał z pianistą melodie i patrzył ze skrywanym smutkiem na tańczących i rozbawionych. Zazdrościł im, że potrafią się bawić, nie myśląc o niczym poza zabawą, zapominając beztrudnie o tym, że zawsze i bez przerwy dbać trzeba o dumną niezależność wobec każdego nacisku, który przychodzi z zewnątrz, tak błahego nawet jak apel rozgrzanego ciała dziewczyny. Męczyła go obsesja godności, wykrzywiająca się łatwo w urażoną wrażliwość. Albowiem jak tu uwolnić się od warunkujących wszystko współzależności tylko dlatego, że właśnie jest zabawa?

21.

(1952) Maryta odmawiała spotkania z Andrzejem, zasłaniając się obowiązkami rodzinnymi. Jedyną zdobyczą z podróży do Częstochowy była rozmowa z Mikołajem. Wiedział teraz, że Mikołaj jest wrogiem, tym groźniejszym, że trudno było określić jego szkodliwość. Okazało się, że prymitywna prostota rozróż-

nień, jakimi się Mikołaj posługuje, kompromituje jego postawę i jego cele.

Odbudowany i wystylizowany na osiemnastowieczny trakt Nowy Świat stał się corsem Warszawy. Tu właśnie, w samo południe, Andrzej spotkał Mikołaja. Mikołaj nosił kusy, impregnowany płaszczyk, sfatygowany, lecz szlachetnie skrojony: spodnie miał wąskie i tak spadające na but, że przy każdym kroku odsłaniały skarpetki. Zaś skarpetki były w jaskrawo kolorowe koła i pasy. Ludzie oglądali się za idącym Mikołajem, niektórzy przystawali i patrzyli na te skarpetki z sympatią, inni z rozbawieniem, większość jednak z politowaniem i złością, czyniąc gesty uwidoczniające wątpliwość w zdrowie psychiczne Mikołaja. Skarpetki te były wyzwaniam, lecz Mikołaj rzucał rękawicę z pełną świadomością skutku.

— No, wiesz? — rzekł Andrzej ze zgorzeniem które łatwo było przemienić w żart. — Wydaje mi się że bawisz się w otwartą prowokację.

Mikołaj uśmiechnął się. — Mnie się wydaje, że walczę.

— Przy pomocy skarpetek?

— Skarpetki są bronią straszliwą. O niesłychanym zasięgu.

— Tylko dlatego — Andrzej zmienił front — że istnieją idioci, którzy zakazują noszenia takich, zaś domagają się noszenia innych. I tępą nieposłusznych.

— Rozwijasz się — przyznał Mikołaj z sympatią.

Objął ramieniem barki Andrzeja i tak szli przez ludny o tej porze Nowy Świat, pełen znajomych, studentów i niepracujących mężatek. Andrzejowi imponowała ta zażyłość; bał się tylko obciążających plotek o ulicznej ostentacji z kimś nieodpowiednim i źle widzianym. — Mój Andrzeju — mówił Mikołaj, raczej protekcyjnie — minęła era wielkiej gestykulacji i patetycznego oporu przeciwko temu, co głupie. Siły głupoty poddane zostały zabiegowi organizacyjnemu, którego precyzja gwarantuje ich funkcjonowanie i eliminację ich przeciwników. Zamierzenia tych sił egzekwowane są dziś nie przez demonicznych, plugawych ciemiężców w operetkowych mundurach, lecz przez skomplikowane mechanizmy społeczne, przez zbiurokratyzowanych ludzi-robotów, którzy nie mają nawet wyobrażenia swych czynów, a tym bardziej ich założeń i ich skutków. Patetyczny protest Byrona, Puszkina, czy Wiktora Hugo zaprowadziłyby ich dzisiaj co najwyżej do Izby Wytrzeźwień. Natomiast pokazywanie języka jest bronią groźną, o niepojętej skuteczności. Infekować znaczy dziś walczyć. Nawet się nie obejrzysz, jak za parę lat ci sami, którzy dziś grożą mi spalaniem na stosie za kolorowe skarpetki, przyjmą je bezboleśnie do świadomości, a nawet zaczną je nosić. Skarpetki

przenikną do ich obrazu świata powoli i nieznacznie, a wraz ze skarpetkami abstrakcjonizm w malarstwie i muzyka jazzowa. Chociaż, może się myłę i najpierw zaczną nosić inne kołnierzyki. Nie należy zresztą zbyt wiele od nich wymagać...

W oczach Andrzeja zachowanie się Mikołaja było jednak odstręczająco prostackie. — Pamiętaj — dodał Mikołaj — że dziś osiągnięciem wolności jest pozostać samym sobą. Być sobą... oto jedyna niezawisłość! Największy triumf człowieka wobec nieograniczonych, rozpasanych środków kształtowania! — Ten program śmieszył Andrzeja. Cóż łatwiejszego, niż być sobą? Cóż to za osiągnięcie pozostać w ramach określonych przez naturę i warunki społeczne? Być kimś innym, niż zostało to wyznaczone przez ślepy, niemrawy los, zerwać więzy, przekroczyć ograniczenia — oto duma i właściwy cel człowieka świadomego. Nakazy i wymagania, naciski i presje dane są nam po to, aby się nimi pożytecznie posługiwać...

W Warszawie Polacy napawali się Marszałkowską Dzielnicą Mieszkaniową. Tłumy przewalały się przez szeroką arterię uliczną, cieszyły się nowymi przystankami tramwajowymi, lampami, kawiarniami, restauracjami, wypełniały nowe sklepy spożywcze, których nazwa miała się na długie lata stać symbolem dosytu: odtąd Polacy mieli otrzymać w nich to co jest normalnie potrzebne do jedzenia wraz z przeświadczeniem, że otrzymują coś lepszego. W gazetach reprodukowano zdjęcie wieśniaka spożywającego zupę, a zarazem wpatrzonego z zachwyconym skupieniem w tekturowy głośnik radiowęzła, stojący tuż przy talerzu; na stole paliła się jeszcze nocna lampka, całość kompozycji podkreślała kulturę bytu, a zarazem chłonność ideologiczną członków wiejskich spółdzielni produkcyjnych, zakładając, że z głośnika rozlegał się *speech* ministra rolnictwa. Jednak chytrze obłudna mina chłopca zdradzała, że za talerz zupy skłonny jest w gruncie rzeczy wysłuchać wszystkiego.

22.

(1952) Andrzej stał na korytarzu i rozmawiał z Robertem Drewiczem o udrękach komunikacyjnych, piekle tramwajów i autobusowym upodleniu. — Depczemy kilka razy dziennie własne człowieczeństwo — powiedział. — Żeby przywódcy ludu nie potrafili zapewnić ludowi prawa do przenoszenia się z miejsca na miejsce godnego ludzi! — Drewicz potakiwał, ale nic nie mówił, w oczach miał otępienie zmęczonego nocą miłosną bir-

banta, poza tym był wściekły, że redakcja nie chce go wysłać na mecz Polska-Czechosłowacja do Pragi, skąd mógłby sobie przywieźć nowy płaszcz. Rozmowie kibicowało paru kolegów-dziennikarzy, rzucających wątpliwymi dowcipami, tak, że głębia myśli Andrzeja utonęła w żartach. Nazajutrz wezwał go naczelny, w gabinecie siedział już sekretarz redakcji.

— Kolego Felak — powiedział naczelny — doszły nas słuchoy o krytykanckich wypowiedziach, które są dowodem daleko idącej nieodpowiedzialności i braku uświadomienia... — Mówił tak długo i Andrzej, początkowo zdezorientowany, spostrzegł, że zarówno naczelny jak i sekretarz traktują te słowa jako uzasadnioną rozumowo i moralnie deklarację, której szybko ogarnięte myślą, ostateczne konsekwencje wydały mu się pograniczem obłąkania. Wyszedł z gabinetu cichy, pokorny i wstrząśnięty.

W kilka dni potem spotkał na korytarzu redakcji Grzankę. — Niespodzianka — uśmiechnęła się — takie spotkanie, co? — Co pani tu robi? — zapytał uszczęśliwiony. — Z socjologii przeskoczyłam na Szkołę Dziennikarską — odpowiedziała poważnie. — Dostałam się na praktykę do *Wieczoru*. Marzyłabym o tym, żeby tu zostać i pracować. Podoba mi się tu... — Zobaczmy, co się da zrobić — powiedział Andrzej rzeczowo.

Nie wiadomo jak i kiedy utarło się w redakcji, że Grzanka i Andrzej, jak to się mówi, chodzą ze sobą. Wychodzili razem z redakcji, rozmawiali godzinami w pobliskich kawiarniach. Knajpiarska arogancja, którą Andrzej zapamiętał dotkliwie, znikła z zachowania Grzanki bez śladu. Poważna, chłonna i miła, śmiała się chętnie, lubiła kleić doraźnie dowcipne relacje zdarzeń, plotki o znajomych, opinie o filmach, czy teatrze: należała zresztą do dziewcząt, które mniej interesuje co się do nich mówi, niż to, co one same powiedzą za chwilę. Jej twarz rozświetlała się uśmiechem, na który Andrzej reagował jak koń na ostrogę. Natomiast w redakcji, gdy przychodziła do Andrzeja z tekstem notatki o szwankującym dowozie mleka, o nowej nawierzchni na ulicy Grójeckiej, lub o przychówku w Zoo, słuchała z nabożną uwagą jego wskazań i bez szemrania przyjmowała poprawki przed zdaniem materiału u sekretarza redakcji. Jadali razem obiady u Literatów, lub u Plastyków, za które Andrzej płacił, co z czasem stało się regułą; często jadali kolacje w Klubie Dziennikarza, lub szli do *Kameralnej*, gdzie zarówno przy stoliku jak i przy barze nie mogli się nagadać do syta. Po czym Andrzej odprowadzał Grzankę do domu i żegnał się z nią po koleżeńsku przed bramą.

W *Kameralnej* otaczali ich ludzie z klanu, witający Grzankę sakramentalnym: — Cześć, Grzana... — albo: — Jak się masz, Kaptur... — W przywitaniach z Andrzejem pojawiła się akcepta-

cja: nie przyjęli go na prawach równości, lecz zgodzili się, że istnieje. Stosunek do niego nadal nabity był drwiną, niemniej fakt bliskiego obcowania z Grzanką, którego nie roztrząsali, sankcjonował go jakoś w ich oczach. Zaś Andrzej leczył się z podziwu dla nich: coraz wyraźniej dostrzegał, że to co brał w ich manierze za próbę światopoglądowego wymknięcia się, było tylko celem ich życia.

Grzanka, oddzielona od nich, zmieniała oblicze, i Andrzej zauważył z jak ujmującą naturalnością prowadziła pełne wyrzekania rozmowy ze stenotypistkami na temat podstępów jakich użyć trzeba, by zdobyć sprzedawane spod lady zamszowe obuwie z importu, o które toczyły się homeryckie boje w sklepach, w gęstwie splątanych beznadziejnie kolejek. Umiała dyskutować z aktywistami redakcyjnymi o imponujących rozmiarach pochodzenia pierwszomajowego, o entuzjazmie i innych radościach ludu pracującego. Co ciekawe, w obu rodzajach pogawędek posługiwała się tonem tej samej szczerości. W jaki sposób uroki dekadencji kobiecej, destylowane z piwnic na Saint Germain des Prés i z okładek wyrafinowanych magazynów mody przez kłębowisko filtrów i zapór aż tu nad Wisłę, służyły jej do oczarowywania redakcyjnych aktywistów, tego nie da się określić: dość, że zdawali się być zachwyceni tak niecodziennym partnerem do swych codziennych litanii, młóconych jak w tybetańskich młynkach z zawsze takich samych słów i pojęć. Podejrzenia o dwulicowość, perfidie, czy cynizm byłyby tu karykaturą prawdy: Grzanka zrodzona została przez tajemniczą, nigdy niezbadaną magmę bieżącej rzeczywistości, w wypowiedziach jej nie było nic sprzecznego, nic poza najprostszą, życiową adaptacją. — Dlaczego mam być gorsza od innych? — powiedziała Andrzejowi, gdy ten śmiał się z jej przygotowań do studenckiej manifestacji na rzecz hasła „Pokój zwycięży wojnę!”: malowała starannie oczy i wiązała wymyślnie chustkę na głowie. — Wszyscy idą, dlaczego ja mam nie pójść? A że jedni idą w zetempowskich koszulach i wyglądają tak, a inni inaczej, to cóż to ma za znaczenie? Grunt, że jest przyjemnie, kupa ludzi i dużo krzyku... — Andrzej dostrzegał w tym sprzeczność, młodym aktywistom partyjnym wydawało się wszystko w porządku: podświadomie przyjmowali za naturalne, że to, co rodzi się i krzewi w naszych oczach zawsze musi być i jest produktem nieobliczalnych antynomii.

I tylko jeden człowiek, rybiooki sekretarz redakcji, nie ulegał urokom Grzanki. Uśmiechał się na jej widok napastliwie i krzywo, z tłumioną przez grzeczność niechęcią. Nigdy nie omieszkął podkreślić kąśliwie jej odrębności: ta niby dowcipna zjadliwość uspakajała Andrzeja, sądził, że sekretarz przy całej swej doktry-

nalnej gorliwości uważa Grzankę za zjawisko w gruncie rzeczy niegroźne.

Właściwie nie rozstawali się już ze sobą i któregoś ranka, po przebudzeniu, Andrzej doszedł do wniosku, że jest zakochany. Słowo, nigdy nie wypowiedziane dla określenia stosunku do Maryty, zarysowało się w świadomości jako upragniony pewnik. Nigdy nie kwalifikował słowem „miłość” rozpalonych uszu, potnięcia czoła i dłoni, rozkojarzenia myśli. Natomiast tkliwe drapanie w gardle na myśl o zarysie głowy, otulonej czarną chustką, nieco obgryzione paznokcie Grzanki i zdrowa, niezbyt maskowana łąpczywość przy jedzeniu budziły w nim nieznane dotąd, łagodne i kojące sentymety. O Grzance w łóżku myślał bez pośpiechu, z czułością i rozmarzeniem raczej, niż z niecierpliwą pasją. — Chyba jestem zakochany... — powtarzał sobie z upodobaniem i czuł dumę. Postanowił chronić to uczucie.

23.

(1952) Grzanka pracowała ostro w redakcji, nie zaniedbując studiów. Celem jej było, jak zwierzała się Andrzejowi, stanąć na własnych nogach i opuścić dom rodzinny, przeludniony, ciasny, pełen surowych zasad, w którym żądano od niej, aby stanowiła wzór i przykład dla młodszych sióstr. Nadeszła wiosna, a wraz z nią spacerowały do Łazienek i Ogrodu Botanicznego. Andrzej kupował teraz Grzance małe bukietki pierwiosnków, potem fiołków, a jeszcze później konwalii. Obejmował także ramieniem jej smukłe plecy, gdy snuli się po parkowych alejkach.

Raz w *Kameralnej* wódka smakowała im wyjątkowo. Bawili się co raz lepiej, ogólna krzykliwa wesołość, zaczepne zawołania i riposty znajomych, taniec i banalne, podniecające melodie budowały nieznane dotąd porozumienie. Grzanka opierała się z gorętszym oddaniem o Andrzeja, przywierała ciaśniej w tańcu, Andrzej przytulał ją coraz śmielej. Późno w nocy pochyłili się ku sobie nad filiżankami z kawą, Andrzej popatrzył przeciągle w brązowe oczy Grzanki, lecz nie dostrzegł pływającej w nich pustki: wydały mu się samym ciepłem i oddaniem. — Grzana — powiedział — coś mi się widzi, że ja cię...

— To zasługuje na nagrodę — powiedziała Grzanka. — Jedziemy do ciebie. Chodź.

— Późno... — szepnął Andrzej: szczęście pomieszało się w nim z przerażeniem. — Co powiedzą w domu?

— Chłopczyku... niech cię o to głowa nie boli. Zresztą od-
wiesziesz mnie nad ranem.

W pół godziny po tym Andrzej siedział na własnym tapczanie, sparaliżowany nagłą realizacją wielotygodniowych wizji. Grzanka rozbierała się powoli na środku pokoju i mówiła: — O tym, że mnie kochasz, wiem od dawna, Ale co z tego? Najtrudniej jest iść do łóżka z tymi, którzy kochają. To żenujące. Dwie różne dziedziny życia. Szkoda marnować satysfakcje, płynące z ich odrębności. Jak kocha, to niech kocha, tak jest ładnie, możemy się trzymać za ręce aż do Sądnego Dnia. A jak co innego, to bez zbędnych ozdóbek. Nie dlatego, zrozum mnie... — przysiadła obok niego na tapczanie, w samym staniku, niezbyt czystym, i majtkach — ... że uważam, iż należy ich gnoić, tych kochających i bawić się nimi do rozpuku. Po prostu nie należy mieszać konwencji, bo nic z tego nie wychodzi. Ledwie facet cię kocha, a już stajesz się niezręczna i nic ci się nie udaje. Wiesz, że on od ciebie chce piękna, sentymentalnych gestów i nastrojów, a skąd to wziąć w łóżku? I w ogóle, czy to piękno coś daje? Ale z tobą to co innego... — Objęła szyję Andrzeja i pocałowała go mocno, nieustępliwie w usta. — Ty jesteś chytry. Czekałeś do zakichanej śmierci bez słowa protestu. Bawiłeś się w koleżeństwo. Nie byłeś nachalny, nie rwałeś na chama, jak inni. To zasługuje na nagrodę...

Po tym przemówieniu spłynęło na Andrzeja upojenie. W ciemnościach pościeli rozegrało się misterium podniosłe, aż uszczęśliwienie ścisnęło Andrzejowi gardło. Smukłe, wąskie ciało Grzanki zawierało w sobie doskonałość młodości, pachniało świeżością, kryło w sobie coś, co stanowiło o niewysłowionej błogości posiadania. Około piątej nad ranem Andrzej pochylił się nad zarzebaną w koce Grzanką. — Kochanie — powiedział — czas wstawać. Już zupełnie widno. — Daj mi spokój — jęknęła rozszpana Grzanka. — Co powiedzą w domu? — zastroskał się Andrzej. — Och, przestań... — mruknęła. — Nie ważne. Ja chcę spać... — I spała do dwunastej, zaś Andrzej leżał obok, zamyślony, pełen głębokiego zadowolenia i dumy. Uwierzył w swą zdobywczość: być może nie owego przebojowego gatunku, znamionującą dancingowych podrywaczy, lecz taką, o której mówiła Grzanka. Spokojną, mądrą i cierpliwą, nieodpartą jak się okazuje. Po prostu w lepszym tonie.

Po tak udanej premierze Andrzej pragnął gorąco wznowień, lecz Grzanka nie kwapiła się do ponownych odwiedzin. Nie należał, obawiając się zarzutu jednostronności. Wspominając zaś drobniaczowo i intensywnie poszczególne fragmenty namiętnych uniesień doszedł do różnych wniosków. Z perspektywy dostrzegał

pewną mechanikę zdarzeń: Grzanka brała od niego wzniosły wysiłek w sposób nader bezosobowy, jakby odzierając tę cudowną chwilę z wszelkiej wyjątkowości, jakby chłonąc nie jego, Andrzeja, obecność i udział, lecz wyobcowaną rzecz samą w sobie, gołe działanie, korzyści płynące z zautomatyzowanych, zawsze takich samych czynności. To było, w istocie, przerażające i Andrzej żywił wątpliwości, czy gdyby spytać Grzankę z kim to robi przypomniałaby sobie dość szybko jego imię i nazwisko. Mimo ubóstwa doświadczeń znał głębię oddania dziewcząt leżącemu obok, temu, a nie innemu mężczyźnie; pieszczoty i pocałunki Gigi w koszu plażowym, mimo, że niepełne, jemu wyłącznie były przeznaczone; nawet Maryta, podkreślając na każdym kroku dość obraźliwie zakres użyteczności Andrzeja, korzystała z jego usług z pełnym rozeznaniem koloru jego włosów i kształtu ramion. Nie zastanawiał się dotąd nad przeszłością Grzanki, lecz teraz nie mógł się uwolnić od natrętnych wyobrażeń.

— Wszystko wskazuje na to — powiedziała wreszcie Grzanka — że jednak zatrudnię mnie w *Wieczorze* na stałe. — Mówiła to zanosząc się śmiechem, jej dziecinna radość rozpromieniała twarz, wycierając z kącików dojrzałe znużenie i wątpliwości. Zarażała obecnych, niesposób było nie odpowiedzieć uśmiechem na rozradowanie jej oczu, zębów, policzków.

— Nigdy w to nie wątpiłem — rzekł Andrzej krzepiako.

Dobrze było mieć Grzankę obok siebie, czerpać z jej nastrojów, opierać się o jej wszędzie widoczną osobę i wymowność. Już dawno spostrzegł, że Grzanka rozszerza swe wpływy. Ludzie bez krawatów, w nieskazitelnych klasowo kurtkach, którzy spluwali na widok podobnych Grzance jak mahometanie na widok niewiernego, toczyli z nią pełne uśmiechów rozmowy. Na Balu Prasy zauważył, że Grzanka podoba się dygnitarzom nienaganym w reprezentowaniu ustalonych wartości, a także innym dygnitarzom — tym, którzy zaufanie do swej wiary przerabiali już na urodę życia, zgodną z zdobyczami luksusu gdzie indziej. Ci ostatni zachwycali się szczególnie i w dialogach ujawniali skrywaną, lecz drapieżną chęć aneksji Grzanki. Nurtowała ich tęsknota ku doskonalszym formom, żądza zamiany swych masywnych, czerwoniczych żon z żołnierskich obozów, bądź swych uwiędłych w nikotynie, czarniawych żon z politycznej konspiracji, na takie kobiety jak Grzanka, tak pasujące do ich wywyższenia jak najnowsze modele Chevroleta, jak pasjonujące a przy tym politycznie postępowe heroiny z pism Simone de Beauvoir.

Rezultatem tych obserwacji była decyzja: nadszedł czas małżeństwa. Partyjni purytanie zapiszą mu punkt za to, że się ożenił

i założył solidnie rodzinę, partyjni epikurejczycy zapiszą mu drugą, za to, że z Grzanką.

— To może być interesujące — powiedziała Grzanka, gdy Andrzej przedstawił jej swój punkt widzenia na związki zawierane obecnie w urzędzie stanu cywilnego; był zresztą zdenerwowany, mimo, że drwił dotąd z niezyciowych formuł oświadczyń, czy zaręczyn. Reakcja Grzanki upewniła go w trafności wyboru: cenił chłód i powściągliwość w obliczu okoliczności, wobec których on sam zachowałby się raczej tradycyjnie, manifestując wzruszenie. Właśnie ten enigmatyczny dystans imponował mu w Grzance, dostrzegał w nim współczesną romantykę, którą wielbił.

— Rosną bloki mieszkalne na Żoliborzu i Mokotowie — mówił z rozmarzeniem. — Ludzie urządzają się w nowych mieszkaniach. Łączy nas zawód i upodobania, czego więcej może szukać dwóch osobników różnej płci?

— To może być interesujące... — powtórzyła Grzanka i zamysliła się: po głowie snuł jej się czasownik „ustatkować się”, którego znaczenia nie wyobrażała sobie dość precyzyjnie; nie oznaczał niczego zabawnego, lecz tkwiła w nim jakaś konieczność, nad którą nie warto się zastanawiać.

Po czym odbyło się zebranie kolegium redakcyjnego *Wieczoru Warszawy*; w wstępie sekretarz redakcji oświadczył: — Mamy kilka punktów porządku dziennego, lecz jeden wydaje mi się szczególnie ważny. Tak samo sądzi towarzysz redaktor naczelny i egzekutywa podstawowej organizacji partyjnej. Chodzi o obce, wrogie wpływy, których nosicielami są niektórzy przedstawiciele młodszego pokolenia... — W końcu zapowiedział, że trzeba coś wypalić gorącym żelazem w imię zwartości szeregów bojowego oddziału, a także w imię powagi chwili wobec knowań podżegaczy wojennych. I zażądał usunięcia Grzanki z redakcji.

Zaraz po nim zabrała głos Ewelina Karp, redaktor działu kulturalnego. — Zgadzam się... — powiedziała: miała wypieki i rozognione uszy pod schludnie upiętym kokiem — ... że nie można dłużej tego tolerować. — Była wysoka i szczupła i łagodna, wyrozumiale krzywiła wrażliwe wargi i przypominała szlachetne sufrażystki z przełomu wieku w postawie i w tęsknotach, gdyż w ostatecznym rozrachunku została starą, nietkniętą panną. — Nie interesują mnie ani fakty, ani dowody, nie mieszam się nigdy do nieładnie pachnących konkretów. Wystarczy mi atmosfera wokół tego zjawiska, klimat jakże łatwo wyczuwalny, który osoba ta, powiedzmy: osóbką... — zmiękczyła z nawyku efekt uderzenia — ... kreuje wokół siebie... — Chłubiła się, że w ciągu trzydziestu lat nie skrzywdziła nikogo: w istocie,

przez czas ten pisała o przedstawieniach, książkach i filmach banały, którymi nikt nie mógł się poczuć dotknięty. Osiągnęła wielkość w nadludzkim wysiłku nienarażania się nikomu: o aktorce, która położyła rolę, pisała, że jest piękna, w recenzji o książce urągającej wymogom sensu, donosiła o podróżach autora i jego uroczym potomstwie. Niemniej potrafiła utracić czyjaś egzystencję przy pomocy sformułowań jak „łańcuchowy pies imperializmu”, lub „pseudoartystyczny lokaj reakcji”; później informowała znajomych, że zdania te pisze pod terrorem nakazów, gwałcących jej subtelną duszę. Te zalety przyniosły jej ordery, zaszczyty, a także pokaźne zarobki.

Następnie redaktor Nowara oświadczył, że aczkolwiek pracuje w *Wieczorze* od niedawna, to przecież czuje się zobowiązany do zabrania głosu. — Rosnące znaczenie filmu w socjalistycznym społeczeństwie — powiedział — nakazuje zatrudnienie doświadczonych specjalistów w dziedzinie krytyki filmowej. Z kolei nas, wypróbowanych fachowców od spraw filmu, interesuje każdy przejaw życia. Jeśli zaś chodzi o tę pannę — tarł długo okulary z ironicznym uśmieszkiem — ... to nie przypuszczam, ażeby należało wytaczać tak potężne armaty w tak błahej sprawie. Spisek, knowania, agentury... Czy to nie za duże słowa wobec zjawiska ekscesywnej, młodzieńczej kobiecości?...

— Mówicie jak dziecko, obywatelu Nowara — rzekł redaktor naczelny. — Głupio i nieodpowiedzialnie.

— Oczywiście — zgodził się od razu Nowara. — Chciałbym tylko, żeby mnie koledzy właściwie zrozumieli, bo ja jeszcze nie skończyłem. Jako psycholog z wykształcenia świadom jestem ładunku perfidii, mieszczącego się w pozorach błahości, a także doceniam siłę przewrotnej infiltracji, zawartej w przesłankach zręcznie upozowanej lekkomyślności... — Mówił jeszcze długo i niezrozumiale, po czym usiadł, czerwony i spocony, z krzywym uśmiechem skrzywdzonego niesłusznym posądzeniem.

Mówili inni, zgodnie potępiając i domagając się sankcji. Zgadziali się, że coś jest groźne, niebezpieczne i niemoralne, nikt tylko nie powiedział dokładnie co. Taplali się z upodobaniem w niedomówieniach i uśmieszkach. Andrzej myślał, że warto sobie zapamiętać jak niewielka cząstka prawdy potrzebna jest do oskarżeń. Chłodny uśmieszek nie schodził mu z warg. Serce biło mu nierówno i uciążliwie, ale widział i słyszał jasno, Patrząc na ten stół i tych ludzi myślał o średniowiecznej rycinie, która wywarła na nim duże wrażenie przed laty. Przedstawiała pławienie czarownicy w rzece, pod Augsburgiem: czarownica miała twarz pełną odrażającej niewinności, zaś odziani w opończe i kaftany, mięsisci pacholkiwie spychali ją drągami w nurt rzeki. Nieznany

artysta, chyba mnich, bo któż wtedy zajmował się gorliwiej takimi rzeczami, wyrysował z precyzją genitalia pacholków, odcinające się wyraziście od pluderków opinających gruby uda i łdy. Na to nakładały się prawidłowo głosy kolegium redakcyjnego *Warszawskiego Wieczoru* i Andrzej poczuł zadowolenie z tej dziwacznej zbieżności. Patrzył także ze złośliwą satysfakcją na Bronowskiego, zastępcę naczelnego redaktora: Bronowski uchodził za sumienie redakcji, głośny był ze swej prawości i zdrowego sądu, swą uczciwość oparł o uzdolnienia fachowe i doświadczenie, gwarantujące mu pozycję rozjemczą i reklamowy humanizm. Teraz siedział jakby sparaliżowany i bezwolny, o twarzy w niezdrowych rumieńcach.

— Wszyscy się już wypowiedzieli — rzekł naczelny — prócz redaktora Felaka.

— Redaktor Felak — rzucił mimochodem sekretarz redakcji — ma znów okazję do wykazania się oryginalnością opinii. Niedawno doszły nas wieści o dowcipach na temat komunikacji miejskiej, powtarzanych przez redaktora Felaka, godnych lumpowatych spekulantek z ogonków za cytrynami w Delikatesach.

Andrzej zastanowił się spokojnie nad tą uwagą: mnóstwo analogicznych raporczików nie miało żadnych skutków, ten zaś schowany został na odpowiednią chwilę. Pomyślał jeszcze, że w tym jest coś, po czym wstał i z poczuciem zręcznie wymierzonego ciosu oświadczył, iż jego zdaniem należy Grzankę usunąć z redakcji.

24.

(1952) Zdołał zauważyć, że przez następnych parę dni wszyscy w redakcji odnosili się do niego z czołobitnością. Wynikało z tego, że jedni mają go za pomnik szlachetnego poświęcenia, coś w rodzaju Sabineek, miotających własnymi niemowlętami we wrogów, inni zaś weszą w nim potęgę charakteru i powiązań. Nowara upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, rzekł: — Widziałeś, stary, robiłem co mogłem. Walczyłem jak lew, no nie? Obowiązkiem każdego uczciwego człowieka jest dziś odwaga wobec absurdu, prawda?

— Odegrałeś wspaniałą rolę — przyznał Andrzej.

— Co dziś można więcej zrobić? — Nowara puknął się w czoło. — No powiedz, czy mogłem dłużej samotnie im się przeciwstawiać?

Pozostała rozmowa z Grzanką. Na myśl o niej oblewał An-

drzeja pot. Grzanka będzie podekscytowana krzywdą, roztopi w szyderstwie próbę porozumienia, wywoła awanturę. Bał się i nie miał pojęcia, co należy czynić.

Grzanka zażądała wódki i Andrzej ryzykancko przyzwolił na wódkę, a nawet zachęcał do niej, upatrując w pozie jakiś ratunek. — Za co? — spytała Grzanka raczej spokojnie, a nawet melancholijnie.

— Za wygląd — powiedział Andrzej. — Za to, że jesteś inna.

— Ty też jesteś inny — uśmiechnęła się bez przekonania.

— Ale ty inaczej inna.

— I dlatego zachowałeś się jak ostatnia świnia?

— Musiałem — powiedział. — Ale to między nami niczego nie zmienia. Zobaczmy, czy ktokolwiek ośmieli się tak o tobie mówić, gdy zostaniesz moją żoną. — Dusza płakała w nim jak w Abrahamie, kładącym Izaaka na ołtarzu ofiarnym, czuł przegrywane życie, nienawidził honoru, w imię którego niszczył w tej chwili i deptał sny. Nie wątpił, że małżeństwo z Grzanką oznaczało ruinę zmundnie nanizanego dorobku, lecz w tym momencie bał się wycofania, doraźnego skandalu, parszywych plotek.

— Wiesz — powiedziała Grzanka ciepło — to nie miało znaczenia jak się zachowałeś. Może to i rozsądniej, że powiedziałaś im czego chcieli, a robisz swoje. Ja byłam skazana. Nikt nie mógł mnie uratować.

Po czym opowiedziała mu o zalotach i zemście sekretarza redakcji. Okazało się, że ten rybiooki łajdak prześladował Grzankę swą ukrytą, namiętą miłością. Usiłował ją zwabić do siebie i unurzać się w tym wszystkim, co wyparowało z jego partyjnego życia, a co kusiło jak każdy zakazany owoc, za którego soczystością giniemy z pragnienia. — Przysiągł, że mnie zniszczy, o ile się nie zgodzę — powiedziała Grzanka. — To znaczy, o ile nie będę mu powolna... — dodała z humorem, który przekonał Andrzeja ostatecznie.

Wyznanie to komplikowało sytuację: z jednej strony czyniło sprawę Grzanki boleśniejszą, z drugiej zapowiadało prześladowania i intrygi, jakie staną się udziałem jej przyszłego męża. Należało zdecydować się na świętą wojnę z sekretarzem redakcji, albo on mnie, albo ja jego, ktoś z nas musi zginąć. Andrzej nie czuł w sobie powołania ani na krzyżowca, ani na wykonawcę rodowych vendett, ale co robić?

Na razie nadeszło lato i trzeba było pomyśleć o wakacjach. Zdaniem Grzanki modne było spędzanie letnich ferii w Jastarni. Niósł ją nieomylny instynkt, należało jej ufać, więc pojechali na półwysep Hel.

W Jastarni panowała egzotyka niskich domków rybackich z nietynkowanej cegły. Ta cicha, nadmorska miejscina realizowała nowe hierarchie i nową ekskluzywność zanim jeszcze Saint Tropez stało się symbolem izolacji świętych dnia dzisiejszego z okładek ilustrowanych tygodników. Na nagranych bałtyckim słońcem uliczkach długonogie dziewczęta w *blue jeans*'ach i kolorowych koszulkach, włosy w koński ogon, lub dziecięce warkoczki, zderzały się z dostojną, kaszubską czernią szturmańskich czapek i chust gospodyń. Na ciągnącej się wzdłuż półwyspu plaży smukłe ciała w kostiumach bikini szukały scenerii łodzi rybackich i suszących się sieci: na długo zanim gwiazdy Saint Germain des Prés i osobistości Cinecitta odkryły uroki zapadłych wiosek na wyspach morza Egejskiego, w Polsce kuło się z konieczności przymierze prymitywu z elitą społeczną. Ludziom, pełnym czaru, nie dane było spędzać wakacji ani na Balearach, ani w Norwegii, przyjeżdżali więc tutaj: chcieli być oddzielnie i między sobą, mieli środki na to, aby gardzić państwowymi pensjonatami i domami wczasowymi w miejscach oficjalnie wakacyjnych. Ci zaś, którzy nie mieli pieniędzy, natomiast uznawali dwa tygodnie w lipcu w Jastarni za konieczność wyższej natury, stanowili prawdziwą świadomość tej zbiorowości. Byt wyznaczały tu trzy rytualne czynności: poranna plaża, popołudniowy zakup świeżo wędzonych makrel, fląder i węgorzy z ostatniego połowu, oraz wieczorne tańce współczesne w miejscowym domu zdrojowym, pięknie położonym na nadbrzeżnej skarpie. Granatowe powietrze nadmorskiej nocy nad plażą wdzięcznie przyjmowało źle widziane w centrach administracyjnych melodie, wykonywane na nonkonformistycznie rozełkanych saksofonach, gwiazdy lśniły reklamowo nad srebrzystą tonią Bałtyku, heroiny ekranu, dostępne reszcie kraju pod postacią skromnie uczesanych traktorzystek, drgały tu w rytmie *boogie-woogie* z włosom kunsztownie rozrzuconym, w wystawnym makijażu podbitym naturalną opalenizną. Na plaży otłuszczone ciała reżyserów filmowych i sławnych kompozytorów przekładały się harmonijnie z brązowymi, muskularnymi korpusami chłopców z klanu Grzanki: przyjeżdżali tu po wiosennym sezonie tenisowym i jeździeckim zupełnie bez pieniędzy, ufni w swą urodę i towarzyską ozdobność, która pozwoli im pić wódkę na koszt zamożnych kupców-utracjuszków, nie wierzących w przyszłość inicjatywy prywatnej w komunizmie. Przy straganach z rybami spotykali się ludzie odziani w amerykańskie, drelichowe spodnie i koszulki z napisem „Coca-cola”, pisarze i wybitni sportowcy; zaś wieczorem, w rozświetlonych oknach domu zdrojowego rysowały się sylwetki splecionych par, wśród których rozeznacć można było przebranych w trampki dygnitarzy

łem jak wiele ta dziewczyna dla was znaczy. — Zatrzymał się i chwycił Andrzeja za rękaw marynarki. — Obowiązywała mnie lojalność, kolego Felak, zwykła, koleżeńska lojalność...

Andrzej odnalazł upragniony, obojętny uśmiech. — To zabawne — rzekł swobodnie — co pan opowiada, ale zupełnie bez znaczenia. — Chciałby, żeby tak było, lecz słowa sekretarza zatręły mu duszę. Z początku traktował je jako fintę taktyczną: stary łotr kłamał kunsztownie, po to ażeby wzbudzić w nim wdzięczność i wytrącić z akcji przeciw sobie. Po pewnym czasie sąd ten stracił na pewno. Prawda była nie do ustalenia, albo, w najlepszym wypadku, tak złożona, że przestała być prawdą. Czy w obliczu takiego uświadomienia warto jeszcze osłaniać swe poczynania pozorowaniem uzasadnień, choćby względem samego siebie? Przecież cokolwiek uczynię znajdzie przynajmniej dwie interpretacje w oczach postronnych, nie mówiąc już o mym własnym widzeniu. Czyż postępowanie Mikołaja nie jest po prostu chytrym przeczekiwaniem niepomyślnych warunków, skrupulatnym wyrachowaniem, dalekowzrocznym czyhaniem na dywidendy, na poklask ze strony niezadowolonych? O tępiące watahy Polaków, wystające na przystankach autobusowych, źle odziane i wpatrzone w zatartą przestrzeń, z której przybyć ma środek komunikacji, odmiana losu, kostka masła, lepsza posada dla syna, lub poprawa warunków mieszkaniowych, tęsknią i dążą do jednego celu: do szczęścia posiadania, do komulacji przyziemnej pomyślności. Wobec tego należy mieć tyle, ile uważam za konieczne według nowych, rodzących się z dnia na dzień potrzeb. Tyle, wiele mają inni, już posiadający. A nawet więcej, albowiem rozkoszą posiadania jest jego widoczność dla innych, przeznaczonych do bezsilnej zawiści. Cokolwiek wtedy o mnie powiedzą da się odwrócić, jak wyznania Grzanki i sekretarza o sobie wzajemnie. Spodziewać się można jeszcze, że Grzanka oświadczy, iż wprawdzie była z sekretarzem na kawie, lecz nie miała niczego innego na myśli, jak tylko picie kawy i koleżeńską rozmowę, zaś trzeba być starą, w dodatku naiwną świnią, ażeby sobie pomyśleć inaczej o jej intencjach. Na to sekretarz uśmiechnie się tylko i powie, że zawsze się tak mówi, bo niby co innego Grzanka teraz może powiedzieć o tym, o czym on wie jak było naprawdę. Andrzejowi robiło się niedobrze od odmętu możliwości, z których każda miała swe uzasadnienie. Zresztą sekretarz znikł wkrótce z redakcji; wszyscy mówili, że kariera jego dobiegła końca, okazało się jednak niebawem, że został tylko zastępcą konsula w Bejrucie i niebawem już miał konto w jednym z szwajcarskich banków, jak powtarzali z goryczą i po cichu ci, którzy pokonali go w Warszawie.

Po takich wnioskach praca w *Warszawskim Wieczorze* pozabawiała możliwości, które były udziałem innych ludzi. Lorantowie mieli świat na własność za nieswoje pieniądze: dlaczego nie pokusić się o to samo? Miał kiedyś straszny sen: śniło mu się, że jest warszawskich urzędnikiem. Przychodzi codziennie do tego samego pokoju, siada za tym samym biurkiem, gdzie czeka z utęsknieniem na podawaną o tej samej porze herbatę, na przełożenie papierosa i wypalenie połówki w szklanej lufce; w międzyczasie podsumowuje kolumny cyfr, których znaczenia nie pojmuje i wpisuje bezsensowne na pozór wyniki w tajemnicze rubryki, których nazwy zna na pamięć, zaś celu i przeznaczenia nie zrozumie nigdy. Obudził się w panice. Czego się bał? Życia zmarnowanego, o czym człowiek dowiaduje się, gdy już jest za późno? Społeczeństwo, historia, o czym tak wiele mówi się ostatnio, wydawały mu się zawsze czymś o czym należy wiedzieć, lecz czego w żadnym wypadku nie trzeba traktować z śmiertelną powagą. Przede wszystkim tkwi się w rzeczywistości, pełnej ciemnych sił, których poznanie możliwe dopiero jest po ich skutkach.

26.

(1953) Rybicki, konsultowany ostrożnie, powiedział: — Jędrus, życie dzieli się na to, co ludzie lubią i co ludzie muszą. Na przykład ludzie lubią zarabiać pieniądze. Lecz życie nie składa się tylko z zarabiania pieniędzy, prawda? Więc ludzie lubią to, na co mogą sobie z przyjemnością popatrzeć. Na przykład sport. Ty się lepiej weź za sport, przecież znasz się na tym, sam byłeś kiedyś kozak na sto metrów grzbietowym, o ile pamiętam. Sport nie daje pieniędzy, ale daje wyjazdy, zaś wyjazdy dają pieniądze. Zawodnicy muszą jeździć, na tym polega honor i interes państwa, a z zawodnikami ktoś musi jeździć, bo jak tu ich puścić samych? Ktoś przytomny, rzecz jasna. Zaś wyjazdy to utrzymanie. Za darmo i w dobrych hotelach. I handel. Każda rzecz inaczej kosztuje w innym miejscu. Oj, co ludzie już w życiu zarobili na tym prostym spostrzeżeniu...

Andrzej robił niedawno wywiad z Kubą Wąsem, chlubą narodu polskiego, rekordzistą świata na dystansie pięciu kilometrów. Traktował ten wywiad poważnie: rozmowa z Wąsem ustawiła go w centrum fali rozgłosu, podkreślając jego związki z masowymi zjawiskami, że światem bieżni, stadionów i zatłoczonych trybun. Dziesięciminutowy kontakt z Wąsem przejął

go grozą: oczywiście, potem opisał go raczej w tonacji życzliwego zachwytu, z którego wyłonił się dialog pełen zapału i mądrych zabawnych sformułowań obu rozmówców. W rzeczywistości Kuba Wąs podrapał się w głowę jak w izbie u matuli, wymamrotał kilka źle artykułowanych wyrazów w rodzaju: — Ano... Chyba... Ja tam nie wiem... — po czym otulony w zagraniczne kolorowe ręczniki zmuszony został do udania się pod prysznic. Mikołaj, któremu opowiedział wieczorem tę rozmowę, rzekł bez uśmiechu: — Nowy gatunek człowieka jednowymiarowego, któremu dzisiejsze społeczeństwo gotowe jest dać nawet tytuł do wielkości, jedynie w zamian za reprezentowanie go w oczach innych społeczeństw... — Andrzej powiedział: — Ci imbecyle dochodzą już do takiej pomysłności, że aż wstyd nie mieć z nimi nic wspólnego. Nad kolorem pantofli do koszykówki obradują kilkusetosobowe zjazdy, zaś gwiazdy boksu wywołują rozruchy uliczne niezadowolaniem z powodu źle przyrządzonej sałatki.

Rybicki poznał Andrzeja ze szczupłym, wysokim młodzieńcem o wyglądzie wesołego narkomana: nazywał się Gronkowski i zarządzał wyjazdami ekip sportowych. Podczas pierwszej rozmowy pożyczył od Andrzeja pięć złotych; gdy jednak Andrzej, wiedziony zdrowym odruchem, usiłował pożyczyć mu pięćdziesiąt, odmówił stanowczo. Po czym zaproponował Andrzejowi objęcie stanowiska w czasopiśmie sportowym, znajdującym się w fazie uciążliwego połogu. — Raczej nie — podziękował niechętnie Andrzej. — Nie szkodzi — uśmiechnął się abstrakcyjnie Gronkowski. — I tak nie wierzę, żeby to czasopismo kiedykolwiek powstało. Zawiadomię pana gdy tylko przystąpimy do organizacji jakiejś międzynarodowej imprezy, czyli już, już niebawem. — Zaś o wyjazdach nie wspomniał ani razu.

Na brudnym korytarzu, zaraz po opuszczeniu pokoju Gronkowskiego, Andrzej poczuł silny zapach wody kwiatowej. Odwrócił się: w mroku pomiędzy bezkresnym szeregiem urzędowych drzwi, kroczyła za nim postać zatarta w konturach, lecz znajoma. Już chciał się witać z wylewnością, gdy pachnący uprzedził go. — Nigdy w to nie wątpiłem — oświadczył stylem wyszukany — że spotkam redaktora Felaka na terenie naszej instytucji. — Ucisnął rękę Andrzeja, dorzucił uprzejmie: — Przepraszam, kolego redaktorze... — i znikł w najbliższych drzwiach, potrząsając plikiem kartonowych teczek.

Rybicki, powiadomiony o wyniku rozmowy z Gronkowskim, powiedział z rezygnacją: — Sałata... Nie chce ci dać zarobić, palant złamany... Tacy są ludzie, Jędrus, żebyś wiedział...

Wyglądało na to, że sport nie stanie się dla Andrzeja oazą

powodzenia. Zresztą umarł Stalin i należało liczyć się z różnymi innowacjami.

Mieszkanie na Saskiej Kępie poczynało go nużyć. Przygniatająca część Warszawy żyła w niekończącej się udręce, nie mogąc dobić się kawałka osobistego bytu na własność: ani solidarność ludzka, ani kultura jednostek nie dawały ucieczki przed ustawiczną obecnością drugiego człowieka. Tęsknota za oddzielnością wyznaczał świadomość mas. Przeglądając ilustrowane tygodniki z Zachodu Andrzej doznawał uczucia żalu: spędza najpiękniejsze lata swego życia w brudnym, ubogim mieście, bez lśniącego mleka barów-esspresso i wygodnych środków lokomocji: nie chciał jednak niczego dla siebie, chciał wolności od szarzyzny dla wszystkich. Natomiast spacerując po świeżo odbudowanym, barwnym jak widokówka Starym Mieście targany był zawiścią. Mieszkanie na Starym Mieście!

Stary Felak, zagadnięty bardzo ostrożnie, pokiwał głową i odparł z zdumiewającą nieustępliwością: — Mój chłopcze, mieszkasz w warunkach o jakich śni po nocach dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców tego miasta. Mało kto na świecie wie równie dobrze jak ja, o czym oni śnią, ci biedni ludzie, i ta wiedza zobowiązuje. Uparłem się, żeby im służyć tak długo, jak pozwolą mi na to siły i sieć intryg wokół mego stanowiska. Gdybym stąd poszedł, lub dał się usunąć, wielu ludzi musiałyby pogrzebać swe nadzieje. Człowiek walczący o cele uczciwe, musi w końcu stać się przebiegłym taktikiem w świecie, czyhającym zewsząd na uczciwych. Nawet gdybyś spał na dworcu zastanowiłbym się głęboko nad udzieleniem ci pomocy, albowiem jesteś moim synem, czyli jedynym człowiekiem, dla którego pomoc mogłaby być źle zrozumiana, albo wykorzystana przez tych, którzy pragną mojego urzędu, by zeń profitować bez oglądania się na interesy naprawdę potrzebujących... — W ogóle, Ignacy Felak zmienił się nie do poznania: nikt nie odgadłby nieśmiałego urzędniczynek magistrackiego sprzed wojny w tym rzeczowym i wzbudzającym szacunek kierowniku, dostojnie posiwiatym, urzędującym za ogromnym biurkiem w gabinecie pełnym mebli i dywanów. Ale naczelnik Felak miał zastępców. — Stary jest pryncypialny — rzekł Andrzejowi jeden z nich, facet pękaty, uśmiechający się niby szczerze, lecz bez odsłaniania małych, zepsutych zębów. — Swoje obowiązki pojmuje trochę po staroświecku. Nie należy się zrażać. Niech się pan ożeni, panie redaktorze, i niech jakakolwiek instytucja poprze pańskie podanie, załatwimy wtedy mieszkancko cacy, gdzie pan zechce. — Ożeni... —

skrzywił się Andrzej bez entuzjazmu. — No, tak — dorzucił pękaty. — Pewne przykrości są nieuniknione. Ale... wie pan, jest urząd kwaterunkowy, który daje mieszkania, i jest urząd stanu cywilnego, który daje rozwody. Odpowiednia współpraca pomiędzy tymi urzędami zapewniła już niejednemu przyzwoitą przestrzeń mieszkalną. Ha, ha, ha... to są takie nasze zawodowe żarty. Nie należy ich brać zbyt serio. Ostatecznie, małżeństwo nic takiego straszego. Sam jestem już po raz drugi żonaty... młody człowieku.

Andrzej udał się do Prohorowskiego i powiedział: — Od niepamiętnych czasów handel zagraniczny proponuje mi współpracę. Nadszedł czas, w którym możemy zacząć świadczyć sobie przysługi. Wy mnie, ja wam.

Prohorowski siedział w gustownym gabinecie, pośród różnych cacek z Wietnamu i Hiszpanii, i wyglądał jak absolwent Oxfordu na wygnaniu, cały w brytyjskich flanelach. Ściany obwieszono tu były plakatami, reklamującymi międzynarodowe targi w Izmirze, Mediolanie, Lipsku i Płowdiv. Przez dłuższy czas Prohorowski bawił Andrzeja rozmową; używał sformułowań: — ... my kupujemy, my sprzedajemy, my budujemy, my eksportujemy, my sprowadzamy, my możemy sobie pozwolić... — z których wynikało, że ma całą Polskę w kieszeni. Przyswoił sobie styl, gorąco lansowany przez ważniejszych od niego, którym zależało, aby ich podwładni manifestowali gorliwą odpowiedzialność za całość prolematyki kraju: podkreślało to świadomą przynależność do wspólnoty, w której wszystko jest wszystkim i w której każdy zobowiązany jest pokrywać swą sumiennością i przywiązaniem błędy i głupstwa innych, na uniknięcie których nie ma żadnego wpływu. W jakim stopniu Prohorowski czuł się odpowiedzialny i za co, trudno było dojść. Skubał swój rudawopłowy, misternie przycięty wąsik i w końcu rzekł: — Mój drogi, załatwione. Z twoim talentem i twoim nazwiskiem dokonamy rzeczy wiekopomnych. Oczywiście, na razie nie możemy cię formalnie zaangażować, lecz przemęcz się jeszcze parę miesięcy na starym mieszkaniu, a potem załatwimy wszystko jak należy.

Odtąd aksamit życia Andrzeja załśnił nowymi blaskami. Wolny od sztywnych godzin pracy w *Wieczorze Warszawy* wstawał z łóżka kiedy chciał, pisał kilka kartek maszynopisu o wyrobach przemysłowych i produktach rolniczych, których pochodzenia, ani przeznaczenia nie znał, po czym zjadał leniwie śniadanie przynieszone przez Stefanię. Stefania stała się z czasem pomocą domową Andrzeja.

— To bardzo inteligentny człowiek — zwierzała się sąsiadkom w zmaltretowanej przez wojnę i mnożące się watahy dzie-

ci kamienicy na Powiślu. — Co rano wszyscy walą do roboty, jakby poszaleli, willa pusta, tylko on jeden postuka trochę na maszynie, śniadanko, pod prysznic i albo z powrotem do łóżka, albo wyświeżony i wyperfumowany na miasto. Jakby co dzieł miał niedzielę. I żeby to jeszcze był handlarz, czy jaki kombinator... Uchowaj Boże! Pan inżynier mówi, że on jest pracujący inteligent z głową. Szanują go ci tam, wiecie już, w gazetach dla nich pisze...

Dwa miesiące nowego związku przekonały Andrzeja, że handel zagraniczny płaci szczerze, wymaga niewiele, lecz oczywisty był brak perspektyw tej pracy. Jej anonimowość była nie do pokonania nazwiskiem wydrukowanym w biuletynie eksportowym, czy w programie ekspozycji. Czekala go w najlepszym wypadku kariera pieczeniara możliwych gałęzi przemysłu i rozległych dziedzin handlu, a także ich wielkorządców, chciwych namiastek użycia i pozorów zbytku. Wiedział, że ambicje jego sprowadzą się w końcu do chytrego ustanawiania stosunków z nowymi dyrektorami, bądź następcami nowych dyrektorów, że porwie go jedyna gra i hazard osiągnięcia czegoś stałego i arbitralnego w ciągłej płynności i morderczej walce o inweterzowo numerowane fotele w dyrektorskich gabinetach: jedyną przyjemnością stanie się, że ci przepływający na chyżej taśmie prezesi i dyrektorzy uważać go będą niezmiennie za głos opinii i społeczeństwa, za zbrojne ramię mitycznej potęgi prasy, będą ślizgać się na jego sądach i odpalać mu przypochlebne *bruderszafty*, drobne usługi i tuzinkowe prezenty z zagranicznych podróży. Z czasem dostrzegł, że hojność finansowa też jest tu rodzajem oszustwa: to była bogata instytucja, handel zagraniczny, ale nie na walucie krajowej zależało jej pracownikom. — Po co ty tam tkwisz? — pytał Andrzeja Mikołaj, gdy ten skarżył mu się na rozczarowania. — Po co tam w ogóle wlażesz?

Andzejowi zrobiło się naraz wstyd, że nie może Mikołajowi uzasadnić swej decyzji: imponowanie Mikołajowi stanowiło wszak od lat rację każdej rozmowy. Opowieść o aksamicie życia wydać się mogła niesmacznym cynizmem, zaś zamiana mieszkania małostkowym banałem. — Wyjazdy zagraniczne — powiedział. — Sam rozumiesz, że trzeba trochę pojeździć po świecie. Jest to moneta o kuszącym dźwięku. Ty byś trochę nie pojeździł? Do Indii, do Portugalii, do Kalifornii?

— Dość się najeździłem w czasie wojny — westchnął Mikołaj. — Najchętniej posiedziałbym trochę na jednym miejscu, w przyjemnym przekonaniu, że jest to właściwe miejsce. I co dziś jest do oglądania za górami, za lasami? Po jednej stronie świata

wszędzie takie same reklamy, po drugiej wszędzie takie same akademie i pochody.

Nie wyjechać po tej rozmowie oznaczałoby wygłupić się w oczach Mikołaja. Przy najbliższej okazji powiedział więc Prohorowskiemu, że skoro handel zagraniczny nie kiwnął dotąd palcem w sprawie jego mieszkania, dobrze byłoby, ażeby w zamian zaofiarowano mu jakąś podróż, z której wróci opalony, wypoczęty, odziany w nowiutkie szaty i chętny do dalszej pracy. Siwe, podolsko-kniaziowskie oczy Prohorowskiego nabrały nagle stałowej twardości. — To, mój kochany — wycedził odstręczająco — będzie bardzo trudne. A zresztą, wiesz dobrze, kto decyduje o podróżach zagranicę. Na pewno nie my...

Był to wybieg tani i Andrzej za żadną cenę nie mógł dopuścić, aby świat wilków uważał go za owcę, Prohorowscy, Gronkowscy, Rybiccy za frajera. Jasne było, że każdy z nich chciałby sobie zapewnić jego pomoc, podeprzeć się jego nazwiskiem, ale zarazem wyrolować go, nie dopuścić do tabernaculum prawdziwego zysku. W sporcie byłyby to zwykłe polskie pieniądze, w handlu zagranicznym — okazja do pochwylenia kęsa pieczeni z zamorskich stołów. Toteż gdy nadeszło pocztą kolejne zamówienie na pracę zleconą Andrzej nie odpowiedział na ofertę. Następne listy, coraz słodsze w tonie, pozostawił również bez odpowiedzi. Jediną nagrodą była mu satysfakcja, że w krótkim czasie stał się gwiazdą w dziedzinie, którą postronni uważają za tak trudną, a którą on poznał jako teren efektownych szalbierstw.

Pieniądzy zaoszczędził dosyć, by wysiadywać w Klubie Plastików, lub u Dziennikarzy. Był to początek świetności ulicy Foksal. Plasterzy zorganizowali jadłodajnię w podziemiach starego pałacyku w zapuszczonym parku; tuż obok dziennikarze wybudowali lśniąca od nietrwałych tynków siedzibę swego cechu. U Plastików można było zjeść tani, lecz smaczny obiad przy pomocy blaszanych widelców, i oglądać dziewczęta ze szkół artystycznych, w czarnych beretach i płaszczach deszczowych, ucharakteryzowane na Joannę Madou, bohaterkę pokolenia. U Dziennikarzy pito wódkę, tańczono wieczorami i oglądano młodzieńców, ucharakteryzowanych na bohaterów „Młodej Gwardii” w epoce polskiego budownictwa pokojowego. Obydwie stylizacje wzbudzały sympatię swą ostentacyjną sztucznością.

Andrzej zachorował i leżał długo w łóżku. Raz przyszła Maryta i przyniosła złościście przypieczone skrzydełko kury. Grzanka nie pojawiła się ani razu: Mikołajowi powiedziała, że nie znosi atmosfery nieszczęścia, w związku z czym prosi, ażeby jej także nikt nigdy nie odwiedzał, gdy będzie dogorywać w przytułku dla starców. O atmosferze nieszczęścia nie mogło być mowy,

Andrzej leżał w czystej pościeli, pielęgnowany z oddaniem przez Stefanię dokazującą cudów zapobiegliwości. Mikołaj przychodził często, zaś Rybicki przybył z butelką wódki, którą wypił z Mikołajem, albowiem Andrzej miał jeszcze gorączkę i obronił się przed przyjęciem płynu, który weń obaj lekko wmuszali.

O Warszawie pisał wtedy sowiecki poeta:

*... Niezabliźnione jeszcze rany
na każdym placu i ulicy
ale jak nurt niepowstrzymany
życie radośnie mknie w stolicy.
Nad miastem błysnął świt różowy
Skończyła się niewola krwawa
I huczy praca mas ludowych
żeby zakwitła znów Warszawa...*

Dobroduszny premier Rosjanin, o twarzy figlarnego kucharza z dziecięcych bajek, ogłosił, że Związek Radziecki posiada bombę wodorową. Pewien profesor tak pisał o „Fauście” Goethego: „W utworze tym w najdoskonalszej formie wystąpiło przywiązanie pisarza do tradycji ludowych i idei postępu. Starą legendę, wyrażającą w naiwny sposób dążenia mas ludowych do uniezależnienia się od religii, Goethe niezmiernie rozwinął, pogłębił i nasycił realizmem”.

27.

(1954) Rozległa się wywoławcza ilość dzwonek i Andrzej oderwał się od przyszywania guzików do koszuli. W otwartych drzwiach wejściowych na tle seledynowego, wrześnieowego zmierzchu, stał major Mańczyk, a raczej to, co zostało z majora Mańczyka po jakichś ponurych i zagadkowych przeżyciach. Andrzej poznał go od razu, poczuł jednak, że kwestią taktu będzie nie wykrzyknąć w tej chwili: — Ależ to major Mańczyk! Poznałem pana od razu po tylu latach...

— Zapewne zdziwił się pan, widząc mnie — powiedział Mańczyk, gdy usiedli w pokoju, zaś Andrzej poczęstował go kieliszkiem bułgarskiego wermutu, który Mańczyk wychylił dość łąpczywie. — Zadaje pan sobie pytanie, co mnie do pana sprowadza. Zapewniam pana, że nic poza chęcią ofiarowania panu kilku zdjęć z owych wakacji, spędzonych przed laty w Ustroniu Morskim. Wydawało mi się, że może to sprawi panu przyjemność.

— Oczywiście — zapewnił go Andrzej. — Tylko dlaczego dopiero teraz? Czyżby nie było pana przez te lata w Warszawie?

— O, byłem — rzekł kordialnie Mańczyk.

— Aha, brak czasu. A teraz wywołał pan zawieruszoną rolę. — Andrzej starał się o nastrój nieobowiązujący: zapragnął zapobiec zwierzeniom.

Mańczyk milczał, zapadły w żenującą drętwość. — Tę rolę — rzekł wreszcie — wywołałem pięć lat temu. Jeszcze przed moim małżeństwem. Wie pan, ożeniłem się? — To rzekłszy zaniósł się rozdzierającym piersi kaszlem i Andrzej dostrzegł z przerażeniem, że ma przed sobą strzęp człowieka, a nie majora Mańczyka, specjalistę od wojskowych wydawnictw, ongiś motocyklistę w szortach.

Kaszel uspokoił się i Andrzej mógł powiedzieć bez większego przekonania: — Winszuję i życzę wszystkiego najlepszego. Naturalnie, posłałbym życzenia telegraficzne, gdybym wiedział o dacie ślubu. Mimo to, proszę przyjąć ode mnie...

— Nieaktualne — przerwał mu Mańczyk. — Już nie jestem żonaty. *A propos*, wie pan, kto był moją żoną?

— Kto? — spytał Andrzej ostrożnie.

— Giga. Pamięta pan, podobała się panu wtedy. Nawet miał pan wobec niej jakieś zamiary.

— Nie widziałem jej nigdy od tamtych wakacji — zastrzegł się Andrzej.

— Wiem o tym. Zresztą ja też jej nie widziałem od lat. Wkrótce po naszym ślubie Giga, aktywny członek Związku Młodzieży Polskiej i czołowa gimnastyczka, wyznaczona została do delegacji polskiej na festiwal młodzieżowy w Budapeszcie. Po jej wyjeździe zostałem aresztowany i uwięziony. W kilka miesięcy po aresztowaniu wezwany zostałem przed oblicze sędziego śledczego, który odczytał mi listę zarzutów przeciwko mojej osobie: był to stek idiotycznych oskarżeń, na przykład o szpiegostwo na rzecz Wenezueli, bądź o zamordowanie podrzutka płci żeńskiej. Sędzia śledczy spytał mnie, czy przyznaję się do winy, oczywiście zaprzeczyłem. Wtedy odczytał zeznania mojej żony, która, przesłuchiwana po powrocie z festiwalu młodzieżowego, stwierdziła, że byłem agentem wenezuelskim w łonie polskiego wojska, a także, że zamordowałem podrzutka. Roześmiałem się w pierwszej chwili, lecz sędzia dał mi ten dokument do ręki, rozpoznałem jej charakter pisma. Po czym przekazał mi jej prośbę o rozwód: pisała w niej, że dowiedziawszy się kim w istocie jestem, nie może żyć z tak sprzedajnym potworem i wyraża nadzieję że sądownictwo uwolni ją od mojej osoby. Potem już żaden sędzia śledczy nie szukał ze mną kontaktu,

przez całe pięć lat, zaś miesiąc temu zwolniony zostałem bez słowa wyjaśnienia z więzienia. Prośba Gigi znalazła zrozumienie i trzy lata temu wyszła zamąż powtórnie, za pewnego skrzypkawirtuoza, także działacza ZMP. Rzecz prosta, w moim mieszkaniu mieszkają obcy ludzie, zaś jedyną pozostałością mego uprzedniego życia okazała się walizeczka, przechowana, przez dozorcę, w której znalazłem dwie pary skarpetek, baterijkę elektryczną i rolkę zdjęć z owych wakacji, na których poznałem Gigę.

Wyjął z kieszeni złachmanionego kaftana kilka zdjęć i położył je przed Andrzejem. Zdjęcia pełne były opalonych ciał w kostiumach kąpielowych, rozwalonych leniwie w słońcu, wysmarowanych kremami. — To były cudowne wakacje... — westchnął Mańczyk: jasne było, że przyszedł tu po to, aby sobie o nich pomówić.

Jedyne, co należało powiedzieć, patrząc na ziemistą twarz Mańczyka, na za dużą koszulę o postrzępionym kołnierzyku, na mordercze, rekruckie buty było: „Jak ci pomóc, biedny, biedny człowieku?...” a te właśnie słowa nie przechodziły Andrzejowi przez gardło. — No — rzekł wreszcie krzepiąco — grunt, że ma pan to wszystko za sobą. Tragedie naszego pokolenia, stały się udziałem wszystkich... Ohydne, krwawe pomyłki, raniące w jednakim stopniu mylących się jak i ofiary. Jest pan młody, pełen sił witalnych.

— Mam dziewięćdziesiąt sześć lat — przerwał mu Mańczyk. — Tak to sobie tam obliczyłem — wyjaśnił.

— Ładne — uśmiechnął się z aprobatą Andrzej — ale w istocie ma pan tyle lat, ile ja, to jest niewiele. Jest czas na rewanże. Póki człowiek żyje, wszystko może. Nie ma niczego na świecie, nad czym nie bylibyśmy w stanie przejść do porządku dziennego, czyli w gruncie rzeczy — odkuć się. Aby tylko zacząć na nowo i to ostro.

— Być może — rzekł obojętnie Mańczyk. — W więzieniu złapałem gruźlicę. Podczas mojej nieobecności umarła mi matka. Jeśli dodać do tego, że Giga, szukając posagu dla nowego męża, sprzedała lekką ręką mój dotychczasowy dorobek, upłynniła meble, motor, aparaty fotograficzne i bieliznę pościelową, przyznać muszę, że wyzwoliłem się z wszelkich więzów. Idealne warunki do zaczynania na nowo. Acha, jeszcze to, że jako były więzień polityczny nie mogę dostać żadnej pracy. Ale jakoś to będzie...

— Jakoś to będzie — powtórzył jak echo Andrzej.

— Nie chcę panu zabierać czasu — Mańczyk wstał. — To były cudowne wakacje.

— Prawda — rzekł Andrzej pogodnie. — Wspaniale. —

Poklepał go krzepiąco po plecach. — Jeszcze spędzimy niejedne takie wakacje.

Odprowadził go do drzwi i popatrzał chwilę za sylwetką niekształtną, odstręczającą swym nieszczęściem. „Kolego Mańczyk! — chciał zawołać, rozszalony na samego siebie. — Wpadnijcie do mnie jeszcze! Może coś skombinujemy, pogadamy, zaradzimy...” Ale nie zawołał. Natomiast, pomny na atak kaszlu Mańczyka, wywietrzył starannie pokój.

28.

(1954) Wysiadywano po kawiarniach przed obiadem, a po nocnych lokalach wieczorami, jakby czekając na coś. Na balach ukazywali się dygnitarze pędzący dotąd żywot anachoretów i tańczyli ostentacyjnie samby, a także boogie-woogie: uczyli się od swych partnerek skomplikowanych figur tanecznych bacząc pilnie, aby wysiłki ich zostały dostrzeżone przez publiczność. Praworządność, oraz człowiek i jego potrzeby był hasłami dnia. Alkoholicy nie kryli już zataczania się, uważali tylko, aby nie wynikało z prostracji, czy apatii, lecz z radości życia, co było mile widziane przez władze. W szkołach technicznych wprowadzano lekcje tańca, zaś rabunek w biały dzień na ludnej ulicy i masakrę obrabowanego, nazywano w gazetach chuligaństwem. Włoskie filmy kształtowały smak artystyczny, a po dwuletniej nieobecności na urzędzie powrócił szczupły premier.

Andrzej żył w nastroju sympatycznej abnegacji. Od czasu do czasu drukował artykuły w różnych czasopismach i nie cierpiał na brak pieniędzy. Usiłował odbudować związek z Marytą, lecz Maryta uchylała się przy pomocy łagodnych uników: gdy spotykali się mówiła o tym, że Hanię boli ucho, a Magda zdaje egzamin; wśród pogawędek, ustawiających Andrzeja jako starego członka rodziny, trudno było wskrzesić nastrój grzesznych porywów. Wyłączywszy Marytę Warszawa przedstawiała się Andrzejowi jak pustynia.

Jadając u Plastyków Andrzej zauważył dziewczynę: drobna, szczupła, niepozorna, a mimo to przywodziła na myśl pragnienia. Wiało od niej studenckim niedostatkiem, nie ukrywany, lecz przetworzonym w akcent dekoracyjny: nosiła manierą modnego romantyzmu brezentową, starą i wytartą brązową kurtkę, wyszukane w pocie czoła na ciuchowych straganach włoskie ballerinki miały obcaszki schodzone i wymownie ścięte. Gdy po raz pierwszy przeszła obok Andrzeja, popatrzyła na niego przelotnie,

lecz tak wyraziście, że zrodziło się w nim nagłe przekonanie: „Ja się jej podobam!” Po chwili pomyślał, że są dziewczęta, które chyba na wszystkich tak patrzą, lecz wzrok jej, wyróżniający go w zatłoczonym lokalu, utkwiał mu głęboko w duszy. Przez parę dni, widząc ją, zastanawiał się nad sposobem poznania jej: nie było to takie trudne w miejscu, gdzie prawie wszyscy znali się. Zastanawiał się nad rodzajem związków, jakich życzyłby sobie z tą dziewczyną. Jej młodzieńcze ubóstwo rodem z burs uniwersyteckich było raczej przeszkodą, niż awantazem: bał się, że ktoś może sobie brzydko o nim pomyśleć. Ponadto nie był pewien, czy znajomość z nią nie zdegraduje go w oczach innych. Nie ufał własnym skłonnościom: dostrzegał coś w tej dziewczynie, lecz nie dowierzał swej spostrzegawczości. Chciałby bardzo cieszyć się nią za zaciągniętymi firankami własnego pokoju, bez towarzyskich konsekwencji takiego związku. Przesuwała się codziennie obok stolika, przy którym zjadał kotlet z fasolką, zaś Andrzej nie mógł osiągnąć pewności, czy życzył sobie, aby stała się jego dziewczyną w oczach innych.

Dopiero, gdy ujrzał ją z Krystyną Derecką, spadło mu bielmo. Zawsze był zdania, że to, co firmuje Krystyna Derecka, stanowi najwyższy gatunek. Andrzej dojrzał już do niechętej wiedzy o kobietach. Bez trudu ulegał wulgarnym sądom Rybickiego, z upodobaniem przyjmował cyniczne metafory Kminka, chętnie poddawał się niszczącym analizom Mikołaja. — Dużo w życiu widziałem — mówił Mikołaj z jątrzącą melancholią — ale bynajmniej nie pochwalam tego, co widziałem... — Kobiety nie pozwalają się dziś kochać — uśmiechał się drwiąco Kminek. — Robią wszystko, aby zniszczyć naszą naturalną skłonność do lirycznych czułości. — Od czasu, gdy liczba kobiet na świecie niepomierne wzrosła — wywodził Mikołaj — zaczęło przybywać kobiet pięknych. Ideał powielił się w nieskończoność. Człowiek natyka się na niezliczone egzemplarze swych marzeń. Julie, Natasze i panie Bovary o proporcjach Marylin Monroe są za każdym zakrętem drogi, zaś gimnastyka poranna, kosmetyki Heleny Rubinstein i wieczorowe kursy dokształcające są w stanie uczynić Titanie z każdej biuralistki. Z obrazu świata znikła jedynie czysta dziewczeczka, nietknięta płciowo przez nikogo w ciągu pięciuset stron druku, z którą bohater łączy się prawidłowym węzłem małżeńskim, zaś autor dodaje: „Żyli razem długo i szczęśliwie”. Dziś wydaje nam się to bez sensu, ale musiało tak być, skoro różni faceci tyle atramentu poświęcili na zadokumentowanie tak wątpliwej prawdy... — Andrzej słuchał z upodobaniem tych wywodów, ale w cichości ducha uprawiał polemikę, ratując w sobie jakies tęsknoty. Nie natykał się na każdym kroku ani na Julie, ani na

odbitki Marylin Monroe. — Zresztą — dodawał Mikołaj — w nowych warunkach konkurencji podaży i popytu instrumentem walki stała się przystępność. Obalenie przez kobiety ideału czystości wymagało, rzecz jasna, uzasadnień moralnych, nowej ideologii płci. — Andrzej przystępność kobiet znał wyłącznie z opowiadań Mikołaja i Kminka, albo z obserwacji wyczynów Rybickiego z tanimi kociakami z *Kameralnej*. Ponadto nosił w sobie psią wiarę w odwieczną możliwość pochwylenia smakowitej kości ze sklepu rzeźnika i samotnego obgryzienia jej w kącie podwórza za śmietnikiem, warcząc na każdego kto się zbliży. Mimo wywodów Mikołaja wierzył, że jemu i tylko jemu uda się znaleźć, porwać szybko i indywidualnie skonsumować koniugalne szczęście, niedostępne innym w ramach prawidłowości epoki. Tylko on osiągnie pocziwe małżeństwo i miłość, tak jak je opisali różni dobrotliwi artyści, tak jak słyszał w dzieciństwie od starszych, rozprawiających o pięknie i przyzwoitości w tej dziedzinie. Zaś jedynym człowiekiem potwierdzającym jego skryte tęsknoty, była Krystyna Derecka.

O Krystynie Dereckiej mężczyźni mówili z pożądlivym szacunkiem, tak właśnie, jak pragnie się, aby inni mężczyźni mówili o należących do nas kobietach. Ta wysoka, ciemna dziewczyna o mądrych, orzechowych oczach, długich, zgrabnych nogach i chłodnej twarzy, miała opinię cnotliwej i wybrednej, co nie znaczy nieprzystępnej, lub zagubionej w przebrzmiałych konwencjach. Gryzący dowcip, szczerą skłonność do przysług i bezinteresownej przyjaźni, oraz najbardziej stylowe spódnice i swetry składały się na Krystynę Derecką, studentkę Akademii Sztuk Pięknych. Dla Andrzeja Krystyna była wzorem nieosiągalnym: Rybicki, Kminek i Mikołaj mówili mu, że mieć można każdą kobietę, jest to tylko kwestia ceny. Krystyna przeczyła tej tezie. Andrzej gotów byłby zapłacić za nią całym życiem, lecz wiedział, że oferta taka zostałaby tylko taktownie odrzucona. Przyznawał, że ta dziewczyna jest nie dla niego, lecz fakt, że istnieje, pocieszał go, uzasadniał jego nadzieje. Zazdrościł jej temu, kto ją dostanie, lecz godził się z tą koniecznością bez goryczy, czy buntu. Znał swoje miejsce. Zaś Krystyna lubiła go; mówiła: — Podziwiam cię, Andrzeju. Uczyniłeś z pracowitości i wytrwałości talent. Rzadko zdarza się, żeby ktoś mógł o sobie powiedzieć, że obdarzony jest iskrą Bożą sumiennosci... — Był jej wdzięczny za te słowa, mimo ukrytej w nich, delikatnej drwiny. Uważał się za jej przyjaciela, skłonny był do poświęceń w imię tej przyjaźni. Z odrazą przyjął do wiadomości, że Krystyna kocha Mikołaja. Pogodził się z tym z czasem, co uznał za najwyższe poświęcenie, jakie mógł tej dziewczynie ofiarować.

Przypomniał sobie, że dziewczynę w brązowej kurtce widział w towarzystwie Krysi Dereckiej owego lata w Jastarni. Spotkał je zresztą niebawem na ciuchach, gdzie pochyłały się nad rozłożonym na pakowym papierze przedsiębiorstwem, grzebiąc wśród mało używanych sandałów z Florydy, kostiumów kąpielowych z włoskiego elasticu i pasty do zębów Colgate. — Szukamy szmink Maxa Factora — powiedziała Krystyna. — Wyobraź sobie, że dostałyśmy dziś forszę za małą chałturę.

— Za jaką? — zainteresował się Andrzej uprzejmie.

— Zmontowałyśmy wystawę w młodzieżowym domu kultury. O zagrożeniu pokoju przez imperialistów. Wiesz, zdjęcia małych grymasów podżegaczy wojennych, grzyb atomowy i broń znów w rękach Niemców. Ja przygotowałam plansze i układ przestrzenny, a Elżbieta napisy.

— Całą zarobioną forszę postanowiłyśmy obrócić na Maxa Factora — powiedziała Elżbieta.

— Uważamy to za rodzaj dziejowej sprawiedliwości — dodała Krystyna.

— Następna wystawa o spółdzielczości rolnej — poinformowała Elżbieta Andrzeja.

— Traktory zdobędą wiosnę, postępowe metody siania i bronowania, uciechy kolektywu, te rzeczy — dorzuciła Krystyna. — Ciekawe, co można będzie nabyć za zarobione na tym pieniądze, żeby było sprawiedliwie?

— Może suknię cocktailową? — zastanowiła się rzeczowo Elżbieta.

Okazało się więc, że nazywa się Elżbieta i jest na polonistyce. Zawiózł je taksówką na obiad do Plastyków. W aucie, a potem przy obiedzie, chwycił na sobie wzrok Elżbiety. Był w nim jakiś namysł, którego nie rozumiał. Nie zastanawiał się zresztą nad tym. Pewny był, że się jej podoba i czuł się wyśmienicie.

(1954) Coraz częściej słyszało się, że ktoś otrzymał mieszkanie. To na MDM-ie, to na Mokotowie, to na Bielanych, to na Starówce. Nastąpił przełom w budownictwie mieszkaniowym, zewsząd rosły rusztowania, za nimi szare ściany z pustaków, czy gruzobetonu. Coraz to ktoś wprowadzał się do nowiutkich dwóch pokoiów z kuchnią bez okna, zatrząskiwał za sobą z ulgą drzwi,

które wylatywały z zawiasów, naprawiał z trudem drzwi, usiłował postawić zdobyty po ciężkiej walce tapczan na wypaczony po pierwszym myciu podłodze, po czym wydawał przyjęcie inauguracyjne. Sardynki, pomidory, sałatka jarzynowa, szynka, ogórki, wódka i adapter z płytą „Cicha woda” wystarczyły do radości. Zaopatrzenia w artykuły żywnościowe poprawiło się, ludzie przestali się wstydić swych pomieszczeń. Schronienie przed słońcą i nocą, miejsce gdzie można było udać się na spoczynek, przeistaczało się nareszcie w Warszawie w dom. Zwrot „u mnie w domu” służył już nie tylko uprzywilejowanym, lecz coraz większej ilości ludzi, zaś Polacy łączą od wieków rzeczownik „dom” z przymiotnikiem „otwarty”, czyli chętny do przyjęć i festynów.

Wśród znajomych Andrzeja kokieteria wewnątrz polegała na maksimum wolnej przestrzeni. Niziutki tapczan, lampa z butelki, stolik z tacy i egzotyczny nóż, bądź stary pistolet na ścianie stanowiły całe wyposażenie. Ta oszczędność ułatwiała imieniny i prywatki, na których ludzie siedzieli na podłodze, światło było przyćmione, niektórzy tańczyli. Inną przyjemnością przyjęć było stanie w kuchni: w przytulnie ciasnych kuchniach jadło się pieczoną cielęcinę palcami i rzucało niedopałki do zlewu. W kuchniach opierać się można o zmywaki, siedzieć na kubłach od śmieci i słuchać Hojdy, rozprawiającego o socjalistycznym realizmie. Hojda był wysoki, płowy, polski, utalentowany i miał za sobą bujną przeszłość akowskiego partyzanta, toteż teoretycy realizmu socjalistycznego dumni byli, że tak okazała postać firmuje swą twórczością ich koncepcje i wybacza im szyderstwa uprawiane w kuchniach znajomych. — Malowanki, malowanki dla zmęczonych... — powtarzał Hojda i wszyscy zgadzali się z nim, śmiejąc się utracjuszowsko z siebie samych, ze swoich wysiłków przy biurkach. Hojda odznaczał się w gruncie rzeczy twórczą naiwnością, która pozwalała mu choć na chwilę uwierzyć w każde hasło: ta chwila wystarczyła do napisania utworu celnego i ujmującego świeżym, autentycznym zapałem, który już nazajutrz po wydrukowaniu budził w Hojdzie ponury niesmak. — Jemu jest do twarzy w każdym nakryciu głowy — mówił o Hojdzie Mikołaj. — Cokolwiek włoży wzbudza w ludziach rozrzewnienie: ułańskie czako, jedwabny cylinder, polowa rogatywka, budiennówka. To czapka pięknieje na nim, a nie on w czapce... — Natomiast mdląca odraza jaką budziły w Hojdzie uczucia, które wywoływał swą prozą, przyniosła mu opinię wyrafinowanego intelektualisty. — W coś trzeba w końcu wierzyć — polemizował z nim przyciszonym głosem Larbiński, płucząc zapobiegawczo rzodkiewki w zlewie. Hojda uśmiechał się z zadumą: wiedział o sobie aż za dobrze, że największą słabością

po tym oświadczeniu, a nawet dumę, jakby mocną ręką znów ujął ster, płynąc pośród katastrofalnych wirów.

Elżbieta patrzyła nań długo i w zamyśleniu, które wydało mu się smutkiem. Był jej za to wdzięczny, rozumiał, że pragnie go pocieszyć, szuka tylko właściwych słów. Namysł Elżbiety przeciągał się: podeszła do okna, spoglądała długo na zapuszczony ogródek willi na Saskiej Kępie. Wróciła do Andrzeja i znów nań patrzyła, zaś Andrzej doznał niejasnego wrażenia, że w postawie i wzroku Elżbiety więcej jest z kalkulacji, niż z litości, ale odrzucił natychmiast takie podejrzenie. — Jędrusiu — powiedziała wreszcie — musisz po prostu drastycznie ograniczyć wydatki i żyć o wiele oszczędniej. Trudno, trzeba przeczekać. Co powiedziałbyś na to, gdybym się tu do ciebie wprowadziła i gdybyśmy się pobrali? Wyobrażasz sobie, ile można wtedy zaoszczędzić, chociażby na posiłkach?

30.

(1954) Andrzej pocałował po raz pierwszy Elżbietę w dwa dni po jej poznaniu. Łatwość, z jaką dokonał tego, co nastroczało zawsze tak wiele trudności, przejęła go zadowoleniem, graniczącym z zarozumiałstwem. Wszystko wskazywało, że Andrzej podobna się Elżbiecie i całowanie się z nim jest zdrową przyjemnością, nie pozbawioną sentymentalnych i naturalnych podniet. Całowała się z oddaniem, choć bez zapamiętania i Andrzej pomyślał, że każda szczerłość zasługuje na szacunek, zaś okoliczność, że Elżbieta nie mizdrzy się przy tym, ani nie stwarza pozorów nieumiejętności, świadczy zdecydowanie na jej korzyść.

Nazajutrz przed południem, po owych pocałunkach, Elżbieta zatelefonowała do redakcji, w której przypuszczała, że może zastać Andrzeja. Moment wybrany był doskonale, sekretarka, wzywając go do telefonu, powiedziała: — Redaktor Felak jest pilnie poszukiwany... — zaś Andrzej, zaskoczony tym telefonem, zrobił na wszelki wypadek minę, z której wynikało, że gonią go ważne sprawy ze wszech stron. — Chciałam ci tylko powiedzieć dzień dobry — szepnęła Elżbieta w słuchawkę — ... i to jeszcze, że wczorajszy wieczór był bardzo miły... — Andrzej był głęboko poruszony. Fakt, że Elżbieta zadała sobie tyle trudu, aby odnaleźć go i mu to powiedzieć, czynił z niej kobietę wyjątkową.

Tego samego dnia napomknął nieśmiało o możliwości spędzenia wieczoru u niego: Elżbieta przyjęła ofertę z zapałem, jakby właśnie na nią czekała. — Nie masz pojęcia, co to dla mnie

znaczy — mówiła, gdy gotowali parówki na płytce elektrycznej, której dotąd Andrzej używał wyłącznie do gotowania herbaty — posiedzieć choć trochę w prawdziwym mieszkaniu, Jędrusiu, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co to jest dziś dom akademicki. Po sześć dziewcząt w jednym pokoju, w którym, w normalnych warunkach, mieszkałyby dwie.

— Warszawa jest miastem zniszczonym — uśmiechnął się Andrzej. — W odbudowie. A poza tym oblicz, o ile więcej facetów studiuje dziś, niż przed wojną. Uniwersytety stoją teraz otworem dla całego narodu. — Mówił to tonem, w którym nie sposób było odróżnić gorącej aprobaty od ironicznego potępienia.

— Najgorsza jest gruźlica — powiedziała Elżbieta obojętnie. — Trudno się jej ustrzec w tak monstualnym skupisku. Zwłaszcza przy trzystuzłotowym stypendium, jednym posiłku dziennie i nieustająco psujących się prysznicach.

— Dlaczego nie mieszkasz w domu? Ostatecznie twoi rodzice mogą ci zapewnić utrzymanie, a także miejsce do spania.

— Prędzej zacznę kupczyć swym ciałem pomiędzy kolkami z Reja i Kochanowskiego, niż wrócę do domu... — Matka Elżbiety wyszła powtórnie zamąż za kogoś młodszego od siebie: zacięta, milcząca wrogość do tego faktu i do tego człowieka była treścią życia Elżbiety w ciągu dziesięciu lat.

Tego wieczoru całowali się długo na tapczanie Andrzeja. Andrzej parł nieśmiało naprzód, napotykając na opór łagodny, lecz dziwnie pewny siebie. Brakło mu zwycięskiej, nie liczącej się z niczym stanowczości: bał się, jak zawsze, własnej niezręczności. Wolał udawać, że mu tak bardzo nie zależy, proszę uprzejmie, to właśnie drugiej stronie powinno zależeć na nim i na jego urokach. Nade wszystko zaś pragnął, aby Elżbieta okazała się kimś lepszym, niż znane mu dotąd kobiety, aby potwierdziła to praktyczną niewiedzą o stronie życia, którą mężczyzna uważa za mętny splot plugawych, a zarazem pożądanych sprzeczności. Pragnął być dla niej doświadczonym, wręcz zepsutym, moralnie gorszym, ale też kimś, kto postawiony wobec niewinności, potrafi tę niewinność uszanować, jako dumny posiadacz i opiekun rzadkich wartości. Ale Elżbieta wymykała się jasno określonym klasyfikacjom. Jej pocałunki znamionowały zarówno świeżość, jak głębokie doświadczenie. Kiedy zaś uznała, że nadeszła pora pieścizot bardziej zaawansowanych, Andrzej popadł w oszołomienie. Te pieścizoty mogły być wynikiem uniesień, lub żywiołowego instynktu, mogły być rezultatem zapamiętania, które, co tu ukrywać, wzbudził on swoją osobą: lecz mogły także oznaczać bogactwo praktyki; mogły być wynikiem jednorazowych napięć i samorodnego talentu, mogły jednak stanowić efekt kto

wie ilu powtórek. Andrzej szybował na huśtawce rozpaczliwych wątpliwości i błogości, każdy wniosek wypierany był w ciągu paru sekund przez następny, sprzeczny z poprzednim. W końcu, u szczytu cudownych doznań, zdążył jeszcze pomyśleć, że w gruncie rzeczy jest mu wszystko jedno co i kiedy dziewczyna ta robiła, skoro jest tak wspaniała i obezwładniająca, zaś nie ulega wątpliwości, że odtąd jej uroki służyć będą tylko jemu, albowiem on tylko jest w stanie wyzwać je i dzięki niemu osiąga ona takie wyżyny kobiecej mocy. Po czym Elżbieta zażądała, aby ją odwiózł do domu akademickiego, co posłusznie uczynił.

Przez kilka dni Andrzej żył w przekonaniu, że to, co zaszło między nim a Elżbietą, stanowi o ich nierozzerwalnym związku. Przeszli wspólnie przez barierę intymności, są więcej niż mężem i żoną. Reszta będzie formalnością i wolno mu już uważać ciało i uczucia Elżbiety za swoją własność. Po czym posprzeczali się o jakiś drobiazg. Ta sprzeczka, jak to bywa, przerodziła się we wzajemne oskarżenia. Już wkrótce Andrzej stracił kontrolę nad czasem Elżbiety, okazało się naraz, że jest zajęta w godzinach, w których zazwyczaj bywała wolna, i że on nie bardzo wie, co ona o tej porze robi. W końcu ujrzał ją, jedzącą spokojnie obiad u Plastyków, z pewnym podstarzałym historykiem sztuki, słynnym ze sposobu czesania szpakowatych włosów, serwilizmu, eleganckich marynarek i zamożności nagromadzonej w nieustających podróżach służbowych zagranicę. Nazajutrz Andrzej czekał na Elżbietę przed uniwersytetem. Z krótkiej rozmowy, jaką odbyli, wynikało, że Elżbieta uważa ów wieczór młodzieńczych uniesień za nie wartą wzmianki okoliczność, o której z trudem pamięta. W odpowiedzi na przypomnienia Andrzeja, uwypuklającego dobitnie charakter i wagę owych zajęć na tapczanie, oświadczyła, że w ogóle nie pojmuje, o co chodzi. Z dalszych jej uwag zdumiony Andrzej wywnioskował że Elżbieta czuje się niewinna jak nieletni anioł i wręcz nie rozumie, do czego Andrzej przywiązuje tak wielkie znaczenie. Andrzej zaś lżył ją w duchu i myślał, że Elżbieta albo jest taką kurwą, iż to, co wyczyniali, nic dla niej nie znaczy, albo jest tak czysta, że w swej naiwnej niewinności nie dostrzega niczego niestosownego w tym, co robiła. Rezultatem tej rozmowy było pojednanie, po którym historyk sztuki znikł z pola widzenia.

Żądania, ponawiane konsekwentnie, doprowadziły po kilkunastu dniach do wieczoru, w którym Elżbieta, otumaniona pocałunkami i pieszczotami, słaba, pełna wahań i lęków, zgodziła się nie wrócić do dusznej od wyziewów dziupli w domu akademickim i zostać na noc u Andrzeja. Andrzej nie zwrócił uwagi na fakt, że przez kilka poprzedzających tę noc dni liczne ich

rozmowy dotyczyły jazdy na rowerze i jazdy konnej: Elżbieta mówiła marząco: — Ach, niczego tak nie zazdroścę bogaczom na filmach jak konnych przejażdżek po brzozowych zagajnikach. Jędrusiu, jak ja lubię konie! Kiedy byłam mała tatuś zarządzał Pegeerem na Mazurach. Jeździłam konno od szóstego roku życia...

Nie zmrúżyli tej nocy oka ani na chwilę i Andrzej zapamiętał szept Elżbiety: — Boli... Ach, to boli... — Myślał o nim gorączkowo, uszczęśliwiony, lecz czujny, notując w świadomości każdy jej odruch.

Rano Elżbieta pojechała na wykłady, zaś Andrzej szukał dowodów swego olśniewającego zwycięstwa. Nie znalazł niczego, natomiast przypominał sobie wynurzenia Elżbiety na temat jej sportowych upodobań. Pokiwał głową ze zrozumieniem. Był dostatecznie skrupulatny we wnioskowaniu, aby samemu odnaleźć prawdę, bez wulgarnego empiryzmu. Dowód logiczny wystarczył mu w zupełności. W jego obliczu, uwzględniwszy rozwiąłość epoki, gotów był na każdy hołd dla Elżbiety.

Sprawa zatem wydawała się przesądzona, kiedy Elżbieta zaproponowała wspólne posiłki i dzielenie trosk. Prowadzili pertraktacje przedmażeńskie wśród pieśczoł, które przerażały Andrzeja śmiałością, dając mu jednocześnie osobliwe poczucie przywództwa w zepsuciu i odkrywczosci: wydawało mu się, że to on wymyśla i inicjuje rzeczy, nie mogąc się nadziwić skąd o nich wie. Kiedyś, ogarnięty nastrojem wybaczonego wszystko pseudocynizmu, spytał: — Elżbieto, powiedz szczerze, czy coś cię łączyło z Mikołajem?

— Obrażasz mnie — powiedziała chłodno. — Takie pytania, po tym, co wiesz...

W istocie, nie lubiła Mikołaja. — Mikołaj Plank nie jest dla mnie mężczyzną — dodała przekonywująco — lecz gówniarzem, wygłupiającym się nieustająco, nie wiadomo w imię czego. Nie pojmuję, co widzi w nim tak świetna dziewczyna, jak Kryśia Derecka? To, zresztą, czego Mikołaj chce od kobiet, mnie zupełnie nie bawi.

— A... ten historyk sztuki? — Andrzej poczuł potrzebę udręczeń. — Jest znany ze swej przedsiębiorczości. Nie rozstałaś się z nim przez pewien czas. Czy nie nalegał? Nie chciał? Nie domagał się?

— Chciał, nalegał, domagał się, stwarzał okazje. Wyjechaliśmy nawet na parę dni do Krynicy. Ale co z tego? Przecież mnie znasz, wiesz jaka jestem... W końcu byłam już wtedy twoją dziewczyną, a żeśmy się trochę posprzecjali...

(1954) Po kilku tygodniach Andrzej zauważył, że Elżbieta nie czerpie żadnych satysfakcji z ich zbliżeń. Rzadko zdawała się być nimi zainteresowana, a potem skutecznie i wdzięcznie zadowolona. Kiedy stwierdziła, że Andrzej to spostrzegł, powiedziała: — Okazuje się, że wszystko, co mówiły mi różne facetki, jest dalekie od prawdy. W każdym razie pewna jestem, że tylko przy tobie czuję jakąś potrzebę tych rzeczy, tylko ty mi się z nimi kojarzysz. Mało... powiedziałabym, mimo braku skali porównawczej... że tylko ty potrafisz ożywić moje mizerne wymagania, a jednocześnie je zaspokoić. Bez ciebie nie istniałaby dla mnie ta dziedzina życia. W ogóle...

Wśród znajomych uznani zostali za parę. Bywali wszędzie razem, na premierach polskich filmów, na przyjęciach prywatnych, na niedzielnych wycieczkach za miasto. Okazało się, że Elżbieta, wydawałoby się tak zabiedzona i zepchnięta na margines ubóstwa, posiada rozległe stosunki towarzyskie, których zasięg i przydatność, zaimponowały Andrzejowi. Na przykład Lorantowie: oczywiście, Andrzej przebywał niejednokrotnie w ich towarzystwie, zawsze dzieliła go jednak od nich zaporą z braku zaproszeń, czy zachęt. Lorantowie stanowili dla Andrzeja optimum aspiracji, czuł swą niższość, zazdrościł im tego co posiadali i czym byli, oczerniał ich przed innymi za profity i pasożytność na żywym ciele społeczeństwa, a jednocześnie dałby sobie odciąć mały palec u nogi za kilka gramów poufałości. Andrzej zdumiewał się na widok swobody, z jaką Elżbieta obcuje z Lorantami, a także wobec naturalności, z jaką Lorantowie zgadzają się na Elżbietę: sam nie mógł uwolnić się od skrywanej czołobitności, ale gorzka złośliwość wypełniała go zawsze, gdy uświadamiał sobie przepaść dzielącą córkę byłych ziemian i obecną mieszkankę akademickiego przytułku, niemal domu noclegowego, od tych motyli zwycięskiego marksizmu, od tych kwiatów, które pierwsze zakwitły na nowej, bezklasowej łące. Dziwną łatwością odznaczały się również jej stosunki z ludźmi, których dzieliła odeń wyczuwalna przegroda lekceważenia z ich strony, nawet gdy tonęli w nędzy, czy nijakości egzystencji. Zażyłość Elżbiety z Krystyną, Mikołajem, Weroniką, Larbińskim, Hojdą, Grzanką, z przystojnymi sportsmenami z klanu, z owym historykiem sztuki i jego żoną, złożoną z dworskich, doskonale prosperujących grafików i malarzy, portretujących fabryki zamiast infantek i konetabli, budziła w Andrzeju rozdrażnienie i nabożny podziw. Co ciekawsze: wszyscy oni zdawali się zabiegać o względy Elżbiety i jej nic nie wnoszącą obecność; Elżbieta siedziała spokojnie,

łaskawie uśmiechnięta, odzywała się rzadko, nie przykuwając uwagi, jej żarty przechodziły bez wrażenia, mówiła rzeczy banalne i płaskie. Mimo to na obecnych ciążyło przekonanie, że ona jest tu jedyną osobą, która liczy się, wszystko pojmuje, każdy skłonny był jej przyznać mądrą spostrzegawczość, każdy gotów był do zwierzeń pewny, że tylko ona go zdoła zrozumieć.

W Warszawie rozprawiano namiętnie o tygodniku, który miał się ukazać. Mówiono o nim w redakcjach, kawiarniach, w biurach urzędu kontroli prasy i na plaży klubu Kolejarz nad Wisłą. Już pierwszy numer miał być rewelacją, krzepiącym dowodem, że idzie ku lepszemu. Szczupły premier wykazywał skłonność do tycia, twarz jego pokrywały jeszcze cienie chudości, ale figura zaokrągląła się: mogło to być rezultatem zarówno małej odporności na pokusy zakąsek, jak i złej przemiany materii, wyniku siedzącego trybu życia. Dziewczęta kupowały zwykłe tenisówki, wycinały je półkółkiem i farbowały na czarno, co pozwalało im paradować w polskiej wersji modnych ballerinek: dzięki zaś farbowanym na czarno swetrom z umiejętnie wyprutym, głębokim dekoltem zdobywały wygląd bezradnych heroin włoskich filmów neorealistycznych o jałowości ludzkich wysiłków. Redaktorem nowego pisma miał zostać Jakub Lewinson, postać intrygująca i stylowa. Andrzej nie znał Lewinsona, lecz słyszał o nim wiele, to zaś, co słyszał, budziło w nim nieokreślone nadzieje. Okazało się, że znał go dobrze Lorant i — co osobliwe, lecz nie zaskakujące — pan Edek. Pan Edek wykazywał ostatnio dużą aktywność: nie było w Warszawie imprezy, związanej z cudzoziemcami, w której pan Edek nie maczałby palców. Działalność ta wspierała się na zdrowym rozeznaniu rosnącej w oczach Zachodu atrakcyjności Warszawy: unie międzyparlamentarne, międzynarodowe związki biologów, mistrzostwa bokserskie Europy i francuskie teatry bawiły chętnie w Warszawie, sławiąc potem w świecie polską, państwowo zorganizowaną gościnność. Pan Edek załatwiał, urządzał, oprowadzał, pokazywał, tłumaczył, przygotowywał — nikt nigdy nie wiedział zbyt dobrze na jakiej zasadzie, albowiem nie był ani pracownikiem biur podróży, ani funkcjonariuszem władz porządkowych, ani przedstawicielem zapraszających instytucji. Nie podawał się zresztą nigdy za kogoś takiego, zjawiał się tylko na lotnisku, czy dworcu i pytał: — Jeszcze nie przyjechali? Zawsze to samo, nic, tylko czekać na tych śmieciarzy, jakby człowiek nie miał czegoś innego do roboty... — Po czym nie opuszczał już żadnego wspólnego posiłku, świadczył przyjezdnym drobne przysługi na stronie, w rodzaju wymiany pieniędzy, czy pomocy w nabywaniu prezentów, czasami zaopatrywał ich w polskie złote w zamian za części garde-

roby. Ludzie z *Orbisu* mieli go za człowieka Urzędu Bezpieczeństwa, zaś ubiacy za biologa, aktora, lub sekretarza przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej, zależnie od okoliczności. Nikt go zresztą o nic nie pytał i wszyscy pogodzili się z faktem, że ledwie przybyła do Warszawy delegacja miast brytyjskich, grupa rumuńskich socjologów, czy murzyńskie *varieté* z Brazylii pan Edek był już na miejscu i trudno było się bez niego obejść. — Wiesz dlaczego? — zwierzał się Andrzejowi. — Bo nikt nie chce się wstydzić, nikt nie chce żyć z gorzkiego chleba upokorzenia. Nie zdajesz sobie sprawy, jaką golgogo-gehennę trzeba przejść codziennie z taką kupą cudzoziemców, postawionych oko w oko z polskimi kelnerami, szoferami i małymi urzędnikami od wypisywania kwitów, a więc z koncentratem bałaganu, chamstwa i bezmyślności. Ktoś musi mieć twarz wobec gości i przyjąć na swoje konto to wszystko co w tym kraju jest do kitu. Więc ja mam twarz, za całą Polskę! Co zaś do Lewinsona, to załatwione. Ocałiłem mu trzykrotnie życie w czasie okupacji. — Było to zwykłym kłamstwem, gdyż Lewinson spędził wojnę we Francji.

Lewinson wynurzał się z rozpraszać się już dziś mgieł rewolucyjnej romantyki wielkich metropolii zachodnioeuropejskich w latach dwudziestych i trzydziestych, gdzie dziwne postacie kobiet i mężczyzn uprawiały ewangeliczno-proletariacką prostotę w polityce i sztuce, w okolicach Whitechapel, Alexandersplatz i Boulevard Poissonnière. Irlandzcy malarze, żydowscy kuśnierze, włoscy i bułgarscy wieczni studenci, oraz córki niemieckich pastorów protestanckich tworzyli podówczas w Europie wspólnotę ludzi zaniedbanych, samarytańsko dobrych, piekielnie inteligentnych, nieludzko ubogich i wypalających bezmierne ilości papierosów przy każdym spotkaniu. Żenili się między sobą, unikali dzieci, spalali się pojedynczo, parami i zbiorowo na ołtarzach modlitw o lepszy świat, zaś ołtarze był przenośne, stały to w Barcelonie, to we Wiedniu, to w Antwerpii. Lewinson odwiedzał Romain Rollanda, przyjaźnił się z Brechtem; jego pobyt w Hiszpanii spowijała legenda: mieszkał z Hemingway'em i uchodził za zaufanego doradcę generała Waltera. Po wojnie wrócił do Polski. Nie zmienił nazwiska, zaś jego rozciągnięte swetry i tuzinkowe obuwie na gumowych podeszwach dawały mu wygląd cudzoziemski, brany przez niektórych za prozachodni snobizm. Początkowo, w Krakowie i Łodzi, był popularny wśród aktorów i pisarzy, redagował intelektualne periodyki, poświęcone teoretycznym rozważaniom i dobrej poezji. Kilka lat temu zaczęto przebąkiwać, że ma kłopoty, że nie wszyscy patrzą z uznaniem na jego dawne, hiszpańskie i francuskie powiązania, a także na bieliznę z Prix-Fixe'ów. Zagrzebał się na Śląsku i poświęcił bez

reszty swej pierwszej pasji — dziennikarswu. Gazeta, w której pracował, odznaczała się współczesną metodą łamania i atrakcyjnością treści.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Elżbieta podoba się Lorantowi: Andrzej, a także Teodozja, nie mogli nie zauważyć powściągliwych zabiegów Loranta, drobnych grzeczności, ulotnych spojrzeń i precyzyjnie wyważonych komplementów. Teodozja czuła się w tej sytuacji jak ryba w wodzie, bawiła się grą półśłówek i złośliwości, lecz Andrzej nie mógłby powiedzieć tego o sobie. Bywali często we czwórkę, i trudno było dojść z czyjej inspiracji następują te nieustające spotkania. Ponadto widziano kilkakrotnie Elżbietę w służbowym samochodzie Loranta, zwłaszcza w okolicach punktów wylotowych z miasta na podmiejskie szosy: informacje docierały do Andrzeja w formie dowcipnej, nieszkodliwej plotki, słuchając ich należało uśmiechać się z kpiącym zrozumieniem, oznaczającym, że człowiek z towarzystwa jest ponad takie drobiazgi. Toteż wieczór, zorganizowany przez Lorantów, na którym Andrzej zetknął się z Lewinsonem, usposobionym dlań przychylnie, zdawał się być naturalną konsekwencją różnych przyczyn. Lewinson był drobny, czarniawy i błyskotliwy: miał niskie czoło, niezbyt czyste włosy, przepastne, ciemne oczy i szeroki, niekształtny nos; wszystko było w nim karykaturalnie małe, fizycznie poślednie. Łatwo było zauważyć, że ta materialna lichota budzi w nim tęsknotę za ludźmi roslymi, przystojnymi, o dobrze wykończonych twarzach i kończynach, na których odzież jest ozdobą, a nie zdefasonowaną koniecznością. Lubił zaznaczać się na ich tle, dominować wśród nich, poddawać ich swemu intelektualnemu czarowi doświadczonego szermierza dowcipnej retoryki. Lubił świadczenia męskiego braterstwa z ich strony, po których rozkwitał wstydliwie, jakby zdumiony faktem, że ci piękni, silnie zbudowani blondyni poczuwają się do jakiejś wspólnoty z kimś tak ciemnowym i mizernym jak on. Na przyjęciu był także pan Edek, z którym Lewinson klepał się nieustająco po plecach i był na ty.

Wychodząc od Lorantów Elżbieta spytała: — Zadowolony? Jędrusiu, no powiedz? — W głosie jej była nieznaną Andrzejowi uległość. — Byłbym bardzo — rzekł Andrzej — gdyby nie twój udział w tej aferze. Ciekawy jestem, dokąd prowadziły rozmowy o zetknięciu mnie z Lewinsonem? I z kim jeszcze je toczono, poza Lorantem? — Mówił ostrożnie, zadając sobie trud w formułowaniu tych subtelnosci: w gruncie rzeczy odczuwał niepohamowaną ochotę, aby strzelić Elżbietę w twarz, na odlew, z obu stron, za dławiące poczucie zawstydzających konieczności, których nie było dotąd w jego obrazie świata. — Jędrusiu —

powiedziała Elżbieta miękko — ... przecież ty mnie znasz. Wiesz, że ja tych rzeczy nie robię. Po cóż miałabym robić, skoro mam ciebie...

32.

(1954) Nowe pismo otrzymało nazwę *Horyzont* i od razu odniosło sukces w płaszczyźnie finansowej i moralnej. Nakład zniknął w parę minut po rozwiezieniu do kiosków, przed którymi formowały się kolejki. Trudno byłoby wytłumaczyć jednym zdaniem powodzenie tygodnika, faktem jest, że jego wydawcom w łonie *Prasy* sprawiało więcej zakłopotania, niż satysfakcji.

Już pierwszy numer zawierał reportaż Andrzeja z prowincjonalnego miasteczka, który wzbudził go na nieznane dotąd wyżyny. Być może, że sam udział w wydarzeniu, jakim było ukazanie się *Horyzontu*, wciągnął nazwisko Andrzeja na wysoki maszt, wraz z innymi chorągiewkami wywoławczych sygnałów dla nowych idei i poglądów. Reportaż napisany był z drapieżnością walczącego o życie, z wyczuciem momentu uderzenia, który przychodzi tylko raz: jeśli włoży się w cios wszystkie siły, wtedy nie może się nie udać. Następne dwa numery *Horyzontu* zdawały się wręcz lansować go: reportaże o trudnej młodości i o podwójnym obliczu szczecińskiego portu wywołały polemikę w prasie codziennej. Zaczęto mówić o publicystyce Felaka i jej społecznym znaczeniu.

Przychodził do redakcji codziennie i siadywał przy tym samym biurku, dla przejrzenia prasy bieżącej, tak, że z czasem przyjęło się je uważać za jego biurko, a wkrótce znajdował już na nim przeznaczoną dla siebie pocztę. Witano go tu zresztą jak kogoś o kim wiadomo, że ma coś do powiedzenia: nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, skąd wzięła się wokół niego ta atmosfera. Korzystał z niej umiejętnie, cieszył się przychylnością sekretarza redakcji: nazywał się Watloch i był niewiele starszy od Andrzeja; obdarzony zmysłem skuteczności realizował co tydzień zawite koncepcje Lewinsona, burzyciela utartych form i pustych formuł.

Andrzej widywał często Lewinsona, odnosząc wrażenie, że Lewinson go lubi i skłonny jest mu pomóc. Stały etat w *Horyzontie* był głównym dążeniem Andrzeja: wiedział, że bez pozycji etatowego współpracownika sława i osiągnięcia okazać się mogą iluzoryczne. Andrzej próbował skarżyć się Watlochowi, lecz ten odżegnywał się od zagadnień personalnych. Toteż słowa

Lewinsona, po zamknięciu drzwi gabinetu i poczęstowaniu papierosem, zaskoczyły Andrzeja. — Powiedziano mi o pewnej waszej kwalifikacji — rzekł Lewinson — która uszła dotąd mojej uwadze. Mam tu na myśli doskonałą znajomość paru języków.

Andrzej zrozumiał od razu, że mimo pozorów nic tu się nie dzieje z przypadku. — Czy to podwyższy moje honoraria? — spytał porozumiewawczo. — A może przyniesie mi wreszcie stały etat w *Horyzoncie*? — Teraz zamierzał rozegrać partię aż do końca; ciekawe było, kto skłonił Lewinsona do zaoferowania mu szansy?

— Za tydzień pojedziecie do zachodniego Berlina. Konferencja ministrów czterech mocarstw. Oczekuję od was czegoś na miarę *Horyzontu*. Wielki opis, rzetelna publicystyka, dociekliwość reportera. Tego się po was spodziewam.

Andrzejowi pot podniecenia pełzył po żebrach, serce rozszalało koszulę. Już słyszał kiedyś podobne słowa, tak samo ekscytujące.

Zachodnia Europa, oglądana po upływie dziesięciu blisko lat, wprawiła go w stan zamętu myśli. Niedzielny dobrobyt codziennego życia przypominał filmową odświeżość, wystawy lśniły ostentacją towarów. Kto ma to wszystko kupić? Zgryźliwy uśmiech błakał się w duszy Andrzeja na widok wystaw: gnębiła go absurdalna myśl, że wszystko to zgnije i zmarnuje się, jeśli nie zjawią się tu w najbliższym czasie ludzie z okolic Białegostoku i Nowosybirsk, wyłącznie w celu wchłonięcia tej orgiastycznej masy produktów ludzkiej wytwórczości.

Po powrocie napisał serię artykułów, w których złośliwi i głupi upatrywali umiejętne podrabianie zdobyczy zachodniego dziennikarstwa. Prawda była bardziej złożona. Tym razem surowcowy półfabrykat Andrzeja wędrował przez dwa filtry: przez wzbogacające spojrzenie Lewinsona, wyłuskujące od niechcenia co ważne i eliminujące co zbędne, oraz przez szlif Watlocha, świadomego po co wyciągną się ręce w stronę kiosków. Lewinson inspirował, Watloch poprawiał, zaś Andrzej czytał swe teksty w druku i uczył się. — Rzec w tym — mówił Lewinson — aby przewartościować pewne wartości. Jedynie brak frazeologii może ożywić to, co stało się tylko słusznym frazesem. — Rzec w tym — mówił Watloch — by znaleźć rozsądny kompromis między tym, co ludzie chcą, a tym, czego my chcemy, żeby chcieli... — Spomiędzy tych dwóch obrabiarek wyłaniał się nowy kształt publicystyki, opatrzony hasłem „Felak”, które przeniknęło do publicznej świadomości.

Proces produkcji nowego Felaka niósł w sobie różne tarcia.

Andrzej przytoczył w pierwszym artykule rozmowę, jaką odbył jakoby z szoferem taksówki w Berlinie Zachodnim, w przeddzień konferencji czterech mocarstw; rozmowa miała ilustrować nastroje, panujące wśród ludności, która pozostawała pod kontrolą zachodnich aliantów. „— Kiedy się to wszystko skończy?... — westchnął ciężko taksówkarz. — Przecież zdychamy z głodu...” Lewinson przeczytał maszynopis i uśmiechnął się.

— To nonsens — powiedział. — Jeśli ten taksówkarz umiera z głodu w Berlinie Zachodnim, wystarczy, aby wpakował swą rodzinę do taksówki i przejechał dwie ulice dalej, w czym nikt mu nie przeszkodzi, a znajdzie się od razu w Berlinie Demokratycznym, gdzie, jak to wynika dalej z tekstu, nie tylko nikt nie umiera z głodu, lecz każdemu się świetnie powodzi. Dlaczego tego nie robi?

— Nie wiem — odparł Andrzej. — Ale wiem, że ja muszę otrzymać etat w *Horyzoncie*.

— Wydaje mi się rozsądne, że starasz się o etat — rzekł Watloch. — Jeśli jednak dodasz jedno zdanie, z którego wyniknie, iż taksówkarz nie mówi o swojej sytuacji, lecz uogólnia dialektycznie los Niemców, zaś wyrzucisz opisy zachodniego dobrobytu, wtedy zachwycisz tych tam, na górze, nie mijając się zanadto z prawdą.

— W żadnym wypadku — zastrzegł się Lewinson. — Żadnej sztampy w sprawie dobrobytu! Uważam za mocną stronę tego materiału, że wybija reklamarskie bogactwo okna wystawowego Zachodu. Musimy odnajdywać prawdę bez względu na niewygodę pozorów.

— Moi drodzy — rzekł Andrzej — zapewne obaj sądzicie, że zmyśliłem od *a* do *z* słowa taksówkarza. To nieprawda. Taksówkarz rzeczywiście skarżył się na mizerne zarobki. — Złościło go stanowisko zarówno Lewinsona, jak Watlocha: uważał, że narzekania taksówkarza, prawdziwe, czy zmyślane, muszą mu przynieść etat w *Horyzoncie* i ani logika ani sumienie nie mogą w tym przeszkodzić.

Wieczorem, po powrocie Andrzeja, Elżbieta wpatrywała się milcząco w przywiezione prezenty, pullovery i pantofle, po czym bawiła się nimi, jakby przesypując z namysłem ofiarowane klejnoty między palcami. W tydzień później Andrzej podpisał w gabinecie dyrektora personalnego *Prasy* umowę, na mocy której został członkiem redakcji *Horyzontu* ze stałą pensją. Ten etat był pieczęcią nobilitacyjną. Przy okazji zauważył gorliwą uczynność sekretarki dyrektora personalnego. Nazywała się Michalina, była gruba, lecz jeszcze w pretensjach; kilkakrotnie spojrzała na Andrzeja z przymilnym upodobaniem należnym młodemu, wspi-

nającemu się w górę mężczyźnie. Postanowił nie zapomnieć o jej wychodzącej naprzeciw gotowości.

33.

(1955) Ślub Andrzeja i Elżbiety odbył się bez towarzyskich fanfar. Świadcami byli Krystyna Derecka i Watloch, obecni zaś stary Felak, matka Elżbiety, Mikołaj, oraz pan Edek, spotkany przypadkowo przed wejściem do Urzędu Stanu Cywilnego. Matka Elżbiety nie mówiła nic, lecz widać było, że nie podoba się jej brak wzmianek o przypieczętowaniu tego związku ślubem kościelnym: po prostu uważała ślub cywilny za niższej jakości. Mikołaj przyjaźnił się czule ze starym Felakiem, a nawet doprowadził go do pewnych alkoholowych nadużyć na skromnym przyjęciu, urządzonym przez Elżbietę sprawnie, oszczędnie i smacznie. Po czym młoda para pozostała na Saskiej Kępie, zaś wszyscy udali się do śródmieścia służbowym samochodem *Horyzontu*, który służył także za karetę weselną; dzień był powszedni, listopadowy i pochmurny, nie można było zbyt długo opuszczać swych stanowisk za biurkami urzędów i redakcji.

Krystyna i Mikołaj wysiedli przy Krakowskim Przedmieściu. — Nie mam już ochoty na pracę — powiedziała Krystyna. — Jasne — westchnął Mikołaj. — Uprzedzam cię tylko, że jestem zupełnie bez pieniędzy i nie mogę cię nawet zaprosić na kawę. — Chodźmy do klubu — powiedziała Krystyna. Klub Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej był ich najpewniejszym schronieniem: zawsze było tu cicho i pusto, zamczyste, obite zielonym rypsem meble, ciemne boazerie i sterty kolorowych czasopism stwarzały atmosferę spokoju, a nawet samotności, do której wystarczyło się przyzwyczaić, by ją docenić. Można tu było przebywać godzinami bez płacenia za kawę, można było rozmawiać przyciszonym szeptem, który był źródłem zabawnych porozumień. — Nick — szeptała Krystyna — czy my spędzimy całe życie w kawiarniach i klubach, grając rolę wiecznie zakochanej pary z pierwszych oszołomień dopiero co zawartą znajomością? — Nigdy nie przyznałaby się, jak bardzo zazdrościła Elżbiecie tego staromodnego uregulowania stosunków między dwojgiem ludzi, który żyrowała dziś swym podpisem. — Uratują nas pieniądze — szepnął Mikołaj. — W końcu zarobię ich mnóstwo. Obsypię cię wtedy brylantami i będziemy tarzać się w złocie. A może tylko kupię motocykl i pojedziemy na Mazury. —

Małżeństwo nie przyszło mu na myśl i Krystyna westchnęła cicho, lecz bez urazy. Nie myślała zresztą o małżeństwie z Mikołajem, byłoby to wykroczeniem przeciw kanonom uświęconych uroków: chociaż i ona, tak inna od innych, nie była w stanie wyzbyć się myśli o małżeństwie jako o błogosławionej konieczności, której się nie lubi. — Małżeństwo nie jest najwłaściwszą formą współżycia pomiędzy dwojgiem ludzi — powiedział kiedyś Mikołaj. — Zwłaszcza między mężczyzną, a kobietą. — Przyjęła te słowa jako zabawną prawdę objawioną.

Mikołaj był w tym czasie pochłonięty pewnym eksperymentem: napisał coś, co w przybliżeniu nazwać można sztuką teatralną, widowiskiem, lub socjologicznym seminarium. Wraz z zespołem młodych zapaleńców ze Szkoły Dramatycznej montował spektakl pod firmą studenckiego teatryku. Treścią przedstawienia miał być sen o pożądaniu jajeczniczy: jajecznicza ucieleśnia więzkę zespolonych ze sobą beznadziejnie pragnień zmysłowych i psychicznych, wśród których niesposób dokonać twórczych różnicowań, aby poprzez ofiarne unicestwienie jednych doskonalić i sublimować inne. Zaczyna się zdobywanie jajek w warunkach budującego się socjalizmu, co natrafia na przeszkody i trudności. Biurokracja, przerost autorytetów, bezwładny pryncypializm, plaga mank, nadużyć i remanentów, demokracja i praworządność — oto wątki rozważań. W międzyczasie sprawa jajek urasta do symbolu honoru Polaka, ludzkiej godności, nadziei i wiary. W końcu, po upiornych trudach, człowiek zdobywa jajka i biegnie z nimi do domu, aby usmażyć jajecznicę. Po drodze wpada na zezwierzęconych pijaków, którzy tłuką część jajek; sponiewierany i ugodzony boleśnie w cześć ludzką, wymyka się przemocy i uchodzi z ocalonymi jajkami. Wtedy zderza się z korowodem rozbawionej młodzieży, manifestującej taneczną radość, płynącą z wartościowego społecznie poczucia szczęśliwej młodości: oczywiście, wśród choreograficznej feerii reszta jajek ulega unicestwieniu i psy liżą smutnie porozbijane skorupki.

Premiera spektaklu odbyła się w warunkach jakby konspiracyjnych, co przysporzyło mu natychmiastowej popularności. Intelktualna i artystyczna Warszawa o niczym innym nie rozprawiała przez parę dni, jak tylko o Mikołaju i jego sztuce, zaś półlegalność przedsięwzięcia zrobiła furorę. Jednocześnie władze i cenzura zachowały się z tolerancją, co odarło przedstawienie z laurów martyrologii, lecz ustabilizowało jego byt. Na koniec zaczęły o nim pisać gazety, co usankcjonowało jego istnienie. Sprawozdania przerodziły się w dyskusję. Dyskusja zataczała coraz szersze kręgi, pojawili się korespondenci zagraniczni, którzy rozkolportowali ją szeroko poza Polskę. Z czasem, pośród mnóstwa głosów,

wypowiedzi, szkiców i esejów zarówno o charakterze pochwalnym, egzegetycznym, jak polemicznym, zapanowała tendencja eliminowania, a nawet wyszydzenia roli samego Mikołaja: próbowano ją oddzielić od jakoby zrodzonego przez społeczne nastroje ewenementu. Wpływ Mikołaja, mówili przeciwnicy, jest bądź minimalny, bądź szkodliwy, zaś fakt, że napisał i wyreżyserował sztukę jeszcze niczego nie dowodzi. To właśnie Mikołaj wprowadza do zjawiska cennego społecznie i artystycznie ton rozdźwięku, kwasów, pretensji aroganckich i wulgarnych, to jego obecność przesądza o akcentach taniej sensacyjności i niewybrednego, jarmarcznego humoru. To on wreszcie wstrzykuje podstępnie zdrożne refleksje, podszeptuje, że nie należy niczego zbyt mocno chcieć, bo jałowość pragnień i marzeń zawarta jest immanentnie w przeznaczeniu; to Mikołaj, abnegat i cynik, rozbraja moralnie i szerzy defetyzm. Jednym słowem: co innego Mikołaj, a co innego wspaniały sukces „Snu o pożądaniu jajecznicy”.

Kiedy jasne stało się, że zostaje obrabowany z owoców wyśiłku, Mikołaj napisał pamflet, opublikowany łaskawie przez jeden z odważniejszych tygodników literackich. Przedstawił w nim odwieczny konflikt pomiędzy życiem, a społeczną organizacją życia, raz jeszcze przy pomocy jaj. Gdy ktoś kupuje w państwowym sklepie jajko, które okazuje się nieświeże, popada w zagadkowy konflikt racji ostatecznych — wywodził Mikołaj. Ponieważ żyjemy w systemie społecznym, który zakłada, że sklep nie jest odpowiedzialny ani ekonomicznie, ani moralnie, lecz stanowi część zbiorczej odpowiedzialności, na którą składa się centrala handlowa, zjednoczenie produkcyjne, plan gospodarczy i państwo, przeto w ostatecznej instancji sprawa jest pomiędzy jednostką a państwem. O ile jednak chcemy pozostać przy zdrowym rozsądku, zgodzimy się, że nie może być konfliktu między jednostką a państwem o zepsute jajko. Niemniej, stwierdziwszy śmieszną błażość zagadnienia, facet nie przestaje być posiadaczem zepsutego jajka, które nie przynosi mu żadnego pożytku, czyli udziałem jego staje się strata, której nie ma kto wyrównać. W ten sposób dochodzi do tragedii, łamiących życie ludzkie, których nie można nazwać tragediami ze względu na nikłość przyczyn sprawczych; zaś państwo okazuje się żywiołem jak pierwotne prawa natury, tajemniczym, niewinnym i straszliwym, wnoszenie doń pretensji o drobne szkody byłoby zaprzeczeniem porządku świata i przyrody.

Ta pełna zasadzek metafora nie wywołała większego wrażenia na prześladowcach, Mikołaj leżał więc na tapczanie u Hanki, belgijskiej contessy, i mówił: — Lud polski marzy beznadziejnie o Harun al Raszydzie. Ta piękna, stara baśń, opiewająca doraźne

zadośćuczynienia za małe krzywdy, za codzienne udręki i niesprawiedliwość, za kieszonkowe łotrstwa, produkowane przez każdego wokoło i wyciskane na każdym, jest dziś dla ludu polskiego nieuświadomioną litanią o zbawienie.

— Czy to jedyne co proponujesz? — uśmiechała się melancholijnie Krystyna. — Harun al Raszyd, czyli infantylne marzenia o abstrakcyjnej sprawiedliwości, ucieczka w coś czego nie ma? Swoją niemoc chcesz usprawiedliwić brakiem lamp Aladyna w sklepach elektrotechnicznych. A jak żyją ci, którzy męczą się w biurach, pracowniach, szkołach, ministerstwach, na Dzikich Polach beznadziejnych dyskusji z głępszymi od siebie. Pomęcz się trochę.

— Ba — odpowiadał Mikołaj — wtedy stałbym się bohaterem pozytywnym *à rebours*. To nie ja.

Najczęściej spotykał się z Krystyną u Hanki, przy czym Hanka zostawiała mu nie tylko mieszkanie na nieokreśloną ilość godzin, lecz dbała o to, aby było czysto sprzątnięte i aby na niskim stoliku stała zawsze butelka z resztką czegoś dobrego. Żywiła poważny szacunek dla Krystyny i okazywała go na każdym kroku, nawet udostępniając swój dom dla celów dwuznacznych. — Hanka cię kocha — szeptała Krystyna przyciśniętymi do szyi Mikołaja wargami. — To wszystko dla ciebie, ten koniak i ta czysta, biała kapa. Spałeś z nią, kieszonkowy łotrze, i teraz pozwała ci na wszystko. Chodźmy stąd! Nie chcę tego koniak, tej ciszy, tego odizolowanego, bezcennego spokoju! Nie chcę ciebie tutaj... Nigdy nie będziesz Harun al Raszydem! Dla nikogo! Nawet dla mnie...

— Bo mam inne zadania i cele. Jestem sumieniem i sędzią, a nie egzekutorem słuszności. Jestem bolącym zębem epoki. Jestem wrażliwym, unerwionym jak język kołkiem żelaznym, wbitym brutalnie w tryby zubożonych, odhumanizowanych struktur! Moim powołaniem jest niezadowolenie, moim narzędziem jest protest, moim honorem jest walka na śmierć i życie z pączkowaniem bezmyślnych mechanizmów! A zresztą... już długo nie zostaniemy razem. Znajdziesz mężczyznę, który da ci wszystko na co zasługujesz i sam rozkwitnie w słońcu twojej doskonałości. Rzucisz mnie jak niedopałek i to będzie sprawiedliwe.

— Czy ty nie rozumiesz, Nick, że ja cię kocham? — mówiła spokojnie. — Przykre to, a nawet smutne, ale nie da się zmienić. Musisz przyzwyczać się do myśli, że kocham, pogodzić się z nią.

Po tym, gdy ubierali się, Krystyna wciągała pończochy, opierając stopę o kolano Mikołaja. — Świat wszędzie wokoło jest taki wrogi... — mówiła ze smutkiem, myśląc o błotnistych, ciem-

być mieszkanie przy pomocy rozwodów. Wysiłki jego uwieńczone zostały pełnym skutkiem, gdyż wkrótce Ignacy Felak przeniesiony został na zaszczytne stanowisko głównego księgowego Polskiego Związku Wycieczek Wysokogórskich. Do nowej pracy przystąpił bez zapału, zważywszy, że nie znosił wycieczek, ani gór i nie znał się zupełnie na księgowości. Nowym naczelnikiem, na jego miejscu, został pękaty. Andrzej spotkał go wkrótce, przy okazji jakiejś konferencji. — Pańskiego ojca zgubiła dobroć — powiedział pękaty, uśmiechając się ostrożnie, bez odsłaniania zębów, co czyniło mu z ust gamoniowaty otwór; spojrzenie zachowywał badawcze, wyprane z wesołości. — Nie potrafił odmawiać. Wszystkim to mówię wokoło, że tylko miękkość serca zgubiła naczelnika Felaka, niedopuszczalna na naszym stanowisku, obleganym przez naciągaczy i oszustów. Niech pan mnie odwiedzi, redaktorze, pogadamy. O ile pamiętam, ojciec piętrzył przed panem pewne, zrozumiałe zresztą trudności, które teraz nie istnieją...

Rozmowę tę Elżbieta uznała za punkt wyjścia do starań o mieszkanie, czyli do antyszambrowania u dygnitarzy, do męczących wizyt w biurach *Prasy*, do nieustających zabiegów o audjencje, łaski, okrucy życzliwości. W końcu jednak krętacka gotowość pękatego, niechętna pomoc *Prasy*, niedbałe wysiłki Lewinsona, znajomość rzeczy Watlocha, oględne informacje Prohorowskiego, aktywna przychylność Klary Onyx i jej drużyny, chody pana Edka, dobre rady Rybickiego, kilka słów Loranta, rzuconych mimochodem do kogo trzeba, drwiny Mikołaja, smagającego Andrzeja takimi zdaniem: — Żebyś ty nie dostał mieszkania? Taki zasłużony i niepokonany... Dziś, kiedy byle łajza dostaje mieszkanie... — wreszcie upór Elżbiety i przedsiębiorczość Andrzeja zrodziły zadrukowany papier, stanowiący przydział najsoczystszego, warszawskiego szczęścia: nakaz kwaterunkowy, uprawiający do dwupokojowego mieszkania w nowiutkim, zbudowanym przez państwo domu.

Równoważyło się to w owym czasie z poczuciem wzbogacenia, dla którego nie ma odpowiednika w skali przeżyć ludzi XX wieku poza powojenną Warszawą. Zestawienia z dziedziczeniem pałaców nad Loarą, czy willi na Florydzie zawodzą kompletnie. Nabożne dotykanie futryn, odkręcanie i zakręcanie kranów w łazience, czuła pieśczoła świeżo wycyklinowanego parkietu podłogi przy pomocy froterki, zamykanie i otwieranie okien, dojmujące poczucie oddzielności we własnych czterech ścianach i odcięcie się od społeczeństwa przy pomocy cuháltowego zamka — wiąże się to w końcu, mniej, lub bardziej świadomie, z afirmacją państwa rozdającego takie wspaniałości. Andrzej

i Elżbieta przebywali kilka faz szczęścia: najpierw oglądali swe miejsce na ziemi w budowie, pośród ceglanego kurzu, oszalałań, desek przerzuconych nad mokrym jeszcze cementem. Brali udział w polerowaniu balustrady na klatce schodowej i politurowaniu drzwi wejściowych. Długo siedzieli w kucki pośrodku pustego, dopiero co przekazanego kontroli budowlanej mieszkania, z głowami w dłoniach, zamyśleni. Przeprowadzka stała się prawdziwym świętem, które pamiętali długo i które stanowiło pomost pogodzeń po każdorazowej kłótni.

Po czym wybuchła sprawa szpitala pod Częstochową i ciężkie ciosy spadły na redakcję *Horyzontu*. — W tym coś jest! — wykrzyknął Andrzej, gdy Watloch pokazał mu materiały z centralnej agencji informacyjnej. Dotyczyły one budowy największego szpitala rekonwalescencyjnego w Europie, Mekki cierpiących, symbolu nadziei dla milionów. — Tak, tak — przypomniał sobie. — Byłem tam parę lat temu i oglądałem plac budowy. Na pewno już skończyli do tego czasu. Na pewno jakiś gigant. Mogę pojechać i sprawdzić, co się tam dzieje. — Nadesłane biuletyny po prostu oszalały kolumnami cyfr, planszami, wykresami, opisem wyposażenia. Lewinson długo wpatrywał się w stertę zadrukowanego papieru, wreszcie wrzucił ją do szuflady. Po kilku dniach przyszedł do *Horyzontu* monit: co z materiałami dotyczącymi szpitala? Są to materiały rewelacyjne, o politycznej i społecznej doniosłości. Redakcja *Horyzontu* uhonorowana została prawem pierwszej publikacji, należy to traktować jako wyróżnienie i nie zwlekać z ich ogłoszeniem, zwłaszcza, że zbliża się kampania wyborcza do rad narodowych, w której popularność *Horyzontu* odegrać może rolę pozytywną. Lewinson i Watloch siedzieli nad biurkiem i tarli podbródki. — Przede wszystkim — rzekł Watloch — niech Andrzej pójdzie do Frołowa i wysonduje go gruntownie, co o tym sądzi. — Frołow był modnym lekarzem, doskonałym diagnostą, profesorem akademii Medycznej: zaczęło się od porad dla Lewinsona odnośnie przepracowania, nadkwasoty i groźby wrzodu na żołądku, a skończyło na tym, że Frołow pisywał medyczne ciekawostki dla *Horyzontu* i badał członków redakcji. — Nic o tym nie słyszałem — powiedział Frołow Andrzejowi. — Gdyby rzeczywiście istniał projekt budowy takiego szpitala, lekarze wiedzieliby o tym. — Należało mu wierzyć, uchodził za totumfackiego Ministerstwa Zdrowia; nie było znaczniejszej postaci w Warszawie, która nie szukałaby wysoko płatnej pociechy w jego miękkim od angielskich kretonów gabinecie: wesołe tkaniny w kwiaty stanowiły, jego zdaniem, doniosłą broń w walce z nerwicami i depresją na tle schorzeń wątroby. — Projekt? — zdziwił się Andrzej. — Parę lat

temu sam oglądałem początek budowy. To już na pewno stoi. Tak wynika z danych informacyjnych. — Chyba nie — skrzywił się Frołow. — Gdyby stało, angażowano by już personel. Tak ogromnej instytucji nie wyposaża się z dnia na dzień w lekarzy i personel pomocniczy. To trwa i wiąże się z problemami. Kto zechce pracować na odludziu w zamian za oficjalne stawki wynagrodzeń? Czy można przez całe życie znosić niemal za darmo ciężar ludzkich cierpień? Bez możliwości ucieczki do kina, do Bristolu, czy na Nowy Świat? — No, wie pan... — uśmiechnął się Andrzej. — Są przecież okólniki. Lekarze, zwłaszcza młodzi, zobowiązani są do pewnych świadczeń na rzecz służby zdrowia, w zamian za otrzymane od państwa wykształcenie. — Mówi pan jak dziecko, panie Andrzeju — uśmiechnął się pobłaźliwie Frołow. — Zawód lekarza to albo samarytańskie powołanie, albo sownie opłacana fachowość. Trzeciej propozycji nie ma. Okólnikami nikt mnie nie zmusi, żebym oszalał od krzyków i łez.

Nie było rady, Andrzej pojechał do Częstochowy. W podmiejskim lasku odnalazł bez trudu potężną składnicę materiałów budowlanych sprzed lat. Nic się tu nie zmieniło. Naprzeciw wyszedł mu ten sam stróż, tylko pies był nowy i zupełnie apatyczny. Staruszek zdawał się w nie najgorszej formie i z upodobaniem wdał się w rozmowę, a nawet twierdził kłamliwie, że sobie Andrzeja przypomina. — Ech, panie kochany — skarżył się wylewnie — szkoda tego dobra wszystkiego, co tu nazwozili, Bóg wie jak dawno temu. Gnije to i marnieje, to słońce, to deszcz, to śnieg i znów słońce. A co nie zmarnieje, to rozkradną. Czy to człowiek da radę upilnować? Ciągnie to ci się kilometrami... — Wyglądał jednak na zadowolonego, zadomowił się w prowizorycznym baraczkku, w którym rezydować miał parę miesięcy, a został przez parę lat i już uważał chyba za dożywotnią własność.

— I co teraz? — rzekł Watloch po sprawozdaniu Andrzeja.

Lewinson zaciągnął się głęboko papierosem i milczał. — Coś musimy uczynić — dodał Watloch. — Jedno jest pewne: szpitala nie ma.

— No to co, że nie ma? — powiedział Lewinson. — Ale będzie. Na pewno. Szpitale budujemy z miłości, a ponieważ miłość jest w naszych sercach, więc ten szpital właściwie już stoi. Cały nasz ruch bierze się z miłości. Z miłości do wyzyskiwanych, skrzywdzonych, potępionych, nieszczęśliwych. Nie ma większego znaczenia, jeśli nawet mylimy się o parę lat. Naszym hasłem musi być nadzieja, zaś nadzieję uznać można w niektórych wypadkach za konkret, czyli trzeba pisać o niej tak, jakby była istniejącym faktem.

— Dodałbym do tego, że prasa to potęga — powiedział Andrzej. — Jeśli napiszemy o tym szpitalu w miarę zawile i ostrożnie, to możemy coś uruchomić, przyśpieszyć. Pochwalimy inicjatywę, wytkniemy błędy, zaszantażujemy umiejętnie opieszających, w sumie wyczarujemy szpital z niczego. Jeszcze nam będzie wdzięczna Polska cała za taką robotę.

Lewinson orzekł: — Nie napiszemy ćwierć słowa o tym szpitalu.

Watloch popatrzał na swego szefa z zainteresowaniem: czyżby Lewinson zamierzał się przeciwstawić? O ile go Watloch znał Lewinson traktował poważnie swe słowa o miłości. Jego życie poruszane było tym motorem, nadzieja nie była dlań pustym dźwiękiem, lecz szkatułą, w którą składa się lata walki i poświęceń. Czyżby dotarł wreszcie do granicy pomiędzy miłością a prawdą, do pustego *nomansland'u*, na progu którego człowiek załamuje się i pada?

W kilka dni później nadeszło odwołanie Lewinsona ze stanowiska redaktora naczelnego. W redakcji *Horyzontu* zapanowała atmosfera rebelii. Dlaczego? Za to, że nie zgodził się na ośmieszenie pisma? Że uratował je przed kompromitacją? Odbyło się zebranie, na którym cały zespół postanowił poprosić o zwolnienie z pracy, solidaryzując się ze swym szefem. W biurach Prasy zakotłowało się od narad, plotek, i zapowiedzi drakońskich represji; centralne organa partyjne interweniowały surowo i zdecydowanie, każdy z członków redakcji wzywany był oddzielnie na rozmowę do wypolsterowanych gabinetów dygnitarzy *Prasy*, skąd nie przenikał żaden dźwięk na zewnątrz. — Z Jakubem Lewinsonem — mówił rozmówca Andrzeja, skubiąc pionowy wąsik przeciętnego Polaka — mamy co pewien czas biedę. Fantastycznie utalentowany człowiek, lecz obciążony fatalnymi pomyłkami. Mówię to wam, towarzyszu Felak, w najwyższym zaufaniu. Otóż przed kilku laty Lewinson, również jako naczelny redaktor, sprzeciwił się publikacji materiałów dotyczących pewnej prowokacji. Powiedział, że nie zgodzi się na szkalowanie swych dawnych towarzyszy partyjnych, z którymi łączyła go wspólna miłość do wyzyskiwanych, wspólna walka i wspólna nadzieja na lepsze jutro.

— Trudno jest go potępić, czy nie? — rzekł Andrzej. — W świetle tego, co dziś wiemy o owych oskarżeniach.

— Wcale nie takie proste — zamyślił się pan z wąsikiem. — Właśnie w świetle najnowszych badań okazało się, że ludzie, za których Lewinson chciał się dać ukrzyżować, byli prowokatorami na usługach wrogich sił. Bez sensu, prawda? Dać się pożrebać za kanalie...

— Jest to rzecz skomplikowana — przyznał chętnie Andrzej — nad którą lepiej nie zastanawiać się w ogóle, albowiem człowiek traci apetyt, a nawet prostą ochotę pójścia do kina. Lecz tego szpitala nie ma...

— Tak — zgodził się równie chętnie pan z wąsikiem — ale my zamierzamy rozbudować tygodnik *Horyzont* do nieznanych dotąd w naszych wydawnictwach rozmiarów. Chcemy uczynić z niego pismo o światowym znaczeniu. Wielkie nakłady inwestycyjne, kolosalne możliwości dla młodych, zdolnych ludzi. Na przykład dla was, kolego Felak, przewidziane było z czasem stanowisko stałego korespondenta przy ONZ-ecie w Nowym Jorku. Rozumiecie więc, że nie możemy mieć z *Horyzontem* drobnych kłopotów i różnic zdań?

Przez cały czas rebelii Lewinson przesiadywał w kawiarni, nieopodal redakcji *Horyzontu*. Napawał się romantyką wyzwania rzuconego silniejszym, umiłowania młodości owiewały mu skronie oparem szlachetnego wzruszenia. Bunt rybaków z Santa Barbara, solidarność pokrzywdzonych, to co w człowieku najlepsze w konfrontacji z przemocą, z żelazną, łamiącą charaktery wolą przeciwnika, w obliczu której sprawdzają się ludzkie wartości. Wilgotny błysk oka i ucisk w przełyku uwznioślały mu teraz każdą chwilę, dawno nie przeżywał tak pięknych dni. Wokół jego stolika skupiali się przyjaciele i snobi, żerujące na sensacjach sawantki i pieczeniarze niecodziennych wydarzeń, którym tłuszcz plotkarskiej łapczywości ściekał po brodach. Warszawa kuła mu pomnik z pogłosek i szeptów.

Andrzej myślał o Lewinsonie z coraz większą niechęcią. Dostrzegał naraz grzeszną nieproduktywność jego słuszności, raziła go tandetna zawadiackość postawy, wsparta o uczucia, nie o możliwości, ani o konieczności. Jeśli nadzieje, a więc i marzenia, traktujemy na równych prawach z konkretem, to dlaczego on, Andrzej, ma być gorszy? Jego nadzieją jest realizowanie zamierzonych celów, trudnych i wspaniałych, ta nadzieja ma równe prawa, jak jutrzejsze szklane domy Lewinsona dla byle pracownika z zakładów oczyszczania miasta! — Jędrusiu — powiedziała Elżbieta — nie zawdzięcza się nigdy nikomu wszystkiego. Lewinson jest człowiekiem dostatecznie mądrym, aby to zrozumieć i nie mieć do ciebie żalu. Zawdzięczasz mu wiele, to fakt, lecz bzdurą byłoby twierdzić, że zawdzięczasz mu wszystko.

Mikołaj był bardzo pijany podczas zwierzeń Andrzeja. Namyślił się z widocznym wysiłkiem i zażądał setki starowinu. — Jest to trunek ohydny — wyjaśnił — ale muszę wytrzeźwieć, aby cię odpowiednio pouczyć. Otóż kazuistyka i konformizm już niejednego zaprowadziły na szczyty... — Andrzej wstał. — Nie

mam zamiaru wysłuchiwać impertynencji — powiedziała, zaś Mikołaj złapał go za rękę i dodał: — Kochanie, nie uciekaj. Uważam, żeś miał zupełną rację chcąc pisać o tym szpitalu. Jedyne wyjście. Lewinson jest głupcem, że tego nie zrozumiał i nie zgodził się. Andrzej, kłam! Przed tobą wielka przyszłość, albowiem z genialną intuicją odkryłeś nową, potężną funkcję kłamstwa! Zrozumiałeś, że kłamstwo przestało być tylko zaprzeczeniem prawdy, natomiast może służyć stwarzaniu prawdy... Jesteś wspaniały!

Andrzej nie pokazał się już w kawiarni, gdzie urzędował Lewinson. Nie mógł jednak uniknąć z nim rozmowy, spotkawszy go na Nowym Świecie. — Słyszałem, że zostaje pan w *Horyzoncie* — powiedział Lewinson, raczej smutno, niż napastliwie.

Andrzej uciekł spojrzeniem między samochody na jezdni. — Musi mnie pan zrozumieć... — powiedział. — Życie jest już takie... Trzeba żyć... — Usiłował wpaść w ton porozumiewawczego cwaniactwa, obciążającego parszywość świata, poczuł jednak, że słowa zmieniają mu się w żałosne skamlanie. Chciał się zachować raczej twardo, z szczyptą cynizmu, tymczasem płaszczył się jak rozdeptany kundel. Lewinson, mały, czarniawy, nikczemnie przy nim niepozorny, rósł na olbrzyma z grymasem obrzydzenia na twarzy: jego uprzednia pojednawczość zmieniała się w pogardę pod wpływem tych odrażających lamentów. — Jest pan dopiero trzecim, który ustąpił — rzekł Lewinson i wymienił nazwisko jednego z fotoreporterów, marnej kreatury, oraz powszechnie lekceważonego alkoholika-archiwisty, nieszczęśliwego donosiciela, trzymanego dotąd w redakcji z litości. Zestawienie z tymi ludźmi było ciosem okrutnym. — Acha, nie wiem, czy pan już o tym wie? — dodał Lewinson. — Na nowego sekretarza redakcji przychodzi całkiem świetlana postać. Niejaki Malecki. Słyszał pan zapewne o nim? Zwykły szpicel. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony ze współpracy...

— Elżbieta spodziewa się dziecka — szepnął Andrzej. — Teraz, być może, mnie pan zrozumie...

Lewinson spuścił wzrok. — Co robić... — westchnął. — Rozumiem pana. — Poklepał Andrzeja po ramieniu. — W końcu nie ma zwycięstw jednoznacznych. Na przykład powiem panu w tajemnicy, że chciałem się do pana zwrócić o pomoc... Doszedłem do wniosku, że musimy namówić Watlocha, aby nie rezygnował, zaś z drugiej strony zmusić zarząd *Prasy*, ażeby powierzył mu funkcję pełniącego obowiązki redaktora naczelnego. Jest to jedyny człowiek, zdolny ocalić pismo. Nie możemy przecież dopuścić do zmarnowania dorobku *Horyzontu*, który stworzyliśmy

ciężkim wysiłkiem z niczego... — W tych słowach było rozgrzeszenie.

Wieczorem Andrzej rzekł do Elżbiety: — Powiedziałem mu, że spodziewasz się dziecka. Doprawdy, nie miałem innego wyjścia.

— A czy zależy ci na zachowaniu twarzy wobec Lewinsona? — uśmiechnęła się.

— No, wiesz... Przecież nie będziemy brali sobie na głowę takiego kłopotu w imię prawdomówności.

— Szkoda...

— Co to znaczy?

— Właśnie mam pewne obawy. Okazja...

— Elżbieto!

— Niemniej, już ponad sześć tygodni.

— O, Boże... — westchnął Andrzej. — Skąd znowu wziąć na to teraz pieniądze...

36.

(1956) W kabaretach literackich, które przebiły się jak sympatyczne grzybki, zaczęto właśnie zastanawiać się nad właściwościami autorytetu. W prasie literackiej roztrząsano smutny los idei w rękach ludzi. Trudności w zaopatrzeniu wyciskały swe piętno na dniu codziennym, panowała powszechna nonszalancja w traktowaniu masła i mięsa. Ceny szły w górę drogą eliminacji przystępnych artykułów z rynku. Lato było gorące i suche, zieleni traw i drzew traciła prędko soczystość i świeżość. Mikołaj spędzał całe dnie na ogrodzonych połamanymi siatkami przystaniach wodnych, na Wale Miedzeszyńskim: tego lata ojczyzną był mu prowizoryczny barak, woniejący upałem, olejkami do opalania i wysuszonymi deskami, ozdobiony tu i ówdzie strzępami wyblakłej, kolorowej bibuły z zeszłorocznej zabawy tanecznej. Oczywiście, nie miał pieniędzy na wyjazd nad morze, czy nad jeziora, czuł się na swoim miejscu w zatłoczonym, niedzielnym tramwaju, wyrzucającym w dzielnicę plaż tłum czysto wymytych, namaszczonych kremami z kiosków, ubogich ludzi. Wszyscy tu wyglądali młodo w letnich perkalach i płóciennych spodniach, albowiem niedostatek prolonguje jakoś młodość; taki ludowy, świąteczny niedostatek z miejskich plaż, w łonie którego Mikołaj czuł się szczęśliwy. Godzinami wylegiwał się na ostrej trawie: leżał na brzuchu, na cienkim ręczniku, który nie bronił przed bolesnymi ukłuciami zeszłorocznych pędów. Wpatrywał się w mikro-rzeczywistość badyli i patyczków dostępnych jego oku, w bezsen-

sowną działalność mrówek, w mizerność brudnego spłachetka piasku. Wspominał, jak w wieku lat czternastu napisał długawy liryk o woli nieprzemijania. Zaczynał się:

— ... *Chciałbym, na tej żółtej karcie
by wykwitło imię moje
jak w złociste kruszcu zwoje
wkute trwało wiek uparcie.
Chciałbym, aby imię wielkie
ślad w przestrzeni zostawiło
aby z tytaniczną siłą
nad zmiany ostało wszelkie...* —

I dalej nie pamiętał.

Andrzejowi i Elżbiecie Felakom urodził się syn, którego nazwali Pawłem. Przeobrazili się w parę współczesnych rodziców, świadomych swych obowiązków i odpowiedzialności. Elżbieta przyszła po porodzie szybko do siebie, już wkrótce sylwetka jej odzyskała dziewczęcą wątlność. Zajął się dzieckiem gorliwie i rzuciła studia. Wokoło Polska huczała od dyskusji na różne tematy: od granic wolności po znaczenie barów mlecznych. Spierano się w prasie, na uniwersytetach, w miejscach pracy, w świetlicach i klubach, powstających wszędzie jak przyjemnie swędząca wysypka. Po raz pierwszy w historii Polaków rozgadanie, retoryka i kwieciste odkrywanie prawd dawno znanych i sprawdzonych dawało dobre rezultaty i życie stawało się lepsze na każdym kroku.

Andrzej borykał się z założeniem telefonu. To proste przedsięwzięcie urosło w Warszawie do mistycznego wymiaru. Tylko interwencja sił nadprzyrodzonych, bądź przypadków, mogła pomóc tam, gdzie zawiodły protekcyjność i korupcja. Tak też się stało, że po kilku miesiącach daremnych kołatań znalazł się na uczęszczanej przez Mikołaja plaży. Tam wpadł im w oko pan dłubiący z oddaniem przy silniku płaskiej łodzi motorowej, zwanej ślizgaczem: pan wyglądał na emerytowanego profesora łączyny, miał wianuszek siwych włosów wokół łysiny, opalone na kolor marchwi plecy, stare szorty i zdefasonowane trampki. Postać ta pobudziła fantazję Mikołaja, który bez trudu zawarł z nią znajomość. Pan ów okazał się inżynierem łączności. Wtedy z kolei Andrzej skoncentrował uwagę. — Łączność to telefony? — spytał ostrożnie. — Między innymi — odparł opalony aż do bólu pan. — Mamy wspólne kółko motorowodniaków z telefoniarzami. — Andrzej zamyślił się. — Wie pan — powiedział — interesuję się tym, co humanizuje jednostkę i społeczeństwo. Jakimi ścieżkami biegnie wielka przemiana? W jakim stopniu zwykłe

hobby wspiera i wspomaga nasz instynkt społeczny, instynkt kolektywu. To, na co miotano gromy parę lat temu za bezpłodny indywidualizm i dziwactwo, dziś staje się dźwignią postępu, bronią w walce o nowe. Pozwoli pan, że odwiedzę wasze kółko wraz z fotoreporterem. Jestem Felak z redakcji *Horyzontu*... — przedstawił się na zakończenie. Pan z łysiną wydawał się ogłuszony tym bukietem niezrozumiałości, lecz pokrył to staropolskim ugrzecznieniem. Wkrótce ukazał się w *Horyzoncie* reportaż ze zdjęciami z działalności motorowodniaków, w którym pasowani zostali na heroldów emancypacji, na zwiastunów społecznego odrodzenia. Odtąd motorowodniacy pchali podanie Andrzeja o telefon i niebawem został dopuszczony przed oblicze generalnego dysponenta. Dyrektor urzędował w warowni, chroniony przez uzbrojonych strażników przed tłumem nie przebiegającym w środkach interesantów. Andrzej odmalował wymownie swe męczarnie bez telefonu, na co dyrektor wyliczył mu ile tysięcy kilometrów kabla i jakich ilości zamówionych aparatów nie otrzymał od przemysłu teletechnicznego, po czym spytał Andrzeja, czy Andrzej wyobraża sobie, że on, dyrektor, rodzi kabel i aparaty telefoniczne. Andrzej zapewnił go grzecznie, że sobie nie wyobraża, po czym spytał, czy ma jakieś hobby; dyrektor spojrzawszy złym wzrokiem i wyglądało na to, że chce go wyrzucić z gabinetu, zmitygował się jednak, a nawet sobie pomyślał, że jak taki Felak pyta o coś, to coś się za tym kryje i że lepiej jest to mieć: przypomniał sobie zresztą, iż ostatnio wymaga się od wysokich urzędników państwowych, aby byli ludzcy, zaś przejawem ludzkości jest podobno jakaś słabostka, czyli coś, co tacy Felakowie, dziennikarscy wywąchwacze, nazywają z cudzoziemską hobby. Namyślił się gorączkowo, bo w gruncie rzeczy nic go nie ciekawiło poza urzędowaniem, umiarkowanym życiem rodzinnym i plotkami na tematy partyjne, wreszcie powiedział, że bardzo lubi grać w remi, w wolnych chwilach oczywiście, no i dał Andrzejowi przydział na telefon. Mimo, że przydział ten Andrzej otrzymał na dwa lata przed formalną kolejnością, oznaczało to zaledwie część sukcesu, bowiem pomiędzy przydziałem numeru, a pierwszym dzwonkiem telefonu w mieszkaniu rozciągały się odludne prerie, na których panowało niepodzielnie prawo siły nieujarzmionych instalatorów. Legalny przydział nie oznaczał niczego, instalatorzy zjawiali się i znikali jak jeźdźcy-widma, nie odpowiadali na nawoływania, nigdy nie mieli potrzebnego dla swej działalności drutu, gniazdek, przewodów, słuchawek. Nie wystarczała nawet chęć złożenia sowitego okupu, życzliwości instalatorów nie wyczarowywały pieniądze, kierowali się sobie tylko wiadomymi sympatiami, nie każdemu okazywali łaskę prze-

kupstwa. W końcu jednak słodkawa grzeczność Andrzeja, poparta zwiłkiem banknotów, sprawiła, że zjawił się monter z nowiutkim aparatem i zrolowanymi sznurami pod pachą. W domu była tylko Elżbieta, dziecko spało spokojnie w odległym pokoju, monter obrzucił Elżbietę wzrokiem znawcy i uznanie odbiło się na jego smagłej twarzy, pod kunsztownie szczesaną w nawisły nad czołem pukiel plerezą. Był młody, w czyściutkim kombinезonie o modnie zwężonych spodniach: kolorowa chustka na szyi dawała mu akcent monTERSkiej elegancji. Świadomy był widać, swoich uroków, czego dowodził ton zdobywczości, spokojnej i wspartej na zaksięgowanych sukcesach. — Heca z tymi telefonami — powiedział, klinując dziurę na gniazdko i przewody — ludzie się do nich rwą, jakby to było kakao za darmo. A taki telefon to nic, tylko okazja do grzechu. Ja się na tym znam, wiem do czego to prowadzi. — Zapalił papierosa, nie unosząc się z głębokiego przysiadu, albowiem pracował siedząc w kucki.

— Do czego? — spytała Elżbieta; wiedziała, że trzeba być miłą dla instalatorów. Jasne było, że zepsuło go powodzenie u sklepowych sprzedawczyń.

— Zależy u kogo — zagrał monter zuchwalej: wydawało mu się, że uderzył skutecznie, wobec tego poszedł za ciosem. Palił wolno i strząsał popiół w własną dłoń.

— Co znaczy: u kogo?

— U rajcownej kobiety telefon to narzędzie nie z tej ziemi. Wszystkich zaszachuje telefonem, na zmyłkę. Męża nie męża, matkę, nie matkę.

Uśmiechnęła się. — Skąd pan to wie?

Uśmiechnął się również, poufale. — Mało to się nasłuchamy na złączach...

— No... — zachęciła go. — Niech pan opowiada.

— Eee, tam — cofnął się nagle. — Czy to warto? Tajemnica drutu. Ale bez trudu mogę się troknąć, co takim telefonem można zdziałać...

— Co?

— Ano, facetka już przyszła do jednego, a drugi na nią czeka u siebie w chacie. Jak obaj mają telefony, to sto pociech...

Elżbieta spojrzała chłodno. — Albo lepiej — powiedziała. — Facetka jest sama w domu, a mąż w pracy. I oto przychodzi chłopczyk, jak nóż, nic tylko pieścić i całować. Więc łap za telefon i dzwonek do biura, sprawdzić, czy mąż nie wyskoczył przypadkiem nie w porę na miasto i nie wpadnie do domu na zsiadłe mleko. Z mężem uspokajająca gadka, podczas gdy równy chłopczyzna...

Monter powstał w całej swej smukłej okazałości. Elżbieta

przeszła tuż obok. Za chwilę wróciła do pokoju z banknotem stułotowym w palcach. Powiedziała z ujmującym uśmiechem: — To dla pana.

Monter ukląkł przy gniazdku i wziął się pilnie do roboty. Chciał jak najszybciej skończyć i uciec. Czuł się upokorzony i bardzo zły. Pomyślał sobie, że ta tu, to za wysoka klasa dla niego. Co nie znaczy, że myślał o Elżbiecie pochlebnie.

37.

(1956) Pierwszy telefon, odebrany przez Andrzeja, był od Michaliny. — Niech mnie pan odwiedzi w biurze — szeptała Michalina przyciszonym głosem. — Mam dla pana dobre nowiny. — Kiedy zjawił się, przydreptała na kłocowatych nóżkach i unosząc ku górze nadpsute zęby w rozanielonej twarzy zrelacjonowała mu kilka podsłuchanych rozmów. Okazało się, że ów możnowładca ze standartowym wąsikiem nie rzucał swych obietnic na wiatr: zaczynała się era wielkich podróży za nieswoje pieniądze i Andrzej przeznaczony był na jednego z odkrywców Zachodu.

Nad światem gromadziły się chmury przełomów, rozdierane przez blask błyskawic. W Polsce panował wszechwładnie nastrój wielkiej debaty, w przeciwieństwie do doświadczeń historycznych okazywało się, że tym razem lepiej jest mówić, niż działać. Tak-sówkarze wykrzykiwali w czasie kursu do swych pasażerów: — Wolność i demokracja? Mnie to na razie nic nie mówi. Kto to widział? Czym to się je? — Wprawdzie umarł niedawno Einstein, ale za to odkryta została szczepionka przeciw paraliżowi dziecięcemu. Zmieniły się znacznie kształty samochodów. Uran, atom i technika rakiетowa weszły do repertuaru kawiarnianych rozmów, zaś gospodynie domowe omawiały w ogonkach po masło zainteresowania swych czternastoletnich synów cybernetyką. Polacy przebierali w nowinach jak w ulęgałkach: jednym wypełniała myśli olimpiada, innym nowy katechizm komunistów, jeszcze innym życie rodzinne księcia Monako. Kostkowski roz-zuchwalił się bez reszty: nadszedł czas polskiego Confidential'u. U nas ciekawe jest to, co zakazane, a nie to, co szokuje, plotka pasjonuje nas wtedy, gdy dotyczy konfliktu z władzą, konflikt z moralnością to dla nas mydło. Gdzie indziej Confidential ociera się tylko o skandal, u nas łatwo ześliznąć się może w denuncjacje: Kostkowski wiedział o tym i wypracował metodę, w ramach

której obyczajowe delatorstwo nabierało cech walki o dobrą sprawę tematu. Odbywały się właśnie lokalne konkursy piękności, których finałem był wybór Miss Polonii w modnym kurorcie; Kostkowski udał się tam jako korespondent jednego z warszawskich dzienników i poczuł się urażony brakiem zaproszenia ze strony komitetu organizacyjnego na bankiet laureatek, wobec czego przedstawił w swym reportażu wiwaty na cześć pięknych dziewcząt jako orgiastyczne ekscesy masowego rozwydrzenia i deprawacji. Gorycz Kostkowskiego musiała być duża i nieukojoną, gdyż pióro jego wyczarowało tak walpurgiczne obrazy szaleństw motłochu, że wzbudziły przerażenie w całym kraju, postawiły organizatorów i premiowane piękności pod pręgierzem opinii publicznej i ściągnęły na nich restrykcje za niezawinione grzechy. Warszawa przypominała znów Klondyke, jak zaraz po wywołaniu: dynamika prywatnych i spółdzielczych przedsiębiorstw pokryła mury szyldami, zaś tłum na ulicy zdradzał coraz większą dbałość o elegancję. Masa towarowa napływała do sklepów, co dziwiło i wzruszało, bo nie wiadomo skąd i dlaczego znalazły się naraz szczotki do zębów w kraju; wywieszki przestały kłamać i sklep z guzikami zawierał guziki, a nie wykresy informacyjne o sześciokrotnym wzroście produkcji guzików w stosunku do wskaźników przedwojennych. W cieniu waniliowego masywu Pałacu Kultury otworzono kilka gustownych budek z piwem i wodą sodową: ich kształt był pochodną upodobań uczestników niedawnego festiwalu młodzieży, który to zlot wprowadził chaos w urzędowe wyobrażenia o smaku plastycznym. Budki dzierżawili komisanci, odpowiedzialni za czystość swych pomieszczeń. Wśród nich Andrzej rozpoznał nie bez zdumienia starego kolegę szkolnego imieniem Rysiek: tenże Rysiek spędził całą wojnę w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, który zamiast go złamać zrodził w nim niepojęty instynkt handlowy, zupełnie obcy pokoleniom jego przodków — wojskowych, prawników i ziemian. — Wyobraź sobie — powiedział Rysiek po powitalnych serdecznościach — jaki wczoraj miałem fart. Staje przy tym otworze jakiś facet i prosi o małe jasne. Nalewam mu, pije i mówi do mnie: „A za ten krawat, ile pan chce?“, wskazując na mój krawat. Ja przytomnie, bez obciachu: „Sto pięćdziesiąt”. On: „Drogo”. Ja: „Nie bądź pan dzieckiem. Prawdziwy kaszmirski fular”. On: „No, to zdejmuj pan...” Myślał, że się złamię. A ja nie, twar-do zdejmuję krawat i pakuję mu w pudło po waflach. Ponimajesz, za ten krawat dałem cztery lata temu sześćdziesiątaka. Co za fart! Cztery lata amortyzacji i jeszcze dwieście procent zysku... Co? — Andrzej czuł się dziwnie pokrzepiony, że Rysiek, przed którym w przedwojennej szkole płaszczył się z respektem, jako

przed synem pułkownika, dziś siedzi w budce z piwem, podczas gdy on, Andrzej, uosabia wielki świat; ale Rysiek też nie wydawał się specjalnie rozgoryczony, a nawet zdawał się chwalić sobie swoją kondycję, zapraszał Andrzeja do częstych odwiedzin, wyraził zadowolenie, że jego szkolny kolega zrobił tak głośną karierę, oraz odmówił przyjęcia zapłaty za lemoniadę, wykazując, że pod powłoką fenickiej zapobiegliwości drzemie w nim starszylachcka gościnność. — Coś robił do tej pory? — informował się Andrzej uprzejmie. — Dopóki nie wolno było otwierać prywatnych budek? — Sprzedawałem chłopom wiadra — rzekł Rysiek. — Ale bez polotu. Nudziło mnie. Za bardzo potrzebowali. Płacili każdą cenę.

Oczywiście, Andrzej rwał się, aby natychmiast jechać do Poznania w dniu, w którym to miasto, symbol trzeźwości i umiarkowania, dało się ponieść wichrom historii. — Nigdzie nie pojedziesz — powiedział Watloch. — *Horyzont* nie będzie się w to mieszał. Zaczekamy. Najważniejszy jest byt pisma, którego nie można rzucać lekkomyślnie na szalę rozruchów. — Od chwili, gdy Lewinson rozgrzeszył Watlocha i sam niejako, ofiarnym gestem namaścił go jako swego następcę, Watloch przeobraził się w sejsmograf: nikt nigdy nie rozwinął takiego zmysłu ostrożności na stanowisku redaktora naczelnego. — Z Polakami jest tak — powiedział Watloch — że kiedy wieje wiatr politycznych ulg wierzą niezłomnie, że od teraz będzie lepiej na zawsze. Po czym wiatr przewiewa. Wraca, na lata całe, dawna niemoc i stagnacja. Tylko, że podczas tych długich lat Polacy wierzą w chwilowość niepowodzeń. — Nie tym razem — powiedział Andrzej. — Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Wiesz, że nadchodzi czas, w którym opadną więzy głupoty. — Wierzę, nie wierzę — rzekł Watloch wymijająco. — Tobie zaś przypominam, że masz jechać w długą i piękną podróż do siedmiu stolic. Wobec tego nie pojedziesz do Poznania. — To przypomnienie wydało się Andrzejowi rozsądne i ostudziło jego zapał.

Po czym odbyło się pamiętne zebranie, na którym skromny człowiek o czystych paznokciach i w tuzinkowym garniturze, palący popularne papierosy w groszowej, szklanej lufce, przemawiał jako rzecznik tego, co nowe i lepsze.

Odtąd, przez następne tygodnie i miesiące, Andrzej chodził rozpromieniony, jak ogromna większość Polaków. Wszystkim chętnie opowiadał jak przełożeni trzymali but na jego ustach, jak nie mógł mówić co czuł naprawdę i jak nieustępliwie walczył z tą przemocą. Zresztą wszyscy znajomi mówili podobnie. Prohorowski głosił, że nareszcie będzie mógł handlować z zagranicą zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku: z jego oświadczeń wynikało,

że dotąd nie handlował, nie zarabiał, nie korzystał z diet służbowych w lokalach ze *strip-tease*'m na Montmartrze, lecz codziennie rano był krzyżowany za chęć handlowania. Larbiński udzielił szeregu wywiadów prasie filmowej z których wynikało, że ktoś się zabronił mu być wielkim reżyserem i artystą. Nie wyjaśnił, kto to był, ale dodał, że nie żałuje tych lat, w czasie których doskonalił warsztat. Zaś teraz zabiera się do pracy nad scenariuszem młodego pisarza, dotąd pensjonariusza jednego z domów poprawczych, który to scenariusz przeraża autentyzmem, jest samą prawdą, i odtąd Larbiński, wyzwolony z pęt, zamierza służyć tylko prawdzie, a pośrednio, przy pomocy prawdy, swojemu społeczeństwu. Lorant uśmiechał się wąsko i informował wszystkich, że nareszcie świat obracać się będzie wokół swej osi, zgodnie z prawami nauki. Cieszył się powściągliwie z faktu, że naczelną normą życia stanie się znów rozum i wytworna, wsparta na doświadczeniach stuleci poprawność. Nie omieszkiwał dać do zrozumienia, że ta błogosławiona odmiana jest w pewnej mierze jego zasługą: gdyby tacy jak on, odporni na przejawy brutalności i świadomi istoty rzeczy, nie wytrzymali przez te wszystkie lata na eksponowanych stanowiskach, na których — Bogiem a prawdą! — było zupełnie nie do wytrzymania, nie byłoby komu przygotować i wsączyć w umysły tych na szczycie upragnionej przez naród naprawy. Nie dodawał tylko, że prymitywne gwałty i wulgarne presje wytrzymywał w Rzymie, New Delhi, lub Rio de Janeiro, lecz nikt mu o tym taktownie nie przypominał. Hryniewicz wdychał ciężko i mówił: — Dziękujemy niebiosom, w które patrzyłem bez chwili wytchnienia, szukając w górze uciezki i nadziei. Nie ma to nic wspólnego z religią, po prostu pasowałem się ze sobą, ażeby nie brudzić mego wzroku przyziemną przemijalnością, zanurzałem go w to, co wieczne, co w końcu jest ponad wszelkim złem. Ani na chwilę nie oderwałem się od mego narodu, nie uległem pokusie zamknięcia się w kryształowym naczyniu, w wieży w słoniowej kości, jak to czynili inni. Dzieliłem to, co żmudne i wzniosłe z mym narodem, krocącym uparcie po ostrych, raniących kamieniach trudnej drogi ku lepszej przyszłości, wędrowałem wraz z nim przez ogień i wodę i dlatego mam teraz prawo sądzić siebie i innych. — Zaufanym zaś przyjaciółom dodawał ze szczyptą udreżonego humoru, który jest przywilejem proroków: — Co prawda, kroczyłem obok głównej kolumny marszu, wąską ścieżką boczną, raczej dobrze wydeptaną przez wodzów, ale trudno, taki już jest przywilej pisarza i poety, który musi patrzeć z boku... aby lepiej widzieć, aby go dusza bolała i wydawała dźwięk dogłębny, mobilizujący wrażliwość gromady... — Lewinson przeżywał trage-

dię oczu, z których opadło bielmo. Widział naraz świat takim, jaki jest naprawdę, w co nigdy nie chciał wierzyć. Nie spał, nie jadł, nie wychodził z domu, chudł, czerniał, nikł. Wstydził się żaru swych uczuć, wstydził się siebie wobec lustra, żył w stanie lamentu biednego czciela, o duszy czystej jak łąza, którego pokarał Pan, dla którego niepojęte są wyroki Przedwiecznego. Postradał gdzieś sarkazm, ironię i barwy intelektu, które tak świetnie służyły mu w chwilach spokojnej swobody ducha. Stefania, która nie opuściła Andrzeja po jego przeprowadzce z Saskiej Kępy i sprzątała teraz w mieszkaniu na Starym Mieście trzy razy w tygodniu, mówiła do Elżbiety: — Teraz jak chcę napyskować o coś w sklepie, czy w tramwaju, to proszę bardzo... I co pani powie? Zaraz życie robi się lepsze... — Redaktor Nowara powiedział Andrzejowi: — Nareszcie! Nareszcie kres urągań z ogólnoludzkiej logiki! Pamiętasz, jak walczyliśmy z czarną magią pojęć, z polowaniami na czarownice, z szczuciem przeciwko godności ludzkiej? Mam na myśli tą małą, jakżeście ją nazywali? Acha, Grzanka... Mówiąc szczerze, bardzo mi się podobała. Nie wiesz, co się z nią dzieje? — Wyszła zamąż — rzekł Andrzej. — Za pewnego specjalistę od badań jądrowych. Podobno bywa na przyjęciach w Radzie Państwa. — Mam nadzieję, że nie zapomniła jak jej broniłem — westchnął Nowara. — Chociaż, gdzie tu mówić o spłacie zasług? Nikt z nas nie dostanie orderów, nagrodą musi nam być świadomość, że niezłomnie staliśmy po dobrej stronie.

Klara Onyx westchnęła: — Miejmy nadzieję, że znów będzie się można zająć bez przeszkód ozdabianiem kobiety, tej ozdoby życia... — Hojda napisał długą nowelę, opublikowaną od razu przez jeden z miesięczników literackich; dał w niej wyraz przekonaniu, że postęp i kultura są dziełem błędzących. Działanie człowieka jest z natury rzeczy źródłem błędów, jedynym sposobem, aby nie błędzić, jest nie działać, co z kolei jest przeciwne życiu. Czy się więc aprobejuje to, czy potępia, tylko z sumy błędów rodzi się owoc osiągnięć; zaś nigdy nikogo nie wolno potępiać za działanie, które jest męką konieczną, a więc nie podlegającą ocenom historycznym i moralnym. Nowela była piękna i żarliwie napisana i chociaż stanowiła niedwuznaczną pochwałę głupoty, małoduszności i służalstwa, przyjęta została ze wzruszeniem, jako dowód twórczej introspekcji zaraz po zerwaniu pęt. Jedyne sam Hojda nie był z niej zadowolony, coś go gryzło, chodził po Warszawie skwaszony i opryskliwy, zaś w końcu popadł w pijaństwo i zmuszony był udać się do sanatorium dla nerwowo chorych, gdzie spędził trzy miesiące. Wszystkich jednak zakasował rybioki sekretarz redakcji, ten od afery z Grzanką,

w zlewie gęstniała tłusta woda, pokrywająca niezmyte naczynia. — Każda by tylko jadła — poskarżył się pachnący. — Do sardynek i pomarańczy są pierwsze, ale żeby która sprzątnęła... Żadnej nie przyjdzie do głowy. — Znalazł wreszcie pół butelki jugosłowiańskiego wermutu i przetarł kieliszki ścierką koloru błota.

Andrzej usiadł na amerykańce, zaś pachnący na krześle. — Porozmawiamy szczerze — rzekł pachnący. — Raz w życiu. Po raz pierwszy.

— Czy sądzi pan, że dotąd byłem nieszczerzy? — spytał Andrzej z nieszczerym uśmiechem.

— Sądzę, że zbyt pan się bał, żeby sobie na to pozwolić.

Ten ton nie odpowiadał Andrzejowi. — Nigdy nie zaszła potrzeba użycia środków specjalnych — powiedział. — Wydawał mi się pan zawsze życzliwy. Po cóż miałbym traktować pana jako przeciwnika?

— Kochany... — rzekł pachnący z szyderczym zmrużeniem oczu, z którego wynikało, że słowa Andrzeja są tanim kłamstwem, zaś on, pachnący, wie jak jest naprawdę.

Zapadła niezręczna cisza: coś im się nie kleiło. — Czy pan myśli — powiedział pachnący krzywiąc twarz w wysiłku dobierania słów — że mnie to odpowiada? Takie życie? — Zatoczył ręką wokoło i zatrzymał palec na kuchni.

— Życie młodego utracjusza? — uśmiechnął się Andrzej. — Warszawskiego kobieciarza na doskonałej posiadzie? Uroczego birbanta, konesera dziewcząt i alkoholi? Tak zwane słodkie życie? — Pouczał zbliżającą się przewagę, pachnący parł do zwierzeń.

— Ja jestem człowiekiem rodzinnym. Gospodarna żona i dobrze wymyte dzieci, oto czego mi trzeba.

— Co stoi na przeszkodzie?

— Brak stabilizacji.

— Nie rozumiem?

— To ja panu powiem: brak widoków na przyszłość.

— Pan?

— Tak, ja.

Andrzej pokręcił głową z ironicznym niedowierzaniem. — Wydawało mi się — rzekł obraźliwie — że ma pan w ręku zawód, którego przydatność jest wieczna. A przynajmniej tak długa dopóki nie zbudujemy komunizmu i nie przeżyje się państwowy aparat władzy.

— Mnie się też wydawało.

— I co?

— I nic. Niedługo przeniosą mnie z *Marzanny*. Dokąd? Nie

wiem. Może na stanowisko szefa handlowego spółdzielni *Pierzyna*, może zostanie kierownikiem żłóbka? Może skierują mnie na kursy kwalifikacyjne, po których zostanie kasjerem w lunaparku, dyspozytorem ruchu na dworcu autobusowym, lub celnikiem. Nie wiem. Nadeszły czasy, w których płaci nam się pogardą za nasze nieprzespane noce na służbie.

— A pan chciał, żeby pana kochali? Ludzie, społeczeństwo? I boli pana dusza, ponieważ nabrał pan podejrzeń, że może tak nie jest, co? — zaatakował brutalnie Andrzej.

Pachnący wstał z krzesła i podszedł do Andrzeja. — Posłuchaj pan — powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu. — Czy pan myśli, że pana kochają? Ci co pana czytają?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — skłamał Andrzej. — Nigdy mi o to nie chodziło — skłamał powtórnie.

— A mnie chodziło. O to właśnie. I panu też, nie do mnie ta mowa. Nawet pisząc kłamstwa zawsze kombinował pan sobie w duchu, że ludzie pana zrozumieją i rozgrzeszą. Że pomyślą, że pan chce inaczej, i dlatego trzeba pana kochać, bo pan chce dobrze, ale nie może. Tak pan sobie marzył, że o panu myślą, bo każdy, nawet mordując, wzdycha ciężko i ma nadzieję, że inni pojmą, że on inaczej nie może i w związku z tym jest bardzo biedny i należy mu się żal i współczucie.

— To nie jest tak — zamyslił się Andrzej.

— A jak?

— Pan mówił o sobie, przed chwilą, nie o mnie. Pan wierzył, że paskudny grzech nic nie znaczy o ile idą za nim szlachetne dążenia do uszczęśliwiającego ludzkość celu. I dlatego dusza w panu łkała, że bliźni mają pana za paskudnego grzesznika, zamiast płakać nad pana dołą pioniera, osuszającego wielowiekowe bajora, zanurzonego po pas w błocie. I że nie kochają pana za to, za co zdaniem pana zasługuje pan na czułość ze strony bliźnich, lub jak pan woli — społeczeństwa. Ale nie ja. Jeśli pisałem, jak pan to określił, kłamstwa, to nie dla tego, że wielki cel uświęca wszelkie środki. Co najwyżej dlatego, że mój mały cel aprobuję każdą sposobność. Ja zawsze miałem poważne wątpliwości, uważałem tylko, że to nie moja sprawa.

Pachnący pokiwał głową, jak nad kimś, kto upiera się bezsensownie. — Oj, wie pan aż za dobrze — powiedział — ile rzygowin wtłaczał pan sobie do gardła za każdym razem, kiedy pisał pan to, na myśl o czym flaki się w panu przewracały. Ile użerań było o każde słowo. Ile się pan napocił, broniąc własnej niewinności przed samym sobą i jak to panu nigdy nie pomogło. Redaktorze, nie zechce mi pan naiwnie wmawiać, że nie tęsknił pan jak katorżnik do tego, żeby ludzie wiedzieli prawdę o gwał-

cie, jaki panu zadają komuniści i prawdę o tym, jak pan się przed tym gwałtem broni, jaki jest pan czysty w głębi pańskiego szlachetnego serduszka i jak bardzo inaczej myśli pan o tym, o czym pan przed chwilą t a k m u s i a ł napisać! Tymczasem ludzie sobie po prostu przeczytali i pomyśleli, że jest pan kanalia. O żadnym zrozumieniu wirów pańskiej duszy, pana prawdziwej sytuacji, a tym bardziej o miłości i litości dla pana nie ma mowy.

Andrzej milczał przez chwilę, po czym rzekł: — Żal mi pana. W gruncie rzeczy ma pan rację. Obaj, jak się okazuje, należymy do ludzi, którzy oczekują zapłaty za coś, co im się naprawdę należy. — Poczuł potrzebę zdrowego oportunistu, nie rozdrażniania nikogo.

— I nie otrzymają jej nigdy... — pachnący błysnął wzrokiem chytrze. — Ja chciałem dobrze... — dodał nieoczekiwanie.

— Obaj chcieliśmy dobrze. I chcemy dobrze. To nas łączy.

— A powiedzieć panu, co nas dzieli? — rzekł pachnący opryskliwie. — Bo nie przypuszcza pan chyba, że wszystko nas łączy?

— Nie, nie przypuszczam — rzekł Andrzej twardo: znów był zmuszony do napastliwości. — Nie — dodał z natrętną aluzją — nie należy popadać w złudzenia. Zwłaszcza pan.

Pachnący uśmiechnął się krzywo. — Kochany — rzekł z podejrzaną łagodnością — zaczynaliśmy niemal razem. Razem uwierzyliśmy w to samo i postawiliśmy na to samo. Po czym do mnie strzelano za tę wiarę, polowano na mnie jak na wściekłego psa. Nienawidzono mnie. Czuję nienawiść na każdym kroku, w każdym zalęknionym spojrzeniu, w każdym uprzejmym słowie każdego łotra i każdej kurwy. Najgorsza szmata czuła się czymś lepszym ode mnie i nawet bojąc się śmiertelnie nie potrafiła tego ukryć. A pan? Pan siedział w kawiarni *Kopciuszek*, a potem w kawiarni *Lajkonik* obrastał w piórka w ciszy i spokoju, tył pan w zadowoleniach i przyjemnościach. Popularność, widoki na przyszłość, *Kameralna*, Zakopane, dziewczyny z uniwersytetu, ukłony i szacunek należny panu redaktorowi. Pod moją opieką...

— Pod pana opieką? — zdziwił się Andrzej z pobłażliwym lekceważeniem.

— Tak, pod moją opieką. Bo gdyby mnie wykończono gdzieś pod płotem, to zaraz potem przyszłaby kolej na pana i takich, jak pan. Był pan następny do golenia, zaraz po mnie. I zdradza pan rzadką naiwność, jeśli pan o tym nie wie.

— To są raczej historyczne — rzekł Andrzej ogłędnie. — Ogólne i warunkowe. Mniej, lub więcej słuszne. Z nimi trzeba ostrożnie...

— A panu chodzi o jakie? Jednostkowe? Prywatne? Proszę bardzo. Pamięta pan, kiedyśmy się ze sobą po raz pierwszy... — zabrakło mu czasownika na określenie tej czynności. — Muszę dziś przyznać, że kiedy siedział pan spocony, bełkoczący głupstwa, straszna gorycz schwyła mnie za gardło i gotów byłem pana wgnieść obcasem w brudną podłogę. Tak sobie siedziałem i myślałem i żal mną targał, że ja w takim gnoju, wyrzeczeniu, niebezpieczeństwach, bez godziny snu, a pan kina, potańcówki, spaceru, odczyty, dziwki, kajaki na wakacjach, bezpiecznie, ku coraz lepszemu. I tak mnie korciło, żeby pana zgasić za tę moją zajechaną młodość, za te moje krzywdy i prześladowania... Co z pana był za przeciwnik? — rzucił z pogardą. — Mogłem pana załatwić jak komara. I jakby to wszystko inaczej dziś wyglądało, gdyby się pan tak przesiedział dychę lat za frajer, za nic, za to tylko, że w każdej chwili mogłem pana zrobić w co by mi się zechciało. Ale pomyślałem sobie, że tak nie można, że trzeba po ludzku, że skoro nic pan nie przeszkrobał... I puściłem pana.

Andrzej zapalił papierosa z pewną trudnością. Czuł gorąco na plecach i zamęt w myślach, wypełnionych nagle obrazem majora Mańczyka. Czyżby wyglądał dziś tak, jak Mańczyk? A może gorzej?

— A potem — mówił spokojnie pachnący — też się panem opiekowałem, pilnowałem pana z daleka. Zawsze i wszędzie.

Andrzej spytał chłodno: — Powód? Dlaczego akurat mną?

— Bez specjalnego powodu. Po prostu upatrzyłem sobie pana. Bawiło mnie, że mam swój numer, swego typu, jak na wyścigach. Stawiam na niego, zobaczymy, czy wygra, wobec tego trzeba mu ułatwić to i owo.

Ta mitologizacja możliwości uspokoiła nieco Andrzeja. Wiodocześnie zrodziła się w facecie potrzeba nadnaturalnego znaczenia i wybrał jego, Andrzeja, aby na nim poćwiczyć swą manię, zalałującą tandetnym determinizmem z tanich romansów szpiegowskich.

— Czy sądzi pan — ciągnął pachnący — że nie chciano tu i ówdzie wyciąć panu pokaźnego numeru? Choćby te donosiki, płynące z pana macierzystej redakcji, ogólne, tyżące wszystkich, ale w których i pana rubryka zapisana była gęstym maczkiem.

— Czy były tam jakieś konkretne zarzuty?

— Nie.

— Czyli, że byłem czysty jak łąza. I pan o tym wiedział.

— Cóż to ma za znaczenie? Wtedy pracowało się dla wypełnienia planu, na konto, dla premii. Od łebka. Czysty, niewinny... Pan żartuje?...

Andrzej wstał, przeszedł się po pokoju, zajrzał do kuchni

raz jeszcze. Kiedy odwrócił się i stanął przed pachnącym, miał spokojną twarz. — Więc dobrze — rzekł. — Co pan proponuje?

— Nagrodę — rzekł pachnący.

— Za co?

— Za to, że zawsze byłem porządnym człowiekiem.

— Otrzymał ją pan. Jest pan dyrektorem domu mody *Marzanna*.

— Ale są tacy, którzy uważają, że powinienem dostać pięć lat więzienia za to, że byłem porządnym człowiekiem. Ja zaś boję się, że ci, którzy decydują o tym, co ze mną, wybiorą drogę pośrednią i zostaną dróżnikami kolejowym pod Łomżą, albo księgowym w mleczarni na Dolnym Śląsku. Chyba, że...

— Że co?

— Chyba, że mi pan pomoże skończyć z tym, co było. Szlus. Raz na zawsze.

— Ja? A czy mogę?

— Może pan. Może pan sprawić, że moi nowi przełożeni uwierzą, że jestem naprawdę doskonałym szefem domu mody. Są na to dziś sposoby. Wolna opinia publiczna, prasa, popularność, nazwisko w gazetach, artykułiki, odzwierciedlające uznanie społeczeństwa... Czy ja mam pana uczyć jak się fabrykuje wiarę w człowieka? Opinię o człowieku...

Andrzej wyciągnął rękę, którą pachnący potrząsnął po męsku, krzepko, serdecznie.

38.

(1957) Pan Edek został usunięty z partii. — Zawsze byłem postępowym lewicowcem — oświadczył. — To znaczy, nosiłem ideały w sercu. Jeśli usunięcie mnie z partii pomoże wielkiej sprawie, to proszę bardzo, przyjmuję tę decyzję ze smutkiem, lecz także ze świadomością, że się przyczyniam... — Tych dywagacji wysłuchiwał Mikołaj w *Spatifie*: mieli już za sobą dwie ćwiartki i dusze przepełnione potrzebą doniosłych porozumień. — Stary — rzekł Mikołaj serdecznie — nie chcę ranić twych uczuć, ale trzeba przyznać, że jest to wydarzenie pełne zdrowego sensu. Stanowisz postać niezwykle ozdobną, zwłaszcza na optykę, ale, powiedzmy to sobie otwarcie, na akademii ku czci październikowej rewolucji jesteś pewnym zgrzytem, wywołujesz gwałtowny skurcz twarzy, jak po pomyłkowym rozgryzieniu dużego plastra cytryny. Nie, nie chcę w niczym umniejszać szczerości twych przekonań, ale przyznasz, że gdybyś pojawił się pomiędzy strajkują-

cymi w kapitalizmie robotnikami, powiesiliby cię z mety za sam wygląd. A zważ, że mówimy dopiero o zewnętrznych efektach twojej osobowości...

— Ty, Nick — jęknął pan Edek — wydajesz się umysłem o dużej delikatności, a nie rozumiesz, że z człowiekiem tak już jest. Jedno się kocha, a drugie się robi. Co ja jestem winien, że człowiek nie poprawia się w naszych warunkach, nie staje się socjalistycznym aniołem i wobec tego trzeba go twardo za jaja, żeby samemu nie wyjść na frajera? A w ogóle, co to komu szkodzi przedsiębiorczość? Niejeden naród zbudował sobie świetlaną przyszłość na przedsiębiorczych facetach.

Od pewnego czasu znajomi zauważali Mikołaja na ulicy, zatrzymywali go, ściskali mu rękę. Niektórzy mówili: — Przetrzymałeś wszystko... Ty jesteś kozak... w końcu wygrałeś... Nie ugiąłeś się wtedy, gdy inni się uginali... — Pan Edek również zdradzał tendencję do szablonowych zachwyków. — Ty, Nick — mówił, rozlewając trzecią ćwiartkę — wygrałeś. Przetrzymałeś Stalina, błędy i wypaczenia. Nigdy mi nie imponowałeś, bo nie lubię, żeby mi ktokolwiek imponował, ale muszę ci powiedzieć szczerze, dziś jesteś dla mnie bomba! *Chapeau bas!*...

— I co z tego? — rzekł Mikołaj; takie mowy smakowały mu jak wodniste lody w upał: nie dobre to, ale zawsze zimne.

Pił niedawno wódkę z kolegą z lat szkolnych, później harcerskim bohaterem walki podziemnej, wykonawcą wyroków na zdrajcach narodu i konfidentach Gestapo, ściskającym w momencie strzału zmięty obrazek świętej Teresy w spoconey, lewej dłoni: bohater wierzył, że strzela w imię dobra i wierzył, że ten poświęcony skrawek papieru chroni go zarówno przed popełnieniem niesprawiedliwości, jak i przed złym przypadkiem. Stali oparci o plugawe bufety, wokoło snuł się zaduch lichego tytoniu i ciągnęły się zaplute, błotniste, pokryte brudnymi trocinami podłogi Polski lat pięćdziesiątych. Kolega miał zgorzkniałą, polską krzywość w wargach, a w ogóle nie wyglądał już na śmigłego rewolwerowca, lecz na żalostnego, niezdarnego woźnego w obszarpanym paletku. — Nigdy, nigdy nie zeświniłem się żadną współpracą z bolszewikami... — powtarzał, coraz bardziej gorączkowo w miarę opróżniania butelki. — No i co z tego? — spytał Mikołaj. — Właśnie, co z tego? — zastanowił się odruchowo facet, zupełnie nie przygotowany na tak prostą wersję ugniecionej przez wieloletnie rozterki obsesji. Mikołaj wiedział co się w nim działo, znał ów straszliwy moment, kiedy czuje się własne życie jako dławiącą pustkę, w której żadne racje nie mają znaczenia. Obok ich nóg kłębała stara kobieta w złaćmanionym fartuchu i zgarbiała ścierką rozdeptane w brudne błoto trociny, co zwało się

zapewne, w regulaminie przedsiębiorstwa, czyszczeniem kafelkowej podłogi. — Błoto jest źródłem życia — powiedział Mikołaj. — Życie rodzi się z tego, co my, ludzie, nazywamy brudem, co darzymy odrazą, co budzi w nas wstręt. — Ale sam w to nie wierzył.

— Trochę tak jest — przyznał pan Edek. — Ludzie, kurwa ich mać, nie lubią tych, co mają w końcu rację. Ty jesteś lepszy... — dodał z głębokim przekonaniem.

— Dlaczego lepszy? — zachnął się Mikołaj i wypił setkę, wolno łykając, jakby wódka była ze śmietanką. — Jedni coś robili, a ja nie, bo mi się nie chciało. Leniwy, nie lepszy.

— Lepszy, boś nie błędził. I za to cię będą właśnie teraz gnoić, żeś nie błędził, a inni błędzili. Bo... — pan Edek wpadł w proroczą swadę, którą się długo pamięta — ... wszyscy uważają teraz, że błędzić to ludzkie, to piękne, to świadczy o tęsknotach i wysiłkach. Przecież muszą się jakoś bronić! A jak się bronią, to mają nowy temat i za to, że błędzili, a teraz przestali i o tym napisali, otrzymują nowe mieszkania, nowe podróże na festiwale filmowe za państwowe pieniądze, nowy przepis na robienie kogoś z nikogo.

Mikołaj nie uważał, żeby akurat panu Edkowi należała się rola sumienia odnowy społecznej. — Nie ma powodu ich ścigać, tak uważam. Tylko, że... znasz panią Stoll?

— Ja znam wszystkich — rzekł dumnie pan Edek.

— Otóż ta stara bładź powtarzała zawsze za Stalina: „Powiedzcie Plankowi, żeby się zajął wyplataniem koszyków, albo sprzedażą krawatów, bo póki ja tu siedzę on nie wyda żadnej książki w Polsce”. Niedawno pomyślałem sobie, że ciekawie byłoby zanieść coś do wydawnictwa pani Stoll i zobaczyć, co będzie teraz. Pani Stoll wzięła ode mnie maszynopis, a po dwóch tygodniach przysłała mi go z powrotem z listem, w którym donosiła, że książka nie nadaje się do druku ze względu na okrucieństwo, pornografię i wynaturzenia.

— Jasne — westchnął pan Edek. — Jak mogło być inaczej? Ponieważ pani Stoll błędziła kiedyś ty nie błędził, więc przejawiała głębokie człowieczeństwo. To jej pozwala gnoić cię w świętym przeświadczeniu o własnej słuszności. Wiesz za co? Za nieludzkość. Chciałeś być uczciwy, więc nie jesteś człowiekiem. Tego się nie wybacza, pod obcas takiego skurwysyna, co śmiał być lepszy... Cała chwała dla byłych kanalii i byłych głupców, tak już jest od czasu, gdy Chrystus wynalazł spowiedź i rozgrzeszenie. Więcej radości w niebie z nawróconego grzesznika i tak dalej. Tfu, rzygać się chce...

(1957) Andrzej spotkał na ulicy Mańczyka. Weszli do kawiarni i wypili kawę. Mańczyk wyglądał dobrze, przytył, twarz miał opaloną, oczy spokojne. Poinformował Andrzeja, że dostał posadę, udało mu się zdobyć przyzwoity pokój sublokatorski, ma plany na przyszłość. Widać było, że osadził się w życiu na nowo. Andrzej powiedział: — Cieszę się że w owym krytycznym momencie, pamięta pan, znalazł pan drogę właśnie do mnie... — Wynikało z tych słów, że Andrzej uważa, iż okazał wówczas Mańczykowi jakąś pomoc, za co należy mu się uznanie, lecz Mańczyk nie przytaknął, czym dał jakby do zrozumienia, że na ten temat ma swoje zdanie. Wobec tego Andrzej rzekł: — A więc przepłynęliśmy szczęśliwie pośród wirów i raf owych strasznych lat. Okazuje się, że kierunkowa była zdrowa i dobra. Pan jest tego dowodem. Jest pan przykładem triumfującej ponad wszystkim sprawiedliwości. — Casus Mańczyk był dlań wymarzonym dowodem własnej przyzwoitości: ukazywał trafność wyboru, wbrew wszelkim wahaniom. Wraz z uspokojonym Mańczykiem ład sumienia mógł mu towarzyszyć w podróż do siedmiu stolic: za sobą zostawiał kraj, w którym triumfowało dobro i wiał ożywczy wiatr, jakże ułatwiający trudy reprezentowania.

Po rekomendacjach Hryniewicza stosunki z panią Stoll ułożyły się obiecująco i miał podpisać umowę, z której zaliczka pokryłaby przygotowania do podróży. Pani Stoll traktowała go z wyższością, jakby obcowanie z nim przynosiło jej jakąś ujmę, lecz szła mu na rękę i ułatwiała każdą rozmowę. Czasem chwycił jej wzrok na sobie, zamyślony, jakby wybiegający w przyszłość.

Andrzej przeżywał przypływ zaufania we własne siły. Ogarnęła go pewność powodzenia, nawet kobiety wydawały mu się łatwe i nim zainteresowane. Był rozrywany towarzysko. Wprawdzie minęła epoka dumy z najciaśniejszego kąta, wydającego się rozległym pałacem, którym należało natychmiast pochwalić się przed znajomymi, niemniej powszechne zadowolenie przeobrażało się łatwo w łańcuch spotkań towarzyskich. Andrzej należał do postaci ostro podkolorowanych przez nowy okres: co tydzień ukazywał się w *Horyzoncie* jego artykuł, czy reportaż, zawsze zabarwiony miarodajną dociekliwością wobec spraw niby niechętnie ujawnianych. Ponadto zmienił fryzurę na płaską, krótką i szesaną do przodu i ubierał się z dyskretną elegancją. Jeszcze nigdy nie czuł się bardziej na swoim miejscu: służyła temu dziwna struktura luster o krzyżujących się odbiciach, w których doznała koniunktura odbijała walory Andrzeja Felaka wprost w

lekkie osłepione, jak od puszcanych przez dzieci zajęczków, oczy społeczeństwa. Skąd wzięło się naraz tyle dodatnich cech w jego osobie — trudno dojść. Faktem jest, że sprzedawał wszystko: ruchliwość, inteligencję, znajomości w kręgach oficjalnych i stare powiązania z wycofaną na margines opozycją, swoją przeszłość wojenną i swoją przeszłość powojenną, atrakcyjność swej żony, a także znajomość z Mikołajem, którą nazywał teraz przyjaźnią, przeniesioną przez lata koszmaru. Nie można było inaczej, albowiem „Pościel przekłeta”, wydana w końcu przez wydawnictwo, w którym siedzieli osobiści wrogowie pani Stoll, rozchwyтана została przez publiczność. Trzy następujące po sobie nakłady „Pościeli”, wydane mimo gorączkowych machinacji pani Stoll, uczyniły z Mikołaja prawodawcę sumień, chociażby na wąskim i krótkim odcinku łóżka i uczuć z nim związanych; trzeba jednak przyznać, że zastosowanie tego mebla uniwersalizowało się współcześnie. Andrzej królował zatem na przyjęciach, akceptował zaproszenia na nowe przyjęcia z łaskawym uśmiechem, z uśmiechem zdawkowej kordialności brał wizytówki, po czym chował je pieczołowicie do portfela, podczas gdy Elżbieta ujmowała go pod rękę, ruchem zadowolonej akcjonariuszki. W tę sielankę wdarła się jak nieprzyjemny zgrzyt sprawa z Weroniką. Zatelefonował Kostkowski i poinformował Andrzeja o następującym: był wieczorem u *Dziennikarzy*, przy sąsiednim stoliku siedziała Weronika, otoczona luminarzami prasy i radia, mówiono o nim; Weronika powiedziała, że wątpi, czy Andrzejowi uda się pojechać w planowaną, wielką podróż, zaś na pytanie, dlaczego tak sądzi, uśmiechnęła się tajemniczo i powiedziała, że u pewnych miarodajnych osób serwilizm Andrzeja i jego układność wzbudzają różne wątpliwości, a nawet podejrzenia na co obecni przy stoliku luminarze pokiwali głowami ze zrozumieniem. Andrzej spocił się brzydko, jak zawsze, gdy dowiadywał się zakulisowo o jakichś napastliwościach, po czym zastanowił się chłodniej, jaki ma w tym interes Kostkowski, aby go informować. Zaś Kostkowski powiedział: — Musisz coś z tym zrobić, takie wredne plotki gdy dotrą tam, gdzie nie trzeba, mogą wyrządzić niepowetowane szkody. Mówię ci to nie dlatego, że dbam o twoje interesy, lecz dlatego, że jestem za czystością atmosfery w naszym środowisku. Nie będzie można żyć, jeśli każdy będzie niszczył każdego, choćby tylko z głupoty. Muszą obowiązywać jakieś zasady gry i zdrowy rozsądek, inaczej tak wszyscy dostaniemy w tyłek, że nie będzie na czym siedzieć.

Andrzejowi wydawało się, że Kostkowski żyje właśnie z nieczystości atmosfery, lecz mogły go trawić jakieś kompleksy. Kostkowski żył kiedyś z Weroniką, bardzo krótko: kiedy Wero-

nika zaczęła wspinać się w rejonu Lorantów, Hojdów i Larbińskich, rzuciła Kostkowskiego jak wyrzuca się jakiś kompromitujący szczegół.

Nazajutrz Andrzej zadzwonił do Weroniki i spotkał się z nią. — Posłuchaj, Weroniko — powiedział — żyjemy w warunkach, w których łatwo jest stwarzać o ludziach opinie zmieniające ich życie i ich zamiary. Czasem wyrażając niewiarę w czyjeś zdolności sprawiamy, że człowiek ten pozostaje niezdolny przez całe lata, mimo, że obdarzony jest talentem większym, niż inni. Albo inaczej: gdybym ja, na przykład, zaczął mówić o tobie, że się źle prowadzisz, to w ciągu paru tygodni nie będziesz niczym innym, jak kurwą i tylko kurwą, żebyś nawet zamieszkała w klasztorze sióstr Karmelitanek bosych i podtykała pod nos każdemu w *Spatifie* referencje matki przeoryszy. Pomyśl sobie nad tym dobrze...

Weronika odęła kształtne wargi, kryjąc zdenerwowanie i wysuwając na plan pierwszy swój atutowy urok, mianowicie wyraz mądrego roztargnienia na twarzy. — Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi, Andrzeju — powiedziała. — Przecież zawsze miałeś i masz we mnie przyjaciółkę.

Andrzej pomyślał, że nie wiadomo jaki jest udział pachnącego w tej sprawie, oraz kim Weronika będzie za dwa lata, lub za kogo wyjdzie zamąż, bądź z kim się jeszcze prześpi, wobec czego postanowił nie cisnąć pedału do końca. — Bardzo liczę na twoją przyjaźń — rzekł. — I mam nadzieję, że ci przywiozę klip-sy z tej podróży, w którą się obecnie wybieram.

Weronika klasnęła w dłonie opracowanym gestem rozradowanego podlotka. — Och! — zawołała. — Tak chciałabym, żebyś pojechał! Marzę o klipsach, ale o takich czarnych, długich, wiszących. U nas za Boga nie można takich dostać...

40.

(1957) Przed wyjazdem Andrzej spytał Mikołaja dlaczego nie ciągnie należnych sobie dywidend. Zabrzmiało to enigmatycznie i Mikołaj nie rozumiał początkowo, o co chodzi. — Przecież nadszedł twój czas — wyjaśnił Andrzej i Mikołaj roześmiał się głośno, co nawet Andrzeja uraziło. — Przecież czekałeś tak długo... — dodał.

— Na co? — spytał Mikołaj i Andrzej nie bardzo potrafił odpowiedzieć, na co czekał Mikołaj, aby nie wydać się naiwnym. Określenia traciły ważność z dnia na dzień, wczorajszy wróg

stawał się dzisiejszym sojusznikiem, wczorajszy wielkorządca dzisiejszym prześladowanym, bratającym się z byle szarakiem, którego kształtu nie wyodrębniłby jeszcze wczoraj z zatłoczonej ulicy. Przyszło mu wręcz na myśl, że może Mikołaj na nic nie czekał, lecz to wydało mu się nieprawdopodobne. Przecież na coś musiał czekać, trawiąc lata całe na przymusowej, ascetycznej bezczynności? Zresztą sukces Mikołaja okazał się krótkotrwały: wprawdzie publiczność wyrывała jego książki z rąk sprzedawców, zaś numer czasopisma, w którym udało mu się coś ogłosić, wyprzedawany był doszczętnie z kiosków, to przecież zaznaczył się niebawem regres swobód, który z precyzją uderzył wprost w Mikołaja. Po jakimś czasie okazało się, że o wydawaniu jego książek decydować będzie jednak pani Stoll, dla której przez tak długie lata był tylko żałośnie pocieszną postacią bez prawa przekroczenia progu jej gabinetu, o produkcji jego filmów wyrokować będzie Larbiński, zasiadający w miarodajnych komisjach. O jego wydanych już książkach pisywać będą w prasie Ewelina Karp, a co gorsze, były sekretarz redakcji *Wieczoru Warszawy* o rybim spojrzeniu, obecnie ceniony krytyk literacki ogarnięty ształem formułowania codziennie nowych, lecz zawsze zgodnych z chwilowymi postulatami władców kryteriów wartości; zaś filmy jego oceniać będzie redaktor Nowara, coraz pewniejszy swych kwalifikacji znawcy, mimo przeżytych wstrząsów. Nikt z tych ludzi nie żywił, z natury rzeczy, uznania dla Mikołaja: przez długie lata firmowali i wychwalali wszelką nad nim przemoc, którą dziś potępiali w łzawym przeświadczeniu, że przemoc ta zmuszała ich do egzekwowania na Mikołaju wszelkiego zła, czyli roztkliwiali się nad sobą, a nie nad swoją ofiarą. Stąd był już tylko krok do lamentu nad sobą, jako nad kimś oszukanym i zdradzonym, a nade wszystko bez winy. — „Użalcie się nad nami, biednymi zbirami...” — uśmiechnął się Mikołaj do Andrzeja. — To nie są moje słowa, lecz pewnego rosyjskiego dramaturga. Mój Andrzeju... — dodał pojednawczo — ... kiedy przypomnieć im pisane przez nich zdania, wtedy krzyczą, że cierpieli, przeżywali, parali się z losem człowieka. Nazywają to tragedią komunistów. Twierdzą, że przeszli przez piekło. Wiemy jednak, że piekło to inkrustowane było wszelakim dobrem doczesnym, a także najważniejszym z tych dóbr — poczuciem nie marnowanego życia. Dziś swe sukcesy w zaprzeczaniu swym dawnym okrzykom nazywają dojrzałością; pogardę dla własnych słów, którymi kiedyś zdolni byli zabijać, zwą rozkwitem myśli, bądź sumienia. W jednym nie ustają: w sprawnym ciągnięciu zysków i profitów z nowego kneblowania nam ust. Naszych ust, których się ciągle boją...

Andrzej milczał: pierwsza osoba liczby mnogiej, użyta przez

Mikołaja, dawała szansę honorowego nie poczuwania się do niczego. Mikołaj nie znał zresztą wielu faktów: na przykład przed kilku dniami wstąpił do redakcji *Horyzontu* pewien duński filmowiec. Mówił z egzaltacją w przetyku o krótkich metrażach Mikołaja. Pragnął odnaleźć Mikołaja w Warszawie. Malecki powiedział, że nie potrafi mu pomóc. Właśnie nadszedł Kostkowski z zapasem notatek do rozprawy pod tytułem „Sukcesy kultury polskiej zagranicą, czyli o naszych sławnych rodakach”: roiło się tam o różnych facetach, robiących lalki ze słomy, o primadonnach, które wykonały arię z „Aidy” wobec widowni złożonej z pięćdziesięciu osób na otwarciu polskiej szkoły w Winnipeg, oraz o karierze pewnego warszawskiego kociaka, reklamującego biustonosze w telewizji austriackiej. — Myślę — mówił Duńczyk — że panowie chlubicie się Plankiem. Gdybyśmy my mieli takiego Planka... Przywożę dla niego propozycje od mojej firmy i muszę się z nim zobaczyć. — Prowadzi nieuregulowany tryb życia — uśmiechnął się wymijająco Malecki — ciężko będzie pana z nim skontaktować. — Bez trudu to załatwię — wtrącił Kostkowski, lecz Malecki spojrzął na niego zimno i znacząco, po czym rzekł do Duńczyka: — Powinien pan zetknąć się z Larbińskim, naszym słynnym reżyserem. — Wiem, wiem — rzekł Duńczyk uprzejmie. — Lucjan Larbiński. Kino tradycyjne i solidne... — dorzucił uprzejmie. — Ale nie odkrywa niczego. To nie Plank... — zakończył marząco. — Nie docenia pan Larbińskiego... — zaczął Kostkowski natrętnie: zależało mu bardzo na wydrukowaniu przyniesionego materiału, potrzebował pilnie pieniędzy.

— Fatalną spuścizną wypaczonego chrystianizmu jest — powiedział Mikołaj — że grzesznicy ujawniając swą winę publicznie bez cienia żalu, po czym przemieniają się natychmiast w oskarżycieli. Skrucza, czyli to, co dzisiaj nazywamy odpowiedzialnością, nie obowiązuje już nikogo, jakby zapomniano, że wszelaka wartość wznosi się zawsze na odkupieniu win. — Dlaczego więc nie upomnisz się o swoje miejsce, dlaczego nie przywoździsz machinacji przeciw tobie? — rzekł Andrzej niecierpliwie. Więc dlaczego nie mścisz się, nie walczysz, nie karzesz? Teraz! Teraz masz swoje pięć minut, teraz, albo nigdy...

— Ja? — uśmiechnął się Mikołaj. — Ja nie urodziłem się po to, aby karać, lecz aby rozumieć...

(1958) Jakże inny był ten Zachód od pozostawionego za sobą w pierwszym roku po wojnie. Pocerowany, oszczędny, za-

pobiegliwy, łatający dziury zamienił się w soczyste, bujne, zielone pastwiska połyskliwych samochodów. Kohorty wyrostków w skórzanej, bądź nylonowej odzieży, na skuterach, zarażały wielkie metropolie nudą dobrobytu, goniąc za prefabrykatami rozrywki: w ich bezrozumnie pogardliwych spojrzeniach Andrzej czuł się jak niepotrzebna narośl, lub skorupiak niższego rzędu. Głównym źródłem tego samopoczucia była nieustająca troska o pieniądze: diety służbowe w dewizach starczyły zaledwie na jakieś takie utrzymanie, oraz opłatę przejazdów i hoteli. Należało więc ograniczyć wydatki na wyżywienie, co przychodziło najłatwiej: przy aktualnym zainteresowaniu Polakami można było żywić się proszonymi obiadami i kolacjami. Ani przez chwilę nie wątpił jednak, że tu znajdowało się Eldorado, że tylko promieniowanie stąd przysporzyć może jego osobie i jego nazwisku chwałę tam, gdzie z kolei rosyła życiodajne korzenie. W czasie samotnych spacerów przez świat łatwej wygody i ulice obcych, bogatych miast przejęła go świadomość misji, która przypadła w udziale jemu, Andrzejowi Felakowi, poczuł posłannictwo, jakim został namaszczony: jego przyszłością będzie odtąd przenikanie dwóch cywilizacji, jego osoba musi się stać symbolem styku; Polacy za jego pośrednictwem poznawac będą smak i kolor rzeczywistości, w której pomarańcze kupuje się bez kolejki i tworzy się nowa wiedza o dworcach lotniczych, zaś ci stąd uznać go muszą za wysłannika i reprezentanta dobrej nowiny porozumienia.

Po powrocie zarysowało się coś w wyglądzie Andrzeja, co każdy przechodzień z Nowego Świata i Marszałkowskiej odbierał zgodnie z intencją Andrzeja jako interesującą obcość wzbudzającą szacunek i nieszkodliwą zawiść. W czasie nieobecności ukazał się pierwszy tom jego reportaży, przyjęty zyczliwie w prasie przez kolegów po piórze. Skumulowane dochody przedstawiały pokazną sumę. — Co zrobimy z tymi pieniędzmi? — spytał Elżbietę. — Kupimy samochód — odparła Elżbieta z łagodną stanowczością. — Ba... — rzekł Andrzej wątpiąco: myślał już od dawna o kupnie samochodu, lecz było to przedsięwzięcie złożone i trudne. Samochód był w owym czasie znakiem wyodrębnienia jak nobilitacja w monarchiach. Rzecz jasna, istniała lepsza i gorsza szlachta, czasem sposób zdobycia szlachectwa nie budził szacunku ani zaufania, lecz herb pozostawał zawsze herbem.

Samochody kupowało się na talony, czy przydziały, opatrzone przyzwoleniem przez niezliczone instancje, stąd element metafizyczny nieodłączny był od ich zdobycia. Talon, czy przydział, przeistaczał się w błędny ogień na bagnach, a więc zjawisko symbolizujące złudzenia wzroku. W jaki sposób Elżbieta zbliżyła się do idei posiadania samochodu i zakłęta w rzeczywistość kształt —

pozostanie niewyjaśnione. Czas nieobecności Andrzeja spędziła wraz z Pawłem w Gdańsku, u swojej matki, która przeniosła się na Wybrzeże; co prawda, Elżbieta przyjeżdżała od czasu do czasu do Warszawy, pojawiała się tu na przykład latem, w samym środku upalnego, przysiębiającego lipca. Smutek pięknego lata ma różne następstwa: w opustoszałych kawiarniach, w dusznych, nocnych lokalach, w przegrzanych mieszkaniach rodzą się zbliżenia i związki, przesiąknięte zapachem ostrej melancholii. Krystyna Derecka, z którą przebywała najczęściej, nie zanotowała zapewne luźnej uwagi, rzuconej kiedyś przez Elżbietę: — Wiesz, poznałam dziś kogoś bardzo interesującego. Jako mężczyznę i jako pomoc w różnych sprawach... — Krystynę zresztą nie ciekawiły nigdy szczegóły, zaś Elżbieta, przy pozorach serdecznej otwartości, nie informowała nigdy nikogo ani dokładnie, ani o czymś istotnym. — O przydział się nie martw, Jędrusiu — powiedziała Elżbieta. — Gorzej, że brak nam jeszcze kilkunasztu tysięcy. — Andrzej, mimo rozradowania, ciekaw był szczegółów i Elżbieta opowiedziała mu, jak poznała na plaży w Sopocie pewną panią z dziewczynką w wieku Pawła, po czym jak zrodziła się bliższa znajomość między matkami. Podała nawet nazwisko tej pani, dobrze znane Andrzejowi nazwisko pewnego wiceministra, którego resort wyrывał tkliwe westchnienia z piersi wszystkich marzących o samochodach. — Brakujące pieniądze — zamyślił się Andrzej — zdobędę. Coś mi przyszło do głowy. Zobaczymy... — Nazajutrz udał się do swego brata stryjecznego, Heńka. Heniek przyjął go wylewnie, natrząsając się z jego sławy. Posadził go przy okrągłym stole nakrytym obrusem z frędzlami, wsparł na blacie potężne ramiona w zawiniętych rękawach przepoconej koszuli, rozlał wódkę do kieliszków z kolorowego, fałszywego kryształu i rzekł, po wysłuchaniu Andrzeja: — Kochany, forsya to ja mam tyle, że nie bardzo nawet tyle chcę jej mieć. Warsztatik chodzi jak omega, zarejestrowany jestem na spółdzielnię, ojciec nawet zrozumiał, że inaczej nie można, a i w spółdzielni daje się przeskoczyć parę numerów w bok, tak że na stopę życiową, ani na społeczny dobrobyt nie narzekam. W water-polo już nie gram, teraz jestem sędzia i działacz sportowy, popływać sobie mogę tylko dla przyjemności. Gdybym miał surowiec, to więcej bym nastukał gwoździ miesięcznie, niż potrzebuje całe zagłębie budowlane w Warszawie. Mogę ci dać, jesteś rodzina było nie było, ale...

— Co ale? — spytał Andrzej z niepewnym uśmiechem.

— Przecież nie będę brał od ciebie weksli — Heniek uśmiechnął się z pobłażliwą drwiną. — Chodzi o to... — zniżył głos — ... przysuń się, po co ci tam mają słyszeć... — wskazał

głową na otwarte drzwi sąsiedniego pokoju — ... że póki co, żyjemy w takich warunkach, że ciągle się coś może człowiekowi przytrafić, nawet jak najuczciwiej handluje. Ty jesteś ustawiony na medal, w razie czego, rozumiesz, nie chciałbym cię fatygować, kompromitować, ale przydałoby się coś zadziałać tu i ówdzie, żeby człowiekowi pomóc...

— Moim zdaniem — rzekł Andrzej sztywno — ułatwienia dla spółdzielczości i rozszerzanie legalności idzie tak daleko, że nie sądzę, żeby ci się coś mogło przytrafić... — Było to powiedziane dość mętnie, Heniek dorzucił tylko: — Wiesz?... — krzywiąc się z bolesnym sceptycyzmem i więcej już o tym nie mówiono.

Po czym, po kilku dniach załatwiania formalności, pod oknami państwa Felaków stał nowiutki, kremowy Wartburg; Andrzej wychylał się co parę minut z okna i spoglądał nań, spotniały, zgorączkowany, podejrzliwy wobec własnego szczęścia posiadacz.

Liczni znajomi zaakceptowali nowy stan posiadania przy pomocy konwencjonalnych pochlebstw i zachwyków. Jedyne dla Mikołaja Andrzej szlifował argumenty, wstydząc się samego siebie, że skłonny jest do jakichkolwiek usprawiedliwień. Wiedział jednak, że tylko Mikołajowi nie będzie w stanie wyliczyć z uprzejmie złośliwym uśmiechem nieporównanych zalet i uroków kremowego Wartburga, jak to czynił na każdym kroku; wiedział, że zaprze się siebie i euforii ostatnich dni, że obłudnie umniejszą każdy sukcesik, obmówi wyposażenie wozu i oczerni własną radość.

Mikołaj pogładził ręką lśniący lakier maski, przesunął wskaźującym palcem po chromowanych ramkach okien: widać było, że drzemie w nim jakaś czułość dla tego przedmiotu.

— Serdeczne gratulacje z okazji nowego nabytku... — powiedział Mikołaj. — *A propos*, wiesz, co uczyniła twoja przyjaciółka, pani Stoll? Utrąciła następny nakład „Pościeli przekłetej”. A tak chciałem kupić sobie elektryczną maszynkę do golenia...

Tego samego dnia Andrzej powiedział do Watlocha: — „Pościel przekłeta” Planka przekładana jest na pół tuzina języków europejskich. Wkrótce będzie tych przekładów więcej. Pozwól, że zrobimy efektowną rozkładówkę o sukcesie tej książki, ze zdjęciami okładek. Ja napiszę.

Watloch uśmiechnął się życzliwie. — Ładnie, że tak o Planka dbasz. Zasługuje na to, to fantastyczny facet. Ale nie zrobimy rozkładówki. Napisz notkę do „Karnetu dnia”. To wszystko, co mogę. Mikołaj Plank zbyt wielu ludzi rozeźlił na siebie, żeby mu teraz robić reklamę.

W kilka dni później Mikołaj, rozparty na przednim siedzeniu

pytaniami, okazałoby się, że te banały o psychologii, dzieciach, pedagogice są niczym więcej, jak tylko taniutkim wdziakiem, skopiowanym z żurnala utartych przymiotów: podpatrzonych u Brigitte Bardot póź, zapamiętanych u modnych pisarzy powieści, z filmowych tęsknot o dwugodzinnym stemplu ważności; cudowne ameby, wyprodukowane przez współczesność, motyle jednego seansu, dzięki którym życie staje się zatłoczone wrazeniami wzroku i dotyku. One z kolei, najpiękniejsze z pierwotniaków, reagują na zasadzie pierwiastkowych skurczów, wyłącznie na pierwszy impuls, płynący z odzienia i wyglądu, jedynego rudymentu porozumienia, jedynego rozeznawalnego znaku jakiegś wspólnej skali wartości. Był pewny, że ani manifestacyjna zasobność Andrzeja, uruchamiająca całą klawiaturę kobiecej chciwości, ani szlachetna jednolitość Jacka, są niczym przy jego stylowym żonglowaniu efekciarską retoryką. Odprowadził więc ją do domu po wieczorze wypełnionym nic nie znaczącymi uwagami i skrupulatnie wyważoną, chwilami obraźliwą obojętnością. Idąc pustymi ulicami pogrążonego w ciężkim śnie miasta myślał, że każda z nich jest budująco taka sama, że każda chce kochać, nic innego tylko kochać, lecz jak tu kochać, kogo kochać, co kochać w tym nudnawym świecie wybrakowanych, do oświecenia nicowanych pojęć? Mężczyznę, mężczyzn, sam proces kochania? — Na pewno marzysz o wielkiej, wspaniałej miłości? — spytał.

— Ja? — ucieszyła się Teresa. — A cóż w tym może być zabawnego?

— Sądzisz, że miłość to zabawa?

— Nie — Teresa wbiegła lekko na kamienną balustradę monumentalnego ministerstwa; Mikołaj zapalił papierosa z twarzą u jej stóp; Teresa przykucnęła, owijając spódnicą kolana i skulone nogi, zaś Mikołaj przysiadł na potężnym wsporniku z piaszkowca. — Sądzę, że wszystko jest nieważne — powiedziała Teresa. — I to jest najgorsze.

— Przesadzasz... — teraz Mikołaj popadł w niemoc banału: po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

— Tak, tak — pokiwała głową, raczej smutno. — Nieważna jest praca, z której nie ma się nic, nieważne są pieniądze, za które nic nie można dostać, nieważne są ambicje, bo prowadzą do kłamstw, bez których nic nie można uzyskać, nieważna jest rodzina, bo to tylko rozwody i parszywa ciasnota w jednopokojowym mieszkaniu, nieważna jest miłość, nieważne jest łóżko.

— O, Boże... — zmartwił się Mikołaj nie na żarty. —
Więc co robić?

— Właśnie... Każda z nas szuka gorączkowo wokoło czegoś
ważnego, co chwila wydaje jej się, że to co złapała, nareszcie
jest ważne, po czym okazuje się, że to także nieważne i tak
w kółko...

To było okropne, ale nie umiał jej niczego przeciwstawić, więc
nie mówił nic, natomiast Teresa, jakby chcąc go pocieszyć, doda-
ła: — Wiesz, każda rzecz ma swój smak tylko w pewnej porze.
Dzisiejsze szesnastolatki chcą od razu wódki i jest im wszystko
jedno gdzie i kiedy odwalą swój przymusowy *rock'n'd'roll*, aż
do zupełnego przepocenia bluzki. Nie znają smaku jazzowych
prywatów, na których my, mój rocznik, tupaliśmy do szału no-
gami, ubrane w ciuchowe koszulki z palmą, czy napisem „I love
you”. Dziś już im to nic nie mówi, nie muszą tego robić pry-
watnie, w zamkniętym mieszkaniu. A jak nam to smakowało...

Nawet jej nie pocałował przed bramą. Nazajutrz dostrzegł
zmagania Jacka z samym sobą o szczerość i swobodę spojrzenia:
jasne było, że Jacek kocha Teresę, jest o nią zazdrosny, a także
pragnie ukryć oba te fakty. Wobec tego Mikołaj zabrał rękę
od tej dziewczyny, raz na zawsze.

Andrzej przyjeżdżał czasem do *Stodoły*, przeważnie demon-
strując ją cudzoziemcom jako osobliwość w komunistycznej War-
szawie. Zawiózł więc owego duńskiego filmowca do *Stodoły*,
był to jedyny sposób uchwycenia Mikołaja. Widok żywego Mi-
kołaja na tak malowniczym tle rzucił Duńczyka w ekstazę, An-
drzej znał Teresę i uważał ją za prześliczny przedmiot, obcy i nie
przeznaczony dla uciechy jemu podobnym: podobnie jak ongiś
ludzie pośledniejszego stanu na widok pejców ze srebrną rączką,
czy wysadzanych perłową macicą krucic w dłoniach wielkich pa-
nów, którzy jedyni wiedzieli, do czego służą podobne cacka i jak
się nimi posługiwać. Tym razem Andrzej powiedział, z nudy,
a może z przesadnej grzeczności: — Ze mną nie umówiłaby się
pani na randkę, Tesso, prawda? — Czemu nie — odparła Te-
resa. — Dla snobizmu, żeby pokazać się choć raz ze słynnym
Felakiem. — Była to kpina, lecz Andrzej poczuł zachętę. —
Wobec tego pojedźmy coś zjeść — rzucił, niby mimochodem:
serce zabiło w nim niespokojnie, jak u złodzieja na emeryturze,
który spostrzega naraz, że jest sam w pustym mieszkaniu, zasta-
wionym drobiazgami z prawdziwego złota. — Wrócimy w sam
raz, ażeby ich siłą od siebie oderwać... — wskazał głową na
Mikołaja i Duńczyka. — Czy była już pani kiedyś w *Spatifie*?
— Nigdy — przyznała Teresa ze skrucą. — Najwyższa pora

zacząć — rzekł Andrzej z nonszalancją tak dla siebie niezwykłą, że go zdumiała.

Jedli zimne zakąski w *Spatifie* i wszyscy wokoło patrzyli z życzliwym, kuplerskim podziwem na Andrzeja, oraz oglądali Teresę z nostalgicznym znanstwem trenerów wyścigowych, których zasmuca i mierzi fakt, iż koledze udało się wyhodować wspaniałego dwulatka, o jakim marzą i którego tylko oni zdołaliby zaprowadzić na szczyty kariery. Rozmawiali dużo i gęsto, przerywając sobie wzajemnie i Andrzej ze zdziwieniem zauważył, iż trafili w tonację porozumienia. — Samochody... — mówiła Teresa na pół pożądliwie, na poły lekceważąco — ... nie oceniam ludzi według tego, czy mają samochód, czy nie, ale przyzna pan, że jest w samochodach coś urzekającego. Nie, tu nie chodzi o zwykłą wygodę... o coś więcej... — Nie umiała, czy nie chciała sprecyzować tego, o co w istocie chodzi, lecz stwierdziła z niechęcią: — I wyobraża pan sobie, że ojciec Jacka odmawia nawet korzystania ze służbowego wozu... A jak raz wspomniałam, że mógłby dostać coś dla nas po specjalnej cenie i to na raty, może z eksponatów na Targach Poznańskich, to taka awantura, że hej... Nawet o ten głupi skuter były wojny aż wstyd... — Na pytanie, czy była zagranicą, Teresa odpowiedziała, że nie, nigdy jeszcze. — No, bo przecież wczasy w Bułgarii, czy rajza na przepustkę przygraniczną do Czechosłowacji, to nie zagranica, prawda? — dodała. Andrzej opowiadał o ostatniej podróży do Włoch: mówił nie szczędząc drobiazgowego opisu; od pewnego czasu opowiadał Elżbiecie niechętnie i krótko wrażenia z podróży, strofując ją, że zmusza go do darmowego wysiłku, podczas gdy może za parę dni przeczytać to samo w *Horyzoncie*. Teraz malował Teresie obraz Włoch z takim zapałem, że żałował niezapisanych zdań. Z westchnień Teresy wynikało, że tęskni za takim życiem, jak na fotografiach włoskich plaż w ilustrowanych magazynach. — Chyba przyzna pan — powiedziała — że nie ma nic bardziej fascynującego jak wielkie imprezy międzynarodowe, festiwale, konkursy piosenki, olimpiady? Przez kilka dni człowiek żyje jak w oszołomieniu. Każda chwila się liczy. Wszystko ma jakiś sens, obraca się wokół czegoś, jest smaczne, smakuje... — Nadużywała owego odniesienia do kategorii smaku. — Niech mi pan wierzy — mówiła — ja tym gardzę, ale ideałem mojego pokolenia jest wyrwanie się ponad tłum. Można to osiągnąć tylko przy pomocy współczesnej reklamy, prawda? Pan już rozumie jak? — Reklama służy temu, co na sprzedaż — rzekł Andrzej i serce sygnalizowało mu znów rzeczy równie piękne, jak nieoczekiwana łaska. — A jeśli nawet — rzuciła Teresa obojętnie — to co? — Po czym opowiedziała mu historię pewnego Tomka, kolegi ze szko-

ły, który zapowiadał się jako gwiazda matematyki i nauk ścisłych, zaś na politechnikę zdał tak, że sam rektor przyszedł go sobie obejrzeć. Jednocześnie okazało się, że Tomek posiada talent sprinterski: zaczął trenować i już po paru miesiącach zeszedł poniżej jedenastu sekund na setkę. Oczywiście — wyjazdy, apanaże, zasiłki klubowe, co parę dni paszport zagraniczny w inne miejsce. Po to jednak, aby dziś utrzymać się w czołówce i nie stracić ani jednej podróży samolotem transkontynentalnym, po to, aby snuć się po ulicach egzotycznych stolic w reprezentacyjnym kostiumie polskiej ekipy, trzeba walczyć, śrubować wyniki, trenować aż do otępienia, uważać na konkurencję, nie dać się za wszelką cenę. Już trzeci rok mija, kariera naukowa Tomka stanowi wyblakłe wspomnienie, on zaś miota się, specjalizuje, siepie po bieżniach. Lecz to skończy się, wielkość sprintera szybko mija i co dalej? A znowu czy nie byłoby zbrodnią nie wykorzystać tej wielkiej szansy na klawe życie, na dosyt, tkwiącej przez parę lat w mięśniach nóg? — Widzi pan, taka jest żyźń — pouczyła Teresa Andrzeja.

Spotkali się jeszcze kilka razy, niby od niechcenia. Kilka razy pojechali za miasto, do Konstancina, czy do Kampinosu, uciekając przed wiosennym upałem. Kiedyś Elżbieta wyjechała na parę dni z Pawłem i Andrzej zaprosił Teresę do domu. Uczynił to niezręcznie, przeklinając w duchu skrępowanie, walcząc rozpaczliwie z dwuznacznością słów i głosu. Teresa zgodziła się bez jednego niepotrzebnego słowa, czy uśmiechu, który ujawniałby jakąś wyjątkowość sytuacji: zdawałoby się, że odwiedzanie pod nieobecność żony starszych o ponad dwadzieścia lat mężczyzn stanowi rzecz równie naturalną, jak śniadanie, czy jazda tramwajem.

Kiedy i jak to się stało Andrzej nie potrafił nigdy odtworzyć w pamięci. Wiedział tylko, że tego popołudnia dokonywał rzeczy równie niezwykłych, jak obcych swej naturze. Był cyniczny, złośliwy i zwycięski, a może tylko zdawało mu się, że takim był, albowiem nigdy nie uświadomił sobie jaką była Teresa, co robiła, czego chciała i co realizowała niezależnie od jego wysiłków. Zapamiętał tylko jej słowa na początku: — No to co? Rozbieramy się? — które wtedy wydały mu się zabawne, lecz potem dławiąc go miały przez całe lata, jak krzywda z ręki kogoś tak potężnego, że nie można się na nim zemścić. Pamiętał także, że w chwili potem ogarnęło go wielkie szczęście, jakże różne od tego, co odczuwał przy Marycie, Grzance, Elżbiecie, zaś Teresa powiedziała: — W sobotę mam egzamin, cholera... — O czym myślała przez cały czas? O egzaminie? Gdy on już wiedział, że kocha ją i że miłość ta stanowi rzecz najbardziej mu w tej chwili potrzebną.

(1960-1961) Upłynął pewien czas. Jeden rok zabrał ludzkości pustkę nad głowami, do której mogła krzyczeć nadaremnie w przyptywie bólu. Tę pustkę, z której na płótnach *Trecenta* wyłaniała się mądrość i dobrotliwość w złotych infułach, bądź słodczy i piękno w promienistych blaskach. Teraz przebywał w niej człowiek wraz z swym potem, swą miazdzącą radością, swymi wyziewami, swą niedoskonałością. Tłumy ludzi na ulicach miast, świętujące i wiwatujące, rozkołysane parugodzinnym zwolnieniem z biur i fabryk i przejęte entuzjazmem, stanowiły schronienie dla Teresy i Andrzeja. Czasem jechali wolno podwarszawską szosą: lśniący wymyty Wartburg, obok Teresa, radio gra, na szosie robotnicy w prażących gumiakach, obnażone w upale, białawe torsy; smołują nawierzchnię, walczą, zaglądają do środka wozu, uśmiechają się złośliwie, wymieniają między sobą obsceniczne uwagi. — Dlaczego oni nic nie robią? — złości się Teresa. — Dlaczego wałkonią się zamiast pracować? Czy nikt ich nie dozoruje? Potem ludzie dziwią się, że w Polsce są takie drogi... — Problem numer jeden — odpowiada Andrzej z chętną wszechwiedzą. — Stosunek do pracodawcy sprowadza się zawsze do przykazania: coś urwać, na czymś go poszkodować, wyrwać największą zapłatę za najmniejszą pracę. Jest to reguła biologiczna. Tylko, że w kapitalizmie stanowi prawo, u nas zaś zagadnienie. — Opowiem ci historię — ożywiła się Teresa. — Wyobraź sobie, że w domu, w którym mieszka moja mama jest potwornie zdewastowana klatka schodowa. Lokatorzy błagają od lat administrację, żeby coś z tym zrobiła, piszą podania, awanturują się w radzie dzielnicowej. Wreszcie w tym roku przysłano dwóch murarzy, czy malarzy, którzy mieli się wziąć do roboty. Pierwszy dzień rzeczywiście coś tam poskrobali, a po tym znikli. Nie, nie z domu. Z klatki schodowej. Okazało się, że ktoś przechodząc spytał, czy nie podjęliby się remontu mieszkania w godzinach pozasłużbowych. Przystali na to ochoczo. Niebawem oferty remontów zaczęły się mnożyć: było tylu chętnych, że po to, aby pomóc wszystkim, musieli zrezygnować z odnowienia klatki schodowej. Podobno odznaczali się wyjątkowymi zdolnościami i sumiennością. Wyremontowali na lewo około dwudziestu mieszkań, sprawnie i za umiarkowaną opłatą, ludzie nie mogą się ich nachwalić. Uważają ich za błogosławieństwo Boże, za tych, którzy ocalili ich biedne mieszkania od ruiny. Tylko państwowa klatka schodowa pozostała w stanie krańcowego upadku i na to chyba już nie ma rady. — Samoobrona gospodarcza przed martwością

biurokracji — rzekł Andrzej. — Mogę ci jeszcze opowiedzieć o dozorcy-sadyście, który wyłamywał psom nogi — rozgadała się Teresa. — To u nas w domu, w którym mieszkają sami dygnitarze i uczeni. I nikt mu nic nie może zrobić. Jeszcze odgraża się, że on wszystkich wykończy, że on jest współczesny dozorca, nie od sprzątanania, a od pilnowania. Dlaczego nie piszesz o rzeczach naprawdę ciekawych, tylko takie bzdury o tym, ile zarabia metalowiec w Nadrenii? — Andrzej rozparł się wygodnie. — Po to, aby móc powiedzieć, że jest źle — oświadczył — trzeba naprzód długo mówić, że jest dobrze, a nawet wspaiale. Mnie to już nie bawi...

Osobliwa przyгода samochodowa wydarzyła się Larbińskiemu, Od czasu, gdy nie groziło to żadnymi konsekwencjami natury politycznej i materialnej przestał uczęszczać na manifestacje pierwszomajowe. Przyszlusował do grupy, która w dzień pierwszego maja, rankiem, wsiadała do własnych samochodów i opuszczała miasto. I podczas gdy na Placu Defilad maszerował pochód, szosą na Konstancin sunął sznur aut, wymytych i wyładowanych omdlewającymi z pięknej pogody paniami. Droga wiodła jednak przez miasteczko, w którym miejscowa papiernia urzędzała lokalną uroczystość; nie wiadomo tedy jak i kiedy, zapewne na skutek błędów w regulacji ruchu, wóz Larbińskiego znalazł się w samym sercu pochodu, pomiędzy dziećmi ze szkoły podstawowej, wymachującymi chorągiewkami z czerwonego papieru, a silnym oddziałem straży pożarnej. Larbiński zbladł, silnik mu zgasł, nie mógł odnaleźć starteru drżąc ze zdenerwowania, początkowo życzliwe kpiny zamieniły się od strony napierających z tyłu członów pochodu w oznaki zniecierpliwienia. Rozdygotany Larbiński już widział siebie, postępowego, wiernego ludowi reżysera i scenarzystę, jako ofiarę antykapitalistycznych ekscesów, lecz sytuację uratowała Weronika, dobywając przytomnie czerwony kostium kąpielowy z plażowej torby i zamieniając go w prowizoryczny sztandar: wymachując porozumiewawczo kostiumem zdołała skłonić napierające szeregi do ominięcia nieszczęsnego auta, w którym pokryty kroplami potu Larbiński dyszał ciężko z przestachu i konfuzji.

Cechą charakterystyczną towarzyskich zebrań była wzorzysta mozaika wzajemnych powiązań seksualnych: prawie każdy pan miał coś wspólnego z każdą niemal panią. Zbliżenia i przyjaźnie, wzajemna pomoc, solidarność i lojalność kwitły w ten sposób jak bujne, zielone wino na ścianach. Klan przepłótł się dokładnie z szturmówką artystów i twórców, artyści i pisarze upodobnili się do klanu pod względem kołnierzyków i krawatów, zaś chłopcy z klanu, dziś już lekko łysiejący, wstępowali gęsto do

partii, bądź przyjmowali odpowiedzialne społecznie stanowiska. Z twórcami, którzy służyli bez wiary, łączyła ich szydercza pogarda dla tych, którym służyli, która z kolei usprawiedliwiała każdy akt poniżającego serwilizmu, albowiem jak tu się wstydić tego, co czyni się na zlecenie potężnych, głupich i hojnie płacących. Przysywali się w ten sposób do podbrzusza wieloryba jak mięczaki i skorupiaki morskie, uznane przez naukę za ciała odrębne, a mimo to stanowiące z wielorybem całość.

Mikołaj zaprzyjaźnił się z ojcem Jacka: przebywał z nim całymi wieczorami, siedząc przy telewizji i kłócąc się na każdy temat. Od dawna wyzbyli się taktu i chęci nie urażania się wzajemnie: opinie ich i to, co stało za opiniami, spolaryzowało się aż do brutalności. — Zbudowaliście Polskę krzywdy najgorszej, bo niezrozumiałej — mówił Mikołaj. — Zbudowaliście Polskę lęku przed wszechpotężną i zepsutą maszyną zarządzania, wyciągającą przerażające łapy po uciekającego człowieka, jak w nocnym koszmarze. — Zbudowaliście Polskę — odpowiadał ojciec Jacka. — Po prostu zbudowaliście. Po raz pierwszy od czasów Kazimierza Wielkiego ktoś zbudował nową Polskę. Wziął na siebie ciężar budowania wraz z całym smrodem i brudem budowy.

Część Trzecia

ŻYCIE UCZUCIOWE

Być może sami nie uświadamiamy sobie tego; ale mimo, że to co się nazywa zasadami i obyczajnością jest tak bardzo dyskredytowane, i tak czujemy ich potrzebę...

Crébillon (Syn), *Noc i chwila*.

1.

Wille tak zwane nowoczesne starzeją się nieładnie. Mikołaj pamięta: miał szesnaście lat, marzył o takich willach, znanych mu tylko z kina. Żył w czynszowych mieszkaniach i na podwórkach kamienic; pudełkowe piękno tych willi rozgrzewało mu duszę, jak wszystko co nowe i rozumne. Katastrofy, nieszczęścia i nędze defasonowały wille, pokrywały je blaszanymi rurami od piecyków, wietrzącą się pościelą. Stare pałacyki wytrzymały szpetotę upadków, funkcjonalne cacka tuż sprzed wojny brzydły zastraszająco.

Mikołaj mieszka teraz w brzydkiej willi. Myśli czasem, że nie mieszkał w niej, gdy była piękna i wytworna, towarzyszenie upadkom jest widać moim przeznaczeniem: najdłużej towarzyszę własnemu upadkowi. Podłoga i ściany przeszły tu stęchłą szarzyzną z deptanych ciężko schodów. Dwa pokoje na górze należą do Mikołaja i matki. W pokoju matki ołtarzem jest toaleta o owalnym lustrze, przenosząca w dzisiaj zapachy i kosmetyki z lat dwudziestych (*Mistinguette*, fryzury *à la garçonne* i perfumy *L'Houbigant'a*): Wyblakłość tych szminek i tuszów, oprócz ubóstwa, sygnalizuje klęski starości, z niekontrolowaną śmiesznością na czele. Pomiędzy słoikami kremów poniewierają się nęczone ciastka i filiżanki po kawie, skorupki od jajka, podarta pończocha, lub karbówki i zesłoroczne zaproszenie do teatru na premierę.

W pokoju Mikołaja wiszą przedmioty ze starej skóry, lub ze starej miedzi, rzeźby z drzewa, jakieś ptaszki; po kątach tkwią obrazy współczesnych malarzy, którzy uważali za honor ofiaro-

wać je Mikołajowi. Parkiet rzadko pastowany stęzał w bezbarwności, ranne pantofle wydają się na nim nieporozumieniem. Obok niskiego tapczanu stopy książek i bardzo stara baryłka okrętowa zamiast nocnej szafki, pod oknem rajzbret, pokryty złożami zapisanego papieru.

Mikołaj siedzi na podłodze oparty plecami o tapczan, telefon ma przy kolanach. Za oknem żoliborskie kasztany, świeci słońce, woń pięknej pogody. Telefon, czarny i bezlitosny, milczy arogancko, aż dziw bierze jak wiele wzruszeń wiąże się z wszechświatem, który tak niedawno stworzył Graham Bell. Żegnając się Elżbieta mówi: — Zadzwoń do ciebie. Czekaj na mój telefon. — Osacza go w ten sposób; czekanie upokarza, i ona o tym wie, toteż zazwyczaj długo nie dzwoni, zmusza go wreszcie do nieostrożnego telefonu, czyli do pierwszego kroku, smakującego jak porażka. Pierwszego popołudnia Elżbieta pobiegła zaraz po tym do domu, ogarnięta nieznaną sobie paniką. Mikołaj zatelefonował późnym wieczorem. — Jeśli Andrzej jest — powiedział szybko, na głos Elżbiety w słuchawce — mów, że to pomyłka...

— Pomyłka, proszę pana — uśmiechnęła się Elżbieta do telefonu, gdyż Andrzej siedział na pobliskim fotelu i martwił się osiągnięciami innych.

— Elżbieto — mówił Mikołaj — coś się dziś stało. Coś ważnego i wspaniałego.

— Niestety, pomyłka — powiedziała bez niecierpliwości.

— Odłóż, co się patyczkujesz — rzekł Andrzej.

— Kto by się spodziewał, Elżbieto — mówił Mikołaj nieskładnie — że po tylu latach... że tyle lat obok siebie... Obok nas coś, czego potrzebowaliśmy tak bardzo...

— Pomyłka — rzekła jeszcze raz i odłożyła wolno słuchawkę.

— Czego on chciał? — spytał Andrzej.

— Ach, jakiś sympatyczny facet — uśmiechnęła się. — Pomylił się.

Mikołaj patrzy na ulicę. Pod drzewami wisi gorący, trotuarowy cień przedpołudnia. Żoliborz, czyli to, co zaraz po wojnie i przez długie lata było parszywymi dniami w błocie zimnych, jesiennych szarug i ciemnymi nocami bez świateł wytłuczonych ulicznych lamp. — On się nazywa Jurek — mówi się tu o mijanym na ulicy człowieku — pamiętasz Janek chodził z nim do szkoły, ma siostrę Anię, z którą rozrabialiśmy, zaraz po okupacji, na imieninach u Marysi, tej co wyszła za Józia, co z nim Marek był razem w Powstaniu.

Za Żoliborzem woła Mikołaja miasto i leniwe włóczęgi mię-

dzy kawiarniami; lecz tkwi w oknie, z telefonem za plecami. Włącza adapter i siada znów na podłodze: z powolnego wirowania wypływają dźwięki perkusji i basu, John Lewis lekko i mądrze dotyka klawiszy. Oczywiście, jest to muzyka wieczorna i teraz sprawia wrażenie pomyłki: należy jej słuchać w rozpylonym świetle, siedząc na podłodze wokół niskich stolików, z głową dziewczyny na kolanach, lub własną głową na brzuchu dziewczyny gładzącej włosy ręką pachnącą alkoholem. Mikołaj biada przez chwilę nad zabłąkaniem tej muzyki w przedpołudnie, lecz właśnie dzwoni telefon i musi powiedzieć: — Halo?

— To ja — mówi Elżbieta.

— Dlaczego nie przychodzisz?

— Widzisz...

— Nie przyjdiesz?

— Właśnie zastanawiam się... — niezdecydowanie jest groźną bronią Elżbiety.

— Jutro wraca matka. Dostałem rano depezę.

— Jak się czuje?

To nie życzliwa troska każe jej zadać to pytanie.

— Okropnie. Szykują się nowe kłopoty. No i lokal...

— Nic nie pomogła kuracja?

— Podobno jest gorzej. Zwracam ci uwagę na lokal...

Elżbieta oburza się. — Czy nie przesadzasz? — mówi. — Czasami mam dość twego cynizmu.

— To nie jest cynizm. Dobrze o tym wiesz.

— W takim razie koszmarny egoizm.

— Więc nie przyjdiesz? — głos Mikołaja oziębia się.

— Tego nie powiedziałam — dąsa się Elżbieta. — Ty tak od razu... Mam tu urywanie głowy.

— Paweł w szkole. Andrzej w redakcji. Jesteś już ubrana i gotowa do wyjścia, o ile cię znam.

— Tak, ale... Wiesz, zmieniamy mieszkanie. Chyba przyznasz, że nie można żyć z dzieckiem i z gospodynią w dwóch pokojach z kuchnią? Ja wiem, że to znaczy taka decyzja i co bierzemy na siebie. Ale trudno, jest nie do wytrzymania, to dobre dla młodego małżeństwa, ale teraz Paweł jest już duży, no i gosposia...

O co jej chodzi? — Czyli — przerywa jej, uśmiechając się — chcesz, abym cię prosił, abys przedłożyła wyjątkowość nad powszedniość, czyli spotkanie ze mną nad sprawy do załatwienia?

— Znowu przesadzasz — mówi Elżbieta nieco szybciej. — Randka na twoim tapczanie nie jest czymś aż tak wyjątkowym. — Złośliwy uśmiech Mikołaja przypomina jej, że przeciwnik

jest ciągle jeszcze kontrahentem, a nie bezwolnym łupem. — Będę za pół godziny, pa...

Mikołaj siada nad rajzbretem: zapewniona realizacja pragnień zezwala na chłód myśli. Kreśląc wielkie litery myśli, że zawsze zjawiają się te same pytania, chyba, że nie chcę, żeby się zjawily, a co sprawia, że teraz chcę? że chodzi mi o nią bardziej, niż o dziesiątki innych? Jeszcze niedawno mógłbym przytoczyć tuzin nazwisk jej kochanków. Skąd nagle wątpliwości, jeśli kilkanaście dni temu jeszcze dałbym głowę, że ten i ów i tamten? Otóż łatwo daje się głowę, gdy rzecz nie dotyczy mnie bezpośrednio. Zawsze uważał za nie istotne co kto wyczynia z cudzą dziewczyną, zaś w chłopięcy sposób nie potrafił znieść myśli, że ktoś mógłby z jego dziewczyną, lub jego dziewczyna z kimś. Dziecinna jednostronność zasad, jakże zabawna w świecie, w którym wszyscy wokoło mieli te same kobiety, regulując kalendarzem cyrkulację. Kobiety podlegają selekcji do chwili, gdy dostają się w krąg najlepszych: raz wpuszczone na towarzyski *paddock* posłuszne są wyłącznie prawom krążenia dóbr zbadanych i ustalonych. Przyścięgi miłosne na to, co wieczne i jedyne, znane z lektury i z kina, pozbawione były w tym świecie szans realizacji. Nawet Krystyna przejawiała pogardliwy upór. — Kobieta jest tym samym co mężczyzna — mówiła twardo. — Te same potrzeby, te same chęci, te same prawa. Kiedyś głupia moralność, głupi obyczaj i jeszcze głupsza literatura wykrzywiały tę prostą prawdę, ale dziś wiemy jak jest. No, powiedz, na litość Boską, co za różnica? — Jakaś już jest — bąkał Mikołaj wymijająco. — Choćby ta uchwytna gołym okiem... — Elżbieta była po stokroć groźniejsza: polemikę o równorzędności, przywilejach i obowiązkach zastępowała bagijną mętnością perspektyw. Zawsze jednakowo uśmiechnięta i małomówna odrzucała deklaracje i stwarzała fakty; każde jej skąpe zdanie, klecone z niezręcznością na pokaz, zawierało tylko fakty bez interpretacji; każde słowo o pozorach głupkowatości reprezentowało jakiś fakt; wszystko zaś razem ginęło w niemożności dotarcia do najprostszych prawd. Elżbieta domagała się miłości w akcesoriach: w księżycu, w lirycznych spacerach, w ukradkowych spojrzeniach, w trzymaniu się za rękę. Mikołaj szydził z tego bezlitośnie dopóki nie spostrzegł, że szyderstwa sprawiają Elżbiecie przyjemność, oddają go jakby w jej rękę. Powiedział jej: — Elżbieto, twoje upodobania wskazują albo na groźny infantylnizm, albo na to, że jesteś kobietą zimną, nie potrzebującą mężczyzny, nawet tego, którego kochasz, lub zdaje ci się, że kochasz. — Elżbieta uśmiechnęła się i nie odpowiedziała, zaś Mikołajowi zdawało się, że pojął coś; zaś gdy leżeli obok siebie, po raz pierwszy, i Mikołaj uświadamiał sobie czego był

sprawcą i świadkiem, pojął naraz wszystko aż do końca. Leżała przy nim z twarzą zdeformowaną męczącym otepieniem, szukała jego rąk, przykładając je sobie do czoła i policzków, wyłuskiwała z dłoni pojedyncze palce i wsuwała je do ust śliniąc i gryząc, pakując je aż do przetyku, aż cofał rękę zdjęty zażenowaniem i obawą że się udławi. Powtarzała: — Jaka jestem szczęśliwa... Jaka jestem szczęśliwa... — lecz ten euforyczny jęk niósł w sobie jakiś podtekst trzeźwości, jakby sama pragnęła się o tym upewnić.

— Elżbieto — rzekł Mikołaj sucho — wydaje mi się, że jesteś nigdy nie sytą dziwką, która nienawidzi każdego kto o tym wie.

W ledwie uchylonych szparkach między powiekami ciemniał uśmiech, pokryty grymaśną słodyczą, pseudo-bezwładem, pseudo-oszołomieniem. „Dlaczego jesteś przykry, wstrętny? Dlaczego pastwisz się nade mną? Ty, taki wspaniały, taki jedyny, który dałeś mi to, co przed chwilą, który ofiarowałeś nieznane mi nigdy uniesienia...”, mówiło spojrzenie, podczas gdy wargi Elżbiety szepnęły miękko. — O co ci chodzi? Czego chcesz?

— Chcę wiedzieć.

— Przecież wiesz wszystko.

— Jeszcze pół godziny temu zdawało mi się, że wiem. Teraz nie wiem nic.

— Tylko ty.

Uśmiechnął się z uznaniem jak wobec cudu akrobacji w cyrku.

— Przecież o to ci chodziło, prawda? — spytała Elżbieta z troską. — Teraz już wiesz.

— A... — tu chciał wyliczyć nazwiska, lecz powstrzymał się, zaś ona uśmiechnęła się pobłażliwie. Pewność ta oburzała go i mieszała: przecież wiedział o Lorancie, o owym historyku sztuki tuż przed małżeństwem, o pewnym wiceministrze, patronującym dystrybucji samochodów na talony: mówiono o tym w Warszawie, zaś nawet cząstka wyolbrzymionych plotek wystarczyła tym razem by sprawić ból. Przypomniał sobie jak przed laty powiedział Kostkowskiemu, że spędził czarującą noc z Elżbietą: miał to być żart określający hulankę w *Spatifie*; Kostkowski odparł z przekąsem: — Nie jesteś pierwszy. Już kilka panów ma to za sobą. — Zastanawia się teraz męcząco, dlaczego on tak powiedział? Wstaje, odchodzi od rajsbretu, ociera ręce o wyblakłe *jeans'y*. Czy innym panom demonstrowała to, co jemu, a co doprawdy zaimponować może najwybredniejszym? Myśli obraźliwie, wulgarnie, lituje się nad samym sobą. Jakże zawile jest to pytanie! Czy są jakieś różnice, czy refren powtarza się uporczy-

powiedział do Elżbiety podchmielony blondyn w *Bristolu*. — Tyle lat. — Stali przy barze, po kolacji, Andrzej, Krystyna, Kostkowski, Mikołaj, Elżbieta. Blondyn wyłuskał Elżbietę ramieniem grubości pnia z ich grupy; był wysoki, kwadratowy, o krótkiej, jasnej szczotce nad małymi, wesołymi oczkami tramwajarskiego filozofa, szlachcica wielkowiejskich rynsztoków: na odległość przypominał postać z plakatu zachęcającego małych chłopców do wstępowania na ochotnika do marynarki wojennej. — Gdzie się przemycasz? — kontynuował serdecznie. — Nigdzie cię nie widać. Lata całe jak się zmyłaś. W jakiej rakiemie boksujesz?

— Wyszłam zamąż — powiedziała Elżbieta. — Już dawno. — Nie zdawała się być ucieszona spotkaniem, ale nie okazywała skrępowania. — A co u ciebie? Prawda, spotykam twoje nazwisko w gazetach.

— Ja kiszkuje po tej samej linii. Wielki trener. Jak sam popłynę czterysta na gaz to muszą mnie potem wyjąć z wody. Ale na zgrupowaniach ciągle jestem jeszcze pierwszy cadyk.

— Wódka? — uśmiechnęła się Elżbieta.

— Trochę gołda, trochę zdrzemnie się człowiek z kimś tu i ówdzie. Znasz życie, nie? Z kim się dziś ślaniaasz? Co to za towarzyscho?

— Mój mąż i znajomi. No, pa, bądź zdrow, cieszę się, że cię spotkałam.

— Lala — zabelkotał blondyn — na razie bądź elegancka. Spotykasz starego druha, dawno cię nie widziałem, a ty, żebyś taka zdrowa była, od razu sadzisz do innych? Fe, nieefektywne...

Ostatnią kwestię wyrecytował nieco głośniej, z cwaniacką urazą: Andrzej i Kostkowski popadli natychmiast w hałaśliwą wesołość, co skutecznie i bez szwanku na honorze pozwala unikać awantur w zatłoczonych lokalach. Mikołaj cofnął się do tyłu, do Elżbiety. — Pozwól sobie przedstawić, Mikołaju — powiedziała Elżbieta. — Mój stary kolega, a to jest pan Mikołaj Plank. — Mikołaj podał rękę blondynowi, który rzekł: — A, pan Plank... Szalenie się cieszę, jak cię mogę, co za zaszczyt! Pana to ja tyle razy... — Ale w jego przesiąkniętym wódką zachwycie czaiła się jeszcze zaczepność. — Nie wtrącaj się — szepnęła Elżbieta Mikołajowi. — Nie twój interes. Dam sobie sama radę. — Po czym powiedziała do blondyna: — No, Czekolada, bądź zdrow... — z tak twardym lekceważeniem, że blondyn wykonał tylko kilka gestów mających oznaczać porozumiewawcze pożegnanie. — Kto to był? — Mikołaj spytał nazajutrz Elżbietę.

— Kolega. Już ci to powiedziałam.

— Młodszy od ciebie? — rzucił złośliwie.

— Kiedyś byliśmy w jednym wieku — uśmiechnęła się bez urazy. — Teraz jest młodszy o dobre dziesięć lat.

— Dlaczego „Czekolada”?

— Bo zawsze opalał się na piękny kolor. Wydaje mi się, że wczoraj widziałam po raz pierwszy w ubraniu. Pamiętam go wyłącznie w treningowym dresie, albo w pływackich slipach. Musisz wiedzieć, że kiedyś, nie dochodząc siedemnastu lat, byłam podobno obiecującą zawodniczką. Specjalność: sto metrów stylem klasycznym, czyli żabką. Po czym pływanie przestało mnie bawić.

Mikołaj myślał, że oczywiście, ustąpiło miejsca innym zabawom. W głosie Czekolady wytropił fałszywie manifestowane koleżeństwo, czy jakąś inną wspólnotą, na poły ukrywaną, na poły podtykaną pod nos, przy pomocy której dopuszczany ongiś do intymności, dawno zapomniany mężczyzna broni się przed swoją nijakością. Lżył Elżbietę w duchu: to było gorsze od wszystkiego, czego domyślał się dotąd; najbardziej nienawidził owej naskórkowej rozpusty na sportowych zgrupowaniach, obozach kondycyjnych, czy harcerskich, którą kobiety wspominają po latach jak nic nie znaczące, wakacyjne katary. Dziewczeta (narażone na niedołączną młodość partnerów) wynosiły z tych doświadczeń grymas pogardy, który szpecił je całe życie. Trawiła go, oczywiście, wieczna tęsknota mężczyzn, do wiecznych poszukiwań, o których wiadomo, że są bezowocne i bezcelowe; ale wierzył, że obowiązuje jakaś godność i jakaś reguła gry, w imię której nie wolno bezustannie kapitulować za cenę jakichś zdarzeń pod ciepłą kołdrą. Znieczulające zastrzyki z wyjąłowego rozsądku, są pociechą słabych. Straszny i plugawy wydawał mu się zawsze ten nieistotny i nieunikniony szczegół z przeszłości każdej z nich: jakaś przygoda (nazywały to zawsze tym terminem z dziecięcej literatury) na jakimś festiwalu, czy zjeździe organizacji młodzieżowych, tam, gdzie cały sztafarz formowanych w gazetach przepisów na barwność i uroki, pcha ku temu, ażeby to zrobić (nawet bez możliwości słownych porozumień, chociażby na migi, z Brazylijczykiem czy Węgrem, szalenie sympatycznym, z którym wszystko łączy, nic nie dzieli) na „Wyspach Miłości”, w świetle sztucznych ogni. To właśnie było uwłaczające i ohydne, przed tym nie umiał obronić swej części. O co więc walczył? Od chwili, gdy przyszła Elżbieta zapragnął wyłamać się z praw ukształtowanych przez fason. Pradawne pierwszeństwo miało dlań znów smak wyróżnienia, a nie zapach zacofania; jeśli nie można go było odnaleźć w meandrach życia kobiety, należało pokusić się przynajmniej o wyjątkowość wobec stylu epoki. Być jedynym, wyjątkowym, sprawdzić swą jedyność w świecie roz-

szałatego równouprawnienia i masowych gustów, to tylko godne jest miłosnych zabiegów. Elżbieta powiedziała mu wczoraj, że ona nigdy z nikim prócz niego i Andrzeja: wydało mu się to bezsensowne, płaskie, niemożliwe, szyte nazbyt grubymi nićmi. Ale gdy dziś rano rozgrzebywał w pamięci zdobycze z wczoraj, zastanowił się, że niby dlaczego nie i co w ogóle można wiedzieć?

Zbiega szybko po schodach, otwiera i Elżbieta przesuwa się chyłkiem na schody, bez zbędnych powitań. Na górze mówi: — Ufff!... — gdyż zawsze inwestuje nieco zdenerwowania w teprzyjścia, mimo, że w gruncie rzeczy nie boi się niczego; ekscytacja jest tu przyjemnością dodatkową.

Mikołaj zapala papierosa, Elżbieta zdejmuje zakiet od kostiumu i wiesz go schludnie na poręczy krzesła. — Właściwie mogłam przyjść po południu, a nawet i wieczorem — mówi. — Andrzej ma spotkanie z Larbińskim, a potem jakieś konszachty z cudzoziemcami w sprawie tego wyjazdu. Wróci bardzo późno. Gospośia da Pawłowi jeść i możemy dziś spędzić interesujący dzień. Widzisz?

— Widzę. — Myśli, że Andrzej potrzebuje sporo czasu na zajęcia zawodowe, ale gdyby tak poszukać oliwkowego Fiata na szosach podwarszawskich, przy dzisiejszej pogodzie, w okolicy lesistej? Czuje naraz gwałtowną urazę do Andrzeja za Jacka i nawet chce, powiedzieć coś złośliwego, ale milczy: między nim a Elżbietą istnieje cichy układ, na mocy którego Andrzej ustanowiony został wcieloną szlachetnością i niewinnością, osobnikiem z gruntu prawym, zdradzonym przez istoty nikczemniejsze od niego, ulegające podłym słabościom. Dla Andrzeja zarezerwowany jest szacunek, dyskretne współczucie i ochrona przed brudami życia. — Trochę jestem świnią — uśmiechnął się Mikołaj, wtedy, za pierwszym razem, gdy leżeli wyczerpani, lecz czujni na każde drgnięcie rzeczywistości jaka się przed nimi otwierała.

— Bo leżysz w łóżku z żoną przyjaciela? — Elżbieta akcentowała słowa z upodobaniem.

— Przyjaciela to za dużo powiedziane — obraził się.

— No, wiesz? — obraziła się. — Nawet nie wiem, czy zastręgujesz na jego przyjaźń. On ci tak ufa, tyle stara się dla ciebie zrobić.

— W gruncie rzeczy bardzo go lubię — wycofał się Mikołaj.

— Przecież nie robimy im krzywdy — zamyśliła się Elżbieta: przyszło jej do głowy ile łączy ją z Krystyną przez tyle lat. — Zwłaszcza póki o tym nie wiedzą. Nie zabieramy im niczego z naszych uczuć dla nich, prawda?

— Powiedziałbym nawet — zgodził się skwapliwie — że działamy na rzecz Andrzeja i Krystyny. To, co robimy teraz w tym łóżku, powinno im wyjść na dobre, jakoś im służy.

— Wstrętny jesteś — szepnęła Elżbieta i w szepcie tym było coś więcej niż podziw; mościła się wygodnie przy jego boku, z twarzą wyrównaną przez sytość. — Dobrze nam będzie we czworo — dodała z przekonaniem, nie zapominając o Krystynie.

— Zrobimy wszystko, aby uchronić naszych najbliższych od zmartwień, zadamy sobie największy trud... — Mikołaj uniósł się na łokciu i pochylił nad Elżbietą twarz, w której nie było już znieczulającej drwiny. — Elżbieto — powiedział — nawet nie domyślasz się ile wyrzeczeń i kłamstw trzeba będzie, abyśmy mogli przyspać do siebie i oddychać sobą przez chwilę w jakimś obcym, parszywym pokoju.

Teraz rutyna wymazała już wiele z owych wahań i chwil pełnych bicia serca i niezastężonej zgryzoty, kiedy coś psuło skrupulatnie konstruowane okoliczności, zamieniało życie w czekanie, zaś czekanie w bezsilne rozdrażnienia. Teraz Elżbieta wiesza ustabilizowanym gestem żakiet na poręczy krzesła i siada na tapczanie, oczekując rytuału, który jak dotąd nie stał się nudą. — Co będziemy robić? — pyta. — Zaproponuj coś godnego Mikołaja Planka. — Nie wiem — odpowiada Mikołaj pogodnie. — Chyba zaczniemy od tego, co zawsze. — Elżbieta zapala papierosa, zaś Mikołaj odpina guzik przy eklerze spódnicy, rozsuwa nieco ekler i wyjmuje bluzkę delikatnie, aby jej nie pognieść. — Bardzo piękna — mówi z uznaniem o bluzce.

Elżbieta bierze telefon na kolana i nakręca numer. — Z redaktorem Felakiem — mówi, po czym po chwili: — Jędrusiu, dzień dobry, to ja. — Unosi się lekko z tapczana, gdyż Mikołaj rozpina ekler do końca: spódnica opada na podłogę, Elżbieta siada z powrotem na tapczanie, zaś Mikołaj przechyla się ku podłodze i pomaga Elżbiecie przekładać nogi poza krąg zwiniętej spódnicy; jednocześnie zsuwa jej szpilki ze stóp.

— Co się stało? — pyta Andrzej jakby zaskoczony: słuchawka trzymana nieco od ucha przez Elżbietę pozwala Mikołajowi słyszeć go wyraźnie.

— Nic się nie stało — powiada Elżbieta: wyciąga w bok prawą rękę, jak przy gimnastyce, ułatwiając Mikołajowi oswo-bodzenie jej z prawego rękawa bluzki. — Co się miało stać?

— To dlaczego dzwonisz? Kontrola? Czy jestem w redakcji? — Andrzej śmieje się, lecz bez wesołości.

— Jędrusiu... — mówi Elżbieta z wyrzutem — wiesz jak ci ufam. — Po czym pieszczotliwie: — Chcę usłyszeć twój głos. — Przekłada słuchawkę do prawej ręki po to, aby wyciągnąć

lewe ramię. — Zamiast ucieszyć się, że twoja żona myśli o tobie zadajesz głupie pytania. Coś nie w porządku z sumieniem...

— Skąd dzwonisz? — Cień podejrzliwości zjawia się w głosie Andrzeja.

— Z miasta. — Mikołaj usiłuje odpiąć sprzączkę przy pończosze, lecz Elżbieta daje znak, że to zrobi sama, wobec tego rozpoczyna manipulację przy staniku. — Chyba mogę dowiedzieć się, co u ciebie słyszać? Potem wpadniesz do domu i będziesz wściekły, żeś mnie nie zastał.

— Będę dopiero późnym wieczorem.

— Też możesz mnie nie zastać.

— Bogate życie towarzyskie? — uśmiecha się Andrzej pojednawczo.

Biustonosz jest rozpięty i Elżbieta rozpoczyna jakby ćwiczenia ramion, polegające na pozbyciu się go. — A może wizyta u kochanka? — mówi zalotnie. — Samotny wieczór, bez zaniebującego żonę męża, sprzyja różnym wykroczeniom, nie? Zepsułam cię, Jędrusiu, jesteś mnie zbyt pewny. To niezdrowe. Pa, widzimy się jutro rano. Żadnych niespodzianek, prawda?

— Prawda — uśmiecha się Andrzej serdecznie. — Może potrzebujesz wóz? — To jest celne pociągnięcie: nakazuje eliminację podejrzliwości.

— Kochanie — szepcze Elżbieta z dziecięcą wdzięcznością — jesteś miły... Taki jesteś zalatany, jak mógłbyś bez wozu? Bardziej go potrzebujesz ode mnie. Pa... — Odkłada słuchawkę, wstaje i ściąga pasek wraz z pończochami.

— A teraz — mówi Mikołaj — obowiązki z głowy.

Całują ją ciepło i czule. Żona kolegi, kiedyś nienaruszalna własność, której rabunek owiany jest dwuznacznym honorem. Szuka uporczywie tego, co obywa się bez usprawiedliwień, szuka pierwszego razu, zagadkowej chwili, która wtrąciła go wtedy w czarną studnię niepojętej uległości. Wtedy, wczesną wiosną, wyszedł po Elżbietę na przystanek autobusowy i długo czekał. Już myślał, że nie przyjedzie, że zlekła się i zrezygnowała z tego, o czym mówili ostatnio wieloznacznie, lecz z uporem. Chciał odejść, zły i zmęczony, gdy wysiadła z autobusu. Przywitali się sztucznie i poszli w stronę domu Mikołaja. — Tu niedaleko mieszka pewna krawcowa — powiedziała Elżbieta. — Jest to pomyslna okoliczność. Niemniej serce mi bije jak przed skokiem ze spadochronem. — Nie skakałem, nie wiem — rzekł Mikołaj opryskliwie. — Ja też nie — powiedziała Elżbieta potulnie — ale sobie wyobrażam... — Mikołaj myślał, że za każdym razem człowiek spodziewa się czegoś nowego w tej samej rzeczy; a takie bicie serca (bo jego też waliło jak zepsuty budzik) to oznaka

(za co Bogu niech będą dzięki!) odwiecznej wiary w coś przewyższającego wszystko co było dotąd. Weszli na górę, matka była w Zakopanem, mieszkanie leżało przed nimi puste, ciche, słoneczne. Elżbieta usiadła, zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę. Spódnica od kostiumu uniosła się wysoko, do połowy ud (szczupłych i krągłych), ukazując ciało nad granicą pończoch. — Teraz już mogę tak trzymać nogi przy tobie? — powiedziała, nie starając się ukryć lekkiego drżenia głosu. — Przez tyle lat mam na to ochotę...

Mikołaj ujął ją za rękę i posadził przy sobie na tapczanie: w tej chwili nie dostrzegał w jej słowach nic innego, prócz delikatnej prawdy. Zaś w parę minut później doznał dziwnego uczucia, alarmującego wszystkie ośrodki jego wytrenowanego w sztywnym umyśle. Poczłł mianowicie, że zakwita jak młody pęd wiosną w pniu drzewa i dokładnie tak o sobie pomyślał. To było w gruncie rzeczy śmieszne, zwłaszcza w sytuacji tak dokładnie (wydawałoby się) znanej, a mimo to czuł tak właśnie i oleodrukowe to odczucie odbierało mu wręcz nieznośnie najwyższe napięcia, uciekające jak niepowetowana strata. I czuł tak dalek i myślał o tym, że tak czuje; do jego świadomości docierały tandetnie sentymentalne sformułowania, że odtąd kobieta ta stanie mu się nieodzownością, czyli tym, o czym nikomu nie wolno sądzić, czego nikt nie umie stwarzać, lecz co jest po to, aby w nim tkwić i ciągle zakwitać na nowo.

— Oczywiście — mówi Elżbieta ubierając się — wstąpię jeszcze do krawcowej. Spotkamy się na obiedzie u *Literatów*. — Wkłada bluzkę, której nieskalana popelina jest sumieniem eleganckich kobiet.

U *Literatów* jest tłok i zatrzesienie znajomych. Obowiązuje żelazny podział stolików: przy jednych grupują się ludzie sukcesu, przy innych ludzie ambicji realizowanych za wszelką cenę, przy jeszcze innych ci, którym nie stało przedsiębiorczości ani talentu w dostatecznej mierze, by zdobyć sukces, lub choćby żywić ambicje. Stoliki spoglądają na siebie ze szczerze maskowaną pogardą: jedni gardzą kolorowością stroju drugich, drudzy gardzą brakiem elegancji trzecich, trzeci gardzą ekskluzywną manierą czwartych, ci wreszcie gardzą nudną kordialnością uprzednich, tych przystępnych i dla wszystkich serdecznych. Sprawne, milczące kelnerki o obojętnych, lecz wyrozumiałych twarzach traktują wszystkich z niewłaczającą nikomu nonszalancją: znają tych ludzi od lat i na wylot, znają ich kosztowne grzeszki i wstydlive niedobory pieniężne, nie mają żadnych powodów do szacunku, a tylko nieliczne do sympatii. Mikołaj obawia się

najbardziej kelnerek: mają niezawodny instynkt rozeznawania zdrad małżeńskich; omawiają ewentualne wykroczenia z kucharkami, te roztrząsania wentylują najdrobniejsze szczegóły i domniemane zakręty życia; kucharki wnoszą wiele do poznania prawdy poprzez przymusowe teoretyzowanie i natchnione wizjonerstwo, albowiem to, co wiedzą, opiera się wyłącznie na wyczerpujących opowiadaniach kelnerek. Bliscy znajomi przy stolikach zagrażają w mniejszym stopniu, niż personel; metodą introspekcji znajomych jest przyjmowanie najbrzydszej ewentualności: jeśli dwoje ludzi różnej pci daje się dostrzec razem w miejscach publicznych oznacza to, że żyją ze sobą. Ta sumaryczność wnioskowania nastęrcza mniej trudności niż wnikliwie dywagacje kelnerek; bliskich znajomych łatwo jest zmylić, kierować ich na fałszywe tropy przy pomocy dobrze wyważonych, zjadliwych uwag, rzucających niby mimochodem. Zresztą bliskim znajomym zależy mniej niż kelnerkom na tym, jak jest naprawdę: ostatecznie, są to dla nich codzienne przypadłości; w gruncie rzeczy tak jest wszystko jedno kto z kim gdzie i kiedy, że nawet nie warto się nad tym bliżej zastanawiać: smakowitość zaczyna się od skandali, wyłuskiwanych z ukrycia cierpień, nieoczekiwanych ucieczek, samobójstw. Kelnerki natomiast stosują parytet moralny wobec opracowywanych w kuchni plotek i spostrzeżeń, osądzają, ferują wyroki, obchodzi je wszystko, nawet obiad stawiany nie własnej żonie przez podejrzanego; bliscy znajomi kierują się co najwyżej przytępiłą ciekawością, podczas gdy kelnerki służą prymitywnie adorowanej moralności i wyobrażeniom o szczęściu, dlatego liczą się tylko kelnerki i tylko ich należy się naprawdę strzec. Czasami kelnerki są lojalne, przestrzegają niezręcznie, dają do zrozumienia, że coś wiedzą, że trzeba się mieć na baczności, a w ogóle lepiej jest być przyzwoitym w ramach ustalonych przez odwieczny obyczaj konwencji; bliscy znajomi zaś usiłują pchać w wykroczenia najmniej skłonnych do nadużyć. Być może szukają rozgrzeszeń w uchybieniach innych, dewaluację win najłatwiej osiągnąć przez ich upowszechnienie. Zanim Mikołaj i Elżbieta znaleźli się w łóżku wydawało się, że wszyscy ich do łóżka pchają. Najbliżsi przyjaciele Andrzeja i Krystyny, życzliwi i oddani, wychodzili ze skóry (może nieświadomie, lecz zgodnie z towarzyską pragmatyką), aby ułatwić im każde posunięcie w kierunku zdrady: dwuznaczność sytuacji rozplywała się w zręcznie kamuflujących słówkach, w przechylnych spojrzeniach, w serwowanych im obojgu serdecznościach. Wszyscy wokół stawali się na ich widok libertyńscy i wyrozumiali, nawet nie wiedząc dlaczego, ich elastyczna, mądra tolerancja zaczynała funkcjonować sprawnie i bezszmerowo, jak zawsze w obliczu cudzych zdrad, ich wrażliwość wy-

łączała się automatycznie wobec grzechów i bólów innych ludzi. U siebie w domu nie tolerowaliby niewierności, walczyliby z bólem; na zewnątrz sięgali ochoczo do magazynu wypróbowanych oszustw. „Grunt, aby nikt o niczym nie wiedział!”, oto hasło i najświętsza zasada współżycia, oto kierunkowa prosperowania małżeństw, oto fundament rozwoju i karier. Zaś zdrady i bóle innych to błahostki, dlaczego nie ułatwiać życia zdradzającym, cóż w tym złego, przecież nikt (prócz mnie!) tego poważnie nie traktuje.

Wchodzi Elżbieta i przysiadła się do stolika, przy którym Mikołaj kończy jeść kotlet mielony z marchewką. — Dlaczego nie jesz marchewki? — mówi Elżbieta. — W ogóle prawie nic nie jesz. — Zajmij się nim — mówi słynny grafik, cały w angielskich tweedach. — Niech wreszcie ktoś się nim zajmie. — Ślicznie dziś wyglądasz — mówi żona pewnego poety do Elżbiety. — Co ze sobą robisz, że tak wyglądasz? — Ma dobry dzień — rzuca grafik. — Mam — przyznaje Elżbieta. — Wyspałam się. Potem całe przedpołudnie u krawcowej. To jest jak dwa tygodnie w górach.

Wchodzi razem od *Literatów*, Elżbieta i Mikołaj, na rozświetlone Krakowskie Przedmieście. — Mam zaproszenie na dzisiejszą premierę do *Moskwy* — mówi Elżbieta. — Larbiński nam przysłał. Pójdziemy?

— Czy to nie przesada?

— Dlaczego? — zaperza się Elżbieta. — Nie widzę w tym nic złego. Spotkałam cię u *Literatów* i powiem Andrzejowi: „Ublałam Mikołaja, żeby ze mną poszedł”. Nawet będzie zadowolony. Przynajmniej uniknę awantury o Larbińskiego.

— Widocznie są powody — mówi Mikołaj zgryźliwie.

— Zastanów się, Nick...

— Nad czym? Larbiński wiruje przy tobie ostatnio jak bączek. Nikt nigdy nie będzie wiedział jak jest naprawdę, a najmniej ja. I Andrzej... — dodaje po chwili.

Elżbieta uśmiecha się bezmyślnie i miękko, podbródek jej zakręgała się dziecinnie i kapryśnie. — Andrzej wie w końcu jak jest naprawdę — mówi. — Drażnią go pozory. Ale dobrze wie, na co mogą sobie pozwolić.

— Ja też wiem na co możesz sobie pozwolić i dlatego nie skaczę z radości, gdy słyszę ze wszystkich stron o Larbińskim, że to twój ostatni kochanek.

Uśmiech Elżbiety staje się coraz bardziej głupiotki i zadowolony. — Powinieneś się z tego cieszyć, że tak mówią — powiada ujmując Mikołaja pod ramię ruchem małej dziewczynki, prowadzącej dorosłego do cukierni na upragnione lody. — O Andrzeja

się nie martw, nie uwierzy w to nigdy. On wie jak jest naprawdę.

— Jak jest naprawdę?

Ta ulica, szeroka, pełna ciepłego powietrza i odgłosów popołudnia rozprasza. Przechodnie, kierowcy autobusowi, wózki z wodą sodową, kosze od śmieci solidaryzują się naturalnie z intencjami Elżbiety. — Jak jest naprawdę? — powtarza Mikołaj, świadomy, jak łatwo przyjdzie Elżbiecie unik, lub deformacja tego, co dla niego tak ważne.

— Widzisz... — Elżbieta przyjmuje walkę — Andrzej wie, że ja nie robię tych rzeczy, bo ich nie potrzebuję.

— Opanuj się — radzi jej Mikołaj uśmiechnięty — komu ty to mówisz? Mnie?

— Tak, tobie. Bo ty wiesz, jak jest naprawdę, ale tylko ty i nikt inny. Nikt inny nigdy.

— Przecież powiedziałeś, że Andrzej wie, jak jest naprawdę. Przed chwilą.

— I tak jest. Andrzej wie aż za dobrze, że to mi nic nie daje, więc uważa słusznie, że ja tego nie robię.

— Ja wiem coś innego.

— Słusznie — Elżbieta spogląda w oczy Mikołaja: twarz ma szczerą i otwartą, pełną łagodnej prostoty. — Andrzej wie jedno, a ty wiesz drugie. Każdy wie swoją prawdę, bo i jedno i drugie to prawda.

Elżbieta idzie do domu, aby przebrać się. Stojąc pod prysznicem ogląda z upodobaniem swe ciało w lustrze. Gładzi brzuch i piersi, przybiera różne pozy wyrównujące drobne braki w budowie. Doszła już do wniosku, że to, czego latami nienawidziła, znikło przy pomocy Mikołaja: udało mu się wypędzić z jej serca udreki traconego czasu, żrące kwasy, niszczące jej ciało, jedyną rzecz jaką naprawdę kocha. Zasluga jego jest zatem wiekopomna. Za drzwiami łazienki awanturuje się Paweł, wołając, że mama musi go dziś zabrać do kina. Elżbieta ubiera się szybko, lecz starannie, całuje Pawła i daje gospośki trzydzieści złotych na kino dla obojga.

Mikołaj czeka w kawiarni *Bristolu*. — Nie bardzo mam ochotę na premierę — mówi. — Nie zrobisz mi tego — powiada Elżbieta — teraz, kiedy się przygotowałam. — Przygotowałam się na medal — przyznaje Mikołaj — pełny rynsztunek bojowy. Ale ja poszedłbym najchętniej do *Stodoły*. — Oczywiście — mówi Elżbieta ustępliwie — możemy pójść do *Stodoły*.

Nie znosi *Stodoły*, tylko tam nie potrafi niczego przeciwstawić rozpanoszonej i obojętnej młodości; toczy ją tam chorobliwa zawiść. Dziewczęta w *Stodole* oglądają jej kosztowną elegan-

cję ze zrozumieniem, czasem z podziwem, lecz bez szacunku: wystarczy, by rozległ się „Rock around the clock”, aby ogarnęła ją fala wątpliwości i zniechęceń. Potrafi tańczyć nie gorzej od tych dziewcząt w tanich spódnicach z gorączkowych poszukiwań na ciuchach, jej nogi i talia mogą i tu wytrzymać wszelką konkurencję, a przecież coś ją paraliżuje, coś przesądza o klęsce, przed którą ochroną jest już tylko podkreślanie swej odrębności. Po raz pierwszy Mikołaj przyprowadził ją do *Stodoły* po osobliwym zdarzeniu, kiedy wkradło się między nich wzruszenie. Była to ich trzecia schadzka, jeszcze u Mikołaja: dżdżyste, zimne popołudnie i przytulność mikołajowej graciarni, pośród starych, naftowych lamp o zielonkawym poblasku, wśród sioდეł ułańskich z wojny francusko-pruskiej, rozrzuconych, obcojęzycznych książek, płyt i nieoprawionych obrazów. Tego wieczoru stanęła na progu (a może tylko obok?) przeżycia, na które składają się nieodcyfrowane wątki ulotnych upragnień, ważne dziś i nigdy przedtem, pochlebiające i zaspakajające potrzeby od snobizmu po rozrzewnienie. Miłość fizyczna, mieniąca się, migotliwa, nabierała w tym wnętrzu cech obrzędu na ołtarzu z okładek ekskluzywnych czasopism. Były to smakujące jak nic dotąd w jej życiu chwile, nie zapominała o tym, gdy całowali się z zapamiętaniem, jakie przychodzi już rzadko po nastoletniej epoce świętobliwej adoracji całowania; całowanie nabrało naraz sensu olśniewającej przygody, za którą płaci się latami żmudnych prób. Przywarli do siebie bez pośpiechu, dwa ciała złąknione szczerości i dostatecznie świadome swej potęgi aby tę szczerość wzajemnie na sobie wymóc. Elżbieta, chłodna i opanowana Elżbieta o drażącym spojrzeniu, którego przenikliwości nie były w stanie rozmyć łzy, wołała teraz coś bez związku i gryzła palce Mikołaja. — Przyjdź, przyjdź... — szeptała — ... myśl o sobie, najdroższy, myśl o sobie... — Po czym odwróciła się ze znużeniem i płakała cicho i nieefektywnie. Mikołaj dotykał jej twarzy, mokrej od łez, i powiedział: — Płaczysz? A więc mogę być dumny, prawda?

— Możesz być dumny — odpowiedziała.

Ubierali się i Elżbieta wpadła w nastrój szczebiotliwej radości, może nazbyt ostentacyjnej. — Taka jestem szczęśliwa! — powtarzała nieustannie. — Co teraz chcesz robić? Nie spodziewasz się chyba, że odwieziesz mnie do domu i rozstaniemy się? Nie, nikt nie odpędzi mnie dziś od ciebie! Ani nic! Powiedz, co chcesz teraz robić, marzę o tym, żeby robić to, co ty chcesz. Możemy jeść flaki i pić wódkę w najbrudniejszych barach Warszawy, możemy przekopać ten nędzny strzęp ziemi, który ty nazywasz swoim ogródkiem, możesz mi czytać swoje najnudniejsze wiersze... możemy wszystko, byle byś ty tego chciał. Błagam cię,

chciej czegoś, ale bardzo mocno, a ja będę z tobą i my razem... — Pójdziemy do *Stodoły* — rzekł Mikołaj: to było bardzo ładne i coraz ładniejsze, to czego nie chciał nazywać szczęściem, bowiem starał się nie używać słów, których nie rozumiał. Toteż czuł potrzebę zanurzenia tego, co mu się tak bardzo podobało, w czymś bardzo swoim, w sprawdzonych odczynnikach radości, którym nauczył się ufać. — Dobrze może być tylko w *Stodole* — powiedział. — Uwierz mi. — Wierzę ci, jedźmy do *Stodoły*, to genialna myśl! — zgodziła się od razu: rozumiała instynktownie co i jak weryfikuje Mikołaj w swoim systemie wartości, dlatego musi poddać ją ciśnieniom, które gwarantują mu na codzień jego małe, prywatne ocalenie. Dokona wysiłku, by ukazywać jej i odkrywać to, co widoczne jest tylko jego oku. Będzie musiała zachwycać się jazzem i przewrotnym wdziękiem tego zakurzonego drewniaka rodem z środkowo-rosyjskich gubernii, w którym pierwotne przeznaczenie murarskiej stołówki splotło się tak zabawnie z losem kwatery głównej młodzieżowego kosmopolityzmu: werandowe balustradki czechowowskiej daczy i zabójczy dowcip napisów na surrealistycznych malunkach wokół pięciu chłopców w *jeans*'ach, egzekwujących „Wabash Blues”. Jak dotąd, ani nie potrafiła się tym zachwycać, ani nic nie pociągało jej ku *Stodole*; dziś jednak znieść mogła wszystko, myślała nawet z pewnym upodobaniem, że wystąpi niezłomnie na ubitą ziemię przeciw dziewczętom w czarnych baletkach i wąskich, czarnych spodniach, dziś odnalazła w sobie pragnienie walki i pewność zwycięstwa, dziś nie bała się, że Mikołaj chociaż na chwilę odwróci od niej wzrok pełen cichego, wesołego uznania, które w *Stodole* znaczyło więcej niż przysięgi miłości i poświęcenie. Toteż siedzieli blisko całą noc na stolikach, pośród rozlanego piwa, lub na niziutkich ławkach, jak dzieci w przedszkolu: jacyś faceci z brodami (z chrystusową słodyczą na twarzach napiętnowanych wszechwiedzą tak złożoną, że aż niewyraźną), o głowach strzyżonych na pielęgnowane trawniki, dobywali z fortepianu, kontrabas, perkusji i saksofonu dysonansowe, niekończące się sola, krzykliwe, nieznośnie ciche, rozkojarzone, bezładne i pozbawione muzycznego sensu; co gorsze, sola te wydawały się Elżbiecie wszystkie takie same, muzyka zlewała się w oślepiający tuman odgłosów, o wiele za intensywny by coś z niego zrozumieć. Zaś Mikołaj mówił: — Rdzeniem tej muzyki jest niespodziewany dźwięk, który cię przenika i olśniewa. — Dym tytoniowy zasnuwający nisko podłogę jak opar trujących gazów drażnił oczy i dawał poczucie niezawinionego zmęczenia, zaś siedzący na podłodze chłopcy (z kolanami podciągniętymi pod podbródki) zdawali się tego tylko pragnąć, żeby móc sobie samym zarzucać

jakaś słabość, czy niezawinioną krzywdę. Elżbieta powiedziała o tym Mikołajowi, który odparł, że może to i prawda, albowiem bez tego poczucia bezsily i zgnojenia faceci ci nie mogliby na-
zajutrz skutecznie funkcjonować na swych uniwersytetach i po-
litechnikach. Elżbietę bolały już plecy, mimo, że opierała się
o obejmujące ją ramię Mikołaja, więc komentowała stroje dziew-
cząt i dziwną modę wojskowych pasów, na których chłopcy no-
sili *jeans'y*. — Ubiór to rzecz nie błaha — szeptał jej Mikołaj
— nie ma nic wspólnego z próżnością, jest ezoteryczną wiedzą,
wyznacza przynależność. — Wszyscy zresztą wokoło rozmawiali
szepem, nie tracąc z twarzy wyrazu rozmodlenie ani pochylenia
głowy oznaczającego bezkresne zasłuchanie i tak toczyło się wolno
w noc to, co oni nazywają *jam-session*, a co dla Elżbiety było
haraczem na rzecz miłości. Brodatych blondynów zmienili młodzi
chłopcy, jeszcze bez zarostu, którzy grali szybko i skocznie, ale
zaraz muzyka ta zmieniła się w nieznośną siekaninę dźwięków,
jakby grający pokłócili się między sobą i każdy grał co innego;
potem wprzęgli się z niezwykłym skupieniem w melodię leni-
wą i smutną, jakby pełną żalu do całego świata: jeden z nich,
w starym swetrze, włożył w klarnet całą siłę płuc i wszystkie
swe młodziutkie lęki i nadzieje, a zakończył swe solo rozpacz-
liwym przydechem. — *Take it over* — powiedział obrzmiałymi
wargami do wysokiego trąbkarza, który od razu wzbił się na
wysokość czystego tonu, a jednocześnie wolną na chwilę ręką
zmierzwił włosy chłopca w swetrze za jego wysiłek i zmęczenie.
Serce Mikołaja zamarło z radości na widok chłopięcego brater-
stwa i rzekł do Elżbiety: — Wiesz, ci muzycy nagrywają dla
siebie takie nocne grania. Tam nawet wiszą mikrofony. Kiedyś
widziałem chłopca, klarnecistę, który przesłuchując taśmę zaraz
po nagraniu rozplakał się. Zrozumiał, że nigdy więcej tak nie
zagra i że to takie nieznośne, iż człowiek raz tylko może coś
doskonałego... Że rzeczy pięknych niesposób powtórzyć. — Było
to bardzo przykre, co powiedział Mikołaj, chociaż nie bolesne.
A więc nie da się powtórzyć czegoś tak pięknego jak dzisiejsze
popołudnie u Mikołaja? Może to i lepiej. Przecież jasne jest, że
nie zostaną ze sobą na zawsze, że to co ich łączy przyniosł bło-
gosławiony pochód zdarzeń, którego wielkość tkwi w przemi-
jalności, w zmianach na coraz lepsze. Oczywiście, niesie on ze
sobą także zmartwienia, co gorsze — ledwie uchwytnie, lecz zna-
ne już własnemu oku zmarszczki, minimalne zwiotczenia skóry
na ramionach i nieznane dotąd dolegliwości wątroby, ale przy
umiejtnie przedsięwziętych zabezpieczeniach mankamenty te nie
oznaczaają klęski. A w ogóle *Stodoła* nudzi ją trochę i to chyba
dobrze. Andrzej pojawił się naraz jako opoka powagi i sensu

życia. Czy Mikołaj nie przedłuża niebezpiecznie swej młodości? W końcu musimy być dorośli, zaś Andrzej jest dorosły.

Ale nie ruszają się od stolika; upływa parę chwil nieobowiązującego milczenia i Elżbieta mówi z niepewnym dąsem: — Czy musimy iść do *Stodoły*, Nick?

— Nie, kochanie — mówi Mikołaj przychylnie — bynajmniej nie musimy. — Otrzymałszy raz od Elżbiety zaliczkę na uległość nie należy egzekwować niczego aż do końca. — Właściwie możemy pójść na tę premierę. Jeśli tylko nie niepokoi cię, że zobaczy nas razem Larbiński, który dwóch rzeczy pragnie z jednokową siłą: ciebie widzieć, a mnie nie widzieć.

— To bardzo miłe — oświadcza Elżbieta poważnie, z sobie tylko znaną logiką.

W taksówce Elżbieta rozmyśla o sobie z przyjemnością: ubrana jest w dopiero co przywiezione z Paryża rzeczy, tak właśnie jak powinna wyglądać na galowej premierze w kinie *Moskwa*. Taka premiera jest boiskiem zaciętych współzawodnictw, poważniejszym niż rauty w ambasadach: polskie gwiazdy ekranu ubierają się lepiej od żon zachodnich dyplomatów, zjawiają się przygotowane na najcięższe zmagania o rangę nowej sukni, czy nowego uczesania. Przypomina sobie, przy obiedzie mówiono, że ładnie dziś wyglądam, mam dobry dzień. Zasługa Mikołaja, myśli bezstronnie. Mikołaj dochodzi do wniosku, że jednak lubi te premierowe spędy, na których tak miło jest zaspakajać swe poczucie inności, gdzie najpełniej zakwita jego odrębność potępionego i wyklętego za talent i niezależność; jestem twardy i niezłomny jak skała obłana uryną, myśli o sobie z rozsądną melancholią.

Kino *Moskwa* jarzy się wzmocnionymi światłami dla specjalnej publiczności. Samochody zajeżdżają przed fronton, potężne, czarne Czajki ministrów, lub niskie, błyszczące Mercedesy i Plymouthy korpusu dyplomatycznego; przed wejściem tłum gapiów i kombinatorów, choć przez chwilę w odległości metra od nazwisk znanych z gazet i radia. Prywatne Wartburgi, Fiaty, Volkswageny parkują beładnie na poboczu, wysiada z nich asortyment twarzy ekranowo telewizyjnych, pachnących po niedawnym goleniu, lub wieczornym makijażu, roześmianych, lub znużonych, wołających: — Halo! Jak się masz, kochanie? Zaczekaj, najdroższy, najdroższa!

Pośrodku hallu stoi grupka twórców prezentowanego filmu, ubrana na czarno, z kwiatami w celofanie, pośród nich Larbiński. Na widok Elżbiety i Mikołaja twarz Larbińskiego krzywi się z wysiłkiem w kwaśny uśmiech mający oznaczać serdeczne roz-

radowanie. Przeprasza rudowłosą gwiazdę w wieczorowej sukni i podchodzi przywitać się. — Jakże się cieszę, że was widzę — mówi, skrywając zazdrość za przewencyjną ironią. — Mam nadzieję, że wpadniecie do *Spatifu*. Zapraszam was na bankiet jako szef zespołu. — Aluzja kryje się w drugiej osobie liczby mnogiej, łączącej Elżbietę i Mikołaja w jakąś całość.

— Boję się, że to niemożliwe — Elżbieta uśmiecha się promiennie. — Zostawiłam Pawła samego w domu.

— Jadłem dziś obiad z pani mężem. Mówił, że się nie wybieracie.

— Ubłagałam Mikołaja, żeby ze mną przyszedł.

Elżbieta przygląda się Mikołajowi: jest to jego pierwsze spotkanie z Larbińskim od czasu owej parszywej komisji; pamięta jego rozgoryczenie i pogróżki. Mikołaj stoi obojętny, bez uśmiechu, lecz nie agresywny. — Panie Mikołaju — mówi Larbiński — kiedy pan coś dla nas napisze? — Oczy Larbińskiego za okularami patrzą czujnie i krzywo mimo grymasu urzędującego na jego twarzy jako uśmiech.

— Co napiszę? — mówi Mikołaj chłodno: Elżbiecie serce bije mocniej.

— Scenariusz. Marzę o tym od dawna, gdyż wiem, co pan potrafi.

— Ciekawe... — zastanawia się Mikołaj. — Ostatnio był pan o mnie całkiem innego zdania.

— Życie jest okrutne — wzdycha Larbiński. — Ponawiam moją ofertę: niech pan coś dla nas napisze.

— Po co? Po to, ażeby inny szef zespołu nazwał mnie na tej samej komisji agentem i tandeciarzem?

— Obронimy pana. Wtedy napisał pan dla tamtych, a teraz napisze pan dla nas. Zasadnicza różnica. Muszę wracać na swój posterunek. Mam nadzieję, że w końcu zjawicie się w *Spatifie*...

— Miało to żartobliwie oznaczać, że jak skończycie z tym, co macie do zrobienia na osobności, pokażcie się znów między uczciwymi ludźmi.

Larbiński wycofuje się ku grupie centralnej, Elżbieta opiera się ulgą o poręcz szerokich schodów.

— Dlaczego powiedziałeś, że nie pójdziemy do *Spatifu*?

— Pójdziemy do ciebie. Jutro przyjeżdża twoja matka.

To jest nagroda za to, że nie wywołał awantury.

Do hallu napływają ludzie zasobni w osiągnięcia, sukcesy, zaszczyty i wpływy, lecz także lekko otyli, obrzękli od nocy przesiedzianych za biurkami, przygięci ciężarami porażek i goryczy. Wydają się teraz już twardo osadzeni w siodle, nienaruszalni, niepomni zimowych szarug na gruzach odbudowywanego miasta,

wyzbyci trwogi, goniącej ich niegdyś przez gmach władzy, który pomagali wznosić wśród intryg, zmęczenia i zwątpień w swój dzień następny. Większość z nich gardzi bezbrzeżnie ideą, z gloryfikowania której ciągnie profity i ulatuje w górę nad innych, mniej przedsiębiorczych. — Sie masz, Nick — mówi przechodząc zażywny pan w kapelusiku z piórkiem. — Nie wyobrażasz sobie jaka to będzie chała. — Zdawało mi się — mówi Mikołaj — żeś coś robił przy tym scenariuszu, nie? — Dla chleba, bracie, dla chleba — chichocze zażywny pan. — Zresztą nie dali mi zrobić tego, co chciałem. Znasz życie, nie? — Gardzą i nienawidzą, lecz służą bezwarunkowo, nie uważając za uwłaczającą ani własnej służalczości, ani gotowości do zaprzeczania samemu sobie na każde skinienie; przeciwnie: uważają wydzieranie wielkich pieniędzy i łatwego życia z rąk tych, którzy dysponują pieniędzmi, drukarniami i wytwórniami filmowymi za honorowe, usprawiedliwiające wszelkie kłamstwo. — Wyglądasz przesłicznie, Elżbieto — mówi, przechodząc młody człowiek o zielonkawej cerze, łysawej głowce i twarzyczce wystraszonego pastuszka. — Gratuluję ci cudownego plakatu — mówi Elżbieta. — To twój, prawda? — Mój — mówi zielonkawy. — Maluję trupa jak się da... Film chała, ale plakat wyszedł. Zobaczycie sami, co za chała. — On jest klawy — uśmiecha się Mikołaj, gdy zielonkawy przesunął się na schody. — Przez cały stalinizm wysyłano go zagranicę. Reprezentował polską grafikę. Wracał i tylko wybrzydzał się na wszystko co polskie, na matactwa, nieudolność, zbrodnie i głupotę. Po czym jechał znowu reprezentować, czyli musiał być jakoś wierny tym zbrodniom, służyć głupocie, bo inaczej by go nie wysyłano, no nie? — Za to urządził życie trzem kobietom — mówi Elżbieta z sympatią. — Po każdym rozwodzie zostawiał facetce umeblowane mieszkanie i wychodził z jedną, małą walizeczką. Gentleman. Ma chody, może się rozwodzić. — Ma chody i ma wszystko — dodaje gorzko Mikołaj. — Więc dlaczego płwa i bluzga? — Żeby inni się dowiedzieli, że on jest przeciw — wyjaśnia Elżbieta. Albowiem główną troską obsypanych zaszczytami przez komunistów jest: jak powiadomić lud, że są oni przeciw komunistom.

Wchodzą na schody, prowadzące na balkon i szukają swych miejsc. — Nick, buźka! — woła, przechodząc, niewysoka, jasnowłosa dziewczyna, niosąca przed sobą jedną z najbardziej znanych twarzy w Polsce. — Kochanie — mówi Mikołaj — jak się masz? — Potwornie mnie gnoją — mówi dziewczyna szybko i głośno. — Chcą mnie wyrzucić z telewizji, bo podobno mam za duży biust. To się jakoby nie podoba w terenie. — Całuje Mikołaja w policzek i zbiega ku pierwszemu rzędom. Dziwny

— Byłoby kazirodztwo — mówi Mikołaj z przekonaniem.
— Felakowie to dla mnie rodzina.

— W Mikołaju drzemie dar nadzwyczajności — usiłuje wycofać się Hojda. — Przejawia się we wszystkim, czego się dotknie, co pisze, czy robi.

— Dlatego go tak niszczą — mówi Teodozja przymilnie. — To jest nie do darowania. Ludzie cię niszczą, bo ci zazdroszczą, zaś władza, bo odwracasz uwagę ludzi od tego, co chce władza.

— Dziękuję ci, Teodozjo — uśmiecha się Mikołaj. — Jesteś prawdziwą przyjaciółką i rozumiesz moją sytuację. — Brzmi to niesympatycznie, lecz Teodozja nie mówi już nic uśmiecha się tylko promiennie, jakby zawarta w słowach Mikołaja insynuacja nie dotyczyła nikogo z obecnych.

— Muszę już iść — mówi Elżbieta, wstając. — Sami rozumiecie, że wołałabym... — To ostrożne wołanie o współczucie podkreśla subtelnie godną pożałowania sytuację przyzwoitej małżonki, jak i uroki opuszczanego towarzystwa.

Elżbieta kroczy wolno i poważnie u boku Mikołaja przez pusty Plac Konstytucji: kroki ich rozlegają się w spokojnym powietrzu nocy, wśród przytulonych do krawężników samochodów. — Dlaczego byłeś niemły dla Teodozji? — pyta.

— Niechęć klasowa — mówi Mikołaj. — Jest mocniejsza od przykazań grzeczności. Teodozja należy do silniejszych, a ja do słabszych, ona do gnębiących, a ja do gnębionych. Ona jest z tych, którzy oskarżają o to, o co sami nie pozwalają się oskarżać, którzy żądają od innych tego, czego sami nie zamierzają dać.

— Przez cały czas była dla ciebie uprzejma i pełna podziwu. Myślisz, że ona nie ma dotkliwych kłopotów?

— Myślę, że ma, takie jak choroba dziecka, lub wypadek samochodowy kogoś bliskiego. Ale nikt nie zabiera jej mężowi prawa do rozwoju. Poza tym jest przyjaciółką Andrzeja i powinna była coś uczynić na nasz widok.

— Co?

— Nie wiem. Jakiś gest solidarności z Andrzejem. Przecież nie przypuszczasz, że ona nas nie podejrzewa?

— Przypuszczam, że tak.

— To dlaczego klajstruje i przyzwala? Jest obojętna i zgniła. Za to właśnie otrzymuje pieczęty od losu, a co gorsze od państwa.

— A twoje książki kto wydaje, nie państwo? A gdzie drukujesz artykuły i komu robisz filmy? Nie państwu? Wytłumacz mi, bo tego nie rozumiem.

— To nie to samo — wzdycha Mikołaj. — Wszystko co

zdobyłem pochodzi z mej pracy i poprzez mandat od publiczności, która chce czytać moje książki i oglądać moje filmy. Loranta chce i hołubi wyłącznie państwo, nikt nigdy nie spytał się publiczności, czy chce, żeby Lorant reprezentował ją w ONZ-cie. Jest tam z łaski państwa.

— A Andrzej? Zarzucasz mu mniej więcej to samo co Lorantowi, a przecież ludzie go czytają, czyli go chcą. Ma mandat od publiczności, no nie?

— Och... — jęczy Mikołaj — ...tego się nie da wytłumaczyć.

— Rozumiem — powiada Elżbieta: ujmuje go pod ramię i przytula się jak mała, ufna dziewczynka. — Nick — mówi cicho — nie gniewaj się, ale kiedy spotykasz dawnych kochanków Krystyny... wiesz przecież, Krystyna nigdy nie robiła z tego zbytnej tajemnicy...

— Więcej się o tym mówi, niż było naprawdę — mruczy Mikołaj.

— Ale jacyś tam byli, no nie?

— No tak.

— Więc jak się z nimi stykasz to przecież nie lżysz ich, ani nie prześladujesz publicznie, prawda?

— Ale ich nienawidzę.

— Za co? Za to, że byli przed tobą? Że tak zrządził ślepy przypadek?

— Za to.

— Może to i prawda — wzdycha Elżbieta. — Ale widziałam cię już w takich sytuacjach. Jesteś cyniczny, wesoły, tolerancyjny, wyrozumiały. Zachowujesz taki sam fason jak wszyscy.

Mikołaj uśmiecha się. — Bo niby jak można inaczej? — mówi. — Tak już jest i trudno.

Elżbieta konkluduje: — A widzisz? Mnie się też tak wydaje.

Nazajutrz rano Mikołaj dzwoni do Elżbiety. — Czy jest Andrzej? — pyta. — Już wyszedł — mówi Elżbieta. — Paweł jedź! — krzyczy. — Czy masz jakiś interes do Andrzeja, Mikołaju? — Na razie nie — mówi Mikołaj. — Chciałem cię tylko usłyszeć. Teraz idę na dworzec po matkę, a potem do Kostkowskiego. — Bardzo rozsądny plan dnia — pochwała Elżbieta. — Na kiedy go poprosić o lokal? — pyta szybko Mikołaj. — Za cztery, pięć dni — powiada Elżbieta. — Tak długo... — skarży się Mikołaj. — Ojciec Andrzeja jest w szpitalu — mówi Elżbieta. — Muszę tam chodzić. — Stary Felak? — interesuje się życzliwie Mikołaj. — Co mu jest? — Serce — informuje Elżbieta. — Dość poważna sprawa.

Kostkowski mieszka w okolicy Trasy W-Z, w jednym z gigantycznych bloków z epoki socjalistycznego realizmu. Nad fasadą usianą zwykłymi oknami, w których suszą się pieluchy i stoją garnki z rosółem, piętrzą się kapitale, kornisze i tympaony. Wewnątrz długie korytarze o brudnych, odrapanych ścianach, pokratkowane drzwiami, z których złazi farba. Winda wygląda jak po bombardowaniu, lecz funkcjonuje, lampy na schodach mają stłuczone klosze. Wyczuwa się tu nadmiar dzieci i nieustające pyskówki. Mikołajowi podoba się atmosfera ubóstwa i zapuszczenia, służy tym samym celom co w paryskich hotelikach na peryferiach. Należy się tylko zabezpieczyć przed przespiewkami Kostkowskiego, który dołoży wszelkich starań by zidentyfikować partnerkę Mikołaja, z poczucia godności reportera.

Dzwoni do drzwi, na których przypięta jest pluskiewkami wizytówka „Marek Kostkowski, redaktor”. Nikt nie otwiera, żadnych odgłosów wewnątrz. Mikołaj wyjmuje kawałek papieru i długopis. Drzwi uchylają się i kobieta mówi: — Ach, to pan... — po czym: — Proszę, niech pan wejdzie.

Dziewczyna jest w rannych pantoflach.

— Panią to ja znam — mówi Mikołaj.

— Owszem — przytwarza dziewczyna.

— Już wiem: u Dziennikarzy. Ilona?

— Nie.

— Jolanta?

— Nie.

— Mariola.

— Zgadza się — uśmiecha się dziewczyna.

Zresztą wygląda inaczej, nie nosi czarnej, trykotażowej bluzki, ani acetylenowo-fioletowych włosów.

— Więc wtedy Kostkowski nie zostawił panią Hojdzie? — uśmiecha się Mikołaj.

Uśmiecha się również. — Nie — mówi. — Zwabił mnie tutaj.

— I tu się pani spodobało?

— Uhm.

— Kochana — mówi Mikołaj porozumiewawczo — to moja zasługa. Kostkowski chciał wyjść ze mną. Pognałem go z powrotem. Powiedziałem mu, że jesteś klawa.

— Czy mam panu za to podziękować?

Stanęła w pozie modelki z francuskich żurnali, którą polskie pisma młodzieżowe lansują jako ideał wyglądu postępowej studentki. — Masz piękny sweter — mówi Mikołaj dotykając jej ramion. — Prawdziwy mohair. Kto ci go kupił?

— Marek.

— Kostkowski? — dziwi się Mikołaj. — Takie inwestycje? A *propos*, gdzie on się podziewa? Dzwoniłem pół dnia do *Wieczoru* i do *Horyzontu*. Nigdzie go nie ma.

— Pojechał do Łodzi. Dziś rano. Na dwa dni.

— Co on ma do roboty w Łodzi?

— Załatwia coś dla pana Larbińskiego.

— Mam do niego interes — zasępią się Mikołaj. — Powiedz mu, żeby zatelefonował do mnie jak tylko wróci.

Mariola mówi: — On pana kocha.

— Kto? — dziwi się Mikołaj.

— Marek.

— Nie przesadzasz?

— Tak, tak, on pana kocha. Ja dużo teraz wiem.

— Co wiesz?

— Słyszałem jak mówił przez sen: „O nim nigdy, nigdy...”
Dokładnie tak mówił, słowo w słowo. To o panu.

— Dlaczego sądzisz, że o mnie?

— Już ja wiem.

Mikołaj ujmuje Mariolę przyjaźnie za trójkątny podbródek.
— Córeczko — mówi — nie zaprzataj sobie głowy głupstwami.
— Lecz w geście tym musi być coś jeszcze, skoro Mariola stara się nie drgnąć, aby nie utracić kontaktu z dłonią Mikołaja, nawet jakby poddaje się lekko temu dotknięciu, które powoli zmienia się w pieszczotę. Mikołaj cofa rękę. — Idę — mówi. — Powtórz Markowi o co cię prosiłem.

— Niech pan jeszcze nie idzie. Tu tak nudno.

— Dlaczego nie pójdziesz na miasto?

— Po co? Żeby mnie rwali. Na ulicy, albo w kinie, albo w kawiarni?

— Tak ci nie dają spokoju?

— Gdzie się nie ruszę. „Jedno spojrzenie i już się żenię!”, tak mówią.

— Trochę się chwalisz.

— Po co? — wzrusza ramionami i patrzy chłodno na Mikołaja jak pamiętał, że patrzyła na Hojdę i Kostkowskiego u *Dziennikarzy*. — Jak się chce z kimś pobyć, czy porozmawiać, to trzeba to robić. Chłopy są takie że bez tego to dziś nic. Jak w dwa dni góra się nie sfinalizuje, to cześć pracy i praszczaj. A czy mnie tu źle? — Wskazała ręką, gdzie jej nie jest źle: niewielki pokój, cztery meble, tanie i nieznośnie nowoczesne, z metalowych rurek, łóżko nakryte kapą z podejrzanego tworzywa sztucznego. Na ścianach kolorowe reprodukcje na pluskiewkach: Botticelli, Van Gogh, Paul Klee, edycje popularne z Międzynarodowego Klubu Prasy i Książki. Pokój dzieli mikroskopijny koryta-

rzyk od drzwi wyjściowych: za plastikową zasłoną gazowa kuchenka, na niej czajnik. Z niedomkniętej, ciasnej łazienki pełnej grubych rur dochodzi kropelkowanie zepsutego kranu. Mikołaj kiwa głową ze zrozumieniem: to jest jej Eldorado, które tak łatwo może się zmienić w raj utracony. Jasne, dlaczego musiał tak długo czekać zanim otworzyła drzwi: różni inspektorzy węszą dziś za lokatorami niezameldowanymi, bez prawa mieszkania w Warszawie. — Rozumiem — mówi. — Masz rację. Tu ci dobrze.

— Na pewno lepiej niż co wieczór w *Hybrydach*, czy w *Stylowej*, czy w barze owocowym... — coś się w niej zapaliło, ujęła Mikołaja za rękę, jakby chciała mu od dawna to powiedzieć. — Panie, pan to ich nie zna, ale ja znam, och, jak znam! Jest taki jeden, nawet na oko sympatyczny, niewysoki, zawsze ślicznie ubrany, zagraniczne płaszczki, zamszaki, ma małego Fiacika. Taki kławy uśmiech, niby młody, ale już taki młody to on nie jest, cztery dychy go gonią. To wie pan co, on przyjeżdża pod szkoły i rwie takie piętnastki, szesnastki. Że niby na spacer, przeważnie do Konstancina. Po drodze wstawia mowy, że ja cię już od dawna obserwuję, przyjeżdżam, żeby choć z daleka popatrzeć, ty jesteś jedyna, taka jak sobie wymarzyłem, żona mnie nie rozumie, rozwiodę się, ożenię się z tobą, od chwili, gdy cię ujrzałem... I gotowa. Te gówniary nie umieją się bronić przed słowami, no i jak im wytłumaczyć, że to wszystko pic i kłamstwo? Ja rozumiem, ja wiem, co one myślą, sama jak się pierwszy raz spięłam z jednym chłopakiem to go prosiłam, żeby mnie ugryzł w szyję, bo chciałam koleżankom pokazać i pokazywałam, nazajutrz rano w szkole, po gimnastyce, pod prysznicem. Ale jak je bronić, te szpicówki, przed takimi skurwysynami, jak je bronić? Nic nie rozumieją dopóki same nie zainkasują kopa w tyłek... — Widać, że to ją gnębi, leży kamieniem na żołądku. — Nie wiem — uśmiecha się Mikołaj — aczkolwiek też uważam że należałoby je jakoś bronić, mimo, że to stracona sprawa. — Zna tych co rwą na cudzoziemski wygląd (na akcent, na szaliki i obietnice) w ponurych, niedoświetlonych kawiarniach planu sześćioletniego, gdzie najświeższa dziewczęca cera wygląda podejrzenie staro; zna ich i rozumie rozpaczliwą nienawiść Marioli. — Chyba już pójdę — mówi.

— To pan sądzi, że Marek namotał mnie, bo pan mu kazał? — zastanowiła się Mariola. — Wszystko możliwe. On pana kocha.

Mikołaj przysiadł na rurkowej poręczy łóżka. — Kochanie — mówi — to nie jest tak. Kostkowski wie, że jedyną rzeczą jaką ma mi do zaofiarowania jest szlachetny gest. Ale boi się, że jak to zrobi, coś między nami straci wartość. To go żera

i uszczęśliwia zarazem... Ufff, jakie to zawile! Staralem ci się wytłumaczyć, aby wyszło, że Marek kocha ciebie, ale nie bardzo mi się to udało. Zrozumiałaś coś z tego?

— Nic — przyznaje Mariola poważnie. — Ale mogę pana słuchać godzinami. Pan wie wszystko. Błagam pana, niech pan jeszcze nie idzie... — Przykuca przy łóżku otulając spódnicą ściśnięte uda i opiera trójkątny podbródek o jego kolano. — Niech pan jeszcze coś powie. Ja pana rozumiem nawet jak nic nie rozumiem z tego co pan mówi...

Mikołaj wie, że ona jest ładna, świeża, godna pożądania, ale jej nie chce; wie, że ktoś innych chciałby ją i zostałyby z nią na długo, dałby jej to, czego najbardziej potrzebuje; ale fakt, że on tu z nią teraz tak siedzi, przeszkadza jakoś tym, którzy chcieliby szczerze i mocno i naprawdę; ten fakt niszczy to, co mogłoby być z kimś innym, dla innego. Mimo to całuje Mariolę.

Potem, gdy Mariola (bez ceremonialnych wymagań) dostarcza koniecznych ułatwień, w Mikołaju narasta niesmak. Leży obok Marioli na nylonowej narzucie, ma jej twarz tuż obok, ale bez fałszywie sentymentalnych przytuleń; wie już, że to, po co tu przyszedł, jest ważniejsze niż kiedykolwiek. Świadomość, że dziewczynie tej należy się coś więcej, paraliżuje w nim chęć dalszych zbliżeń: wie, że obojętnością wyrządza jej krzywdę, ale nie może nic na to poradzić, nie potrafi jej przytulić, pocałować, obdarzyć autentycznym pożądaniem. Jej łatwość oskarża jego, nie daje satysfakcji ani podniet, nie budzi w nim niczego, prócz złości na samego siebie. Stara się przewyciężyć tę wredną obojętność: ciepłe, piękne, nic nie obchodzące ciało, myśli z uporem i bez żadnego skutku; jest to już walka nie tylko z obojętnością; pokaż tej dziewczynie, że ci na niej zależy, powtarza sobie zjadle, przecież dla niej nie ma w tej chwili nic ważniejszego pod słońcem, niż dowód, że tobie na niej choć trochę zależy; przemóż niechęć, zamarkuj rozczulenie; to nawet nieważne, że ona domyśli się, że udajesz, że wytropi kłamstwo; rozszyfruje twój zamiar i właśnie za twój wysiłek udawania da ci to wszystko, co nie jest ci w tej chwili potrzebne, lecz co jej da rangę chwili, za którą tęskni; za to właśnie przyjmie cię najgłębiej, da ci dotrzeć tam, gdzie wcale nie chcesz docierać, otworzy przed tobą to, co cię nie ciekawi, ale co jej pozwoli odczuć bezmierne ofiarowanie, najwyższą rację istnienia kobiety.

Ubiera się i stoi niezdecydowany: nie wie jak wyjść. Wraca do łóżka i mówi: — Powinnaś coś mieć do czytania, skoro nie chcesz wychodzić z domu. — Najlepiej jakąś z pańskich książek — mówi Mariola bezczelnie i drwiąco: leży naga, smukła, nie kryjąca niczego przed jego obronnie rozbawionym wzrokiem. —

Może mi pan przynieść „Pościel przekłętą”. Chętnie przeczytam jeszcze raz. Okazuje się, że nie bardzo ją zrozumiałam za pierwszym razem... — Nie mam już ani jednego egzemplarza — mówi Mikołaj ze skruchą.

Trochę go pociesza jej obelżywe zuchwalstwo, którym chce go obrazić, zmartwić, rozgniewać. Gładzi ją lekko po policzku. Kiedy przesuwa ręką obok jej ust Mariola całuje leciutko zagłębienie dłoni.

Na ulicy rozgląda się dobrze, aby skonstruować plan zabezpieczający przed inwigilacją Kostkowskiego, po czym rusza w stronę Alej Jeruzolimskich. Myśli o pewnym architekcie, który zwierzył mu się kiedyś, że zawrócił w głowie młodej dziewczynie, a może tylko ratował się w ten sposób i kradł każdą chwilę, ukrywając ten stosunek zręcznie przed żoną, którą szanował i chronił przed szorstkością życia; jakiegoś popołudnia architekt cieszył się dziewczyną w parku, uprzedzwszy żonę, że załatwia ważne sprawy zawodowe, ale jeszcze przed spotkaniem z dziewczyną zatelefonował do pewnej malarki, swojej kochanki, która dopiero co wróciła z zagranicy; po czym powiedział dziewczynie w parku, że musi załatwić coś ważnego i pojechał do pracowni owej malarki, którą właściwie tak samo lubił, cenił i pożądał jak dziewczynę i żonę; z malarką pofiglował nieco, a także porozmawiał serdecznie o różnych kłopotach, pożegnał ją i natychmiast zadzwonił z ulicznego automatu do dziewczyny, aby zapewnić ją, że za nią tęskni, bo szczerze tęsknił, po czym do żony, aby dowiedzieć się co u niej słychać; zaś kierowała nim prawdziwa troska i chęć zapewnienia żonie jakiejś rozrywki wieczornej; następnie udał się, aby zagrać w bilard, którym się pasjonował, gdzie spotkał Mikołaja i opowiedział mu o tym popołudniu, przekonany o jego niezwykłości. To bardzo miły facet, myśli sobie o nim teraz Mikołaj.

Przed *Orbisem* natyka się na sławnego pisarza, człowieka schludnego i subtelnego zarówno w sposobie myślenia jak i ubierania. Pisarz jest ucieszony, gdyż lubi Mikołaja. Usiłuje właśnie kupić *sleeping* do Zakopanego, lecz idzie mu to niesporo: kolejka jest ogromna, roi się w niej od nadużyć, jacyś faceci z legitymacjami służbowymi gwałcą prawo kolejności. — Musisz walczyć — zagrzewa go Mikołaj. — Jak ktoś chce jechać *sleeping*'iem, musi walczyć. — Mikołaju — mówi pisarz — ty jesteś człowiekiem mocnym. Przecistawiasz się zorganizowanej głupocie z wytrwałością antycznego bohatera. Ale my, reszta, zostaliśmy zredukowani do wymiaru piasku w trybach maszyny, który łatwo jest wymieść i wyczyścić. — Oczywiście, nie wierzył w to co mówił, gdyż subtelność umysłu idzie w parze z nieopanowaną kokieterią.

— Im dłużej żyję — mówi Mikołaj — tym bardziej wydaje mi się, że nie mam charakteru, lecz przeznaczenie.

II.

Pod koniec stulecia ludzkość osiągnie liczbę sześciu albo i więcej miliardów: Andrzej przeczytał o tym w porannej gazecie. Tym samym ludzkość upodabnia się w przerażającym tempie do skupiska much, obsiadłych wyrzucone na śmietnik wnętrzności kury. Pożądania i zamysły wykrzywają się groźnie, byt i przemijanie nabierają nieznanego sensu. Jak przegrupują się dążenia i ambicje kogoś pojedynczego w nieznaną dotąd na tej ziemi mnogości? Jak przewartościuje się wzajemna relacja pomiędzy jedną główką od szpilki, a drugą główką od szpilki? Jak zdeformują się państwo, budownictwo, posiłki w restauracjach, przydziały mieszkań, nauczanie dzieci w obliczu tego natłoku użytkowników? Jak wyglądać będą narodziny i śmierć, miłość i duma? Nie będzie już biednych, ani bogatych, skromnych, ani pysznych, maluczkich, ani wyniesionych... będą tylko żadni i jacyś. Przy sześciu miliardach odpadną indywidualne nekrologi, pocztowe i solidne, gdzie w ciepłych słowach wylicza się jednostkowe cechy zmarłego. Więc czego chcieć? Jak zachować siebie w katastrofie wielości? Jak znaleźć się pomiędzy jakimiś, jak wyrwać się rozpaczliwym szarpnięciem spośród żadnych? Czas pobytu wśród żyjących przestaje być przedmiotem sublimowanych pragnień, przesuwa się w kategorię odbicia produkcyjnej serii, może tylko w nieco innym kolorze o lekko zróżnicowanym odcieniu. Czego pożądać? Sławy? W obłądnym rozgardiaszu nie słychać już przecież żadnych nazwisk, w tłumie reprodukowanych fotograficznie twarzy nie utrwała się już żadna twarz. Kiedyś zapytał Mikołaja kim chciałby być, gdyby miał się urodzić na nowo i zaczynać od początku. — Zawodowym piłkarzem, albo śpiewakiem *big-beat*'owym — odparł Mikołaj bez wahania. — Kimś, kogo powieła się masowo w świadomości i pragnieniach milionów. Dziś już jedyna droga do rządu dusz. — Andrzejowi nie zależy na rządzie dusz, dusze innych służą tylko do szukania w nich odbicia jego osiągnięć. Próbuje sobie wyobrazić, co kryje się w paraboli Mikołaja: co tworzy człowieka w oczach innych? Jego czyny? Jego słowa? Jego osiągnięcia i zdobycze? Są to wyjaśnienia podejrzenie prostackie. Mikołaj, Lorant, Hryniewicz, Watloch, Larbiński, Hojda, Rybicki, Kostkowski — wszyscy oni

określają się w oczach Andrzeja przez coś jeszcze, co najtrudniej nazwać. Wybór? Spryt? Ideały? Umiejętność życia? Szczęście? Wytrwałość? Przypadek? Zręczność? Praca? A może tylko do-
rażny nastrój Andrzeja, ból zęba, zadowolenie z nowego krawata,
czy wyborny humor po spotkaniu z Teresą? Owszem, to wszystko,
ale i jeszcze coś, coś co w człowieku (określającym i określanym),
a także poza nim, obok niego, nad nim, pod nim. Pamiętał zaw-
sze ową zasną jesień, kiedy Polacy uczyli się wulgarnej ambi-
walencji własnego losu: można było wygrać wojnę i przegrać
wojnę, można było udać się do pobliskiego miasteczka, gwałcić
Niemki, sycić się poniżeniem i fałszywą pojednawczością Niem-
ców, zabierać im godność i oszczędności, odciskać wolę zwycięz-
ców na każdym materacu, zaś brutalność na każdym strzępku
sztandarów ze swastyką, ale nie można było wrócić do własnego
domu, aby być u siebie. Można było tylko powrócić z miasteczka,
gdzie było się triumfotorem, do zimnych, wilgotnych bara-
ków, teraz już pełnych whisky, kartonów z Chesterfieldami,
australijskich koców i paczek Care; ale deszcz za oknami i płaska
melancholia sienników, stołów, ludzi, wspierających godzinami
podbródki na rękach, krzyczały o klęsce. Z jednej strony zadość-
uczynienie, z drugiej beznadziejność i rana w sercu, która nie
zabliźni się nigdy, albowiem jest od krzywdy, a nie od bagnetu.
I porucznik spadochroniarzy, polski oficer łącznikowy, który miał
nad nimi nadzór z ramienia Armii Renu: kiedy przybył do obozu
i osiadł w schludnym pomieszczeniu, pośród egzotycznych akce-
soriów biurowej flory Wielkiej Brytanii, podziwiali go i wszyst-
ko co jego wzbudzało w nich zaufanie i szacunek: brytyjski mун-
dur z polskimi dystynkcjami angielskiej roboty, rzemienie, pasy,
buty, kabury. Słuchali jego słów z bałwochwalczym respektem,
wierzyli mu i podziwiali go; kochali jak kochało się wówczas
polskość obleczoną w żelazne, alianckie wyposażenie nie do zdar-
cia, w dyrektywy nie do podważenia, w rozsądek nieodparcie
słusznej sprawy. Po czym alianci zgodzili się na Rosjan i komu-
nistów w Polsce i wszystko zaczęło się kurczyć, rozmazywać,
blednąć, mundur niszczał, elementy skórzane traciły blask, porucz-
nik szarzał, przemawiał coraz bardziej niepewnie, nikt, wreszcie
zaczął z nimi pić i nikt już do niego nie mówił „panie porucz-
niku”, albo o nim, że „pan porucznik powiedział”, tylko po
nazwisku, a później po imieniu, zdrobniale, rzecz jasna, a potem
nazwali go Czapa i tak już zostało aż do końca. A teraz Czapa
być może zamiata schody w Kanadzie, podczas gdy on, Andrzej,
rozsyła swe książki z dedykacjami różnym znakomitościom. Ale
i pewność siebie zawsze podszyta jest lękami: właśnie wczoraj
był w pewnej instytucji, pełnej większych niż on kozaków; była

to taka instytucja, której potrzebę, rozgłos, a nawet konieczność wywalczającą w bezczelnym znoju jej właśni pracownicy, nikt z zewnątrz; wszyscy tam mówią do siebie per towarzyszu i wszystko jest u nich ludowe, ludowa biologia, ludowa lekkoatletyka i ludowy octan glinu i ludowe ptifurki. Takim zazdrościł najbardziej, może dlatego, że nie potrafił podrobić ich hucpy, ich zdrowej, twórczej ignorancji, ich sprytnego po chamsku uśmiechu, którym sygnalizowali, że o niczym wiedzieć nie chcą, że nic ich nie obchodzi, że tylko muszą zarobić i odłożyć na książeczkę PKO i wyjeżdżać służbowo zagranicę i kupować skombinowane na lewo samochody, wojując przy pomocy zawrotnie szybkiej deklinacji rzeczownika towarzysz i przymiotnika ludowy.

Tu, w redakcji, Andrzej czuje się jeszcze jak w oazie zdrowego sensu, walka z elementarną logiką szaleje poza redakcją; w redakcji wszystko daje się wyjaśnić przy pomocy znawstwa przyczyn i skutków; w redakcji zło zostaje umiejętnie sprowadzone do wymiaru swędzenia; jeszcze wygodniej jest utożsamiać chytrze zło z głupotą, wtedy interpretacją świata staje się wzruszanie ramionami i pogardliwy, wszechwiedzący uśmiech, którym posługują się tu wszyscy, od Watlocha po chłopca na posyłki. To uspakaja, pokonuje zagadkowe rozdrażnienia, niszczące funkcje wegetatywne i ład zamierzeń. Andrzej (po czułościowym i zaczepnym zarazem telefonie Elżbiety) otwiera okładkę „Pikielhauby z plexiglasu” i wpisuje równym, budzącym sympatię pismem dokładnie opracowane zdania, przepisane uprzednio kilka razy na brudno. Do dwóch egzemplarzy załącza listy, napisane ręcznie, za to na firmowym blankiecie *Horyzontu*. Pierwszy list zaczyna się: „Drogi Panie, (nie Drogi Mistrzu, ani nie Mistrzu: nieśmiała powściągliwość uwypukla głęboki namysł), pozwalam sobie przesłać Panu moją książkę. Tylko Pan jest w stanie wymierzyć sprawiedliwość i wydać werdykt, któremu poddam się bez wahania. Zawsze Pański Andrzej J. Felak”. Hryniewicz publikuje w jednej z gazet cotygodniowy felieton, zatytułowany „Raptularz lektury”; jest to wyczelowany drobiazg, pisany z onanistycznym upodobaniem doświadczonego stylisty, nabrzmiały wyrafinowanym egocentryzmem jak wrzodzianka ucharakteryzowana na pieprzyk; omawiane książki stanowią pretekst do ładnie napisanych dywagacji o własnym trawieniu i o lekko zjełczałych, melancholijnie udrapowanych sentymentach; zresztą powtarza się nieodmiennie jeden rozdwojony wątek: kształtowanie i ucieranie własnej niezwykłości, lub cudzej zasługi dostrzeżonej przez hryniewiczowski talent dostrzegania innych, godnych dostrzeżenia; stopień zasługi określa samowładczo, nie znosząc sprzeciwu, sam IMć JPan Monsieur Obywatel Hryniewicz Esq. in person.

O Hryniewiczzu mówiono, że nie wyrasta z rewolucji, lecz jej służy, ale służąc Hryniewicz zawarował sobie przywilej nieodwołalnego wyrokowania kto służy zmonopolizowanym przez niego wzniosłościom i cennieściom, do których piał całe życie: były to pojęcia o wiele bardziej mętne i zatarte niż rewolucja, takie, mianowicie, jak sztuka, ludzkość *en bloc*, humanitaryzm, piękno. Skoro zaś raz podjął decyzję uświęcenia kogoś prezentacją w swojej kronice zwiędłych cnót, skoro akurat w dniu pisania nie odczuwał ciągot do rozpylenia swojego JA w słowno-zdaniowo-rzeczownikowo-przymiotnikowo-zaimkowych kadzidłach, wtedy oddawał rzeczywistą przysługę. — Potrzebna mi jest recenzja w poważnym tygodniku literackim — powiedziała Andrzej do Elżbiety. — Nie ma się co oszukiwać, książka nie idzie, leży w księgarniach. Może to coś pomoże. — Na pewno nic nie pomoże — powiedziała Elżbieta. — Ale będą o tobie mówili, że jesteś postacią poważną, interesującą, niezbędną. Że twoje poglądy, obserwacje... — Hryniewicz to potrafił: wyjmuje z tekstu protegowanego jedno zdanie, na przykład: „Słońce świeciło jasno” i wypisuje na temat tego zdania sto dwadzieścia wierszy czystego jubilerstwa w druku: lawina wypielegnowanych wyrazów służy analizie prostoty tego zdania, wodospad rzeźbionych sformułowań sławi jego głębię szlachetność i wykwintną symbolikę. „Nikt tak nie WIDZI słońca jak Iksiński!” pisze Hryniewicz. „Nikt jeszcze nie zestawił słońca, tej oslepiającej pojeciorzeczy, z prościutkim, służącym nam na codzień czasownikiem, którego smak i barwa, nigdy nie rozgryziona, nie spływała nam lepkiem sokiem po brodzie, póki nie ukąsił jej Iksiński jednym, łatwiutkim, jakże miążdżąco nowym zdaniem!” Ach, Hryniewicz, gdyby tylko zechciał, uczyniłby z „Pikielhauby” próg nowego, po przekroczeniu którego dopiero coś się zaczyna; to była sztuka pisania o książkach tak, aby bez względu na swą wartość odgrywały rolę dzwonu; i to każdej bez wyjątku: sztuczki magiczne Hryniewicza zamieniały jajko w białą myszkę, myszkę w królika, królika w gołębia, który wlatywał nad poziomy, na które myszka nie byłaby w stanie spojrzeć; sztuczki, abrakadabra to wszystko do czego sprawdza się zazwyczaj krytyka literacka, co sprawia, że zdumiona publiczność nawet nie wie, kiedy staje przed nią nowy Szekspir, nowy Dante, czy nowy Homer, którego za rok trudno jest odzyskać nawet w książce telefonicznej. Ale to było mało, te odwieczne szanże-raz-szanże-dwa-i-oto-co-widziałem, Andrzej potrzebuje solidniejszych środków, więc drugi list brzmi: „Kochany Marcze, tylko Ty możesz być moją telewizją, kinem i prasą o milionowych nakładach, czyli *mass media*, czyli środki upowszechnienia. Dedykuję Ci tę książkę, ponieważ Ty jeden wiesz

co dla niej uczynić. Z dziesięciu wzmianek zredagowanych Twym nieodpartym piórem ukazą się choć cztery i to nam wystarcza, prawda, stary cwaniaku? Wkrótce porozumiem się z Tobą w sprawach lokalowych, które staną się dla mnie źródłem sukcesów, a dla Ciebie dochodów. Twój Felak". Nie może się powstrzymać, żeby nie wspomnieć o tych sprawach, Teresa nie schodzi mu z myśli, wzmianka o źródle dochodów jest bezczelna, ale porozumiewawcza, wie, że spodoba się Kostkowskiemu. O, Kostkowski i Hryniewicz razem to potęga, razem są w stanie stworzyć coś z niczego, sfabrykować każdą doniosłość, sfałszować każdy banknot, krytyk i dziennikarz, najskuteczniejsi alchemicy współczesnej popularności, przemieniający w ciągu nocy łąjno w złoto, miernotę w sławę, krytyk i dziennikarz, najsurowsi inkwizytorzy umysłów sekretarek i docentów, sawantek i spółdzielców, kinomanów i kurew-dewizówek! Andrzej wzdycha, mój Boże, ilu facetom udało się! Z iloma tak zrobili, krytyk i dziennikarz! Nie ważne jak to zrobią, co z tego, że inni już przede mną to samo zanotowali, opisali i zrobili dziesięć razy lepiej, nieważne, byle by podchwycili to u mnie i zalansowali cisnąc gaz aż do dechy, byle by napisali, że ja, że on, że Andrzej Felak, że redaktor, że korespondent, że podróżnik, że wysłannik, że specjalny, że z penetrującą przenikliwością, że spostrzegawczo, że obrazowo, że warsztat literacki maksymalnie opanowany, że olbrzymia wiedza o współczesności miękkiej i smacznej jak kulebiak (to Hryniewicz!)... a wtedy na rynku obiegowych wlotów liczy się tylko on, Andrzej Felak, i jego słowa, jego książka, żeby nawet przed nim dziesięciu to samo wcześniej i lepiej.

— Musisz porozumieć się z Lewinsonem — dodała jeszcze Elżbieta, wtedy przy śniadaniu. — Niech coś o tobie napisze.

— Bzdura! — zachnął się Andrzej. — Lewinson nie zajmuje się pisaniem recenzji. To dygnitarz.

— Może po znajomości? — uśmiechnęła się z błogą głupkowatością. — Może dałoby się coś zrobić?

Już chciał powiedzieć coś ostrego na temat jej kurzego mózdku, gdy zrozumiał, że Elżbieta nie mówi na wiatr. Oczywiście, powiedział jej wszystko o Marycie i Lewinsonie: czyżby go za tym pchała w intrygę natury łożkowej? Właśnie zastanawia się nad tym i wygląda zaklejoną kopertę listu do Kostkowskiego, kiedy dzwoni telefon. — Redaktor Felak? — głos kobiety w słuchawce. — Tu sekretariat towarzysza Lewinsona. Towarzysz Lewinson polecił mi zawiadomić was, że przyjmie was w przyszłym tygodniu. Dzwoniliście w sprawie przyjęcia?

— Dzwoniłem — mówi Andrzej czujnie.

— Odpowiada wam środa jedenasta trzydzieści? — głos

brzmi oschle i niegramatycznie, zaś Andrzej bardzo chciałby dosłyszeć w nim łaskawość, to takie ważne przed rozmową z szefem głosu! — Odpowiada — mówi ulegle. — Przepustka będzie już czekać na dole. Dziękuję. — I to wszystko, na razie, tylko Andrzej zsuwa się głębiej w fotel i zamyśla. Coś go niepokoi, chociaż nie ma żadnych powodów do niepokoju.

Wsiadając do Fiata mówi sobie, właściwie co to mnie obchodzi? Nie mogę być ofiarą powodzenia, to, że stoję mocno na własnych nogach, nie jest równoznaczne z nakazem dźwignania innych i ich trosk. Mówi to sobie z naciskiem, aby brzmiało donośnie w nim samym, choć wie, że nie ma racji, że nikt się na nim nie wspiera bez określonych przyczyn, a także, że nieładnie jest myśleć tak teraz, kiedy wychodzi ze szpitala, i kto wie, czy myśli takie nie podlegają karze, której lepiej nie prowokować. Wyprowadza wóz z szpitalnego parkingu: pod murem z poczerniałej cegły tłoczą się prywatne samochody lekarzy i karetki pogotowia, nie mówiąc już o przeciskających się zewsząd ludziach, którzy zawsze w okolicy szpitala poruszają się wolniej i niemrawiej, napiętnowani własnym lub cudzym cierpieniem. Uważa za nieładne ze strony ojca, że uderzył właśnie w tę nutę, to było nie fair, ale nie wywodziło się ze złośliwości: mimo wszystko trudno było oskarżać starego Felaka o dokuczliwość. Ojciec powiedział: — Jeśli się wygrzebię z tego świństwa, w co zresztą wątpię, będziemy musieli wszystko zorganizować na nowo. — Andrzej wiedział, co to znaczy, wiedział też co powinien powiedzieć i nic nie było w stanie odwieść go od spełnienia obowiązku. — To jasne — powiedział — że wreszcie ojciec zamieszka razem z nami. Zacząłem już starania o zmianę mieszkania, nie możemy przecież całe życie zostać w tych dwóch pokojach z kuchnią.

— Czyli — uśmiechnął się słabo stary Felak — poszedłeś do kwaterunku i powołałeś się na moje zasługi i moje potrzeby. O ile cię znam wszystko zostanie załatwione cichutko, a wszyscy będą przekonani, że sprawa jest najczystsza pod słońcem. Będą się roztkliwiali nade mną i nad własną przyzwoitością, tak ich ustawisz. Tymczasem...

— Co tymczasem? — spytał Andrzej łagodnie. — Co ojca niepokoi? Czym ojciec sobie duszę truje?

Stary Felak wyglądał biednie: bardzo mizerny, w szpitalnym szlafroku, wychudły i jakiś ni to poorany, ni to obrzękły na skurczonej, zwierającej się twarzy; nogi zwisały mu smutno, szpitalnie, z wysokiego łóżka, na którym siedział; pokój był duży, widny, oprócz łóżka starego Felaka stały tu jeszcze trzy, na każdym

leżał kształt niki, i łamliwy, wydzielający zapachy, które odrażają nawet, gdy się ich nie czuje. Widać było, że funkcje nieistniejące w uwadze zdrowych ludzi, jak podniesienie ręki czy nogi w wybranym kierunku, stanowią już dla starego Felaka problem przejmujący go przerażeniem, nostalgicznym krzykiem za powrotem do życia: dusił w sobie ten krzyk ze wszystkich sił. — Co tymczasem — nalegał życzliwie Andrzej. — Dlaczego ojciec w ogóle o tym myśli?

— Ja tego nie chcę — powiedział stary Felak i oczy zaszklily mu się. Bóg wie czym, czego Andrzej bał się najbardziej: przeklinał swoją obecność w takich sytuacjach, i to, że koszula klei mu się do pleców w odrażającym zdenerwowaniu. Świadczenia na rzecz słabszych, potrzebujących, domagających się czegoś od niego bezwrotnie, bez ewentualnych odwdzięczeń, budziły w nim mdlącą nienawiść do tego co w życiu nikczemnie bezradne, chlerawe i niezawinione; ale to był przecież jego ojciec i Andrzej, wzór obowiązkowości, zachowa się zgodnie z prawami moralności i natury. Stary Felak walczył o coś, czego Andrzej nie mógł pojąć: zdawałoby się, że perspektywa tradycyjnej starości u boku syna, synowej i wnuka powinna stanowić pułap jego wymagań; sam zresztą, przy pomocy różnych aluzji, wydobył od Andrzeja deklaracje i zobowiązania. — Nie jestem pewien, czy to słuszne, żebyśmy razem mieszkali — powiedział stary Felak. — Jak się wygrzebię to wrócę do siebie. — Wykluczone — rzekł Andrzej stanowczo. — Nigdy do tego nie dopuścimy z Elżbietą.

— Dowiadywałeś się co z Heńkiem? — spytał stary Felak.

— Siedzi — rzekł Andrzej z troską. — Nic nie mogę mu pomóc.

— Siedzi — pokiwał głową stary Felak. — Alojzy na pewno umiera ze zgryzoty. Był tu u mnie, odwiedził mnie. Wygląda jak cień. W naszej rodzinie...

— Co w naszej rodzinie? — zachnął się Andrzej. — Co ma rodzina do tego? Co to ma za znaczenie, że Heniek siedzi? Co drugi człowiek siedzi dziś w więzieniu, po czym wychodzi i jest najbardziej szanowanym obywatelem. Socjalizm popełnia omyłki i wszyscy o tym wiedzą.

— Za moich czasów nikt by mu ręki nie podał.

— To już nie ojca czasy. Dziś każdy mu poda i jeszcze się nad nim użali. Co on takiego zrobił, żeby go potępiać?

— Kryminalne nadużycia... Za moich czasów...

— Zdawałoby się, że teraz właśnie to ojca czasy, nie? Tak ojciec o nie walczył?

— Nie o to walczyłem, żeby ludzie kradli, kombinowali, brudzili wszystko wokoło...

— Inni ludzie tak to urządzili, że inaczej nie można. Kto dziś może komu powiedzieć co to jest kryminalne nadużycie? Czy wie ojciec, że na tych gwoździach i drucie co Heniek, oszukując jakoby skarb państwa, robił na lewo, dwie państwowe fabryki opierały całą swoją produkcję? Co z tego, że zarobił trochę więcej, niż jest przewidziane w planie? Komu to szkodzi, że jego robotnicy zarabiali powyżej oficjalnej siatki płac? Robotnikom na pewno nie. Za to lepiej pracowali. Zaopatrywali dwie wielkie fabryki, które bez nich leżą.

— Oj, Andrzej, Andrzej... — pokiwał głową stary Felak — co innego mówisz, a co innego piszesz. Daleko cię to zaprowadzi.

— Nie moja wina, że muszę inaczej pisać, niż myślę i mówię. I tak walczę o każde słowo, żeby było jak najbliżej prawdy. Z tymi hienami wokoło, które zagryzłyby mnie za każdy gram niezależności, który sobie wywalczyłem.

— Może idź do kogoś, załatw coś... — martwił się stary Felak. — Przecież nie możesz zostawić swego stryjecznego brata na łasce losu. Życie wszystko zwraca, sam możesz kiedyś potrzebować pomocy. Rodzina to rodzina, mimo kłótni.

— Do końca śledztwa nic nie mogę zrobić. Ma dobrego adwokata, rozmawiałem z nim. Przed rozprawą pomacam tu i ówdzie, postaram się uruchomić jakichś znajomych.

— Może oni potrzebują pieniędzy? Tam są małe dzieci. Alojzy jest chory, sam ledwo żyje. Zajrzyj do niego, to twój stryj, mój brat... To nic, że przez lata całe były nieporozumienia, teraz jest inaczej, teraz trzeba razem... Rodzina to ostoja i pomoc...

— Kiedy byłem mały — rzekł cicho Andrzej — nie lubiłeś jak chodziłem do wuja Alojzego.

— ... ale tak leżę sam na tym łóżku, może już ostatnim, i choć wokoło dobrzy ludzie, to myślę sobie, że najbardziej mi potrzeba ciebie, Pawła, Alojzego... — Oczy starego Felaka zaszkliły się znów, bezradnie i żenująco, Andrzej poczuł nowy przypływ brzydkiego zdenerwowania, a także poczuł się płacząco skrzywdzony, wystawiony na niezasłużone ciosy. — Już muszę iść — powiedział miękko. — Niech ojciec się uspokoi. Elżbieta przyjdzie jutro, ja wpadnę pojutrze. Powiedziała, że na pewno przyjdzie.

— Pewnie jest bardzo zajęta — westchnął stary Felak. — Zwłaszcza przed południem. Dom, dziecko...

— To fakt — rzekł Andrzej. — Cały dom na jej głowie.

— Jest dobrą żoną — rzekł stary Felak z przekonaniem. — To ci się w życiu udało.

— Na pewno — potwierdził Andrzej. — Jest bardzo dobrą żoną.

nie skuteczny: zwraca uwagę czynników decydujących na koncepcję, o której nikt dotąd nie pomyślał; może odegrać rolę kamyka-początku lawiny, zagarniającej po drodze korespondentów zagranicznych w Warszawie, znajomych z tysiąca cocktailli, ostrożnych i życzliwych wzamian za ostrożne i życzliwe obcowanie z nimi w gościnnych ambasadach; stosunki Loranta w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie dokonają reszty. *E tutti contenti*, myśli Andrzej, w Warszawie i gdzie indziej, doskonale ubrany i wychowany dygnitarz z ramienia komunistów jest osiągnięciem obu stron, Polska pomostem między Wschodem a Zachodem, *voilà!* I to wszystko uruchomić ma on, Andrzej Felak, w zamian za dyrektora Majewskiego, za zniżkę cła na samochód, za pana Greenleaf'a i St. Quentin'a wraz z całym ich wycieczkowym fotoplastikonem? O, nie moi drodzy, to byłoby za tanio, nie ma głupich...

— Chyba rozumie pan — Larbiński zaciąga się głęboko papierosem — jakie perspektywy otwierają się przed polskim dziennikarzem, gdyby pan Lorant został wysokim urzędnikiem ONZ-tu.

Andrzej myśli, że już kiedyś słyszał coś podobnego: w pamięci pojawia się wiceprezes *Prasy* z pionowym wąsikiem, któremu pomógł w grzebaniu Lewinsona, lecz którego oferta rozplynęła się jakoś w morzu niespełnionych obietnic: czyżby nadszedł czas najbardziej dalekosiężnych planów? — Rozumiem — mówi spokojnie i myśli o korzyściach Larbińskiego: znajomy Polak na takim stanowisku oznacza dlań karierę międzynarodową, marzenie każdego artysty w Polsce, nigdy nie wypowiedane publicznie, którym się gardzi na pokaz. To intymne drżenie wewnętrzne, od trzustki po duszę, to hektyczne podniecenie gruczołów wydzielnia jakie go doznaje artysta polski ujrzawszy swe nazwisko w francuskiej czy amerykańskiej gazecie (nawet najdrobniejszym drukiem na najmniej ważnej stronie) osiąga w Larbińskim moc niszczącej obsesji, dynamikę tragicznych namiętności. W młodości marzył o karierze dyplomatycznej, pełnej przygód miłosnych, eleganckich posiłków i wytwornych rozmów; żywot młodego attaché według mieszczańskich powieści i operetek z przełomu stulecia; było to marzenie bezpłodne dla młodego Żyda, nawet gdy rodzice jego posiadali fabrykę, mieszkali w ośmiopokojowym mieszkaniu przy ulicy Sienkiewicza i byli w stanie wysłać go na studia do Montpellier. Ciemne jamy kin i mistyka fotosów filmowych zrodziły w nim tęsknoty za sztuką, za jej najwspółczesniejszym wcieleniem, Kolchidą szybkich karier i modnych panegiryków. Jednocześnie niemal odkrył zagadkowe i ułatwiające atuty jakie kryły się w ostrożnie pojętej lewicowości, w salonowym komunizmie w głoszeniu haseł walki społecznej nie

zdejmując kapelusza à la Eden z głowy, ani krawata z Old England z szyi, nie opuszczając kawiarni dla poetów, ani drogich pensjonatów w Krynicy i Juracie. Po czym przy pomocy ojca-przemysłowca zaczął robić filmy tchnące kokieterijnym radykalizmem. Wojna spędzona w Kazachstanie przejęła go wstrętem do surowości życia bez względu na dialektyczne uzasadnienia, ale po powrocie do Polski pojął, że tylko wiedza o tym jak ustępować wyniesie go na wyżyny. Im gorsze robił filmy, tym bardziej rósł w znaczenie i powodzenie, lecz pozapolska sława i rzetelny sukces pozostawały nadal nieosiągalne. Pozycja w Polsce za cenę filmów złych i niemądrych grzebała automatycznie szanse w Cannes i Wenecji, serwilizm i tępa potulność (źródło jednorodzinnych willi i samochodów z puli premiera) wykluczały arcydzieła które interesują świat. Pozostawało więc chytre dyskonto: w Polsce żyli ludzie w rodzaju Mikołaja Planka, nie wyjeżdżający nigdy zagranicę, ale o których wiedziano na całym świecie, że są, że tworzą, że z pracy ich wynika coś nowego. Należało się więc nimi posłużyć, stać się jednym z nich w oczach Zachodu, utożsamić się z nimi. „Niech z bólu ryczy ranny łoś...”, przeznaczeniem Larbińskiego był los dwustronnego herolda, obwieszczającego dwóm stronom świata dwa zupełnie różne w kolorze uśmiechy i ukłony, jednakowo fałszywe. — Rozumiem — powtarza Andrzej . — A także wyobrażam sobie ile na tym zyskają polscy filmowcy. Na przykład Mikołaj Plank. — Atakował nie w imię szlachetnej słuszności, lecz dla podbicia ceny.

— Oczywiście — mówi Larbiński oszczędnie.

— Słyszałem, że wiezie pan do Paryża jego krótkie metraże.

— Ciekawe — uśmiecha się krzywo Larbiński — skąd pan o tym wie? Myślałem, że będzie to niespodzianka dla opinii kulturalnej w kraju.

— Acha, rozumiem. Pokazy anonimowe... Takich mamy u nas zdolnych ludzi, bez wymieniania nazwisk...

Larbiński bawi się kulką od chleba i zastanawia, czego ten śmieciarz chce? wojny ze mną? po co mu ona potrzebna? Andrzej oskarża go niedwuznacznie o matactwa, nie starając się nawet tych oskarżeń owinąć w porozumiewawczą ironię, że niby między nami kolegami, nikt nie jest lepszy, bracie, wszyscy to robimy! Przenikliwie uderza w koncepcję dyskonta, w znojnje wynalezioną przez Larbińskiego metodę produkcji własnej chwały.

— Ciekawe — mówi Larbiński — skąd te pogłoski?

— Kostkowski — mówi Andrzej niedbale.

— Kostkowski? — upewnia się Larbiński.

— Tak, Kostkowski — powtarza Andrzej podpisując wyrok na Kostkowskiego: ważne jednak jest to tylko, ażeby Larbiński

czuł się osaczony, żeby odebrać mu zdolność manewru ludźmi i łaskami.

— Ostatecznie, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Poinformowałem Kostkowskiego aby nadał rozgłos sprawie. *A propos*, co u pani Elżbiety?

— Dziękuję — mówi Andrzej serdecznie. — Musimy się wreszcie kiedyś razem spotkać.

Dywerysyjne pytanie Larbińskiego nie wzbudza w nim niepokoju, jest chwytem defensywnym po nieudanym kłamstwie; owszem, przebąkuje się tu i ówdzie o *guerilli*, jaką toczy Larbiński wokół Elżbiety; znane też są jego sposoby zdobywania kobiet, sztampowe, lecz skuteczne przy nakładzie banalnych środków, jak przy produkcji widowiskowych gigantów: codzienne bukiety kwiatów z ukrytym bilecikiem (na bilecie grzecznutkie czułości), smutne zamyślenia, nastrojowa wymowa w wzroku, wreszcie (nieodmiennie!) miejsce finalizacji całe w czerwonych różach i uperfumowane łóżko; a jeszcze nazajutrz osiemdziesiąt róż przyniesionych przez posłańca tuż po przebudzeniu, wyraźnie czerwieńszych niż te z wieczora. Reżyserska sprawność tuszowała kaprawość łyso-kwaśnego uśmiechu i ukośne, odrażające spojrzenie zza okularów. Andrzej wie o Elżbiecie swoje, zaś, to co wie, daje mu poczucie pewności. Rozmawiał z nią o Larbińskim w tonacji zuchwałej prostoty: Elżbieta uśmiechała się po swojemu, spokojnie, z cichym przekonaniem, że Andrzej wie przecież lepiej niż wszyscy, niż ona sama nawet, jak jest naprawdę: — Wiesz, Jędrusiu, nastroje, kwiaty, gorliwość, to wszystko nie broń na mnie, prawda? Ale nigdy nic nie wiadomo... A jeśli ty mnie rzucisz, znajdziesz młodszą i ładniejszą? Wszystko możliwe, prawda, Jędrusiu? Wtedy Larbiński będzie jak znalazł. Przyznasz, że jest jednym z nielicznych, którzy mogą mi w tym mieście zrekompensować utratę ciebie. Rozumiesz więc, że nie mogę sobie pozwolić na rezygnację z obietnic, ale nie mogę też udzielić mu żadnej zaliczki, aby nie zadowolił się samą zaliczką. To cię uspokaja, chłopcze, czyż nie? Upewnia się, nie, nie, taki facet nie może być naprawdę niebezpieczny; ani jako kochanek mojej żony, ani jako partner w pertraktacjach.

Z powrotem w redakcji Andrzej siada wygodnie w pustym pokoju. Od dawna podejrzewa, że zło i dobro niepoznawalne są inaczej, niż po skutkach, dziś ma prawo do ostrożnej radości, runda jest dla niego, uważne propozycje Larbińskiego to czysty zysk. Od dawna męczy go marność dotychczasowych zdobyczy: samochód, mieszkanie, podłoga z nylonu, wyjazdy zagranicę... mój Boże, cóż to znaczy? Trzeba chcieć więcej i lepiej, tak jak

chęć Mikołaj, Lorant, a nawet ta pluskwa Larbiński. — Czego ty właściwie w życiu chcesz? — spytał go kiedyś Mikołaj. Perspektywy wyłaniające się z rozmowy z Larbińskim pozwalają Andrzejowi dziś jaśniej niż kiedykolwiek odpowiedzieć na to pytanie: zawsze pragnął być kimś i teraz pragnie tego samego; jedynie treści, podkładane różnymi czasy pod ten enigmatyczny zaimek, bulgotały jak gotująca się woda. Co znaczy: być kimś? Mieć sławę, pieniądze, znaczenie, wpływy, różne przyjemności? Po dwudziestu latach wysiłków i powodzenia rzecz można, że z grubsza osiągnął czego pragnął, nie wyrządzając przy tym świństw ani innym, ani sobie, co jest równie trudne. Niedawno spotkał Grzankę: spodziewa się dziecka, prosperuje przy boku męża-naukowca, dręczonego wyłącznie lukami w teorii mnogości, czy w metodzie aksjomatycznej. Przywitali się i pożegnali nietknięci wzruszeniem, zadowoleni z łaskawości losu, który oszczędził im wzajemnego współczucia; Andrzej myślał potem, dlaczego jestem obiektywnie winny? dlaczego uważa się, że ją sprzedałem, że się jej zaparłem? dlaczego nikt nie przyzna, że jestem niewinny, że byłem bezbronny wobec przemocy, wobec sił, których nie można było pokonać, wobec których nie ma winy obiektywnej? Nie ma moralności wobec maszyn, jedyną oceną jest skuteczność w posługiwaniu się nimi, nie istnieje wśród nich zdrada: taka była podówczas mechanika zdarzeń i losów, posłużysz się nią umiejętnie oglądam dziś własne zbiory.

Wchodzi Malecki, zaciera ręce ruchem podejrzanym. — No i klops — mówi od progu. — Klops, krewa i sam nie wiem co z tego będzie. Raczej duża draka. — Uśmiecha się wieprzowato chowając się za bezpieczną głupkowatość. — Watloch wstrzymał druk numeru i wyrzucił twój artykuł ze składu. — I czeka, aż twarz Andrzeja pokryje krzywe zdenerwowanie.

— Co ty powiesz? — mówi Andrzej z urazą, lecz bez zapalczywości, co wydaje się Maleckiemu podejrzanym.

— Artykuł zdjęty z numeru podczas druku... — podsuwa Malecki.

— Straszny koszt — przyznaje Andrzej.

— Trzeba robić cały numer od początku. A ile papieru na marne?

— Przykre — mówi Andrzej spokojnie.

— Co na to powiedzą w *Prasie*? — uśmiecha się Malecki domyślnie: niepokoi go brak gwałtownej reakcji ze strony Andrzeja; zgodnie z prawami natury Andrzej powinien wściec się na cały świat i toczyć awanturę.

Andrzej uśmiecha się i myśli, że Malecki wpadł we własne sidła: napisał ten artykuł za poduszczeniem Maleckiego, który

długo i wytrwale czekał na okazję, kiedy zdradzieckie życie zmusi Andrzeja do napisania prymitywnego głupstwa, do niewybaczalnego błędu. Zazdrościł Andrzejowi żony, samochodu, wyglądu i błyskotliwości, nade wszystko zaś zdolności przemykania się. Natura odmówiła mu lekkości: aby dobrnąć do stanowiska sekretarza redakcji musiał wstąpić do partii i zdobywać żmudne szlify w najhaniańszych usługach; pochodził z dobrego domu, kończył dobre gimnazjum, rodzice jego nosili jeszcze herbowe sygnety. Aby być kimś w socjalizmie musiał podjąć się funkcji, wobec których rola nadzorcy niewolników wydaje się łagodnym pielęgniarstwem. Nie umiał ani walczyć ani kluczyć, ani wyszarpywać komunistycznym władcom dobrego życia przy pomocy oszustw i dwulicowości. Umiał chować się za czyjeś plecy, schlebiać, płaszczyć się, donosić. Nienawidził komunistów, ale nie umiał stanąć w obronie swej nienawiści, jego sabotaż ograniczał się co najwyżej do włamania zdjęcia z podpisem: „Zima w Tatrach”, lub „Lato nad Bałtykiem”, zamiast fotografii nowego kombinatu, czy portretu bojownika o sprawę pokoju. Orkiestry młodzieżowe, grające „When The Saints Go Marchin’ In” na pochodach pierwszomajowych, czy uroczystościach ku czci Grunwaldu, budziły w nim ślepą pasję, nie rozumiał tego zjawiska, o którym Andrzej potrafił pisać cynicznie i błyskotliwie, zjednując sobie poklask wszystkich. Wyrzucony z numeru artykuł był dziełkiem misternego szantażu, po nim dowiedziano by się jaki jest Andrzej Felak naprawdę, zaś Malecki zacierałby ręce i powtarzał wokoło: — A co, nie mówiłem? Zawsze powtarzałem, że Felak to zwykła kurwa...

— Nie masz pojęcia jak to pięknie wyglądało — wzdycha Malecki. — Zrobiłem zgrabny fotoreportażyk do tekstu... — Po czym, niepomny na przykazania taktyki: — Nie żał ci tego materiału, Andrzej?

— Nie.

— Nie zawalczysz o niego? — Malecki wypada z roli, denerwuje się. — Pogadaj z Watlochem, przekonaj go.

— Nie.

Dzwoni telefon. — Zejdź do mnie na chwilę — mówi Watloch w słuchawce. Andrzej odkłada. — Watloch mnie woła — mówi. — Ciekawe, co mi powie?

— Ciekawe co ci powie pan redaktor Watloch? — mówi Malecki z odrazą. — Pan redaktor Watloch, bezpartyjny marnotrawca ludzkiej pracy i papieru, za którym Polska Ludowa wypruwa sobie żyły, żeby go starczyło dla wszystkich. Żebyś ty go widział, jak się miotał, darł makietę numeru, jak ryczał, żeby rozrzucić skład. Nie poznałbyś go, pana redaktora Watlocha.

— Ja się o nic bić nie będę — Andrzej przysiada pojednawczo na biurku. — Napisałem jak umiałem, uważam, że słusznie i zgodnie z potrzebą chwili. Artykuł był zaangażowany, pożyteczny, przyniósłby *Horyzontowi* same korzyści, ale jak nie, to nie. Szkoda tylko czasu zmarnowanego na pisanie.

Malecki rzuca ostatni atut na stół. — Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł załatwić wyjazd bez tego artykułu — mówi mimochodem, ale ostrzeżenie to brzmi słabo: coś stało się czego nie rozumie, więc woli nie wychylać się nie wiedząc, w którą stronę można.

Andrzej podsuwa mu. — Inna rzecz, że Watloch nie może sobie tak poczynić z materiałem podcyfrowanym przez sekretarza redakcji — mówi oglądając paznokcie. — Co za apodyktyczność! Ostatecznie jesteś wytrawnym dziennikarzem, człowiekiem poważnym, a przede wszystkim członkiem partii, odpowiedzialnym ideowo. Wiesz, co jest politycznie słuszne bez niego. Trochę cię potraktował jak gówniarza.

— Porozmawiamy o tym na egzekutywie — obiecuje Malecki.

Wychodzą z pokoju, objęci ramionami: Malecki myśli, że Andrzej mógłby być cennym sojusznikiem w rozgrywce o fotel naczelnego redaktora; Andrzej myśli, że ma Maleckiego gdzieś, zwłaszcza dziś, ale że nigdy nie należy pominąć okazji do wymierzenia Watlochowi pedagogicznego kopa, na intencję łatwiejszego współzycia. — Może wreszcie dasz tę zajawę o „Pikielhaubie”, którą przyrzekasz od tygodni — mówi ze swobodą. — Cholera! — Malecki jest samą troską. — Wyobraź sobie, że zgubiłem ten tekścik. Ale zaraz sam napiszę! Będzie w następnym numerze. Na mur! Możesz mi wierzyć...

Watloch mówi: — Niestety, musiałem usunąć twój artykuł, Andrzej... — zanim jeszcze Andrzej zamknął za sobą drzwi.

— Słyszałem — mówi Andrzej chłodno, z poczuciem krzywdy przyczajonym za pełną urazy rezerwą.

— Malecki dał go do numeru bez porozumienia ze mną. Szkoda, obyłoby się bez hec, gdyby go pokazał.

— Rozumiem — mówi Andrzej z cichą ironią. — Co by to było gdyby każdy sekretarz redakcji drukował to na co ma ochotę.

Watloch rumieni się gwałtownie, co u niego jest właśnie oznaką samokontroli i opanowania. — Czy ty, Andrzej — mówi, uśmiechając się — rzeczywiście sądzisz, że Łeba jest ładniejsza od Miami, że w Jastarni jest ciekawiej i bardziej komfortowo, niż w Nicei?

— Nie. Nie sądzę.

— A czy wydaje ci się, że w Polsce ktoś tak uważa?

— Nie przypuszczam. Ale jest to kwestia punktu widzenia.

— Więc może jesteś zadania, że należy wybić ludziom z głowy podróżę nie dlatego, że nie mamy dewiz, lecz dlatego, że w kraju jest znacznie przyjemniej?

— Kochany — uśmiecha się Andrzej — nie pytaj mnie, co ja sądzę, lecz czego ja chcę. Ja chcę, żeby ludziom było źlej. I dlatego piszę o wyższości tego, co mogą mieć. Czyli o jasnych stronach naszego życia.

— Czyli nakłaniasz ludzi, którzy i tak nie mogą podróżować, aby nie podróżowali. Bardzo ładnie. Ale czy w tym celu musisz również pisać, że Krynica jest bardziej luksusowym kurortem niż Vichy? Nie wystarczyłoby ci napisać, że jest równie luksusowym?

— Och, Jerzy... mówisz do mnie jakbym się wczoraj urodził. Albo jak ty byś się wczoraj urodził.

— Powinieneś mi być wdzięczny: uratowałem cię od kompromitacji. Ten artykuł, opublikowany w następnym numerze, czyli niezbyt długo po twym przyjeździe z zagranicy i na krótko przed twym ponownym wyjazdem, uczyniłby z ciebie pośmiewisko.

— Nie w oczach tych, o których mi chodzi — mówi Andrzej twardo. — Nie w oczach ludzi odpowiedzialnych za socjalizm. I świadomych jak walczyć w imię tej odpowiedzialności.

Watloch uśmiecha się melancholijnie. — Ja robię pismo dla milionów ludzi, a nie dla kilkunastu odpowiedzialnych — mówi. — Wiesz co, wydrukuj ten artykuł w *Globie*, nie będę miał do ciebie żalu. Też organ *Prasy*.

Andrzej kiwa głową. — Czyli chodzi ci o pismo, a nie o mnie. No, powiedz, otwarcie i prosto: uchroniłem *Horyzont* przed kompromitacją w oczach społeczeństwa i o to mi tylko chodzi.

— A od kiedy tobie chodzi tak bardzo o socjalizm? — uśmiech Watlocha nabiera porozumiewawczości i Andrzej nie może pozostać dłużny: kontynuacja tego tonu zaprowadziłaby go w śmieszność, przeciwna jest powszechnie obowiązującym regułom gry. — Wiesz — uśmiecha się — sprzedałem swe zdolności tej firmie i obowiązuje mnie lojalność wobec pracodawcy.

— Tylko nie o lojalności... — śmieje się Watloch.

— Socjalizm płaci lepiej od innych, dlaczego więc nie służyć mu lojalnie? — śmieje się Andrzej. — *A propos*, mam nadzieję, że dostanę forszę za ten wykopany artykuł?

— Dostaniesz.

— A więc wszystko w porządku. Ocalałeś honor *Horyzontu*, a przy okazji i moje dobre imię. Posłuchaj teraz z uwagą, co ci powiem. Sugerują mi z pewnych stron napisanie artykułu o UNESCO, w którym...

Watloch słucha i myśli, że Andrzej jest szmatą, ale zgrabnie zaobrębioną, którą biorą do ręki różni ludzie, zaś lepiej jest być dobrze z różnymi ludźmi, bo nigdy nie wiadomo jakie ciosy spaść mogą na *Horyzont* i na kim trzeba będzie się oprzeć; zaś warto jest zrobić każde świństwo i każdą podłość, byle by *Horyzont* żył, nieskazitelny, mądry, wyniesiony w zbiorowej świadomości i pragnieniach szerokich rzesz. Andrzej myśli, że za Lorantem i Larbińskim stoi ktoś wysoki i mocny, z głową ginącą w chmurach Olimpu, kto na pewno potrafi sobie poradzić z Watlochem, gdyby stanął okoniem i odmówił. Tym razem obędzie się chyba bez kłopotów, Watloch zobowiązany jest do rewanżu, a w ogóle na czym polega taki Watloch? Andrzej szedł kiedyś ulicą w Katowicach, w samo południe: pośrodku brudnej ulicy stał wyświeżony, zmęczony hulaszczą nocą, drobnomieszczański elegant w zamszakach i za długiej marynarze i drapał się w głowę, niepomny na wysiłek twórczy, na produkcję, na rozedrgany pracą socjalizm; od razu też było widoczne, że on wcale nie jest przeciw transparentom z czerwonego, usmolonego sadzą płótna: jego tylko to nic nie obchodzi; obchodzi go i wie jedno: że on jest, że musi trwać i przetrwać, zaś partyjny jest to dla niego taki zapracowany, nie mający na nic czasu sąsiad, przez którego można to i owo załatwić. Watloch przypomina Andrzejowi tego cwaniaczka z Katowic: też chwali się znajomościami z partyjnymi, którzy mogą wykukać to i tamto dla *Horyzontu*; stoi tak sobie na placu budowy i wie, że musi być, bo ludzie go potrzebują, żeby uśmiechnąć się, żeby zapomnieć. Oczywiście, ktoś tam trzyma Watlocha za gardło, bo zawsze i wszędzie ktoś kogoś trzyma za gardło; a gdy Watloch oczaruje naród i podniesie wydajność pracy klasy robotniczej, wtedy całą zasługę przypiszą sobie kaci, oprawcy i więzienni klucznicy, ci, którzy trzymają go za gardło, walą mu kłody pod nogi, marnują całe lata życia, nie pozwalają na nic, wpędzają go w rozstroje nerwowe i wrzody na żołądku; ci odpowiedzialni za to, co w życiu jego bezowocne i jałowe obwieszczą się naraz inspiratorami sukcesu i najlepszymi z wujaszków. Watloch nie należy do takich fachowców od życia w socjalizmie jak owi działacze sportowi, jeżdżący za państwowe pieniądze do Japonii po to tylko, żeby rzucić okiem na japońską drużynę przed jej meczem z polską drużyną w Warszawie; nie należy do tych szalbierzy z unii parlamentarnych, podróżujących do Rio de Janeiro po to tylko, aby wygłosić jedno przemówienie, którego nikt nie słucha, bowiem przedmówca powiedział, że w Polsce nie ma w ogóle parlamentu; bezsensowne podróże do Tokio, czy do Rio odbywają się dla dobra socjalizmu i kosztują państwo w dewizach tyle, ile star-

czyłoby na sztuczne płuca dla szpitala w Sieradzu, których tam nie ma z powodu braku dewiz. Watloch przynosi socjalizmowi korzyści, przed którymi socjalizm (reprezentowany przez ludzi decydujących o losach Watlocha) broni się rękami i nogami, kopiąc, gryząc, wierzgając i krzycząc stentorowym głosem, że to wcale nie są korzyści. W gruncie rzeczy dzieli on los Mikołaja: jest ofiarą opacznie działającej reklamy: reklama służy zazwyczaj usprawnieniu sprzedaży tego, co reklamy wymaga; w socjalizmie towary nie wymagają reklamy, wobec tego jej przedmiotem są idee i ludzie, którzy sobie ją sprytnie załatwili. Klęską Mikołaja jest, że nawet tym, którzy uważają go za lepszego od Larbińskiego wmówiono, siłą rozpętanej reklamy, że Larbiński to ktoś, zaś siłą przemilczenia, że Mikołaja w ogóle nie ma. To samo Watloch: Andrzej wie jak bardzo Watloch pragnie skwitowania swych załug. Ale zmartwienia naszych bliskich nie są naszymi zmartwieniami.

Andrzej siedzi w miękkim fotelu i myśli, co powie Lewinsonowi. Spał źle i budząc się ciągle ulepszał to, co powie. Jest godzina jedenasta trzydzieści pięć, wypolsterowane drzwi gabinetu Lewinsona trwają milcząco jak niegdyś tiary, korony, insygnia władzy. Sekretarka podnosi co chwila dzwoniący telefon i odpowiada tonem szorstkim, krótko, kończąc. Pociesza to bardzo Andrzeja: dowiaduje się w ten sposób, że nic nie zostało zamierzone przeciw niemu osobiście. Andrzej myśli, że nie wiadomo, za co dostaje się nagrodę, za to, że się człowiek zmienia, czy za to, że się nie zmienia? Co jest premiowane? Symbolem władzy są dziś (chyba na całym świecie) szczelnie zamknięte (jak te tu), obite czarnym, brązowym, lub zielonym polsterem drzwi, w które nawet zapukać nie można, jak uniemożliwiały poufałość niegdyś berła, trony i buławy. Przychodzi mu do głowy, że o kształcie przyszłości zadecyduje konflikt między tymi, którzy walczyli o socjalizm i teraz rządzą w imię wyobrażeń z czasów walki, a tymi, którzy żyją w socjalizmie i chcą go ulepszać. Ci drudzy muszą zwyciężyć bez względu na gorczyce pierwszych: technologia współczesnych biur lotniczych kłóci się z obwarowaniami paszportowymi, przemysł hotelarski zniesie w końcu bigoterię, biologia rozsądzi dogmaty. Lewinson walczył, ojciec Jacka wznosił, a młodzi teletechnicy żyją w socjalizmie i w końcu muszą tak pracować na swoim odcinku, aby zgadzało się z wymogami życia bez względu na nieruchome kanony świętych pism. Ale Lewinson, czy tylko walczył i wznosił? Gdzie zaszeregować Lewinsona? Stracił go z oczu na parę lat: Lewinson nie przyszlusował wówczas do byłych dygnitarzy, którzy wsiąkali łatwo

w grupy towarzyskie stolicy i (melancholijnie przemądrzali) brylowali przy stolikach kawiarni. Stosunki między ludźmi (znajomości, przyjaźnie) są dziś wygodne jak nigdy: sprowadzają się na ogół do hasła „Klawo! Głośno! Wesoło”, aby tylko było zabawnie, inne kryteria odpadają. Prawdziwą siłą towarzyską stanowi obojętność na potrzeby i poczucie wstydu drugich. Dawne pojęcia o przyjaźni i takcie umarły, na ich miejsce przyszło utylitarne znieczulenie: drugi, ten obok, ten, któremu wczoraj przy stole przysięgało się przyjaźń i podziw (grzmiące okrzyki: jaki on genialny!), może dziś zginąć o dwie ulice dalej, albowiem nie ma czasu między fryzjerem, cocktailem, a premierą aby mu pomóc. Lewinson nie ma dorastających córek, które brałyby udział w całonocnych eskapadach samochodami do Kazimierza, czy latem do Zakrocymia, których złe prowadzenie dostarczałoby smakowitego surowca do rozważań o dygnitarskiej nemezis, o upadku drugiego pokolenia; Lewinsona nie ma w polu widzenia towarzyskich peryskopów i Andrzej uświadamia sobie, czego najbardziej Lewinsonowi zazdrości, czyli (jest to równoznaczne) czego sam pragnie najmocniej. Autorytet moralny, jakże silny w tak niepozornym człowieczku: Andrzej przypomina sobie...

Sekretarka podnosi bezgłośnie telefon i mówi: — Tak jest. — Zwraca się do Andrzeja: — Proszę bardzo, towarzysz Lewinson czeka.

Andrzej otwiera drzwi, w które nawet zapukać nie można; przed sobą ma widny, duży pokój, biurko, portrety Marksa i Lenina, nieładny dywan fabryczny i wygodne foteliki przy zgrabnym stoliku. Za biurkiem wstaje Lewinson: jeszcze chudszy i mniejszy i bardziej czarniawy niż dawniej, nos jakby mu zgrubił, ciemne oczy podkrążone zmęczeniem, ubiór nie nosi już znamion wygodnej cudzoziemszczyzny, kojarzy się z zwykłym domem towarowym (tania koszulka nylonowa z eklerem zamiast krawata). — Dzień dobry — mówi Lewinson: trochę nie wie, jak ma się zwracać do Andrzeja po tylu latach. — Proszę siadać.

Andrzej siada i milczy z szacunkiem, zaś Lewinson odzyskuje swą penetrującą łatwość obcowania. — Co sprowadza do mnie tak znakomitego dziennikarza? — uśmiecha się z dawnym wdziękiem.

Andrzej uśmiecha się również i mówi gładko: — Wiele przyczyn, ale tylko jedna naprawdę ważna: nie widzieliśmy się tyle lat...

— Nie z mojej winy. — Nie wiadomo, czy w słowach tych jest zachęta, czy wyrzut. Andrzej milczy więc efektownie, biorąc wszelką winę na siebie, zaś Lewinson dodaje: — Zaś nasyciwszy głód sentymentów, w czym mogę panu pomóc?

— W sprawie, której nie ogarniają umysłem urzędnicy. Pan zaś pojmie bezbłędnie i powie mi, czy myślę się, czy mam rację. Gdyż natrafiwszy na trudności sam zwątpiłem. — Pauzuje zgrabnie, nadając ciężar słowom, które za chwilę powie. — Amerykańskie biuro podróży — mówi, czując koncentrację uwagi Lewinsona — chce sfinansować mi wielką wyprawę reporterską na Zachód. Jednym słowem: dają mi pieniądze na to, ażebym mógł o nich źle pisać. Nie wyobraża pan sobie chyba, że będę pisał o nich dobrze w *Horyzoncie*?

— Nie, nie wyobrażam sobie — uśmiecha się Lewinson. — Wydaje mi się jednak, że to, jak pan będzie pisał, powinno zależeć od nagromadzonych obserwacji, nie? — Koryguje w ten sposób nadmiar konfidencjonalności w słowach i głosie Andrzeja.

Andrzej przygryza wargi. — Niemniej zarząd *Prasy* i redakcja *Horyzontu* sprzeciwiają się tej podróży — mówi i myśli: zarząd *Prasy*, czyli tamten wiceprezes z wąsikiem, który oferował mi kiedyś posadę w Nowym Jorku w zamian za wbiecie Lewinsona obcasem w rynsztok; po czym nie kiwnął nawet palcem, żeby dotrzymać obietnicy; nie szkodzi, teraz Lewinson załatwi mi to samo, byle nie dać się zastraszyć drobnym złośliwościami na temat obiektywizmu informacji... — Utrzymują, że przebywałem ostatnio za długo zagranicą. Dziwny argument, prawda? Jakby prasa polska nie utrzymywała stałych, wieloletnich korespondentów w różnych stolicach świata?

— Ludzie panu zazdroszczą — mówi Lewinson poważnie. — To zrozumiałe.

— Ta podróż nie byłaby objęta żadnym rozdzielnikiem. Także nikt nie może jej odbyć za mnie. Zaproszenie indywidualne.

— Doskonały pomysł — mówi Lewinson i myśli, co za odrażający kawał drania, ale niech jedzie; niech go tu nie będzie; niech nie czeka wieczorami na Marytę na Chmielnej po to, żeby ją zanudzać o protekcję do mnie; mówiąc o nim Maryta ma ciągle jeszcze coś takiego w oczach, czego nie lubię.

— Wiedziałem, że pan to doceni. Ponadto Amerykanie załatwią mi wizę do Hiszpanii. — Czeka teraz na błysk sympatii na twarzy Lewinsona, wie, co znaczy dla niego słowo Hiszpania. — O tym kraju postaram się napisać całą, wyczerpującą prawdę.

— Prawdę o Hiszpanii — wzdycha Lewinson — może napisać tylko ktoś, kto był tam w trzydziestym szóstym.

Andrzej myśli: puďte, nie trzeba było zażywać go z tej mańki. — Czyli — mówi — mogą liczyć na pańską pomoc?

— Proszę do mnie zadzwonić za parę dni — mówi Lewinson życzliwie. — Zorientuję się, co można zrobić. — Te słowa nic nie znaczą i Andrzej wie, że niczego nie załatwił. Co nie

znaczy, że przegrał. Po prostu uruchomił wielotygodniową cyrkulację pisemek w otchłani różnych instancji, komisji, kolegiów, biur ministerialnych. Andrzej spogląda na Lewinsona z bezradnym smutkiem, szuka jego wzroku jak doświadczony i zrezygnowany człowiek szuka wzrokiem pomocy drugiego doświadczonego i zrezygnowanego.

Lewinson myśli bez pośpiechu i bez gniewu o tym, co łączyło ich troje: Marytę, tego parszywca i mnie? rewolucja? jej konsekwencje w życiu każdego z nas? nasza młodość i dzieciństwo?... Ta myśl wydaje mu się paradoksalna, nie może powstrzymać uśmiechu, krzywego i nieznanego Andrzejowi. Dzieciństwo i młodość, jak różne, a przecież sąsiedzkie, nabrzmiałe wzajemną wiedzą o sobie, wzajemną obcością, wzajemną niechęcią i poufnym znawstwem swych wstydliwych mankamentów. Co nas łączy? czy to, że jego ojciec latami czekał na wyzwolenie, o które ja walczyłem? czy to, że kołyski nasze dzieliło zaledwie parę kilometrów bruku, mimo, że wynurzyliśmy się z dwóch różnych światów? Lewinson widzi połacie ogromnego miasta (jak się wtedy wydawało), pokryte kaprawymi, odrapanymi murami w liszczach: ściany, ściany, brudne ściany domów sterczących bezładnie jak krzywe zęby, ściany puste choć pełne okien, szarych, zakurzonych okien, za którymi gnieździ się jednokomórkowe, znojne życie, pełne jazgotliwej miłości rodziców, klejącej się słodko i lepko jak tanie makagigi i chałwa z groszowych sklepików. Jarmużki, chedery, wieczny krzyk i wieczna, niewygodna słuszność i wieczny brak jasnych rozróżnień co dobre, a co złe, co niegodziwe, a co szlachetne, bo wszystko takie splątane, zawile, zaplute i piękne; i wieczna niesprawiedliwość i krzywda, czająca się zewsząd, na którą nie ma rady, która jest nie do pokonania, która boli jak smutna piosenka o małomiasteczkowej bóżnicy i kozie, jękliwa i odrażająca, ale której nie wolno od siebie odepchnąć, bo jest głupia i święta. Lewinson wie jak wyglądało polskie, szorowane karbolem ubóstwo lat dzieciennych Andrzeja w magistrackich czynszówkach, ale Andrzej nie zna nędzy jego dzieciństwa w zadławionym wiosennym, słonecznym kurzem ruderach ulicy Gęsiej, wśród zaropiałych krajobrazów miejskich, których już nie ma i nigdy nie będzie.

— Pozwoli pan — Andrzej sięga do teczki — że z okazji naszego ponownego spotkania... — Wyjmuje egzemplarz „Pikielhauby” i wręcza Lewinsonowi ruchem nieśmiało ceremonialnym.

Lewinson bierze książkę, otwiera i czyta dedykację: „Jakubowi Lewinsonowi z wdzięcznością za wszystko, czego mnie nauczył swym życiem i swą fachową wiedzą, bez którego pomocy

w zdobywaniu reporterskich ostróg nie została by napisana ta książka... — Andrzej J. Felak, Warszawa”.

— Dziękuję — mówi Lewinson. — To bardzo piękna dedykacja. Nie wiem tylko, czy na nią zasłużyłem.

— Moim marzeniem jest — Andrzej zacina się lekko ze skrępowania — żeby zechciał pan napisać coś o tej książce...

— Dawno nie zajmowałem się pisaniem.

— Nazwisko pana pojawia się czasem w czasopiśmie.

— Mogę napisać — uśmiecha się Lewinson z zakłopotaniem — ale bardzo szczerze. Czy zechce pan zaryzykować?

— Oczywiście.

— A jeśli zawiodę pańskie nadzieje?

— Nigdy pan o mnie nie pisał — mówi Andrzej ostrożnie.

— Zbyt pana lubiłem.

— Lubił pan... — wzdycha Andrzej.

— I lubię — dodaje Lewinson sztywno.

— Nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję rzetelnej wypowiedzi o mojej pracy — mówi Andrzej rzeczowo. — W poważnym czasopiśmie.

— Właśnie dlatego nigdy o panu nie pisałem. Żeby panu nie zaszkodzić.

Serce Andrzeja bije nieco spłoszonym rytmem. Zastanawia się szybko, co on może o mnie napisać złego? jak dalece opłaca mi się, żeby napisał? jeśli zaatakuje mnie pryncypialnie, wzrośnie moja popularność w kawiarniach; jeśli będzie mnie gnoił od strony umiejętności, wtedy ruszy do ataku salon pani Stoll i wytłumaczy wszystkim, że urzędnik-despota niszczy w ten sposób faceta, który nie chce pisać pod jego dyktando; właściwie mam go w ręku, nie ryzykuję.

— Zaryzykuję — mówi Andrzej z dobrze wyważoną potulnością.

Lewinson myśli, może nie jest takim łobuzem za jakiego go mam? nie żąda kumoterskich świadczeń, nie płaszczy się. Gotów jest przebaczyć Andrzejowi dawne winy, tak bardzo łaknie ciepła, przyjaźni, ludzkiej przyzwoitości. Boi się zasadzek w dziedzinie uczuć, to prawda, lęka się że Maryta jest z nim dla jakichś nieznanym mu korzyści mimo, że na każdym kroku daje dowody bezinteresowności. Tak bardzo pragnąłby mówić z kimś o Marycie, lecz Andrzej jest chyba ostatnim partnerem do takiej rozmowy.

Andrzej myśli, że być może popełnia błąd, lecz instynkt każe mu grać na całego: stawka jest duża, pochwała Lewinsona w druku oznacza umowę na następną książkę, rozwiąże ręce Stollo-

wej. — Nie będę już panu zabierał czasu — mówi. — Przy okazji: czy nie wpadłby pan kiedyś do nas na kolację? Elżbieta ucieszyłaby się bardzo. Może razem z Marytą?

Lewinson nie umie powstrzymać zażenowania, ogarniającego szyję i policzki. Myśli w popłochu, jak on śmiał? jakim prawem mówi o niej, o nas, tak lekko i bez osłonek! Wie dobrze, że tylko jego oburza ta propozycja, że tylko on z ich trojga nie może znieść myśli o sobie i o Marycie w domu jej dawnego kochanka; wie, że Maryta poszłaby chętnie, z prostej ciekawości, że zachowałaby się z wytworną swobodą, nie dostrzegając w tym zdarzeniu nic nienaturalnego. — Maryta — mówi Lewinson — jest poważnie chora na woreczek żółciowy. Myślę, że przyjęłaby zaproszenie z przyjemnością, rzecz w tym, że powinna unikać okazji do alkoholu. Ona nie zdaje sobie sprawy jak bardzo jest chora.

Andrzej rozważa, a więc żadnych randek z Marytą w celu wymuszania na mnie tego, lub owego... to chce mi zasygnalizować pan Lewinson, zaborczy kochanek! Zastanawia się z rozdrażnieniem, czy dla pochlebnej recenzji Lewinsona byłby się w stanie położyć do łóżka z Marytą, przy takim zagrożeniu ze strony chorego woreczka. Zarazem dławi go nieznana wściekłość na myśl o Lewinsonie przytulonym do ciała Maryty, mówiącym o Marycie tonem swobodnym, jakby stanowiła dlań zwykłą należność, a nie dar niebios: przez długie lata sycił się własną dumą, płynącą z pewności, że ona, hrabianka, uległa tylko jednemu plebejuszowi, jednemu Felakowi (co było znakiem powodzenia, nagrodą za karbolowe dzieciństwo, za ubóstwo ojca, za ordynarne klatki schodowe); świadomość, że teraz ma ją ten mały Żyd z północnych śmietników Warszawy, ktoś jeszcze gorszy niż on, o jeszcze gorszej szczeniwości, niż jego, obniża katastrofalnie ten pamiętny sukces. — Zrobimy kolację dietetyczną — Andrzej uśmiecha się mile. — Będziemy pewni, że nic Marycie nie zaszkodzi.

Dziwne, ale Lewinson, gdy myśli o Marycie i o tym co go od niej spotkało, też kojarzy ją ze wspomnieniem o swoim ojcu, śmierdząco biednym faktorze-pośredniku, biegającym za chrześcijańskimi szewcami, ciągnącym ich za rękawy palt do norowatych sklepów ze skórami, których właściciele odrzucali mu kilkugroszową prowizję za udanego klienta; biedna drobina ludzka jakby bez twarzy, o zielonkawym ciele, zawsze spocona, w wyszarzałym chałacie, nieładnie pachnąca, zaszargana błotem i pokryta kurzem od wiecznego uganiania się po ulicy. Zawsze wierzył w syna, jak każdy żydowski ojciec wierzy, że syna jego spotka w życiu wszystko wspańiałe, o czym on nawet nie może mieć

wyobrażenia. Ale czy przez jego zasnutą biedą i zmartwieniami mózg przebiec mogło kiedykolwiek przypuszczenie, że syn jego będzie kochał polską hrabiankę? Że polska hrabianka w uczuciu jego syna znajdzie jakąś zagubioną w życiu wartość? To jest dzieło rewolucji, myśli Lewinson ze zgryzotą, tej rewolucji, o którą walczył w brudzie i zaduchu żydowskiej dzielnicy z roslymi, polskimi policjantami, on, mały i cherlawy, dla którego przerzucenie transparentu przez druty tramwajowe równało się przenoszeniu gór. Walczył o rewolucję na uniwersytecie, gdzie bracia i kuzynowie Maryty bili go łaskami ze srebrną gałką, walczył o rewolucję i o siebie w dzieciennych pokojach bogatych, żydowskich rodzin, gdzie za wielogodzinne korepetycje z arytmetyki zdobywał parę groszy na opłacenie sublokatorskiego pokoiku w ruderach ulicy Świętojerskiej, po śmierci rodziców: drewniane ściany pokoju obite były sparszywiąta, gnijącą tapetą, Lewinson siedział przy stole nakrytym poprutą serwetą z resztką frędzli, jadł wędzone szprotki za piętnaście groszy i zachwycał się piewcami francuskiego proletariatu. Bułka i herbata bez cukru (zaparzana w wiecznej łyżeczce) na obiad nie dawały sił do życia; uboga Żydówka w peruce, u której wynajmował pokój, podrzucała mu czasem kawałek śledzia, lub resztkę wołowego szpondru, pod warunkiem, że zmówi modlitwę w piątek wieczór: był jedynym mężczyzną w domu. Mężczyzną? myśli Lewinson; w końcu zrobię wszystko, czego ten Felak chce; to kanalia; jeśli nie zrobię, powie, że jestem o niego zazdrosny, że mszczę się za Marytę, Bóg wie jeszcze, co może wymyśleć? nie zawaha się przed niczym; czeka tylko na to, żebym go kopnął, miałby wtedy łatwą wygraną; co połączyło nas troje, Marytę, jego i mnie, w zaciśnięty zajadle supeł? Czyżby udana rewolucja?

Teresa czeka już na tarasie małej kawiarenki na Saskiej Kępie. Andrzej przyjeżdża, nadąsany i milczący. Mówi ogólnikowo i skąpo, że spotkała go przykreść, że ma kłopoty, że ktoś wpływowy nie chce mu czegoś załatwić. — Nie jest to jeszcze powód, żeby traktować mnie opryskliwie — mówi Teresa obojętnie i Andrzej kurczy się tchórzliwie: zawsze jest trochę bezradny wobec przejrzyściej obojętności Teresy. — A w ogóle — dodaje Teresa — czy jest o czym mówić? Idź do ojca Jacka, on ci załatwi lepiej, niż dziesięciu Lewinsonów. Swoim nie chce, nawet palcem nie kiwnie dla mnie, czy dla Jacka, ale tobie załatwi na pewno. Taki już jest.

Andrzej ma przejść na drugą stronę ulicy, tylko do kiosku po papierosy, gdy biały Sunbeam Grohmana hamuje tuż obok. — Hallo — woła Grohmann, po czym wyskakuje z odkrytego

coś. Tego idiotę Kostkowskiego to ja skończę. Ja, nikt, tylko ja... — Gniew objawia się u Larbińskiego w coraz ukośniejszym zezie. — Po tym, co u mnie zarobił? Po tych rekolekcjach, które mu urządziłem w Łodzi na mój koszt coś takiego? I pomyśleć, że chciałem go lansować, pchnąć wyżej, dać okazję...

Andrzej nie wie za dobrze na czym polega kombinacja Larbińskiego z filmami Mikołaja: zwykłe podszycie się pod cudzą twórczość wydaje mu się mimo wszystko zbyt bezczelnym i prytywnym numerem. Ale kto wie, kto wie? — Kostkowski — powiada ostrożnie — tłumaczył mi kiedyś, że usiłuje pan uniknąć reklamowania Planka w kraju dlatego tylko, ażeby nie ściągnąć nań zawiści innych filmowców. Czy to prawda?

Larbiński nalewa sobie kieliszek koniaku i wypija z trudem. — Pewni ludzie w Polsce — mówi pokaszując — nie rozumieją, że dobrą prasę na Zachodzie robi dla nas, a zatem i dla nich, tylko Mikołaj Plank. Nie należy ich zatem przekonywać, lecz obchodzić ich zarządzenia. Dla dobra tego kraju. Wiedziałem z góry, że nie otrzymam zezwolenia na wywóz filmów Planka do Paryża, wobec tego postanowiłem zrobić to na własną odpowiedzialność, bez informowania kogo nie trzeba. Cieszę się dostatecznym zaufaniem, aby sobie na coś takiego pozwolić.

— Ludzie ci mogą to mieć panu za złe — uśmiecha się Andrzej.

— Mnie się nic nie stanie — mówi poważnie Larbiński. — Pod jednym warunkiem: że usunie się nazwisko Planka z tej imprezy, tu i tam. Dla prawdziwego twórcy ważny jest sukces dzieła, a nie firma, przekonany też jestem, że Plank woli zachwyty nad swoim dziełem w Paryżu, nawet za cenę anonimowości.

— Pytał pan o to Planka?

— Jakże mogłem narażać dyskrecjonalność przedsięwzięcia? Wiedział o tym tylko Kostkowski, wpadł na to zresztą dość przypadkowo, a kiedy mnie spytał, musiałem potwierdzić jego przypuszczenia. Wydawało mi się, że jest godny zaufania.

— Kostkowski uwielbia Mikołaja Planka. Wiedział pan o tym?

— Tak, To wydawało mi się gwarancją, że będzie chciał jego sukcesu. Tymczasem on dał cynk tym najgorszym, którym nie wolno było dawać cynku... — puka palcem w gazetę, nos mu blednie, ogarnia go cicha wściekłość. — Zobacz pan, jakie jeszcze będą konsekwencje tego idiotyzmu.

Andrzej myśli, o co jemu naprawdę chodzi? jakże łatwo jest wmówić różnym bęcwałom w Paryżu, że arcydziełka te są wyłącznie owocem jego inspiracji! dziecięco naiwni dziennikarze francuscy będą się rozpisywać o Larbińskim jako o nieugiętym

bojowniku, o natchnieniu polskiej kinematografii; ani słowa o Planku dla jego dobra... — Pójdę już — mówi Andrzej wstając. — Musimy się spotkać we trójkę, z Lorantem. I to w najbliższych dniach.

— Oczywiście — potakuje Larbiński.

Po czym, gdy kroki Andrzeja ucichają na klatce schodowej, wkłada płaszcz i wychodzi. Na dole wsiada do Simki-Ariane i jedzie wolno w kierunku Starego Miasta. Jest ciepły, wczesny wieczór, trochę dżdżysty, ulice, neony, lampy, wystawy lśnią wilgotnym powietrzem. Larbiński parkuje koło kolumny Zygmunta i wchodzi do knajpy pod nazwą *Mały Rycerz*: rozgląda się pośpiesznie i lękliwie po pełnym zawieszistego odoru wnętrzu, wychodzi szybko, zanim jakieś zamglone, napastliwe spojrzenie oprze się niebezpiecznie na jego twarzy. Idzie Świętojańską do Rynku i wchodzi do narożnego domu: parterowe okna obwieszono są plakatami o wyzywających literach. Z wąskiej sieni schodzi kamiennymi schodami do piwnicy o ścianach i sklepieniach zamalowanych fantasmagorią w brudnych kolorach: jest to malarstwo jelitowe, nie pozbawione ekspresji. W rozległym lochu wiszą poszczerbione latarnie o resztkach kolorowych szybek, stoją chybotliwe krzesła przy pokancerowanych stołach i połamane pianino. Przy jednym ze stołów siedzi czterech młodych ludzi: są pijani, hałaśliwi, zaczepni. Ich brody — hiszpanki, łopatki, bądź na Chrystusa — służą manifestacjom, a także ukryciu przyszczów i ziemistej cery. Ubrani są w cienkie, szmaciane garnitury z warszawskich ciuchów, bądź w ceglaste pullovery i smokingowe muszki. Na stole stoi niedopita półlitrowka wódki: pod stołem walają się butelki po tanim winie owocowym marki Apollo, przyniesionym ze sobą nielegalnie i kosumowanym za cenę klepania po tyłku apatycznej kelnerki. Larbiński siada o dwa stoliki dalej i unika skrupulatnie kontaktów wzrokowych z tą grupką: wie, że go zauważyli, że facet, którego szuka, siedzi między nimi, że za chwilę posypią się bezczelne uwagi (tacy faceci kochają jego i jemu podobnych jak wrzody pod pachą, uważają ich za parszywych szalbierzy, kradnących im należne powodzenie). Zresztą boi się: boi się przytyków do swego żydowskiego pochodzenia, boi się ironicznych aluzji i obelg, boi się wreszcie fizycznego gwałtu, który tu wisi na włosku. Wobec tych śmieci, tych niedouków, nierobów i tępaków, wierzących w swój nieistniejący talent, kurczy się i niknie jego pewność siebie, wsparta na pieniądzach, przynależności partyjnej, nakłamanym przez prasę zasługach i rzeczywistych, śliskich wpływach. Larbiński brzydzi się tym lokalem, tymi ludźmi, każda sekunda tutaj jest męką; ale trzyma go tu coś potężniejszego od obrzydzenia. — Nie da

ci ojciec, nie da ci matka, tego co może ci dać sąsiadka... — dochodzi od tamtego stolika, skandowane z uporem przez faceta o rozlanej, mięsistej twarzy, w której każdy szczegół nasadzony jest jak przez bawiącego się plasteliną malucha o wyjątkowo złym guście. Z kąta piwnicy napływa ostinato big-beatu i wściekły głos łąduje „Dianę”. Larbiński zamawia kawę u utapirowanej kelnerki; muzyka urywa się, jej miejsce wypełnia: — Nie da ci ojciec, nie da ci matka... — Widocznie jest to refren na dzisiaj, galwanizujący co chwila wesołość. Od stolika podnosi się wypłowiały blondyn, kościsty i gruzłowaty na twarzy niedomytej i lekko zagłodzonej, podchodzi do Larbińskiego. — Mistrzu — mówi — prosimy pana do nas. Nie odmówi nam pan tego zaszczytu! Prosimy najuniziej... — Siada, nieproszony, przy stoliku.

— Właśnie pana szukam — Larbiński ozdabia krzywe wargi najgrzeczniejszym z uśmiechów, po którym wygląda jakby żuł cytrynę. — Mam do pana interes. Przejdźmy do baru.

— Nie — nalega facet. — Mistrzu, prosimy najpierw do nas! Nie zrobi pan nam tego, ubogim poetom... — W głosie jego unosi się drwiąca prośba; przy tamtym stoliku jakby nasłuchują. Larbińskiemu drżą lekko usta i łydki: przypomina sobie, że taka właśnie ekipa młodych liryków pobiła niedawno szatniarza w *Spatifie* do utraty przytomności. Ale znów fala muzyki Hi-Fi wypełnia piwnicę i grane na niezliczonej ilości gitar mambo nie pozwala na koncentrację zwady. — Niech pan się nie wygłupia — atakuje desperacko Larbiński — tu chodzi o pański scenariusz. Niech pan idzie ze mną. — Facet trzeźwieje w okamgnieniu, gruzły na twarzy i chuda grdyka zaczynają mu chodzić niespokojnie, przebiera palcami po rzadkich włosach, zaondulowanych w kuchenne loki jak na pocztówkach z powinszowaniem imienin.

W barze, na tle skromnych butelczyn z jugosłowiańskim wermutem i polską orzechówką, stoi kilku malarzy w skórzanych kurtkach i o znacząco brudnych paznokciach, a także kilku aktorów w krajowych jeansach i z twarzami napiętnowanymi żądzą ustawicznego podobania się. Larbiński płaci za dwa chińskie koniaki i mówi: — Niech pan posłucha... — No i co? — przerywa mu facet. — Nareszcie zrozumieli, że ten scenariusz to bomba? — Tego bym nie powiedział — uśmiecha się krzywo Larbiński. — Panie Lucjanie — spoufala się facet — czy pan naprawdę nie dostrzega w tym scenariuszu tego autentycznego skowytu o naszym życiu? A nie zaprzeczy pan, każdemu jest tam oddane co jego. Cesarzowi co cesarskie, partii co istinno ludowe, co tak wyrasta z rzeczywistości, jak my wszyscy... — zatacza ręką wy-

razisty krąg — ... jak ja sam, dziecko powojennych gruzów Warszawy! I Bogu co boskie w naszym życiu, co frenezja, *big-beat* i balety, co najprawdziwsze, pulsujące brudną, maciczną krwią!

— Niech się pan nie zapala — mówi chłodno Larbiński. — Scenariusz uznany został za kompletną chałę. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Coś jeszcze możemy uratować. Jakie są teraz pańskie stosunki z *Terazniejszością*?

— Naczelnny redaktor *Terazniejszości* siedzi tam — facet wskazuje głową w kierunku stolika, przy którym siedział.

— Czy zamieszczą panu artykuł?

— Zawsze — przysięga facet. — Żaden problem.

— Artykuł odważny, odślaniający kulisy odrażających machinacji?

— Możemy porozmawiać — na razie facet wypija szybko koniak i każe barmance nalać drugi.

— Niech pan słucha... Jako członek jury różnych międzynarodowych festiwali oblegany jestem przez pokątnych filmowców, raczej kombinatorów niż twórców, którzy usiłują ze mną ubić interes. Za cenę lansowania ich produktów oferują mi udział w zyskach, zarówno materialnych, jak prestiżowych. Metody jakie proponują budzą wstręt. Taki, na przykład, Mikołaj Plank. Nie sam, bezpośrednio, lecz przy pomocy podkupionej kreatury, dziennikarzyny nazwiskiem Kostkowski, usiłował zachęcić mnie niedawno do prezentacji jego krótkich metraży w Paryżu, proponując osobliwy sos reklamowy do tego przedsięwzięcia...

Facet wypija drugi koniak i mówi zachęcająco: — No?...

— Sugerował, żebym w Paryżu głosił o tym, jak go tu prześladowają. Rozumie pan?

— Rozumiem — przerywa facet. — Robi z siebie na siłę ofiarę urojonych prześladowań.

— Wybornie — przeznaje Larbiński. — Tu udaje nędzarza, konającego z głodu, któremu nie pozwala się nic robić...

— A tam — przerywa facet — będzie zbierał za to dolary.

— Oczywiście, przy pomocy różnych aluzji proponował także podział zysków.

— Jasne! — facet jest samą przenikliwością.

— Teraz, kiedy odmówiłem, usiłuje stworzyć fakty dokonane i zmusza tego Kostkowskiego do takich notek w *Wieczorze*, jak ta tu. Szantażuje mnie w ten sposób i uniemożliwia protest. A w ogóle — kończy Larbiński — wszystko wskazuje na to, że Plank chce prysnąć na Zachód. Zrobić tam zapasik forsy i nazwisko przy naszej pomocy i hop! Tylko o tym ostrożnie, dobrze? Cienka sugestia, że mógłby, kapuje pan? Więc co, napisze pan?

— Z rozkoszą — facet zaciera z uciechą ręce. Larbiński pła-

ci zaś facet dodaje potulnie: — A co z tym scenariuszem? — Będzie dobrze — mówi Larbiński i klepie go po rachitycznym ramieniu. — Do widzenia. — I wychodzi.

Facet wraca do stolika. Wita go: — Nie da ci ojciec, nie da ci... — Niech ja skonom — mówi facet — jak nie złapałem teraz kozacki fart! Tak nakotłuję w Warszawie, że się nie pozbierają przez długie lata! Wszystkich...

— Kogo wszystkich? — pyta jedna z bród.

— Tych zdolnych — jąka się facet, wzruszony. — Zdolniaków. Tych co pieprzą o talencie i o tym kto go ma. Tych Planków. A przy okazji mam takiego bacika na tego starego Żyda, że niech mnie tylko nie dopuści do żłobu... — Bije się w chude piersi, nadając głosowi ton maksymalnie groźny.

Gospodarze zamierzali wydać tu cocktail w stylu klasycznym, ale w Polsce wszystko ulega odchyleniu narodowemu i zamiast trwania na stojąco z kieliszkiem na wysokości śledziona, goście obsiadają kanapy i krzesła w pozach niewymuszonych, zaś rozmowa zmajoryzowana zostaje przez paru chętnych i obrotnych w języku. W ten sposób indywidualizm pogawędek ulega terrorowi zbiorowego popisu, elokwentni i jadowici używają sobie na nieśmiały, subtelnych i tępszych, przy załęcznionej aprobacie reszty. Złośliwość rządzi tu każdym odruchem. Natychmiast po okrzyku: — Co za obicia ścian! Gdzie państwo zdobyli tak wspaniałe draperie? — następują porozumiewawcze spojrzenia za plecami gospodarzy, znaczące pogardę dla ich okropnego gustu. — W Londynie — odpowiada gospodarz, lub jego żona. — W *Liberty's*. Proszę sobie wyobrazić, złapaliśmy ostatnie kilkanaście metrów tego materiału... — Pan domu jest przedstawicielem międzynarodowego koncernu farmaceutycznego: oczywiście posadę tę uzyskał za pozwoleniem władz polskich, stąd stały paszport zagraniczny, oraz kordialne stosunki z zaludniającymi Warszawę cudzoziemcami. Ponadto ma willę w dzielnicy dla dyplomatów, oraz instalację sanitarną i sedes wprost z Ameryki: tajemnicą pozostaje nie jak to zdobył, lecz jak to przywiózł, musiał bowiem uzyskać zwolnienie od cła; chętnie też pokazuje klozet jako wielką zdobycz swego życia. Zamożność i przydatność warunkują jego drobne ekstrawagancje jak skłonność ku stosunkom towarzyskim z intelektualistami: płaci zresztą za tę słabostkę wystawnymi przyjęciami i niezwracaniem uwagi na pokpiwania ze swych szlachetnych snobizmów. Taki Hojda, na przykład, mówi: — Nie do zniesienia, co oni tu ponawieszali na ścianach! Szlafrok-gigant... — tak, że pan i pani domu muszą troskliwie udać, że nie słyszą. — Barek w bibliotece miałem w początkach planu

sześcioletniego — informuje Larbiński Elżbietę, zaś Hojda pro-
stuje: — Nie kłam, miałeś już za Stalina, zrobiony przez pry-
watnego stolarza. — Może trochę zupy rakowej w filizance? —
pyta pani domu z wytrenowaną słodyczą. — Zupa rakowa o tej
porze roku? — dziwi się łagodnie Elżbieta. — Szyjki rakowe
z puszki, oczywiście — wyznaje gospodyni — ale krem wychodzi
całkiem jadalny. — Wyobraź sobie jaki Rybicki jest genialny
— mówi Hojda. — Spotykam go wczoraj *Pod Gwiazdami*
z zupełnie nowym kotem, siedemnastka, noga, oko, kłos, ząb,
mówię ci, na eksport. Jest Kostkowski, który mówi: „Ty, Ry-
bicki, co ty tu pracujesz, ja znam tę dziwę, ona ma narzeczono-
go?” Na to Rybicki: „Ja nie jestem zazdrosny...”

— Rybicki — uśmiecha się wąsko Andrzej — bywa ostat-
nio w ambasadach na cocktailach jako urzędnik od kontaktów
kulturalnych z zagranicą. Feruje wyroki o książkach i filmach.
Powiedział mi niedawno, że nie pojmuje dlaczego artyści nie są
w stanie stworzyć bohatera pozytywnego naszych czasów i że
państwo marnuje pieniądze na tych, którzy tego nie potrafią.
— Może proponuje siebie jako model? — śmieje się Hojda. —
Mnie już nic nie dziwi. — Andrzej Felak! — podchodzi Klara
Onyx. — Nie widziałam pana wieki całe. Co słychać? — Andrzej
mówi co słychać, zaś myśli o rozmowie z Maleckim. Malecki
rzekł dziś w redakcji: — Czytałeś *Die Welt*? Z przedwczoraj?

— Nie — rzekł Andrzej zaniepokojony: Malecki zwiastuje
z reguły przykrości.

— Piszą o tobie. I to dużo. Zresztą w innych niemieckich
gazetach także. Zwłaszcza w Berlinie Zachodnim. Nasładzają się
tobą, aż dusza rośnie, że Niemcy tak piszą o Polaku...

Andrzej czuje mdości koło serca. Nie szuka długo. Niemiec-
kie pisma z ostatnich dni powołują się na korespondencję Groh-
manna z Warszawy o prześladowaniach i cierpieniach znanego
polskiego publicyście, Andrzeja Felaka, który w swej nowej książ-
ce o Niemczech usiłował zawrzeć trochę prawdy; jeden z piszą-
cych wspomina wprawdzie, że przeczytał uważnie książkę Fela-
ka, ale nie znalazł tam upragnionego przez Niemców obiektyw-
izmu w traktowaniu zagadnień spornych, skoro jednak dono-
szą z Warszawy, że nawet za taką książkę Felak zbiera cięgi, zna-
czy to, że sens jej jest pozytywniejszy, niż by się na oko wy-
dawało; w jakimś berlińskim czasopiśmie znalazł emfaticzne za-
prośenie do odwiedzin Berlina Zachodniego, miasta frontowego,
gdzie dialog o przeciwnościach między Wschodem a Zachodem
nabiera rumieńców autentyczności: autor artykułu dodał, że do-
piero tak rzetelny i wnikliwy dziennikarz, jak Felak, zdoła spo-
żytkować tę okoliczność dla dobra skłóconej ludzkości. To było

perfidne zdanie: wrabiąło Andrzeja w katastrofalną spółkę, której nie przewidział. Ta afera, nie wywodząca się w gruncie rzeczy nawet z pozorów prawdy, przeobrażała się w klęskę. Należało przeciwdziałać, ale jak, którzy, przeciw komu, z kim?

Z otwartych drzwi przestronnego pokoju w kolorze cielistego drzewa (którym wyłożone są ściany), nadchodzi Grohmann, niemiecki efeb prasowy w sosie anglosaskiej elegancji, wypracowanej przez wielkie domy towarowe cudu gospodarczego. Z cielistego wnętrza słychać przycięty do obowiązujących półtonów głos Elli Fitzgerald: włamana w stereofonię Ella żyruje przywitanie Grohmanna wysterylizowanym ze smutku bluesem. — Hi... — mówi Grohmann do Andrzeja. — *May I ask you: zadowolony? Zufrieden? Happy?*

Andrzej uśmiecha się kwaśno: — To nie było zbyt ostrożne.

— Co? — na twarz Grohmanna nasuwa się czujność, jak klisza epidiaskopu zastępująca uprzednią kliszę: swobodne robawienie.

— Pan już wie co.

— Mój drogi — broni się Grohmann — z dnia na dzień stał się pan bohaterem, przynajmniej w Niemczech. Nie można ciągnąć zysków ze wszystkiego.

Andrzej myśli, że można, tylko ty o tym nie wiesz, głupcze; ty i twoi napełniasz lodówek homarami; teoria służby, mecenat dla ludzi zdolnych w dziejach świata, co ty o tym wiesz, ty złotowłosy słoniu? najlepiej płacą ci, których w duchu uważa się za łotrów i durniów!

— Nie rozumiem — ciągnie Grohmann trochę ironicznie — jak pan chce pogodzić krytykę oficjalnych posunięć z miłością i faworami ze strony rządzących? Na coś trzeba się zdecydować.

— I nie zrozumie pan nigdy — uśmiecha się Andrzej — bowiem wychodzi pan ze złego założenia. Ja niczego nie krytykuję. Nie naruszam wskazań nienaruszalnych. Posługuję się tylko własnym spojrzeniem, czyli moim narzędziem pracy. W „Pikielhaubie” nie znajdzie pan słowa, ani myśli, które naruszyłyby linię zakreśloną przez interesy mojego narodu i jego kierownictwo. Taka jest prawda o tej książce.

— Chwileczkę — Grohmann wyjmuje długopis i blok notesowy — zaraz to zapiszę. Żeby nie było potem żadnych nieporozumień.

— Czy pan oszalał! — szepcze Andrzej. — Tu, na oczach wszystkich! — Andrzeja ogarnia panika, cokolwiek powiem obróci się przeciwko mnie! — Dla niektórych — szepcze mu Grohmann, przepraszająco i konfidencjonalnie — stał się pan od przedwczoraj bojownikiem o postęp i swobody w komunizmie...

— Wydaje się być lekko przestraszony tym co uczynił, reakcja Andrzeja zaskakuje go.

— Niech się pan nie wygłupia, Grohmann — mówi Andrzej dość sztywno, jakby ostrzegając przed posuwaniem żartów zbyt daleko.

Grohmann przepływa do tyłu, wciągnięty przez wiry cocktailowego przyjęcia. Elżbieta mówi: — Jędrusiu, czemu jesteś tak zwarzony? Stało się coś? — i tonie w przypiływie odezwań z różnych stron. Larbiński uśmiecha się krzywo i mówi: — *Ça va?* — co oznaczać ma, że językiem francuskim posługuje się na zasadzie impulsu. Hojda rozmawia z panią domu, tak obłożoną podkładem i *make-up*'em, że twarz jej przypomina maskę pośmiertną w kolorze bezowym; Hojdzie podoba się ten produkt wielkoprzemysłowej urody, odlew kosmetyczny, triumf współczesnej chemii, destylującej piękność z węgla brunatnego, siarki i tłuszczów zwierzęcych; Hojda jest świeży, zachwyca go ciągle jeszcze blask neonów odbity w mokrym asfalcie. Larbiński steruje ku Elżbiecie, osadza ją wreszcie w kącie rozbudowanej przesadnie biblioteki i coś do niej mówi: Elżbieta uśmiecha się głupiutko; Andrzej nie lubi tego uśmiechu: zna skoncentrowaną uwagę poza nim, nawijającą systematycznie zaplanowane zdarzenia, z których on mąż, nie może być zadowolony. Pociesza się, że w Warszawie sądzą mylnie; inni... zresztą było to dawno, teraz już jedyną jej namiętnością jest imponowanie. Czuje naraz do Elżbiety niechęć, a nawet głęboką odrazę: nigdy tak źle o niej nie myślał, jak w tej chwili; zastanawia się, czyżby instynkt każe mi na nią pluć i topić ją w obrzydliwościach?

Natyka się na Lavertisse'a: strach przepływa mu wokół głowy jak tłuste plamy na wodzie. Andrzej dręczy się, kto tu donosi? wyobrażam sobie raporcik o mnie; teraz jeszcze z tym trzeba porozmawiać na oczach wszystkich. Lavertisse'a nie jest łatwo obejść: ma szerokie bary spowite w wymięty tweed; w rudawej, skudłonej brodzie tkwi fajka, wzmacniająca głos jak mikrofon. — Marzyłem, żeby pana spotkać *cher* Felak — mówi Lavertisse i przeciera rzadko myte, zaropiałe oczy: jak na Szwajcara jest wyjątkowo niechlujny, co ma podobno jakieś związki z inteligencją, gdyż uchodzi za gwiazdę w swym zawodzie. — Niech mi pan coś powie o Mikołaju Planku. Co to za historie? Najpierw zaskakujące informacje w *Wieczorze Warszawy*, a potem atak w *Teraźniejszości*? Dlaczego oni go tak wdeptują w ziemię?

— Plank... — mówi Andrzej wymijająco — przemiły człowiek. Ulubieniec stolików w *Spatifje*. Ale w gruncie rzeczy...

— Świat się nim interesuje — zauważa Lavertisse, raczej

obojętnie. — Interesowałby się jeszcze bardziej, gdyby Plank coś robił, pisał książki, kręcił filmy.

— Lenistwo jest jego ideologią. Nie chce mu się nic robić, więc po prostu nic nie robi.

— A może mu nie pozwalają, uniemożliwiają. Co za bzdura! Inny naród zarabiałby na nim dewizy.

— Wierzy pan w bajki. Kto mu nie pozwala? Zresztą, ja się nie znam na Planku. O, ma pan Loranta, on panu wyjaśni.

Podchodzi Lorant, pachnący *Old Spice After Shave*. — Spóźniłem się — mówi. — Przepraszam. — Dlaczego nas — uśmiecha się Andrzej. — Przepróż gospodarzy. — Przeprasza się tylko tych, którzy naprawdę coś znaczą — mówi Lorant. — Co za fatalne tartinki! Dają tu jeść jak w stołówce ministerialnej. — Andrzej czuje się teraz pewnie: we troje z Lorantem stanowią grupkę jakby nieco lepszą od reszty, nie podlegającą posądzeniom. — Lavertisse męczy mnie o Planka — mówi Andrzej. — Powiedz mu coś. — Plank? — mówi Lorant lekko. — Czarujący tandeciarsz. No, niech pan powie, Lavertisse, kto pana zdaniem jest prawdziwszym i użyteczniejszym sprzymierzeńcem wolności: ten osławiony Plank, czy nasz przyjaciel Felak?

Andrzej myśli sobie, że to są śliskie żarty, protekcyjne szyderstwo i trochę robienie z niego wała: Lorant nie powinien tak się bawić, Lorant-sojusznik. Andrzej opracowuje soczystą kontrę, ale postanawia na razie spasować. Lavertisse zagrzebuje chytry, pogardliwy uśmieszek w brodzie. — Oczywiście — mówi — że nasz kochany Felak. — Chwilę jakby się zmagają ze sobą, po czym wypala: — Ci, którym w łonie komunizmu powodzi się doskonale, są najlepszymi sprzymierzeńcami wolności i... Ameryki. To znaczy, chciałem powiedzieć, Coca-Coli, krążowników szos i plaż w Kalifornii.

Lorant zgadza się z Lavertisse'm, ale mówi: — To nie takie proste... — na wszelki wypadek. — Taki Plank, w każdym razie, uważa nas — zatacza ręką po cocktailowym salonie — za zwykłe świnię. Gdyby go tu wpuścić upiłby się i obrażał wszystkich wokół. Powinno to pana usposobić dla niego przychylnie, Lavertisse, no nie?

W oczach Lavertisse'a stęży się przez chwilę niekontrolowana odraza: nie znosi Loranta i pragnie to ukryć. — Dlaczego mamy się orientować w waszych polskich rozliczeniach moralnych? — mówi. — To takie skomplikowane. I trudne. I nudne.

Andrzej myśli, że w istocie, gównie wiecie i tak jest lepiej dla was i dla nas; po co macie się wtrącać w nieswoje sprawy i wiedzieć, jak jest naprawdę. Chce usunąć się dyskretnie, lecz Lavertisse przytrzymuje go za łokieć, podczas gdy Lorant prze-

suwa się w bok na pracującej bez przerwy, ruchomej taśmie. — Mam wiadomości o pana podróży — mówi cicho. Teraz Andrzej manewruje, ażeby znaleźć się z Lavertisse'm na uboczu i jak najdalej: Lavertisse znany jest ze swych stosunków z ambasadą amerykańską, tylko on liczy się dla niej z pęczka zagranicznych korespondentów w Warszawie; Andrzej zna tych zarozumiałców z zachodnich agencji, znudzonych, dłubiących palcami w nosie, sprytnych i ograniczonych, szwendających się po Grandzie, Bristolu i meczach międzypaństwowych (gdzie węższą za manifestacjami wrogości wewnątrz obozu pokoju), zna ich zapuszczone biura, zaśmiecone kartonami po papierosach i starymi rocznikami, z których wyskrobują kto jest kim i co jest jak; w gruncie rzeczy nie wiedzą nic o najprostszej zależności człowieka od człowieka i urzędu, nic poza utartymi uniwersalnymi sloganami, które czasem do czegoś pasują. Ale Lavertisse jest inny: jest wnikliwy i na swój sposób potężny, reprezentuje jakies wpływy, nieskoordynowane, lecz realne i sięgające daleko. — No i co? — pyta Andrzej, trochę nerwowo, gdy przystają w kącie rozległej biblioteki, w bezpiecznym oddaleniu od Larbińskiego i Elżbiety.

Lavertisse uśmiecha się pobłaźliwie. — Chyba załatwią panu tę podróż-*monstre* — mówi.

— Mówił to panu ktoś?

Lavertisse uśmiecha się jeszcze pobłaźliwiej. — Przecenia pan moje możliwości, *cher* Felak. Po prostu wyobrażam sobie, że w jednym z dobrze odseparowanych od ulicy gabinetów ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie usiadło kilku gentlemanów aby zastanowić się nad rozdziałem ułatwień, pomocy, gratyfikacji i stypendiów dla obywateli tego kraju. Padło nazwisko „Felak” i posypały się uwagi: „Dobrze ubrany”, „Nowe pokolenie komunistów”, „Zawsze ogolony”, „Człowiek zachodniej cywilizacji”, „Ma bardzo elegancką żonę”, „Cała Polska go czyta”, „Uznanie tu i tam”, „Co innego pisze, co innego mówi”...

— Ostatnia uwaga jest pańska, Lavertisse, a nie Amerykanów — uśmiecha się Andrzej twardo.

— Czyli odmawia pan Amerykanom nawet elementarnej spostrzegawczości, nie mówiąc już o inteligencji — kiwa głową Lavertisse. — Nieładnie. I dlatego chce ich pan strzelić na tak grubą forszę... Może zresztą ma pan rację? Może mówią: „On nie może inaczej. Musi. Jest zbyt liberalny, wyrozumiały, tolerancyjny, by być nieuczciwym, jeśli więc pisze o nas świństwa, to dlatego, że musi...” — Ssie fajkę z wyraźną ekscytacją, jak obserwator pożerających się wzajemnie żyjątek.

— Nie rozumie pan delikatności mej sytuacji — mówi An-

drzej spokojnie. — W ramach tego co można, robię maksimum co powinno nas łączyć, a nie dzielić.

— Nas?

— Nas, to znaczy rozsądnych, światłych ludzi dobrej woli na całym świecie, po obu stronach wielkiego rowu...

Lavertisse myśli, że w tym kraju narodziła się nieznaną dotąd kasta ludzi, którzy sposobem zachowania, ubierania i nieobowiązującymi deklaracjami podlizują się Amerykanom. Głupi Amerykanie żywią ich, karmią na cocktailach, obsypują podarunkami przy pomocy swych fundacji, ci zaś, po powrocie do domu, wypisują przestarzałe, tandentne oskarżenia z czarujących uśmiechem na ustach. Bo muszą. Tak przynajmniej twierdzą, że muszą. Co zmusza ich do podłości oprócz zachłannego sprytu, który tkwi w nich samych? — Wie pan — zauważa Lavertisse. — Pakowski mówił mi o sobie to samo. Że jest światły, rozsądny, pełen dobrej woli do zasypywania rowów odgradzających od siebie ludzi dobrej woli.

Andrzej przygryza wargi i zapala papierosa lekko drżącymi palcami; casus Pakowski jest rzeczywiście niemiły i brzydko pachnący: ten młody redaktor naczelny jednego z tygodników zaproszony został niedawno do Szwajcarii przez gazetę, którą reprezentuje Lavertisse; tam fetowano Pakowskiego z czułością jako przedstawiciela nowego, obiecującego pokolenia, zaś Pakowski wygłaszał przemówienia ociekające liberalnym humanitaryzmem i deklarował w rozmowach swój nieobotyczny podziw dla osiągnięć współczesnej, szwajcarskiej demokracji, nazywając ją zegarmistrzowsko doskonałym systemem społecznego współżycia; po czy przyjechał do Polski i opublikował serię artykułów, z których Szwajcaria wyłoniła się jako śmietnik zdegenerowanych stosunków międzyludzkich, oaza moralnej deprawacji i organizowanego przy pomocy matactw finansowych dobrobytu. — Mam od niego listy — mówi Lavertisse — które pisał do mnie z Genewy i Zürichu. Roztopiał się z zachwyty nad naszymi instytucjami. „Czuję się tu jak Piotruś Pan...”, pisał. W kilka tygodni później otworzyłem numer jego pisma. Same inwektywy, ale jak ślicznie dobrane! Oczywiście, przy pierwszym spotkaniu schwylił mnie za ramiona i powiedział: „Pan mnie zrozumie! Nie mogłem inaczej! Wymagano tego ode mnie! Inaczej straciłbym stanowisko!” Powiedziałem: „Przecież nie przestawiano panu rewolweru do skroni. Tu jest Polska, a nie Rosja. Polscy komuniści twierdzą, że to nie to samo”. Krzyknął: „Prawie przystawiano!” Pomyślałem sobie o nim, że jest zwykły łobuz, ale że Szwajcaria nie zbankrutuje z powodu jednego drania, który naciągnął ją na miesiąc dobrego życia.

Andrzej myśli, jacy oni głupi, nawet ten Lavertisse; niebawem go odwołają z Warszawy, wszystko przyschnie, a za dwa lata Pakowski pojedzie znowu na koszt zapraszających, dla odmiany do Danii, aby zasypywać rowy dzielące Duńczyków od ludzi dobrej woli; i słusznie; tak trzeba; jak są głupcy niech płacą... — Czy wie pan co Lewinson powiedział o artykułach Pakowskiego? — pyta Andrzej ironicznie. — Że to czystej wody schematyzm i że społeczeństwo polskie oczekuje czegoś lepszego od swych dziennikarzy. Co pan na to?

— Lewinson jest przyzwoitym człowiekiem.

— I ja tak sądzę. Ale nawet najprzyzwoitsi popełniają błędy, prawda?

Lavertisse patrzy w zadumie na sylwetki pochłaniaczy tartinek, snujące się miękko w tle. — Co ma pan na myśli? — pyta ostrożnie Andrzeja.

— Hecę w Niemczech, wywołaną przez Grohmana. Zdaje się, że mogę pożegnać się z podróżą do Ameryki. Załatwiliście mnie skutecznie. Czy sądzi pan, że Lewinson wypuści mnie teraz z kraju, mnie, autentycznego rzecznika nastrojów krytycznych? — w głosie Andrzeja rozbrzmiewa dumna gorycz wypróbowanego herolda spraw słusznych i pięknych.

— *Cher Felak* — uśmiecha się Lavertisse — my możemy dwiema depeszami zakończyć pańską świeżoupieczoną karierę opozycjonisty. Czytałem „Pikielhaubę”. Wystarczy napisać o niej prawdę, aby Lewinson błagał pana o wyjazd do Ameryki. Czy chce pan, abym to zrobił? Ja, Grohmann i jeszcze paru innych?

Andrzej zaciąga się głęboko papierosem i wypija wolno koniak z pękatej banieczki; patrzy przenikliwie w oczy Lavertisse'a, produkując w ten sposób nacisk subtelnej porozumiewawczości. Mówi: — Nie. Niech pan tego nie robi.

— No, no — kiwa głową Lavertisse, z niekłamany podziwem. — Gra pan wielką grę, *cher Felak*.

Andrzej upewnia się gorączkowo, moja szczerść musi go jaśkoś zobowiązywać! jeśli tak nie jest, zapłacę za nią grubo! — Ale gdy jutro przeczyta pan w prasie moje oświadczenie — mówi spokojnie — o tym jak zachodni Niemcy pismacy posługują się moją książką dla prowokacji i przypisują mi myśli, których nigdy nie miałem, niech pan wie, że napisałem je pod presją i terrorem. Ze zostałem do jego napisania zmuszony.

Podziw Lavertisse'a nabiera cech szacunku: pochyla głowę przed majstersztykiem. Myśli, że to wielka sztuka, wymagająca talentu i odwagi, by zbierać zyski za służalczość i opozycyjność jednocześnie, za sprzedajność i nonkonformizm naraz. W gruncie rzeczy, kto jest dziś w Polsce sojusznikiem Zachodu: ludzie

idei, czy kombinatorzy i zręczni karierowicze? — To pan rozkłada komunizm od wewnątrz, *cher* Felak — uśmiecha się ciepło. — Trudno jest nie być panu za to wdzięcznym... — Waha się, jakby wystrzegając zbyt natarczywej obraźliwości. — Wydaje mi się, że Amerykanie rozumieją to...

Andrzej wie od razu jak zareagować na tę nieznaną mu dotąd, zgryźliwą otwartość: Lavertisse powiedział coś obelżywego i niebezpiecznego z nonszalancją, na jaką nikt z nich nigdy sobie wobec niego nie pozwolił; Andrzej wie jednak, że inwektywa jest tu wyrazem bezsilności, maskuje gniew, że muszą płacić grubo tym, którym nie mają ochoty płacić. Uśmiecha się z wyższością: — Zachód usycha z braku ideologii. Nie potraficie opracować haseł, musicie więc żywić się nadzieją, skleconą z obstrukcji i negacji. Tak, tak, Lavertisse, to przykre, ale z braku zapalającego wyobraźnie i sumienia programu musicie oprzeć się i budować na mojej chęci konsumowania i profitowania...

— Tak, tak — zgadza się chętnie Lavertisse — my wolimy w końcu tych, którzy nie mają trudności. *A propos*, dlaczego Mikołaj Plank nie towarzyszy panu Larbińskiemu do Paryża, wraz ze swoimi filmami? Mówi się o nich, że są rewelacyjne.

— Czy ja wiem? — uśmiecha się Andrzej. — Chyba nie może dostać paszportu.

— Dlaczego?

— Może coś ukradł? Może zmalwersował? On zawsze ma trudności. Dlaczego pan się nim interesuje? Przecież wolicie tych co nie mają trudności.

Kiedy Lavertisse, zagadnięty przez panią domu, wycofuje się dość niezręcznie, Andrzej oklejony jest potem: koszula lepi mu się do pleców, serce bije nierówno, męcząco. Myśli gorączkowo, lecz trzeźwo, że nie ma rady, muszę się porozumieć z Lewinsonem! jakże zdobywać moralny autorytet, gdy każdy może mi bezsensownie ubliżyć za to, że nie szukam zatracającej walki? czy grzechem jest konstruktywny pokój ze wszystkimi? jak uchronić się przed wrogością, wyciągającą zewsząd ręce po człowieka? dlaczego, w końcu, mi na tym zależy, ażeby zbierać żniwo po obu stronach tej rozpadliny poprzez pękniętą na dwoje ludzkość: z jej dna dochodzą brzydkie opary i wonie, każdy ucieka najdalej od tego rozognionego jak blizna przedziału, chroni się w głąb bezpiecznego, raz wybranego miejsca na ziemi. I tylko on, Felak sprawiedliwy, Felak odważny, pochyla się nad przepaścią, przyprowadzając o zawrót głowy, i czegoś szuka. Czego szuka? Przecież nie płaskich zysków. Szuka swojej wielkości, swojego moralnego pomnika, który stanie kiedyś, ozdobiony złotymi zgłoskami pochwał i faworów z obu stron.

I znów Lorant: podchodzi swobodny, łaskawy. — Andrzej — mówi — coś mi się zdaje, że załatwiłem ci ostatecznie ten wyjazd do Ameryki, skąd powrócisz w glorii.

— Ach, to świetnie — mówi Andrzej zdawkowo. — Zawsze wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. — Ani przez chwilę nie wierzy, że Lorant cokolwiek załatwia: prawdopodobnie dowiedział się od kogoś, że wyjazd Andrzeja jest realny i nie omieszkął natychmiast przypisać sobie całej zasługi.

Andrzej myśli teraz o Teresie, czuje przyptyw życiodajnego ciepła. Nawiedza go gwałtowna potrzeba wierności, lojalności, a nawet ofiary, której przyjmującym ołtarzem i celebującym kapłanem byłaby Teresa. Pragnie naraz dać jej wszystko, co ma do dania. Myśli, mój Boże, za czym ja gonię?

Nazajutrz nakręca numer. — A kto mówi? — pyta sekretarka, po czym: — Acha, towarzysza Lewinsona nie ma. — Kiedy będzie? — nie ustępuje Andrzej. — Za godzinę — zapewnia sekretarka.

W dzień później nakręca ten sam numer po raz dwudziesty ósmy. — Towarzysz Lewinson jest akurat zajęty — powtarza sekretarka bez zniecierpliwienia. — Proszę zadzwonić później. — Słuchajcie, towarzyszeko — mówi Andrzej ze słodyczą — to bardzo ważna sprawa. Pragnę się tylko dowiedzieć, czy i kiedy towarzyszy Lewinson zechce mnie przyjąć. — Zatelefonujcie za dwie godziny — mówi sekretarka — postaram się powiedzieć wam coś konkretnego. — W słuchawce słychać dźwięki przypominające popijanie herbaty.

Za dwie godziny: — Towarzysz Lewinson wyszedł. Powiedział, że jedzie w teren. Nie, nie wiem na jak długo. Zadzwonicie w początkach przyszłego tygodnia. — Andrzej odkłada, bierze do ręki książkę telefoniczną, szuka przez chwilę numeru. Po czym: — Maryto? — mówi. — Dzień dobry. Co słychać?

— Andrzej... — w głosie Maryty tłumiona przyjemność. — Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie dajesz znaku życia?

— Nawal zmartwień i niepowodzeń — skarży się Andrzej. — Ale nie przestałem o tobie myśleć. Powiedziałbym, że wspomnienia mnie prześladowają...

— Teraz nie mam czasu na rozmowy. Pełen sklep ludzi. Kiedy wpadniesz?

— Kiedy chcesz?

— Dziś popołudniu. Do mnie.

— Ten sam adres?

— Ten sam. Pa.

Mieszkanie Maryty pełne jest starych mebli o postrzępionych,

kosztownych obiciach. Wysokie dwa pokoje w starej kamienicy: secesyjna fasada, obtłuczone przez grzmoty historii sztukaterie, pompatyczne weneckie okna, za oknami jednopokojowe egzystencje urzędników i wielodzietnych rodzin rzemieślniczych bez przyszłości. W mieszkaniu Maryty empirowe krzeselka wymieszane są ze sprzętami prostego użytku: stołem jadalnym, tapczanami; resztki drogocennych pasów słuckich, portretów rodzinnych i tu-reckich spłowiałych tkanin pokrywają brudnawe, od lat nieodnawiane ściany. Maryta podaje herbatę na starej, wykwintnie po-obijanej porcelanie, srebro wzbudza podziw, na stole jednak poniewiera się włóczka do szydełkowania, zaś przy tapczanie stoi kuchenny taboret zamiast nocnej szafki. — Czemu zawdzięczam twoją wizytę? — pyta Maryta, zaciągając się papierosem.

— Musisz mi pomóc — mówi Andrzej swobodnie.

— Acha — zgadza się Maryta: nie pozwala sobie na zjadliwość, na którą ma na pewno ochotę. W mieszkaniu nie ma nikogo, widać, że intymność została przez Marytę skrupulatnie zorganizowana. — Gdzie są twoje córki? — pyta Andrzej z nadzieją. — Dawno ich nie widziałem. — To dorosłe kobiety — mówi Maryta lekko. — Znikają z domu na całe dni. Co za szczęście, że ich nie ma, wstydziłabym się ci je pokazać. Dopiero przy nich widać, jaka jestem stara.

Andrzej przełyka ślinę. — Wyobraź sobie — mówi szybko — że nie mogę osiągnąć Lewinsona. Dzwonię od dwóch dni bezskutecznie.

— Po co ci Lewinson? Rozmawiałeś z nim przecież niedawno. Wywarłeś na nim dobre wrażenie. Powiedział, że zmieniłeś się na korzyść.

— Co ty powiesz? — rozpromienia się Andrzej. — Cholera, tak go potrzebuję! Jego sekretarka mówi, że wyjechał z Warszawy.

— Zobaczę go dziś wieczorem.

— Widzisz, jak sekretarki kłamią. To ich jedyna kwalifikacja.

Andrzej wstaje, zapala papierosa i zbliża się do okna. Patrzy długo na rojną, zabloconą ulicę. Maryta wstaje, zapala nocną lampkę przy tapczanie, podchodzi do okna i zaciąga ciężkie rolety, cerowane tu i ówdzie. — Więc co mam przekazać Lewinsonowi? — Maryta zbliża się do Andrzeja, który patrzy na nią z wymuszoną sympatią i myśli, że zestarzała się przerażająco. — Nie pocałujesz mnie? — pyta Maryta rzeczowo. — Ależ tak — zgadza się Andrzej pośpiesznie i przechodzi do stołu, by strząsnąć popiół do popielniczki: jest zagnany w matnię, otoczony ze wszech stron.

prawo i lewo? Wszyscy zapominają z niezwykłą łatwością o tym jak jeszcze wczoraj prześladował, zaś pierwszy zapomina on sam.

— Pan ma rację — rzekł nagle z zapalem kociak w przepocynym swetrze. — Ja pana rozumiem. Ten łysy drań bardzo mi się nie podoba. U nas w szkole...

— Ty się nie wtrącaj — rzekł Rybicki. — Gówno rozumiesz. I w ogóle nie wiesz o czym mowa.

— Swoje wiem — obraziła się. — A jak ci się nie podoba to daj mi na taksówkę i jadę do domu. Bogu dzięki mam jeszcze gdzie mieszkać... — Ale nie ruszała się z miejsca czekając na to co powie Mikołaj.

— Wszyscy ci się nie podobają, Nick — westchnął Kostkowski bez sympatii. — I on i Lorant i Larbiński.

— Uhm — przyznał Mikołaj chętnie. — Oni są bogaci, a ja biedny. Proste, nie? Co między nami może być wspólnego?

— Kozacko powiedziane — ucieszyła się dziewczyna.

— Oj, co ty możesz wiedzieć, Nick — jęknął Rybicki. — W końcu każdy ma swój szklany tyłek, który chowa w spodniach, a jak celnie kopniesz, to się od razu stłucze. Co ty o nich wiesz, co ich je? Nie sądz drugich, jesteś dostatecznie przytomny, żeby wiedzieć, że dziś nie wolno sądzić nikogo.

— Przeciwnie, należy sądzić — rzekł Mikołaj. — Namiętnie sądzić innych. Człowiek nie wie jaki jest. Tylko my z zewnątrz, możemy mu o tym powiedzieć. My widzimy dokładnie drugiego człowieka, jego brudne paznokcie i jego brudne czyny. Dostyc mam tych bajek o nieprzekraczalnej samowiedzy, tego zatopienia się każdego łajdaka we własnych niemożnościach i skowytach duszy, tych co krzyczą: „Wara wam od nas! Tylko my wiemy dlaczego jesteśmy kanalie i musimy być kanalie, a wy macie nam wierzyć, że nie może być inaczej!” Patrzmy na ludzi i wyrokujmy o nich, to zbawi świat!

— Tak, tak — zamyśliła się dziewczyna i rzekła do Rybickiego: — Nie mógłbyś mi postawić kieliszka jarzębiaku?

A przecież tylko Mikołaj zna swój żal, ból, wzdargę i bezsilny strach, stojąc naprzeciw przychodni rejonowej. Myśli gorzko, że na starość nie wolno sobą obciążać nikogo: potrzebne jest tylko łóżko i telefon, aby móc wezwać w razie czego pogotowie. To okrutne, aby wymagać takiej rezygnacji od własnej matki, ale jeszcze podlejsze byłoby zabronić sobie o tym myśleć. Na Krakowskim Przedmieściu, o tej porze, znajomi załatwiają swoje sprawy w Związku Literatów, w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w kawiarniach i różnych instytucjach. Kiedyś, przed wojną, Krakowskie Przedmieście było przytulniejsze: tradycyjne zmiany warty przed *Kordegardą*, *café Europa*, Austro-Daimlery, ciepłko lep-

sze go życia i piosenki z wczorajszego wieczoru w Morskim Oku, lecz mimo to (mimo stroje kobiet, czystość w tramwajach, wykwił u Simona i Steckiego) partykularz; dziś każdy poeta idący chandryczyć się do Ministerstwa Kultury nosi w sobie przecięcie dwóch światów i współodpowiedzialność (choć także współobrzydzenie, współnudę i współabnegację) za nowy model życia, nowe stosunki między ludźmi, nowy, aerodynamiczny humanizm. Poeci? Właśnie idzie naprzeciw Mikołaja poeta: wysoki, barczysty, ubrany schludnie i nudnie, z przyszytymi guzikami i wypraną przez żonę koszulą; przypomina zażywnego inżyniera, a nawet uśmiecha się życzliwie (widocznie nie czytał *Teraźniejszości*, co dziwne, gdyż na ogół poeci czytują to pismo z wypiekami na twarzy!). — Szkoda, Nick — mówi — że nie byłeś na wczorajszym zebraniu Sekcji Poezji. Mówili o Eluardzie i współczesnych filiacjach słowa. Bardzo ciekawie. — Ale Mikołaj wie co umyka wzrokowi pocziwego poety: być może nawet, że ten tu oddycha Apollinaire'em i Eliot'em między myciem nóg a śniadaniem z owsianką, w gruncie rzeczy myśli głównie o zarabkowaniu wieczorami autorskimi, swoistym szlachectwie poety; na pewno zaś nie widzi prawdy o zebraniu poetów, kiedy ktoś wstaje i woła: — Kto tu jest poeta? — a drugi wstaje i mówi: — Ja chciałem tylko parę słów w sprawie przydziału mieszkań... — Bądź zdrow, stary — mówi Mikołaj i rozumie, że coś przewartościowało się w losie poetów i że należy im współczuć. Niebawem Mikołaj spotyka na swej drodze postać gustowną: jest to szczupły mężczyzna, nieco chłopiący, ma przeredzone włosy, wypukłe czoło i wyblakłe oczy w drobno krojonej twarzy; rusza się flegmatycznie, uśmiech ma niepewny, lecz zarazem znudzony, ubrany zaś jest w rzeczy drogie, eleganckie i używane na codzień. — Nie mam czasu, Nick — mówi głosem leniwym. — Bardzo się śpieszę. — Ale stoi i patrzy na Mikołaja drwiąco. — Dokąd się śpieszysz? — pyta Mikołaj ubawiony, lecz bez życzliwości.

— Powinienem być teraz w dwóch miejscach naraz — wyjaśnia facet. — Na dwóch zebraniach. Na obu chcę mnie mieć.

— Jakie zebrania?

— Przeciwników Bomby Wodorowej, to jedno. Przyjaciół Artystycznej Deformacji, to drugie. Spełniam w tym społeczeństwie rolę pożyteczną, jak widzisz?

— Widzę — mówi Mikołaj: w beznamiętnej drwinie faceta, w jego obojętnej twarzy odpycha coś i ujmuje zarazem. — Nienawidzisz nędzy i zgryzot, kochasz Paryż, sklepy na Old Bond Street i modne piękno. Dlaczego masz czegoś bronić, skoro możesz reprezentować? Rozumiem doskonale, ciebie, Rybickiego i tylu innych...

— Nie śmieję się ze mnie, Nick — mówi facet. — Przecież jesteśmy starymi, mądrymi ludźmi i wiemy, że nic się już nie da naprawić. Najwyżej można coś zepsuć. Na tym właśnie polega różnica między człowiekiem porządnym a łajdakiem, że przyzwolity nie chce brać udziału w psuciu. Zaś łajdak psuje z zapalem, krzycząc, że naprawia. Nie jest tak, Nick?

Oczywiście, ten tu czytał *Teraźniejszość* i o wypisanych tam świństwach myśli, że nigdy nic nie wiadomo i za nic nigdy głowy dawać nie można; jest jednak wygodnym, a więc taktownym egocentrykiem i nie mówi nic. — Jest tak — powtarza Mikołaj, chociaż wie, że ten tu właśnie wcale nie odmawia udziału w psuciu, ale psuje tak ostrożnie i niechętnie, że sam już stracił poczucie własnej roli i wydaje mu się że odmawia. Dlaczego go rozczarowywać? Mikołaj idzie wśród kościołów i uspołecznionych pałaców, i myśli o bombie wodorowej, z którą tak pomyślnie dla siebie walczy ów otulony w modne beże, zamsze i zgniłe zielenie facet; Mikołaj nie boi się bomby wodorowej, wydaje mu się, że bomby tej można się bać wyłącznie w czymś imieniu: w imieniu ludzkości, w imieniu niewinnych dzieci, w imieniu zwęglonych *in spe* ogrodów cywilizacji. Ale na własny rachunek? Śmierć wszystkich to żadna śmierć, tylko jeśli ktoś ma zostać i jeść jabłka, gdy nas nie będzie, lub palić papierosy i myć głowę szamponem, nie pamiętając, że my byliśmy, wtedy należy się bać. Inaczej ucho od śledzia, nie ma się czego bać, bardziej boję się artykułów w *Teraźniejszości* i wymazywania mnie z istniejącego teraz świata! Zresztą, kto dziś liczy się w zabudowywaniu świata? Co najwyżej specjaliści od klimatyzacji i inżynierowie dźwięku w telewizji, a i ci pozostają bezimienni. Najwspanialsze kobiety ekranu zna najwyżej jedno pokolenie, blask ich olśniewającej kobiecości utrzymuje się co najwyżej przez kilka roczników. I o co tu walczyć?

Mikołaj wkracza z Krakowskiego w Nowy Świat: o tej porze na Nowym Świecie żyją przede wszystkim sklepy, odbywa się w nich groteskowa pogoń za żywnością, nastęrczająca mnóstwo zabawnych kłopotów, które tak bawiły w niemych, hollywoodzkich komediach. Idzie przez Nowy Świat i Plac Trzech Krzyży, po czym wchodzi do kawiarni gdzie przebywają chętnie między sobą różnego rodzaju literaci.

Jest to przestronna sala, poniżej poziomu ulicy, jasna i czysta, ozdobiona książkami; stoliki i krzeselka proste, bufecik oszczędny i kawowy, uśmiechy wokoło skromne i subtelne; obfita pani za błyszczącym i syczącym ekspresem, bezpośrednia i lekko zapuszczona. Siedzą tu tłuści wydawcy o wyglądzie starych kobiet

i stare kobiety, które nie usiłują nawet na nikogo wyglądać, albowiem ich groźne związki z życiem intelektualnym są funkcją schorzeń organicznych. Mikołaj przesuwając się między stolikami, zdawkowymi ukłonami, automatycznymi półuśmiechami; właściwie żałuje, że tu przyszedł, nagi i bezbronny, prosto z łamów *Teraźniejszości*, lecz skoro już jest ma nieodpartą ochotę rozmawiać z kimś: pogawędka południową porą jest dla tych ludzi nagrodą za udreki społecznego przydziału, za nocne słabości i zwątpienia, za napady lęku i trujące zmęczenie, o których nie mają pojęcia elektrycy, kosmetyczki i magazynierzy kolejowi.

— Siadaj — mówi pewien prozaik do przechodzącego Mikołaja, który przefyka ślinę i siada, błagając w duchu, byle by mnie tylko nie pytali co sądzę o artykule w *Teraźniejszości* i co zamierzam z tym robić... Przy stoliku jest dwóch prozaików i krytyk, ten o płaczkowym, dziecinnym podbródkiem. — Dawno cię nie widziałem, Mikołaju — mówi jeden z prozaików ciepło. — Co u ciebie?

— Matka mi choruje — mówi Mikołaj. — W związku z czym bardzo potrzebuję pieniędzy.

— Przy pańskiej łatwości tworzenia — mówi krytyk — powinien pan być najbogatszym człowiekiem w Polsce. — Oczywiście, nie jest to komplement, lecz brutalna złośliwość, a także aluzja do tekstu w *Teraźniejszości*, niemniej, w ramach reguł gry, należy się uśmiechać promiennie, co Mikołaj robi i mówi: — Niestety, nie idzie to w parze z łatwością sprzedawania... — Krytyk jest bojaźliwy (co myśląc o sobie nazywa dobrym wychowaniem), więc uśmiecha się pojednawczo i skwapliwie potakuje. — Gdyby mi pozwolili postawić stragan na bazarze — dodaje Mikołaj — gdzie mógłbym upłynniać własną produkcję, nie martwiłbym się o nic. Jeszcze was wzięłbym na utrzymanie...

— Pieniądze to nie wszystko — wzdycha drugi prozaik. — A może pieniądze to wszystko? — Nie jest w stanie zdecydować się — Chociaż miłość współobywateli, błogosławiący gest matek-gospodyń i rezonans społeczny też są coś warte. — Ten prozaik jest wysoki, niezgrabny, jakby źle złożony do kupy; taki, któremu na każdym krześle jest niewygodnie. Twarz ma wyciosaną z grubsza, choć nie bez namysłu, tak jak robi się rysunki do dziecięcych książeczek o Pinokiu, z komiczną prototą, która nie podoba się maluchom, a cieszy starszych. — Ty, Nick — mówi — jesteś w tej sytuacji, że naród cię chce. I ja cię chcę. Wszyscy cię chcą.

— Tak chcą, że nie mogę im dać — uśmiecha się Mikołaj.

— Dlaczego? — pyta krytyk.

— Niech pan spyta panią Stoll — mówi łagodnie Mikołaj.

— O co? — upiera się krytyk: ta pseudodowcipna indagacja nie wynika z głupkowatości; krytyk wie, co robi.

— Wszystko razem takie okrutne, niskie, niszczące — wzdycha pierwszy prozaik. — Ludzie zgubili gdzieś sens lekkiego, wzajemnego dotyku. Gdzie? Dlaczego? Na jakich rozłogach historii? Czy nigdy już subtelność nie odzyska rangi głównego regulatora stosunków, przynajmniej między najlepszymi z ludzi? — Ten prozaik jest szczupły i wykwintny, o matowej, pielęgnowanej cerze, wargach białych, oczach łagodnych; niegdyś stowarzyszył się z Ludem w przekonaniu, że Lud potraktuje go jako brelok, maskotkę rewolucji, a zarazem jako znak przymierza pomiędzy welinowym pięknem delikatnych nastrojów, a naukowo zorganizowanym przetwórstwem rud metalowych; nie było to jednak takie proste i odtąd, przez długie lata, prozaik miał dyskretne kłopoty z Ludem, chociaż Lud nie miał żadnych kłopotów z prozaikiem. — Nie do wiary — mówi jeszcze — żebyś był w troskach finansowych teraz właśnie, gdy choruje ci matka, Mikołaju.

Mikołaj wyjmuje z kieszeni receptę. — Nie mam nawet za co wykupić tego lekarstwa — mówi, co jest w złym tonie, ale nie może oprzeć się pokusie jakiej doznaje dziesięciolatek lejący teczką po głowie słabszego od siebie, z czystej radości przy wyjściu ze szkoły.

— Nie do wiary — mówi krytyk, zdegustowany. — Przy pana zmyśle podobania się? I co ma z tym wspólnego pani Stoll?

— Ta stara kurwa — mówi prozaik duży i nieskładny — ma ze wszystkim coś wspólnego. Człowiek nie ogarnia nawet umysłem tego, z czym ona ma coś wspólnego.

— Istotnie... pani Stoll — chrząka wyraziście prozaik subtelny, namyślający się zawsze nad epitetem, co mu jeszcze nigdy na złe nie wyszło.

— Jestem przekonany — mówi krytyk — że pani Stoll powiadomiona o sytuacji, znalazłaby natychmiast sposób pomocy. W imię ogólnie pojętej gotowości... — Wie, że każde jego słowo dotrze do pani Stoll, w końcu obaj pluający na nią prozaicy będą za parę godzin, czy dni, obśliniać jej ręce pocałunkami i donosić o jego heroicznej postawie w jej obronie, po to tylko, ażeby zobowiązać jego do nie mówienia o ich bezmyślnych odruchach niechęci. — Zresztą, jako mistrz sensacyjnej rozrywki zawsze da pan sobie radę — konkluduje krytyk.

— Książki o nieszczęściach nędzy w kapitalizmie nazywa pan wielką literaturą — uśmiecha się Mikołaj. — Zaś o nędzy w socjalizmie literaturą sensacyjną. Tam bieda i głód są zagadnieniem moralnym, tu ubóstwo jest problemem obyczajowym.

— Pan może tak myśleć — uśmiecha się krytyk nieszczerze.
— Nie ma pan dzieci, ani obowiązków.

Teraz krytyk czuje, że poszedł nieco za daleko: Mikołaj znany jest z mówienia w oczy rzeczy, których krytyk wolałby nie usłyszeć. Obaj prozaicy milczą smakowicie: krytyk ma łaskotliwą przeszłość, nie obce były mu obskuranckie wypowiedzi na łamach podejrzanych gazetek literackich; ma także parszywą terażniejszość, której łatwo zarzucić wynaturzoną dewocję w różnych kierunkach; a do tego drobnomieszczańską egzystencję, kuchtowaną żonę, kupę dzieci i obowiązków. Jakże łatwo oskarżyć go o nienawistną zawiść, o niską zazdrość. — Nie, nie — zastrzeżę się. — Chodzi mi o pewną jednostronność widzenia, odbierającą moc uogólnień...

Lecz Mikołaj wybacza i nie uderza. — Konflikt pomiędzy pisarzem a krytykiem — mówi pobłaźliwie — płynie dziś z różnicy ich losów. Pisarstwo wynika z bogactwa przeżyć, krytyka zaś z bogactwa lektur. To, co krytyk wie, wie z drugiej ręki, z książek, filmu, teatru, ze ślęczenia na wykładach i nad biurkiem w zamkniętym pokoju. Jedyna dewiacja od normy spokojnego życia, na jaką krytyk może sobie prywatnie pozwolić, to anomalie erotyczne. Nic więc dziwnego, że współczesny krytyk premiuje najchętniej tych, którzy czelują wyłącznie zrodzone w sobie samym impresje, albo małe, seksualne wypaczenia wylęte z zasklepionego bezruchu, albo nie za duże obsesje nadające się do domowego laboratorium rozważań, natomiast gardzi tymi, którzy wysnuli jakieś wnioski z gąszcza życia, pomiata mądrościami żmudnie oczyszczonych faktów. Kudy wam do Sainte-Beuve'a, który wiedział wszystko o pończochach Stendhala.

Krytyk uśmiecha się równie pobłaźliwie: słabość rozumowania Mikołaja daje mu znów poczucie wyższości. — Wie pan — mówi ironicznie — w kulturze europejskiej przyzwyczailiśmy się już do okoliczności, że o ruchu pocisków może mówić i pisać ten kto sam nie strzela. Od tego, by zgłębić prawa ruchu, są nauki teoretyczne, zwane kinetyką, balistyką, dynamiką. To samo dotyczy moralności i jej odwiecznego konfliktu z zagadką bytu, lub przepaścią ludzkiego losu. — Wstaje i mówi: — Zostawię już panów samych, niestety, śpieszę się... A panu, panie Plank, radzę mimo wszystko udać się do pani Stoll. — I odchodzi.

— Co za pluskwa! — rzuca prozaik wystrugany w Pinokia w ślad za uchodzącym krytykiem: nos kaczy i jakby z kartofla marszczy mu się z niesmakiem. Ale Mikołaj wie, że nie wygrał tego pojedynku i czuje się parszywie. — Jest coś hańbiącego w procederze krytyka — pociesza siebie i ich. — Facet żyje z wydawania sądów, o które w gruncie rzeczy nikt go nie prosi.

— Wciska się bezczelnie i natrętnie jak nachalny pośrednik — podejmuje z uciechą prozaik wysoki.

— Dopóki sztuka jest obiektywnie niesprawdzalna — wzdycha prozaik schludny z troską — krytyk pozostanie kłusownikiem. Narzuca, wmawia i wmusza własną opinię ogółowi. Po prostu zakrzykuje gestykując...

Wszyscy trzej podziwiają wzajemnie cierpkość swych sformułowań dzielą się współczuciem jak w rozmowach o dobrze znanej chorobie.

— Co zrobić? Co zrobić? — biada wysoki prozaik. — To co piszesz, Mikołaju, to samo mięso, to jest gęste, pożywne, ludzkie i właśnie dlatego... — Widać jednak, że leje się przez palce i nic nie jest w stanie uczynić, nawet udzielić pociechy, pożyczki, lub rozgrzeszenia: ogarnięty jest zupełną niemożnością i nawet nie chce mu się gryźć palców z rozpacz.

— Mikołaju — mówi prozaik schludny — zawsze uważałem cię za mego ulubionego autora, jednego z dwóch, czy trzech, których czytam... — prozaik duży spuszcza oczy z niesmakiem, strzyże uszami, bawi się zapawkami — ... którego czytają koledzy. Za to się płaci.

Mikołaj myśli, ale wykwintne eseje po czasopismach piszesz o innych... Zastanawia się, dlaczego oni kłamią? dlaczego zmuszają mnie do wiary w siebie, obrzucają pochlebstwami, które wstydzą się ujawnić publicznie; a przecież wiedzą równie dobrze jak ja, że tu wypowiedzane słowa nie liczą się, podczas gdy ich wąty odsiew w druku mogłyby zmienić moje życie; lecz nie ruszą nawet palcem w mojej obronie, oni, napojeni szacunkiem niezgłównie opinii, znikczemiałych krytyków literackich, wymuskanych reporterów o brudnych paznokciach, tych wszystkich, którzy budują samopoczucia... — Ci, którzy mnie rozumieją milczą — mówi Mikołaj znacząco i rumieni się gwałtownie.

— Bo Polakom brak jest odwagi cywilnej — podnosi głos prozaik wysoki. — Znają wyłącznie militarną. Objaw infantylizmu. Ulegają każdej, trochę przemyślniejszej przemocy. Mają wypaczone pojęcie własnego interesu. Gardzą każdym niezależnym sądem, panicznie boją się terroru pogłosek, wołają kombinować i oczerniać, niż dochodzić prawdy i walczyć o nią.

Na salę wchodzi Elżbieta i Larbiński i siadają przy niezbyt odległym stoliku. Mikołaj kłania się poufale, Elżbieta macha mu przyjaźnie dłonią.

— Polak literacki powinien być Polakiem wyłącznie z nosa, koloru oczu, umiłowania słońcy i placków kartoflanych — zaznacza prozaik subtelny. — Jego wielkość i małość tak powinny się mieć do polskości jak... — I nie bardzo wie jak, wobec tego

zapala papierosa, dodając: — Nie powinienem palić, to mi szkodzi.

Mikołaj mówi: — Nie pozostaje nic innego jak przyjąć zasadę pożyteczności osobistej za kanon. Ci są dobrzy, którzy są dla mnie dobrzy, to jest prawdziwe co sam uznaję za prawdziwe, na pohybel innym i reszcie! To niebezpieczne zasady, lecz nie mam wyboru.

— Bo jesteś za honorowy — mówi prozaik nieskładny: krzywi się, jakby żałując, że powiedział to; w gruncie rzeczy jest dobrym, choć zawistnym, człowiekiem i wstydzi się, że Mikołaj słowa jego zrozumieć może jako przytyk do parszywych rewelacji w *Teraźniejszości*, w które prozaik nie wierzy, ale nigdy nic nie wiadomo. — Nie chcesz iść do pani Stoll, ale niestety żyjemy w czasach, kiedy honor jest zepsutym hamulcem przy zdezelowanej lorze. Każdy musi go wyrzucić na śmietnik, każdy, słyszysz? A tylko ty jeden nie chcesz.

Teraz jest jasne jak dalece nie aprobują go, boją się go, nie mu nie mają do dania i Mikołaj dziwi się obłudnie: — Ja? Nie żartuj! Ja honorowy? Co za bzdura! Całe życie marzę o małych, pokątnych porozumieniach, złodziejskich targach, dogadywaniu się na boku. O ustępstwach i uciezkach przed silniejszym i nie dotrzymywaniu słowa. Ale całe życie nachodzi mnie w końcu cholerne przekonanie, że tak nie można, że to nie wypada.

Prozaik nieskładny wstaje: jest jakby niepewny na swych długich, za cienkich, z trudem unoszących korpus nogach. — Głowa mnie boli — mówi. — Chyba już pójdę. — I ja — mówi prozaik subtelny. — Trzymaj się Mikołaju.

Sam przy stoliku Mikołaj myśli, kogo mam się trzymać? Czuje, że budzi równą ilość niechęci jak współczucia; ludzi drażni, że są zupełnie niewinni jego nieszczęść, a mają przy tym nieczyste sumienia; nie mogą na siebie przyjąć żadnej odpowiedzialności i trochę już ich nudzi swymi bezkompromisowymi klęskami: unikają jego spojrzenia, uśmiechają się krzywo, nie patrzą mu w oczy. No bo jak tu wytłumaczyć, że artykuł w *Teraźniejszości* jest krzywdą i kłamstwem i bzdurą naraz? Czuje się śmiesznym, splugawionym Hiobem. Dziś, kiedy już bez ryzyka można o ptaszkach i o harfach i o seledynowym śniegu i o tym, że dusza boli bez diagnozy, to wystarczy do powodzenia, zarobków, szacunku i uznania, on ciągle jest trędowaty i zapowietrzony i gnojony i wyrzucany, aż nudno, aż ludzi denerwuje, no bo i co w tym interesującego? Jest błędem w rachunku, na który lepiej nie zwracać uwagi, tak jak nie koryguje się cwanego kelnera co to pomylił się tylko trochę, nie za dużo, w sam raz tyle, aby dać poczuć się oszukanemu wspaniałomyślnym. Jest zgrzytem w słodkiej pa-

planinie o życiu i o ciągle nowych wyjazdach do Florencji i Wiednia za państwowe pieniądze, nie pozwala im się spokojnie uśmiechać, ani śmiać się, ani po cichu wyśmiewać. Nie ma zwyczajstw codziennego heroizmu, można co najwyżej pluć na portrety wszechmocnych władców, lecz to nic nie daje.

Widzi Elżbietę, pogrążoną w zdawkowej rozmowie pełnej powściągliwych uśmiechów. Przy tym Elżbieta nie spuszcza go z oka i Mikołaj zastanawia się czy ona spała z Larbińskim, śpi, czy będzie spała, a jeśli tak to dlaczego, skoro Larbiński jest niewątpliwie wszą, zaś Elżbieta niczego od niego nie potrzebuje. W końcu nikt tego nie wie i wiedzieć nie będzie, ani Andrzej, ani on: Elżbieta uśmiecha się zawsze jednakowo i chociaż obaj wiedzą, że za tym uśmiechem nie ma nic, to nie przestają się dręczyć, że może być za nim coś, i ta wieczna niepewność jest w równej mierze gnojem, jak solą na chlebie, jak wonnym płatkim róży, zależnie od okoliczności. Powtarzała Mikołajowi wielokrotnie, że zawsze łatwiej wytłumaczyć się z nieprawdy, niż z prawdy, a nie jak utrzymują różni francuscy aforyści, lekko skretynieli z przerafinowania. Myśli więc z wesołą czułością, ty kurwo... bo w gruncie rzeczy Elżbieta jest dziś jedynym jego bogactwem. To w niej zakwita jak świeży, zielony, listny pęd w życiodajnym, mocnym drzewie, jeśli nawet misterium zakwitania dokonuje się wśród żartów, w pokoju Kostkowskiego, woniąjącym skarpetkami i brylantyną. Jedynie to zakwitanie nie jest dziś w jego życiu jałmużną, bierze je sobie sam: pamiętał, kilka lat temu zima była tak surowa, że przebycie Placu Teatralnego wieczorem przypominało cierpienia Scotta na Antarktydzie, zaś on uganiał się po Warszawie w deszczowym płaszczu burberry; nie pomagał gruby, dekoracyjny szal i Mikołaj ginął z zimna, albowiem nie miał pieniędzy na płaszcz zimowy. Był samotny i przekonany o bezcelowości istnienia, mimo, że Krystyna szukała go godzinami po mieście, zaś pomysły i ostrość widzenia przepływającego obok świata buzowały w nim dotkliwiej niż kiedykolwiek, dławiąc go poczuciem własnej wartości, a tym samym mnożąc w nieskończoność poczucie bezsensu. Wtedy więc (nie ważne w jakiej sytuacji) spotkał dziewczynę, której zacinające się słowa, przyciszone skrępowaniem, brzmiały: — Oczywiście, że pana znam. Z widzenia. Zawsze marzyłam, żeby pana poznać. — To smakowało jak woda na pustyni i Mikołaj zachwyił się sam sobą, resztką swej świetności, strzępem purpurowego płaszcza sławy; zaś fakt, że dziewczyna była pospolitą dawajką, pracującą na odwieczny numer z pończochami wśród mężczyzn poznanych w hallach hotelowych („Ach, co za pech! Puściło mi cholerne oko podczas tej ostatniej samby! Cała para na nic! Takie

drogie pończochy...”; „Pani pozwoli, tu jest dwieście złotych, ależ nie ma o czym mówić, to moja wina, tańczyło się rozkosznie...”; „To ja chyba na parę chwil do toalety... Przepraszam...”; płaszcz z szatni i chodu, zysk dzienny circa dwieście złotych, odliczając koszta na autobusy) wzmagął smakowitość zadowolenia: to dobrze, że półkurwia warszawskie na jego widok wzdychają sentymentalnie za tym co lepsze, czego nie umieją nazwać, a szanują jak dawno wyrzuconą z serca tkliwość. Postawił jej dwa kieliszki wódki, na więcej nie miał pieniędzy, cały wieczór palił kupione przez nią u szatniarza Kenty; w jej pokoju na Pradze, nieoczekiwanie czystym (życie intelektualne pod postacią tygodników filmowych) poczuł bezmiar upodlenia w jaki zapadł. Przecież ona leciała na jego chwałę, o której nie wiedziała, że jest byłą chwałą; jej opłaca się dołożyć do tego interesu paczkę Kentów byle by pobyć z nim, w cherlawym blasku jego wyleniałej znakomitości, ona nie czuła jak dalece był już wrakiem. Przespać się z nazwiskiem, oto o co jej chodziło, może nawet nie chwaliłaby się tym w drugorzędnych barach, ani na solarium na pływalni Legii, ale on poczuł naraz wstrętny smutek i mając do wyboru całonocne brylowanie oszukańczą świetnością, albo sromotną ucieczkę, wybrał to drugie. Upadek dnia dzisiejszego jest głębszy niż wtedy. A wybór? Mikołaj myśli o wizycie u pani Stoll, oczywiście, trzeba się w końcu na to zdecydować. Wstaje, uśmiecha się przyjacielsko do Elżbiety i wychodzi z kawiarni.

Stoi przez chwilę na ulicy wtulając ręce w kieszenie jakby mu było zimno: pogoda jest słoneczna i sucha; przechodzące kobiety omiatają go wzrokiem, w którym nie ma nic, jak przysięgłaby każda z nich. Naprzeciwko jest bar, Mikołaj czuje pożądlive ssanie w krtani, wyjmuje z kieszeni trochę bilonu; łaskotliwość w przełyku jest silniejszą od głodu. Kupuje w kiosku paczkę najtańszych papierosów i wchodzi do baru: przy bufecie prosi o setkę wódki i szklankę czystej wody. Wypija i wychodzi, obracając w kieszeni grosze reszty.

Na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, w pępku Warszawy, tęsknoty geograficzne wydają mu się tu nieporozumieniem: ten skrawek przestrzeni zapadł w jego duszę jak orany przez całe życie spłachetek ziemi chłopca: obmierzy zimą, gdy tłumy rozgorzconych kłębią się czarno na przystankach tramwajowych, pchają się i nie znoszą wzajemnie; nuda i jałowość wieją tu w letnie wieczory: puste sklepy, zakurzone wystawy, nie ma do czego dążyć, nic nie kusi; ale teraz słońce świeci, Mikołaj opiera się o łańcuchy krawężnika i spogląda na potężną budowlę usianą oknami: nie czuje do tych okien mściwej urazy, myśl o buncie wydaje mu się paradoksalna. Myśli, ja? ja miałbym coś

przeciw? skądże znowu? czuję się drobiną, pyłem wobec gigantycznego odkurzacza, który może mnie wchłonąć i wydalić gdzie bądź! Przysiada na łańcuchach, trochę się nawet huśta bacząc na milicjantów ze służby ruchu czy nie przyjdą go zgonić. Przymyka jedno oko, unosi kciuk i mierzy, jak architekt, lub geodeta. — Czyżby miał jakieś zamiary względem tego budynku? — słyszy za sobą zgrzytliwy, powolny głos. — Kupno? Sprzedaż? Rekonstrukcja? Akt terroru?

Mikołaj odwraca się: nad sobą ma zmiętą twarz autora wierszyków dla dzieci, długawą, przeżartą alkoholem i rozpustą. — Jak się masz? — mówi Mikołaj pogodnie.

— A może zamierzasz odwiedzić Lewinsona?

— Właśnie! — Mikołaj opuszcza łańcuchy. — Skąd to wiesz? Lewinson na mnie czeka.

— Wiedziałem, że w końcu i ty się tam poczołgasz — uśmiecha się bajkopisarz: ubrany jest schludnie, jak każdy *playboy* warszawski, opuszczający swą łazienkę po hejnale mariackim; pociera długo świeżo goloną twarz z góry na dół i znów do góry.

— I kto mnie oskarża? — wzdycha Mikołaj bez urazy. — Ty, który podejmujesz się wmówić dzieciom wszystko za co ci tylko zapłacą? Nawet sodomie, pod pozorem budzenia w maluchach życzliwości dla zwierząt.

— To ja — zgadza się bez oporu zmięta twarz. — Ale ty, taki nieskazitelny, ty do Canossy? Nick, co za sensacja!

— Namawiałeś mnie do tego parę tygodni temu. W *Bristolu*. Żebym poszedł do Lewinsona.

— Namawiałem, ale przez chwilę nie wierzyłem, że to zrobisz. Ty i podlizywanie się władcom? Czego ja dożyłem!

— I kto to mówi? — uśmiecha się Mikołaj. — Czy w ogóle istnieją granice obłudy?

— Chodź, odprowadzę cię do samego wejścia... — Oczywiście, nie może zrezygnować z okazji do niekończących się dykteryjek o historycznej scenie, kiedy Mikołaj Plank wkraczał do białego gmachu o tysiącu oknach. Mikołaj myśli, ubawiony, to ci heca! skąd przyszedł mi do głowy ten cały Lewinson? Ale nie może się już cofnąć, jak grać to do końca. Żegna się z autorem ilustrowanych opowiadań o traktorzystce Kasi (która zawsze spełnia obowiązki obywatelskie z piosnką na ustach) i wchodzi do gmachu. Początkowo kręci się niepewnie po westybulu: jest tu cicho i trochę odświeżenie, jak wszędzie gdzie powietrze pełne jest trosk oczekujących na przepustki petentów. Mikołaj myśli, że to czysty obłęd, co ja tu robię? zupełny surrealizm! Chce wyjść, lecz boi się, że ten zdegenerowany Andersen stoi jeszcze i czeka aby przekonać się, czy gest Mikołaja nie jest

zwykłym wyglupem. Spoza szyby patrzą na niego pytająco bystre oczy funkcjonariuszy: nie ma rady, trzeba podejść, zapytać się o coś. — Wy do kogo? — pada przez wycięte w szybie kółko. — Do pana Lewinsona — mówi Mikołaj.

— Czy towarzysz Lewinson czeka na was? — Mikołaj wzrusza bezradnie ramionami. — Tu dla was przepustki nie ma — mówi głos zza szyby. — Zadzwońcie na górę po przepustkę. Wewnętrzny trzysta dwa. — Mikołaj wchodzi do kabiny telefonicznej i myśli, ale draka! co mi to szkodzi? zadzwonię, i tak mnie nie przyjmie. Nakręca numer, głos sekretarki, pyta: — Czy jest pan Lewinson? — A kto mówi? — interesuje się opryskliwie sekretarka. — I o co chodzi? — Chciałbym... — bąka Mikołaj. — Moje nazwisko jest Plank... Mikołaj Plank. — Proszę zaczekać — sekretarka wyłącza się, po czym znów: — A w jakiej sprawie? — Telefonuję z hallu na dole — mówi Mikołaj z wahaniem — myślałem, że może... — Proszę zaczekać — mówi sekretarka, a Mikołaj myśli, co za numer? nie do wiary! — Zaraz przetelefonuję, żeby panu wystawili przepustkę — odzywa się sekretarka.

Z przepustką w ręku idzie przez niekończące się korytarze, przebywa ciche, surowe dziedzińce pełne posłusznych samochodów, jedzie w górę doskonale funkcjonującymi windami i znów kroczy tłumiącym kroki chodnikiem, wzdłuż milczących szeregów białych drzwi, znaczących poszczególnie komórki mózgowe nieukończenie złożonej świadomości. Mikołaj myśli z niechęcią, co sprawia, że człowiek, do którego idę jest tak wyniesiony i oddzielony, że nie wolno mi zbliżyć się do niego bez pozwolenia, otrzeć się o niego bez przepustki, odnaleźć go w tym labiryncie bez drogowskazów? przecież jest kapustojadem, na pewno bolą go czasem nogi i rano czuje gorzki smak niedospania w ustach, jak ja... Puka do właściwych drzwi i zauważa nieukrywane zainteresowanie z jakim ogląda go sekretarka. — Proszę, niech pan wejdzie — mówi. — Towarzysz Lewinson czeka na pana.

Na spotkanie Mikołaja podnosi się zza biurka mały, czarniawy człowiek. — Proszę, niech pan siada — mówi Lewinson. — Czym mogę panu służyć? — co brzmi ironicznie, i Lewinson koryguje: — Co pana do mnie sprowadza?

— Właściwie nic konkretnego — bąka Mikołaj.

— Zadziwiająco — uśmiecha się Lewinson. — Wszyscy co tu przychodzą bulgoczą aż do nadmiaru spraw do załatwienia.

— O, nic takiego — zapewnia Mikołaj. — Przechodziłem tędy i pomyślałem sobie, że nie znamy się osobiście i że najwyższy czas się poznać.

— Jakże miło — mówi Lewinson rozbawiony, acz nieco

podejrzliwy: obawia się złośliwego podtekstu, głos jego znów nachodzi ironią: — Nareszcie ktoś bezinteresowny, uprawiający dawno zapomnianą sztukę taktownego rozszerzania kręgu znajomych.

— Pan był tak miły — Mikołaj mówi uprzejmie, bez dwuznaczności — i nie czynił żadnych przeszkód.

— I niczego panu nie trzeba? Może ma pan trudności z paszportem zagranicznym? — podsuwa Lewinson żartobliwie, lecz oczy zachowuje czujne. — Może zależy panu...

Mikołaj przerywa: — Zapewniam pana, że o nic mi nie chodzi... — kładąc rękę na sercu gestem żarliwego sprzedawcy. — Ja nigdzie nie chcę jechać. Ja chcę tu...

— Co pan chce tu?

— Ba... żebym wiedział jak to najkrócej powiedzieć? Chcę coś z siebie dać... — To brzmi podejrzenie kpiąco, o czym Mikołaj wie; błędzi wzrokiem po tym nudnym pokoju, czuje jak rumieni się, poci, spodnie kleją mu się do pośladków, w ogóle jest mu cholernie niewygodnie i najchętniej by sobie już poszedł, tylko nie wie jak to zrobić.

— To mnie nie dziwi — mówi Lewinson z przekąsem. — Polski artysta może naprawdę tylko tu. Zaś ja nigdy nie żywiłem wątpliwości jakim jest pan artystą.

— Są tacy, którzy wątpią, czy jestem nim w ogóle — bąka Mikołaj mimochodem i nagle wraca mu pewność siebie. — Ale — dodaje — mnie nikt stąd nie wypędzi.

— Czy naprawdę przypuszcza pan, że ktoś chciałby pana stąd wypędzać?

— Przypuszczam. Cieszono by się z mojej kapitulacji.

— Co nazywa pan kapitulacją?

— Ucieczkę.

Lewinson milczy chwilę. — Nie wyobrażam sobie pana gdzie indziej jak tu, w tym kraju, który odbudowaliśmy — mówi trochę sztucznie.

— My, to znaczy kto?

— My, lewica społeczna.

— Wie pan — uśmiecha się Mikołaj — że teraz, po szesnastu latach, już trochę nie pamiętam kto odbudował Most Poniatowskiego i komu trzeba być za to wdzięcznym. Jest i tyle. Jedni się na nim całują wieczorem, inni skaczą z niego w celach samobójczych, jeszcze inni powodują na nim katastrofy samochodowe.

Teraz Lewinson przypomina sobie, że donoszono mu o zamiarze ucieczki Planka na Zachód: informacje docierały głównie ze środowisk filmowych; przesuwiają mu się w pamięci nazwiska

Larbińskiego i Felaka, jakoś związane z tymi pogłoskami. — Proszę mnie źle nie rozumieć — mówi pojednawczo. — Przysłuchiwałem się kiedyś rozmowie o panu, zresztą prywatnej. Wskazywano w niej na pańską rzekomo ciężką sytuację. Pojmuje pan, że opinie takie rodzą rozmaite sugestie, podtrzymywane zresztą długo przez plotkarzy.

Mikołaj wdzięczny jest Lewinsonowi, że taktownie przeszedł nad donosem w *Teraźniejszości* i odciął się od insynuacji. Zamyśla się: niedawno siedział z Elżbietą i Andrzejem u Hojdy na herbacie i Andrzej mówił o Lewinsonie plugawie: o jego cherlawym wroście, o złośliwości charakteru, o kręconych włosach i krzywym nosie; z opowieści Andrzeja wynikało jednak, że Lewinson oddał mu jakąś przysługę; Mikołaj zmarszczył się wymownie na tę manifestację niewdzięczności, na co Elżbieta: — Ależ on żartuje... — o Andrzeju, po czym dodała (gdy Andrzej i Hojda znaleźli się w drugim pokoju): — Nie trzeba o tym nikomu mówić, Nick. O tym, co mówił Andrzej. Ktoś źle zrozumie i poczuje się urażony... — Na przykład Lewinson, co? — zauważył Mikołaj. — Andrzej wcale tak nie myśli — broniła Elżbieta słabo — ja go znam... — To dlaczego pyskuje, bluzga, plwa? — uśmiechnął się Mikołaj. — Wiesz — uśmiechnęła się po swojemu Elżbieta — dziś wszyscy bluzgają i plwają. Nie można się wyróżniać przez niesolidaryzowanie się z plwającymi? — Ten uśmiech zdejmował z niej odpowiedzialność. Czyżby zatem Andrzej doszedł do wniosku, że należy przygotować Lewinsona do ewentualnej rozmowy z Mikołajem w której Mikołaj mógłby powtórzyć to, co wówczas słyszał? Mikołaj przypomina sobie także, że zaraz po powrocie z Hojdą do pokoju Andrzej powiedział: — Czego ty się tu jeszcze marnujesz, Nick? Dlaczego nie przyśniesz wreszcie tam, gdzie mógłbyś robić bez przeszkód filmy? — A więc kto? Andrzej? Hojda? Elżbieta? I co ich do tego skłania, czy zmusza? — To męczące — wzdycha Mikołaj, lecz nie precyzuje co go męczy i Lewinson zaskoczony jest zagadkowością tej reakcji.

Przez chwilę milczą, po czym Lewinson: — Słyszałem, że miał pan ostatnio trudności na komisji scenariuszowej?

— Nie ma o czym mówić. Już o tym zapomniałem. Mam zamiar napisać sztukę teatralną. Jak pan sądzi, czy warto?

— Oczywiście. A o czym?

— O pewnym wynalazcy. Wynalazek, którego dokonał, jest niezmiernie prosty, ułatwia normalnemu, zdrowemu człowiekowi poruszanie kończynami i oddychanie. Lecz wynalazca musi zginąć, gdyż współczesna organizacja życia uznaje funkcje proste za wrogie i postuluje ich unicestwienie. Oczywiście, znajdują się

potężni i elokwentni rzecznicy komplikacji istnienia, którzy za przywilej potajemnego uprawiania życiodajnej prostoty głoszą jej antyludzką treść i walczą na śmierć i życie z wynalazcą.

Lewinson uśmiecha się; myśli, że warto jest zużyć całą resztę potęgi, która mu jeszcze została w świecie jałowych dyspozycji, by doprowadzić do wystawienia tej sztuki. Wie, że tysiące zakulisowych rąk i warg, skrzywionych w mrokach obmowy, zażąda jego skalpu gdyby do tego doprowadził; że zostanie skazany przez kapturowe sądy w dwupokojowych mieszkaniach z kuchnią, że skończą go kąśliwe aluzyjki na zamkniętych wielogodzinnych konferencjach. Ale ta sztuka to wyrok, wyrok na Felaków i tych wszystkich, którymi tyle lat gardzi. Jakże nęci przyłożenie ręki do wykonania wyroku! Lewinson jest chory na serce, wie, że powinien unikać angażowania się w pogardę i nienawiść, lecz jak wspaniale byłoby zawalczyć raz jeszcze, wraz z tym człowiekiem, ręka w rękę, o to co już nie mieści się w subtelnych nakazach ideologii, o to, czego nie przewidziały mądre księgi, mimo, że wydrążyły przyszłość na stulecia naprzód i aż do końca. W myśl jakiej logiki musi całe swe życie nagradzać kanalie, a karać tych, którzy mają rację? — Nie chcę powtarzać truizmów — mówi — ale, widzi pan, budujemy nowe społeczeństwo. Wykuwają się nowe więzy społeczne... — Trudno zorientować się, jaki jest procent ochronnej kpiny w głosie i spojrzeniu Lewinsona i jak wyglądałaby ta rozmowa w całkiem innym miejscu.

Lecz Mikołaj nie ma zamiaru niczego ułatwiać, ani sobie, ani jemu. — To mnie nie bawi — mówi twardo. — Póki społeczeństwo nagradzać będzie kłamstwo, spryt, upodlenie, nie będzie ani nowe, ani godne szacunku. Zmiana trybów klasowych nic nie znaczy, jak się okazuje. To społeczeństwo stanie się nowe, które wyeliminuje ze swej praktyki premię za szmatliwość, za hasło: „Tak już jest i nie można inaczej...”

Lewinson uśmiecha się i myśli, jakie to piękne! są jeszcze na świecie tacy co wierzą! jeden nawet siedzi przede mną... Mówi: — Czy nie sądzi pan, że hasło to więcej ma wspólnego z naturą ludzką niż z więzami społecznymi? Czy pan nie powinien bardziej zachwycać się bezbrzeżnymi perspektywami upadków ludzkich, niż nimi gardzić?

Mikołaj mówi i myśli zupełnie coś innego niż mówił prozai-kom i krytykowi półtorej godziny temu, więc zaczyna odwrót nie zaprzestając walki. — Kapitalizm — mówi — premiował wstrętne cechy w człowieku, jak cynizm, spryt, bezwzględność, chciwość brak skrupułów. Jednocześnie nagradzał pracowitość. Konia z rzędem temu kto dowiedzie, że w naszym społeczeństwie czeka gość cokolwiek, prócz rozczarowań, za pracowitość...

stoi tam karafka wypełniona do połowy. — Co to? — pyta Mikołaj z entuzjazmem. — Poczęstuj się — mówi pan Edek bez entuzjazmu. — Taka nalewka domowej roboty. — Nie chcę ci zabierać tej resztki — mówi Mikołaj skromnie. — Potem powiesz, że przychodzę i rabuję ci zawartość kredensu. — No, wiesz? — uśmiecha się pan Edek niezszczerze. — Taka kropelka... Zupełnie zapomniałem, że mam w domu wódkę. — Mikołaj nalewa kieliszek i przechyla głowę do tyłu: bajeczny, czarowny smak wypełnia mu przestrzeń pomiędzy podniebieniem a gardłem, rozlewa się upragnioną plamą w świadomości. Bierze karafkę z wódką, kieliszek i wędruje na tapczan. — Pozwolisz? — pyta kokieteryjnie. — Ależ, Nick... — bije się w piersi pan Edek. — Przecież wiesz jak lubię kiedy jesteś u mnie? — Oliwkowa twarz pana Edka jest boiskiem sprzecznych uczuć, jego smoliste oczy drgają nerwowo i nie wiadomo czy chętniej nie zaprawiłby Mikołaja bykiem w szczękę, czy kocha go ponad życie i uważa jego obecność za ósmy cud świat. — Wiesz — mówi Mikołaj — mam pomysł na nowelę. Wyobraź sobie faceta na zabawie sylwestrowej, którego sceptycyzm i cwaniactwo wstrzymywały zawsze od puszczenia cugli. Ale dziś bawi się, tej nocy wszystko jest dla niego czarem istnienia, skoczną muzyką i szczęściem. Ma przy sobie dziewczynę, której każdy zakątek ciała i grymas twarzy są źródłem radosnych upojeń. Facet żyje, czuje smak wypukłych kształtów i urzekających zapachów. Po czym wychodzi, przeziębiam się i zapada na zdrowiu. Choruje całymi miesiącami, latami. Spotniała niemocą, potwornym kaszlem płaci za te kilka chwil roztopienia się w kolorach i woniach...

— I co dalej? — pyta pan Edek: siedzi na krześle przed otwartą walizką, zasłuchany. Mikołaj wie, że dla takiego zasłuchania pan Edek wybaczy mu. — Nie wiem — mówi ze zniechęceniem. — Właściwie nic dalej. Pojęcia nie mam co może być dalej...

— Nick — mówi pan Edek — kiedy ty zaczniesz zarabiać pieniądze?

Mikołaj myśli, kiedy będę mógł kupić lekarstwa mojej matce?
— Musimy już iść — mówi pan Edek.

Mikołaj wypija jeszcze dwie wódki, popija piwem i wie już, że nie ma z czym walczyć, ani kogo błagać o zrozumienie. Nalewa przeto resztkę płynu z karafki i wypija ze smakiem.

Zapada przyjazny mrok i pan Edek zatrzymuje łebka przed *Delikatesami*. Wysiadają przed dworcem, po czym pan Edek kupuje Mikołajowi peronówkę. Perony zasnuwane są dymem, ludzie tłoczą się przed wagonami, jest jeszcze trochę czasu, więc pan

Edek umieszcza walizkę w przedziale i wychodzi na peron do stojącego bez celu Mikołaja. — Co ja tutaj robię? — zastanawia się Mikołaj. — W domu tyle roboty...

— Ty, Nick — pyta pan Edek bez specjalnego zainteresowania — dlaczego tak nienawidzisz tych Hryniewiczów, Lorantów, Larbińskich?

Mikołaj zapala papierosa, pod czaszką czuje sympatyczny szmer. — Co oni znaczą? — mówi bez gniewu. — Dla kogo oni coś znaczą? Czy ich egzystencja i ich sukcesy wnoszą coś nowego między ludzi? Co dobrego wynikło z tego, że są? Czy pomogli komuś, ujęli się za kimś, obronili traktowanego? Czy stanęli kiedyś po stronie słabszego? Czy uwierzyli w coś w imię czego trzeba było niszczyć z bólem i rozpaczą w sercu? Książki Hryniewicza i filmy Larbińskiego przypadną w płytkim dole najbliższych lat: czy warto było być nikczemnym dla tych książek? O Lorancie zapomniał się wraz z jego przejściem na emeryturę, czy warto było dla tego giąć się i płaszczyć przed głupszymi od siebie? Nie pozostanie po nich nic prócz zgorzenia, płynącego z faktu, że raz jeszcze zatriumfowała obłuda, służalczość, podłość. Oddali się w pacht niewierze, to wszystko.

— Wiesz — mówi pan Edek sceptycznie — ale trochę zmiękczyli tę nie do wytrzymania władzę. No i można było przy nich zarobić. Na mnie już czas, bądź zdrow i dziękuję za towarzysstwo.

Wsiada do wagonu. Mikołaj schodzi z peronu i snuje się po poczekalniach i restauracji. Uwielbia dworce i poczty, wielkie hale z okienkami, gdzie ludzie stoją i załatwiają. Myśli: odejść z walizką w głuchą noc, w podróż, w pustynię ludzkiej obojętności, w niezmierzone stepy braku przynależności, w pusty ocean miejsc publicznych, nocnych miast, dworcowych bufetów, gdzie czują się jak żeglarz, czy traper w dżungli, pogodzony z beznamietną nieżyczliwością natury; kiedyś pójdę daleko i rozpląnę się w kamiennej przestrzeni, nawet sam się nie dowiem, co się ze mną stało...

V.

Właśnie odbywa się pogrzeb starego Felaka i Mikołaj rozważa jak przyjemnie jest wtulić głowę w odchyloną kurtkę i poczuć woń własnego ciała: nie jest to zapach, któremu można przyznać jakąś obiektywną wartość, ale ma w sobie coś krzepiącego. Odzież przesiąkła tym zapachem budzi poczucie swojskości, które tu, na cmentarzu, staje cennym schronieniem. Wy-

chodząc z wanny Mikołaj bada ostatnio mięśnie ud, wiązania bioder, elastyczność ramion: ciągle jeszcze nie ma powodów do strachu, ani do zgryźliwej zadumy, mimo, że spojenia te nie należą już do wytoczonego ze sprężynującej stali młodego hokeisty, lecz do zmęczonego człowieka w średnim wieku, świadomego swych upadków i swych wyziewów. Idą ścieżką między grobami, pogoda jest piękna, pachnie wiosenną ziemią i peryferiami Warszawy. Mikołaj lubił starego Felaka, myśli, że lubi go nadal i że ciężko mu będzie teraz lubić go w czasie przeszłym.

Andrzej myśli, że ojciec umarł na serce, co jest dolegliwością dziedziczną. Zauważył, że niepomyślne wiadomości powodują nieznaną mu do niedawna czczość między sercem, a żołądkiem: świadomość zgryzoty czy niepokoju przeistacza się w lekkie dławienie, a potem w kłucie w okolicy lewej piersi, jeszcze później w przykre uwieranie lewego boku. Michalina doniosła mu o niezrozumiałych kombinacjach wydziału personalnego *Prasy*, o dziwnych zatarciach w naoliwionej rutynie spraw paszportowych, o nieznanym dotąd przeciąganiu się tak prostych aktów jak podpis tego czy innego dyrektora, co niegdyś załatwiało się na transporterze sprawy przychylnie traktowanej: po takich informacjach serce Andrzeja nabrało obcego dotąd zwyczaju jakby nierównomiernego bicia, wypełniało całą jego osobą. Andrzej odczuwa obawę: piękne, czyste powietrze nad cmentarzem staje się naraz kompresem niewypowiedzianej męki. Myśli, czy mam prawo do litości? z czyjej strony? Przez parę chwil boi się panicznie śmierci z jakże głupiego, paralizującego powodu: nie wie, co uczynił dla ludzi i czy w ogóle cokolwiek dla nich uczynił? Jak nigdy dotąd pożąda własnej ceny moralnej, autorytetu, czystego, bezinteresownego uznania. A przecież jest szanowanym członkiem swej społeczności, ojcem Pawła, głową rodziny: czyżby wartości te przestały naraz coś znaczyć? Andrzej myśli, ohyda! śmierć jest brudną sprawą, z wspaniale zorganizowanej materii zostaje kawał śmiecia już niebawem rozlającego w błocie, przezartego niezrozumiałą vegetacją ziemi; i już nigdy nie przestaje być śmieciem, na całą wieczność! tylko żywy człowiek zawiera w sobie możliwość, aby stać się czymkolwiek poza próchnem i ochłapem! W tej chwili czuje właśnie ukłucie w sercu, ale stara się je zbagatelizować, po prostu prowadzi niehigieniczny tryb życia, nic tylko praca, Teresa, restauracje i nocne lokale. Śmierć zamienia niemożliwość w oczywistość: to co wczoraj zdawało się niemożliwością staje się coraz bardziej oczywiste, anulując wszelką pociechę. Po drugiej stronie ścieżki między grobami widzi Stefanię w czarnej chustce na głowie: spostrzeżeniu jej towarzyszy znów bicie serca, parszywie przyspieszone jak nigdy dotąd. Myśli o so-

bie z rzewnym westchnieniem, czy ktoś ma równie ciężkie życie? Przed paru dniami zjawiała się Stefania ponownie, przybita, o oczach zapuchniętych z niezmordowanej walki ze złem upostaciowanym w urzędnikach skarbowych. Właściwie nie liczył już drobnych kwot wpłacanych Stefanii od czasu pierwszych komplikacji: ciągle jeszcze opłacało się składać te haracze. Ale tym razem Stefania powiedziała: — Niech pan sobie wyobrazi, jakie nieszczęście! Pamięta pan jak Irkę wrobili w to manko? No, opowiadałam panu? — Andrzej przypomniał sobie z pewnym trudem, zaś Stefania mówiła: — Potem wykryło się, że Irka była zupełnie niewinna i zwrócili jej honor. I niech pan pomyśli jak oni potrafią człowieka zeszmacić i zgnoić aż do końca, jak wszystko pozbierają i łajdacko ze sobą powiążą na zgubę biednych ludzi, tak, że nawet bronić się nie można. Już, już mieliśmy dostać mieszkanie i przeprowadzić się z tej przeklętej nory, to teraz powiedzieli Irce, że ja mam jakieś mętne kombinacje z urzędem skarbowym na sumieniu i że wobec tego to manko trzeba zbadać na nowo, bo niedaleko pada jabłko od jabłoni i taka córka jaka matka, i z mieszkania nici aż do rozstrzygnięcia sprawy, za kwartał, czy Bóg wie kiedy. No i niech pan powie, co ja mam za mętne kombinacje z urzędem skarbowym? Zapłaciliśmy, nie handlowaliśmy, wszystko w porządku wobec Boga i ludzi... — Andrzej przełknął gorzką ślinę i zaraz poczuł wstrętne ukłucie w sercu; pomyślał przy tym, naczynia wieńcowe, to lepiej czy gorzej? Sprawa Stefanii wydawała się jednak klarowną wobec zagadkowych nieszczęść spadających na pana Torfmana: ten bezbronny skrawek człowieka został po prostu aresztowany i Stefania przybiegła zapłakana z tą nowiną. Wymogła na Andrzeju, że poszedł na dzielnicową komendę milicji skręcając się z zażenowania i nie potrafiąc wyjaśnić dlaczego występuje w roli protektora przestępcy gospodarczego; nieśmiało spytał oficera milicji, dlaczego Torfman został aresztowany.

— Jak my się za kogoś weźmiemy — odparł oficer, raczej wymijająco — to coś się u niego znajdzie, nawet żeby dopiero co wyszedł z łona matki. Że wyszedł złą drogą, chociażby — zażartował, bo wiedział kto to jest Felak i sądził, że nie warto być nieprzystępnym.

— Ale on jest niewinny — rzekł Andrzej potulnie. Oficer pogrzebał w cienkiej, kartonowej teczce. — Oszukał państwo na sto osiemdziesiąt cztery złote — powiedział.

— Tyle ile para płóciennych pantofli.

Oficer pochylił się nad biurkiem. — Panie redaktorze — powiedział poważnie — nam chodzi o moralność, a nie o wyso-

kość szkód w złotych. Kto jak kto, ale pan powinien to zrozumieć.

Andrzej myśli, jakieś przekleństwo ściga tę podłogę; złamała życie Torfmanowi. Myśląc tak, czuje się w matni: głupia podłoga z nylonu pędzi go w zgryzotę sumienia, które przeznaczone jest do większych zadań i rozstrzygnięć. Ten tłumek wśród grobów, twarz ojca w niedawno zamkniętej trumnie, nerwy rozdygotane w obliczu śmierci, kontrolowane co siłą, wstydlive szczegóły przeszłości ukrywane po mistrzowsku na codzień, teraz ujawniane tutaj nieszczerze uroczystym Lorantom i Larbińskim, wszystko to razem sprowadza płaczliwość. W oczach ma prawdziwe łzy, dostrzeżone przez obecnych: Elżbieta ujmuje go mocniej pod ramię, idący tuż obok Heniek kładzie mu rękę na plecach, bojąc się, że Andrzej nie zauważy dołka w ścieżce. Andrzej myśli, a przecież ani moja matka nie umarła na serce, ani żaden dziadek; może to wcale nie jest takie oczywiste z tą dziedzicznością?

Elżbieta idzie tuż obok Andrzeja i zmusza się do myślenia o starym Felaku; bardzo tego chce, bowiem uważa za przyzwoite myślenie o zmarłym na jego pogrzebie. Usiłuje sobie przypomnieć, czy go lubiła, czy nie? Na pewno zabrał od niej strach przed rodzinną małostkowością, przed owym piekłem mikroskopijnych pretensji: jakże nienawidziła tej wrednej arytmetyki uraz, które nie męczą nigdy w stosunkach z przyjaciółmi, kochankami, znajomymi, wierzycielami, dłużnikami, zaś z każdej rodziny czynią kocioł niewybaczalnych uchybień. Zawsze wstydziła się czegoś, patrząc w oczy starego Felaka, może spokojnej dobroci w tych oczach; nigdy zresztą nie uważała, że ma powód do wstydu. Ktoś inny znienawidziłby starego Felaka za tę niewyjaśnioną wstydlivość, lecz nie ona: jej wystarczyła pewność, że mimo swego łagodnego rozumu stary Felak nie jest w stanie nic o niej wiedzieć. Trzyma Andrzeja pod rękę i patrzy na niego z ukosa. Tak niewiele myślała ostatnio o Andrzeju, zauważa, że Andrzej nie starzeje się, chociaż przytył, wygląda zdrowo i interesująco, otacza go blask mężczyzny w średnim wieku, któremu dobrze powodzi się. Ona też zrealizowała wiele z tego co zamierzała zrealizować wtedy, gdy była blada i chuda i nikt w rodzinie nie wierzył, że oko mężczyzny spocznie na niej z pożądaniem; też wtedy nie bardzo wierzyła, lecz właśnie dlatego postanowiła twardo i zaciekle, że przejdzie przez życie przy pomocy pożądliwych spojrzeń mężczyzn. Godnym pogardy szczeblem egzystencji zdawało jej się zawsze ciasne mieszkanie pełne wzajemnej kłótności i swarów, a w nim mściwe pasje o niedomknięte drzwiczki od piecyka („... na umyślnie nie zamknie, żeby mi pokazać, że jej wolno

czego mnie nie wolno, że ja muszę, a ona nie musi...). Powiedziała sobie już wtedy, że w domu jej nie będzie jazgotu trosk i poniżających kłótni o płaszcz zimowy. Powiedziała sobie wtedy, śpiąc na polowym, rozkładanym na noc łóżku u stóp odróżającej szafy, że w jej domu sprzęty nie będą koniecznością ubogich, lecz przedmiotami upodobań i wygody: i tak jest, nie obawia się pokazać swego mieszkania nikomu, mimo, że nie zawsze dzieli gust Andrzeja i owa słynna podłoga z tworzyw sztucznych nie przysparza, jej zdaniem, piękna pokojom na Starym Mieście. Po czym przypomina sobie, że jest na pogrzebie swego teścia i stara się z całych sił, z koniecznym żalem myśleć o zmarłym. Myśli, czy Andrzej kochał ojca? kogo Andrzej kocha? mnie? Pawła? swoją pracę? a kogo ja Kocham? I naraz przerażenie dobija się do jej serca: szczerłość jest największym wrogiem człowieka.

Heniek idzie tuż za Andrzejem. Ubrany jest na czarno, z pewną przesadą; podkreśla tym swe zaangażowanie w smutek, ale też i świadczy o zamożności. Nie wiadomo dlaczego Heńkowi zależy na tej ostentacji, być może jest to próba zrównania się z pozycją społeczną Andrzeja, brata stryjecznego. Na dobrą sprawę Heniek powinien zacierać ślady zasobności: właśnie tydzień temu wyszedł z więzienia. Po uwolnieniu Andrzej dał mu do zrozumienia, że rzucił na szalę swoje dobre imię i wpływy. Heniek rozpyływał się w podziękowaniach i wdzięczności, lecz w głębi duszy przeżuwał wątpliwości i podejrzenia. Nie był wcale pewien, czy Andrzej u kogoś był i z kimś rozmawiał: długoletnie przemykanie się przez knieję komunistycznych zakazów, nakazów i urzędów przeznaczonych do pasożytowania na ludziach interesu, nauczyło go wiele i szeptało mu, że dał sobie radę sam, bez niczyjej pomocy. Nic nie wskazywało na interwencję Andrzeja: został uwięziony przed procesem sądowym po czym odbyła się rozprawa, na której udowodniono mu nadużycia na szkodę spółdzielni. Adwokat Heńka rzucił się dzielnie do walki i wywojował co możliwe, ogłoszono wyrok, Heniek powrócił do ula i odsiedział grzecznie swoje, jeśli nie liczyć drobnych redukcji za dobrze sprawowanie. — Miałeś całkiem uzasadnione przecucia — rzekł Andrzej w tej pierwszej rozmowie — że może ci się coś takiego przytrafić. — W ten sposób Andrzej usiłował zbagatelizować stronę moralną i potraktować martyrologię Heńka, niezłomnego bojownika o gospodarczą logikę, jako coś mało ważnego. Na to Heniek nie mógł się zgodzić tak łatwo jak na wersję o pomocy Andrzeja, której trudno było udowodnić, że jest kłamstwem. Rzekł więc: — Wyobraź sobie że przed paru dniami odbyły się wybory do zarządu naszej spółdzielni. — I co? —

spytał Andrzej podejrzliwie. — Wybrano mnie prezesem honorowym — uśmiechnął się Heniek. — Gratuluję — rzekł Andrzej, chociaż chciał krzyknąć: „Nie do wiary!” — Zabawne — dodał. — Wczoraj oskarżają cię o złodziejstwo, a dziś zostajesz prezesem honorowym. — Nie bądź frajer, Andrzej — rzekł twardo Heniek. — Te oskarżenia powtarzali nawet niektórzy podczas zebrania wyborczego. No i co? Wybrali mnie ze względów reprezentacyjnych. — Widział, że Andrzej podejrzewa go o ironiczny wyrzut, ale nic na to nie mógł poradzić. Chciał jak najlepiej, żeby była zgoda i rodzinna więź, której pragnął wuj Ignacy, kiedy zdążył go odwiedzić w szpitalu, po wyjściu z więzienia, tuż przed śmiercią. Idzie teraz za nim, z żoną Haliną o przepisowo czerwonym od łoż nosie z jednej, z ojcem Alojzym, starczo pochlipującym za bratem, z którym się całe życie nie lubili, po drugiej stronie. Myśli, że rodzina to rzecz święta; a ciekawe co sądzi o moim znoju i nieugiętości mój brat stryjeczny i ci jego znajomi o głośnych nazwiskach? Niczego nie kapują! Nie są w stanie pojąć tej złożonej prawidłowości społecznej, według której honorowy prezes o niezbyt czystych rękach jest właśnie błogosławieństwem spółdzielni: jego upadek i pokuta dowodzą zręczności i energii, a nie deprawacji, czy złej woli, a więc dlaczego nie czerpać z jego talentów i doświadczeń z korzyścią dla wszystkich? I dlatego Heniek rozgląda się z pewną wyższością wokoło.

Stefania myśli, że na Brudnie, a nie na Powązkach: nie formułuje swego rozczarowania, ale wie, że coś jest nie w porządku, nie tak jak powinno być. Drewniany, pospolity kościół św. Wincentego na cmentarzu brudnieńskim wydaje jej się mało gustowny jako miejsce mszy za duszę ojca Andrzeja, człowieka dobrotliwego i urzędnika kwaterunku, który tyle przysług ludziom wyświadczył w powojennym świecie zarządzeń zawsze wrogich ludziom małym, prostym i nic nie znaczącym. Stefania prosiła wielokrotnie Andrzeja, żeby pomówił z ojcem, Andrzej przyrzekał, lecz mimo usilnych starań nic się nie dało zrobić. Raz nawet sama mówiła ze starym Felakiem: odniosła wrażenie, że ojciec Andrzeja był niezrozumiale zakłopotany i zawahał się lekko, kiedy przytwierdzał, że Andrzej mówił mu o troskach Stefanii. Potem stary Felak przestał pracować w kwaterunku i bezcelowe byłoby rozmawiać z nim o udrękach mieszkaniowych, zaś dzisiaj Stefania pojąć nie może dlaczego bogaty syn tak dobrego człowieka chowa go na tym podrzędnym, ubogim cmentarzu, wśród nic nie znaczących ludzi, dlaczego msza żałobna odprawiona została w brzydkim kościele ozdobionym sztucznymi kwiatami z plastiku i z kolorowej bibuły, a nie pośród marmurów i świeczników

powązkowskiej kaplicy. Dlaczego nie na Powązkach, gryzie Stefanię zapiekła uraza o coś, co zabrano nieboszczykowi; Stefania martwi się i siąka nosem i wzdycha zgodnie z odwiecznym rytuałem na cmentarzach.

Lorant (w czarnym, bezbłędnie zawiązanym krawacie) posuwa się w pewnej odległości za rodziną i uśmiecha się lekko na myśl jak sprytnie Andrzej rozwiązał zagadnienie pogrzebu: nekrolog starego Felaka ukazał się z literkami „śp” nad nazwiskiem, pogrzeb jest prawidłowy, z mszą i księdzem odprowadzającym trumnę do grobu. Gdyby Andrzej urządził pogrzeb laicki, naraziłby się na złośliwości i kpiny: śmiano by się w Warszawie z jego tchórzliwej nadgorliwości; gdyby chował ojca na Powązkach, w aureoli katolickiego ceremoniału, ryzykowałby niezadowolenie tych, którym służył; ale tu, na Brudnie, wilk jest syty i owca cała, sklepikarsko spekulanka rodzina otrzymuje sztapowate satysfakcje, zaś nikogo to nie drażni; pozostaje posuwający się na czele konduktu ksiądz, którego bystrze chytra twarz wyraża wiadome zadowolenie: ksiądz zwietrzył już, że grzebie się kogoś związanego z komunistami, wobec tego wzmaga sceniczne efekty, śpiewa głośniej i każdym gestem podkreśla religijność obrzędku. Wymierza tym swój cios w tchórzliwie kryjących się, a jednocześnie objawia im łaskę kościoła. Lorant ze złością myśli, że zwyczajność księdza trafia go szczególnie dotkliwie, nasuwa mu przypuszczenie, kto jest na samym końcu silniejszy. Natomiast wzdycha z uznaniem dla Andrzeja: Felak wyrobił się na pierwszorzędnego gracza, dobrze jest mieć go po swojej stronie.

Tak samo zresztą sądzi Larbiński posuwający się w pełnej respektu odległości. Przyszedł tu wyłącznie dla podkreślenia związków z Andrzejem i własna obecność krępuje go: zawsze czuje się źle na tle manifestacji katolicyzmu, ale wielkie kościoły śródmieścia, w których przychodzi mu czasem asystować przy ślubach, chrzcinach, mszach żałobnych nie budzą w nim uczucia niewygodny jakiego doznaje tu, na tym zapiekłym, ludowym cmentarzu. Tu (dręczy się w wyobraźni) widać go jako zabłąkanego w nieswoje regiony, pchającego się tam gdzie nikt go nie chce, gdzie obnaża się jego odrębność, łatwa do ukrycia w skosmopolityzowanych miejscach kultu. Męczą go urojone spostrzeżenia, na przykład: można go posądzić, że przyszedł tu dla Elżbiety; zjawia się tam wszędzie gdzie jest Elżbieta, natychmiast przysiadła się do stolika gdy ją tylko ujrzy; to rzuca się w oczy, to trzeba powściągnąć. Nie znał starego Felaka, lecz zły jest na niego, że umarł i postawił go w tak drażliwej sytuacji.

Na samym końcu, daleko za wszystkimi, idzie wolno człowiek o gamoniowatym uśmiechu na pękatej twarzy osadzonej

ponad pękatą sylwetką. Nikt go tu nie zna, prócz Andrzeja, który dostrzegł go już dawno, jeszcze klęczącego w kącie kościoła, żegnającego się co chwila żarliwie gestem szerokim i ryzykownym, podśpiewującego: — *Et cum spiritu tuo...* — i modlącego się szczerze i dogłębnie. Trudno jest odgadnąć w nim i w jego pokorze naczelnika kwaterunku, następcę starego Felaka, chlubę i ramię organizacji partyjnej tego urzędu: to właśnie jego sprytnie donosiki pogrążyły Ignacego Felaka w oczach zwierzchników. Były to donosy wyczelowane i powściągliwe, majstersztyki podkreślające dobrą wolę i łagodność starego Felaka (źródła nieudolności!), a broń Boże nigdy nie wspominające o nieuczciwości, łapówkach, czy szkodnictwie politycznym. I teraz pękaty nie czuje skruchy, nie modli się o odpuszczenie grzechów, bo nie widzi ich w sobie, lecz coś pcha go za trumną swego byłego naczelnika, a co to trudno powiedzieć, może ciemny strach a może prawdziwa serdeczność? Ociera co chwila ręce o szerokie, wymięte spodnie, potyka się o własne letnie sandały, rozpina i zapina na przemian kołnierzyk kraciastej koszuli bez krawata i idzie nieustępliwie, pokutnie, samokrytycznie za konduktem.

Kostkowski idzie za Mikołajem, nieco z boku, i myśli, tu są wszyscy! i ja między nimi... co ja im zawiniłem? Dwa dni temu został wyrzucony z pracy. Lewinson nie zapomniał i zadzwonił do naczelnego *Wieczoru Warszawy*: oświadczył, że wie o pewnych faktach dyskryminacji personalnej, budzących prawdziwy niesmak, których wylęgarnią jest redakcja *Wieczoru*. Nie dał się zresztą długo prosić o wyjaśnienia i wyłożył swe postulaty. Po tym telefonie naczelny wezwał Kostkowskiego i powiedział: — Co pan znów narozrabiał, panie Marku? Już znowu same utrapienia przez pana. — Tak się bowiem utarło, że co z drukowanych rewelacyjek zyskiwało odbicie w opinii publicznej, zaraz wracało do redakcji w formie pretensji i urażonych sprostowań. Kostkowski był nawet z tego dumny: miał się za dziennikarza utrzymującego żywy kontakt ze społeczeństwem. Po wyjaśnieniach naczelnego nabrał werwy i powołał się na niedawną notkę o Mikołaju w przekonaniu, że może zacznie wreszcie procentować ta podejrzana afera. — Jak to — powiedział — przemilczamy Planka? Przecież pisaliśmy właśnie o nim niedawno. — Widocznie źle, albo mało — mruknął naczelny, zły, że w ogóle musi rozmawiać na temat tak błahy i ciemny. Kostkowski chciał powiedzieć, że chciał od dawna, że rozumiał, że trzeba, ale... chrząknął tylko, gdyż pojął, że takie rozumowanie obciąży w końcu tylko redaktora naczelnego *Wieczoru*. I tak czuł się, dzięki intrygom Elżbiety, jak zbawca dobrego imienia gazety. W kilka dni później znalazł na swym biurku wymówienie: jasne było, że

naczelnym bał się Lewinsona jak ognia, Lewinson dopiekl mu widocznie przy jakiejś okazji, naczelnym nie miał wyjścia, musiał zwalić winę na kogoś, a skoro już był winny to musiał ponieść karę. Sina rozpacz podchodzi Kostkowskiemu pod gardło: wko-pałby ich, tych naprawdę winnych, w cmentarz, po którym teraz chodzą. Etat w *Wieczorze* był pierwszym wydzwignięciem się ponad kondycję dziennikarskiego domokrażcy, na którą skazany był tyle lat, której nienawidził, za którą zbierał nieustające lekce-ważenie. I za co, za co? Za to, że ułatwiał im życie, tym Felakom, Plankom i ich nienasyconym sukom; ach, jak dławił się nienawiścią do pleców Mikołaja odległych o pół metra, jakże wbiłby nóż w te plecy, jak pragnąłby raz w życiu wziąć udział w krwawym wydarzeniu o jakim pisze się teksty do tang! Lar-biński stracony, *Wieczór* stracony, zaś oni, Mikołaje, Elżbiety, Felaki, czy kiwną choć ręką w jego kierunku, gdy będzie tonąc z okrzykiem „Pomocy!” na ustach? I skąd teraz weźmie etat, kto da mu stałą posadę odpowiadającą jego umiejętnościom i twórczemu temperamentowi? Nie jest ani partyjny, ani zdolny, ma tylko prezencję, która teraz po tylu latach, opatrzyła się i nikt się już nią w Warszawie nie nasładza. Skąd wziąć drugą gazetę tak popularną, wspaniałą, sycącą zawodową pychę? Jest jedyna w Polsce, dosięgnął jej po latach daremnych aspiracji, wspiął się już na ciepłe wyżyny związanych z nią snobizmów, i teraz przez takie głupstwo, przez takie głupstwo! Przez takiego Planka, przez własną usłużność i uprzejmość! Wiadomo, kim trzeba być i co robić, żeby zdobyć dziś etat w prasie! Krwawa mgła rozjuszenia pada mu w oczy, Kostkowski robi krok do przodu, lecz całoczy-ciowy regulator tchórzostwa przychodzi mu z odsieczą i wyrów-nuje bicie serca. Topi w nieprzytomnej nienawiści Elżbietę, myśli o niej, ta kurwa! wszystko przez nią! Już wtedy, podczas fatalnej rozmowy w kawiarni, wiązała mu się w świadomości taka ewentualność, ale odsuwał ją od siebie; kiedy wrócił do domu i znalazł krawat Andrzeja, aż przysiadł na łóżku cały w smako-witym zdumieniu. To niby tu, na tym łóżku, taka krzyżowa: Felak ze swoją i Mikołaj z żoną Felaka, o rany boskie, co za heca! Ale nie był pewny, to była tylko poszlaka, nade wszystko zaś nie wiedział, co z tym fantem zrobić, wiedza o nim przytła-czała go, uznał ciągnięcie jakichkolwiek korzyści z niego za grę przerażająco niebezpieczną. Przede wszystkim więc chciał się upewnić: usiłował szpiegować Mikołaja, pędził za nim taksówkami zaraz po wręczeniu mu kluczy, lecz nigdy nie nakrył Elżbie-ty wchodzącej. I dopiero przypadek dał mu ich w ręce: kiedyś wrócił na swoją ulicę, do szewca, zaraz po spotkaniu z Mikołajem; po czym ujrzał ich wychodzących z sąsiednich *Delikatesów*: wi-

docznie postanowili (nie spiesząc się) kupić coś słodkiego przed pójściem na górę. Odprowadził ich niemal na schody, ostrożnie, z dzikim triumfem w sercu: to było piękne, wiedział już wszystko i ta wiedza była na razie całym jego rewanzem.

Mikołaj myśli, że nie wie, czy Andrzej kochał ojca? Czy jest mu teraz ciężko i smutno po jego śmierci? Czy Andrzej w ogóle kogoś kocha? Zastanawia się, czy ja kogoś kocham? Na pewno nie kocha matki, chce jej dobra, co mniej ma wspólnego z miłością, a więcej z egoizmem. Przez Krystynę jest kochany: budzi to w nim wyłącznie uczucie wdzięczności i uznanie dla gustu Krystyny. Kiedyś, gdy tęczówki Elżbiety uciekały pod powieki, oderwał wargi od jej zdrętwiałej twarzy i spytał: — Kochasz mnie? — Elżbieta jęknęła niewyraźnie pod jego rozkołysanym ciężarem, zaś gdy leżeli obok siebie powiedziała: — Słyszałaś, o co cię pytałem? — Tak — odparła, albowiem Elżbieta słyszy wszystko, lecz odpowiada tylko wtedy gdy chce odpowiedzieć. — Więc jak? — spytał raz jeszcze. — Nie — powiedziała Elżbieta. Mikołaj przełknął ślinę: to była uczciwa i dobra prawda. Przez chwilę czekał aż Elżbieta spyta go o to samo: tego wymagała konwencja; lecz Elżbieta o nic nie spytała. Wiedziała dobrze, że w tej chwili Mikołaj nie może odpowiedzieć inaczej jak ona, nawet gdyby umierał z miłości. Dopiero w jakiś czas potem, gdy Mikołaj czekał na nią ponad godzinę na deszczu, świadomy jakie ma trudności z wyjściem z domu o tej porze, kiedy wreszcie przybiegła, zdyszana i nerwowa, i szli nadwiślańskim bulwarem w strugach zimnej słoty, Elżbieta spytała nagle i zaskakująco: — Czy ty mnie kochasz, Nick? — Nie — odparł szybko. — Czy musisz mi tak odpowiedzieć, czy tak jest naprawdę? — powiedziała miękko, z dojrzałym żalem. — Tak jest naprawdę — rzekł Mikołaj poważnie i skurczył się aż z bólu myśląc, że jeśli to co czuje do tej kobiety nie jest miłością, to co jest miłością? — Jesteś rekompensatą i rewanzem — rzekł dość obraźliwie — a nie miłością. Może dlatego jesteś mi tak potrzebna.

Andrzej myśli, że zawsze łączyć go będzie z ojcem, istniejącym czy nie istniejącym, szarpiące, płaczące współczucie dla ojcowskiego życia. Zacierają się w nim szybko ostatnie lata staroego Felaka, wypełnione poczuciem spełnianego obowiązku: Ignacy Felak jawi mu się jako zbiedniały, zgaszony urzędnik magistracki sprzed wojny, wymizerowany, niepozorny, w tanich szelkach, bez odpiętego kołnierzyka u staromodnej koszuli. Andrzej wzdycha rozdzierająco, ojcze! nie dałem ci niczego! nie potrafiłem wywalczyć ci rekompensaty! Jakże łatwo zapomina o naczelniku kwaterunku, dobroczyńcy rodzin z powojennych gruzów; jakże chętnie i szuka dla ojca mitycznej rekompensaty

w swoim wyniesieniu. Czy w jego uporczywym, mozolnym pięciu się w górę nie kryje się jakiś znak błogosławieństwa, jakaś wielka tajemnica epoki, jakaś metafora losów pokolenia? Droga od nędzy ku szczytom wiodła przez zginanie grzbietu i fałszywy uśmiech na twarzy zwróconej ku obliczu władcy, i ponizającą obłudę i przekleństwo w duszy podczas gdy usta wypowiadają pochlebstwa i poprzez całowanie ręki karmiącej, którą pragnie się kąsać na krwawe strzępy? Andrzej buduje swój autorytet i swe wyniesienie w znoju i trudzie, lecz z czasem wyłoni się spizowy posąg Andrzeja Felaka i cały ten autorytet moralny, zdobyty poniżeniem, użyty zostanie na chwałę Ignacego Felaka, który uśmiechnie się w niebiosach i wybaczy mu to wszystko, o co go zawsze niechętnie podejrzewał. To prawda, Andrzej kochał ojca, kocha Elżbietę i Pawła, kocha Teresę (nie okłamujmy się!), ale nade wszystko kocha służbę ludziom poprzez swój autorytet wspaniałego obywatela bez zmayı, pracowitego, zadowolonego i potężnego człowieka o życiu udanym. I tego ojciec nie może potępić!

Po czym kładą trumnę do grobu, ksiądz czyni gesty proste zrutynizowane, lecz chwytające za gardło od wieków tym samym skurczem. Na trumnę padają grudki ziemi, grabarze zabierają się do pracy, gromadka ludzi rozsypuje się bezładnie, jakby uciekając od grobu, i każdy dąży z ulgą ku wyjściu, ku zaparkowanym na kocich łbach samochodom. Każdy po kolei żegna się z Andrzejem.

Andrzej ściska im ręce i przesuwa się ku kroczącemu na samym końcu pękatemu kierownikowi z kwaterunku. — Dziękuję, że pan przyszedł — mówi podając mu rękę. — To bardzo ładnie z pana strony. Skontaktuję się z panem wkrótce. Mam do pana interes.

— Wszystko załatwię — mówi pękaty bełkotliwie. — Wszystko, panie redaktorze... Proszę na mnie liczyć! Zrobię wszystko co trzeba... — Długo nie puszcza ręki Andrzeja jakby trzymając coś, co ocala.

Andrzej siedzi przy biurku w redakcji i obraca w palcach kartkę papieru pokrytą maszynowym pismem. Przed chwilą wyjął ją z koperty opatrzonej naklejką „Express”. Jest to anonim i w pierwszym momencie Andrzeja ogarnia rozbawienie: jeszcze nigdy nie otrzymał anonimu jeśli nie liczyć nie podpisanych listów z wymyślaniami na bolszewickich pachołków, jakie zwykły były nadchodzić do redakcji po niektórych artykułach. Ten anonim dotyczy spraw prywatnych: donosi o zdradzie małżeńskiej, czyli o wiarołomstwie Elżbiety. Andrzej dziwi się nieco, sądził, że bieżące życie nie zna już takich urozmaiceń jak sianie zwątpie-

nia przy pomocy anonimów. Rozbawienie ustępuje zdenerwowaniu: uszy zaczynają palić, niesympatyczny smak śliny zaraża całe podniebienie, rytm serca przerasta nieregularnym dygotem. Myśli, przyznać trzeba, że ostatnio zupełnie się nią nie interesowałem; to znaczy: jako potencjonalną wiarołomczynią... To słowo śmieszy go. Myśli więc uważnie, a więc kto jeśli już tak? Lorant? już był; załatwił mi posadę w *Horyzoncie*, u Lewinsona; niepotrzebny; ten wiceminister od samochodów? ona nawet nie wie, że ja o nim wiem...; załatwił Wartburga; zresztą nie jest już niczym, upadł na łeb i na szyję za nadużycia, wegetuje na prowincji w jakiejś miejskiej radzie narodowej, więc co po nim? a może miłość, namiętność, niepohamowane uczucie, rozbudzone z wiekiem zmysły? nie, bądźmy poważni, chwila tego wymaga! mogę ją położyć do łóżka z Marlonem Brando i nic, co najwyżej go obrazi; ona tego nie potrzebuje, nikt o tym nie wie lepiej ode mnie; jedyną przyjemność miała ze mną, a to też dawno i może nieprawda...; właśnie dlatego, że się z nikim nie różnie, cała Warszawa myśli, że się różnie ze wszystkimi! — Pozostaje pan Larbiński... — szepcze Andrzej, przeciągając sylaby i bębniąc palcami w rozłożony list. Larbiński wyrastający jak spod ziemi w *Spatifie*, w *Bristolu*, na *week-end*'owych wyjazdach w Oborach, oscylujący wokół nich i ich spraw bezgłośnie, nie natrętnie, z delikatnym uporem. Andrzej doszły już złośliwe głosy o trójkacie, o harmonijnej współpracy, o wzorowym, modnie synchronizowanym związku. Jak dotąd nie miał zastrzeżeń, podobała mu się sytuacja, o której żywił pewność że wie jak jest naprawdę i wbrew pozorom; karmił się wręcz miłym poczuciem robienia balona z Larbińskiego, szyderczymi wariacjami na temat kto tu kogo roluje. Teraz przychodzi mu trzeźwo do głowy, a może Larbiński myślał o mnie to samo przez cały czas? i to możliwe; tylko dlaczego Larbiński? uroda? pieniądze? sława? Uroki męskie Larbińskiego nigdy nie dostąpiły szerszej chwały w tym mieście, zaś w pozostałych punktach pozycja Andrzeja nie była gorsza. Więc dlaczego: „... Pańska żona zdradza pana. Robi z pana wała od dawna i z sukcesem. Jeśli chce się pan przekonać o prawdomówności tych słów proszę przyjść w czwartek o godzinie dwunastej w południe...” i tu następował adres Kostkowskiego.

Andrzej przygryza wargi: kto to napisał? przecież nie Kostkowski? bo jeśli on to jaki miałby w tym interes? Śmieje się nerwowo do swych myśli, jakież to wszystko małe i ciasne! wszak Elżbieta może otrzymać anonim o tym samym adresie, tylko z inną datą i godziną... Po czym nagle dostrzega, że anonim ten nie jest zwrócony przeciwko niemu: ton jego jest spokojny,

inwektywa ogólna. Składa go starannie i chowa wraz z kopertą do portfela. Wyjmuje kalendarzyk-agendę: otwiera na dacie czwartkowej i wpisuje adres Kostkowskiego i godzinę dwunastą. Pod datą piątkową figuruje adnotacja: „Trzynasta piętnaście”. Andrzej wykreśla ten zapis wolno i z namysłem: na razie mieszkanie Kostkowskiego uznać należy za spalone. Rozumuje spokojnie i chłodno, jednak Larbiński; zaś anonim jest od Kostkowskiego; Larbiński kopnął go widocznie mocno za tę notkę o Mikołaju, tak boleśnie, że ten kretyn postanowił się zemścić; głupi, ten Marek, po co mu takie numery? a może to tylko zły żart, jeszcze jeden dowcip wiecznych, podstarzałych kawalarzy z małych kawiarenek dla modnie ubranych nierobów, żyjących wspomnieniami studenckiej młodości?...

U Stefanii odbywa się przyjęcie. Andrzej i Elżbieta są zaproszeni, jak zawsze od wielu lat. Przy stole włożonym między wysoko zasłane krochmalonymi kapami łóżka siedzi gęsto rodzina Stefanii, miejscowa z Powiśla i dalsza, z Grodziska. Mężczyźni mówią dużo, hałaśliwie i głupio; kobiety są powściągliwe i schludne, noszą w uszach małe kolczyki prababek z szafirkiem, lub koralikiem, odstawiają z dystynkcją mały palec przy trzymanym widelcu. Dopiero parę kieliszków różowej wódki powstałej ze zbratania spirytusu z sokiem malinowym wyzwala z kobiet gorzką, pieniacką mądrość. Elżbieta w kostiumie paryskim, prześląkłym wonią wody kolońskiej Christiana Diora, czuje się niezbyt pewnie: nie przepada za rodzajowością, uśmiecha się skwapliwiej niż zazwyczaj, jest sztuczna i serdeczna. Andrzej zachowuje się wylewnie, mówi dużo i prześciga w nieszczerym epatowaniu rozmówców. Stół ugina się pod ciasno natkanymi półmiskami z pieczonym schabem w majeranku, z grzybami w occie, z nóżkami w galarecie, szprotami w oleju, ogórkami kwaszonymi, śledziem i baleronom. Stefania i Irka krzątają się bez ustanku, nakładają, donoszą, nalewają, przystawiają. Andrzej pije chętnie i przygląda się chyłkiem Elżbiecie: nie czuje do niej żalu, nie wstrząsa nim gniew, nie roztkliwia go żalność nad sobą i swoją splugawioną miłością, lub zbrukaną rodziną. W miarę wypijanych kieliszków stwierdza, że zdrada Elżbiety jest mu obojętna, a nawet w jakiś sposób sympatyczna. Nie może wyjść z podziwu nad stanem swej duszy. Wszyscy czują się tu wyraźnie zaszczytzeni obecnością państwa Felaków, a także nieco onieśmieleni ich wytwornością, zapachami, niezrozumiałą potęgą: Felakowie krążą po Warszawie własnym samochodem, mogą opuszczać kraj i wracać kiedy im się podoba, drukują swe słowa w gazetach. Narasta atmosfera podejrzliwej czołobitności, za którą kryje się gotowość do uwła-

czających zwątpień i dlatego może Andrzej usiłuje im wytłumaczyć rzeczy niepojęte i tak oto dochodzi do ryzykownej dyskusji o równości, w której Andrzej chce sprecyzować nieistniejące fakty. Mówi więc pewien młodzieniec o powierzchowności warszawskiego rockendrolowca z klienteli *Café Miś* (wąziutkie spodnie z caju, fanfan nawisły nad niewielkim czołem, oko jasne i bystre, koszula w pikasy, twarz otwarta i rozgrzana roztworem soku malinowego): — Równość na ulicy, proszę bardzo... Tam mogę pana redaktora nie przymierzając maznać w japę jak równego, nawsadzać panu redaktorowi parę trafnych, wrzucić kilka obcasów jak równy równemu, zawiesić bombę na nosie. Ale tu, w mieszkaniu, pan redaktor i pani redaktorowa to dla mnie wielmożne państwo... — Uwagi te, mimo, że wypowiedziane w tonacji życzliwej, wzbudzają jednak niesmak u innych gości, zaś Irka mówi z wyrzutem: — Że też ty, Miciek, jak coś wygarniasz, to głupio i nieelegancko...

Wychodzą, odprowadzani do bramy przez Stefanię. W samochodzie Andrzej mówi do Elżbiety: — I pomyśleć, że urodziłem się tak niedaleko stąd. Zaledwie kilkaset metrów w linii prostej, między domami.

— Czy to znaczy — uśmiecha się Elżbieta — że gdyby nie rewolucja byłbyś jednym z nich?

— Kto wie? — mówi Andrzej kokieteryjnie, lecz myśli, że to bzdura i że rewolucja nic tu nie ma do rzeczy. — Ostatecznie rewolucja to także małżeństwo z tobą, córką byłych ziemian i kobietą z towarzystwa.

— Dobrze, że wiesz co mi zawdzięczasz. Jedźmy już.

Już siedzą ze dwadzieścia minut tak zbytecznie razem, we troje, i nic z tego siedzenia nie wynika. Ten pokój nie zmienia się, jest ciągle taki sam jakim Mikołaj pamięta go od lat, obłożony książkami w równo, surowo zbudowanych stertach, pachnący hojnie używanym mydłem i niedrogą, dezynfekcyjną wodą kolońską, jakby pani Stoll myła i wycierała nią ręce po każdej wizycie; zaś interesantów przewija się tu krocie (takich od próśb i błagań, a także i tych od plotkarskich pogawędek). Mikołajowi stuka w głowie refrenik starej piosenki:

*... Bo grunt na świecie
to ecie-pecie...*

Spiewały ją w latach trzydziestych zniszczone aktorki w podrzędnych kino-rewiach, za niecałą złotówkę; te weteranki warszawskiego przemysłu rozrywkowego walczyły przy pomocy ciągle

mętnych współzależności. Godzina jest pięć po dwunastej, Andrzej siedzi bezradnie w samochodzie i uświadamia sobie, że z okna mieszkania widać go jak na dłoni. Więc jedzie do rogu, skręca i wjeżdża w rozlewisko połączonych podwórek na tyłach domów. Ustawia wóz blokując wyjście z klatki schodowej, którą sam zazwyczaj się posługuje. Myśli z roztargnieniem, i co teraz? Jest brzydko spocony, czuje mdlące tykanie serca pod koszulą: na zegarku jest dwunasta dziesięć. Wciska się zmęczonym ruchem w oparcie siedzenia, bolą go plecy, jest mu niewygodnie, znów nie wie skąd i po co się tu znalazł? Wyobraża sobie jak określiłaby Teresa jego położenia: — Widzisz, tyso ci teraz... — i nawet uśmiecha się. Zapala papierosa i zastanawia się nad zdobywaniem i posiadaniem kobiet, ile widział niegdyś w tym tajemniczej chwały, jak spowszedniała i przybrudziła się teraz, gdy zna jej trybiki i podszewki, automatyczną dostępność i prostackie prawidła. Walka kobiet o równouprawnienie biologiczne rujnuje urzekające reguły gry z wczoraj i przedwczoraj. Zdrada? Mój Boże, cóż znaczy dziś zdrada? Wiedział co to jest jeszcze parę lat temu. Dziwnie się to jakoś zatarło w jego życiu: zbladło coś, kiedyś tak wyraziste, proste i dojmujące. Jakże smuci ta świadomość utraty ważności, niegdyś obecnej przy rozstaniach i utratkach, czyli to, co tak pięknie czuł stojąc pod oknami domku w Jastarni, w którego ciemnym wnętrzu zdradzała go Grzanka. Jakże to wszystko znikło bez śladu! Tam na górze zdradza go teraz Elżbieta: właśnie w tej chwili ciało Elżbiety znane aż do znudzenia, wzbudzające już tylko odruchy a nie pragnienia, brudzi się i hańbi raz na zawsze. Ale co z tego? Cóż w tym produkcie jego własnej wyobraźni (jak dobrze zna nieszczerze pozy i wzdychy Elżbiety!), w jego konsekwencjach, bądź interpretacjach, wywraca jego, Andrzej, świat rzeczy i pojęć, konstrukcję istnienia, w której określone miejsca zajmują drzewa, dzieci, lampy uliczne, pokój światowy, Voltaire, kompot ze śliwek, Mercedes 190, twórczość Hemingway'a, papierosy mentolowe, plan inwestycyjny, wino Chianti i mnóstwo innych rzeczy? Usiłuje sobie bardzo dokładnie wyobrazić Teresę z kimkolwiek, w oparciu o własną wiedzę: jest to przykre, lecz nie wstrząsające. Ostatecznie Teresa śpi z Jackiem, a także nie dopuszcza Andrzeja do pełnej kontroli nad swą egzystencją; zawsze zakazywał sobie takiego myślenia o Teresie gdy był z nią, kiedy tęsknił do niej, do jej smaku i zapachu: ten zakaz był warunkiem ich współżycia, fakt posiadania Teresy cieszył bez konsekwencji, był fabrykatem dojrzałości i zwycięstw ogólniejszych niż zwykła miłość. Mimo tych wentyli wie jednak, że gdyby czekał w tej chwili pod oknem, za którym Teresa wyczyniałaby jakieś bezceństwa

na skrzypiącym tapczanie z mężczyzną bez twarzy i bez nazwiska, ogarnęłoby go (choć na chwilę) niezachwiane przekonanie, że świat wypełnił się czymś potwornym na co niesposób się zgodzić. Wychodzi naraz z auta, zamyka je pośpiesznie i biegnie na górę, ostrożnie badając każdy szmer. Idzie cicho korytarzem, stąpa uważnie, nawet skrada się nieco, staje przed drzwiami mieszkania Kostkowskiego: brudno czerwony, nieprzyzwoity guzik dzwonka (na który nie zwracał nigdy uwagi) fascynuje go przez chwilę, trzeba walczyć z błazeńską pokusą naciśnięcia; przemaga ją jednak i pochyła się ku dziurce od klucza, wstrzymując oddech. Klucz, oczywiście, jest wyjęty z zamka (pierwszorzędna taktyka! zapomniany klucz w zamku świadczy, że ktoś NA PEWNO jest w środku!), natomiast drzwi między przedpokojem a pokojem zamknięte (dobra robota! Andrzej postępuje tak samo: chodzi o to, ażeby maksymalnie izolować korytarz, ziemię niczyją i zaludnioną przez niekontrolowanych przechodniów, od wnętrza użytkowanego lokalu, w którym ukrywa się fakt, że ktoś jest). Kostkowski, oczywiście, nigdy tych drzwi nie zamyka, przebywa w tym lokalu legalnie, ma prawo do okrzyków i odgłosów, lecz inni szukają dodatkowego poczucia ochrony. Myśli, jak zachowałby się ten tam gdyby jednak przycisnąć dzwonek? Wyobraża sobie pot okrywający plecy tamtego, nagłe wtulenie głowy w pachę Elżbiety, parszywe zwiotczenie wszystkich mięśni i nieodwołalną decyzję nie otwierania, niech się dzieje co chce! I absurdalna myśl o rynnie za oknem, o aroganckim słońcu i bezmyślnej swobodzie powietrza na ulicy, gdzie nikomu nic nie grozi. Czyli to wszystko, co działałoby się z nim, więc myśli, a ja? jak ja zachowałbym się, tam, za tymi drzwiami, przy Teresie, która szeptałaby zapewne ze straceńczą uciechą, w gwałtownie tłumionym ataku nieopanowanego chichotu: „Co, stary? Łyso ci teraz...”; co bym zrobił? otworzyłbym, czy nie? na całego, *va banque*, do drzwi i mina z głupia frant? czy głowa w poduszkę, niemiły zapach, mokro w pachwinach i na nosie? Uśmiecha się nawet samokrytycznie, bo jeśli już przypisuje sobie jakąś przebojowość, to czemu nie naciśnie guzika i nie wejdzie po swoje? Pochyla się ponownie ku dziurce od klucza i tym razem ogarnia go przekonanie, że świat jednak wypełnił się czymś przebrzydłym i zawstydającym na co nie chce się przystać. Schodzi szybko na dół i chroni się w aucie; spogląda na zegarek, dochodzi dwunasta czterdzieści pięć. Co sobie wyliczył anonimowy informator podając dwunastą jako godzinę inwigilacji? Przecież oni tak mogą... W tym momencie, po raz pierwszy, czuje ból i stratę: ogarnia go poczucie zagubienia, krzywdy niezasłużonej w zamian za dobro i lojalność. Wysiada ponownie z wozu i idzie w kierunku

piaskownicy gdzie bawią się dzieci. Myśli: Paweł, nasz syn, nie zasłużył na to; ach, ty wstrętna kurwo! Postanawia odjechać natychmiast, z żalem w sercu, przekutym w kolczugę dla niezłomnej obrony Pawła, jego dziecka. Siada za kierownicą i sięga po kluczyk, kiedy reflektuje się, że jak odjedzie nie dowie się niczego, zaś trucie sobie, jej i dziecku życia w oparciu o jakiś cholerny anonim byłoby nonsensem. Postanawia: należy wyrzucić wszystko precz z pamięci i wrócić do normalności bez względu co się za nią kryje. Włącza silnik i w tej chwili otwierają się kostropate drzwi klatki schodowej i staje w nich Elżbieta. Jest zaskoczona, twarz jej krzywi się komicznie i bezmyślnie: przystaje, niepewne, a za chwilę zaczynają jej drzeć wargi. Andrzej wygląda nieszczerze, jest bardzo blady, uśmiecha się głupio, co może wydawać się groźne; otwiera nagłym ruchem drzwiczki i mówi białymi wargami: — Wejdz, proszę.... — po czym orientuje się w swej chwilowej przewadze i w porażeniu Elżbiety i dodaje: — Właśnie na ciebie czekam... — Elżbieta siada, twarz ma zwartą, kropelki potu przebijają puder na nosie; opanowuje się, mówi impertynencko choć cicho: — No, jedź już. Skoro już wiesz...

Andrzej wie dobrze, że ten tam na górze albo zamyka jeszcze drzwi, albo czeka parę minut, gdyż nigdy nie wychodzi się razem, nakazują to elementarne zasady taktyki. W słowach Elżbiety jest oferta: jeśli odjadą partner zostanie ocalony, zdobycz połowiczna, ale mogą się za to znaleźć jakieś koncesje. Andrzej kalkuluje szybko: w gruncie rzeczy ten tam, Larbiński, czy kto inny, jest mniej ważny. Ona jest ważna. Nie jest też nazbyt pewny, czy ma ochotę na spotkanie z owym kimś, na nowe, napięcie sytuacji, zobowiązujące do gestów. Lecz jak pojedzie, nie dowie się nigdy, mało jest szans na zmuszenie Elżbiety do zeznań, do pełnej prawdy. Myśli z upokorzeniem, Larbiński, to on na pewno! I włącza bieg. Stara się zresztą oderwać od tych myśli. Czeką go niebawem największa w życiu małżeńska *corrida*.

— Dokąd cię zawieźć? — pyta zachryple.

— Do jakiejś kawiarni. Nie będę z tobą o tym mówiła w domu.

Andrzej wdycha ciężko: za chwilę wyjdzie na arenę, gdzie nie ma zwycięstw, skąd schodzą tylko pokonani. — Przyjechałem po ciebie, aby cię stąd zabrać... — mówi niejasno i drży na całym ciele w to suche, rozświetnione południe. Gorączkowo buduje w sobie oburzenie.

Andrzej zastanawia się, o czym ona mówi? czy dziś jeszcze ktoś kogoś kocha? tu, w tym mieście? Słowa Elżbiety wydają

mu się zabawne, można je radośnie podbijać jak baloniki, lecz nie znaczą nic, opadają bez dźwięku, lub nikną bez śladu jak mydlane bańki.

— Nie ważne kto to jest — powtarza Elżbieta. — Kocham go. To jest ważne. To tylko się liczy, a nie jego nazwisko.

Siedzą w kawiarni *Colorado*: zaniedbanie bierze się tu nie wiadomo skąd, chodniki są wytarte i krzesła niepewne, nieuczesane kelnerki ziewają, a nieumyte szklanki noszą ślady szminki. Andrzejowi wydaje się niemożliwością miłość do Larbińskiego, ale niech tam, niezbadane są ścieżki zaślepień. Ostatecznie, proszę bardzo, każdemu wolno kochać, trudno jest mieć o to pretensje, ale on, Andrzej, nie może za to płacić ośmieszeniem i nadzarpnięciem jego autorytetu. Nie wolno zabierać mu powagi osobistej, zdolności do przetargów dlatego, że Elżbiecie zachciało się kochać. I to właśnie w momencie gdy Andrzej uwiłany jest w trudne, subtelne rozgrywki o rzeczy wielkie, o zdobycze wspinałe wyznaczające nieznane im dotąd powodzenie na obu półkulach. Im, Felakom, więc i Elżbiecie! W chwili wymagającej arcy-skupienia, superkoncentracji i najczystszej hipoteki Elżbieta przedsięwzięcie akcji wywrotową, wprowadza dywersję. Kocha? Nawiasem mówiąc: jakie to śmieszne! Elżbieta, ten mały, zręczny wykonany tranzystorek o misternych elemencikach zamiast serca, nerwów, aorty, duszy i uczuć... kocha!

— Kochasz? — uśmiecha się z wymuszoną ironią. — To niebywałe. Ty? Kochasz?

— Ja — mówi Elżbieta; sama jednak czuje jakby powiedziała coś niewłaściwego.

— Zawsze myślałem — mówi Andrzej z niezamierzoną melancholią — że kochasz tylko mnie. Tak przynajmniej mówiłaś. Że z nikim innym tylko ze mną, że tylko ja zdolny jestem coś ci dać. Czyli kłamałaś. Albo nie, jesteś tylko zwykłą zdzirą, która musi się tarzać w błocie. W pożyczonym na jeden raz pokoju.

Elżbieta pochyla się nad stolikiem, oczy ma zwężone; namyśla się chwilę, lecz nie jak ktoś zaskoczony, raczej jak ktoś mający tak wiele w zanadru, że trudność sprawia mu wybór. — Jędrusiu — mówi cicho, niemal przyjaźnie — nigdy nie byłeś dla mnie mężczyzną, któremu się wszystko wybaczają. Na przykład: małe świństewka, kłamstewka, wybiegi, zasmarkane aferki z niedomytymi gówniarzami, zaloty w budkach telefonicznych pod pozorem kupowania benzyny. Nie należysz do mężczyzn, którym się odpuszcza w zamian za to tylko, że z nimi jest najlepiej w łóżku.

— Czyli — w głosie Andrzeja wątpliwy triumf — kłamałaś. Przez tyle lat.

Elżbieta myśli chłodno, to prawda, nigdy nie zaznałam z nim przyjemności; nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego oczywistego faktu; nie przywiązywałam do niego żadnej wagi. Mówi: — Kochanie, to takie proste. Nie masz pojęcia jak łatwo jest udawać rozkosz, upojenie i ten cały cyrk, na którym ci tak bardzo zależało. Największą przyjemnością, jaką mi potrafiłeś dać, było przyglądanie się twoim wysiłkom. Wtedy, kiedy z rzadka docierało do ciebie, że coś jest nie tak, jak powinno być i męczyłeś się. Staraleś się, trzeba ci to przyznać, wychodziłeś ze skóry, żeby... — mówi to z zaciekłością, o której ona tylko wie.

Andrzej płucze spopielałe usta mdlącą oranżadą. — I to był powód, dla którego postanowiłaś mnie ukarać. Ośmieszyć. Zrobić ze mnie wała na pożyczanym na godziny tapczanie. U Kostkowskiego. Z równym skutkiem mogłaś to robić w rozgłośni radiowej Warszawa Dwa. Cudownie! Piękna wdzięczność za lata dobrobytu i zdejmowania ci każdej troski z czoła... — Czuje jak narasta w nim wibrująca pasja, której boi się. — Dobrze — mówi, opanowując się. — Zainkasowane. Więc co dalej?

— Co proponujesz?

— Ja? — dziwi się Andrzej.

Elżbieta myśli, ta rozmowa przybiera nieoczekiwany obrót; mój Boże... (myśli w nagłym popłochu), czyżby trzeba było kuć nowe plany? Intensywny namysł odbija się wypiekami na jej twarzy. Andrzej dostrzega zmieszanie, zapala nerwowo papierosa: nie wie, czy podniecenie Elżbiety jest wynikiem jego błędu, czy podstępnego ciosu, jaki zadał. — Biedne dziecko — mówi na wszelki wypadek. — Mam na myśli Pawła.

Elżbieta gasi szybko zadowolony uśmiezek: to był błąd z jego strony. Paweł powinien być zupełnie wyłączony z tej gry. Obłudne rozczulanie się nad nim jest świecą dymną w złym gatunku. — Przestałbyś udawać większego hipokrytę, niż naprawdę jesteś — mówi. — Co ciebie obchodzi Paweł?

— To mój syn.

— Bez wątpienia, ale co z tego? Czy kochasz go?

To pytanie jest tak bezczelne i bezsensowne, że czyni niezręczną każdą odpowiedź; proste potwierdzenie byłoby tylko ujawnieniem słabości. — Mojemu synowi — mówi Andrzej z zażenowaniem — nigdy niczego nie brakowało. Ma dom, miłość rodziców, rodzinę.

— Nigdy go nie kochałeś. Dawałeś tylko na niego pieniądze. Nie z miłości. Z obawy aby nie uchodzić za złego ojca.

Andrzej oddycha ciężko i Elżbieta boi się, czy nie poszła za daleko; rozgląda się wokoło, najbliższe stoliki są nie zajęte, express do kawy syczy na odległym bufecie, za brudnawymi firankami porusza się ulica, zakurzona, dręczona tramwajami i remontami bruków. — Nieprawda — mówi Andrzej ze sztucznym spokojem. Wierzy głęboko, że jest doskonałym ojcem: jego syn jest zawsze syty, naprzykrzający się, zdrowy, rozpieszczony; Paweł ma w domu zabawki i ciepłą uwagę rodziców, ojciec poświęca mu czas i myśli, czuwa nad jego budzącym się do życia umysłem. Czyżby mylił obowiązkowość z miłością? Andrzej myśli, czyżbym nie rozumiał własnych uczuć? czy o czymś zapomniałem? czy czegoś nie wiem? — Nieprawda — powtarza. — Mówisz tak, bo chcesz mnie zranić.

— Gdyby Pawła nie było byłbyś tak samo zadowolony. Kiedy go nie ma nie tęsknisz za nim. Nie potrzebujesz go.

— Elżbieto, nie siedzimy tu, aby mówić o Pawle. — Jej słowa budzą w nim nienawiść, której nie odczuwał pod domem Kostkowskiego. — Chcę, żebyś powiedziała coś rozsądnego i zakończymy tę rozmowę.

— Nie wiem czego się spodziewsz. Skruchy?

— Nie zależy mi na twojej skrusze. Wolę zobowiązanie.

— Jakie?

— Że to się nigdy nie powtórzy.

— Obawiam się, że mogłabym nie dotrzymać takiego zobowiązania. Miałbyś wtedy do mnie słuszny żal.

Zapalając nowego papierosa Andrzej nie jest w stanie zapalać nad drżeniem ręki. — Stawiasz bardzo wiele na jedną kartę — uśmiecha się krzywo. — I to tylko dla zagwarantowania sobie swobód, na które się nigdy nie zgodzę. — Ostatnie wyrazy dźwięczą ostro, Elżbieta prostuje się i mówi: — Jeśli będziesz krzychał, wychodzę stąd natychmiast!

— Nie krzyczę. Mówię.

— Krzyczysz.

— Niestety — Andrzej tłumy głos — musimy tę sprawę wyczyścić aż do końca, bez względu na ból przy łyżkowaniu. I to tu, przy tym stoliku.

— Oszczędź sobie tych metafor. Przydadzą ci się wieczorem przy pracy... — To nie jest chłodna kpina, lecz straganiarska kłótniwość. Andrzej myśli rozpaczliwie, o co ona się tak bije? czy naprawdę to tam na górze ma dla niej aż takie znaczenie? — Trudno — mówi — jak wolisz. Wobec tego muszę się poważnie zastanowić... — Przeciera czoło gestem zmęczenia i rezygnacji. — Postawiłaś mnie w sytuacji bez wyjścia.

— Grozisz mi? — uśmiecha się nieszczercze Elżbieta.

— Możesz to nazwać jak chcesz.

Elżbieta myśli szybko i sprawnie, Boże, teraz albo nigdy! odmienić życie, zacząć wszystko na nowo; jeszcze jest czas, ale następnym razem może już być za późno! pokusić się o nieznanne, wspanialsze, niż zwykły dobrobyt! Obrazy biegną jak przyspieszona projekcja: prowadzi Mikołaja za rękę ku ogromnym triumfom, walczy o niego, usuwa mu sprzed nóg kaleczące cieranie, pomaga omijać zasadzki, wynosi go wysoko i sama zakwita w blasku jego chwały. — Czyli — mówi wolno, ostrożnie — bierzesz pod uwagę ewentualność rozwodu? — Przesuwa nerwowo językiem po spieczonych pod szminką wargach.

Andrzej myśli o Teresie z rozmazującą czułością: budzić się codziennie rano w ciepłej bliskości jej piersi, oddechu, ud; słuchać codziennie jej kąśliwych banałów, które nie drażnią; prowadzić ją za rękę przez kremowe poczekalnie lotniczych dworców i zaczarowane gaje hotelowych westybuli. Myśli, teraz albo nigdy! samo życie przyniosło rozwiązanie, bez planów i rozważań. — Elżbieto — mówi lodowato — jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi. Każde rozwiązanie jest możliwe, lecz w oparciu o wzajemny szacunek...

Milczą, gdyż wiedzą jaką wagę mieć teraz będą słowa. Elżbieta decyduje się na atak. — Zdajesz sobie sprawę — mówi z grzecznością — co oznacza dla ciebie rozwód?

— Dla nas.

— Mówię o tobie.

Andrzej uśmiecha się blado, jak ofiara prześladowań, której jedyną rekompensatą jest, że je przewidziała. — To jasne, że nie będziesz mnie oszczędzać — mówi. — W końcu będą to po prostu straty finansowe.

— Miejmy nadzieję. Jeśli będziesz lojalny do końca i zrezygnujesz z nieładnych chwytów.

— To znaczy?

— Ty już wiesz co to znaczy.

— Sąd przyzna ci przewidzianą przez prawo kwotę. Nie sądzisz chyba, że będę się uchylał od płacenia? Znasz mnie.

— Sąd może mieć trudności z dokładnym określeniem twoich możliwości alimentacyjnych. Zwłaszcza w Szwajcarii. O ile ja sądowi nie pomogę.

Andrzej przygryza wargi i myśli, tę sympatyczną uwagę mam traktować jako jaskółkę różnych przyjemności! — Fe, Elżbieto — mówi z łagodną naganą — nigdy bym cię nie podejrzewał o takie uleganie namiętnościom... Ty, taka rozsądna? — Pławi się w przerażeniu.

— Przepraszam cię — mówi cicho Elżbieta i dopija łąpczy-

wie resztki wystygłej kawy. — To było rzeczywiście nie na miejscu.

— No, widzisz — Andrzej kładzie rozpaloną dłoń na rękę Elżbiety, zimnej i wilgotnej. — Ciesz się, że nie pomyliłem się... — Uśmiecha się leciutko. — Już dawno... na samym początku... — Jest naprawdę poruszony: ta dobitna manifestacja nienazwanej nigdy przez nikogo kategorii moralnej, to przyznanie się do wspólnoty, której się nie określa, pozwala mu odetchnąć głębiej. Myśli, wie o mnie wszystko, a może i więcej; może wie czego ja nie wiem...

Elżbieta mówi poważnie: — Nie daje się zbyt chętnie paszportu komuś, kto... Istotnie, złożyło się fatalnie, bardzo mi przykro.

— Och, tym się nie kłopotcz — bufonuje Andrzej; jest to nowa, chytra groźba, którą trzeba unieszkodliwić: Elżbieta sugeruje klęski, które spadną na niego bez udziału jej złej woli. Znow coś w nim zamiera mdląco, czuje śliskie przeczucie porażki. — Zresztą nie czas myśleć o podróżach — mówi. — Natomiast należy pomyśleć o mieszkaniu. — Przełyka ślinę. — A raczej o mieszkaniach...

— Nie obchodzi mnie dokąd pójdziesz — mówi Elżbieta sucho. — Wyprowadź się do pensjonatu „Zgoda”. Stać cię na to.

Andrzej uśmiecha się zgryźliwie. — Trzeba przyznać, że nazwa jest szczególnie kojąca po rozwodzie. — Ten uśmiech jest wezwaniem do powrotu do gry *fair*: Andrzej tęskni do odczynienia nadużyć z krzywdy, do ironicznych aluzji i smutnych żartów. — A szkoda — mówi. — Szkoda... — powtarza.

— Nie wiem czego ci żal — ucina Elżbieta.

— Mieszkania...

— Wystarczy mi nasze obecne. Dla Pawła i dla mnie w sam raz.

— Sądzisz, że pozostawią cię w nim w spokoju jak ja się wprowadzę? Sześćdziesiąt metrów na dwie osoby?

— Poradzę sobie.

— Oczywiście — wzdycha Andrzej. — To twoja sprawa. Ja też sobie poradzę.

— Nie przypuszczasz chyba, że będziemy dzielić mieszkanie? — oczy Elżbiety zwężają się. — Jesteś na tyle ustosunkowany, zwłaszcza w kwaterunku, żeby coś sobie załatwić.

— Och, tak — mówi Andrzej niedbale. — Coś sobie załatwię.

— Jędrusiu — Elżbieta ścisza głos — jeśli przypadkiem przyjdzie ci do głowy posłużyć się tymi stosunkami dla utrudnienia mi życia, to ostrzegam cię, że biorę taką możliwość pod

uwagę. Każde kłopoty ze strony administracji przypiszę tobie, pamiętaj, kochanie. Zaś paru ludzi w Warszawie ucieszyłoby się, na przykład, gdyby opowiedzieć im nieco dokładniej o twoich kontaktach towarzystkich, dajmy na to z panem Grohmannem i panem Lavertisse. Radzę ci zatem dobrze: dbaj o mój spokój.

Andrzej siedzi nieporuszony, jakby tego nie słyszał. — Cztery pokoje z hallem, łazienką, kuchnią i tarasem — wdycha. — W jednym z najnowszych wieżowców. Szkoda... Taka okazja.

— Kto ci o tym mówił?

— Ten pękaty z kwaterunku.

— Widziałeś się z nim po pogrzebie ojca?

— Byłem u niego kilka razy. Już nawet złożyłem jakieś papiery.

— Nic mi o tym nie mówiłeś?

— Miała być dla ciebie niespodzianka — wdycha Andrzej.

— Chciałem powiedzieć ci dopiero gdy miałbym pewność, że otrzymam przydział. Chciałem zaoszczędzić ci denerwowania się. Ale teraz... — wdycha znów — ... to bezcelowe.

— I co on mówił?

— Kto?

— Ten gość z kwaterunku? Są jakieś szanse?

— To niemal jest załatwione. Wiesz... — ożywia się — nieoczekiwaną pomocą okazała się ta zakichana heca z administracją.

— Ta co się ciągnie od naszego przyjazdu? — ożywia się Elżbieta. — Może ja z kimś pogadam? Niczego nie załatwiałam od czasu cła na samochód, a wiesz przecież...

— Wiem — uśmiecha się Andrzej sentymentalnie — potrafisz być niezastąpiona. Ach... — wdycha żałośnie — miałem dziś telefonować do jednego wiceministra w tej sprawie. Moja wina, ale przynasz, dzisiaj... — Przypała papierosa od papierosa. — Zresztą są gorsze kłopoty.

— Co się stało? — Elżbieta kryje zainteresowanie za nieudolną oschłością.

— Myślę — mówi Andrzej chłodno — że już cię to nie powinno obchodzić.

— Wyobraź sobie, że jeszcze mnie obchodzi.

— Nie chcą mi dać służbowego paszportu. Mówią, że ten wyjazd to moja prywatna impreza. Zaś Greenleaf domaga się różnych zobowiązań na firmowym blankiecie *Horyzontu*.

— Co za świnię! A byłeś u tego sukinsyna z wąsikiem, który przyrzekał ci kiedyś posadę przy ONZ-cie?

— Byłem. Powiedział beczelnie: „Stać pana, aby pan pojechał prywatnie”. Michalina mówi, że on właśnie najwięcej mi nabruździł.

— Pluń, Jędrusiu, na tego Greenleaf'a. Po co ci on potrzebny teraz, kiedy kroją ci się takie kombinacje z Lorantem.

— Z tego nici. Na razie. Ktoś gdzieś się nie zgodził i tymczasem klops.

Elżbieta jest zdziwiona i przejęta. — Co ty powiesz? — martwi się. — Takie perspektywy... A ja nic o tym nie wiedziałam? — Czuje się jakby stanęła znów na apelu zbiórki.

— Mało ostatnio ze sobą rozmawiamy.

— Nie z mojej winy.

— A z czyjej? Mojej?

Elżbieta milczy.

— Nic o tym nie wiedziałas? — pyta Andrzej podejrzliwie i zastanawia się, czyżby to nie był Larbiński? przecież by jej powiedział, nie? o czymś muszą mówić w przerwach... — Larbiński wymeldował się z gry — mówi ostrożnie. — Ma swoje kłopoty. Francuzi domagają się jakichś autoryzacji, z których wynika, że właściwie Mikołaj osobiście powinien pojechać do Paryża. Pojmujesz chyba, że Larbińskiego nie zachwyca obecność Mikołaja na konferencjach prasowych, woli więc pogrzebać całą aferę. Nie mówił ci nic o tym?

— Czy ty sobie wyobrażasz — uśmiecha się Elżbieta z jakby nieuważną kokieterią — że Larbiński o niczym innym mi nie opowiada jak tylko o swych machinacjach? — Podnosi się, przeprasza, idzie do toalety; wraca po paru minutach upudrowana i odświeżona. — Jędrusiu — mówi — zadzwoń koniecznie do tego wiceministra. Nie wolno ci zaniedbać tej okazji. Cztery pokoje z tarasem! Coś się znajdzie do wysłania Greenleaf'owi. Zaś sprawa z Lorantem niech się odleży. Nie ma co się z nią śpieszyć.

Andrzej spogląda na zegarek. — Chyba go jeszcze zastanę — mówi wolno. — Od tego jest wiceministrem, żeby zaczekał. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Muszę tropić schadzki mojej żony, łapać ją *in flagranti*...

Elżbieta uśmiecha się, podbródek jej zaokrąglą się dziecinnie niewinnie, bezmyślnie. — Nie wygłupiaj się... — mówi. — A swoją drogą ciekawe skąd...

— A może wyjechałabyś na trochę — podsuwa Andrzej szybko — odpocząć? Do Obór? Albo do Krynicy?

— Szkoda pieniędzy — mówi Elżbieta. — Będą potrzebne.

— Nie myśl o pieniądzach, Elżbieto. W naszych warunkach liczy się zupełnie coś innego.

— Chyba tak — potakuje Elżbieta jakby nieobecna, lecz po gruntownym namyśle.

Andrzej myśli, właściwie niczego nie powiedziała; ani nie

przyczekła; zresztą, co to mnie obchodzi? Zamyka się w sobie szczelnie. Tłumaczy sobie, że zazdrość jest funkcją miłości, lub pożądania; ta zdrada nie jest przeciw niemu; ma Teresę i chce mieć spokój. Co przeszkadza wspólnemu życiu w czteropokojowym mieszkaniu z hallem i tarasem? Dom, rodzina, dziecko i przyzwoitość — oto dumne bastiony, których trzeba bronić przed rozwodem, skandalem, plotkami i skutkami plotek. Zazdrość bez miłości jest niemoralna, relikwina epok minionych, nie godna człowieka ery atomowej.

Mikołaj leży na tapczanie i wpatruje się w sufit. W suficie nie ma niczego o czym nie wiedziałby, jest zaś słodycz sufitu, którą osiąga się w specjalnej pozycji, na wznak, z rozrzuconymi ponad głową ramionami. Prawa ręka Mikołaja opada nieśpiesznie ku podłodze gdzie stoi adapter z nałożoną płytą: rozlega się powolna trąbka z tłumikiem i Bessie Smith śpiewa:

*... I spent thirty days in jail
with my back turned to the world...*

Matka leży już teraz codziennie za dwuskrzydłowymi drzwiami, niegdyś ze szkła, przez ostatnie dwadzieścia lat połatanymi dyktą; ostatnio nie rusza się niemal z łóżka: leży w niesprząniętym pokoju, wyszinkowana, odrażająca, smutna. Mikołaj słyszy jej jęki po nocach: wstaje i narzuca swą bezradną pomoc. Wie, że matka oczekuje czegoś od niego i świadomość ta brzydzi każdą chwilę. Matka unika awantur, nie strofuje go nienawistnie, co najwyżej od czasu do czasu żąda, by przyniósł jej szynki z *Delikatessów*, po którą trzeba stać godzinami w kolejkach, w końcu okazuje się, że jest za tłusta, fabrykowana z odpadków i na pewno nie taka jak przed wojną. Matka czeka, zaś z oczekiwania wyziera pogarda dla syna nie umiejącego pomóc. Tytuł do wdzięczności, wystawiany mu teraz codziennie przez matkę, ma w końcu cechy parodii; tyle lat nie wiedział, że w ogóle ma matkę i dalej nie bardzo wie, kto jest jego matką: odpychająco śmieszna, stara kobieta, gdacząca godzinami przez telefon do swych rówieśnic o Grecie Garbo, Małej Ziemiańskiej i hotelach w przedwojennej Krynicy, czy biedny, chudy strzęp ludzki pod brudną kołdrą, walczący zaciekle z bólem fizycznym, skazany na cierpieniu, które nie oczyszcza. Dziś matka czuła się lepiej, więc wyszła i Mikołaj nie może się uwolnić od myśli o niej, bardziej obsesyjnej niż jej obecność. Nigdy nie przywiązywał wagi do pieniędzy, dopiero teraz poznał ich moc; zawsze sądził, że nie ma rzeczy niezbędnych i na przekonaniu tym opierał konstrukcję

swej niezależności: namiętność zaprzeczania, przywilej wątpienia, sobie tylko wiadome wzruszenia; to, co w życiu ukochał i za co zapłacił najwyższą cenę, opierało się na przeświadczeniu, że zawsze z czegoś można zrezygnować. I oto stoi pod narzuconym mu wezwaniem! Obowiązek zakorzenił się w nim, pokrył go jak liszaj, który mierzi, lecz który się gładzi palcami bo jest swój, jest tylko odcinkiem własnego, sparszywiąłego mięsa; stoi na skrawku ziemi, z którego nie można się już cofnąć. Albo da swojej matce pieniądze, lekarstwa, łóżko szpitalne, ratunek, albo zawali się coś, czego odbudować nie będzie można już nigdy, czego nie skwituje żadna zasługa. Po raz pierwszy w życiu jest w matni nie z własnej winy, czy na skutek własnego błędu, o którym mógłby rzec: „Pomyliłem się, zawiniłem, proszę bardzo: ile się należy? Parę lat więzienia? Długotrwałe milczenie i przemilczanie? Przepadek mienia, czyli sławy, bądź prawa do głoszenia tego co uważam za słuszne? Proszę bardzo, już płacę...” Ale tym razem nie ma z czego zapłacić, cena i zapłata utraciły swój sens. A przecież trzeba mu tak niewiele, by wywiązać się z pierwiastkowych zobowiązań: równowartość śniadania wydawanego przez Loranta w Paryżu pod pozorem działalności dyplomatycznej; parodniowa dieta Krzysztofa Kminka, delegata Stronnictwa Demokratycznego na konferencje międzyparlamentarne, upłynniona w lokalu ze *strip-tease*'m; bilety samolotowe Larbińskiego w jednej podróży służbowej; dotacja na zagraniczne koniaki, którą wydatkuje Rybicki w ramach przyjęć dla zagranicznych artystów. Każda z tych sum starczyłaby na lekarstwa, leczenie, na kurację tam, gdzie kryje się szansa na prolongatę istnienia bez bólu, choćby tylko na ograniczony czas. Matka podejrzewa, że nie dokłada starań, że nie daje z siebie wszystkiego w tej najważniejszej walce; zawsze go nie lubiła, teraz go nienawidzi. Zatrzuwa każdą chwilę, powietrze między nimi zakażone jest rozpyloną wrogością. Mikołaj czuje się bezbronny, co gorsze: wydany na pastwę odrazy. Matka nie umie prosić o pomoc: wygląda na to, że przez swe życie żądała i otrzymywała, a nawet gdy prosiła nie wiedziała, że prosi. Ale Mikołaj poniżył się i prosił. Kilka dni temu rzekł do Larbińskiego: — Czy to prawda, że wybiera się pan do Paryża na festiwal krótkiego metrażu? Może są to po prostu plotki, albo mówię głupstwa, ale słyszałem, że myśli pan o pokazaniu tam moich filmów? — Trudno o więcej niezręczności: to było zbyt niemrawe jako atak, lub próba rozgrywki, zaś zbyt ironiczne i nonszalanckie jako załączek pertraktacji.

Larbiński starał się nie okazać, jak bardzo się ucieszył. — Tak bardzo chciałbym pana przekonać, panie Mikołaju — rzekł strzygąc koso oczami za szkłem — o tym jak pana cenię. Ale to

wszystko plotki. Głupi dziennikarzyna wypisuje bzdury i pan w nie wierzy?

— Jestem w takiej sytuacji — zaczął cicho Mikołaj — że muszę za wszelką cenę...

— W rzeczy samej — przerwał Larbiński — zdarzyło mi się napomknąć na jakiejś komisji o pokazaniu pańskich filmów, co przedostało się nie wiem którędy do wiadomości dziennikarzy. No i odwołano mój wyjazd do Paryża. Oto skutki reklamy za wszelką cenę. Mam na myśli pana Kostkowskiego, oczywiście. Głupstwo pociąga za sobą łajdactwo, stąd niewybredne paszkwile jak w *Teraźniejszości*. Obrzydliwość wyssana z brudnego palca. Nie czytam z zasady donosów, ale w tym wypadku otarłem się nieświadomie o bagno, gdyż ten Kostkowski powoływał się na mnie. No i koło zamyka się.

— Gdyby jednak... jakaś możliwość. Potrzebuję tylko paru dolarów na lekarstwo dla matki... Po prostu, gdyby mi tam coś przypadło, kupiłby pan te lekarstwa i przywiózł do Warszawy...

Larbiński rzekł chłodno: — Mówi pan jak dziecko, panie Mikołaju. Co z tego mamy, że nasze filmy rozchwytuje zagranicą, że przynoszą państwu dewizy? Powinien pan wiedzieć, co dzieje się z ich eksploatacją. — Nabijał się teraz z Mikołaja w żywe oczy, a nawet więcej: sugerował coś brzydkiego i krętackiego, co jakoby Mikołaj pokrywa sztuczną głupkowatością.

— Źle mnie pan zrozumiał — powiedział Mikołaj porywczo. — Nie mam na myśli mętnych kombinacji. Lecz tam, gdzie jest równe pole i otwarta gra, istnieje zawsze możliwość zdobycia jakiejś nagrody. A wtedy...

— Nagrody? — uśmiechnął się krzywo Larbiński. — No cóż, życzyłbym jej panu z całego serca. Nagroda to rzecz skomplikowana, aż nie wypada o niej rozmawiać z członkiem jury... No nie?

— Przecież nie jedzie pan do Paryża?

— Nie — westchnął Larbiński. — Pańskie filmy też nie jadą.

— No więc — odetchnął Mikołaj.

— Panie Mikołaju — rzekł Larbiński po chwili, pojednawczo. — Chce pan wiedzieć, jak było naprawdę? Wywalczyłem w eliminacjach pańskie filmy. Biłem się o nie jak lew z tymi, którzy pragną pana wkopać w ziemię wraz z pańskimi filmami. Potem ta notatka, ten artykuł i koniec. Klops. Wobec czego odmówiłem przewodniczenia polskiej delegacji. Ja.

— Już pan to powiedział — rzekł Mikołaj niegrzecznie. — Tylko trochę inaczej.

Krwawy pons załął łysinę Larbińskiego. — Lekarstwo rzecz

poważna — powiedział. — Co znaczy te parę dolarów wobec takiej potrzeby. Gdybym jechał teraz zagranicę przywiózłbym panu. Po prostu.

— Ale pan nie jedzie?

— Od czasu tej historii z pańskimi filmami nie mam szans na wyjazd. Panu się wydaje, że tylko pan... A ja? Nigdy nie ujrzałem złamanego centa za moje filmy, sprzedawane na całym świecie za grube dolary. Czy sądzi pan, że to nie paraliżuje, nie zabiera chęci do pracy? Gdybym miał w tej chwili choć drobną kwotę zagranicą, malutki procent tego, co mi się należy, to jak pan myśli, co bym zrobił? Jeden telegram i w dwadzieścia cztery godziny mamy w Warszawie wszystko co potrzeba pańskiej matce. Ale niech się pan nie martwi, kogoś znajdziemy, dobrze, że mi pan o tym powiedział, że pan z tym do mnie przyszedł. Może Felak, może Lorant? Wie pan, oni jeżdżą, nie mają nigdy trudności. Gdyby nie, że jestem rozbity i zdenerwowany, załatwiłbym jeszcze w tym tygodniu...

Bessie Smith wraca do wstępnej antyfony blues'a:

*... I spent thirty days in jail
with my back turned to the world...*

Mikołaj myśli, któregoś dnia człowiek odwraca się plecami od świata i tak już pozostaje; cóż za różnica jeśli go nie ma? Powszechność krzywdy przypomina gadzety amerykańskich dzieci w rękach wypróbowanych łotrów; rozbrykane kanalie bawią się w papierowe nosy, eksplodujące cygara, sztuczne kupki z plastiku pokrzykując: — A zyg, zyg, marcheweczka! I mnie skrzywdzili! I ja jestem prześladowany... Jurek ogórek! Na mnie też popełniają gwałcik sumienia... Brutalnie wykreślili mi dwa zdania z książki! Nie słucha się mych genialnych pomysłów! Nie dają mi dewiz na nowy samochód, nie pozwalają spokojnie poleżeć na plaży w Antibes, zmuszają mnie, żebym się opalał w Jastarni, katy! Ale ja się nie dam! Ja się poskarżę wyżej! Albo całemu narodowi! — Na przykład Watloch: z niewiadomych przyczyn lansuje ostatnio Hryniewicza: błahe, taniutki wierszyki drukuje w wyszukany układzie graficznym, na poczesnych miejscach, przedstawiając je społeczeństwu jako złote okruchy przebywania geniusza między nami; w związku z czym Hryniewicz kuje legendę Watlocha jako nieubłaganego szermierza prawdy w walce z bliżej nieokreślonym smokiem. — Kochani — mówi Hryniewicz po kawiarniach — jak to pięknie, gdy ktoś ujmuje się za starym, bezbronny lirnikiem... — Jednocześnie: — I pomyślcie tylko: dziś piszą w prasie o odznaczeniu dla mnie, ale nie wiąże się z tym żadna renta! Rozumiecie machinację: odzna-

czyć, bo naród kłaśnie w dłonie z radości, że oni odznaczają wier-
nych śpiewaków narodu, ale bazę zniszczyć, egzystencję podciąć...
Perfidne, co? — W końcu Hryniewicz ma jakieś prawo do ta-
kiego rozumowania: ten beneficjant aparatu nacisku na świadom-
ność powszechną prosperuje tak wybornie, że ludziom wydaje
się, iż jest lubiany i popularny w masach czytelnich; najgorę-
cej wierzy w to sam Hryniewicz, laureat nagród i jakoby spon-
tanicznych plebiscytów, zaś taka wiara otumania wszystkich wo-
koło. Mikołaj myśli bezradnie, że po długich latach knebla w
ustach, po ciosach w wątrobę zadawanych i przyjmowanych w
głuchym milczeniu okazuje się, że to jego czysto prywatna spr-
wa, o której nikt nie wie i nikt się nigdy nie dowie (poza Krysty-
ną i ojcem Jacka), o której wszystko zostanie skłamane, wykrzy-
wione, zbyte pobłażliwą ironią. Ogarnia go melancholia nikomu
niepotrzebnych, nikogo nie ciekawiących meczów piłkarskich na
provincji, bezsensownie wypełnionych zaciętą kopaniną dla ni-
kogo. Nie ma w nim strachu, który dręczy Hryniewiczów, Lar-
bińskich, Felaków przed zgiełkiem i różnorodnością ciągnącego
zewsząd świata; trzy miliardy ludzi, iluż nowych Proustów, Kaf-
ków i Chaplinów wśród nich! Mikołaj nie boi się współzawod-
nictwa, ani klęsk, boi się wyłącznie przemocy faktów, za które
nikt nie odpowiada, faktów stwarzanych przez tchórzliwość
i głupotę.

Dzwoni telefon i Mikołaj myśli, nareszcie ta kurwa! Nie pod-
nosi od razu słuchawki, czeka na uporczywy alarm, dobijanie się
o niego. Po zabłoconej rozmowie, z której długo nie potrafił
doczyścić myśli, Elżbieta milczała i on milczał, wiedział jednak,
że ktoś z nich musi raz jeszcze złamać milczenie, lecz na pewno
nie on. Podnosi słuchawkę. Głos kobiety: — Czy to pan Plank?
Proszę zaczekać, łączę z wiceministrem. — I za chwilę głos mę-
ski: — Panie Mikołaju, co się z panem dzieje? Mówił mi Jacek
o jakichś kłopotach. Chłopcze, to są sprawy do załatwienia. Pro-
szę tu jeszcze dziś do mnie wpaść, siedzę w ministerstwie do
piątej. No, łeb do góry, wszystko będzie dobrze! Czekam na
pana. Cześć... — Dziękuję — mówi Mikołaj w pustą słuchawkę.
Myśli, nie zadzwoni; nie może zadzwonić; byłoby to wbrew
obliczeniom... Myśli jeszcze, że Elżbietę stać na przekreślanie obli-
czeń, ale skąd on może o tym wiedzieć, skoro przegrał walkę
o to, aby cokolwiek o niej wiedzieć: nie zna żadnej prawdy
o niej. Nazajutrz po owym czwartkowym przedpołudniu u Kost-
kowskiego spotkała się z Mikołajem i oświadczyła, że przestają
się widywać. Bez wstępów, tonem pełnym urazy, nie wiadomo
dlaczego. Wyjaśniła tylko, że Andrzej ma kłopoty. — Andrzej
jest na naszym tropie — powiedziała także.

EPILOG

Ostatnie formalności są już tylko przyjemnością i Andrzej z chęcią rozmawia tu i ówdzie z urzędnikami; posiedzi z chęcią tu i ówdzie w jakiejś poczekalni, poczeka bez zniecierpliwienia. Konsulaty, pogawędki, notowanie adresów, biura podróży, tu znajomi, tam znajomi, uściski ręki i krótkie przejażdżki za miasto z Teresą, motywowane nawałem spraw do załatwienia. Teresa nie wzdycha, ani nie powtarza: — Jakże ci zazdroszczę... — jak co drugi znajomy, informowany o wyjeździe; jest raczej powściągliwa w słowach, co martwi, ale także skłonna do najśmielszych pieszczot w najbardziej ryzykownych warunkach, co cieszy: nie przeraża jej boczna droga na skraju lasu pełnego wycieczek dzieci w wieku szkolnym.

Natomiast niezupełnie tak wyszło z administracją jak powinno było. Oczywiście, zapewnienia rozchichotanego adwokata, a także wzbudzająca zaufanie rzeczowość owego dyrektora departamentu okazały się fikcją i przed paru dniami Andrzej otrzymał decyzję instancji odwoławczej, brzmiącą jak wyrok sądowy: suma wraz z oprocentowaniem długu urosła do rozmiarów nadrealistycznych. Tym razem Andrzej nie uległ napadowi duszącego gniewu, nie czuł nawet potrzeby skargi, lecz konieczność przywołania na pomoc wartości, które niegdyś pozwoliły człowiekowi wyjść z jaskiń, pokonać prehistoryczną faunę i ustanowić pierwszeństwo jego rodzaju na tej planecie. Ogolił się spokojnie, po czym udał się do tego samego urzędu, gdzie spodziewał się spotkać dyrektora Rączka, praprzyczynę wszelkiej niesłuszności. Winda była nieczynna, wspiął się przeto na piąte piętro i wyłą-

dował przed biurkiem, daleko pod oknem: siedział tu ten sam urzędnik, grubawy i nieogolony, w o wiele za ciepłym pulloverze z uciętymi przy łokciu rękawami, i pił herbatę. Wyglądał starszej, a może się tylko Andrzejowi wydawało, na widok Andrzeja zamrugał powiekami jakby coś sobie przypomniał, po czym rzekł: — Ach, to pan dostał się do dyrektora Rączka bez uprzedniego zamówienia, a nawet bez zameldowania? Długo tu o tym mówiliśmy. Panie, co my mieliśmy z panem za biedę! Jakieś interwencje, awantury z góry. Ale teraz już wszystko w porządku, co?

— Nie — powiedział Andrzej. — Przeciwnie. Granda do dziesiątej potęgi.

— Co pan powie? — westchnął urzędnik i popił łyk herbaty. — A ja myślałem, że po wszystkim. Nic nie rozumiem.

— Czy jest Rączek?

— Pan dyrektor Rączek? — upewnił się urzędnik.

— No, Rączek...

— Już tu nie pracuje. Nawet nie wiemy co się z nim dzieje. Jedni mówią, że został dyrektorem fabryki tekstylnej, a drudzy, że siedzi. Co kto dziś może wiedzieć? — westchnął z pokorą.

— Ja tam już w nic nie wierzę — dodał wyjaśniająco.

— Kto jest na miejscu Rączka?

— Dyrektor Kitwaszewski.

Dyrektor Kitwaszewski siedział za czyściutkim, pustym biurkiem (z którego znikły kartonowe stogi skoroszytów z ery Rączka) i polerował paznokcie pilniczkiem. Przywitał się z Andrzejem z uprzejmą rezerwą, zezwolił przedłożyć sobie urzędowe pismo z wyrokiem, przeczytał, po czym spytał: — No i co?

— Panie dyrektorze — Andrzej uśmiechnął się fałszywie — żebym nawet miał spędzić resztę życia na procesowaniu się z wami o moją krzywdę, to w końcu wygram. A w dodatku, przyrzekam to panu, resztę mych sił poświęcę ośmieszaniu was w prasie wszystkimi dostępnymi środkami.

— Nie jestem przekonany czy wygracie, redaktorze — rzekł dyrektor Kitwaszewski: był to mocno zbudowany, dość młody blondyn o arogancko zadartym, nieforemnym nosie i lazurowych oczach nieugiętego pijaka, zdobywającego swój dzienny przydział alkoholu po cichu, bez ostentacji, ale za cenę krwawych łez wdów i sierot; ubrany był modnie, lecz licho, garnitur w prążki z niskoprocentowej, wygniecionej wełny i wystawny krawat w poprzeczne paski ze sklepów inicjatywy prywatnej. — Z nami jest trudno wygrać — uśmiechnął się krzywo, z kamienną pewnością swej misji.

— Po mojej stronie jest prawo, rozsądek, logika i zwykła słuszność.

— To się dopiero okaże po czyjej stronie jest słuszność. Jak dokładnie zbadamy sprawę.

— Myślałem — rzekł Andrzej — że sprawa była już wyczerpująco zbadana. Przez dyrektora Rączka i dyrektora departamentu z ministerstwa... — rzucił nazwisko rzeczowego dygnitarza, lecz Kitwaszewski wrzucił tylko ramionami.

— Słuchajcie, redaktorze — powiedział — tu w Polsce teraz wszystko jest nasze, ludowe, polskie: ludowa i polska praworządność i polska i ludowa sprawiedliwość. Nic więcej z obcych elementów, ani z zewnątrz, ani z wewnątrz. I jedno prawo dla wszystkich, redaktor, nie redaktor, nie ma ważnych. Czytuję, owszem, podobają mi się nawet te wasze kawałki w gazetach, ale skończyły się żółte firanki i co mi będziecie to i owo o prawie i sprawiedliwości... — podniósł głos i Andrzej po raz pierwszy od dawna stropił się nieco, obezwładniony własnym zdumieniem wobec bezczelnej dynamiki tego rozbestwionego półgłówka, którego nie wiadomo jakie siły uruchomiły i wyposażyły w przywilej chamskiej napastliwości bez potrzeby uzasadnień. — Z nami to jeszcze nikt nie wygrał, redaktorze, więc może lepiej nie tak z góry na nas, dlatego, że my tylko od komornego!

— Drogi panie... — zaczął Andrzej i chciał wstać, lecz Kitwaszewski pochylił się nad biurkiem i spojrział na niego drwiąco, a zarazem z lodowatą przenikliwością — Przyznajcie się, redaktorze — zmienił naraz głos na klejąco porozumiewawczy — coście tam chcieli zachachmęcić? Racja racją, prawo prawem, a dziwnie czuję, że coś nas chcecie wykołować... Nie mówię od razu, że oszukać, czy nabić w butelkę na parę złotych, ale nie ma człowieka, który nie chciałby czegoś dla siebie urwać. Ja wiem najlepiej jak jest ciężko, każdemu jest dziś ciężko, czy myślicie, że mnie nie jest ciężko... — znacząca natarczywość tych słów naprowadzała Andrzeja jak zahipnotyzowanego na jedyny prawidłowy gest, rozwiązujący jednym pociągnięciem splot wielomiesięcznych zawiłości; ten gest byłby kapitulacją, porzuceniem wiary w całozyciowy dorobek i Andrzej nie mógł nań przystać. Nie mógł pogodzić się z głupotą, a zarazem z bezkarną zuchwałością Kitwaszewskiego: wyglądało na to, że Kitwaszewski nie liczy się już z niczym, ani nikim, nawet z Andrzeja pozycją w tym kraju, ani z podstawowymi wymogami rozsądku. Trudno aż było uwierzyć w tak bezczelną, agresywną tępotę. Coś odbiło się widocznie groźnego w spojrzeniu Andrzeja, gdyż Kitwaszewski zaczął się cofać. — Nie przelewa się u nas jeszcze — powrócił do uogólnień — ale to co mamy jest nasze, polskie, własne, bez nikomu niepotrzebnych luksusów i bez superfilozofii tych kozaków co

to nic zrobić, a wszystko zmarnować potrafią, ale też i bez zepsucia i bez kurewstwa, jak w tych Paryżach...

Nie miało sensu dłuższe wysłuchiwanie tych wywodów, więc Andrzej wstał i wyszedł, nie podając Kitwaszewskiemu ręki. Na korytarzu spotkał grubawego urzędnika. — No i co? — spytał urzędnik. — Załatwił panu?

— Nie — rzekł Andrzej i poczuł się przez chwilę bezsilny, jak nigdy w życiu.

— Trzeba mu było coś dać — rzekł urzędnik z prostotą: westchnął boleśnie i zaciągnął się głęboko połówką Extra-Mocnego ze szklanej lufki. — Nie ja to panu powiedziałem — zastrzegł się — ale dlaczego mu pan nie dał paru złotych? Wszyscy o tym wiedzą, że u niego trzeba dać.

Nie było rady i Andrzej spędził parę dni przy telefonie, deliberując z Rybickim, Watlochem, Prohorowskim i Klarą Onyx, wreszcie, po tym artyleryjskim przygotowaniu, zadzwonił do ministra, któremu podlegały zagadnienia komornego w skali państwowej. Minister przyjął go nazajutrz. — To niesłychane! — wykrzyknął, gdy Andrzej przedstawił mu wyczerpująco swe kłopoty. — Nie do wiary! Niemożliwe! — W trzy dni potem listonosz przyniósł pocztą pismo anulujące decyzją ministra dług Andrzeja i przepraszające go za poniesione straty moralne wynikłe z niewłaściwego urzędowania podległych ministrowi instancji. Andrzej udał się do ministra aby podziękować i zanieść w upominku egzemplarz „Pikielhauby z plexiglasu” wraz z ciepłą dedykacją. Minister poczęstował Andrzeja kawą, przy której gawędzili wesoło, dowcipnie, w poczuciu przyjemnego, zasłużonego odprężenia, i Andrzej opowiedział ministrowi bardzo dokładnie swą rozmowę z Kitwaszewskim. — Czy nie sądzi pan, panie ministrze — spytał ogłędnie — że taka postawa miarodajnego urzędnika zasługuje na karę?

— Nie takie proste — westchnął minister. — Mamy duże trudności z kadrami. Między nami mówiąc, ten Kitwaszewski jest podobno bardzo zdolny, to wschodząca gwiazda naszej administracji. Ludzie popełniają błędy — dodał bagatelizująco — ale ludzie są naszym skarbem, trzeba ich tylko cierpliwie wychowywać. Za parę lat taki Kitwaszewski może stać się wzorem i podporą ludowego aparatu władzy.

Był to sygnał, żeby więcej o Kitwaszewskim nie mówić, czyli cena pomyślnego dla Andrzeja załatwienia sprawy; ale coś go jeszcze dręczyło, więc rzekł: — Praktyka wykazała, że mimo czystości i słuszności mojej sprawy dopiąłem sprawiedliwości tylko dzięki panu ministrowi. Wiąże się to z faktem, że stała za mną, nazwijmy to, pewna swoboda manewru. Ale co byłoby,

gdyby to samo spotkało człowieka szarego i nie potrafiącego się skutecznie bronić?

— Dobiłby w końcu swego — powiedział minister z niezachwianą pewnością. — Jest jeszcze wiele braków w naszej pracy, ale zasada sprawiedliwego i pozytywnego stosunku do prostego obywatela i jego potrzeb jest dla nas święta!

Andrzej długo potem myślał o oświadczeniu ministra, im dłużej zaś myślał tym bardziej uszlachetniał się wewnątrz: czuł wyraźne powołanie do walki z wszechmocą bezsensu i z rakiem krzywdy. Siedzi w redakcji, przegląda listy od czytelników, ludzie piszą i proszą: „Panie redaktorze — mój sklep, moja posada, mój syn, moja emerytura, moja krzywda... Dlaczego? Co za sens tkwi w kaleczeniu, obrażaniu, poniżeniach? Dlaczego nierozumne dławi rozsądne i użyteczne?” Andrzej widzi jak gazeta, a on wraz z nią, staje się instancją sprawiedliwości, ułomną i niezdarną, lecz opromienioną blaskiem i której pomoc jest nie do pogardzenia. Więc usiłuje pomóc, ułatwić, obronić, wywalczyć, podtrzymać zasłużonego, którym pomiatają, ukoić rozgoryczonego, pomóc staremu antykwariuszowi załamanej pod ciężarem przepisów, wesprzeć oskarżonego niesłusznie leśnika, który chciał dobrze dla wszystkich, zaś wszyscy sprzysięgli się, żeby go za to zniszczyć. Czynić ludziom dobro, być z ludźmi i dla ludzi — ileż długich lat swojego życia słuchał tych płytkich, banalnych słów? Ludzie, biedni, drudzy ludzie, nieodróżniani w swej masie, których złego zapachu i głupoty nie zna i nie pozna, w których oczach odbić można siebie i swoje znaczenie, ci ludzie potrzebują pomocy: mnóstwo tu porażek i sukcesów o ileż czasami szystszych od bezkierunkowego powodzenia i materialnych zdobyczy. Nie udało mu się pomóc Torfmanowi, ale przywiózł but ortopedyczny Irce: to on, Andrzej, i jego żmudna, życiowa droga ku spełnieniu, dzięki którym stał się sławny, mógł wyjechać zagranicę i zdobyć pieniądze, sprawiły, że Irka chodzi, pracuje jest zadowolona, użyteczna i ocalona przed bólem fizycznym. Od czasu do czasu gryzą go wątpliwości: no dobrze, Irka jest zapisana na plus, ale kto jeszcze? Rodzi się podejrzenie, że wszystko co może, to konsumować nagromadzone zyski i nic więcej, nic nikomu nie może dać. W takich chwilach odczuwa kłucia w okolicy naczyń wieńcowych, pot wilży mu barki i czoło na myśl o dziedziczności chorób serca, ssie go strach przed śmiercią; roztkliwia się więc nad sobą i sam sobie ordynuje spokój i brak wzruszeń. Porzuca bez większych wahań intencje walki o dobro i cieszy się oznakami egoizmu, który uważa z objaw psychicznego zdrowia; najchętniej uspokaja się myślą o korzyściach jakie zebrał budując swój autorytet moralny. Wie, że dorobek moralny

jest wynikiem procentowania uczuć szlachetnych: z czasem (mądry o tym!) dojdzie przecież do tego, że każda publiczna ankieta na temat bomby wodorowej, nowej książki Hryniewicza, tegorocznej powodzi, czy usprawnienia szpitalnictwa nie obędzie się bez jego nazwiska i jego wypowiedzi. Szacunek społeczny jest jedynym sprawdzianem moralności, nawet wtedy, gdy metody organizacji szacunku nie wzbudzają szacunku.

Oczywiście, samopoczucie to ma luki wypełnione niepokojem. Trawione jest przez kwasy ludzkiego śmiechu, w nikomu niepotrzebnych spotkaniach z ludźmi, z których nikomu nic dobrego nie przychodzi. — Polska to taki kraj — rzekł mu kiedyś znacząco pan Edek — w którym ktokolwiek gdziekolwiek się znajdzie, okazuje się, że jest całkiem na swoim miejscu; a jeśli nawet z początku są jakieś trudności, to już po dwóch dniach energicznego gadania okazuje się, że wszystko jest w najlepszym porządku. — Pan Edek miał niewątpliwie prawo do takiej uwagi: sam był rdzennym zaprzeczeniem zawartej w niej obserwacji. Andrzej zaś poczuł urażony niepokój: czyżby kryła się w tym jakaś aluzja? Czyżby wyglądał w oczach innych na głupca, którego zbieg okoliczności zwany historią i przemianami społecznymi zaprowadził tam, gdzie teraz jest? Czyżby obyło się to bez udziału jego uzdolnień i kwalifikacji jako człowieka lepszego od innych? Gorsze wręcz od tego, czy tak jest naprawdę, jest fakt czy tak to ludzie widzą? Co pewien czas otwierała się przed nim przepaść nieświadomości: celowali w niej starzy, szkolni koledzy jak ów przedwcześnie postarzały i roztyty inżynier, spotkany w *Bristolu*. — Andrzej Felak! — krzyknął i przytulił Andrzeja do poplamionych wódką i piwem kłap zmiętej marynarki. — Chodź, musisz się ze mną napić. Jedną wódkę! Ja stawiam, słyszysz? Musisz, nie ma nie... — Ciągnął go mięsistymi ramionami do baru i powtarzał: — Tego mi nie zrobisz! Nie odmówisz mi... — Było to żenujące, inni goście patrzyli z wyniosłym politowaniem i lepiej było się zgodzić, byle go tylko uciszyć. — Eeech, chłopie... — intonował inżynier przy barze — tyś to się potrafił urządzać! Przecież nikt nie czyta tych bzdur, które piszesz, a licznik ci bije...

Andrzej uśmiechnął się krzywo. — Może już ktoś czyta... — bronił się słabo, lecz czuł nieudolność tych słów: właściwie powinien skończyć faceta przy pomocy jednego celnego zdania, ale jakie zdanie? Obezwładniała go hałaśliwa, agresywna na poły wesołość, na poły złośliwość, rozkleił się bezbrinnie i tchórzliwie: uważał przecież faceta za pociągowe, drobnomieszkańskie bydlę, od którego stoi nieskończenie wyżej, a mimo to nie potrafił ujawnić swej przewagi. — Nie, nie — upierał się radośnie facet. — Nikt nie czyta! Sosik jakim to podlewasz cuchnie. Zaw-

sze byłeś duży cwaniak, ale to co teraz robisz to numer najwyższej klasy. To tak jak ogrywanie ludzi w trzy karty, albo twoja moja... trafiłeś na swoją sztuczkę i ją doisz! Zręczność w palcach i proszę bardzo! Ale niech ci będzie, udało ci się, Bóg z tobą... Nie jak innym, cholera! Ja robię w obrabiarkach, zarabiam dla państwa dewizy. I co z tego mam? Pokój z kuchnią, dwoje dzieci i raz wakacje w Bułgarii w ciągu dziesięciu lat. A ty! Chłopie, aleś się urządził! I nikt tego nie czyta, nikt, powiadam ci... Każdy spojrzy tylko na nazwisko i nie czyta dalej, już wie, co tam będzie w środku... — W jego słowach nie było oskarżenia, raczej aprobata, zgoda pochwała stanu rzeczy, którego się nie lubi, lecz podziwia z zazdrością.

Jeszcze gorsi byli ci, którym się udało, spotykani na wielkich meczach tenisowych, zadbani, ubrani modnie i drogo, pachnący wyszukаныmi płynami po goleniu: trzeba było ich klepać po ramionach, kwitować zręcznie ich wyzywający dobrobyt, świadectwo nieugiętego charakteru w walce z narzuconym z zewnątrz systemem ekonomicznym; oczywiście, utrzymywali się nadal w inicjatywie prywatnej mimo prześladowań i gwałtów ze strony urzędów skarbowych. W rozmowach deklarowali z ujmującą otwartością swą wrogość dla socjalizmu, a nawet obojętność dla granicy na Odrze i Nysie (aczkolwiek cenili przywrócone macierzy kurorty i uzdrowiska); informowali, nie skarżąc się, że tysiące klientów codziennie odchodzi klnąc z ich sklepów, bowiem nie mają w nich nic do sprzedania, ale gdyby im pozwolono, zdobyliby dla ludzi towar choćby spod ziemi (oni już wiedzą jak), lecz po co? Po to, aby rabusie z legitymacjami ministerstwa finansów w kieszeni zrabowali im natychmiast wszystko co zarabiają? — Może dlatego — wtrącał Andrzej — że kapitalizm zawsze zaczyna się od pożytecznej zapobiegliwości i pożądaných towarów, których nie ma. — Potakiwali i nikt z nich nigdy nie powiedział: — A cóż to takiego złego, ten kapitalizm? — albowiem w kręgach towarzyskich kupców i rzemieślników do dobrego tonu należało potępianie kapitalizmu. Andrzej zresztą basował im wyraźnie, dodając zawsze, że pozory mylą, z oględnym uśmiechem. Te zapewnienia Andrzeja wywoływały pobłażliwość kolegów; najczęściej mówili: — Czy myślisz, że budzisz swą osobą cokolwiek, prócz zazdrości? Twoi czytelnicy? Sądzisz, że czytają cię z ciekawości, by dowiedzieć się jak jest tam gdzie byłeś? Nie. Nawet najłagodniejsi życzą ci nagłej, niespodziewanej śmierci. Czytają, żeby sycić swą nienawiść do ciebie. — Dlaczego? — z głosu i twarzy Andrzeja wyciekała bagatelizująca kpina i pojawiała się zaciętość. — Bo nie dajesz im szansy — precyzowali koledzy. — Bo w ogóle nie ma równych szans. Bo oni nie mogą

tego, co ty możesz, zaś fakt, że możesz jest w ich oczach podejrzanym szachrajstwem. — Andrzej przecierał ręką czoło (gdy już byli daleko i nie mogli tego ujrzeć) i czuł się w pułapce. Powiedział sobie to wielokrotnie, żeby nareszcie trochę spokojnego życia z swoją rodziną gdzieś na uboczu, przy czym uboczem miał być, rzecz jasna, Nowy Jork, lub Paryż. Pierwsze trudności w pomaganiu ludziom przywiodły ciekawy problem, a mianowicie: jak oddawać usługi Polsce i Polakom nie będąc w Polsce? Ostatecznie, myślał, naród nasz ma potężne tradycje w patriotyzmie na odległość. Toteż gdy wyjazd zbliżał się milowymi krokami coraz częściej wracał do zamiaru trwałego zapuszczenia korzeni na Zachodzie w celu służenia Wschodowi. Kiedy o tym myśli ulice Warszawy i Polska cała wydają mu się piękne, szerokie, jasne, pełne oddechu i radującej serce, wytężonej pracy twórczej.

Rozmowa z Mikołajem kosztowała Andrzeja sporo nerwów; kiedy poskarżył się Elżbiecie, nadmieniając, że może by jednak poprosić Lewinsona aby pomógł Mikołajowi, Elżbieta powiedziała cicho i drwiąco: — Nie rób niczego za pochopnie, Jędrusiu. Pamiętaj, dość będziemy mieli kłopotów z tym mieszkaniem. I Lewinson może się przydać. — Wobec tego mówi, przy okazji, do Teodozji, że sprawa taka i taka, jakże przykra, takie kłopoty z matką Mikołaja i w ogóle trzeba pomóc. Na to Teodozja: — Kochanie, porozmawiam z Antonim. — Zaś po paru dniach znowu Teodozja: — Antoni powiedział, że niestety, ale teraz nic nie wskóra. Znasz jego obecne położenie, prawda? Nie mówię już o tym, że kończy nam się samochód, trzeba się starać o nowy. Sam rozumiesz... — Andrzej rozumie, ale coś go budzi po nocach, więc kiedyś znów do Elżbiety, mimochodem: — Mikołaj powiedział, że szwajcarskie szpitale mogą być ratunkiem dla matki. Tak strasznie biadał, że przez wszystkie te lata nie potrafił zabezpieczyć się na taką ewentualność. — Elżbieta wyprostowała się i powiedziała: — Jędrusiu, to są twoje pieniądze i możesz z nimi robić co ci się podoba. Wiem jaki jest obowiązek żony w takiej chwili: milczeć i przyjąć każdą decyzję męża. Ode mnie więc nie usłyszysz nic więcej. — Wyglądało na to, że słowa te kryją ironiczne politowanie, ale niczego podobnego nie można było Elżbiecie dowieść.

— Nie ulega wątpliwości — kiwa głową Andrzej — że gdyby Larbiński wywiózł filmy Mikołaja na paryski festiwal, zdobyłby tam jakąś nagrodę. W ten sposób miałby pieniądze zagranicą. Ten kretyń Kostkowski zepsuł wszystko.

— Kostkowski? — dziwi się Elżbieta. — Dlaczego?

— Bo napisał. Przedwcześnie. I Larbińskiego utracili.

Na twarzy Elżbiety pojawia się brzydkie szyderstwo. — I ty w to wierzysz? — mówi nienawistnie. — Wierzysz w kręactwa i obłudne kłamstwa Larbińskiego?

— Nie ważne, czy wierzę, Boję się, że to po prostu tak było.

— Nie! — woła Elżbieta: na twarzy ma wypieki, oczy jej błyszczą; po chwili zniża głos i dodaje z zimną zaciętością: — Nawet, gdyby tak było Mikołaj nie ujrzałby nigdy tych pieniędzy. Nie doceniasz Larbińskiego. To kanalia.

Andrzejowi przychodzi naraz do głowy: skoro Kostkowski stracił pracę przez Mikołaja, zaś anonim napisany był (raczej na pewno) przez Kostkowskiego, to... Myśli, Mikołaj? niemożliwe; chyba wykluczone? co zimna, wyrachowana, rozkochana w swym sprycie Elżbieta mogłaby dostrzec w Mikołaju Planku? nie, nie, bądźmy poważni... — Nawiasem mówiąc — przypomina sobie — co się dzieje z Mikołajem? Od kilku dni go nie widać. Jakby znikł z Warszawy? Nie słysząc czegoś?

— Nie — mówi Elżbieta. — Na pewno zapił się gdzieś. To pijak, a wiadomo jak jest w końcu z pijakami.

— Może jest w Częstochowie? — zamyśla się Andrzej.

— W Częstochowie? — dziwi się zdawkowo Elżbieta. — Dlaczego akurat tam?

— W schronisku dla pielgrzymów — uśmiecha się Andrzej pogodnie. — To stara historia. Nie opowiadałem ci o niej?

I tak mijają dni do wyjazdu. Dalej kryje się przyszłość nieodgadniona, lecz elastyczna i mięsista jak droga tkanina nabyta na długie lata służby. Andrzej siedzi sobie w ślicznie wymytm samochodzie, włącza radio, z radia dobywa się muzyka przyjemna i zachęcająca do pogwizdywania. Jeden niemęczący ruch ręką kieruje go w pożądanym kierunku, wystarczy nacisnąć miłą w dotyku zapalniczkę by zapalić pachnącego papierosa. Na skórze czuje chłodną popelinę koszuli, dochodzi go też dyskretny zapach, którym sam pachnie. ISTNIENIE. Zawiera to wszystko, co potrzebują zmysły, co żywi i zasila przekonanie o doskonałości.

I co z tego?

Co dalej?

To już jest i co teraz?

Co ze mną?

Czemu to służy?

MNIE.

A czemu ja służyć?

SOBIE.

Doskonale... I co dalej?

Nic dalej, TO WSZYSTKO.

Dalej nie ma nic, nic już być nie może, każda myśl o dalej
zabierze to co jest. Czy warto?

— — — — —
Boże, bądź dla niego DOBRY.

Warszawa, 1961-1964.

SPIS TREŚCI

Część Pierwsza: ŻYCIE TOWARZYSKIE	7
Część Druga: SCENY Z ŻYCIA PRYWATNEGO I PUBLICZNEGO	165
Część Trzecia: ŻYCIE UCZUCIOWE	353
EPILOG	505

WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
 8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
 11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
 12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
 15. Graham GREENE *Moc i chwała*
 18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
 20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
 22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkami (Francja 1940-1944), 2 tomy*
 25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
 26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
 30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
 31. Stanisław REMBEK *W polu*
 33. Simone WEIL *Wybór pism*
 35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska*
 36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
 37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widroždennja (Antologia)*
 40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zesz. 5)*
 41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) . *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
 43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
 44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago (Wydanie trzecie)*
 47. Tibor DERY *Niki*
 51. Gustaw HERLING
 GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*

52. Halszka GUILLEY-CHMIELEWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ho-
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW *Jest' li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Sławka*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczes-
nej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i
szkice.*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na ob-
czyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*

104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).
129. Borys LEWYČKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*

139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 11)*
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-
WETZ *Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumen-
ty”, Zeszyt 19)*
143. Bonifacy MIĄZEK *Ziemia otwarta (Poezje)*
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 12)*
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość (Seria „Dokumen-
ty”, Zeszyt 20)*
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*
149. Galina SIERIEBRIA-
KOWA *Huragan (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
150. Swietłana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do przyjaciela (Seria
„Archiwum Rewolucji”)*
151. Aleksander WEISSBERG-
CYBULSKI *Wielka Czystka (Seria „Archiwum Rewo-
lucji”)*



